

*graham*  
**MASTERTON**



*Bezsenni*



**GRAHAM MASTERTON**  
**Bezseni**

## ROZDZIAŁ I

John O'Brien stał w smudze słonecznego światła przed lustrem w garderobie, przymierzając kwiecisty szkarłatny krawat od Armaniego. Robił to z precyzją i ceremonią, nie tylko, dlatego że zwykle działał precyzyjnie i lubił ceremonię, ale ponieważ wiedział, że po raz ostatni czyni to jako zwykły śmiertelnik.

Wygładził ciemnoniebieską kamizelkę, żeby lepiej przylegała do torsu, a potem obciągnął również mankiety. Podobało mu się własne odbicie w lustrze. Zawsze starał się być dobrze ubrany. „Nigdy nie wiadomo, kiedy przyjdzie ci spotkać się ze Stwórcą – mawiał jego ojciec – więc codziennie ubieraj się tak, jakby to miało przypaść właśnie dzisiaj”. Umierając na atak serca prawie dokładnie dwa lata temu, ojciec nosił sportową kurtkę od Abercrombiego i Fitcha.

W lustrze pojawiła się za jego ramieniem Eva, piękna i wytworna w swoim bladożółtym kostiumie od Evy Chun.

–Czy jego ekscelencja sędziego Sądu Najwyższego jest już gotów? John wysunął do przodu szczękę i pokręcił głową.

–Jego ekscelencja jest gotów, ale jego ekscelencja nie jest oficjalnie sędzią Sądu Najwyższego, dopóki nie zostanie zaprzysiężony.

–Jego ekscelencja znowu dzieli włos na czworo – uśmiechnęła się Eva.

–Na tym właśnie polega moja praca. Wiesz chyba, co mówi czternasta poprawka do konstytucji: „Żadna władza nie pozbawi nikogo życia, wolności i własności bez podzielenia na czworo każdego włosa stąd aż do Kalamazoo”.

Uśmiechnęła się, a potem uścisnęła go i pocałowała w ramię.

–Najwspanialszy rozszczepiacz włosa na czworo, jaki się kiedykolwiek narodził. Mam zamiar dać z siebie wszystko – odparł John; i powiedział to całkiem serio.

–Będiesz najlepszy – zapewniła go Eva. – Przywrócisz Sądowi Najwyższemu całą należną mu wagę.

John odchrząknął rozbawiony i poklepał się po brzuchu.

–Nie chcesz chyba powiedzieć, że praca w Sądzie Najwyższym przyczyni się do spadku mojej wagi? Nigdy w całym życiu nie zapraszano mnie na tyle lunchów. Co sądzisz o tym krawacie? – zapytał po chwili. – Nie jest zbyt wyrazisty? Może powinienem założyć coś bardziej stonowanego?

–Jest doskonały. Wyrazisty, tak. Ale w granicach dobrego smaku. Dokładnie tak jak ty.

Roześmiał się. A potem przez krótką chwilę przyglądali się sobie w lustrze, zadowoleni i pełni dumy. W wieku czterdziestu ośmiu lat John miał zostać najmłodszym sędzią Sądu Najwyższego w historii – młodszym nawet od Williama Rehnquista, nominowanego przez Richarda Nixona w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, bujne szpakowate włosy i szeroką wyrazistą twarz, która wyglądała, jakby wyciosał ją z litego dębowego bloku, pełen rozmachu, obdarzony niesamowitym talentem, niemający jednak cierpliwości do szczegółów rzeźbiarz.

Mimo niespokojnej, surowej urody zrobił wspaniałą karierę – najlepszą, jaką mogą zapewnić rodzinne powiązania i pokaźna, gromadzona od lat fortuna z

Massachusetts. Jego ojciec, senator Douglas O'Brien, był najbogatszym i najbardziej otwartym politykiem od czasów Josepha Kennedy'ego. John i jego dwaj bracia wychowywali się wśród uprzywilejowanych i kulturalnych – podróżując, pływając na żaglach, grając w polo, jeżdżąc na nartach i udzielając się towarzysko wszędzie, gdzie było warto, od Monaco aż po Aspen. Na osiemnaste urodziny ojciec podarował mu pomalowanego na zielony kolor O'Brienów astonmarta (nadal stał w garażu), a także siedem milionów dwieście tysięcy w papierach wartościowych. Na dwudzieste pierwsze urodziny dostał ten dom – obrosnięty bluszczem, wzniesiony z czerwonej cegły pałac z widokiem na Charles River, trzynastoma sypialniami, małą salą balową i olbrzymią biblioteką.

Wnętrze tej ostatniej mieściło mniej więcej półtora kilometra dębowych półek, na których ciągnęły się rzędy oprawnych w skórę prawniczych tomów. Stanąwszy po raz pierwszy w progu John zamknął oczy. „Jeśli sprawiedliwość ma jakiś zapach – powiedział wtedy – to unosi się on właśnie tutaj”.

W wieku dwudziestu czterech lat ukończył summa cum laude wydział prawa Uniwersytetu Harvarda i natychmiast objął intratne stanowisko w kancelarii Howell Rhodes Macklin, najznakomitszej bostońskiej firmie prawniczej, obsługującej również i jego rodzinę.

Mając lat dwadzieścia dziewięć wygrał sprawę oskarżonego o gigantyczną defraudację Bonatella i został jednym z głównych współników, a prowadzona za czasów prezydentury Cartera energiczna kampania w obronie praw obywatelskich zwróciła na niego uwagę prokuratora generalnego, Griffina B. Bella, który mianował go swoim zastępcą w Departamencie Sprawiedliwości.

Obecnie – nominowany na miejsce zmarłego niedawno na raka płuc sędziego Everetta Berkenheima – osiągnął ów ozłocony chwałą szczyt, o czym marzył od początku swojej kariery: miał się stać jednym z dziewięciu ludzi, którzy doskonałą i interpretują konstytucję Stanów Zjednoczonych: sędzią stojącym ponad wszystkimi innymi sędziami.

Magazyn Time, choć z rezerwą traktował jego liberalną politykę – w szczególności zdecydowany sprzeciw przeciwko karze śmierci – przedstawił go jednak jako człowieka „odważnego i prostolinijnego”. John rzeczywiście uważał się na ogół za odważnego i na ogół za prostolinijnego. Czasami wydawało mu się nawet, że jest waleczny. Kochał Evę jak nigdy dotąd – głupi romans sprzed trzech lat z młodszą partnerką raczej wzmocnił ich małżeństwo, niż mu zaszkodził. Był zdrowy i bogaty, miał ładną córkę i dosłownie setki przyjaciół. Każdy dzień wydawał się opromieniony słońcem i przynosił nowe wyzwania.

Niepokoił go jedynie „pan Hillary”.

„Pan Hillary” – malutka plamka w jego życiorysie, malutka plamka, której nie mógł zetrzeć. Wydawała się taka nieznaczną – nie większą od niewielkiego punkcika pleśni na idealnie pomalowanej ścianie – ale zawsze obecna. Od wczesnego dzieciństwa nawiedzał go w nocy nieodmiennie ten sam przerażający koszmar; milczący i chłodny obraz, który tkwił gdzieś w odległych zakamarkach jego podświadomości i nie miał do niego dostępu w ciągu dnia. Przed ukończeniem trzydziestki próbował

hipnozy, potem przez dwa lata absurdalnie kosztownej psychoanalizy, ale obraz nie pojawił się ani razu, kiedy był w pełni świadomy – choć przez cały czas wiedział, że się od niego nie uwolnił.

Był to obraz czekającego w milczeniu człowieka, nic więcej, kogoś o rysach tak rozmazanych jak atramentowa plama z testu Rorschacha. John nie potrafił zrozumieć dlaczego, ale na jego widok ogarniało go takie przerażenie, że budził się cały zlany potem, łapiąc kurczowo oddech. Mężczyzna nigdy się nie poruszał; nawet kiedy przepelniony paniką John błagał go we śnie, żeby podszedł bliżej. „Chodź i zmierz się ze mną! Skończ z tym! Zrób coś! Zrób cokolwiek! Nie stój tak bez ruchu!”

Ale zjawa nie reagowała, zachowując dystans i milczenie: czekała, aż nadejdzie wybrany przez nią złowrogi moment. John był przekonany, że czeka go z jej ręki coś złego. Mogła nawet wyobrażać jego własną śmierć. W młodości wierzył, że potrafi się do niej przyzwyczać – że potrafi pójść w nocy do łóżka, nie bojąc się, że znowu przyjdzie mu się z nią zmierzyć. Ale trwoga, którą odczuwał, nigdy się nie zmniejszyła, a zjawa nie przestawała się pojawiać i śniąc stale skręcał za ten straszliwie znajomy, szary róg i widział, jak wpatruje się w niego badawczym wzrokiem.

John nazwał widziadło „panem Hillarym”, kiedy był jeszcze małym chłopcem. Nie wiedział dlaczego – podobnie jak nie wiedział, kim jest ten człowiek. W końcu musiał pogodzić się z faktem, że będzie nawiedzać go zawsze, przez całe życie – będzie obserwować go i czekać na jego śmierć.

–Może napijemy się kawy? – zapytała Eva.

John wsunął na rękę złoty Breitling chronomat. Była dziesiąta dwadzieścia osiem. Jutro o tej porze – pomyślał – zostanę sędzią Sądu Najwyższego i zacznie się nowy etap mojego życia. Lata chwały. Lata wielkich osiągnięć i sławy.

–Nie mam ochoty na kawę – powiedział, odwracając się i całując Evę w czoło. – Nie sądzę, żebym naprawdę potrzebował zastrzyku kofeiny. I tak jestem już wystarczająco spięty.

–Daj spokój, odpręż się. Helikopter nie przyleci wcześniej niż za dziesięć minut. Poprosiłam Madeleine, żeby zaparzyła ten nowy arabski gatunek z Bentonwood Cafe.

John poprawił marynarkę, jeszcze raz obciągnął mankiety i zszedł w ślad za Evą po półkolistych drewnianych schodach do holu. Jego ściany wyłożone były dębową boazerią i obwieszone morskimi pejzażami, wśród których wyróżniało się pełne połyskujących zieleni i roziskrzonych błękitów wielkie płótno Wilmslowa Homera przedstawiające polowanie na rekiny na Karaibach. Nowe buty Evy stuknęły po białej terakocie, a przez matową szybę nad portykiem przeświecały promienie słońca. W drzwiach pokoju porannego czekała na nich Madeleine, ciemnowłosa pokojówka z Quebecu, polecona przez Charlesa Dabneya, jednego ze starszych wspólników. John chciał zatrudnić młodszą pokojówkę, ale Eva wciąż była uczulona na te sprawy po jego romansie z Elizabeth i wolała po stokroć mieć w domu doświadczoną starszą służącą w rodzaju Madeleine, zwłaszcza że powłóczyła ona lekko nogą i miała owłosione znamię po lewej stronie podbródka.

Stojący w holu wysoki niczym wieża zegar wybił wpół do jedenastej, a zatem

zostało im mniej niż czterdzieści minut do odlotu.

–Wracamy w piątek wieczorem, Madeleine – powiedziała Eva – i od razu idziemy na kolację z Kochami. Bądź tak dobra i przygotuj dla mnie tę zieloną od Versacego. Poproś także Newtona, żeby przygotował smoking jego ekscelencji.

–Tak jest, madame – odparła Madeleine matowym głosem z francuskim akcentem.

–Przedzwoń również do Bloomingdale’a i zapytaj, co się dzieje z tym pulowerem Courregesa, który zamówiłam. Poproś Lonnie, z Place Elegante na drugim piętrze. I nie zapomnij o tych nowych kółkach na serwetki, dobrze? Powinny już być gotowe. Zadzwoń do Jackie w Quadrum. Masz chyba numer, prawda? Same piątki.

John usiadł w jednym z eleganckich foteli w stylu kolonialnym, obitych materiałem w żółte paski. Pokój poranny zalany był promieniami słońca, które odbijały się ostrym światłem od wyfroterowanej podłogi. Przyglądając się nalewającej mu kawę Madeleine zastanawiał się, jak wyglądali jej rodzice i co ich skłoniło, żeby ją począć. Może jej matka była olśniewająco piękna, chociaż raczej w to wątpił. Może ojciec był zabójczo przystojny? Przystojny skrzypek, akrobata albo zamiatacz ulic. Kto to mógł wiedzieć?

Eva usiadła naprzeciwko, wytwornie krzyżując nogi.

–Myślałam o urodzinowym przyjęciu Sissy – powiedziała.

–Tak? – Wydawało mu się, że słyszy w oddali łopot śmigła helikoptera. A może to był tylko wiatr, szumiący w gałęziach klonów?

–Chce urządzić bal kostiumowy w beatnikowskim stylu z lat pięćdziesiątych.

John zmarszczył brwi.

–Przyjęcie w stylu beatnikowskim? Masz na myśli berety i dżersej w paski?

A jednak helikopter. Słysząc go teraz było o wiele głośniejsze. Głębokie, pulsujące buczenie silnika i furkot wirnika maszyny, zakręcającej nad Riverdale i kierującej się na wschód. To było to. Za chwilę miał spotkać się ze swoim przeznaczeniem. Po krótkiej podróży helikopterem na Logan International Airport czekał go lot learjetem do Waszyngtonu. John spojrzął na zegarek. Była dziesiąta trzydzieści siedem.

Eva najwyraźniej również usłyszała warkot silnika, ale z jakiegoś powodu uznała, że nie powinna zareagować.

–Helikopter – powiedział John, podnosząc palec.

–Tak – odparła. Ale to było wszystko. Może nagle przestraszyła się nowego życia. Może bała się, że John spotka nową Elizabeth, jeszcze bardziej uroczą i seksualnie pociągającą Elizabeth. Dziewczyny kochają się w gwiazdach rocka, ale Eva wiedziała z doświadczenia, że dziesięć razy bardziej fascynujący jest romans z politykiem, przemysłowcem albo sędzią – choć właściwie wszyscy oni są podstarzali, łysiejący i grubi. Dziewczyny nie zwracają uwagi na wiek, łysinę i wystający brzuch. Naprawdę. Wystarczy spojrzeć na Fanne Foxe.

Najbardziej podnieca je aura władzy. A sędzia Sądu Najwyższego nie jest przedstawicielem byle jakiej władzy, ale jak wskazuje sama nazwa, władzy najwyższej. Są setki gwiazdorów rocka, dziesiątki przystojnych aktorów i tylko dziewięciu sędziów Sądu Najwyższego. Z których siedmiu przekroczyło sześćdziesiąty piąty rok życia. Mówiąc bez ogródek, nominacja Johna uczyniła zeń

**jednego z najbardziej seksownych mężczyzn w Ameryce.**

**John zerknął na Evę. Domyślał się chyba, w czym tkwi problem. Ostatnimi czasy trudno mu było wyznać jej, jak Bardzo ją kocha. Zawsze bał się hipokryzji. Prawdę mówiąc, kochał ją teraz w odmienny sposób, niż wtedy gdy się po raz pierwszy spotkali. Ale wciąż ją lubił, wciąż na niej polegał i wciąż odczuwał głęboką przyjemność, kiedy uprawiał z nią seks – chociaż czasami, kiedy dochodził do szczytu, a lampy przy łóżku wciąż się paliły, dostrzegał, jak Eva odwraca od niego twarz i wbija wzrok w ścianę. Robiła to z pogardy, nudy czy z bólu? Naprawdę nie wiedział. Czuł, że nie potrafi się już zbliżyć do jądra jej osobowości. Ale miał zamiar próbować to robić dalej. Być może któregoś dnia dopuści go z powrotem.**

**Była przecież bardzo piękna. Szczupła i gładka, jedyna córka Hunterów Hamiltonów III z Lynnfield, każdemu, kto ją spotkał, przypominała bardziej arystokratyczną Julię Roberts. Platynowa blondynka, zawsze nieskazitelnie ubrana i przestrzegająca dobrych manier, posiadająca sama olbrzymi majątek. A jednak John nigdy nie mógł się wyzbyć przekonania, że ich małżeństwo jest w jakiś sposób niepełne – niczym układanka, w której brakuje jednego fragmentu, przedstawiającego ścianę domu, błękit nieba albo stojącą w tle kobietę bez twarzy. A po romansie z Elizabeth wydawało mu się, że każdego dnia odkrywa brak nowych kawałków.**

**Warkot helikoptera stawał się coraz głośniejszy; po minucie albo dwóch usłyszeli, że przelatuje dokładnie nad domem. Na spodkach zadzwoniły zabytkowe srebrne łyżeczki.**

**–Wcześniej przyleciał – powiedziała Eva. – Jest dopiero za kwadrans jedenasta.**

**Do pokoju porannego weszła ich czternastoletnia córka Sissy. Ubrana w tego samego koloru co matki bladożółty kostium, przypominała bardziej Evę niż Johna, ale ojciec dał jej rysom pewną szczodrość i szerokość, dzięki czemu jej uroda nie była tak onieśmialająca. Blond włosy związane miała w wysokiego kuca, a w uszach tkwiły wielkie, ręcznie robione kolczyki ze srebra i kryształu z Rio Bahio przy Commonwealth Avenue. Spryskała się nader obficie swoimi ulubionymi perfumami L'Insolent i każdy mógł ją wziąć za osiemnastoletnią dziewczynę.**

**–O rany, od tego hałasu chyba pęknie mi głowa – poskarżyła się.**

**Helikopter zawisł przez chwilę z rykiem turbin i gwizdem wirnika nad południowym trawnikiem, a potem dygnął i osiadł na ziemi.**

**–Nie musimy przynajmniej jechać samochodem – powiedział John.**

**–Naprawdę będziemy siedzieć w Waszyngtonie przez całe trzy dni? – zapytała Sissy. – Zapowiada się taki upał... i nudy na pudy.**

**–Nie bądź śmieszna, kochanie – odezwała się Eva. – Czekają nas przyjęcia, rauty, konferencje prasowe i mnóstwo innych atrakcji. Niecodziennie ktoś w wieku twojego ojca zostaje sędzią Sądu Najwyższego.**

**–Chwała Bogu – odpaliła Sissy.**

**–Chcesz zostać w domu? – zapytał ze zwodniczą łagodnością John. – Chcesz zostać w domu, proszę bardzo, zostań. Ja cię nie zmuszam, decyzja należy do ciebie.**



Sissy wyduła wargi i milczała. Znała swego ojca wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, co teraz nastąpi. Śmiertelnie nudne, umoralniające kazanie.

–Możesz oczywiście zostać w domu – zaczął. – Ale lepiej to sobie przemyśl. Urazisz w ten sposób moje uczucia, możesz tego być pewna. Urazisz uczucia swojej matki. Co jednak o wiele ważniejsze, zmarnujesz okazję przyjrzenia się jednej z największych uroczystości, jakie ma do zaoferowania ten kraj: zaprzysiężeniu zwykłego śmiertelnika, którego zadaniem będzie od tej pory rozważanie i opiniowanie kwestii dotyczących konstytucji – podstawy i sedna amerykańskiego życia.

–Już dobrze, pojedę – powiedziała Sissy. – I będę się dobrze bawiła. Tylko żartowałam.

John odstawił filiżankę i strzepnął wyimaginowany pyłek z rękawa.

–Nie wydaje mi się, żebyś zdawała sobie w pełni sprawę z wagi Sądu Najwyższego, z jego wyjątkowej pozycji – stwierdził.

–Już dobrze, pojedę – powtórzyła Sissy.

–W ciągu ostatnich czterdziestu lat Sąd Najwyższy wywarł prawdopodobnie większy wpływ na życie zwyczajnych Amerykanów niż wszystkie razem wzięte uchwały Kongresu.

–Pojadę – jęknęła Sissy w udawanej desperacji. – Nie musisz już nic mówić! Pojadę!

Newton, ich lokaj, krocząc pośpiesznie na ugiętych nogach w tę i z powrotem przez elegancko wystrzyżony trawnik, dźwigał cały ich bagaż – sześć walizek Louisa Vuittona i dwa pudła na kapelusze. John stanął w drzwiach i przyglądając mu się z rozbawieniem pomyślał, że wygląda jak Bili Cosby parodiujący Groucho Marxa. Szaro-biały helikopter typu Sikorsky stał w blasku słońca ze zwisającymi w dół łopatami wirnika. Ubrany w jasnoniebieski kombinezon pilot rozmawiał z młodą kobietą w okularach i pogniecionym Inianym garniturze. John rozpoznał w nim Deana McAllistera, nowego zdolnego asystenta z Departamentu Sprawiedliwości.

Kiedy tylko John i Eva pojawili się na ganku, Dean klepnął szybko pilota po ramieniu i ruszył w ich stronę. Był rudy, piegowaty i pulchny. Prokurator generalny nadał mu przydomkiem „JellyBean McAllister”, jego różowa cera miała bowiem dokładnie ten sam odcień co melonowe galaretki Jelly Bellies.

–Moje gratulacje, panie sędzio! – powiedział, ściskając dłoń Johna. – I gratulacje dla pani, pani O’Brien. Co za wspaniały dzień! Nie potrafię wyrazić, jak bardzo się cieszymy razem z państwem.

–Gdyby tylko prezydent był choć w połowie tak zadowolony – uśmiechnął się kwaśno John.

–No nie wiem – odparł Dean. – Nawet prezydent musi rozpoznać dwudziestoczworokaratowy diament, kiedy ten znajdzie się tuż przed jego nosem. Dziś wieczorem będziesz się wspaniale bawić – zwrócił się do Sissy. – Beaumontowie wyprawiają pożegnalne przyjęcie dla Clarissy i zgadnij, kto jest na nie zaproszony? Uwierzyłybyś w to... da-da... sam John Travolta!

–John Travolta? – Sissy zmarszczyła powoli nos. – Musi już mieć chyba z osiemdziesiąt lat.

**Wszyscy się roześmieli.**

**–Tak czy owak – ciągnął Dean – jesteś zaproszona, niezależnie od tego, czy pojawi się tam jeden czy dwu starców. Gotowi państwo? Odlot przewidziano na jedenastą dwadzieścia pięć i jeśli zaraz wystartujemy, będziemy mieli trochę czasu na lotnisku.**

**–Jasne, jesteśmy gotowi – odparł John i odwrócił się do Newtona, który stał tuż za nim dotykając złożoną chusteczką czoła. – Bądź tak dobry i przypomnij Jimmy’emu, że ma podkuć jeszcze raz tego siwka. I pilnuj pracowników, którzy mają oczyścić basen. Ostatnim razem zapchali wszystkie filtry.**

**–Tak jest, proszę pana. Życzę państwu bezpiecznego lotu. Podeszli do helikoptera. Pilot zasalutował sprężyście i wymienił z nimi uścisk dłoni.**

**–Dzień dobry, panie sędzio. Nazywam się Frank Coward. Witam na pokładzie. Frank był opalonym, wysuszonym na wiór mężczyzną z rozszczepionym czubkiem nosa i bez jednego grama zbędnego tłuszczu. Oczy miał przesłonięte zielonkawymi okularami „Ray-Bans”, w których John mógł dostrzec jedynie własne zakrzywione odbicie i białe kolumny portyku. Po wewnętrznej stronie lewego przedramienia pilota biegła długa biała szrama; na koszuli połyskiwał emaliowany znaczek, na którym widniał napis „Semper Fi US Marines”.**

**–Lot na Logan nie powinien nam zabrać więcej niż dziesięć minut – powiedział. – Proszę się odprężyć i podziwiać widoki.**

**Zamknął drzwi helikoptera i pochyliwszy głowę przeszedł do przodu. Usiadł w fotelu, założył swój czerwono-biały kask, sprawdził szybko wskazania na przyrządach, a potem podniósł lewą pokiereszowaną rękę, żeby przestawić przełączniki na panelu nad głową. John i Eva usiedli obok siebie, zagłębiając się w wyściełanych szarą skórą fotelach; Sissy i Dean zajęli miejsca naprzeciwko.**

**–Dziś rano dzwonili z Washington Post – powiedział Dean. – Chcą przeprowadzić analizę wszystkich spraw, w których występowałeś jako obrońca, a także konsultacji, których udzieliłeś na zlecenie Griffina Bella. Zwłaszcza w dziedzinie legislacji oświatowej.**

**–Panie i panowie, ruszamy. Trzymajcie się mocno – oznajmił Frank i włączył dwie turbiny.**

**Silniki zawarczały i zaczęły się obracać łopaty wirnika. John ścisnął Evę za rękę, a helikopter uniósł się nad trawnikiem i prawie natychmiast skręcił w stronę rzeki Charles. Zobaczyli własne, przesuwające się pod nimi skoszone wybiegi dla koni; a potem przechylony obraz oplecionego błyszczącym bluszczem i krytego czerwonymi esówkami domu; i rzekę połyskującą niczym roztopione złoto, tak jasną, że prawie ich oślepiła.**

**–Wieża Logan, tutaj helikopter numer trzy Departamentu Sprawiedliwości – odezwał się, cedząc słowa, Frank. – Idę kursem sześćdziesiąt, wschód-północny wschód, wysokość trzysta dwadzieścia metrów, spodziewany czas przelotu osiem minut piętnaście sekund.**

**Przelecieli nisko nad Highway i prostokątnymi blokami VA Medical Center. Ciężki helikopter przeskakiwał po błyszczących elewacjach.**

–Co o tym sądzisz? – zapytał John. – Mam na myśli Post.

–Po rozważeniu wszystkich za i przeciw – stwierdził, pochylając się do przodu Dean – uważam, że nie powinieneś im w tym pomagać. Jeśli będą chcieli dowiedzieć się dlaczego, powiedz, że mogą cię oceniać na podstawie twoich przyszłych dokonań w Sądzie Najwyższym, a nie starych spraw, w których występowałeś jako obrońca. Prawo opiera się być może na precedensach, ale idzie również naprzód, a ty będziesz człowiekiem, który wprawia je w ruch.

John uśmiechnął się z przymusem.

–Tego chyba najbardziej obawiają się moi krytycy.

–Jasne – potwierdził Dean. – Ale nie zapominaj, co powiedział kiedyś na ten temat przewodniczący Sądu Najwyższego, Charles Evans Hughes: „Konstytucja nie jest niczym więcej niż tym, za co uważają ją sędziowie”. A ty jesteś teraz jednym z tych sędziów.

–Mam być – poprawił go John.

–Znowu dzielisz włos na czworo – orzekła Eva, ściskając jeszcze mocniej jego dłoń.

–John Travolta... – odezwała się Sissy. – Nie mogę się go... nie doczekać!

Mijali właśnie granicę hrabstwa Norfolk, kiedy zupełnie bez ostrzeżenia helikopter zadygotał i przechylił się na prawo. Eva otworzyła usta, a Sissy krzyknęła cicho.

–Frank! – zawołał John. – Co się, u diabła? dzieje?

–Małe zakłócenie w pracy silnika. Nic z czym nie mógłbym sobie poradzić – odkrzyknął Frank.

Przez moment mogło się wydawać, że ma rację. Helikopter leciał dalej do przodu z dużą szybkością, a jednak turbiny wyły i dudniły w sposób, w jaki nie wyły i nie dudniły przedtem.

–Nie wydaje ci się, że powinniśmy wylądować?! – zawołał John. Ale zanim Frank zdążył odpowiedzieć, rozległ się ogłuszający zgrzyt trących o siebie metalowych części i helikopter zatoczył szeroką nie kontrolowaną spiralę, opadając siedemdziesiąt albo sto metrów w dół. John miał wrażenie, jakby jego żołądek został gdzieś wyżej. Złapał się za poręcz fotela i zacisnął dłoń na ręce Ewy. Tuż przed sobą widział twarz Sissy ze ściągniętymi ze strachu mięśniami i poczuł jak usta wypełnia mu letnia kawa i smakująca jak trucizna żółć. Wydawało mu się, że słyszy krzyk Ewy, ale helikopter dygotał i wył tak głośno, że nie sposób było powiedzieć na pewno.

Kiedy myślał już, że rozbiją się o ziemię, Frankowi udało się jakoś wyrównać ogon i zmienić nachylenie łopat wirnika, dzięki czemu odzyskali w ostatniej chwili stateczność. Mimo to cały kadłub niemiłosiernie dygotał, co chwila odzywał się głęboki metaliczny zgrzyt, a za oknami pojawił się gęsty brązowy dym.

–Jezu, Jezu, Jezu! – zawodził Dean, ze ściągniętymi do tyłu jak u ropuchy ustami.

–Rozbijemy się! – piszczała Sissy. – Tato, my zginiemy!

–Frank! Słyszysz mnie, Frank! – wrzeszczał bezradny i przerażony John, wpatrując się w hełm pilota. – Na litość boską, ląduj!

Eva ściskała mocno jego dłoń, a jej ślubna obrączka wbiła mu się w nerw; ale był prawie szczęśliwy, odczuwając ból, bo dzięki temu wiedział, że jeszcze żyje; i

**ponieważ żyje, wciąż ma szansę wyjść z tego cało.**

**Powstrzymując z trudem mdłości i podskakując w fotelu próbował zerknąć przez zalewające szybę strugi gęstego brązowego oleju, żeby zorientować się, gdzie się znajdują. Wydawało mu się, że poznaje Jamaica Pond, a potem Franklin Park. Uświadomił sobie, że zataczają szeroki powolny krąg, kierując się na wschód w stronę morza – albo raczej w stronę Quincy Bay. Zobaczył budynki, wstęgi błyszczącej wody, drzewa, a potem brązowy pas Southeast Expressway. Helikopter opadał i unosił się niczym łódka podczas wysokiego przyboju. Ryk i zgrzytanie silnika były tak głośne, że John wątpił, czy kiedykolwiek jeszcze – jeśli w ogóle przeżyje – będzie normalnie słyszał.**

**Eva przywarła do niego; przywarła do jego marynarki, do jego ramienia. Sissy ścisnęła ramię Deana, wpatrując się z przerażeniem w ciemną plamę, która rozszerzała się w kroczu jego lnianych spodni. John próbował krzyknąć coś do Franka, ale Frank walczył o życie w swoim własnym prywatnym ogłuszającym piekle i nie miał czasu na nic innego.**

**Lecieli teraz tak nisko, że John widział ludzi na ulicach i plażach. Osłaniali dłońmi oczy i wodzili wzrokiem za dławiącym się i krztuszącym, przelatującym nad ich głowami helikopterem. Niektórzy uciekali na bok, najwyraźniej bojąc się, że spadnie wprost na nich. Szybowali poniżej szczytów dachów i linii wysokiego napięcia, ale jakimś cudem udało im się zyskać parę metrów wysokości i minąć piaszczystą wstęgę Wollaston Beach, tak że znaleźli się teraz nad roziskrzonymi wodami Quincy Bay.**

**Przez pochłapaną olejem szybę John widział połyskujące białą żagle i przez moment uwierzył, że jakoś z tego wyjdą: Frank zdoła wylądować łagodnie na morzu i wszystko skończy się dobrze. Wyciągnął rękę i ścisnął mocno dłoń Sissy.**

**–Wyjdziemy z tego – powiedział. – Na pewno wyjdziemy. Wylądujemy na środku zatoki. Trzymaj się, nic nam nie będzie.**

**Dean wpatrywał się w niego przerażony, otwierając i zamykając usta. John odwrócił się do żony, ale Eva przycisnęła prawą dłoń do warg i wyglądała, jakby się modliła.**

**John również zaczął się modlić: Boże, ocal moją rodzinę od śmierci. Boże, tylko ten jeden raz, pozwól nam wszystkim przeżyć.**

**Turbiny wydały ostatnie potworne grrrrrr! – niczym walczący na arenie byk, z którego wypruwają flaki – a potem helikopter opadł po prostu w dół. Uderzył w wodę przy szybkości ponad stu pięćdziesięciu węzłów i John poczuł, jak coś wbija mu się w plecy. Eva krzyknęła wysokim, niesamowitym głosem i przez ułamek sekundy myślał, że to odgłos rozdieranego metalu – że pękł na pół cały kadłub. A potem helikopter podskoczył w górę i uderzył w coś o wiele twardszego od morza. Okno po stronie Johna stłukło się i w twarz uderzył go strumień słonej morskiej wody.**

**Jezus! Czy nigdy nie przestaną podskakiwać i opadać w dół, toczyć się i znowu odbijać w górę? John zobaczył morze, słoneczne niebo, podrygującą rozmazaną różową plamę, która była twarzą Sissy, i drugą, która była ręką Deana.**

**–O Boże! O Boże! Wszyscy zginiemy! Wszyscy zginiemy! Wszyscy zginiemy! –**

nie przestawała krzyczeć Eva.

Helikopter nagle znieruchomiał, przekrzywiony o sześćdziesiąt pięć stopni, niczym baseballista, który zatrzymał się w pół obrotu na trzeciej bazie i pochyła się, i chwieje, wciąż pełen impetu, wciąż pełen rozmachu. A potem wyprostował się z głuchym łoskotem, osiadając na piasku i w tej samej chwili podłoga wybrzuszyła się i bezlitośnie ścisnęła ich stopy pod siedzeniami, gdzie wsadzili je, szukając iluzorycznego bezpieczeństwa. John poczuł, jak jego pięty wbijają się w aluminiowy stelaż, w którym znajdowała się kamizelka ratunkowa. A potem z trzaskiem podobnym do wystrzału z pistoletu pękły równocześnie kostki całej czwórki i wszyscy wrzasnęli z bólu, wlepiając w siebie przerażony wzrok.

Przez chwilę słyhać było tylko szum przyływu, żalosne zawrodoenie wiatru i nieregularne cykanie stygnącego metalu. Cała kabina śmierdziała ropą, ale dym wydawał się przersedzać i nie słyhać było trzasku ognia. Eva wciąż trzymała Johna za rękę.

–Boże, o Boże, John, o Boże... – szeptała.

Miała poszarzałą twarz i pokaleczone czoło. Dean trzął się cały i jęcząc z bólu masował bez przerwy kolana. Sissy wpatrywała się szklanym wzrokiem prosto przed siebie i John domyślił się, że jest w szoku.

Jego samego stopy paliły żywym ogniem. Nigdy w życiu nie doznał takiego bólu, nawet kiedy w ubiegłym roku spadł podczas gry w polo ze swego kuca i zwichnął sobie bark. Każdy nerw w jego kostkach pulsował i rwał i gdyby ktoś zapytał go w tej chwili, czy chce, żeby amputowano mu stopy, zapłaciłby, aby to zrobiono.

–O Boże, John – załkała Eva. – Mam chyba złamane obie kostki.

–Mamy chyba wszyscy złamane kostki – odparł. – Miej oko na Sissy. Jest w szoku.

–Gdzie jesteśmy? – zapytał dziwnie stłumionym głosem Dean, przyglądając się zamglonym wzrokiem morzu. – Wydawało mi się, że lecieliśmy nad zatoką.

–Lecieliśmy – przyznał John. – Ale musieliśmy się rozbić na Nantasket Beach. To coś w rodzaju mierzei, która wrzyna się w morze.

–Uda im się do nas dotrzeć, prawda...? Mam na myśli ekipy ratownicze.

–Jasne – odparł John, drżąc z bólu. – Nie martw się, wyjdziemy z tego. Zaraz tu będą.

–Co się stało z Frankiem? – zapytał go Dean. – Myślisz, że udało mu się zawiadomić ich przez radio?

John przechylił się parę centymetrów w fotelu. Tyle mógł się wychylić, zanim ból w kostkach stał się wprost nie do zniesienia. Zobaczył hełm i fragment odzianego w niebieską koszulę ramienia.

–Frank! – zawołał z desperacją. – Nic ci się nie stało, Frank? Na litość boską, mamy uwięzione pod siedzeniami nogi!

Pilot nie odpowiadał.

–Może stracił przytomność – zasugerował Dean.

–Może – zgodził się John. Po nienaturalnej pozycji, w jakiej znajdowała się głowa Franka, wnosił, że mógł on stracić coś więcej niż przytomność. Wyglądało na to, że

miął złamany kark. Ale John nie chciał straszyć Evy, a i sam cierpiał zbyt olbrzymi ból, żeby chcieć spekulować na ten temat. Jeśli o niego chodziło, najważniejszą sprawą było podniesienie foteli, tak żeby osłabił ucisk na ich złamane kostki i żeby zdołali wyczołgać się na zewnątrz.

Wyczołgać się, a nie wyjść. O chodzeniu nie mogło być nawet mowy. Czuł, jak połamane kości ocierają się o skórę niczym kawałki szkła w stłuczonym słoiku z marmoladą.

–Słyszysz mnie, John? – zapytała z niezwykłą u niej nutą rezygnacji w głosie Eva. – Nie mogę tego znieść. Tak strasznie mnie boli.

–Wszystko będzie dobrze, kochanie – zapewnił ją. – Ekipy ratownicze zaraz tu będą. Nie myślisz chyba, że pozwolą długo tkwić swemu świeżo mianowanemu sędziemu na Nantasket Beach? – Skrzywił się, czując w ustach metaliczny, kwaśny smak. Udało mu się odwrócić od Evy i wypluć krew na fotel. Od uderzenia w plecy musiało mu pęknąć kilka żeber, być może nawet miał przebite płuca.

–Chyba że się prędzej spalimy – powiedział Dean. Smród ropy był coraz silniejszy i John widział unoszące się z wiatrem kłęby dymu. – Nie zniósłbym, gdybyśmy mieli spłonąć żywcem.

–Wszystko będzie dobrze – zapewnił John. – Nic złego się nam nie stanie.

–Widziałem raz faceta, który spalił się w volkswagenie na autostradzie Rockville Pike. Nigdy nie chciałbym więcej oglądać czegoś takiego. Chłopak był cały czarny, jak befsztyk.

Dean mówił raz cienkim, raz grubym głosem i John domyślił się, że on także znajduje się w szoku. Sissy postawiła oczy w słup i z trudem łapała powietrze.

–Na litość boską, jak długo to jeszcze potrwa! – zawołał, nie zwracając się do nikogo w szczególności. Niemal w tej samej chwili w pustym oknie ukazał się cień mężczyzny.

–Hej! – wykrzyknął John. – Hej! Jesteśmy tu w środku! Cień ponownie minął okno. Chociaż oślepiały go odbite od morza promienie słońca, John zdołał dostrzec, że mężczyzna ma na sobie długi czarny płaszcz. Chwała Bogu; to musiał być strażak z ekipy ratowniczej.

–Hej! – zawołał chrapliwym głosem. – Hej, jesteśmy tutaj wszyscy! Jesteśmy uwięzieni! Na miłość boską, czy może nas pan stąd wydostać?

Przez dłuższy czas nie było żadnej odpowiedzi. John słyszał w oddali syreny, sześć albo siedem zawodzących zgodnym chórem syren. Ból w kostkach stał się tak dotkliwy, że czuł pulsującą aż do ud krew, a oczy zasnuła mu szkarłatna mgiełka. Nie trać teraz przytomności – rozkazał sam sobie. – Potrzebuje cię twoja rodzina, potrzebuje cię Dean, potrzebuje cię twój kraj.

Usłyszał, jak ktoś odciąga fragment okiennej ramy. A potem w stłuczonym oknie pojawił się chudy, ciemny mężczyzna. Był ostrzyżony na jeża i miał intensywnie czarne przeciwsłoneczne okulary. John nie mógł się oprzeć niezwykłemu i dziwacznemu wrażeniu, że go poznaje – ale brało się ono prawdopodobnie z olbrzymiego poczucia ulgi, że przeżyli kraksę helikoptera i ktoś ich w końcu stąd wyciągnie.

Mężczyzna wybił ostatnie kawałki pleksiglasu obcasem swego wysokiego, czarnego, sznurowanego buta. Okno było zbyt wąskie, żeby przez nie przejść, wsadził więc ostrożnie głowę do środka i pociągając od czasu do czasu nosem, jakby węszył, rozejrzał się po kabinie.

–Mamy unieruchomione kostki – poinformował go John. – Wygięła się podłoga. Ktoś musi podnieść te fotele... podważyć je łomem albo czymś w tym rodzaju. Czy może się pan pośpieszyć? Moja córka jest w fatalnym stanie.

Mężczyzna wytarł nos wierzchem odzianej w czarną rękawiczkę dłoni.

–Pan sędzia O'Brien? – zapytał cichym, lekko zduszonym głosem, w którym słyhać było wyraźny akcent z pomocnego wybrzeża.

–Tak, nazywam się O'Brien. To jest moja rodzina. Szybciej, proszę. Niech pan nas stąd wydostanie tak szybko, jak pan może.

Mężczyzna rozglądał się jeszcze przez chwilę, przypatrując się sufitowi i podłodze.

–Potrzebne będą nożyce do ciecia metalu – oświadczył w końcu z powagą, niczym malarz, który nie może się zdecydować, jakiego rodzaju farby użyć do elewacji.

–Co pan sobie tylko życzy – odparł John. – Aby nie trwało to zbyt długo. – Poczł krew spływającą mu po podbródku i kapiącą na kołnierzyk koszuli. Odkasznął i zaraz tego pożałował, bo zabolalo go w piersi, a w ustach pojawilo się jeszcze więcej krwi.

Mężczyzna ostrożnie wycofał głowę z okna i zniknął z powrotem w słonecznym blasku.

Eva pociągnęła Johna za rękaw.

–Co się dzieje? – zapytała. – Co on robi? Nie może nas stąd wydostać?

–Musi wyciąć dziurę w kadłubie.

–O Boże, John, jak mnie bolą nogi! Nie mogę tego wytrzymać. Gdzie są pielęgniarze?

Dean w ogóle się nie odzywał. Miał szkliste oczy, poszarzałe policzki i łapał krótkimi, płytkimi haustami powietrze. Czekali wszyscy w udręce, która wydawała się trwać całą wieczność. Dokąd poszedł ten mężczyzna? Co teraz robi? Dlaczego nie stara się ich uwolnić? I gdzie są pozostali strażacy i pielęgniarze, gdzie są kroplówki, maski tlenowe i środki znieczulające?

John zamknął oczy i pomyślał, że za chwilę chyba umrze. I jednocześnie zdał sobie nagle sprawę, że gdzieś na samym skraju świadomości czeka na niego „pan Hillary”. Czekają przyczajony, niczym gnieźdzący się bez ruchu w środku wyschniętego orzecha szary żuk, gotów umknąć przy najmniejszym poruszeniu.

A więc jesteś tutaj, ty sukinsynu – rozmyślał. – Byłeś na początku, a teraz zjawiasz się na samym końcu. Mam tylko nadzieję, że kiedy umrę, ty umrzesz razem ze mną. Za coś takiego niemalże warto oddać życie.

Powoli tracił przytomność, tak jakby staczał się po szarym, śliskim zboczu w szare, śliskie wody cichego kanału.

Może tak będzie lepiej – po prostu zasnąć. Jeśli zaśnie, przestaną boleć go kostki. Stanie przed Sądem Najwyższym, żeby złożyć przysięgę i wszystkie

wydarzenia tego poranka okażą się tylko złym snem.

Nagle poranne powietrze rozdarł donośny zgrzytliwy warkot, głośniejszy od uruchomianego motocykla, i zaraz potem w oknie helikoptera ukazał się ten sam mężczyzna, trzymając w rękach wielkie błyszczące stalowe nożyce, przypominające w groteskowy sposób dziób olbrzymiej papugi.

–Co to jest? – zapytał John. – Co to jest, do diabła? Hydrauliczny dziób papugi otworzył się z sykiem, odsłaniając powoli dwa rzędy karbowanych stalowych zębów. Mężczyzna spojrział na Johna i uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. A potem z niewątpliwym znanstwem umieścił szczęki w dolnym rogu okna, przekręcił uchwyt i nożyce przecięły ramę z odgłosem, jaki wydaje zgniatana puszka coca-coli. Mężczyzna rozluźnił szczęki, wsunął je dalej i ponownie przekręcił uchwyt. Pracował szybko i w czasie krótszym od minuty wyciął cały bok kadłuba. Kabinę wypełniły podmuchy bryzy i jaskrawe słoneczne światło. Nieznajomy wspiął się do środka, dźwigając w lewej ręce nożyce.

–Miał pan szczęście, że pan tutaj wylądował, panie O'Brien – powiedział. – Jesteśmy na samym czubku Sagamore Head, przy Nantasket Beach. Gdyby pan się rozbił piętnaście metrów dalej, do tej pory już by pan utonął.

John zadrżał, zazgrzytał zębami i kiwnął głową.

–Czy to długo potrwa? Pierwszą niech pan uwolni moją córkę, a potem żonę.

–Najpierw musimy się zorientować, co jest grane – odparł mężczyzna i posłał mu z ukosa krótki, niewyraźny uśmieszek.

–Proszę, niech się pan pośpieszy – poprosił go John. Dean zaczął cicho zawodzić, a potem się rozkaszał.

–Przyjrzyjmy się najpierw pilotowi – powiedział mężczyzna. Pochylił głowę i ciągnąc za sobą gruby kabel przeszedł do kokpitu. Zajrzał Frankowi w twarz i poklepał go po policzkach. – Wciąż żyje – oznajmił. – Ale nie pociągnie długo i musi teraz straszliwie cierpieć. Ajaj, powinien pan zobaczyć jego nogi, panie O'Brien. Roztrzaskane na miazgę. – Przez kilka chwil przyglądał się Frankowi w zamyśleniu.

John zupełnie nie potrafił się domyślić, co się kryje w oczach osłoniętych czarnymi szklami okularów.

–Nie znoszę patrzeć, jak ktoś cierpi – oświadczył w końcu nieznajomy. – A pan, panie O'Brien? Pan też nie znosi patrzeć, jak ktoś cierpi?

Johnowi latały przed oczyma szare i szkarłatne plamy. Skwapliwie kiwnął głową. Zrobiłby wszystko, żeby z tym skończyć. Wszystko, żeby wydostać stąd Evę i Sissy.

–Znakomicie – powiedział mężczyzna. Podniósł hydrauliczne nożyce i umieścił ostrożnie ich szczęki po obu stronach czerwono-białego hełmu Franka.

–Uwierzy pan, jakie szczęście? – zdumiał się. – Pasują prawie idealnie. Maksymalny rozstęp między tymi szczękami wynosi dwieście sześćdziesiąt siedem milimetrów, a ten hełm nie ma więcej niż dwieście sześćdziesiąt trzy.

John nie spuszczał z niego wzroku. Trudno mu się było skoncentrować.

–Co pan robi? – zapytał z wypełnionymi krwią ustami.

–Słyszał pan kiedyś o skracaniu komuś cierpień? – odpowiedział pytaniem mężczyzna. – Niech pan nie udaje, jest pan przecież prawnikiem; i to jednym z



najlepszych. Powinien pan wiedzieć wszystko o łasce. Na przykład to, że „łaska nie jest czymś, co można wymusić; ona spada z nieba niczym delikatne krople deszczu”.

–Co pan, u diabła, robi? – wrzasnął na niego John. Słyszał teraz niezliczone głosy syren, dobiegające z o wiele bliższej odległości, co odnowiło w nim nadzieję, że mimo wszystko wyjdą z tego żywi. Po prostu nie mógł zrozumieć tego dziwnie wyrażającego się ekscentryka w czarnych okularach, z jego olbrzymimi, przypominającymi papuzi dziób nożycami, to wszystko.

Mężczyzna podniósł w górę nożyce, jakby czytał w jego myślach.

–To wielozadaniowy ciężki model Holmatro 2009 U, używany do wszelkiego rodzaju akcji ratunkowych – wyjaśnił tonem, jakim mógłby tłumaczyć małemu chłopczykowi zasadę działania lokomotywy. – Może przeciąć dwudziestopięciomilimetrowe okrągłe stalowe pręty, grube metalowe płyty i blachę. Jest produkcji holenderskiej, ale używają go strażacy na całym świecie, bo nie ma po prostu lepszego sprzętu. „Szczęki życia”, tak nazywają je ludzie z ekip ratowniczych. Ale najbardziej pewnie interesuje pana, jaka jest ich siła zgniatania... no, niech pan zgadnie.

–Na litość boską, proszę nas stąd wyciągnąć – jęknął John. Zauważył, że powieki Sissy lekko trzepoczą i modlił się, aby nie odzyskała przytomności i nie zaczęła odczuwać bólu.

–Trzydzieści ton – uśmiechnął się tamten triumfalnie. – Trzydzieści pieprzonych ton.

–Co takiego? – zapytał załamującym się głosem John.

–Muszę tylko przekręcić ten uchwyt i ten biedny cierpiący katusze pilot zobaczy, jak to jest, kiedy człowiekowi najeżdża na łeb trzydziestotonowa ciężarówka.

–Na miłość boską, niech pan przestanie! – załkał John. Nie zostało w nim ani trochę woli walki, czuł się zupełnie bezsilny.

Mężczyzna uniósł głowę i przez chwilę przysłuchiwał się szumowi morza i zbliżającym się syrenom.

–Ma pan rację – przyznał. – Straszny ze mnie grzebuła, prawda? Kiedy to powiedział, przekręcił bez cienia emocji uchwyt i John zobaczył, jak twardnieje podłączony do nożyc kabel. Grube metalowe szczęki zwały się natychmiast na hełmie pilota i rozległ się wysoki kruchy trzask. Zawartość głowy Franka ochlapała tablicę rozdzielczą niczym rzucone do zlewu śliskie wnętrzności wypatroszonej ryby. Trwało to zaledwie ułamek sekundy, ale przez ten ułamek sekundy John zdążył dostrzec fruujące w powietrzu strzępy błyszczącej tkanki mózgowej, kawałki zakrwawionych mięśni i okruchy żuchwy – wszystko oplecione siecią włóknistych błon.

Mężczyzna stał przez chwilę bez ruchu, a potem rozluźnił uchwyt nożyc i zdjął je z hełmu, który miał teraz kształt dziwnie załamanego owalu, przypominającego dwa przyciśnięte do siebie talerze.

–No widzisz, chłopie. Nie będziesz już musiał pełzać z głową przy ziemi – powiedział, klepiąc Franka po ramieniu. Wydał z siebie wysokie astmatyczne sapnięcie, które nawet półżywy z bólu John mógł zinterpretować jako śmiech, a

potem wgramolił się z powrotem do kabiny. Spojrzał na Deana i Sissy, na Evę i w końcu na Johna.

–Niech pan posłucha – wyszeptał O'Brien. – Może pan mieć wszystko, co pan chce. Może pan mieć tyle pieniędzy, ile pan wymieni.

Miliony dolarów. Jestem bogaty, mam mnóstwo papierów wartościowych. Nie powiem nikomu, jak pan wygląda i co się tu stało.

–Nie chwyta pan sedna sprawy, panie O'Brien – stwierdził nieznajomy pociągając nosem.

–No więc dobrze, na czym polega cholerne sedno sprawy?

–Nie wie pan, na czym polega cholerne sedno sprawy? Dlaczego nie spróbuje się pan nad tym chwilę zastanowić? Jest pan w końcu inteligentnym człowiekiem. – Postukał się palcem w czoło. – Ma pan wszystko, czego trzeba, żeby wspiąć się na samą górę. A w czasie kiedy pan się będzie zastanawiał... będziemy kontynuować.

Wsunął się między nich i pochylił nad Deanem. John próbował pociągnąć go drżącą ręką za czarny płaszcz, ale mężczyzna odwrócił się nagle bez ostrzeżenia i uderzył go wierzchem otwartej dłoni w policzek. O'Brien pozostał tam, gdzie był, prawie oślepy z bólu. Nieznajomy odwrócił się z powrotem do Deana.

–No, przyjacielu – powiedział. – Uwolnimy teraz twoje nogi. Wszystko będzie dobrze.

Dean wpatrywał się w niego zdumionym wzrokiem. Ponieważ siedział tyłem do kokpitu, nie widział, co rzekomy ratownik zrobił z głową Franka.

Mężczyzna otworzył podobne do papuziego dziobu szczęki nożyc, umieścił je po obu stronach prawego uda Deana i oparł na wysokości jego kamizelki. Uśmiechnął się szeroko do Deana, który odwzajemnił uśmiech. Mój Boże – pomyślał John. – On mu zaraz odetnie prawą nogę.

Dean wyciągnął rękę i poklepał swego zbawcę po ramieniu.

–Strasznie bolą mnie kostki – wyszeptał.

–Jeszcze tylko przez chwilę, obiecuję to panu – zapewnił go tamten i przekręcił uchwyt nożyc. Siła trzydziestu hydraulicznych ton zmiażdżyła z cichym trzaskiem prawe udo Deana. Mężczyzna rozwarł szczęki i podniósł w górę nożyce.

Dean był w stanie takiego szoku, że w pierwszej chwili w ogóle nie zrozumiał, co się stało. Jego beżowe płócienne spodnie zalała krew, ale przecież wciąż siedział na fotelu, a prawa noga wciąż była na swoim miejscu, tuż przed nim. Nie spuszczać wzroku z osobnika w czarnym płaszczu otworzył szeroko usta.

–Co...? Co...? – wyjąkał.

Ale mężczyzna po prostu się uśmiechnął i założył szczęki na jego lewe udo. Przekręcił uchwyt i przeciął skórę, mięśnie i kości z nie większą trudnością, niż gdyby to był krakers z serem.

Dean krzyknął.

–Dlaczego krzyczysz? – zapytał tamten, klepiąc go po twarzy. – Możesz przecież teraz już sobie iść. Zeskakuj z fotela i zmykaj.

Mówiąc to popchnął go otwartą dłonią i Dean stoczył się z siedzenia, migając w powietrzu dwoma krwawymi kikutami, niczym żonglujący świeżo ukrojonymi

kawałkami mięsa prestidigitator. Wszędzie lała się krew; gęste strumienie tryskały na wszystkie strony z otwartych tętnic, a Dean wił się, szamotał i krzyczał na podłodze kabiny – Dean, nie będący teraz niczym więcej niż wymachującym ramionami, pozbawionym nóg kadłubkiem, którego nogi spoczywały ustawione równo obok siebie na zakrwawionym siedzeniu.

Mężczyzna odepchnął go na bok swoją odzianą w wysokie buty stopą. Głowa Deana wsunęła się częściowo pod fotel i leżał tam tuż obok własnych butów, trzęsąc się, wijąc i umierając wprost na oczach Johna. Przerazający ratownik odwrócił się powoli do jego żony. Eva milczała teraz, ale John trzymał ją za rękę i czuł, jak cała drży – dosłownie cała, od stóp do głów.

–Nie zabijaj mnie – poprosiła. Mężczyzna potrząsnął głową.

–Jeżeli chcesz, mogę się pomodlić za twoją duszę. Ale to jedyne ustępstwo, na jakie jestem przygotowany.

John łkał teraz całkiem otwarcie. Nie mógł się powstrzymać.

–Nie dotykaj jej, proszę! – błagał załamującym się głosem. – Kocham ją, nie dotykaj jej.

–Muszę zobaczyć, z czego są zbudowane takie damy, nie rozumiesz? – powiedział mężczyzna.

Otworzył maksymalnie szeroko nożyce, a potem wsunął dolne ostrze głęboko między nogi Ewy, poruszając nim nieprzyzwoicie w lewo i prawo, żeby upewnić się, że weszło tak daleko, jak to możliwe. Na wewnętrznych i zewnętrznych krawędziach szczęki zaopatrzone były w zęby, które rozdarły jej spódnicę i rajstopy i poszarpały skórzane obicie fotela. Końcówkę górnego ostrza mężczyzna oparł o bladożółty żakiet Ewy, tuż pod jej klatką piersiową.

Eva ścisnęła dłoń Johna w spazmie przerażenia. Była tak przestraszona, że nie mogła nawet krzyżeć. O'Brien nie spuszczał oczu z mężczyzny.

–Kimkolwiek pan jest, ostrzegam: jeśli tylko dotknie pan mojej żony... – powiedział najbardziej stanowczym i groźnym tonem, na jaki potrafił się zdobyć.

I na tyle tylko było go stać. Wiedział, że cokolwiek powie, tamten i tak zrobi swoje. Wszelkie groźby nie miały sensu. Wszelkie prośby o litość przysporzyłyby im tylko więcej upokorzeń w tym, co i tak już było totalnym koszmarem. Mężczyzna uśmiechnął się do Johna z udawanym żalem, a potem przekręcił uchwyt i ostrze zniknęło w brzuchu Ewy, miażdżąc jej miednicę i otwierając żołądek niczym szkarłatny podróźny sakwojaż. Śliskie wnętrzności wypadły Ewie na kolana; wpatrzyła się w nie ze skrajnym przerażeniem, zdumiona, że tak właśnie wygląda wnętrze jej ciała.

John nie miał siły się odezwać, nie miał siły, aby na nią spojrzeć. Czuł, jak powoli kurczy mu się mózg. Ale wciąż ścisnął dłoń Ewy, a ona ścisnęła jego. Odbierał każde jej drżenie i każde szarpnięcie, kiedy ich prześladowca z niesamowitą szybkością obsługiwał swoje nożyce. Słyszał, jak mężczyzna oddycha chrapliwie przez usta, unosząc ostrze wyżej i przecinając Ewie mostek. Kiedy otworzył jej klatkę piersiową, John usłyszał westchnienie żony i nie mógł się powstrzymać, żeby nie spojrzeć. Jej płuca, okrwawione i rozszerzone ostatnim rozpaczliwym oddechem, kołysały się w

mrocznej przestrzeni niczym zawieszona na drzwiach szafy wypełniona ciepłą wodą termofory.

A potem mężczyzna wbił papuzi dziób swoich nożyc w ciemny i krwawy tunel tchawicy, po czym przeciął szyję i rozłupał żuchwę. Na koniec umieścił dolne ostrze pod podniebieniem, a górne na czubku głowy, w miejscu, gdzie znajdował się przedziałek, i jednym starannie obliczonym cięciem przeciął na pół czaszkę. Ręka Evy leżała bezwładna i John musiał ją w końcu puścić. Nie był w stanie na nią spojrzeć, naprawdę nie był w stanie, ale słyszał kleisty odgłos, z jakim odsunęły się od siebie połówki czaszki, i nie mógł nie wdychać przypominającego proch strzelniczy, musującego zapachu ludzkich wnętrzności.

Mężczyzna stanął tuż przed nim.

–Spójrz na mnie! – rozkazał.

John podniósł głowę, mrugając powiekami, niczym oczekujący chłosty pies.

–Po prostu skończ z tym – wyszeptał.

–Wciąż nie chwyta pan sedna sprawy, prawda? – zapytał mężczyzna. – Facet, którego tutaj widzimy, dziś rano uważał się za niezłego spryciarza, prawdziwego człowieka sukcesu. Ale jak sprytny potrafi być ktoś, komu ucięto obie nogi? Ta dama jeszcze dziś rano myślała, że jest bogata, piękna, lepsza od innych i naprawdę wyjątkowa... a co widzimy zajrzawszy do środka? Krew, flaki, wątrobę... jeden wielki pieprznik. To samo, co u wszystkich.

Zrobili z pana sędziego innych ludzi, panie O'Brien. Dali panu władzę nad milionami śmiertelników, milionami ludzkich losów. I wie pan co? Moim zdaniem byłby z pana bardzo dobry sędzia Sądu Najwyższego: uczciwy, bezinteresowny i prawy. Ale teraz zamierzam sprawdzić, jak uczciwy, bezinteresowny i prawy jest pan naprawdę.

–Co to znaczy? – zapytał żałośnie John, puszczając z ust krwawe bańki.

Prześladowca pochylił się niżej, tak że jego blada dziobata twarz wypełniła całe zasnutę mgiełką bólu pole widzenia Johna. O'Brien prawie uwierzył, że jeśli tamten przysunie się jeszcze bliżej, cała jego dusza zniknie w bezdennych czarnych dziurach ciemnych okularów.

–Sam pan słyszy – powiedział cicho mężczyzna. – Policja, karetki pogotowia i straż pożarna są coraz bliżej. W związku z tym mam czas zająć się tylko jednym z was... panem albo pańską córką.

–Nie... nie rozumiem. – W rzeczywistości rozumiał, tylko nie chciał tego przyjąć do wiadomości.

–Więc niech pan się skoncentruje, panie O'Brien. Proszę, żeby wydał pan werdykt. Na tym właśnie polega pańska praca, nieprawdaż, na wydawaniu werdyktów? Mam czas zająć się tylko jednym z was, zatem jedno z was umrze, a drugie będzie żyło. Musi pan dokonać wyboru.

–Ty przeklęty maniaku! Ty śmieciu! Jeśli dotkniesz choć jednym palcem mojej córki... – John zakrzuszył się krwią.

–No, no... Nadal nie chwyta pan sedna sprawy, panie O'Brien. Dokonujemy teraz porównania pomiędzy całkowicie niewspółmiernymi wartościami ludzkiego życia. Nie

**jesteśmy przecież wszyscy równi, chyba pan o tym wie. Postawmy sprawę w ten sposób: jeśli pan przeżyje, obejmie pan urząd w Sądzie Najwyższym i wywrze wpływ na życie wszystkich obywateli Stanów Zjednoczonych. Nie tylko teraz, ale być może nawet w ciągu kilku nadchodzących stuleci. Wpłynie pan na bieg historii. Z drugiej strony, jeśli pan umrze, co zrobi ze swoim życiem pańska córka? Będzie balować, aż przepuści cały spadek po starym? Będzie zażywała drogie narkotyki? Wyjdzie za jakiegoś bogatego bubka z Newport i wyda na świat paru małych bubków, dla których dziadek to tylko nic nie znaczący napis na nagrobku? – Przerwał na chwilę i na jego ustach pojawił się drapieżny uśmiech.**

**–Wszystko zależy od pana, ekscelencjo. Może pan dokonać wyboru. Ale niech się pan lepiej pośpieszy, w przeciwnym razie zrobię to za pana.**

**Przez krótką dramatyczną chwilę John prawie dał się przekonać argumentom mężczyzny. Jeśli teraz umrze, razem z nim umrą wszystkie radykalne idee, które od dawna zamierzał wprowadzić w życie. W Ameryce istniało wiele społecznych i prawnych niesprawiedliwości, które domagały się reformy. Na każdym szczeblu drabiny społecznej pieły się przesady, dyskryminacja, korupcja i arogancja. Pierwsza poprawka wykorzystywana była przez bigotów, politycznych doktrynerów i ludzi nietolerancyjnych, a uczciwy człowiek mógł zwrócić się do narodu, tylko gdyby wykupił za grube miliony czas antenowy. On mógł sprawić, że wszystko to się zmieni. Może tylko w dziesiątej części, ale jednak. A co zrobi Sissy, jeśli przeżyje? Mężczyzna był przerażająco przenikliwy. Sissy przepuści wszystkie jego pieniądze; przepuści dom i cały spadek, a biblioteka, której zapach był jak sama esencja sprawiedliwości, zostanie sprzedana, rozproszona i ogołocona.**

**Wszystko to przeleciało Johnowi przez głowę zaledwie w ułamku sekundy. Ale podobnie jak okruch rozbitego zwierciadła z Królowej Śniegu, który wpadł do oka chłopcu i zniekształcił jego widzenie – ten ułamek sekundy sprawił, że o mało nie oszalał ze wstydu. Sissy była jego córką. Sissy była jego dzieckiem. Tak bardzo przypominała Evę. A mimo to zdradził ją w ostatniej minucie swego życia.**

**–Weź mnie – powiedział grubym, niewyraźnym głosem.**

**–Co? – zapytał mężczyzna.**

**Syreny wyły teraz całkiem niedaleko i zrywał się wiatr.**

**–Weź mnie – powtórzył John.**

**–Pański wybór, ekscelencjo – odparł tamten.**

**Stanął z boku, położył prawą rękę między łopatkami O'Briena i pchnął go silnie do przodu, tak że głowa sędziego znalazła się dokładnie między kolanami. A potem umieścił ostrza swoich nożyc po obu stronach karku ofiary.**

**John próbował nie myśleć zupełnie o niczym. Nie potrafił zdobyć się na modlitwę. Zobaczył z drobiazgową dokładnością wyścielający podłogę helikoptera szary dywanik z błyszczącą czarną plamą po gumie do żucia i rokokowymi wzorami, które utworzyła lejąca się z tętnic Deana krew. Czuł drapiące go po karku metalowe zęby, ale było to zwykłe otarcie skóry, nic więcej. Zobaczył sunący po dywaniku cień chmury, a może dymu.**

**A potem zasyczały hydrauliczne nożyce i całe jego istnienie wybuchło w**

**oślepiającym białym bólu; coraz bielszym, bielszym i bielszym – i usłyszał jeszcze, naprawdę usłyszał, stukot własnej uderzającej o podłogę głowy.**

**Nie usłyszał jednak, jak nożyce przecięły z trzaskiem aluminiowe wsporniki fotela Sissy; ani jak mężczyzna wygramolił się z helikoptera; ani zawodzących syren i krzyków, które rozległy się wkrótce potem.**

**Nie usłyszał także stłumionego huku, kiedy paliwo zajęło się od iskry i helikopter eksplodował w olbrzymim balonie ognia.**

## ROZDZIAŁ II

Słyszając delikatne pukanie do drzwi gabinetu Michael natychmiast odłożył na bok egzemplarz czasopisma Mushing i wstał ze skórzanej kanapy. Kiedy Jonas otworzył drzwi i wszedł do środka, jego ojciec siedział już przy swoim biurku obok okna, opierając głowę o dłoń i gryzmołając coś w notatniku, tak jakby zajmował się tym od wielu godzin.

Nie przestał pisać, kiedy Jonas podchodził do biurka. Chłopiec stąpał cicho po podłodze, wiedząc, że tato jest zajęty i nie lubi, żeby przerywać mu bieg myśli. Chudy, grzeczny, obdarzony wysublimowanym poczuciem humoru i jak na swoje trzynaście lat dość wysoki, miał przypominające szczotkę krótko przycięte włosy, lekko odstające uszy i okulary w czarnych oprawkach, pod którymi kryły się najbardziej urzekające, przejrzyste jak dwa jeziora błękitne oczy. Na jego koszulce wypisane było czerwonymi literami hasło „Dysleksja jest w porządku”.

–Tak, Jonas, o co chodzi? – zapytał z wystudiowaną powagą Michael, obracając się do niego w swoim obitym wytartą skórą kapitańskim fotelu.

–Na dworze stoi facet, który chce się z tobą widzieć – poinformował go Jonas.

–Facet, powiadasz? – zainteresował się Michael. – Powiedział, czego chce? Jonas wzruszył ramionami.

–Nie. Zapytał tylko, czy pan Rearden jest w domu. Michael odchylił się do tyłu i postukał w zęby długopisem.

–Czy wspomniał, że jest z firmy zabawkarskiej?

–Nie.

–Spodziewam się kogoś z firmy zabawkarskiej. Widzisz te wszystkie rzeczy na moim biurku? Wszystkie te setki małych karteluszków?

To jest to, czyli mój najnowszy pomysł na zrobienie dużych pieniędzy. Projekt X. Jonas spojrział kątem oka na stosy mniejszych i większych kartek, a także przysłane pocztą reklamy, wycinki z gazet i wyrwane z czasopism artykuły, które szeleściły cicho w podmuchach wiejącego przez na pół uchylone okno wiatru.

–Masz zamiar opracować nową metodę wtórnego wykorzystania papieru? – zapytał.

–Wtórne wykorzystanie papieru! – Michael wyciągnął rękę i udał, że daje mu pstryczka w nos. – A to dopiero! – Obrócił się z powrotem przodem do biurka i podniósł notatnik. – To jest, przyjacielu, pierwsza poważna zgadywanka od czasu trivial pursuit. Zarobimy na tym miliony. Nie, okłamałem cię, całe miliardy. W przyszłości będą wymieniali tę grę jednym tchem razem z monopoly i scrabble. Ty i ja będziemy wtedy mieszkać w Palm Beach, opływając w luksusy, jeżdżąc najnowszymi modelami lamborghini i podrywając wszystkie babki, które damy radę obsłużyć. To znaczy, wszystkie babki, które ty dasz radę obsłużyć. Ja jestem całkiem szczęśliwy z twoją mamą.

–Wydaje się to trochę skomplikowane – stwierdził Jonas zmierzwszy poważnym wzrokiem bałagan na biurku.

–Jasne. Teraz wydaje się to skomplikowane. – Michael zrobił mądrą minę. – Ale zastanów się. Zanim złożą do kupy zegarek, on też wydaje się trochę

skomplikowany, prawda? Wszystkie te małe kółka i sprężynki. Kiedy wszystko uporządkuję – powiedział, składając razem kilka papierów – to też będzie o wiele mniej skomplikowane.

–Facet powiedział, że naprawdę chce się z tobą zobaczyć.

–Aha, facet. Mówił, jak się nazywa?

–Chyba Rocky Woods. Michael nagle spoważniał.

–Rocky Woods? Tak powiedział?

–Dokładnie brzmiało to tak: „Muszę zobaczyć się z twoim ojcem. Zapytaj go, czy pamięta Rocky Woods?”

Michael zakrył usta dłonią i przez chwilę się nie odzywał. Tylko oczy zdradzały, co dzieje się w jego umyśle. Skakały szybko na boki, tak jakby czytał wiadomości z telepromptera albo przypominał sobie szczegółowo – bardziej szczegółowo, niż czyni to większość ludzi – coś, co wytrąciło go kiedyś z równowagi.

–Tato? – zapytał Jonas. – Dobrze zrobiłem? Chcesz, żebym mu kazał odejść?

Michael ścisnął Jonasa za nadgarstek i spróbował się uśmiechnąć.

–Zrobiłeś bardzo dobrze – powiedział. – Może byś tak zaprosił go do środka?

–W porządku, jeśli chcesz.

Jonas wybiegł, zostawiając lekko uchylone drzwi, a Michael wstał, okrążył biurko i podszedł do okna. Jego gabinet mieścił się w oszklonej, stojącej na palach werandzie, z której rozciągał się widok na porośniętą trawą wydmy New Seabury Beach i stale niebieskie wody Nantucket Sound. Urządzenie całego domu było raczej spartańskie: surowe deski, odziedziczone po kwakrach meble i indiańskie maty. Michael kupił ten letni domek z trzema sypialniami od kumpla z firmy ubezpieczeniowej Plymouth Insurance. Znajomy, który przyjechał tu kiedyś z rodziną na weekend, zażartował, że czuje się, jakby złożył wizytę pierwszym kolonistom z Mayflower: „w kółko na okrągło kukurydza z fasolą, placek z dyni i obawa, jak uda się przetrwać zimą”.

Trzydziestoczteroletni Michael miał pociągłą twarz, orli nos, krótko ostrzyżone włosy i błękitne oczy, które w przeciwieństwie do przejrzystych źrenic jego syna były mętne. Odznaczał się tego samego rodzaju urodą co Jimmy Dean albo młody Clint Eastwood: trochę zbyt szczupły, trochę nieobecny duchem i spoglądający na ludzi z lekką urazą. W niebieskiej kraciastej koszuli z krótkim rękawem jego nadgarstki wydawały się guzowate i cienkie, a z szortów w kolorze khaki wystawały chude nogi. Poruszał się w sposób ostrożny i nieśmiały, chwilami nawet zniewieściały. Nie oznaczało to jednak wcale, że nie był stuprocentowym mężczyzną. Nie licząc faktu, że poderwał i ożenił się z najładniejszą dziewczyną w całym Plymouth Insurance, przejawiał w życiu typowo męskie zainteresowania: łowił ryby, oglądał transmisje baseballu, pił piwo i majsterkował.

Największą jego pasją było „myślenie pod wiatr” – czyli, jak to wyjaśniał: „podchodzenie do problemów od zawietrznej i atakowanie ich, kiedy się tego najmniej spodziewają”. Od czasu kiedy przed półtora rokiem przeprowadzili się do New Seabury, wynalazł już system ciężarków, które pozwalały zarzucać na rekordową odległość wędkę, przerobił także należącą do Patsy elektryczną maszynę



do ćwiczeń na urządzenie do usuwania mięczaków, kleszczy i innych morskich żyjątek z dna jachtów. W ten sam sposób, w jaki maszyna do ćwiczeń powodowała skurcz ludzkich mięśni, „ściągacz kleszczy” doprowadzał cały organizm skorupiaka do spazmu, tak że dosłownie odpadał on od kadłuba.

Ale te dwa średnio udane wynalazki nie zapewniły mu dochodu, który wystarczyłby na kupienie legginsów Patsy i adidasów Jonasowi, i wciąż żyli niczym pierwsi koloniści, z tą różnicą, że mielone kotlety i galaretka Jell-O zastąpiły kukurydzę i placek z dyni, a zamiast zimy mowa była, jak dożyć do końca miesiąca.

Przez chwilę przyglądał się sunącym po piasku ceniom chmur.

Przypominały mu poruszające się szybko i bezszelestnie po dnie oceanu wielkie trygony. Zobaczył trójkę dzieci, które puszczały czerwonego latawca, i kobietę w różowym kostiumie kąpielowym i wielkim różowym kapeluszu, która wyprowadzała na spacer brązowo-białego spaniela. Gdyby tylko można było uchwycić tę scenę, dokładnie w tym samym kształcie, i powiesić ją na ścianie, razem z całym wiatrem, ruchem, dźwiękiem i powiewającymi w oknie firankami. Uśmiechnął się, uświadamiając sobie, że właśnie wynalazł telewizję. Nikt nie zapukał, ale Michael usłyszał, że drzwi otwierają się trochę szerzej. Odwrócił się i zobaczył Joe Garbodena, takiego samego jak zawsze, w blezerze w fiołkowo-zielono-wiśniowo-żółte paski, wyglądającym, jakby odrzucili go, jako zbyt krzykliwy, projektanci karnawałowej mody. Joe miał wielką głowę, gęste tłuste czarne włosy, głęboko osadzone, patrzące z sympatią oczy i policzki, których skóra przypominała kalafior. Często się uśmiechał – częściej w każdym razie niż przeciętny śmiertelnik – i to właśnie czyniło zeń jednego z najbardziej znośnych, znanych Michaelowi zwiastunów złych wieści.

–Cześć, Joe – powiedział Rearden, nie wyjmując rąk z kieszeni szortów.

Joe podszedł do niego i przez kilka chwil trzymał w powietrzu wyciągniętą rękę.

–Co jest, Michael? Zabawa z fiutkiem jest dla ciebie ważniejsza niż uściśnięcie dłoni starego kumpla? – zapytał w końcu.

Michael niechętnie podał mu rękę. Joe uśmiechnął się, a potem przyjrzał dokładnie wewnętrznej stronie dłoni.

–Mam nadzieję, że nie bawiłeś się fiutkiem – powiedział.

–Nie wyglądał chyba na takiego, co traci wzrok? – odparł Michael.

–Tylko dlatego, że nie robisz tego we właściwy sposób – stwierdził Joe. Położył swoją zatłuszczoną panamę na biurku, dokładnie na notatniku Michaela, a potem podszedł do okna i przez chwilę podziwiał widok. – Piękny dzień, prawda? Taki dom w lecie to istny raj. Ciekaw jestem, jak tu jest w środku zimy. Założę się, że jak w psiarni. Jak go ogrzewasz?

–Kocami.

–Kocami?

–Zgadza się. Od Święta Dziękczynienia do Dnia Pamięci leżymy w łóżku.

–Przyjemna perspektywa. Zwłaszcza z Patsy, jeśli nie pogniewa – się, że to mówię. Wciąż wygląda jak szczyt marzeń każdego mężczyzny.

–Widziałeś się z nią?

–Jasne, rozmawialiśmy. Jest na podwórku, myje samochód. Albo raczej te kawałki blachy, które nie pozwalają rozsypać się rdzy.

–Co się stało, że przebyłeś taki szmat drogi? – zapytał Michael. – Mam nadzieję, że nie przyjechałeś pokazać mi swojego nowego blezera?

–Nie pogniewasz się, jeśli na chwilę zaparkuję tyłek? – zapytał Joe, siadając na obitej skórą kanapie. Podniósł egzemplarz leżącego tam czasopisma i zmarszczył brwi na widok okładki. – Mushing? – zapytał z niedowierzaniem.

–Mushing – przytaknął Michael. – No wiesz, hodowla psów husky, psie zaprzęgi, jazda na nartach za traktorem... tego rodzaju rzeczy. Mush! Mush!

–Ludzie tutaj muszą być zapalonymi saneczkarzami – zauważył z kamienną twarzą Garboden.

–Daj spokój, Joe... to tylko pewien pomysł, nad którym pracuję.

–W porządku – Garboden wyciągnął z kieszeni pogniecioną chusteczkę i otarł nią czoło. – Chyba lepiej będzie, jeśli powiem ci, po co przyjechałem.

–Wspomniałeś o Rocky Woods. Mój mały myślał, że to twoje nazwisko.

–Przepraszam. To nie jest rzecz, z której można by stroić żarty, prawda?

Michael nie odpowiedział, ale odwrócił się i przez chwilę obserwował opadający i unoszący się nad linią wybrzeża latawiec. Domyślał się mniej więcej, o co ma go zamiar zapytać Joe, i nie był pewien, czy chce mu w tym czasie patrzeć prosto w twarz.

–Słyszałeś oczywiście o Johnie O’Brienie – powiedział Garboden. – Niedoszłym członku Sądu Najwyższego.

–Naturalnie. Kto nie słyszał? Facet miał nie lada szczęście. Pan Bóg użył mu go na chwilę, ale potem odebrał z procentami.

–Helikopter był ubezpieczony u nas i reasekurowany u Tyrella i Croteau. Należał właściwie do Revere Aeronautic Sendces, ale w dniu, w którym wydarzyła się katastrofa, wycarterował go Departament Sprawiedliwości.

–Słyszałem w telewizji o awarii silnika.

–Tak właśnie powiedzieli w telewizji.

–Masz na myśli, że to nie była awaria silnika?

–Mam na myśli, że tak właśnie powiedzieli w telewizji. Awaria silnika stanowi część tej historii, to jasne, i stała się prawdopodobnie główną przyczyną rozbicia się helikoptera; chociaż nadal nie wiemy, dlaczego i jak do niej doszło, a także czy nie był to przypadkiem sabotaż. Tak naprawdę jednak najbardziej niepokoi nas to, co wydarzyło się już po zetknięciu helikoptera z ziemią.

–Podobno się spalił? Helikoptery załadowane dwustoma galonami wysokooktanowego paliwa mają tendencję do dość szybkiego zajmowania się ogniem.

–Ten zapalił się dopiero dziewięć i pół minuty po zetknięciu się z ziemią.

–Nikt nie dotarł do wraku w ciągu dziewięciu i pół minuty?

–Na tym właśnie polega zagadka. W ciągu dziewięciu i pół minuty nie zdążyły nadjechać ekipy ratownicze. Helikopter zarył się w piachu na samym końcu Sagamore Head, a na dobytek ktoś zostawił zdezelowany samochód kempingowy

Winnebago na polnej drodze z Nantasket Beach i ponad pięć minut trwało, zanim uprzątnęła go stamtąd straż pożarna. – Garboden złożył chusteczkę i ponownie otarł nią czoło. – Wygląda jednak na to, że ktoś dotarł do wraku jeszcze przed eksplozją. Kilku żeglarzy zeznało, że dwie, a może trzy minuty po kraksie widzieli czarnego chevroleta blazera albo podobny pojazd zaparkowany obok wraku. Jeden z nich zakotwiczył nawet jacht jakieś sześćdziesiąt metrów od mierzei i popłynął do brzegu pontonem, żeby zobaczyć, czy nie jest potrzebna pomoc. Twierdzi, że wyraźnie widział czarny czterokołowy pojazd, a także ubraną w czarny płaszcz postać, która wyszła z helikoptera, niosąc coś, co mogło być torbą albo workiem. Mniej więcej dwadzieścia sekund później nastąpiła eksplozja i przez dym i płomienie nie można było nic zobaczyć. Kiedy facet dopłynął do brzegu, pojazd zniknął, a helikopter był prawie doszczętnie wypalony.

Michael pomasaował czubkami palców skronie niczym człowiek, który czuje zbliżającą się migrenę.

–Próbujesz zasugerować, że jakaś nieznana osoba bądź osoby dotarły do wraku przed ekipami ratowniczymi i coś z niego usunęły?

–To dokładnie chcę zasugerować. Dokładnie.

Michael siedział przez chwilę zamyślony. John obserwował go, co jakiś czas ocierając pot z czoła i chrząkając.

–Kto zajmuje się tą sprawą?

–Kevin Murray i taki nowy facet, Rolbein.

–Kevin jest dobry – stwierdził Michael. – Rozwiąże to dla ciebie.

–Kevin jest dobry, masz rację. Ale Kevin nie potrafi człowieka zainspirować.

–I po to właśnie przyjechałeś do mnie na to zadupie? – zapytał, odwracając się do niego, Michael. – Żeby cię za darmo zainspirować?

–Zgadza się. – Joe rozłożył szeroko ręce. Pod pachami jego blezera rozszerzały się półkoliste plamy potu. – Straszny ze mnie sukinsyn, prawda?

–Pod tym względem nic się nie zmieniło – potwierdził Rearden.

–Oczywiście, Michael. Ale spójrz na to z mojego punktu widzenia. W tej sprawie chodzi o setki milionów dolarów. Powinieneś zobaczyć wartość samej polisy na życie Johna O'Briena: dwukrotnie przekracza narodowe rezerwy Haiti i Dominikany razem wziętych, a możesz do tego śmiało dorzucić Kubę. Dochodzą do tego polisy Evy O'Brien i ich córki, Sissy, nie wspominając o wszystkich towarzyszących roszczeniach z tytułu szkód materialnych. – Wydmuchał głośno nos. – Można by to wszystko jeszcze wytrzymać, gdyby sprawa była od początku do końca jasna. Ale unosi się nad nią bardzo podejrzany smrodek. Wiesz, jak to jest, kiedy sprawdzasz spalone mieszkanie i natrafiasz na ślad benzyny, rozpuszczalnika albo alkoholu metylowego. To ten rodzaj smrodu. Za dużo jest także dziwacznych niekonsekwencji. Nie takich, jakie zdarzają się w codziennym życiu, ale takich, które sprawiają, że myślisz sobie: chwileczkę, jak to możliwe?

–Daj jakiś przykład.

–Proszę bardzo, pomyśl choćby o tym. Helikopter ma awarię silnika, rozbija się na Nantasket Beach i ktoś najwyraźniej tam na niego czeka. Jeśli awaria silnika jest

**prawdziwa, w jaki sposób można przewidzieć, gdzie rozbije się helikopter?**

**–Wygląda na to, że masz niezłe urwanie głowy – powiedział Michael, siadając na obrotowym fotelu i kręcąc się to w jedną, to w drugą stronę.**

**–Nie musisz mi tego mówić. Na dodatek wszyscy chcą jak najszybciej zobaczyć raport. Henry Croteau truje mi dupę siedemnaście razy na dzień. A nasz ukochany prezes Edgar Bedford truje mi dupę siedemdziesiąt razy na dzień.**

**–A policja? Współpracują z wami?**

**–To też jest dziwne. Kiedy komisarz Hudson po raz pierwszy rozmawiał z prasą, obiecał „wyczerpujące, otwarte i odważne śledztwo”. Na razie jednak policja wydaje się traktować całą sprawę z nie większym zainteresowaniem, niż gdyby szeregowiec Joe Smith wypadł ze swojego plastikowego hueya.**

**–A Federalny Urząd Lotnictwa?**

**–Zero. Nie mają zamiaru ujawnić nawet wstępnych ustaleń. Mówią, że muszą najpierw złożyć z powrotem do kupy cały wrak i dopiero potem odpowiedzą na jakiegokolwiek pytanie. Powiem ci, jak trzęsą portkami. Nie chcą nawet przyznać, że w ogóle dokonali jakichś wstępnych ustaleń.**

**–Kto prowadzi rekonstrukcję?**

**–Twój stary kumpel Jorge da Silva.**

**–Naprawdę? To niepodobne do Jorge, żeby trząsał portkami. A biuro koronera?**

**–Ta sama śpiewka. – Joe udał, że zamyka usta na suwak. – Od koronera nie usłyszeliśmy na razie nic więcej, jak... cytuję z grubsza: „sędzia O’Brien oraz towarzyszące mu osoby uczestniczyli w katastrofie helikoptera i najwyraźniej nikt nie ocalał”. Michael przez chwilę się zastanawiał.**

**–„Sędzia O’Brien oraz towarzyszące mu osoby”. Ile dokładnie ludzi zginęło?**

**–Może ty to wiesz – odparł z błyskiem w oku Joe. – Jedyłą pewną rzeczą jest to, że nikt nie chce tego powiedzieć. W tym konkretnym helikopterze mogło lecieć od trzech do siedmiu osób. I co to, do diabła, znaczy „najwyraźniej nikt nie ocalał”? W tym, że ktoś ocalał, nie ma nic mniej albo bardziej wyraźnego, przynajmniej nie w moim regulaminie. Jeśli kiedyś, niech Bóg broni, będę uczestniczył w katastrofie helikoptera, nie chcę „najwyraźniej ocaleć”. Chcę pojawić się tego samego wieczora w wiadomościach CBS, żywy i cały, z osmalonym pyskiem i plastrem na czole, i pochwalić pilota za odwagę i zręczność.**

**–Więc nikt na razie nie potwierdził oficjalnie liczby zabitych? – zapytał Michael.**

**–Trafiłeś w dziesiątkę. Wiesz, co mi oświadczyli? Fizyczne uszkodzenia ciała są tak poważne, że pełna identyfikacja jest wciąż w toku. W toku mojej dupy. Ty i ja byliśmy razem w Rocky Woods i w Rocky Woods nie było żadnego toku. Jeśli ktoś chce wiedzieć, ile ma ciał, liczy głowy, tak jak robiliśmy to my, niezależnie od tego, czy te głowy są do czegoś przyczepione.**

**–Więc był tam John O’Brien – powiedział w zamyśleniu Michael. – I jego żona Eva O’Brien. I ich córka. Mam rację?**

**–Zgadza się. Sissy O’Brien. Czternaście lat. Michael policzył na palcach.**

**–Był również oczywiście pilot. Leciał z nimi drugi pilot?**

**–Nie. Ale zato taki młody cwaniak z Departamentu Sprawiedliwości, Dean**

**McAllister. Poprzedniej nocy przyleciał z Waszyngtonu, żeby towarzyszyć sędziemu O'Brienowi w drodze na uroczystość zaprzysiężenia.**

**–Mamy więc pięć osób. Nie powinno być większych trudności z ich identyfikacją, nawet po pożarze. Kto ma dokonać ekspertyzy medycznej?**

**–Raymond Moorpath z Boston Central.**

**–Moorpath? Od jakiegoś czasu prowadzi przecież praktykę prywatną.**

**–Nie szkodzi. Tam właśnie zostały zabrane szczątki, a Moorpath pełni honory gospodarza domu. Specjalna prośba z bardzo, bardzo wysokiego szczebla. Ale nie możesz zaprzeczyć, że Moorpath był zawsze najlepszy, zwłaszcza w wypadku ofiar pożarów. I topielców.**

**Michael przez chwilę się zastanawiał.**

**–Chcesz się napić piwa? – zapytał w końcu. Joe wzruszył ramionami.**

**–Tylko jeżeli je masz.**

**–Chodźmy do kuchni.**

**Kiedy wychodzili z gabinetu, nagły powiew wiatru porwał z biurka Michaela trochę papierów. Trzasnęły za nimi drzwi i stąpając po skrzypiących deskach ruszyli gęsiego wąskim drewnianym mostkiem, który prowadził do kuchennych drzwi. Po lewej stronie nie było nic oprócz porośniętych szarą trawą wydm i roziskrzonego morza. Po prawej strone pobielałe od słońca schodki prowadziły na opadający betonowy podjazd, na którym Patsy polewała wodą ze szlaucha ich wyblakłego zielonego mercury'ego marquisa, rocznik tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty dziewięć. Na murku z żużlobetonu siedział Jonas obserwując ją i kiwając nogami w powietrzu. Patsy podniosła wzrok i pomachała im, a Michael pomachał jej.**

**–Jak ci idzie mycie, kochanie? – zawołał wesoło, kręcąc jednocześnie ledwo dostrzegalnie głową i wybałuszając lekko oczy, żeby dać jej do zrozumienia, że wizyta Garbodena wcale nie jest mu w smak.**

**Patsy uśmiechnęła się i dalej polewała samochód. Od czasu przeprowadzki do New Seabury zbliżyli się do siebie tak bardzo, że trudno było z czymś porównać łączące ich uczucie. Michael nie czuł się z nikim tak związany w całym swoim życiu. On i Patsy razem się śmieli, razem kochali, razem martwili; praktycznie razem wdychali i wydychali powietrze. Kochał ją, ale wspólne życie, jakie prowadzili razem dzień po dniu, było znacznie bardziej skomplikowane niż wszystko to, co do tej pory nazywał miłością. Stanowili jedną fizyczną, uczuciową i intelektualną całość.**

**Patsy miała niespełna metr sześćdziesiąt wzrostu, zmierzwioną grzywę spalonych słońcem włosów i słodką buzię z porcelanowo-błękitnymi oczyma, zadartym noskiem i pełnymi różowymi ustami. Tego dnia ubrana była w obcisłą, uwydatniającą jej pełne piersi koszulkę w biało-czerwone paski, cieniutkie białe bawełniane szorty i fluoryzujące różowe kalosze.**

**Prezes Plymouth Insurance, Edgar Bedford, nazwał ją kiedyś lekceważąco „tą lalką Michaela”. Ale mimo swego podobieństwa do Barbie Patsy była osobą wykształconą, wesołą i stanowczą i tak naprawdę Michael zakochał się w niej z powodu tych właśnie cech. Oczywiście miała sex appeal i zwracała na siebie uwagę mężczyzn – i to również bardzo mu się podobało. Ale mogła oprócz tego wziąć udział**

w każdej dyskusji na temat Mozarta, Matisse'a albo Guy de Maupassanta, a także teorii Wielkiego Wybuchu, stosunku polityki do cenzury, rock and rolla, prawa głosu dla kobiet i tego, czy klimat na Ziemi rzeczywiście staje się z każdym rokiem coraz cieplejszy.

Michael i Joe weszli do kuchni z jej prostym stołem z desek, wielkim staroświeckim zlewem i zawieszonymi u sufitu brzęczącymi figurkami łabędzi, łódek i warzyw. Michael otworzył dużą lodówkę, wyjął z niej dwie butelki micheloba i rzucił jedną Garbodenowi. A potem usiadł okrakiem na krześle, otworzył kapsel i przechyliwszy do góry butelkę pociągnął szybki łyk.

–Zdecydowanie wygląda na to, że ktoś próbuje coś kryć – stwierdził. – Pytanie polega oczywiście na tym, co to jest i czy ma jakieś znaczenie dla towarzystwa ubezpieczeniowego.

–Polisa Johna O'Briena dotyczy wyłącznie zgonu, który nastąpił w wyniku choroby albo nieszczęśliwego wypadku. Wyraźnie wyklucza samobójstwo albo zabójstwo.

–I na jaką dokładnie opiewa sumę?

–Dwieście siedemdziesiąt osiem milionów dolarów.

–Zatem nie ulega kwestii, jak bardzo Plymouth Insurance zależy na wykazaniu, że został zamordowany umyślnie albo że zaplanował własną śmierć.

Joe pociągnął łyk piwa i otarł usta wierzchem dłoni.

–Mówiąc otwarcie: tak.

Michael zastanawiał się przez dłuższą chwilę, łykając co jakiś czas piwo. A potem spojrzał Garbodenowi prosto w oczy.

–Życzę powodzenia – powiedział.

–Rozumiesz chyba, jak mi zależy, żebyś się w to włączył – oświadczył Garboden.

–Ja odszedłem z firmy, Joe. Nie chcę się w nic włączać. Patsy i ja wypadliśmy z gry i jest nam idealnie dobrze tu, gdzie jesteśmy.

–Przekroczyłeś o sześć tysięcy trzysta pięćdziesiąt osiem dolarów konto w banku – oznajmił słodkim głosem Joe. – I nie spodziewasz się żadnej forsy aż do końca października, kiedy to ma wpłynąć następne honorarium z Marine Developments Inc., które co mogę ci powiedzieć z góry, wyniesie trochę mniej niż półtora tysiąca.

Michael wbił w niego wzrok.

–Skąd o tym, do diabła, wiesz?

–Daj spokój, Michael, przecież się orientujesz, jak wygląda normalne dochodzenie. Nikt nie wybiera się na kaczkę bez strzelby.

Michael wiedział, co ma na myśli Joe. Sprawdzanie kont bankowych, spłat kredytu i poufnych raportów medycznych należało do normalnej praktyki inspektorów ubezpieczeniowych. W przeciwieństwie do policji nigdy nie zawracali sobie głowy nakazami rewizji, formułą Mirandy ani przepisami dotyczącymi dowodów rzeczowych. Podczas spędzonych w Plymouth Insurance dziewięciu lat Michale regularnie przekupywał urzędników bankowych, żeby pozwolili mu zerknąć na wyciągi z kont. Ale teraz, kiedy sam stał się ofiarą tych praktyk, kiedy Joe odkrył, jakim jest bankrutem, czuł się obnażony, wściekły i upokorzony.

–Słuchaj – powiedział. – Nie wolno ci było tego robić. Nie miałeś, do cholery, żadnego prawa.

–Przykro mi – odparł Joe, choć wcale nie wyglądał, jakby mu było choć trochę przykro. – Ale sam rozumiesz: gdybyś opływał w dostatki, traciłbym tylko czas jadąc cały ten szmat drogi.

–Wierz mi: to naprawdę była strata czasu, zarówno twojego, jak i mojego – stwierdził Michael. – Może potrzebuję pieniędzy, ale nie aż tak rozpaczliwie.

–Michael... naprawdę staram się być miły. Myślisz, że przyjechałbym tu na próżno? Nienawidzę plaży. Całego tego piachu. Całego tego pieprzonego morza. Zrozum: to jest pojedyncze zlecenie. Wchodzisz, rozwiązujesz sprawę, odbierasz pieniądze i wracasz do domu. To wszystko, o co proszę. – Przerwał na chwilę, żeby zobaczyć, jakie zrobił wrażenie, a potem podniósł w górę dwa palce. – To będzie pierwszy i ostatni raz, przysięgam. Osobiście ci to gwarantuję.

–Joe... masz pewnie co najmniej z pół tuzina facetów, którzy są tak samo dobrzy jak ja. Poza tym oszedłem z branży prawie dwa lata temu. Ludzie, z którymi się kontaktowałem, przenieśli się gdzie indziej, poumierali albo dostali awans. Mój filofaks nadaje się teraz najwyżej do muzeum. Połowę numerów możesz wykręcać do usranej śmierci.

Joe pociągnął łyk piwa, zabębnił grubymi palcami po chropowatym blacie stołu i wyjrzał przez okno. Odchrząknął. Nie ulegało kwestii, że trzyma coś w zanadrzu, ale nie powie tego, jeśli się go ładnie nie poprosi.

–Jest coś jeszcze, prawda? – zapytał w końcu Michael. – Coś, czego dotąd nie powiedziałeś?

Garboden uniósł brew.

–Co masz na myśli?

–Nie rób ze mnie balona, Joe, za dużo razem przeszliśmy.

–No więc dobrze – zgodził się Garboden. – Jest coś, o czym ci nie powiedziałem.

–No? Co takiego?

–To ściśle poufna informacja. Otrzymałem ją z samej góry. Musiałem przysiąc, że nie przekażę ci jej, dopóki nie zgodzisz się poprowadzić dochodzenia w sprawie O'Briena.

–Myślisz, że zmienię zdanie, jeżeli powiesz mi teraz?

–Bez wątpienia.

–Więc o co ci chodzi? Nie ufasz mi czy co? Komu, twoim zdaniem, mógłbym to powtórzyć?

–Michael, Michael... oczywiście, że ci ufam. Ale wiesz, nawet plaże mają uszy. Jeśli ci powiem, a ty mimo to nie zechcesz objąć dochodzenia i ta informacja przedostanie się w jakiś sposób do wiadomości publicznej, wtedy powieszą mnie za jaja. I nie mam na myśli jakiejś nagany z wpisaniem do akt. To gardłowa sprawa.

Michael wstał. Garboden patrzył bez zmruczenia oka, jak okrąża stół.

–Przykro mi, Joe. Nie chcę, żebyś wziął mnie za niewdzięcznika albo kogoś w tym rodzaju – powiedział Rearden. – Dziękuję, że o mnie pomyślałeś. Ale jeśli o mnie chodzi, sprawa Rocky Woods była ostatnia. Skończyłem na tym. Wolę mieć

przekroczone o sześć tysięcy dolców konto w niebie niż otwarty rachunek w piekle.

–Zapłacę ci dwadzieścia pięć tysięcy plus pół procenta tego, co nam zaoszczędzisz – nie dawał za wygraną Joe. – Dwanaście i pół tysiąca z góry, w jakiej tylko zechcesz walucie. W rublach, złotych, jeśli sobie życzysz w zambijskich kwaszach. Ich kurs wynosi dwa przecinek szesnaście do dolara.

–Joe... powiedziałem: nie.

–Powiedz mi przynajmniej, że się nad tym zastanowisz. – Twarz Garbodena lśniła od potu.

–Nie chcę się nad tym zastanawiać. Nic, co powiesz albo zrobisz, nie zdoła zmienić mojej decyzji.

–Trzydzieści tysięcy, piętnaście z góry. Mam na myśli piętnaście kawałków w tej chwili, prosto do rączki. Żadnych więcej długów, żadnych zmartwień. I jedziemy do Lobster Shack, żeby to uczcić.

Joe energicznie potrząsnął głową. Mimo to musiał przyznać, że oferta była bardzo kusząca. Od czasu kiedy porzucił pracę i przeniósł się tutaj, za wszelką cenę starali się razem z Patsy stanąć na nogi, ale wszystkie usiłowania doprowadzały do tego, że wpadali w coraz większą biedę. Ostatnimi czasy każdego ranka opadały go po przebudzeniu wprost szarpiące wątpliwości. Co naprawdę chciał osiągnąć, popijając piwo i śniąc na jawie – właściciel dwu par dżinsów, rozchwianego, zagrzybionego domku i zardzewiałego mercury'ego z ciekącym silnikiem? W głębi duszy dobrze wiedział, że nigdy nie starczy mu energii, aby dopracować i wprowadzić na rynek wymyśloną przez siebie grę planszową, w sposób w jaki Horne i Abbott uczynili to ze swoim trivial pursuit. Nigdy również nie dotrze na sankach do północnego bieguna magnetycznego. Zapewne nigdy zresztą nie uda mu się osiągnąć niczego znaczącego i umrze jeszcze bardziej zadłużony niż jest teraz.

Ale wciąż wisiało nad nim wspomnienie Rocky Woods – krwawe, ciemne i ostre, niczym dziecinny koszmar, który ściga cię nawet w świetle dnia. Nie potrafił i nie odważył się o tym myśleć nawet „pod wiatr”. Rocky Woods było Hadesem na ziemi; masakrą niewinnych; ogniem i siarką, i cysternami krwi. Siedemnastego marca ubiegłego roku pięć po piątej po południu, trzy minuty po starcie z lotniska międzynarodowego Logan, eksplodował nad leżącym na południowy zachód od Bostonu Westwood należący do Midwest Airlines L-1011. Kadłub pękł podłużnie i trzysta dwanaście osób – mężczyzn, kobiet i dzieci – spadło na leżący osiemset metrów niżej rezerwat Rocky Woods.

Przez półtorej minuty z nieba padał deszcz ludzi.

Joe i Michael badali z ramienia Plymouth Insurance przyczynę wypadku. Spędzili całą noc i większość następnego dnia, chodząc za ekipami medycznymi od ciała do ciała, licząc je, identyfikując i zaznaczając położenie. Michael natrafił na brzozę, która z daleka wyglądała, jakby obsypana była kwiatami. Dopiero kiedy podszedł bliżej, zdał sobie sprawę, że zakwitła ludzkimi rękoma.

Przez następnych sześć tygodni miał kłopoty ze snem. A potem któregoś dnia w trakcie dyskusji na temat temperatury topnienia z facetem z bostońskiej straży pożarnej odłożył nagle w środku rozmowy słuchawkę, wyszedł z biura i nigdy nie



wrócił. Edgar Bedford chciał go z początku zaskarżyć o złamanie kontraktu, ale Joe pokazał mu kilka najgorszych fotografii z Rocky Woods i prezes zgodził się, acz niechętnie, dać spokój.

Nawet teraz, po osiemnastu miesiącach Michaelowi ciągle się śniło, że przedziera się przez ten ciemny, przecinany światłami latarek las, słysząc nad głową warkot helikopterów. Wciąż śniła mu się mała dziewczynka, która siedziała pod drzewem z otwartymi oczyma, tak jakby jeszcze żyła. Zawołał nawet wtedy: „Jest tu jedna żywa”, choć zdawał sobie sprawę, że nikt nie zdoła przeżyć swobodnego upadku z wysokości ośmiuset metrów i że to, na co patrzy, jest w rzeczywistości tylko połową dziewczynki, dziewczynką od pasa w górę. Miała jasne jak pszenica włosy i wciąż trzymała w rękach błękitną lalkę Grovera z „Ulicy Sezamkowej”.

Wspomnienie tej właśnie małej dziewczynki bardziej niż cokolwiek innego powstrzymywało go przed powrotem do starej pracy. Ustalił nawet jej nazwisko i adres: Sarah May Williams, lat cztery, zamieszkała w Alsace Drive, Indiana. W katastrofie zginęli również jej rodzice.

On i Joe odnaleźli wszystkie ofiary; wszystkie z wyjątkiem szesnastoletniej dziewczyny o nazwisku Elaine Parker. Znaleźli jej torebkę, bagaż i jeden but, ale po samej Elaine nie zostało najmniejszego śladu: tak jakby nigdy się nie narodziła.

–Daj mi cień nadziei, Michael – nalegał Joe. – Powiedz, że się nad tym zastanowisz.

–Przykro mi, Joe. Nie muszę się nad niczym zastanawiać.

–Nawet w imię naszej starej przyjaźni?

W tej samej chwili drzwi kuchni otworzyły się i do środka weszła Patsy, zaczerwieniona i zgrzana, z pustym plastikowym wiadrem w ręku.

–Zrobione – oświadczyła. – Co nawet w imię waszej starej przyjaźni?

–Nic w imię naszej starej przyjaźni – odparł Michael, kładąc jej rękę na ramieniu. – Joe i ja wspominamy tylko dawne czasy.

–Wyznał mi na dworze, że ma dla ciebie interesującą propozycję – powiedziała Patsy. Odsunęła kraciastą zasłonę pod zlewem i wstawiła tam wiadro. Potem usiadła, podniosła do góry lewą stopę, a Michael złapał ją za piętę i ściągnął jej z nogi różowy kalosz. Patsy rozprostowała palce. – Spocily mi się nogi. Co to za propozycja?

Michael potrząsnął głową.

–Joe myślał po prostu, że będę mógł mu pomóc.

–W jakiej sprawie? Wiesz chyba, że przydałoby nam się teraz trochę forsy. Jonas potrzebuje parę nowych bluz, a jeśli nie naprawimy szybko samochodu, rozkraczy się na dobre.

–Mądra dziewczyna – orzekł Joe, podnosząc w jej stronę butelkę piwa. – Ale z nim nie ma nawet co gadać.

–Nie chcę tego robić i koniec – stwierdził Michael.

–Ale co to takiego? Nie jest chyba aż tak straszne, żebyś nie mógł wykrztusić, o co chodzi?

–Rzuciłem pracę w ubezpieczeniach, bo nie chciałem tym się dłużej zajmować. Skończyłem z tym. Nie możesz tego zrozumieć?

–Mówiłem ci: to pojedyncze zlecenie. Wchodzisz i wychodzisz. Żadnych zobowiązań, nic – oświadczył chytrze Joe.

–Powiedziałem: nie, Joe – powtórzył Michael. – Absolutnie i nieodwołalnie.

Patsy wzięła go za rękę. Na jej górnej wardze widniały małe kropelki potu.

–Ile płacą? – zapytała, ściskając jego dłoń.

–Michael to prawdziwy twardziel – wtrącił Joe. – Zaproponowałem mu trzydzieści kawałków plus pół procenta sumy, którą dzięki niemu zaoszczędzimy. Ale nie dał się skusić. Cenię w ludziach zasady moralne. Nie to nie.

Patsy wbiła w Michaela pełen niedowierzania wzrok.

–Zaproponował ci trzydzieści kawałków, a ty kazałeś mu się wynosić?

Michael poczuł, że się czerwieni.

–Daj spokój, kochanie. Skończyłem z tym. Jeśli nie odniosę sukcesu robiąc to, co chcę robić, w takim razie jaki ze mnie mężczyzna? To tak jakbym przyznał, że jestem do niczego. Zgodził się, żeby rzucono mi ręcznik.

–O czym ty mówisz? – zdziwiła się Patsy. – Joe daje ci szansę, żebyś zrobił coś, w czym jesteś dobry. Co to ma wspólnego z rzucaniem ręcznika? A skoro mowa o ręcznikach, powinniśmy kupić nowe. Te, co mamy, zdarły się na szmaty.

Joe upił trochę piwa i uśmiechnął się.

–Wiesz co, Michael? – stwierdził. – Nikt nigdy nie wygrał z kobietą.

Ale Michael powoli pokręcił głową.

–Nic z tego, Joe. Nawet za trzydzieści milionów dolców.

–Michael... – zaczęła Patsy, ale on podniósł do góry rękę.

–Później, dobrze? Porozmawiamy o tym później.

Joe wstał i postawił pustą butelkę na stole. Wziął do ręki swój kapelusz, przyjrzał mu się uważnie, jakby zobaczył w środku coś bardzo interesującego – na przykład pieniądze albo odpowiedź na wszystkie dręczące go pytania – a potem włożył na głowę.

–Nie możesz powiedzieć, że się nie starałem – powiedział z autentycznym żalem w głosie.

–Tak czy owak, miło było cię zobaczyć – stwierdził Michael. – Może wpadniesz kiedyś z Marcją w niedzielę?

–Dziękuję za zaproszenie, ale nie sądzę. Marcia nie znosi plaży tak samo serdecznie jak ja. Poza tym... nie chciałbym pozbawiać głodującego wynalazcy i jego rodziny ostatniego kawałka stawy.

–Joe... – ostrzegł Michael, ale Garboden wziął go za rękę i poklepał przyjaźnie po plecach.

–Tylko żartowałem, Michael. Tylko żartowałem.

Rearden odprowadził go do samochodu, lśniącego nowego cadillaca seville w metalicznym kolorze ciemnego granatu. Patsy stała na drewnianym podeście; w powiewach bryzy fruwały kosmyki jej blond włosów. Nad ich głowami przeleciała, krzycząc i lamentując, mewa.

–Wiesz, co mówią o mewach? – zauważył Joe, otwierając drzwiczki samochodu. – Podobno stanowią zły omen. Są zwiastunami złych wieści.

**–To samo mówią o tobie, Joe – rzekł poważnym głosem Michael.**

**Garboden wycofał samochód na piaszczystej drodze, pomachał im i odjechał. Michael stał na chodniku przez dłuższą chwilę, patrząc, jak się oddala, a potem oślepił go odbity od bocznego lusterka promień słońca i samochód znikł mu z oczu. Wdrapał się powoli po drewnianych schodkach na podest, na którym stała Patsy, i zrobił zrezygnowaną minę.**

**–Przykro mi – powiedział. – Joe chciał, żebym zajął się tą katastrofą helikoptera... tą, w której zginął razem z rodziną John O'Brien.**

**–I nie mogłeś się na to zdobyć? Michael wydał wargi i kiwnął szybko głową.**

**–Ale nie musiałbyś chyba przyglądać się ciałom?**

**–Oczywiście że bym musiał. Trzeba określić, jak zginęli, gdzie zginęli... trzeba sprawdzić pozycje, w jakich zostali odnalezieni.**

**–I naprawdę nie jesteś w stanie tego zrobić?**

**Michael stał obok niej, zaciskając dłoń na pooblupywanej drewnianej poręczy.**

**–Od czasu tamtej nocy kiedy razem z Garbodenem musieliśmy przeszukać Rocky Woods, znajdowałem się tak blisko krawędzi, jak blisko może się znaleźć człowiek, nie dostając przy tym kompletnego kręćka. Zrezygnowałem, ponieważ miałem do wyboru albo to, albo zupełnego bzika. Nie potrafię wytłumaczyć ci, co znaczyło dla mnie to doświadczenie, i naprawdę nie spodziewam się, żebyś zrozumiała, dlaczego nie chcę wziąć roboty, która rozwiązałaby za jednym zamachem wszystkie nasze finansowe problemy.**

**Patsy wzięła go w ramiona i pocałowała.**

**–Michael... ja nie muszę tego wcale rozumieć. Zresztą nie potrafiłabym, chyba że sama bym tam była, chyba że zobaczyłabym to na własne oczy. Ale nie muszę wcale rozumieć, bo ci ufam. Wiem, że gdybyś mógł, to byś to zrobił. Ufam ci, Kocham cię i ostatnią rzeczą, jakiej bym chciała na tym świecie, jest, żeby stało ci się coś złego. Nie sprzedam spokoju twojego umysłu za cenę kilku nowych ręczników.**

**Michael pocałował ją we włosy, potem w czoło i w końcu w usta.**

**–Coś się zmieni – obiecał jej. – Czuję to w powietrzu.**

**Nad ich głowami zatrzepotała, balansując na wietrze, mewa. Co jakiś czas kwiliła niczym niemowlę; albo jak zagubione dziecko; albo jak zwiastun złych wieści.**

**Leżał tej nocy w łóżku, kiedy rozstąpiła się pod nim ziemia i osunął się w ciemność. Przez długą chwilę wisiał w powietrzu, patrząc na obracający się wraz z jego stopami krajobraz i migocące w oddali małe światełka. Nie słyszał szumiącego w uszach wiatru – otaczała go absolutna cisza, ale wiedział, że spada, i wiedział, że spada szybko.**

**Czuł, że wszędzie obok niego spadają inni ludzie, milczący grad ludzi. Nikt nie krzyczał i nikt nie płakał. Spadali po prostu razem w mroku, czekając na moment, kiedy zbliżą się do nich nagle drzewa i zderzą się z ziemią.**

**Czekał i czekał. Był tak przerażony, że ledwie mógł oddychać.**

**Może ziemia nie wybiegnie mu na spotkanie? Może będzie tak spadał przez całą wieczność, coraz niżej i niżej w noc? Ale potem zobaczył, jak jedno po drugim gasną światła, zasłaniane przez okoliczne wzgórza, i wtedy wiedział już na pewno, że jednak**

zginie.

Przerażony, zaczął wymachiwać ramionami, próbując pofrunąć albo chociaż złapać się czegoś, co mogłoby go uratować. Jego lewa ręka natrafiła na coś i szybko zacisnęła palce, ale udało mu się to chwycić dopiero za drugim razem. To była mała dziewczynka; nie mogła go uratować, byli skazani na wspólny upadek. Mimo to trzymał się jej blisko, trzymał tak mocno, jak potrafił.

Nagle zdał sobie sprawę, że dziewczynka wpatruje się w niego w ciemności. Widział otwarte, błyszczące nikło oczy. O Boże, ona już jest martwa – pomyślał nagle. Sięgnął w dół i zorientował się, że trzyma tylko połowę dziewczynki, dziecienny tors z krwawymi szczątkami poniżej pasa.

Krzyknął i odwrócił się, ale tors dziewczynki zdołał w jakiś sposób do niego przywrzeć i Michael nie potrafił się wyzwolić. Czuł spływającą mu po udach jej zimną krew. Słyszał stłumiony szum wiejącego przez otwarte ciało wiatru. Czuł chłodny, wilgotny dotyk jej policzka.

Wargi dziewczynki zbliżyły się do jego ucha i usłyszał wyraźny szept: „Nie daj mi spaść! Nie daj mi spaść!”

A potem oboje roztrzaskali się o ziemię i otworzył oczy: leżał skulony w łóżku, z zaciśniętymi zębami i mięśniami napiętymi tak mocno, że nie mógł poruszyć ściśniętych skurczem łydek.

Nie ruszał się przez dłuższy czas, oddychając głęboko i próbując się odprężyć. Dzięki Bogu, nie obudził Patsy. Ten koszmar nie nawiedzał go już od bardzo dawna i nigdy dotąd nie był tak wyrazisty. Z trudem przekonywał sam siebie, że naprawdę nie spadł i że wciąż jeszcze żyje.

Ostrożnie wstał z łóżka. Pod stopami miał szorstką sizalową matę. Przeszedł nagi na palcach przez pokój, uważając, aby nie zderzyć się ze stojącym w rogu bujanym fotelem, na którym wieszali na ogół swoje ubranie. Była czwarta zero siedem i pierwsze światło poranka zaczynało sączyć się przez kwieciste bawełniane zasłony.

Wszedł do kuchni, nalał sobie dużą szklankę zimnej wody, i opierając dłoń o kran wypił ją krótkimi, łapczywymi łykami. A potem podszedł do okna, które wychodziło na Nantucket Sound i podniósł żaluzje. Dostrzegł odznaczające się na tle nieba blade prehistoryczne garby wydm i błyszczącą białą linię przyboju.

Czuł bezgraniczne przygnębienie. Czy koszmar Rocky Woods będzie ścigał go przez całe życie? Czy nigdy nie zdoła się uwolnić? To okropne uczucie, od którego zawsze się zaczynał – kiedy wydawało mu się, że rozstępuje się pod nim ziemia – przekraczało wszystko, co potrafił znieść. Jeszcze jeden tak wyraźny i realistyczny koszmar, jak dzisiejszy, i straci do końca zmysły.

Może popełnił błąd, rzucając pracę i próbując od tego wszystkiego uciec. Może powinien pozostać w Plymouth, stawić czoło swoim lękom i nauczyć się je kontrolować. Może pomogłaby mu jakaś terapia. Ale wywodził się z rodziny, która zawsze była dumna i samowystarczalna, i ceniła własną prywatność; rodziny, która nigdy nie prosiła nikogo o pomoc – ani w finansach, ani w uczuciach.

Przez dwadzieścia osiem lat ojciec Michaela prowadził w bostońskim porcie własną firmę skutniczą – jego szalupy i łodzie wiosłowe ceniono od Rockland aż po

**Marblehead za solidne tradycyjne wykonanie. Ale na początku lat sześćdziesiątych, kiedy łodzie z włókna szklanego zaczęły wypierać drewno, niewielu starych szkutników zdołało przestawić się na nową technologię. Firma Rearden Chandlers nie stanowiła pod tym względem wyjątku.**

**Michael pamiętał czasy, kiedy spacerując po bostońskim nabrzeżu słyszało się kakofonię dźwięków – to skutnicy zbijali z pojedynczych listew kadłuby. Pamiętał również swego ojca, posiwiąłego i wychudłego, siedzącego na pustej drewnianej skrzynce w salonie, kiedy tragarze zabrali ich ostatnie meble.**

**–Bank by ci pomógł, wiesz o tym – powiedział wtedy, stając obok ojca i kładąc mu dłoń na ramieniu.**

**Ale on poklepał go po prostu po ręce.**

**–Myślisz, że chciałbym, aby moja dusza i ciało należały do jakiegoś pieprzonego bankiera? Nikt oprócz mnie nie jest panem mojej duszy i ciała.**

**Michael odziedziczył wiele z tej samobójczej przekory – choćby przekonanie, że jeśli nie potrafi się samemu stanąć na nogi, nie jest się stuprocentowym mężczyzną.**

**Wciąż rozmyślał o swoim ojcu i przyglądał się linii przyboju, kiedy zadzwonił telefon. Odebrał go natychmiast, nie chcąc, żeby obudził Patsy lub Jonasa.**

**–Michael?**

**–Kto mówi?**

**–Michael, mówi Joe. Obudziłem cię?**

**–Nie, nie. Nie spałem.**

**–Słuchaj... przepraszam, że tak późno dzwonię. Albo tak wcześnie, sam nie wiem. Ale dostałem właśnie faksem upoważnienie, żeby powiedzieć ci wszystko, co wiemy na temat sprawy O'Briena. Nie jest tego dużo, ale myślę, że da ci to do myślenia.**

**Michael przycisnął ze zmęczeniem dłoń do czoła.**

**–Joe... rozmawiałem na ten temat z Patsy i odpowiedź wciąż brzmi nie.**

**–Pozwól mi tylko powiedzieć, co odkryliśmy.**

**–Nie jestem zainteresowany, Joe. Nie chcę wiedzieć.**

**–Ale, Michael, to jest naprawdę bomba, zaręczam ci. Wiadomość pochodzi bezpośrednio od Rogera Bannermana z Boston Life i Trust. On i Edgar grają razem w golfa.**

**–Niczego to nie zmienia, nawet jeśli razem biorą prysznic. Odpowiedź wciąż brzmi nie.**

**Zapadła długa cisza. Michaelowi zrobiło się zimno i chciał już wrócić do łóżka. Ale wciąż słyszał po drugiej stronie ciche sapanie Garbodena i przypominało mu ono równy oddech Nemezis, chłodny oddech nieubłaganego losu. Domyślał się, że Joe i tak powie mu, czego dowiedział się Edgar; i wiedział, że tego wysłucha. Domyślał się również, że prawdopodobnie skłoni go to do porzucenia sielankowego życia w New Seabury i zmierzenia się z koszmarami Rocky Woods.**

**–Zaginęła córka Johna O'Briena – powiedział w końcu Joe.**

**–Co?**

**–Czternastoletnia córka Johna O'Briena, Cecilia... Leciała razem z rodzicami do Waszyngtonu na uroczystość zaprzysiężenia. Odnaleźli w helikopterze jej torebkę i**

bagaż. Co jeszcze dziwniejsze, odnaleźli również pod siedzeniem jej buty. Ale po samej Cecilii nie zostało ani śladu.

–Przecież w biurze koronera powiedzieli ci podobno, że nie sposób orzec, z iloma trupami mają do czynienia, bo tak poważnie są uszkodzone zwłoki.

–Tak właśnie mi powiedziano. Ale koroner usiłuje w ten sposób zyskać na czasie. Rzeczywistość wygląda nieco inaczej.

–W jaki sposób dowiedział się o tym Roger Bannerman?

–Bardzo łatwo. Pani Bannerman należy do ochotniczego korpusu ratowniczego. Była na miejscu katastrofy.

–I wie na pewno, że nie znaleźli tam dziewczynki? Że nie została wyrzucona na zewnątrz albo coś w tym rodzaju?

–Musiała wiedzieć na pewno, w przeciwnym razie nie powiedziałaaby nic mężowi.

–Wszystko jedno, opinia ratownika z ochotniczego korpusu nie stanowi jeszcze żadnego dowodu.

–Nie mówiłem, że to jest dowód – odparł Joe. – Mówiłem, że to daje do myślenia.

Michael zawahał się, drżąc z zimna. Zrobiło się już całkiem jasno i widział teraz horyzont: ciemnoszare morze odcinające się od jasnoszarego nieba. Daleko, nad Nantucket Island padał chyba deszcz.

–Co jeszcze wiesz? – zapytał.

–To wszystko. Helikopter rozbił się i widziano, jak nieznana osoba względnie osoby wyciągają coś z wnętrza wraku. Następnie przybyły ekipy ratownicze i nie natknęły się na żaden ślad po Cecilii O'Brien; chociaż wiadomo na pewno, że towarzyszyła swoim rodzicom w drodze na lotnisko Logan.

–Wciąż nie rozumiem, dlaczego potrzebujesz właśnie mnie. Joe głęboko westchnął.

–Potrzebuję ciebie, Michael, bo potrzebuję kogoś wrażliwego. Potrzebuję kogoś szalonego. Nie szperacza ani analityka, ale kogoś, kto wyciąga nieoczekiwane wnioski. Co to była za rzecz, o której zawsze mi mówiłeś? „Myślenie pod wiatr”. Tego właśnie potrzebuję.

–Co mówią gliny na temat Cecilii O'Brien?

–Nabrali wody w usta. Nie przyznali nawet, że nie było jej we wraku.

–Więc kto usiłuje to kryć i dlaczego?

–Spróbuj zgadnąć.

–O'Brien był liberałem, prawda? – Michael przejechał palcami po splątanych włosach. – Występował przeciwko karze śmierci, przeciwko segregacji rasowej i policyjnej dyskryminacji mniejszości etnicznych. Brał udział w kampanii na rzecz aborcji i przeciwko cenzurze. Tępił łapówkarstwo i fikcyjne zatrudnienie. Popierał legalizację lżejszych narkotyków, ale zwalczał crack, heroinę i śnieg, a przede wszystkim swobodny dostęp do broni palnej. W gruncie rzeczy mógł stać się celem dla każdego handlarza narkotyków, dla każdego politycznego oszołoma albo nawet szurniętego kaznodziei w całych kontynentalnych Stanach.

–Dokładnie – stwierdził Joe. – Przypomnij sobie Rocky Woods – dodał po chwili.

–Nie myślisz chyba, że zdołałbym kiedykolwiek zapomnieć Rocky Woods?

–Nie, oczywiście, że nie, przepraszam. Ale przypomnij sobie, kto zginął w Rocky Woods.

–Trzystu pięćdziesięciu pięciu nie podejrzewających niczego ludzi: mężczyzn, kobiet i dzieci. Oto, kto zginął w Rocky Woods.

–Wśród nich Dan Margolis.

–Dan Margolis?

–Tak, Michael. Dan Margolis, który dostał właśnie od Williama Webstera nominację na szefa Agencji do Zwalczenia Narkotyków, żeby zdusić w zarodku kolumbijski handel kokainą, zanim uda im się zawładnąć rynkiem.

–Przypominam sobie Dana Margolisa – powiedział Michael. – Pracował zdaje się w biurze prokuratora okręgowego. Z tego, co pamiętam, niesamowicie energiczny facet.

–Zgadza się.

–Więc co próbujesz mi zasugerować? – zapytał Michael.

–Nie próbuję ci niczego zasugerować. Gdybym znał odpowiedź, w ogóle bym cię nie pytał. Usiłuję po prostu myśleć przez chwilę „pod wiatr”. Dokładnie tak, jak ty to robisz.

–I co?

–I nic. Poza tym, że w odstępie dwóch lat mamy dwa tragiczne wypadki lotnicze i w obu z nich giną niewinni ludzie, a także znany z postępowych poglądów liberał. W obu wypadkach mamy również do czynienia z niewytłumaczonym zniknięciem jednej kobiety. W Rocky Woods była to Elaine Parker, w katastrofie helikoptera Cecilia O'Brien.

–Joe – zaprotestował Michael. – To nie jest wcale „myślenie pod wiatr”. To zaczynanie budowy domu od postawienia dachu. Najbardziej logicznym wytłumaczeniem zniknięcia Elaine Parker jest to, że spadła poza rejonem poszukiwań. Kto wie, może porwał ją nagły powiew wiatru, może odbiła się od fragmentu kadłuba. Ci ludzie spadali na przestrzeni dwudziestu kilometrów kwadratowych. Co do Cecylia O'Brien, po prostu nic nie możemy na razie powiedzieć. A w wypadku nad Rocky Woods były co najmniej trzy inne osoby, które mogły stać się ofiarą zamachu z zemsty albo w celu uzyskania odszkodowania. Mówię to zupełnie niezależnie od faktu, że nigdy nie udało nam się odkryć przyczyny katastrofy.

–Michael – próbował się bronić Garboden – ja chcę tylko, żebyś zaczął o tym myśleć, żebyś się zaangażował.

–Na litość boską, Joe, ale ja nie chcę się w to angażować. Niepotrzebna mi wiedza, jak i dlaczego rozbił się ten helikopter, a przede wszystkim nie chcę oglądać ludzi, którzy w nim zginęli.

Tym razem Joe nie odezwał się nawet po dłuższej chwili.

–To dla mnie zamknięta sprawa – oznajmił Michael. – Jestem teraz wynalazcą, niezależnie od tego, jak źle twoim zdaniem mi to wychodzi. Konstruuje różne rzeczy. Tworzę. Nie grzebię w pogorzeli. Nie zarabiam na życie, żerując na nieszczęściu innych ludzi. Nie chcę żywić się padliną, Joe. Nie wiecie mi się najlepiej, ale staram

się przynajmniej robić coś uczciwego.

–W porządku – odparł Joe. – Przepraszam, że ci zawracałem głowę.

Odłożył słuchawkę i Michael został sam, słysząc przy uchu ciągły ton sygnału. Po krótkiej chwili i on odłożył słuchawkę, a potem rozejrzał się dookoła i wrócił do sypialni.

Kiedy zamykał za sobą drzwi, Patsy otworzyła oczy i posłała mu zdumione spojrzenie.

–Co ty tam robisz? – zapytała. – Która jest godzina?

–Wpół do piątej – odparł, kładąc się do łóżka.

–Boże, ale jesteś zimny – szepnęła, przytulając się do niego.

–W łóżku możesz do mnie mówić Michael...



## ROZDZIAŁ III

Ranek robił się coraz cieplejszy. Porucznik Thomas J. Boyle wysiadł ze swego ciemnożółtego nowego caprice, stał mankietem musztardowobrązowej marynarki kilka pozostawionych na dachu samochodu odcisków palców i ruszył chodnikiem, szukając po kieszeniach papierosów. Niemal natychmiast przypomniał sobie, że leżą tam, gdzie je zostawił, na nocnej szafce obok łóżka. Przed starym domem z brunatnego piaskowca czekał na niego ubrany w jasnobrązową marynarkę sierżant David Jahnke – przypominający wyglądem o wiele bardziej niż ma do tego prawo jakikolwiek sierżant policji Michaela Douglasa z „Ulic San Francisco”. Poczęstował Thomasa winstonem i Thomas wziął go bez słowa, nawet nie patrząc na podwładnego. David podał mu ogień i czekał, aż się odezwie. Drzwi domu stały otworem i Thomas widział obite wzorzystą brązową tapetą ściany holu i sześć albo siedem oprawionych w ramy obrazów. Odbijające się od szkła światło sprawiało, że nie sposób było powiedzieć, co przedstawiają.

Boyle wypuścił z ust cienki strumień dymu i rozejrzał się dookoła. Na miejscu były już elegancko zaparkowane przy krawężniku trzy wozy patrolowe i ambulans. Eleganckie parkowanie oznaczało nieboszczyka. Kiedy ma się do czynienia ze sztywnym, nie trzeba zatrzymywać się ze zgrzytem hamulców w poprzek ulicy i wybiegać z noszami, zestawem medycznym i trzymaną w pogotowiu bronią.

–Przyjemna okolica – zauważył porucznik. – Kilkadziesiąt metrów od Public Gardens. Ile może kosztować takie przytulne gniazdko? Dziewięćset tysięcy?

David wzruszył ramionami.

–Nie mój rewir.

–Dupek. Proszę, żebyś podał cenę, a nie kupował.

David nieśmiało przesunął ręką po zaczesanych do tyłu włosach.

–Jeśli chce pan się rozejrzeć, w środku jest Milt Jaworski – powiedział.

–Za chwilę. Mów, co wiesz.

David wyjął notatnik i zaczął go kartkować. Przerwał na chwilę, a potem przerzucił jedną kartkę do przodu i dwie do tyłu.

–W porządku, mam. Biała kobieta, typ kaukaski, lat około dwudziestu. Blondynka, niebieskie oczy, brak znamion przyrodzonych. Znalaziono ją leżącą na brzuchu na tapczanie w sypialni, związaną drutem kolczastym, który pozostawił głębokie skaleczenia na kostkach i nadgarstkach. Szereg poważnych obrażeń na całym ciele, wśród nich ślady palców, oparzenia od papierosów i oparzenia, które wyglądają, jakby zadano je pogrzebaczem i żelazem do znakowania bydła. Tapczan obficie poplamiony krwią i moczem.

Thomas zaciągnął się i wypuścił dym nozdrzami. Nienawidził papierosów i żałował, że nie może rzucić palenia. Inni policjanci radzili sobie jakoś z całą tą krwią, całym tym smrodem i chaosem ludzkiego życia. Inni policjanci nie musieli odwoływać się do jima beana, marlboro, porcji cracka albo XTC. Ale Thomas potrzebował kopa. Musiał w jakiś sposób okazać, że cierpi psychicznie, robiąc to, co robi, a palenie papierosów było najmniej niebezpieczną metodą, jaką potrafił sobie wyobrazić. Wciąż pamiętał swoją spuchniętą, żółtą i trzęsącą się z bólu matkę, która umierała na

oddziale chorych na raka, i każdego ranka obiecywał sobie, że będzie mniej palił. Ale każdego ranka wzywano go na nowo do ofiar strzelaniny, spalonych w pożarze rodzin i napastowanych seksualnie dzieci; i jak mógł powstrzymać się przed puszczeniem kolejnego dymka?

Miał czterdzieści cztery lata i powoli zbliżał się do emerytury. Szczupły i przystojny, z przypominającymi Abrahama Lincolna krzaczastymi brwiami, był jednak nedorzecznie wysoki – jeden metr i dziewięćdziesiąt cztery centymetry – co wywarło wpływ na całe jego życie. W szkole stał się z powodu swego wzrostu przedmiotem bezlitosnych zaczepek i żartów. Za to na początku służby w bostońskiej policji zdobył sobie dzięki niemu szacunek i szybko awansował. Był młody, zdecydowany i górował nad innymi fizycznie. W średnim wieku wzrost z powrotem uczynił z niego kogoś w rodzaju dinozaura – łatwo zauważanego przez agresywnych młodych przeciwników, zarówno w policji, jak i we władzach miasta; łatwo dostrzeganego przez prasę; i łatwo rozpoznawanego przez bostońskich przestępców. Kevin Cato, który prowadził jeden z najbardziej intratnych nielegalnych interesów między Rockland a Marblehead, nazwał go kiedyś „Żyrafą”. Czasami, żeby się z nim podroczyć, nazywała go tak również Megan. Megan była jego żoną: mierzącą metr sześćdziesiąt trzy centymetry bostońską Irlandką, drobną, ciemną i pełną życia, mimo swego kalectwa.

Nigdy nie dawał po sobie poznać, że to go martwi. Ale wiedział, że któregoś dnia ktoś powie po prostu: „załatwcie Żyrafę” i będzie po wszystkim. Pisk opon na rogu Haverhill i Causeway albo gdzieś w porcie; odgłos strzałów; a potem już tylko zimny betonowy chodnik, zamykająca się nad nim ciemność i ciemna smuga wyciekającej wraz z życiem krwi.

Zaciągnął się po raz ostatni papierosem.

–Macie coś, co pozwoliłoby ją zidentyfikować? – zapytał. – Jakiś notatnik, karty kredytowe, coś w tym rodzaju?

David potrząsnął głową.

–Nic. Absolutnie nic. Żadnego ubrania, żadnej biżuterii, żadnych kosmetyków, grzebienia, szczotki do zębów, dosłownie niczego. Dziewczyna była goła, jak ją Pan Bóg stworzył, w każdym znaczeniu tego słowa.

–Rozmawiałeś z sąsiadami?

–Jasne. Po tej stronie mieszkają Dallenowie, po tamtej Giffordowie.

–Niczego nie widzieli, niczego nie słyszeli?

David kiwnął głową. Byron Street była ulicą, gdzie ludzie pilnowali; własnego nosa – gdzie nikt nigdy nie przyznałby się do skandalu, dzikiej awantury czy użycia przemocy wobec domowników. Policję wzywano tutaj wyłącznie, kiedy firma ubezpieczeniowa potrzebowała protokołu z włamania albo kiedy zbyt długo trwało głośnie przyjęcie.

–Chce pan rzucić okiem? – zapytał David.

–Jasne... jasne – odparł Thomas. – Kto to zgłosił? David ponownie przerzucił kartki swego notatnika.

–Pani Anna Krasilovsky z biura nieruchomości. Lokatorzy nie płacili czynszu od

dwóch miesięcy, telefon był wyłączony, więc przyszła sprawdzić, co się dzieje. Ponieważ nikt nie odpowiadał na dzwonek do drzwi, użyła zapasowego klucza. Poczula smród, weszła na górę i znalazła zwłoki.

–Rozmawiałeś z tą panią...

–Krasilovsky. Jasne, rozmawiałem. Przewieziono ją do szpitala w stanie szoku.

Ale potwierdza się wszystko, co powiedziała.

–Co wiadomo na temat lokatorów?

–James T. Honeyman, doktor stomatologii i chirurgii szczękowej. Oraz pani Honeyman. Wszystko wskazuje na to, że doktor Honeyman wynajął dom, żeby prowadzić w nim prywatny gabinet dentystyczny.

–Skąd przyjechali?

–Wciąż sprawdzamy tę informację. Ale w biurze nieruchomości zapisano, że na stałe mieszkają w miejscowości letniskowej HawkSalt Ash, Plymouth w stanie Vermont.

–Dziwne – zauważył Thomas. – Kto mieszka w Plymouth w stanie Vermont i zakłada praktykę w Bostonie?

–W ciągu godziny powinniśmy dostać raport z Plymouth – zapewnił go David. – Moim zdaniem adres jest fikcyjny, ale nie zaszkodzi sprawdzić.

–Twoim zdaniem adres jest fikcyjny? – zapytał z przekąsem Thomas. – Może już niedługo zostaniesz detektywem.

Ale wiedział, że najgorsze dopiero przed nim i że musi się z tym zmierzyć. Nie potrafił nigdy wyjaśnić, dlaczego zdecydował się na pracę w wydziale zabójstw, skoro przerażeniem napawał go nawet widok przejechanego na wiejskiej drodze jelenia. Może wyobrażał sobie, że nie będzie to gorsze od poczynań Sherlocka Holmesa, naprawdę już teraz nie pamiętał. Były dni, kiedy po powrocie z komendy do domu stał z zamkniętymi oczyma pod prysznicem przez co najmniej dwadzieścia minut, próbując zmyć z siebie zapach śmierci i zapomnieć o wijących się pod powiekami krwawych ślepych robakach.

W ślad za Davidem wszedł po schodkach do środka domu. Już w holu poczuł zapach śmierci. Kiedy zatrzymał się na chwilę, minęła go, uderzając w ramię, blada na twarzy młoda policjantka, ale nie naskoczył na nią ani nie zwrócił uwagi, tak jak by to zrobił, gdyby potrafiła go w komendzie. Zamiast tego popatrzył, jak zbiega szybko po schodkach, przyciskając dłoń do ust. Cholera – pomyślał – to naprawdę nie będzie przyjemne.

–Tędy – powiedział David, ale Thomas kazał mu poczekać. Przez dłuższą chwilę przyglądał się dokładnie wiszącym w holu obrazom – częściowo dlatego, że chciał odwlec moment, kiedy będzie musiał zbadać ciało, częściowo dlatego, że wiszące w cudzych domach ilustracje zawsze wydawały mu się bardzo ważne. Ludzie musieli przywiązywać do nich duże znaczenie, skoro zdecydowali się je oprawić i umieścić na ścianie. Czasami nie zdawali sobie sprawy, jak bardzo zdradzał ich wybór tych, a nie innych obrazów. Zwłaszcza aktów. A tutaj miał przed sobą same akty – sepiowe i czarno-białe fotografie wiktoriańskich i edwardiańskich piękności – szerokobiodrzastych, bladokórych, kokietyjnych i skromnych. Tylko jedna

ilustracja odbiegała od innych – dziwaczny staloryt przedstawiający elegancko ubranych mężczyzn i kobiety, którzy stali wokół stołu nakrytego ciężkim adamaszkowym obrusem. Pośrodku stołu leżał mały, ciemny, skręcony przedmiot, który mógł być ludzkim płodem, ale szkło chroniące rysunek lepilo się od brudu i trudno to było stwierdzić na sto procent.

–Jak myślisz, co to może być? – zapytał Thomas.

David najwyraźniej nie zauważył wcześniej stalorytu. Pochylił się teraz i przez chwilę bacznie mu się przyglądał.

–Nie wiem... może to jakieś wysuszone warzywo?

–Więc dlaczego ci ludzie tak się na nie gapią? Co twoim zdaniem przedstawia ten obrazek? Stowarzyszenie Hodowców Brukwi?

David wpatrywał się w niego, nieszczęśliwy.

–Naprawdę nie wiem, poruczniku. Przykro mi.

–Tu mi kaktus wyrośnie, jak to jest warzywo – zadrwił Thomas. Zakłopotany David ponownie przyjrzał się ilustracji.

–To może być martwy ptak.

–No jasne. Może to być także zeschnięty placek albo czyjś tupecik. Albo ćwierć funta obrośniętego pleśnią limburgera.

–Nie wiem, poruczniku. Pańskie domysły są równie dobre jak moje – odparł David, starając się, żeby zabrzmiało to rozsądnie i obiektywnie.

Thomas przyjrzał się pozostałym ilustracjom.

–Niepotrzebne mi twoje domysły, David, zwłaszcza te równie dobre jak moje.

Chcę konstruktywnej detektywistycznej roboty. Chcę analizy.

David zbadał ponownie obrazki, ale nadal miał nieszczęśliwą minę.

–Co ci mówią te rysunki? – pytał Thomas. – Przyjrzyj się im. Coś przecież mówią! Mówią, że... no dalej, Davidzie... mówią, że... – Zatoczył ręką krąg, jakby mógł wyczarować słowa z krtani sierżanta. – No dalej, Davidzie, to coś jasnego jak słońce i prostego jak drut!

–Mówią mi... – Sierżant Jahnke odchrząknął – że osoba, która je zawiesiła, miała z całą pewnością preferencje heteroseksualne.

Thomas klasnął w dłonie.

–Błąd. Zakładasz, że zawiesił je mężczyzna. Może zrobiła to kobieta.

–Więc co one mi takiego mówią? – zapytał wyraźnie zniecierpliwiony Jahnke.

Thomas zdjął jedną z ilustracji ze ściany, odwrócił ją i przeczytał umieszczoną z tyłu nazwę firmy ramiarskiej. Powiesił obraz z powrotem i sprawdził pozostałe.

–Powie ci, co one mówią: wszystkie zostały oprawione tu niedaleko, na Chestnut Hill, i to jednocześnie, co oznacza, że mogły zostać zawieszane przez dekoratora wewnątrz i należą raczej do samej nieruchomości, a nie osobiście do państwa Honeymanów. Mówią ci również, że osobie, która je tutaj powiesiła, z pewnością podobało się to, co przedstawiają. Spójrz na nie: to są kobiety z krwi i kości. Zapytałeś z pewnością panią Kravilovsky, czy te obrazki należą do byłych lokatorów czy też do agencji nieruchomości?

–Panią Krasilovsky.

–Wszystko jedno. Więc nie, nie zapytałeś jej?

–Nie, panie poruczniku. Nie przyszło mi to do głowy. Thomas podniósł w górę palec.

–Jeśli tylko w śledztwie pojawi się wątek seksualny, pytaj. Seks jest motywem samym w sobie. – Zerknął ponownie na obrazki. – Zwłaszcza jeżeli czyjeś upodobania seksualne są tak zboczone jak te.

Wciąż przyglądał się stojącej wokół stołu grupie, kiedy z góry zszedł detektyw Jaworski. Niski i krzepki, miał krótko ostrzyżone blond włosy i oczy tak małe, że przypominały główki dwóch wbitych w rzepę stalowych gwoździ. Przeniesiono go do wydziału zabójstw dopiero przed pięcioma tygodniami. Był spocony, szary na twarzy i bez przerwy przelykał ślinę.

–Jak myślisz, co to może być? – zapytał go Thomas, wskazując puszysty obiekt na stole.

Detektyw Jaworski przyjrzał mu się bez entuzjazmu.

–Nie potrafię powiedzieć, poruczniku – powiedział, potrząsając głową.

–Zwierzę, roślina czy minerał?

–Naprawdę nie wiem, poruczniku. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego.

–Nie... – zadumał się Thomas. – Ani ja. Wygląda trochę niezdrowo, nie sądzisz?

Detektyw Jaworski odwrócił się nagle bez słowa, przeszedł trzy sztywne kroki korytarzem, pchnął drzwi do toalety i zatrasnął je za sobą. Thomas i David stali z kamiennymi twarzami, przysłuchując się hałaśliwym odgłosom wymiotów.

Jaworski wyszedł z toalety, wycierając usta papierem toaletowym.

–Sok pomarańczowy – powiedział, jakby to wyjaśniało wszystko.

–To jedna z przyczyn, dla których nigdy nie jem śniadania – stwierdził Thomas.

–Jeszcze się pan nie przyzwyczał? – zapytał Jaworski...

–Powiem ci, kiedy się przyzwyczaję – odparł Boyle. – A teraz... lepiej rzućmy na to okiem.

Wspięli się po stromych, wyłożonych brązowym dywanem schodach na pierwsze piętro. Przed sobą mieli duże okno z zabarwioną na kolor sepi i na żółto szybą, na której rysował się wzór kwiatów orchidei i dzikiego arum. Padające przez nią przyćmione światło nadawało schodom ten sam brązowawy odcień, w którym utrzymane były ilustracje w holu.

Po prawej stronie znajdowały się zamknięte mahoniowe drzwi.

–Co tam jest? – zapytał Thomas detektywa Jaworskiego.

–Łazienka, panie poruczniku.

Thomas otworzył drzwi i zajrzał do środka. W łazience panował chłód i unosił się zapach wilgoci. Ściany były do połowy wyłożone majolikowymi brązowymi kaflami, a wyżej pomalowane żółtawo-brunatną olejną farbą i upstrzone czarnymi kropkami pleśni. Naprzeciwko drzwi stała wielka staroświecka wanna pokryta ciemnymi brązowymi plamami, wewnątrz której biegly kręgi szarego lepkiego brudu. Otwór odpływowy zatkany był szarymi ludzkimi włosami.

–Dotarła już tutaj ekipa zabezpieczająca ślady? – zapytał Boyle.

–Jeszcze nie, poruczniku. Mają pełne ręce roboty w sypialni.

–Dopilnuj, żeby wzięli próbki tych włosów. – Thomas podszedł do nakrapianego brązowymi plamkami lustra nad umywalką i przesunął czubkiem palca po wiszącej pod nim półce. Zostały na niej resztki mydła do golenia i małe czarne włoski. Thomas podsunął palec pod nos detektywa Jaworskiego. – Męski zarost. Powiedz im, żeby wzięli próbki także tutaj.

Detektyw Jaworski przyjrzał się, nie kryjąc obrzydzenia, małym włoskom.

–Jak pan każe, poruczniku.

Thomas omiół wzrokiem ściany, podłogę, sufit i lampy, a potem przez długi moment przyglądał się zamyślony swemu odbiciu w lustrze.

–Dobra – oznajmił w końcu i wyszedł.

W ślad za nim podążyli David i detektyw Jaworski.

Do sypialni prowadziły drugie drzwi z korytarza. Stał przy nich zwalisty, piegowaty gliniarz z rudą czupryną i rękoma założonymi na brzuchu. Z zewnątrz dobiegało podobne do letnich błyskawic trzaskanie elektronicznych fleszy.

–Zrób jeszcze dwa zdjęcia stóp – usłyszał Thomas. – Stóp, na litość boską.

Poklepał gliniarza po ramieniu.

–Jak leci, Jimmy – zapytał. – Zostałeś już dziadkiem?

–Jeszcze nie, poruczniku. Poród przewidziano na dziesiątego sierpnia – odparł rudzielec. – To będzie dziewczynka.

–Przeżaj moje pozdrowienia Eileen. I nie zapomnij o cygarach – powiedział Thomas. Zanim jednak zdołał dać krok dalej, gliniarz złapał go za rękaw i kiwnął głową w stronę drzwi.

–Niech pan weźmie głęboki oddech, poruczniku. To ciężki przypadek.

Thomas posłał mu uważne spojrzenie. Jeśli Jimmy O’Sullivan twierdził, że przypadek jest ciężki, nie mogło być co do tego żadnych wątpliwości.

–Dzięki, Jimmy – powiedział. Zacerpnął powietrza i wszedł do środka.

Cztery reflektory zamieniły sypialnię w oślepiający plan surrealistycznego filmu. W przeciwległym rogu chodziło w kółko na czworakach dwóch pracowników ekipy dochodzeniowej, starannie przeczesując biały włochaty dywan w poszukiwaniu włosów, włókien i innych interesujących drobiazgów. Młody policyjny fotograf z opadającym na czoło przetłuszczonym lokiem ustawiał w nogach łóżka statyw, żeby zrobić zbliżenia. Przy samym łóżku stał z wyrazem zamyślenia na twarzy chudy okularnik w jasnoniebieskim laboratoryjnym fartuchu. Pod pachą trzymał notatnik, a za filigranowym uchem zatknięty miał ołówek.

Thomasem wstrząsnął widok łóżka. W pierwszej chwili myślał, że nakryte jest ciemnobrązowym prześcieradłem. Dopiero kiedy zobaczył rojące się wszędzie muchy, zdał sobie sprawę, że prześcieradło nie jest wcale brązowe, lecz białe i że zostało całe zalane krwią – krwią, która kiedy ciekła, musiała być jasnoszkarłatna, ale teraz utleniła się, upodabiając do wielkiego strupa.

Pośrodku posłania leżało na brzuchu nagie ciało młodej dziewczyny. Związano ją trzema pętlami zaśnieżonego kolczastego drutu; miała wykręcone do tyłu ręce i uniesione golenie. Jej długie włosy do tego stopnia przesiąknięte były zaschlą krwią,

że Thomas nie potrafił określić, jaki jest ich naturalny kolor. Ciało znajdowało się w zaawansowanym stanie rozkładu i skóra przybrała szarzielony, prawie przezroczysty odcień, ale wciąż widoczne były niewiarygodnie liczne ślady skaleczeń, ran i oparzeń.

Thomas wyjął z kieszeni chusteczkę, rozwinął ją i położył płasko na dłoni. Z innej kieszeni wyjął małą buteleczkę z esencją goździkową, którą Megan regularnie kupowała dla niego w małych delikatesach niedaleko Faneuil Hall. Wylał trochę esencji na chusteczkę, zwinął ją z powrotem, po czym przytknął do ust i nosa i podszedł do mężczyzny w jasnoniebieskim kitlu, który nie nosił żadnego rodzaju maski.

–Porucznik Boyle – przedstawił się. – Nie wydaje mi się, żebyśmy się już spotkali.

–Victor Kuryłowicz – odparł lekarz. – Przeniosłem się tutaj miesiąc temu z Newark w New Jersey. Nie podam panu ręki.

Thomas spojrzał w dół na ciało młodej dziewczyny. Jej włosy zasłaniały w połowie twarz, tak że widział tylko fragment nosa i usta. Pod skórą podbródka roilo się od robaków. Wyglądały tak, jakby się gotowały.

–Nie wiem, jak pan może znieść ten smród – powiedział do Kuryłowicza.

Lekarz sądowy wzruszył ramionami.

–To nie jest kwestia tego, co mogę, a czego nie mogę znieść. To po prostu ważne. Mówi mi mnóstwo rzeczy. Pamięta pan, co Coleridge powiedział o wodzie kolońskiej? „Naliczyłem siedemdziesiąt dwa odory, wszystkie dobrze zdefiniowane, i kilka smrodów!”

–O... widzę, że zajmuje się pan literaturą – stwierdził Thomas.

–Jestem lekarzem sądowym – odparł Kuryłowicz. Za szklami w czarnych oprawkach kryły się przenikliwe ciemne oczy. – Znam się na ciałach i na wszystkim, co ich dotyczy. Zwłaszcza na ciałach, które doświadczyły takiego traktowania.

Boyle przyjrzał się Kuryłowiczowi znad swojej chusteczki. Smród rozkładu i skrzeplej krwi był tak silny, że zaczął przezwyciężać aromatyczne opary przesyconego esencją skrawka materiału. Odór miał w sobie przerażającą dojrzałość, która przypominała mu zawsze gaz, jabłka i ścieki. Miał wrażenie, że zaraz się udusi – albo nawet jeśli się nie udusi, nigdy już nie będzie w stanie czuć niczego innego poza zapachem śmierci.

–Chce pan mi o niej coś powiedzieć? – zapytał przez ściśnięte gardło.

–Jasne. – Kuryłowicz zajrzał do swoich notatek. – Ta nieszczęsna młoda dama jest typu kaukaskiego. Dwadzieścia albo dwadzieścia jeden lat, blond włosy, niebieskie oczy. W chwili śmierci ważyła około pięćdziesięciu kilo, czyli trochę mniej niż wynosi średnia dla jej wieku i wzrostu, ale niezbyt wiele. Innymi słowy, osoba bądź osoby, które trzymały ją w niewoli, dobrze ją odżywiały. Pobieżne badanie pozwala stwierdzić, że śmierć nastąpiła przed ponad dwoma tygodniami.

–Wie pan, w jaki sposób została zabita?

–O tak. Związano ją, jak pan widzi, drutem kolczastym, a następnie przecięto umiejętnie tętnicę szyjną, a także wewnętrzną krezkową oraz obie podkolanowe, co oznacza, że wykrwawiła się na śmierć w czasie krótszym niż dziesięć minut.

–Co ma pan na myśli, mówiąc „umiejętnie”?

–Mam na myśli, że przeciął je ktoś, kto cholernie dobrze wiedział, co robi. –

Kuryłowicz potarł czubek nosa.

–Lekarz?

–Możliwe. Rany wyglądają na zadane raczej skalpelem niż nożem.

–Dentysta?

–Czemu nie. Mógł to nawet zrobić mechanik samochodowy, jeśli znał się na anatomii.

–Ten sprawca się na niej znał?

–Z pewnością. Wszystkie cięcia są czyste i dokładne, absolutnie precyzyjne.

Thomas zmusił się, żeby spojrzeć na ciało dziewczyny. Zobaczył mnóstwo oparzeń po papierosach i dosłownie setki skaleczeń, nacięć, szram, a także prostych tatuaży: trójkątów, kółek i zawijasów. Na lewej łopacie ktoś wypalił jej kontur Happy Face.

–To przypadek ciężkiego sadyzmu – stwierdził. Kuryłowicz pokiwał głową.

–Możliwe. Z drugiej strony niewykluczone, że to ciężki przypadek masochizmu. Spotkałem się w mojej praktyce z wieloma dziewczętami, które z tym przesadziły. A także z wieloma facetami. Tam, gdzie poprzednio pracowałem, facet obciął sobie własny worek mosznowy i paradował z jajami w plastikowej torbie.

Thomas nie chciał słuchać niczego w tym rodzaju, zwłaszcza w tej chwili.

–Chyba nie wszystkie te obrażenia zostały zadane ostatnio? – zapytał. – Niektóre wyglądają na całkiem zagojone.

Kuryłowicz przesunął lekko palcami po poznaczonych bliznami nagich plecach.

–Trudno dokładnie określić czas ich zadania... ale tak, niektóre mogą być sprzed sześciu miesięcy, a nawet więcej.

–Czyli dziewczyna była systematycznie torturowana od Bożego Narodzenia, a może dłużej?

–Zdecydowanie dłużej. Nie ma co do tego wątpliwości. To mogło trwać rok, a nawet osiemnaście miesięcy.

–I nie znalazł pan nic, co wskazywałoby, kim jest albo co tutaj robiła?

Kuryłowicz potrząsnął głową.

–Nic, co pozwoliłoby ją zidentyfikować. Żadnych pierścionków, żadnych kolczyków, żadnych znamion. Sprawdźmy oczywiście uzębienie, ale jeśli nie pochodzi z tego rejonu albo stanu, całkiem możliwe, że nigdy nie uda nam się trafić na jej dane.

–Czy ją zgwałcono?

–Według mojej oceny setki razy. Ma poważne urazy pochwy i odbytu. Cóż... niech pan sam spojrzy. Wokół stref erogennych znajduje się kilkadziesiąt oparzeń po papierosach, są także inne oparzenia, charakterystyczne dla pewnych szczególnych praktyk sadomasochistycznych, dość rzadkich, ale kilkakrotnie już się z nimi zetknąłem.

Boyle oddychał na przemian goździkami i śmiercią, goździkami i śmiercią. Kuryłowicz wpatrywał się w niego błyszczącymi oczyma.



–Zechce pan wyjaśnić, na czym polegają owe szczególne praktyki sadomasochistyczne? – zapytał Thomas. – Rozumie pan... po prostu żeby oświecić jednego z tych poczciwców, którym wydaje się, że wyrafinowane pieszczoty to pocałunek z języczkiem?

Cienkie wargi Kuryłowicza skrzywiły się w niewyraźnym uśmiechu.

–Mówimy tutaj o sodomii przy użyciu zapalanej świecy, poruczniku, którą wsuwa się samemu bądź też która zostaje wepchnięta siłą. I mówimy o niegaszeniu świecy, kiedy ból staje się nie do zniesienia. Boyle pokręcił powoli głową.

–Słyszałem o różnych dziwnych rzeczach, ale nigdy o czymś takim.

Kuryłowicz popatrzył na dziewczynę i przez moment Thomasowi wydawało się, że zobaczył na jego twarzy smutek.

–Ludzie robią sobie wzajemnie wiele rzeczy, których nie potrafi pan sobie wyobrazić. Jestem katolikiem, wie pan? Ludzkie ciało to świątynia, mówią księża. Ale niewielu ludzi tak je traktuje. Nie więcej jak dwa procent. Większość ludzi traktuje swoje ciało jak latrynę. A są i tacy, którym nie wystarcza potraktowanie go jak latryny; oni chcą je zniszczyć, chcą je rozerwać na kawałki, rozebrać na części, kawałek po kawałku.

Zapadło między nimi długie milczenie. Fotograf skończył fotografować stopy, spakował swój sprzęt, machnął na pożegnanie ręką i wyszedł. Z wyjątkiem może występujących w niemych filmach aktorów Thomas nigdy nie widział kogoś, kto poruszałyby się z taką nerwowością i pośpiechem. Dwóm gliniarzom z ekipy dochodzeniowej smród nie wydawał się jednak wcale przeszkadzać – wciąż łazili na czworakach po dywanie, wyjmując co jakiś czas z kieszeni małe celofanowe torebki, wkładając do środka włosy, kłaki albo fragmenty włókna i oznaczając nalepki flamastrami.

–Irving... mam tutaj włókno niebieskiej wełny, na które nie natrafiłem wcześniej – powiedział jeden z nich.

Drugi wziął je i uważnie mu się przyjrzał.

–Uhm – mruknął, po czym schował włókno do torebki i nabazgrał coś flamastrem na nalepce.

–Jest jeszcze jedna rzecz... – zaczął Kuryłowicz. – Nie całkiem ją rozumiem.

–Co takiego? – zapytał Thomas. Starał się bardzo usilnie zachować cierpliwość, ale nie sądził, by udało mu się znieść zapach tej anonimowej, rozkładającej się dziewczyny przez dłużej niż dwie albo trzy minuty.

–Chciałbym, żeby pan tutaj popatrzył – powiedział Kuryłowi wskazując palcem dwie małe ranki w środkowej części pleców, oddalone od siebie nie więcej niż o piętnaście centymetrów.

–Jakieś nowe tortury? – zapytał Thomas, nie wiedząc dokładnie, na co patrzy ani co ma o tym myśleć.

–Szczerze mówiąc, sam nie wiem, co to jest. Ale te obrażenia wyglądają mi na ślady po zastrzykach albo bardzo głębokie ranki punkcji, które zadano, pozwolono im się zagoić, zadano ponownie, pozwolono się zagoić i tak w kółko.

–Po co ktoś miałby to robić?

–Nie wiem... może prześladowca wstrzykiwał jej coś, żeby nie krzyczała albo żeby złagodzić ból... coś w rodzaju epiduralu. Może stanowiło to część tortur.

–Jezus... Nie sposób sobie nawet wyobrazić tego cierpienia – powiedział Thomas.  
– Nie sposób o nim pomyśleć.

–I jeszcze jedno – dodał Kuryłowicz.

–Co takiego?

–Muszę to sprawdzić w laboratorium... ale niech pan przyjrzy się kształtowi jej nóg.

Thomas zrobił to, starając się nie patrzeć na skaleczenia i szramy.

–Nic nie widzę.

–Zastanawia mnie sposób, w jaki wystają te kości. Nie chcę zgadywać, ale wydaje mi się, że złamano jej obie nogi... nie ostatnio, ale też nie dalej jak osiemnaście miesięcy temu. Zostały nastawione, ale nie przez wykwalifikowanego chirurga. Widzi pan? Lewa kostka jest jakby skręcona.

–Co to oznacza? – zapytał zbity z tropu Boyle. Kuryłowicz postukał się po zębach ołówkiem i wzruszył ramionami.

–Nie wiem. Muszę nad tym jeszcze popracować.

Jeden z pracowników ekipy dochodzeniowej wyprostował się i podszedł do nich. Niski i gruby, miał loczek w stylu Kookie Byrnesea i osadzone bardzo blisko siebie oczy. Na jego górnej wardze widniały kropelki potu.

–Jak wam leci, Irving? – zapytał Thomas.

–Pomalutku – odparł policjant z astmatycznym sapnięciem. – Znaleźliśmy włókna siedmiu różnych sztuk garderoby i dosyć włosów, żeby wypchać nimi materac. A także stearynę, popiół po papierosach, dziewięć niedopałków, kilka igieł i szpikulców, pudełka z wypalonymi zapałkami i haczyki do ryb.

Thomas pokiwał głową. Od esencji goździkowej podeszły mu do oczu łzy, ale jego żołądek zaczynał najwyraźniej buntować się przeciwko odorowi rozkładu i nie miał odwagi odsunąć chusteczki od twarzy. Zaburczało mu głośno w brzuchu i Irving posłał mu zdumione spojrzenie.

–Po prostu jestem głodny – wyjaśnił Thomas. – Nie jadłem dziś rano śniadania.

–Bardzo rozsądnie – stwierdził Irving. – Pierwsza rzecz, jaką zrobiłem po przyjeździe tutaj, to wyrzygałem trzy filiżanki kawy i podwójną jajecznicę.

Boyle obejrzał się na Kuryłowicza.

–W porządku, poruczniku – powiedział lekarz. – W tej chwili nie mam panu nic więcej do pokazania. Musi pan mieć mnóstwo innych rzeczy na głowie. Potraktuję tę sprawę priorytetowo. Wyniki prześlę panu najszybciej, jak będę mógł.

W głosie Kuryłowicza zabrzmiał wyraźnie protekcyjny ton. Odkąd to porucznicy z wydziału zabójstw nie mogą znieść zapachu śmierci? Ale uświadomiwszy sobie, że może stąd wyjść, Thomas poczuł zbyt wielką ulgę, żeby myśleć o zwróceniu mu uwagi. Poza tym wyglądałoby naprawdę śmiesznie, gdyby próbował udowodniać swoją wyższość trzymając przy ustach nasyconą esencją chusteczkę.

–W porządku, Kuryłowicz. Dobra robota. Zostawiam tutaj sierżanta Jahnkego,

**gdyby pan czegoś potrzebował.**

**–Słucham? – zapytał lekarz.**

**Boyle odjął chusteczkę od ust i wziął głęboki oddech, przygotowując się do powtórzenia całej kwestii. Ale niezdrowy słodkawy odór, który natychmiast wypełnił jego nos i płuca, był tak intensywny, że nie zdołał wymówić ani słowa. Uniósł rękę w stylu porucznika Columbo i pośpiesznie opuścił sypialnię.**

**–Wszystko w porządku, poruczniku? – zawołał za nim posterunkowy Jimmy, kiedy zbiegał po schodach.**

**Nie odpowiedział. Nie był w stanie. Jego usta wypełniała ciepła słona ślina, a żołądkiem targały pierwsze torsje.**

**Z dłonią przyciśniętą do ust przebiegł przez hol, mijając niczym ścigany przez egzorcystę diabeł podobne do greckich waz wiktoriańskie piękności, wieszak na kapelusze i odbicie własnej bladej twarzy w wiszącym przy drzwiach lustrze, a potem przeskakując po trzy stopnie naraz zbiegł po schodkach i po chwili stał już na chodniku czując na twarzy ciepły poranny wiatr i łapiąc kurczowo powietrze.**

**Detektyw Jaworski rozmawiał po drugiej stronie ulicy z posterunkowym.**

**–Dobrze się pan czuje, poruczniku? – zapytał z troską, chodząc do Thomasa.**

**–Nie, nie czuję się dobrze – odparł Boyle. – Daleko mi dobrego samopoczucia.**

**–To najgorszy przypadek, jaki kiedykolwiek widziałem. – Detektyw Jaworski sięgnął do kieszeni i wyciągnął paczkę marlboro. Gorszy nawet od tej rodziny przy Otis Street, pamięta pan?**

**Thomas próbował bezskutecznie zapalić papierosa, którym częstował go Jaworski. W końcu detektyw przytrzymał mu rękę i dopiero wtedy Boyle zaciągnął się głęboko papierosowym dymem**

**–Miałeś szczęście, że udało ci się wszystko wyrzygać – stwierdził z autentyczną zazdrością w głosie.**

**–Wszystkie te skaleczenia i oparzenia... Nie sądzi pan, że jakieś rytualne morderstwo? Może sataniści albo ktoś w tym rodzaju.**

**Thomas obejrzał się w stronę domu.**

**–Za wcześnie, żeby coś powiedzieć. Musimy przede wszystkim ustalić jej tożsamość, a potem dokładnie jak była torturowana i jak umarła.**

**–Pamięta pan, co powiedział mi pan pierwszego dnia, kiedy przyszedłem do wydziału zabójstw? – zapytał detektyw Jaworski. – Że morderstwo jest tylko innym rodzajem kradzieży, ale zamiast należącej do kogoś rzeczy morderca kradnie po prostu czyjś czas.**

**–Ja tak powiedziałem?**

**–Jasne. Pomyślałem sobie wtedy, że to zupełnie niezwykły punkt widzenia, i dlatego to zapamiętałem. Kiedy odnajdzie się ten skradziony czas, powiedział pan, ma się w ręku mordercę.**

**–Naprawdę?**

**–Jasne – potwierdził z wesołym uśmiechem detektyw Jaworski.**

**–I o co mi właściwie chodziło?**

**Wesoły uśmiech spelzł bardzo powoli z twarzy detektywa Jaworskiego.**

–Chodziło panu o to... o coś w tym rodzaju, że... jeśli ktoś kradnie ten czas... no wie pan... i jeśli można go odzyskać... no to jakby...

Thomas położył detektywowi Jaworskiemu dłoń na ramieniu.

–Nie wiesz, co miałem na myśli. Ja też nie wiem, co miałem na myśli. Jeśli kiedykolwiek jeszcze zacznę wygadywać podobne dyrdymały, możesz mi wylać kawę na koszulę.

–Tak jest, poruczniku – odparł zdumiony detektyw Jaworski. – Tak jest, poruczniku. Jak pan każe – powtórzył po chwili.

Boyle wrócił do domu kwadrans po trzeciej. Wiedział, że czeka go długa noc, i chciał się upewnić, czy Megan ma wszystko, czego potrzebuje. Wjechał swoim caprice na pochyły podjazd przed domem i ostrożnie otworzył drzwi, żeby nie podrapać ich o betonowy murek.

Kiedy wspinał się po schodkach między rabatkami kołyszących się na wietrze żółtych i pomarańczowych pelargonii, otworzyły się oszklone frontowe drzwi i na zewnątrz wyszedł dozorca, pan Novato. Miał na sobie jak zwykle niebieską bawełnianą kurtkę oraz zielony krzykliwy krawat i bardziej niż kiedykolwiek przypominał mniej utalentowanego brata Placida Dominga. Z bliska załatywało od niego czosnkiem, lawendą i czymś jeszcze, czego Thomas nie mógł do końca rozpoznać – być może serem.

–Pan na długo, panie Boyle? – zapytał i nie trzeba było mieć doktoratu z socjologii, żeby domyślić się, jaki kierunek przybierze zaraz ich rozmowa.

–Najwyżej dwadzieścia minut.

Pan Novato spojrzał ponad jego ramieniem na auto.

–Chodzi o to, że blokuje pan podjazd innym lokatorom.

–Jeśli ktoś będzie chciał tu wjechać, niech pan do mnie zadzwoni i zaraz przestawię samochód.

–No nie wiem, panie Boyle. Przepisy przeciwpożarowe zabraniają parkowania jakichkolwiek pojazdów na podjeździe.

–Niech pan posłucha uważnie, co panu powiem – rzekł Thomas, starając się z wielkim trudem opanować. – Jestem policjantem i prowadzę właśnie bardzo ważne dochodzenie w sprawie o morderstwo. Zamierzam zostawić swój samochód tam, gdzie stoi, ale z radością go przestawię, jeśli w ciągu najbliższych dwudziestu minut ktoś będzie chciał z jakichś uzasadnionych względów skorzystać z podjazdu.

–Nie chcę mieć tutaj żadnych kłopotów, panie Boyle.

–Nie chce pan mieć kłopotów?

–Dokładnie tak, panie Boyle. Żadnych kłopotów.

–Jeśli nie chce pan mieć kłopotów, panie Novato, sprawa jest prosta. Niech pan nie mówi już więcej ani słowa.

Thomas wszedł do środka, zostawiając dozorcę tam, gdzie stał. Lubił prawie wszystko, co włoskie – kuchnię, muzykę, wino, modę – ale kiedy sprowadzili się tutaj przed trzema laty, nabrał prawie natychmiast antypatii do pana Novato, a on nie zrobił absolutnie nic, aby to zmienić. Był leniwym biurokrata, odznaczającym się szczególnie twórczym rodzajem głupoty. Gdyby Thomas nie potrzebował od czasu

do czasu jego pomocy przy przyjmowaniu wiadomości, transportowaniu Megan do samochodu i pilnowaniu jej, kiedy nie było go dłużej w domu, dawno już poskarżyłby się w administracji i wpłynął na jego zwolnienie.

No, może nie zwolnienie, ale naganę. Nawet niesympatyczni włoscy dozorczy muszą przecież z czegoś żyć.

Thomas wszedł do windy i nacisnął przycisk trzeciego piętra. Po raz pierwszy od kilku tygodni był naprawdę zmęczony. Czuł się tak wypompowany i pusty, jakby nie spał pod rząd przez dwie noce; przed oczyma latały mu plamy, uszy miał jakby zatkałe watą, a zatoki zablokowane choć suche. Zamknął oczy, oparł się o lustrzaną ścianę i czekał, aż winda zawiezie go na górę.

–Megan! – zawołał głośno, otwierając drzwi apartamentu numer trzysta trzy.

Zdjął marynarkę, powiesił ją na zarzuconym ubraniach wieszaku w holu, tuż obok oprawionego w ramę obrazu Jezusa i Marii Magdaleny, a potem wszedł do salonu. Siedziała przy oknie w fotelu na kółkach, patrząc na Commercial Street i North End Playground i trzymając w ręku notatnik. Brązowowłosa, piegowata i zielonooka, ze skrzywionym trochę czubkiem nosa i wystającą lekko górną wargą. Miała na sobie białą bluzkę z krótkimi rękawami i – jak zawsze – zawieszony na szyi krzyżyk. Podeszedł i pocałował ją.

–Jak twoje zajęcia terapeutyczne? – zapytał.

–Jak zwykle – odparła, zamykając notatnik i kładąc go na stole. „Jak zwykle” oznaczało: „były bolesne, męczące i nie dały cienia nadziei”. – Doktor Saul zastosował nowy środek znieczulający.

Podsunał sobie jedno z dwóch wysokich krzeseł, które stały po obu stronach sekretarzyka, i usiadł naprzeciwko niej. Ponieważ była przykuta do wózka inwalidzkiego, rzadko kiedy siadywał w fotelu, miał bowiem wtedy wrażenie, że się wyleguje, podczas gdy Megan musi sterczeć wyprostowana jak struna.

–Zapowiada się ciężka sprawa – powiedział. – Może powinnaś się przenieść na jakiś czas do Shirley.

Potrząsnęła głową.

–Tutaj mi dobrze. Czasami chcę być sama.

–Ale będę się o ciebie martwił. Wiesz o tym.

Dotknęła czubkami palców jego nadgarstka i pogładziła go w roztargnieniu, zataczając małe kółeczka.

–Nigdy dotąd się nie martwiłeś. Dlaczego miałbyś się martwić akurat teraz. Jestem tak samo sprawna jak przedtem.

–Jesteś bardziej sprawna – zapewnił ją. – Ale to jedno z tych dochodzeń, które wymagają mnóstwa godzin nadliczbowych, być może całych nocy spędzonych poza domem.

–Nie rób tyle hałasu o nic – powiedziała z nagłym jasnym uśmiechem. – Mam swoją telewizję. Mam swoją muzykę. Mam swoją książkę kucharską.

–Może Shirley mogłaby się przenieść do ciebie.

–Może Shirley wcale nie chce się tutaj przenieść.

Posłał jej ciepłe serdeczne spojrzenie i sam również nie mógł powstrzymać

uśmiechu.

–Ty uparta irlandzka dziewucho...

–Och, wcale nie jestem taka uparta – zaprotestowała. – Cenię sobie po prostu własną niezależność.

–Jasne – odparł; i nagle przypomniał sobie tę anonimową dziewczynę, związaną kolczastym drutem i leżącą na brzuchu na zakrwawionym łóżku. I poczuł ten zapach.

–Co się stało? – zapytała Megan.

–Nic.

–To ciężki przypadek, prawda? Ten, którym się zajmujesz.

–Tak, jest ciężki. Naprawdę nie wydaje mi się, żebym chciał o nim rozmawiać.

–To mogłoby pomóc, Tommy. Zawsze pomagało.

–Nie wydaje mi się, Megs. Nie tym razem. – Spuścił wzrok. Przeszła go gładzić i zacisnęła dłoń na jego przegubie.

–Opowiedz mi – poprosiła.

–Nie teraz, proszę.

–Opowiedz mi.

Ku swemu własnemu zaskoczeniu odkrył nagle, że płacze. Siedział wyprostowany na krześle, obrócony twarzą do Megan, a łzy spływały mu po policzkach i kapały na spodnie. Nigdy przedtem nie płakał z powodu morderstwa: ani z żalu nad ofiarą, ani nad samym sobą. Ale teraz łkał jak dziecko po raz pierwszy od siedemnastu lat.

–Gdybyś widziała, co jej zrobili – szepnął załamującym się głosem. Pochylił głowę, a Megan objęła go ramionami i pogładziła po włosach. – Nie potrafię zrozumieć, jak mogli...

Przycisnęła mocno do piersi jego głowę, starając się go uciszyć, Fotel skrzypiał cicho, kiedy kołysząc się lekko gładziła go po włosach, Często zastanawiała się, kiedy to się stanie. Kiedy dojdzie do załamania? Widziała tak wiele razy, jak z kamiennym wyrazem twarzy dusił to wszystko w sobie; albo przypatrywał się w lustrze swojej twarzy, przygryzając wargi. Zawsze wiedziała, kiedy zajmował się ciężkim przypadkiem: kobietą albo dzieckiem, albo szczególnie wyrafinowaną zbrodnią. Więcej wtedy palił, nie mógł usiedzieć w miejscu i wyglądał przez okno z dziką wściekłością uwięzionego w klatce zwierzęcia.

–Opowiedz mi – poprosiła ponownie.

Wyprostował się i wytarł oczy palcami, a potem wierzchem dłoni.

–Nie potrafię. Muszę to najpierw zrozumieć. W tej chwili w ogóle tego nie rozumiem. To nie pasuje do niczego, co znam. Nigdy się z czymś takim nie spotkałem. To nie są jakieś tam domowe porachunki. Ani robota yummiess. To coś naprawdę dziwnego. Tak jakbyś natrafiła w środku miasta na pogryzioną przez rekina ofiarę.

Megan знаła słówko „yummiess” – wymyślony przez Mike’a Bar – nicle’a z Boston Globe skrót określenia „young urban maggots”: „młode miejskie robactwo” – oznaczające najgorszego rodzaju lumpenproletariat, składający się w większości z młodych Murzynów i Latynosów, pozbawionych wszelkiej nadziei, dysponujących nieograniczonym dostępem do broni palnej i zdecydowanych wyniszczyć się

wzajemnie za pomocą pistoletów Uzi i cracka.

–Chcesz, żeby przygotować ci coś na noc? – zapytała. – Kupiłam trochę tej genueńskiej salami, którą tak lubisz; mogłabym ci zrobić włoskiego sandwicza.

Thomas potrząsnął głową.

–Jeśli zgłodnieję, kupię sobie hot doga.

–Jesteś pewien? A może chcesz zjeść coś teraz? Grzanki z serem? Małą kanapkę z kurczakiem?

Ponownie potrząsnął głową. Wciąż miał w nozdrzach ten okropny odór zgnilizny. Czuł jego smak na języku. Był pewien, że gdyby coś teraz zjadł, nie zdołałby odróżnić smaku sera od smaku trupa.

–Poradzę sobie, naprawdę. – Wskazał głową jej notatnik. – Daj spokój, nie zajmujmy się bez przerwy moją osobą. Zapomnijmy przynajmniej o wydziale zabójstw. Jak idzie praca nad książką kucharską?

–Naprawdę znakomicie. Właśnie wychodziłam, kiedy zadzwoniła Gina i dała mi wspaniały przepis na duszoną pieczeń.

–Czy to będzie jutro na obiad?

–Wiesz przecież, że muszę wszystko sprawdzić.

–Wcale się nie skarżę. Nikt w bostońskiej policji nie odżywia się tak dobrze jak ja.

– Wyciągnął rękę i uściśnął jej dłoń.

Megan uśmiechnęła się. Uwielbiał jej uśmiech. Od czasu jej wypadku kochał ją bardziej niż kiedykolwiek, ale bał się to wyznać: nie chciał, aby pomyślała, że mówi tak z litości, a nie by okazać prawdziwe uczucie. Zdawał sobie także sprawę, że jeśli wyzna jej miłość zbyt entuzjastycznie, Megan zacznie go podejrzewać o romans albo chęć przeżycia romansu, albo uzna, że po prostu wpadła mu w oko jakaś kobieta.

Kochał ją i wiedział, że nigdy nie przestanie jej kochać, ale był przecież zawsze ten fotel na kółkach, były zajęcia terapeutyczne i był ból. Kiedyś jeździła na nartach, pływała, biegała, tańczyła i uprawiała gimnastykę. Trzy lata temu pojechała któregoś dnia kupić gorczycę i pomidory na wiejskim targu, urządzonym na parkingu przy Webster Street i zeszła na chwilę, wesola i niecierpliwa, z chodnika. Wpadła pod załadowaną po brzegi ciężarówkę, która przejechała jej po plecach. Thomas był przekonany, że Megan umrze.

Nie umarła – ale wyszła ze szpitala sparaliżowana od pasa w dół. Powiedziała mu kiedyś – tylko raz – że właściwie lepiej byłoby, gdyby wówczas umarła. Nie powtórzyła tego jednak nigdy więcej i starała się potem żyć, jak mogła najlepiej.

Przed wypadkiem Meg Thomas zupełnie nie wyobrażał sobie, jaką męczarnią może być posiadanie sparaliżowanej żony w świecie ludzi, którzy potrafią chodzić. Nawet najbardziej błahy wyjazd na zakupy musiał być dokładnie zaplanowany z góry (gdzie zaparkują? czy po drodze nie ma zwykłych schodów, schodów ruchomych albo wahadłowych drzwi? czy są tam specjalne toalety?). Pierwszego dnia, kiedy wyszli razem na miasto, Thomas odkrył z przerażeniem fakt, że nagle stało się dla nich niedostępne dwie trzecie cywilizowanego świata.

Bliscy znajomi – w większości z policji – przyjaźnili się z nimi dalej. Niemniej ograniczyli tak bardzo życie towarzyskie, że mogli uważać się za szczęśliwych, jeśli

zdołali wybrać się gdzieś dwa razy w roku. Nawet siostra Meg Joan i jej wesóły mąż, Ray, rzadko kiedy zapraszali ich do Framingham. Kto naprawdę chce gościć przy własnym stole kobietę w wózku inwalidzkim? Ich zaproszenia również przyjmowane były bardzo rzadko. Megan mogła wciąż gotować jak anioł, ale goście nie wiedzieli, gdzie podziąć oczy, kiedy wwoziła pieczeń na specjalnej desce opartej o poręczę fotela. Tak jakby w jakikolwiek sposób zmieniało to jej smak.

Ale Thomas nie zdążył zgorzknieć z tego powodu; zbyt wiele czasu wypełniały mu przerażające morderstwa, zakupy i starania, żeby uczynić życie znośnym dla nich obojga. Nigdy do tej pory nie płakał. Nieraz pytał się w duchu, czy życie jest w porządku, ale jak dotąd nie udzielił sobie odpowiedzi.

Zatrzymał się na parkingu Newmarket przy skrzyżowaniu Massachusetts Avenue i Newmarket Square. Dochodziła czwarta po południu i na dworze panowała nieznośna duchota. Niebo było jasne, choć zasnute chmurami, a uliczny hałas wydawał się jakby stłumiony. Wysoka wilgotność powietrza sprawiała, że wszyscy wydawali się dziwnie senni: tak jakby występowali w jakimś surrealistycznym filmie, udając tylko, że śpieszą do swoich zajęć.

Zaparkował samochód, zamknął go i ruszył w stronę dymiącej budki z hot dogami, wciśniętej niezgrabnie między wiekowego lincolna i oblepionego nalepkami National Park Winnebago. Ezra „Speed” Anderson wyjmował już dla niego hot doga i oblewał go wszystkimi swoimi specjalnymi sosami. W zabrudzonych odciskami kciuka przeciwsłonecznych okularach Speeda Thomas widział dwa pomniejszone odbicia swojej sylwetki, ze skrzywioną przez soczewki wyciągniętą ręką.

–Jeden speed dog dla pana – oświadczył lakonicznie Ezra. – Wygląda pan, poruczniku, jakby musiał się pan trochę wzmocnić.

Thomas wyciągnął kilka banknotów i zapłacił mu.

–Trafił mi się ciężki przypadek, to wszystko.

–Świat to chore miejsce, poruczniku.

Thomas ugryzł kawałek hot doga. Sosy Speeda były w wystarczającym stopniu urozmaicone i ostre, żeby zagłuszyć smak śmierci. Wcale nie czując głodu, pracowicie żuł parówkę.

–Nie myśli pan, że powinienem otworzyć sieć? – zapytał Speed.

–Po co? – zapytał Thomas. – Ten twój wózek jest jednym z największych kulinarnych skarbów Bostonu. Chcesz to zepsuć otwierając własną sieć?

–No nie wiem – stwierdził Speed. – Czasami śnią mi się niewypowiedziane skarby.

–Niewypowiedzianym skarbem jest samo życie – odparł Thomas. – Nie potrzebujesz niczego więcej.



## ROZDZIAŁ IV

–Znowu miałem ten koszmar – powiedział Michael. Doktor Rice grał właśnie w star solitaire. Podniósł wzrok znad okularów, zacisnął wargi i milczał. Czekał, aż Michael powie coś więcej, ponieważ koszmarów było kilka. Był koszmar, który rozgrywał się w kostnicy, był koszmar o L-1011, otwierającym się niczym maciora, której rozcinają brzuch, był koszmar o drzewie, które zakwitło ludzkimi rękoma, i o dziewczynce, z której została tylko połowa.

I inne – niektóre wyraziste, o ustalonej treści, część tajemnicza i niejasna, a przerażające obrazy pozbawione były nazwisk i twarzy. Michael Rearden stanowił naprawdę ciężki przypadek: plątanina urazów, lęków i potwornych doznań, które nękały go tak uparcie, że każda nitka jego psychiki była bliska zerwania.

Doktor Rice próbował wyleczyć wszystkie urazy Michaela od ponad roku, nie była to jednak łatwa sprawa. Kiedy tylko udawało mu się uporać z jednym koszmarem, natychmiast przyplątywał się następny. Ale doktor Rice był nie tylko utalentowany, także nieskończenie cierpliwy, i oceniał, że po czterech albo pięciu latach terapii Michael dojdzie w końcu do stanu umysłowej równowagi, w jakiej pozostawał, kiedy po raz pierwszy wylądował na pokładzie helikoptera w Rocky Woods: gorliwy, ambitny i zupełnie nie przygotowany do jednej z najgorszych katastrof, jakie wydarzyły się w ciągu ostatnich lat w cywilnym lotnictwie.

Przeżywanie na nowo koszmarów a uporanie się z nimi to były oczywiście dwie różne rzeczy. Na tym etapie leczenia Rearden odtwarzał po prostu swoje wizje raz po raz, nie czyniąc wyraźnych emocjonalnych postępów.

–Koszmar kiedy spadam – wyjaśnił Michael. – Ten z ciałem dziewczynki.

Doktor Rice zawahał się przez chwilę nad planszą, a potem wziął do ręki ostatni pionek, który mógł z niej usunąć.

–Zostały trzy – stwierdził. – Dlaczego zawsze zostają z co najmniej trzema?

–Nie wydaje mi się, żebym robił jakieś postępy – powiedział Michael. – To ten sam koszmar, tak samo wyraźny. Tak samo przerażający. Próbuję sobie z tym poradzić, ale nie chce sobie z tym poradzić mój umysł. Mam wrażenie, jakbym sam siebie chciał ukarać.

–To nie jest wcale takie niezwykle – wyjaśnił doktor Rice. – Rozmawialiśmy już o tym wcześniej, prawda? Częścią twojego problemu jest syndrom ocalonego. Syndrom łaski Bożej, jak nazywa go doktor Leavis. Uczestniczyłem w tym, ale z łaski Bożej ocalałem... i czuję się z tego powodu winny!

–Nie byłem nawet pasażerem tego samolotu – zaprotestował Michael.

Doktor Rice potrząsnął głową.

–To nieważne. Widziałeś zabitych ludzi. Widziałeś roztrzaskane szczątki niewinnych kobiet i dzieci. Stąpałeś między nimi, a jednak nie stało ci się nic złego.

Michael wstał z niewygodnego krzesła z chromowanych, opiętych płótnem rurek. Doktor Rice starannie poustawiał z powrotem wszystkie pionki i nie podniósł nawet wzroku, kiedy jego pacjent przemierzył gabinet i wyrzwał przez pionowe żaluzje na ulicę. Z okna widać było tylko zaparkowaną żółtą furgonetkę z wymalowanym z boku napisem „Aal's Transmissions” i róg restauracji Contented Cod z czerwonymi

perkalowymi zasłonami i pomalowaną na biało imitacją kolonialnej werandy. Zobaczył także śpiącego na słońcu rudego psa, trójkołowy rowerek z czerwoną chorągiewką i koszyk wypełniony warzywami, chlebem, sałatą i lucky charms. Dziwnie opustoszała sceneria. Ulicą nie przejeżdżał żaden samochód, nie przechodził żaden pieszy. Przypominało mu to jeden z obrazów Edwarda Hoppera.

Doktor Rice cierpliwie czekał. Stać go było na cierpliwość. Terapię Michaela opłacało Plymouth Insurance, w ramach odszkodowania za utratę zdrowia, i wyłącznie od doktora Rice'a zależała decyzja, kiedy ją zakończyć. A doktor pokładał wielką wiarę w efekty hipnoterapii, ale również w stały dopływ gotówki.

–Powolny, ale ciągły postęp jest lepszy od sporadycznych spektakularnych skoków – oznajmił swemu maklerowi, kiedy grali razem w golfa w Dunfay's Hyannis Resort. Ale nie był hipokrytą: naprawdę wierzył, że Michaela uda się wyleczyć tylko dzięki stopniowej, solidnie podbudowanej akceptacji tego, co przeżył.

Któregoś dnia Rearden będzie musiał przyznać, że oglądanie skutków tragedii nie jest tym samym co jej spowodowanie. Ludzie spadali z nieba, zgadza się. Zginęły dzieci. Cała okolica usłana była najbardziej intymnymi i drogocennymi szczątkami setek ludzi. Ale nie było w tym jego winy. Proces ozdrowieńczy mógł zacząć się, dopiero kiedy to zrozumie – dopiero kiedy naprawdę pogodzi się ze swoją niewinnością. Do tego czasu doktor Rice mógł co najwyżej oświetlać drogę przed zmagającym się z cieniami swych koszmarów Michaeliem – i żywić nadzieję, że jego pacjent zmierza we właściwym kierunku.

–Nie wydaje ci się, że ten koszmar mogło wywołać coś konkretnego? – zapytał doktor. – Coś, co przeczytałeś albo zobaczyłeś w telewizji? Czy też pojawił się całkowicie niezależnie?

–Chcą, żebym wrócił – powiedział Michael. – Chcą, żebym to znów robił.

–Kto chce? Kogo masz na myśli?

–Joe Garbodena z Plymouth Insurance. Wpadł do mnie wczoraj. Bez zapowiedzi, zupełnie niespodziewanie. Powiedział, że potrzebują pomocy w związku z katastrofą tego helikoptera... wie pan, tego, w którym zginął John O'Brien i jego rodzina.

–Tak – odparł doktor Rice. – Oczywiście, że wiem. Ale dlaczego właśnie ty? Michael wzruszył ramionami.

–Uważają chyba, że mam jakieś szczególne predyspozycje.

–Ale... daj spokój, przecież wiedzą, że wciąż poddajesz się terapii.

–Nie wydaje się, żeby ich to obchodziło. Jedyne, która ich martwi, to konieczność wybulenia milionów dolarów.

–Mają na pewno mnóstwo wykwalifikowanych inspektorów, którzy potrafiliby zrobić to tak samo dobrze jak ty.

Michael posłał ostatnie długie spojrzenie przez okno.

–Wygląda na to, że są innego zdania.

Doktor Rice wstał. Był bardzo wysoki – co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu – i tak chudy, jakby cierpiał na jakąś ciężką, śmiertelną chorobę, chociaż w istocie (nie licząc wątroby wyniszczonej zażywaniem w wieku dwudziestu lat narkotykami i alkoholem) cieszył się doskonałym zdrowiem. Farbowaną grzywę czarnych włosów

zaczęsywał do tyłu, wysoko nad kościstym końskim czołem. Oczy miał tak blade, że wydawały się bezbarwne, niczym wymyte morzem kamienie; ale nie brakowało im wyrazu: były pełne ognia, werwy, intelektu i ciepła. Całości dopełniały wystające kości policzkowe i kościsty, wąski nos.

Był ostatnim Mohikaninem, niedobitkiem złotych lat sześćdziesiątych. Po ukończeniu psychologii na University of Massachusetts w Columbia Point wyjechał na zachód i przez długi czas przemieszczał w Sandstone, Carmelu i Haight Ashbury. Spędzał lunatyczne, zawieszane ponad czasem i przestrzenią noce razem z Timothyem Learym, Kenem Keseyem i mistykiem z plemienia Yaki, który pokazał mu czaszkę, pasującą do każdej ludzkiej twarzy. W pewnym momencie bliski był zrozumienia Boga. Któregoś ranka obudził się w Balboa Park w San Diego, niewiarygodnie spragniony i głodny jak wilk, i zrozumiał, że skończyły się dla niego dni objawienia. Nadeszła pora, żeby wrócił na Cape Cod, zajął się matką, otworzył porządną praktykę i zamienił ozdobioną kwiatami furgonetkę volkswagena na nowego mercedesa benza w złotym kolorze metallic. Obecnie, po dwudziestu latach, miał wytworny i przynoszący wysokie dochody gabinet w Hyannis i pomagał wyjść z kompleksów wpływowym, zaabsorbowanym samym sobą albo po prostu porządnie znudzonym bogaczom.

–Nie mogą cię przecież zmusić, żebyś wrócił – powiedział bardzo łagodnym głosem, opierając długie palce na ramieniu Michaela.

–Nie, nie mogą – skrzywił się Micheal. – Ale może mnie zmusić nędza.

–Ile ci proponują?

–Trzydzieści tysięcy plus pół procenta.

–Wydaje mi się, że twoja równowaga psychiczna jest warta więcej niż trzydzieści tysięcy plus pół procenta. Nie sądzisz?

–Nie wiem. Chyba tak. Ale czasami wydaje mi się również, że powinienem tam wrócić... że nigdy nie dojdę do siebie, jeśli nie stawię temu czoła.

Doktor Rice uniósł brew.

–Nie sądzę, żebyś naprawdę zdawał sobie sprawę z ryzyka. Możesz doznać urazów, których nie uda się już wyleczyć. Skończysz jako zamożny, dysponujący całym naręczem kart kredytowych czubek.

Michael nie odpowiedział. Już teraz czuł się jak czubek. Od chwili kiedy Joe Garboden zapytał go, czy pamięta Rocky Woods, miał wrażenie, że jego umysł zapada się stopniowo pod własnym ciężarem.

–Chcesz wejść w trans? – zapytał doktor Rice.

–Myśli pan, że to coś rozwiąże?

–Może pomóc ci ocenić ryzyko. Możesz odkryć, dlaczego odczuwasz potrzebę powrotu. Ale musisz pamiętać, że celem tej całej terapii jest udzielenie ci pomocy w wyjściu poza własne doświadczenie, w nadaniu mu właściwych proporcji. Uwierz mi, to złudzenie, że przeżycie na nowo urazu może pomóc w uporaniu się z nim. Tak dzieje się tylko w kinie. Najlepszym sposobem uporania się z urazem jest zlokalizowanie uszkodzonej części twojej psychiki i ustalenie, co można zrobić, żeby ją naprawić.

Michael przez chwilę się zastanawiał. Po drugiej stronie ulicy mała ładna dziewczynka w czerwono-białych pasiastych szortach wsiadła na trójkołowy rowerek i powoli odjechała. Wyglądała, jakby śpiewała, ale nie słyszał ani słowa. Śpiący pies nawet się nie poruszył.

–Dobrze – powiedział. – Niech pan mnie zahipnotyzuje.

–Jesteś pewien?

–Jestem pewien, że jestem pewien.

Usiadł na płóciennym krześle. Na ścianie obok umieszczony był jaskrawo oświetlony blikujący certyfikat z Die Akademie der Hypnotismus und Mesmerismus w Wiedniu, stwierdzający, że doktor David Walden Rice ukończył w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym kurs hipnoterapii. Niżej wisiała wywołująca nieokreślony niepokój reprodukcja obrazu Charlesa Sheelera, przedstawiająca najwyższy pokład oceanicznego liniowca – pusty niczym ulica za oknem, z drobiazgowo odwzorowanymi białymi relingami, wentylatorami i kablami. Opustoszała sceneria przesycona wyczekiwaniem, że coś się wydarzy.

Doktor Rice pociągnął za łańcuszek zamykający pionowe żaluzje i znaleźli się nagle w brązowym, ciepłym cieniu.

–Wygodnie ci? – zapytał; ale ponieważ zadawał to pytanie tyle razy, Michaelowi zwyczajnie nie chciało się na nie odpowiadać. – Rozstaw trochę szerzej nogi. O właśnie. Teraz połóż lewą rękę na lewym kolanie, wewnątrz dłoni w górę, i połóż prawą rękę na lewej, również dłonią w górę.

Rearden zdążył już to dawno zrobić. Doktor Rice podszedł bliżej i Michael poczuł zapach tytoniu, którym przesiąknięte było ubranie lekarza, i tego zalatującego goździkami płynu po goleniu, którego terapeuta zawsze używał. Doktor dotknął koniuszkami palców jego czoła.

–Jesteś bardziej napięty niż zwykle – powiedział. – Odpręż się. Przysuń łokcie do boków, ale niezbyt blisko. Pokręć trochę głową, pozwól rozluźnić się mięśniom szyi.

Po krótkiej chwili sięgnął do kieszeni swojej kraciatej zielonej koszuli i wyjął stamtąd mały metalowy krążek, trochę większy od ćwierćdolarowej monety. Ostrożnie i prawie z czcią – tak jakby to był płatek komunii – położył go na otwartej dłoni Michaela. Skrajna część krążka zrobiona była z matowego szarego cynku, a środek z błyszczącej miedzi.

–Skup wzrok na środku krążka – polecił doktor Rice – na jego miedzianej części... wpatruj się bez przerwy w miedziany środek... nie pozwól oderwać się od niego swoim oczom.

Za każdym razem kiedy doktor Rice zaczynał go hipnotyzować, Michael był przekonany, że tym razem mu się to nie uda. I dzisiaj nie czuł wcale zmęczenia, miał natomiast wrażenie, że stawia znacznie większy niż zwykle opór. W jaki sposób doktor Rice mógł go uspić każąc mu się po prostu wpatrywać w cynkowo-miedziany krążek? Pamiętał jednak, że ten mały przedmiot okazał się skuteczny i wcześniej. Setki razy wprowadzał go w sen; w ciemność, która leżała za tym snem; a potem jeszcze głębiej: w ów Mariański Rów ludzkiej podświadomości, gdzie w prawie totalnym mroku unosiły się dziwne kształty i emocje – kształty i emocje, które nigdy

nie powinny ukazać się w jasnym świetle dnia.

To wszystko sprawiało, że krążek nabrał w jego oczach prawie świętej mocy – był talizmanem, magicznym artefaktem. Chociaż nie wierzył w to do końca, czuł, że otacza go pewna mistyczna aura. Przypominał przynoszącą szczęście szklaną, zielonkawą figurkę marynarza, którą bawił się w szkole. W gruncie rzeczy nie sądził, by figurka mogła przynieść mu szczęście; ale zawsze zaciskał ją w rękę, gdy zapadało jakieś ważne rozstrzygnięcie; i był niepokieszony, kiedy ją zgubił.

–Czujesz, że chce ci się spać – mówił rzeczowym tonem doktor Rice. – Nie opieraj się temu uczuciu. Pozwól, żeby cię ogarnęło tak szybko, jak to możliwe. Kiedy powiem, żebyś zamknął oczy, zamknij je.

Doktor zaczął raz po raz przesuwając w dół otwartymi dłońmi przed jego twarzą. Za każdym razem dłonie przybliżały się coraz bardziej, aż w końcu dotknęły niemal rzesz Michaela.

–Zaczynasz się czuć senny – kontynuował doktor spokojnym monotonnym tonem, którym posługiwał się za każdym razem, kiedy hipnotyzował Michaela. – Zaczynasz się czuć senny. Twoje oczy są zmęczone. Powoli tracisz czucie w nogach i w rękach. Twoje ciało zaczyna odpoczywać. Zasydasz. Za minutę będziesz spał. – Dotknął palcami powiek Reardena i delikatnie je zamknął. – Twoje oczy są zamknięte – mruknął. – Uświadamiasz sobie, że nie możesz ich otworzyć. Będziesz teraz spał, głęboko spał. Śpisz już w tej chwili. Nie możesz otworzyć oczu. Są mocno zamknięte.

Michael stwierdził, że w pokoju robi się coraz ciemniej. Tym razem zdecydowany był nie zasypiać. Ale ciemność była taka ciepła i przyjemna, a on trzymał przecież cynkowo-miedziany krążek, który go prowadził; i nie miało w końcu większego znaczenia, jeśli się na chwilę zdrzemnie. Doktor Rice nawet się nie zorientuje. Mógł zasnąć na kilka sekund, żeby się odświeżyć, a potem z powrotem otworzyć oczy – nie sprawi to przecież większej różnicy. W gruncie rzeczy nigdy nie wierzył w hipnozę. Prawie po każdym seansie z doktorem Rice'em czuł się lepiej, ale nie aż tak bardzo, żeby w nią uwierzyć, i nigdy nie pamiętał tego, o czym śnił albo fantazjował.

Spróbował otworzyć oczy – po to tylko, aby pokazać doktorowi Rice'owi, że wcale nie śpi – ale stwierdził nagle, że nie potrafi tego zrobić. Jego umysł nie mógł najwyraźniej znaleźć przełącznika, który podnosił powieki. Wciąż słyszał monotony głos lekarza.

–Teraz twoje oczy są mocno zamknięte; zaraz zaśniesz, mocno zaśniesz...

Choćby nie wiadomo jak bardzo wykrzywił twarz, oczy nie chciały się otworzyć. Boże – pomyślał. – Jestem ślepy. Bezbronny. Chciał coś powiedzieć. Chciał powiedzieć doktorowi Rice'owi, żeby przestał, ale usta również odmówiły mu posłuszeństwa. Jego krtań nie chciała po prostu wymówić ani jednego wyrazu.

Mimo że miał zamknięte oczy i nie potrafił ich otworzyć, zobaczył nagle jasny błysk różowego światła. Widział je za każdym razem, kiedy terapeuta sprowadzał go w dół, ale wciąż nie rozumiał, skąd się brało. Przez chwilę świeciło się niczym zorza polarna, a potem znikło, tak jak zniknęło przedtem.

Następnie – po tym jasnym błysku – poczuł, jak osuwa się w dół. Zapadał się z początku powoli, niczym człowiek, którego płuca stopniowo wypełniają się

atramentem. Ale później zaczął się osuwać coraz szybciej i szybciej w bezkresny mrok swojej podświadomości – w ten świat, gdzie mógł rozmawiać z dręczącymi go zmorami i gdzie przyoblekały się w ciało jego najgorsze lęki.

–Głębiej i głębiej... – słyszał głos lekarza. – Zapadasz się coraz głębiej w sen. – Przemawiał do niego niczym człowiek pochylający się nad trzydziestometrową studnią.

Michael wiedział dobrze, gdzie się znajduje – siedział w gabinecie doktora Rice'a, na jego płóciennym krześle. Mimo to znajdował się równocześnie z powrotem we własnym domu. Stał w kuchni, popijając ciemno paloną kawę Folgera z kubka z napisem „Ross Perot na prezydenta”. Na stole kładły się ukośne promienie porannego słońca, za oknem, nad plażą New Seabury wirowały szarpiąc się niespokojnie na linkach czerwono-białe latawce, co jakiś czas żałośnie klekotała okienna rama. Jonas siedział pochylony nad talerzem z płatkami – jego zmierzwiłone włosy połyskiwały w słońcu – a Patsy stała przy zlewku, w różowym bawełnianym szlafroku, tym z rozerwanym koronkowym kołnierzykiem.

–Czy myślałeś o tym chociaż trochę? – zapytała go niewyraźnym, bełkotliwym głosem. O tym, to znaczy o śmierci. O tym, to znaczy o zwłokach Johna O'Briena. O tym, to znaczy o ludziach spadających niczym ciężki grad z nieba i o wypalonym wnętrzu helikoptera.

Patsy odwróciła się i z jakiegoś powodu nie mógł skupić wzroku na jej twarzy, chociaż wiedział ponad wszelką wątpliwość, że to ona.

–Zastanawiałem się nad tym przez całą noc – odparł, kiwając głową. Jonas podniósł głowę i Michael stwierdził, że nie widzi dobrze również jego twarzy.

–Tato... czy mógłbyś naprawić mi tylny hamulec, kiedy wrócisz z Hyannis? Ociera się o koło. – A potem podniósł ponownie głowę. – Ociera się o koło – powtórzył. I jeszcze raz podniósł głowę. – Ociera się o koło – powiedział.

Tak, powinien doprowadzić rower Jonasa do porządku, ale zanim zdążył odpowiedzieć, Patsy zapytała go ponownie: – Czy myślałeś o tym chociaż trochę? – i zdał sobie sprawę, że tkwi uwięziony w pętli pamięci, odgrywając bez przerwy te same sceny, nie będąc w stanie posunąć się ani kroku dalej.

Miał właśnie zamiar wspomnieć Patsy coś o Joe Garbodenie, kiedy zorientował się, że wcale nie stoi już w kuchni, ale jedzie do Hyannis drogą wzdłuż Popponosset Beach. Nie wiedział, dlaczego wybrał akurat tę trasę. Powinien raczej pojechać do South Mashpee i skręcić tam w szosę numer dwadzieścia osiem. Jadąc przez Popponosset nadrabiał niepotrzebnie drogi. Mimo to czuł niejasno, że ma się tam z kimś spotkać, chociaż nie miał najmniejszego pojęcia, kto to może być.

Najdziwniejsze było to, że jadąc wciąż stał, tak jakby dalej znajdował się w kuchni. Z boku przesuwało się oświetlone słońcem wybrzeże Popponosset Bay – jasne i wyprane z kolorów, niczym efekty specjalne z taniego filmu z lat sześćdziesiątych.

–...spotkamy się później – mówił cichy oschły głos w samochodowym radiu. – Zgadza się. Nie powiedział nic więcej.

Minął Popponosset Inn, kryty dachówkami pawilon z werandą i kłaniającymi się na wietrze parasolami w paski. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi obserwującego

go, wysokiego mężczyznę w szarym garniturze stojącego przy balustradzie, ale kiedy odwrócił się, by spojrzeć w to samo miejsce, mężczyzna zniknął i na werandzie dostrzegł tylko młodą parę w białych koszulkach polo.

Coś się jednak zmieniło. Coś, co wytrącało go z równowagi. Nie pojmował, skąd o tym wie, ale był przekonany, że mężczyzna w szarym garniturze zobaczył go i że ma zamiar go ścigać. Obracał się na wszystkie strony, ale nikogo nie widział. Mimo to wiedział, że mężczyzna go ściga i chce zrobić mu coś naprawdę złego.

Czuł, jak ogarnia go lęk. Niebo nad Popponosset Bay gwałtownie pociemniało; białe szczyty fal błyszczały w mroku niczym zęby dzikich głodnych psów. Zerwał się wiatr; Michael czuł na policzkach jego sypiący ostrym piaskiem, ciepły, słony powiew.

Mężczyzna czekał na niego na plaży. Dziwne, ale nie wyglądała ona już wcale jak Popponosset Beach, tylko jak jakieś zupełnie inne miejsce – miejsce, które Michael na pewno widział już w przeszłości, ale którego nie potrafił zlokalizować. W oddali widział porośnięty zaroślami cypel, rząd pomalowanych na zielone kolonialnych domów i skały, które przypominały mu mocno Popponosset. Ale była tam również przysadzista, otynkowana na biało latarnia morska; a przecież wiedział, że na Popponosset nie ma takiej latarni i nigdy nie było.

Jego samochód rozplynął się w powietrzu. Szedł teraz w adidasach po suchym, osypującym się piachu. Słyszał całkiem wyraźnie odgłos przyboju i wysoki gwizd przywołującego psa mężczyzny.

–...spotkamy się później – rozległo się bardzo blisko jego ucha; ale Michael był zbyt przerażony, żeby odwrócić głowę i zobaczyć, kto to mówi. – Spotkamy się później... ociera się koło...

Po jego prawej stronie niebo nad Atlantykiem nabrało złowróźbnej czarnej barwy; wiał tak silny wiatr, że piasek smagał go po kostkach niczym wściekłe węże. Słyszał, jak bije jego własne serce, jak unoszą się i opadają płuca – słyszał nawet cichutkie wyładowania elektryczności w końcówkach nerwów. Wysoki, szary mężczyzna wciąż czekał na niego na skraju plaży i Michael czuł, jak ogarnia go coraz większy lęk. To była przecież tylko hipnoza; tylko sugestywna terapia. Zdawał sobie sprawę, że to tylko hipnoza, mimo że tak wyraźnie wszystkiego doświadczał. Wiedział, że wciąż siedzi w gabinecie doktora Rice'a.

Ale w oddali stał ten wysoki mężczyzna, który nie przypominał nikogo, kogo Michael znał i kogo mógłby sobie kiedykolwiek wyobrazić. Nie pojawił się dotychczas w żadnym z jego hipnotycznych transów. Mimo to jego obecność była tak intensywna, że Michael czuł niemal jej smak – podobny do smaku miedzi, pioruna i czegoś jeszcze: metalicznego smaku ludzkiej krwi. Nigdy przedtem go nie widział. Był tego całkowicie pewien, mimo że poznawał przysadzistą białą latarnię i wyludnioną, porośniętą kępami traw plażę.

–Spotkamy się później.

Bardziej jednak niż cokolwiek innego denerwował Michaela fakt, że nie mogąc się powstrzymać szedł temu mężczyźnie na spotkanie. Jego nogi poruszały się zupełnie niezależnie: kroczyły szybko, jakby nie miał nad nimi żadnej władzy i niosły go coraz

bliżej i bliżej, mimo że jego umysł wypełniała, niczym napływająca do butelki czarna krew, coraz silniej odrętwiające go przerażenie.

Mężczyzna miał białe jak śnieg, długie, jedwabiste włosy. Nosił je zaczesane do tyłu, ale niektóre z nich unosiły się w wiejącym od morza wietrze. W pociągłej, wyrazistej twarzy tkwił prosty, wąski nos, wystające kości policzkowe i ciemne, władcze oczy. Był w gruncie rzeczy przerażająco przystojny – należał do tych osobników, w obecności których mężowie obejmują obronnym gestem swoje żony.

Jego długi, drogi płaszcz z jasnoszarej, delikatnie tkanej wełny falował i łopotał na wietrze i Michael nie mógł się oprzeć wrażeniu, że mężczyzna unosi się kilka centymetrów nad ziemią – wrażeniu, które wzmacniał dodatkowo fakt, że nie było widać wokół niego śladów stóp. Ślady musiał oczywiście zasypać wiatr, tłumaczył sobie Michael, podchodząc coraz bliżej. Niemniej mężczyzna wciąż wydawał się unosić nad ziemią. Nie tylko unosić się, ale również cofać, tak jakby wciągał Michaela coraz dalej i dalej w stronę wydmy, skał i przysadzistej białej latarni na szczycie klifu.

Michael zacisnął zęby i napiął mięśnie ramion, starając się z całej siły powstrzymać od podążania w tym kierunku. Wiedział, że idzie plażą, ale jednocześnie wiedział także, że wygina chromowane poręcze krzesła w gabinecie doktora Rice'a, walcząc o to, żeby nie ruszyć się z miejsca.

–Chodź, Michael – zachęcał go mężczyzna. Miał tak cichy głos, że Rearden nie był pewien, czy naprawdę coś do niego mówi, czy to tylko zwodniczy szept przyboju. – Powinieneś się do nas przyłączyć, Michael. Powinieneś się do nas przyłączyć. Moglibyśmy ci wybaczyć. Moglibyśmy nawet dać ci rozgrzeszenie.

Michael stęknął głucho, próbując zatrzymać się w miejscu. Mięśnie miał napięte tak mocno, że bolały go plecy i wydawało mu się, że nigdy już nie zdoła rozewrzeć zaciśniętych kurczowo szczęk.

Ale mimo wszystkich wysiłków nadal na pół sunął, na pół dreptał w stronę wydmy, przy której stał mężczyzna; i udało mu się zatrzymać dopiero, kiedy znalazł się od niego nie dalej jak metr.

Mężczyzna obierał ostrymi paznokciami owoc limony. Stał, obserwując Reardena, a na jego twarzy malowały się mieszane uczucia: ciekawość, pogarda, nawet jakby cień sympatii. Michael próbował się cofnąć, ale nie mógł zebrać w sobie dość sił. Wysoki, szary mężczyzna chciał, żeby tutaj przyszedł i liczyło się tylko to, nic więcej. Rearden otworzył i zamknął oczy, uświadamiając sobie, że nigdy jeszcze nie przeraziła go tak bardzo żadna ludzka istota. Bał się tak straszliwie, że nie mógł nawet oddychać.

Kimkolwiek był, czegokolwiek chciał, ten człowiek był wcieloną śmiercią. I co najstraszniejsze, Michael wiedział o tym ze stuprocentową pewnością.

–Czy przez resztę swego życia chcesz żyć ucięty w połowie? – szepnął mężczyzna niemal ze smutkiem w głosie. – Czy chcesz, żeby wszystkie twoje marzenia i wszystkie twoje ambicje przesypały ci się między palcami jak piasek?

Skończył obierać limonę i podniósł w górę trzepoczący na wietrze cienki korkociąg ciemnozielonej skórki. A potem wbił głęboko zęby w owoc i nawet się nie skrzywił.



–Powinieneś mnie znać, Michael – powiedział, nie zwracając uwagi na płynący mu po podbródku sok. – Nazywam się...

Michael zacisnął dłonie na uszach. Nie chciał słyszeć, jak się nazywa ten człowiek. Jeśli usłyszy jego nazwisko, wtedy będzie wiedział na pewno, że istnieje on w rzeczywistości. A jeśli istnieje w rzeczywistości, będzie mógł go ścigać, nie tylko w snach, koszmarach i podczas seansów hipnotycznych, ale również na jawie: jadąc za nim samochodem i idąc ulicą, aż w końcu stanie przed jego drzwiami, a Michael otworzy je i zobaczy go – wysokiego, ubranego na szaro i budzącego trwogę.

On chce mnie zabić – pomyślał. – Gdzieś, kiedyś spotkam go i kiedy to się stanie, zabije mnie. Gdyby mógł, zabiłby mnie pewnie już teraz, na tej plaży, w tym gabinecie z szumiącym morzem i hałasem ruchu ulicznego za oknem.

–Nie chcesz żyć ucięty w połowie, prawda? – szepnął z uśmiechem mężczyzna. A potem powiedział: – Obudź się! – I: – Możemy oczyścić cię z całej winy, wiesz o tym.

–Obudź się, Michael. Gdy doliczę do sześciu, chcę, żebyś otworzył oczy i spojrzał na mnie; i wtedy będziesz zupełnie przebudzony. Będziesz pamiętał wszystko, o czym myślałeś, i natychmiast mi o tym opowiesz.

–Co? – zapytał Michael. Nie rozumiał, co się dzieje.

–Obudź się – powtórzył doktor Rice i dopiero wtedy Michael rozejrzał się i uświadomił sobie, która z równoległych rzeczywistości jest stuprocentowo prawdziwa. Ucichł szum morza i zniknął gdzieś wysoki, ubrany na szaro mężczyzna. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, był obraz niskiej, białej latarni, który pozostawił ciemny, trójkątny kształt na jego siatkówce i rozpląnął się dopiero po jakichś dziesięciu sekundach.

Doktor Rice sprawiał wrażenie mocno zaniepokojonego.

–Dobrze się czujesz, Michael?

Rearden zamrugał oczyma. Chociaż żaluzje były zaciągnięte, wydawało mu się, że gabinet wciąż wypełnia jaskrawe światło.

–Tak, oczywiście... chyba tak. To jedna z najbardziej zwariowanych sesji, jakie kiedykolwiek miałem.

–Nie musisz mi mówić. Spójrz na poręcze krzesła.

Michael uniósł ostrożnie ręce i zbadał obie chromowane poręcze. Prawa, jeszcze niedawno zupełnie prosta, wygięta była teraz w kształt litery „S”. Lewa, nieco mniej zniekształcona, miała dwa wyraźne wygięcia. Rozdarty był również kawałek płótna.

–Co się stało? – zapytał z niedowierzaniem. – Co ja takiego robiłem?

–Szarpałeś się, wykręcałeś i wrzeszczałeś, próbując zamienić w precel moje najlepsze krzesło od Oggettiego. Oto co się stało – odparł doktor Rice.

Michael ujął dwoma rękoma jedną z poręczy. Próbował ją przez chwilę bezskutecznie wyprostować, a potem posłał lekarzowi zakłopotane i zdumione spojrzenie.

Ten wzruszył ramionami.

–Nie wydaje mi się, żebyś był w stanie to naprawić. Jak wiesz, większość wprowadzonych w głęboką hipnozę ludzi przejawia zwiększoną siłę, ale ty naprawdę przekroczyłeś wszelkie granice. To krzesło jest z sześciomilimetrowych stalowych

rurek. Żeby wygiąć te poręcze, potrzebowałbyś normalnie ciężkiego klucza.

–Próbowałem się zatrzymać – wyjaśnił Michael. – Próbowałem przestać iść, przestać iść w stronę... – przerwał nagle, uświadamiając sobie, że jego koszula jest mokra od potu, mimo klimatyzacji, i że cały drży, niczym człowiek, którego wydobyto z rozbitego doszczętnie samochodu.

Kłopot polegał na tym, że nie rozumiał, dlaczego ten seans był tak męczący; ani dlaczego był tak bolesny. Śniło mu się, że spotkał na plaży wysokiego, ubranego na szaro faceta – ale nic więcej nie pamiętał. Nie wiedział nawet, dlaczego tamten go tak przestraszył, chociaż to, że go przestraszył, pamiętał bardzo dobrze. Miał nadzieję, że ten człowiek nie przyśni mu się nigdy więcej.

–Chcesz mi o tym opowiedzieć? – zapytał doktor Rice, przysiadając na skraju biurka.

–Nie wiem. Nie wiem, czy to ma jakiś związek z Rocky Woods.

–Ale na pewno tobą wstrząsnęło. Wyginałeś to krzesło i wrzeszczałeś jak szaleniec.

–Wrzeszczałem? Co takiego wrzeszczałem?

Doktor Rice wstał, podszedł do swego magnetofonu marki Bang Olufsen i cofnął taśmę.

–To coś zupełnie dla ciebie nietypowego. Przemawiałeś kilkoma różnymi głosami. Mam całkiem pokaźną liczbę pacjentów, którzy mówią trzema albo czterema różnymi głosami. To dość częsty symptom głębokiego urazu emocjonalnego. Wiele osób jest do tego stopnia wytrąconych z równowagi tym, czego doświadczyli, że potrafią się z tym uporać wyłącznie oglądając to oczyma innych ludzi; albo swoimi własnymi oczyma, kiedy byli jeszcze dziećmi. Dlatego używają różnych głosów. Ale ty do tej pory byłeś zawsze jednogłosowy.

–Co czyniło ze mnie całkiem pocziwego nudziarza, prawda? Doktor Rice się uśmiechnął.

–Uwierz mi, to w poważnym stopniu ułatwiało terapię. Kiedy mamy do czynienia z wieloma głosami, samo odróżnienie jednego od drugiego może zająć terapeutę kilka lat. W zeszłym roku miałem pewnego faceta... białego... który w transie przemawiał zawsze głosem Eddiego Murphy’ego. Jak się w końcu okazało, doszedł do wniosku, że tylko ktoś taki jak Eddie Murphy potrafi dostrzec zabawną stronę tego, co zrobił. On sam nie był jakoś w stanie się z tego śmiać.

–A co takiego zrobił? – zapytał Michael.

–Och... oblał swoją żonę i dzieci benzyną i podpalił je.

–Jezus.

Doktor Rice znalazł na taśmie początek sesji.

–Masz, posłuchaj tego.

Rozległ się krótki syk i Michael rozpoznał swój własny głęboki oddech. Trwało to jakieś dwie albo trzy minuty; w tle słychać było szelest papierów i kroki przechodzącego przez gabinet doktora Rice’a.

A potem, bez ostrzeżenia, usłyszał dziwny, wysoki głos, podobny do kobiecego, ale trochę twardszy.

–Czy myślałeś o tym chociaż trochę? Rearden posłał doktorowi zdumione spojrzenie.

–Kto to, do diabła, był?

–Ty sam.

–Ja? To w ogóle nie brzmi jak mój głos.

–Chcesz posłuchać jeszcze raz? – Doktor Rice pochylił się i cofnął trochę taśmę.

Ponownie rozległ się oddech, a potem napięty, wysoki głos.

–Czy myślałeś o tym chociaż trochę?

–Teraz to sobie przypominam – stwierdził Michael. – Wydawało mi się, że jestem w domu. Patsy pytała mnie, czy mam zamiar zająć się tym dochodzeniem.

–Cóż, mogło ci się wydawać, że to Patsy – powiedział doktor Rice. – Ale w rzeczywistości to byłeś ty sam.

–Nie rozumiem. Dlaczego miałbym mówić głosem Patsy?

–Nie ma w tym nic niezwykłego. W ten sposób dyskutujesz poprostu na temat jakiegoś problemu z samym sobą. Tak, jakbyś próbował spojrzeć na daną sytuację zarówno ze swojego, jak i jej punktu widzenia.

Taśma kręciła się dalej. Teraz Michael odezwał się głosem bardzo zbliżonym do swego własnego – tyle tylko, że brzmiał jakby sennie albo narkotycznie, dokładnie tak jak mówi większość znajdujących się w stanie głębokiej hipnozy ludzi.

–Zastanawiałem się nad tym przez całą noc.

A potem jego głos zmienił się ponownie – był teraz wyższy, miał jaśniejszą barwę.

–Tato... czy mógłbyś naprawić mi tylny hamulec, kiedy wrócisz z Hyannis? Ociera się o koło.

–To Jonas – wyjaśnił Michael. – Próbuję mówić głosem Jonasa.

Po chwili usłyszał dzwonek telefonu i głos doktora Rice, który pośpiesznie podniósł słuchawkę.

–Halo? Tak, przy telefonie. Doktor Fellowes? Tak. Jasne. Spotkamy się później, tak. Zgadza się. Nie, doktor Osman nic o tym nie wspominał. Nie powiedział nic więcej.

–Pamiętam fragment tej rozmowy z transu – powiedział Michael. – Ale nie całą. Myślałem, że to część mojego snu.

Teraz przerwa była dłuższa, chociaż przez cały czas Rearden słyszał swój wyraźny oddech. Z początku powolny i miarowy, potem stał się nagle chrapliwy, tak jakby Michael biegł truchtem, a później mocno zdyszany, tak jakby przed kimś uciekał. Słyszał skrzypienie wyginanych poręczy i trzask rozdieranego płótna.

–Chodź, Michael – odezwał się ktoś bezgłośnie szepem. Rearden zmarszczył brwi i pochylił się do przodu, żeby lepiej słyszeć.

–To również ty – oświadczył doktor Rice. Michael potrząsnął głową.

–To na pewno nie mój głos. Nie brzmi nawet tak, jakbym udawał, że jestem kim innym.

–Uwierz mi – upierał się doktor. – To właśnie ty poruszałeś wargami.

Przez chwilę słyhać było sapanie i westchnienia.

–Powinieneś się do nas przyłączyć, Michael – powiedział głos. – Powinieneś się

do nas przyłączyć.

–To nie mogę być ja – zaprotestował Rearden.

–Moglibyśmy złagodzić twój ból, Michael, moglibyśmy ci wybaczyć. Moglibyśmy nawet dać ci rozgrzeszenie.

–To niewiarygodne – stwierdził Michael. – Ten facet był w moim transie... bardzo wysoki facet w takim szarym płaszczu. Ten głos nie jest mój... to jego głos, przysięgam. Niech pan posłucha... przecież nie mógłbym mówić w taki sposób!

Doktor Rice odchylił się do tyłu i założył nogę na nogę.

–Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale człowiek znajdujący się w stanie hipnozy dokonuje naprawdę niezwykłych rzeczy. Ludzie przejawiają często talenty, których normalnie nigdy nie ośmieliliby się zaprezentować. Albo nawet w ogóle o nich nie wiedzą. Potrafią również zmieniać ułożenie strun głosowych, żeby móc się odzywać innymi głosami.

–Czy przez resztę swego życia chcesz żyć ucięty w połowie? – zapytał głos.

–Nie! – usłyszał swój własny krzyk Rearden.

–Czy chcesz, żeby wszystkie twoje marzenia i wszystkie twoje ambicje przesypały ci się między palcami jak piasek?

–Nie! – krzyknął Michael; i nie był teraz w stanie uwierzyć, że mógł krzyczeć w ten sposób. Nie pamiętał w ogóle, że krzyczał. Wiedział tylko, że próbował się odsunąć od wysokiego mężczyzny w długim, szarym płaszczu. – Nie dotykaj mnie! Nie dotykaj mnie! Chcę się obudzić! Chcę się obudzić!

Rozległ się stłumiony odgłos szarpaniny.

–Michael! Michael! Obudź się, Michael! – usłyszał głos doktora Rice'a. – Kiedy policzę do sześciu, chcę, żebyś otworzył oczy i spojrzał na mnie; i wtedy będziesz zupełnie przebudzony.

–Nie dotykaj mnie! – krzyczał bez przerwy Michael. – Nie dotykaj mnie!

Słysząc było znowu odgłosy szarpaniny, a potem jakiś bełkot.

–Powinieneś mnie znać, Michael – szepnął głos. – Nazywam się... – ale dalszy ciąg zagłuszył kolejny bełkot.

Doktor Rice zatrzymał taśmę i przez długi czas przyglądał się Michaelowi, nie mówiąc ani słowa. Ten wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł nią pot z twarzy i karku.

–Mówisz, że naprawdę widziałeś wysokiego faceta w szarym płaszczu?

Michael odchrząknął i kiwnął głową.

–Stał na plaży.

–Jakiejś konkretnej plaży?

–Nie, nie rozpoznałem jej. Pamiętam tylko, że daleko w tle wznosiła się latarnia morska.

–Ale to nie było żadne miejsce, które widziałeś wcześniej? Jakaś plaża, na której prowadziłeś dochodzenie z ramienia Plymouth Insurance? W sprawie utonięcia albo czegoś podobnego?

Michael potrząsnął głową.

–Zajmowałem się topielcami, ale nie na takiej plaży.

–Czy ten facet w szarym płaszczu nie wydawał ci się przypadkiem znajomy?

–Nigdy przedtem go nie widziałem, nigdy.

–Powiedział: „Powinieneś mnie znać, Michael”.

–Nie znałem go.

–Ale bałeś się go, prawda? Dlaczego się go bałeś?

–Nie wiem. – Michael złożył grubo chusteczkę i ponownie wytarł nią spocony kark. – Wydaje mi się, że to po prostu jedna z tych irracjonalnych rzeczy, które zdarzają się podczas hipnozy. No wie pan... tak samo jak w koszmarach.

–Podał ci swoje nazwisko.

–Nie usłyszałem go. Nie wydaje mi się, żebym chciał je usłyszeć. Zatykałem sobie rękoma uszy.

–Dlaczego nie chciałeś go usłyszeć? Bałeś się, że może jednak je znasz?

–Powiedziałem już, że go nigdy nie spotkałem. To tylko zjawą, postać ze snu, nic więcej.

Doktor Rice zapisał coś w notesie.

–W porządku – oznajmił. – Wydaje mi się, że na dzisiaj dosyć. Wygląda na to, że ta oferta pracy mogła poruszyć w tobie pewne emocje, które trzymałeś dotąd w ukryciu. Możliwe również, że zaprowadzi to nas w nowym kierunku... pomoże nam spojrzeć na twój uraz z zupełnie nowego punktu widzenia.

–Co to znaczy?

–Nie jestem jeszcze pewien. To zależy od tego, kim jest albo kim naprawdę był ten facet w szarym płaszczu i czy rzeczywiście, tak jak mówisz, nie ma żadnego związku z Rocky Woods.

–Czy to znaczy, że powinienem przyjąć ich ofertę?

Doktor Rice postukał się ołówkiem po zębach i posłał Michaelowi poważne spojrzenie.

–Chcesz przyjąć ich ofertę?

–Nie wiem. I tak, i nie. Potrzebuję tych pieniędzy, potrzebuję odrobiny szacunku. Myślę także, że mógłbym dzięki temu odzyskać kontakt z realnym światem, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi. Kiedy siedzi się przez cały dzień samemu, nie mając się do kogo odezwać, zaczynają przychodzić do głowy dziwne pomysły.

–To są pozytywy – zgodził się doktor Rice. – A jakie widzisz negatywy?

Michael odwrócił się i przyglądał przez chwilę namalowanym na obrazie relingom, przewodom wentylacyjnym i masztom. Statek czekający na pasażerów. Chwila czekająca na rozpoczęcie.

–Boję się – powiedział tak cicho, że terapeuta ledwo go usłyszał.

–Co cię napędza największym strachem?

–Wszystko. I nic... Jezus! Boję się, że kiedy tylko spojrzę na tych martwych ludzi, stracę do końca rozum i nigdy już nie będę w stanie myśleć, mówić, poruszać się i w ogóle cokolwiek robić.

Doktor Rice nie odzywał się przez bardzo długą chwilę. W końcu zapisał coś ponownie w notesie.

–A co z tym wysokim mężczyzną w szarym płaszczu? – zapytał. – Czy nie sądzisz, że może być uosobieniem tego konkretnego lęku? Innymi słowy, czy nie sądzisz, że

może być w pewnym sensie postacią symboliczną? Uosobieniem twojego własnego urazu?

–A co to za różnica? – Michael posłał lekarzowi zaniepokojone spojrzenie.

–Całkiem poważna. Pokazałeś w końcu zupełnie wyraźnie, że jesteś w stanie stawić mu opór... że gotów jesteś walczyć z nim, mobilizując wszystkie swoje fizyczne i umysłowe siły, nawet te, którymi normalnie nie dysponujesz. Wizualizacja twego najgorszego lęku w formie konkretnego mężczyzny może być najbardziej znaczącym krokiem na drodze do wyzdrowienia, jaki podjąłeś od czasu, kiedy doznałeś urazu.

–Więc sądzi pan, że powinienem przyjąć tę ofertę?

–O nie, Michael. Przykro mi, ale nikt nie może cię w tej sprawie wyręczyć. Nikt nie może podjąć za ciebie tej decyzji.

Powróciwszy do domu, Michael usiadł przy rysownicy i próbował naszkicować niską, białą latarnię i plażę, na której czekał na niego mężczyzna. Cypel porośnięty kępami traw, zwietrzałe klify i półkolistą zatoczką – mogła to być każda plaża od Pigeon Cove aż po Hor-seneck Beach. Mogła nawet nie znajdować w Massachusetts, chociaż w jakiś irracjonalny sposób wierzył, że znajduje się właśnie tutaj. To mogła nawet nie być żadna prawdziwa plaża.

Na oddzielnym kawałku papieru próbował narysować wysokiego mężczyznę w długim, szarym płaszczu. Okazało się to dziwnie trudne. Pamiętał bardzo wyraźnie, jakie wrażenie na nim wywarł, i to, że był wysoki, siwy i miał wąski nos, a jednak prawie nie sposób było połączyć te wszystkie cechy w jedną fizjonomię. Rysował i cieniował przez niemal dwie godziny, i w końcu udało mu się być może uchwycić jakieś podobieństwo, ale rezultat nadal pozostawiał wiele do życzenia.

Odchylił się do tyłu, zmarszczył brwi i spojrzał na płynące nad New Seabury obłoki. Plaża była pusta. Nikt się nie kąpał ani nie spacerował; żadne dziecko nie puszczalo latawca. Krajobraz przesycony atmosferą wyczekiwania na coś, co się wydarzy.

Jadąc tutaj z Hyannis wiedział przez cały czas, co robi. Odsunął arkusz papieru, pod jakim krył się, niczym ryjący w ziemi krab, jego telefon, podniósł słuchawkę i wystukał numer, którego nie zdołałoby wymazać z jego pamięci nawet dziesięć seansów hipnoterapii.

–Plymouth Insurance, pierwsze i najlepsze towarzystwo ubezpieczeniowe stanu Massachusetts, czym mogę panu służyć? – odezwała się telefonistka.

–Z Joe Garbodenem, proszę – powiedział po krótkim wahaniu. Usłyszał sygnał wewnętrznego telefonu Garbodena i wiedział, że teraz nie zdoła się już wycofać.

## ROZDZIAŁ V

–To on! – warknął detektyw Ralph Brossard, kiedy chudy czarnoskóry mężczyzna pojawił się w drzwiach budynku i ruszył w stronę jezdni. Detektyw wyrzucił świeżo zapalonego papierosa przez okno samochodu i sięgnął po radiotelefon.

–Newt... Newt, Jambo właśnie wyszedł przez frontowe drzwi. Przechodzi przez ulicę, kierując się do swego samochodu. Niesie w ręku sportową torbę. Ruszamy.

Siedzący obok detektyw John Minatello sięgnął pod kremową bawełnianą wiatrówkę i wyciągnął trzydziestkę ósemkę. Przez jego spoconą bladą twarz przemknął szybki uśmiech.

–Przyskrzyniliśmy sukinsyna! – rzucił z nerwową satysfakcją. Ralph przekręcił kluczyk w stacyjce i obejrzał się szybko za siebie, żeby sprawdzić, czy ulicą nie nadjeżdża żaden cywilny samochód. Przesunął kierownicę maksymalnie w lewo, aż zagwizdało serwo, a potem oblizał wargi i niecierpliwie czekał.

–No, wyjeżdżaj, skurwielu – szepnął.

Było sześć minut po jedenastej; znajdowali się na Seaver Street w Strefie Frontowej. Wszystko było tu brązowe: czynszowe kamienice, płyty chodnika, nawet powietrze, w którym unosił się smród przypalonego oleju, samochodowych spalin i wyschniętych burzowców. Ralph siedział w swoim zaparkowanym przy krawężniku zakurzonego pontiacu grand prix od samego świtu, czekając, aż w drzwiach pod numerem 1334 ukaże się Jambo du Freyne. Zjadł już śniadanie razem z Johnem Minatellem, składające się z egg macmuffins i letniej kawy; na winylowym beżowym siedzeniu wciąż leżały okruchy ich posiłku, razem ze zgniecionymi opakowaniami po snickersach, pustymi kartonami winston lights i pozaginany egzemplarz „Wysp na Golfstromie”.

Ralph był zaprzysięgłym entuzjastą Hemingwaya. Zaprzędanym mu duszą i ciałem.

Przez całe swoje życie (a przynajmniej od czasu, kiedy przed czterema laty rozwiódł się z Thelmą) przygotowywał się do hemingwayowskiej emerytury na Karaibach. Miał zamiar polować na błękitnych, głębokich wodach na rekiny i marliny, przysłuchiwać się deszczowi bębniącemu o dach z wyschniętych palmowych liści, włóczyć po plaży i pić whisky, pozwalając, by jeden ciepły tropikalny dzień przechodził leniwie w następny. Ostatnio upodobał się nawet trochę do Hemingwaya, chociaż policyjny regulamin zabraniał noszenia brody. Cechował go szorstki sposób bycia; miał szeroką twarz, szpakowate wąsy i wiecznie zmrużone oczy, które spoglądały gdzieś daleko za Boston – nawet wtedy gdy całymi dniami przesiadywał, inwigilując podejrzanych, w samochodzie albo wystukiwał raporty na maszynie.

Jeszcze tylko dwa lata i siedem miesięcy i będzie mógł odwiesić pistolet, oddać odznakę i wsiąść do samolotu lecącego na południe do Miami, a potem do Bimini. Zostawi za sobą upalne brązowe lata i mróz, od którego pękały człowiekowi jaja, zostawi zanieczyszczone powietrze i brudny przestępczy półświatek. Zostawi zadzierających nosa bogaczy z Newbury Street i wściekłych jak głodne psy biedaków z Blue Hill Avenue – zostawi wszystko, czym pogardzał w tym pretensjonalnym,

brudnym, niepowtarzalnym, niebezpiecznym mieście.

Śledził Jambo du Freyne'a już od ponad trzynastu miesięcy, przez pięć żmudnych pór roku, w ciągu których pączkowały drzewa, topił się śnieg, chodniki prażyły w upale. Dokładnie co dwa tygodnie Jambo przywoził w sportowej torbie z Atlanty wymienitej jakości kokainę i Ralph razem z Johnem patrzyli, jak otwiera te frontowe drzwi i przebiega przez ulicę – w deszczu, w śniegu, w promieniach słońca i marznącej mżawce: szczupły, z nogami jak patyki i zawsze w tej samej brązowej, wełnianej czapeczce i długim do kolan skórzanym płaszczu – a potem wsiada do zawsze tego samego poobijanego buicka electry z piszczącymi łożyskami.

Aż do dzisiaj pozwalali du Freyne'owi prowadzić bez przeszkód ten proceder. Był przecież w końcu tylko kurierem. Ale w tej właśnie kamienicy, na piątym piętrze od podwórza, mieszkał Luther Johnson, jedna z najbardziej złowrogich postaci bostońskiego podziemia, Pająk z Seaver Street. Ralph cierpliwie szedł śladem kokainy du Freyne'a: z mieszkania Johnsona do fabryki cracku w Cambridge, a stamtąd na większość rynków zbytu, wśród których był Harvard University, Massachusetts Institute of Technology i Harvard Medical School. Bogate dzieciaki aż się paliły, żeby zapłacić wygórowaną cenę za produkt dobrej marki.

Ralph zgromadził już dość dowodów, żeby móc pod zarzutem handlu narkotykami, nielegalnego spisku, wymuszania i oszustw podatkowych aresztować synów i córki kilku najbogatszych i najbardziej wpływowych amerykańskich rodzin. Miał taśmy wideo i taśmy z podsłuchu obciążające latorośle Belmontów, Woolleyów, Pembroke'ów i Cabotów. W sportowej torbie Jambo du Freyne'a zbiegały się wszystkie nitki. Tego ranka wypełniały ją używane studolarowe banknoty, które otrzymał za ostatnią dostawę i które – o czym Jambo nie wiedział – zostały wszystkie oznaczone i mogły doprowadzić Ralpha z powrotem do bananowej młodzieży z pięciu różnych kampusów Bluszczowej Ligi. Na swój własny użytek Brossard nadał tej akcji kryptonim Bluszczowy Łącznik.

Jambo wsiadł do samochodu i przez kilka chwil Ralph w ogóle go nie widział. Buick zaparkowany był mniej więcej trzysta metrów dalej, po drugiej stronie ulicy, za dużą, zieloną furgonetką.

–Wyjeżdżaj, skurwielu! – powtórzył, bębniąc palcami po kierownicy.

–Zaraz wyjedzie, zaraz wyjedzie – uspokajał go John. – Zapalił silnik. Widziałem dym z rury wydechowej.

–Jesteś tam, Newt? – zapytał Brossard, zbliżając do ust radiotelefon.

–Jestem, Ralph. Nie denerwuj się.

–Kiedy powiem, ruszaj, Newt, ruszaj i przygrzej temu sukinsynowi w tylny zderzak, tak żeby nie wiedział, czy mamy teraz Boże Narodzenie czy Wielkanoc.

–Zrozumiałem, Ralph, nie przejmuj się.

–Wyjeżdżaj, skurwielu – powtórzył jeszcze raz Brossard. Spojrzał w boczne lusterko. Ulica była pusta. Delikatnie dodał na wolnym kole gazu, a potem spojrzął ponownie. Nie wiadomo skąd z tyłu pojawił się nagle ślamazarnie jadący jasnoniebieski volkswagen.

–Cholera! – zaklął. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował, była obecność osób



postronnych. Jambo nosił przy sobie broń, co do tego nie żywił ani cienia wątpliwości. Mógł być uzbrojony w cokolwiek, poczynając od czterdziestki czwórki aż po uzi, albo w jedno i drugie, i z pewnością nie zawaha się przed użyciem tego żelastwa. Jambo miał na swoim koncie włamanie i napady, przy których Saddama Husseina można by uznać za świętego Franciszka z Asyżu.

Ralphowi pozostało tylko się modlić, by volkswagen dojechał do końca ulicy, zanim du Freyne zdecyduje się w końcu ruszyć swoim buickiem. Wprawdzie Brossard mógłby sam wyjechać na środek jezdni, żeby zablokować garbusa, ale wtedy musiałby jechać dalej i minąć du Freyne'a – w przeciwnym razie ten natychmiast domyśliłby się, że zastawiono na niego pułapkę. A gdyby go minął, wtedy otworzyłby sukinsynowi znakomitą drogę ucieczki.

Z drugiej strony, Jambo mógł wyjechać już teraz – kiedy garbus znajdował się w połowie drogi do końca Seaver Street, gdzie czekał Newt. Po obu stronach ulicy zaparkowane były samochody i furgonetki i jeśli Brossard nie zablokuje volkswagena, to Newt mając przed sobą garbusa nie będzie mógł ruszyć, by odciąć du Freyne'owi drogę od tyłu.

Oprócz tego istniało oczywiście poważne ryzyko, że kierowca volkswagena zostanie ranny albo zabity podczas akcji.

–Zbliża się cywilny samochód – zakomunikował bezbarwnym głosem Newt.

–Widzę – odparł Ralph.

–Co chcesz zrobić?

–Modlić się do świętego Filipa, żeby przejechał.

–Nie możesz go zablokować?

–Jambo jeszcze nie ruszył. Jeśli wyczuje, że coś jest nie w porządku, nie wyjedzie. Będzie próbował zwiąć.

Garbus był coraz bliżej.

–Może pozwolimy mu odjechać – zasugerował Newt. – Może przyskrzynimy go na Washington Street.

–Takiego wała. Musimy zgarnąć go tutaj. Przypomnij sobie sprawę de Sisty.

W słynnej sprawie de Sisty wniesione przeciwko handlarzowi narkotyków oskarżenie zostało oddalone, ponieważ policja straciła na chwilę z oczu jego będący w ruchu samochód. Podczas tych kilku sekund, dowodził obrońca de Sisty, każdy mógł wrzucić do wozu jego klienta paczkę z obciążającymi dowodami. To, czy było to prawdopodobne, czy nie, nie miało tutaj żadnego znaczenia. Było możliwe i de Sistę uniewinniono. Ralph nie mógł dopuścić, żeby sytuacja się potworzyła, ponieważ oznaczałoby to, że uniewinnieni zostaliby wtedy wszyscy ci zadzierający nosa młodzieńcy z Bluszczowej Ligi i wszyscy ci aroganccy technokraci z MIT. Brossard uganiał się przeważnie za drobnymi płótkami, ćpunami i świrami w zasikanych gatkach. Jego zdaniem względy elementarnej przyzwoitości wymagały, aby prawo stosowano z równym zdecydowaniem wobec tych, którzy nosili ciuchy od Calvina Kleina i Nina Cerrutiego i spędzali wakacje w Newport i na Karaibach.

Garbus przejechał wolno obok niego. Ralph rzucił szybko okiem na kierowcę. Czarna dziewczyna, lat około dwudziestu trzech, z głową całą w małych

warkoczykach i srebrnymi kólkami w uszach. Na drzwiach volkswagena wymalowana była uchylająca słomkowego kapelusza wrona z komiksu Dumbo. „Pocałuj mnie w nos” mówił napis w chmurce nad jej głową. Ralph zauważył, że znaki rejestracyjne garbusa są przeterminowane, a tylne błotniki zardzewiałe i połatane szklanym włóknem.

–No dalej, maleńka – popędzał bezgłośnie dziewczynę, która znajdowała się już prawie na wysokości buicka. – Dalej, maleńka, przyciśnij trochę pedał.

Ale garbus toczył się coraz wolniej i wolniej. A kiedy znalazł się przy samochodzie du Freyne’a, zatrzymał się na dobre i z jego rury wydechowej buchnął kłęb dymu. Przez sekundę Ralph myślał, że samochód się zepsuł, ale potem zorientował się, iż dziewczyna po prostu szuka jakiegoś konkretnego adresu. Garbus nie ruszał z miejsca prawie przez minutę, dygocząc i wypuszczając kłęby dymu. Ralph siedział pocąc się, bębniąc palcami o kierownicę i modląc się, żeby dziewczyna wyniosła się stąd do wszystkich diabłów.

–Co ona tam, kurwa, robi? – zapytał przez radio Newt.

–Wygląda na to, że sprawdza numery domów – odparł Ralph. – Chyba zablądziła.

–Dlaczego, do cholery, nie trafiło się jej to gdzie indziej? Ralph nie odpowiedział.

Był zbyt napięty. Dziewczyna zablądziła, ponieważ zablądziła i ponieważ każdą zorganizowaną przez niego akcję prześladował pech: zdezorientowani i nie wiedzący o niczym ludzie wchodzili na linię strzału; ciężarówki parkowały przed obserwowanymi przez niego oknami; faceci z pneumatycznymi świdrami postanawiali nagle naprawić jezdnię tuż obok budki, w której założony był podsłuch.

–No dalej, malutka – szepnął, ale garbus wciąż stał w miejscu, dymiąc spalinami.

Usłyszał klakson du Freyne’a i to wreszcie zmobilizowało dziewczynę. Przejechała kilka metrów dalej, a Jambo zaczął manewrować, żeby wyjechać na środek ulicy. Przez zabarwioną u góry na purpurowo przednią szybę electry Ralph widział zarys wełnianej czapeczki du Freyne’a i jego okulary: czarne i puste niczym oczy insekta. Ale dziewczyna znowu się zatrzymała, zaraz za electrą, co oznaczało, że Newt, który miał do przejechania jakieś pięćdziesiąt metrów, będzie musiał przy szybkości osiemdziesięciu kilometrów na godzinę precyzyjnie się między garbusem i zaparkowanym przy krawężniku samochodem mając do dyspozycji nie więcej niż dziesięć albo piętnaście centymetrów zapasu po każdej stronie.

–Dasz radę, Newt? – zapytał Ralph.

–Nigdy nie mów nigdy – odparł Newt.

Jambo wyjechał już na środek ulicy i sunął w stronę Ralpa z wciąż rosnącą szybkością. Jego wyprodukowana w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku, brudna, ale dobrze utrzymana electra miała sztywne zawieszenie i szerokie opony. Ralph dobrze wiedział, że jeśli nie uda mu się teraz przyskrzynić du Freyne’a, będzie miał prawdziwy krzyż Pański z zatrzymaniem go na Washington Street albo na autostradzie i w ogóle jakiegokolwiek innej drodze, którą popędzi na lotnisko. I nie wolno mu było spuścić go z oczu nawet na chwilę, nawet na ułamek sekundy – w przeciwnym razie powtórzy się sprawa de Sisty. W żadnym wypadku nie mógł zaważyć tego dochodzenia. Nie mógł dopuścić, żeby te bubki z Bluszczowej Ligi

śmiały mu się prosto w nos. Musiał ich przyskrzynić, postawić przed sądem i posadzić, i tylko to się liczyło. Musiał sprowadzić ich do poziomu szumowin, ponieważ właśnie tym byli. Szumowinami i kompletnymi zerami.

–I o to chodzi – powiedział rzeczowym tonem, który całkowicie zaskoczył Johna Minatella. Wdepnął gaz do dechy i z dramatycznym piskiem opon wyjechał swoim grand prix na środek ulicy.

Jambo nie miał nawet czasu zahamować. Jego ważąca półtorej tony electra zderzyła się przy szybkości prawie pięćdziesięciu kilometrów na godzinę z grand prixem Brossarda. Ralph usłyszał potężny huk. Odrzuciło mu do tyłu głowę, a noga uwięzła przy drzwiach.

–Wychodzimy! Wychodzimy! – wrzasnął, po czym wyważył kopniakiem drzwi i wyskoczył turlając się na ulicę. Wyciągnął z kabury swoją nieprzepisową czterdziestkę czwórkę, odbezpieczył ją i toczył się dalej w stronę zaparkowanego przy krawężniku samochodu. Kiedy podniósł się w końcu na nogi, trzymając w obu wyciągniętych dłoniach rewolwer, stwierdził, że znalazł ochronę za opadającym tyłem przedpotopowego le sabre'a.

Zobaczył, jak John Minatello kuca za otwartymi drzwiczkami rozbitego grand prix.

–Pokaż ręce! Pokaż mi, kurwa, swoje ręce! – wrzeszczał John, wymachując trzydziestką ósemką.

A potem dojrzał zielonego plymoutha, który gnał w ich stronę z obracającym się na dachu, przyćmionym przez blask słońca i dym czerwonym światłem. Przez ułamek sekundy myślał, że Newtowi naprawdę się to uda, że przejedzie przez wąską szczelinę między volkswagenem a zaparkowanymi przy krawężniku samochodami. Miał już na ustach słowa: udało ci się, ty cholerny sukinsynu! – ale potem zobaczył nagle fruujące w powietrzu kawałki bocznego lusterka i usłyszał ten okropny łomot: rozdzierający bębenki huk zderzających się samochodów. Garbus przechylił się na chwilę na bok, ale zaraz opadł z powrotem na cztery koła, a plymouth uderzył w stojącego przy krawężniku zardzewiałego brązowego pikapa.

Jambo, który właśnie wysiadał z samochodu, obrócił się i obejrzał. Robił to wszystko z niezwykłą gracją, prawie tak jakby brał udział w balecie. Ralph zobaczył, że jego chuda klatka piersiowa odchyła się do tyłu, a biodra wykonują zwrot.

–Pokaż ręce! – wrzasnął ponownie John Minatello.

Jambo zignorował go i dopiero wtedy Ralph zorientował się, że Murzyn trzyma w ręku bardzo dużą dubeltówkę.

Boże, przecież on chciał wziąć du Freyne'a żywcem! Musiał go mieć żywego!

–Nie! – ryknął na Johna, ale w tej samej chwili w porannym powietrzu rozległy się dwa głośnie wystrzały, potem jeszcze jedno bum! Z ciężkiej broni, a potem snap! snap! Z trzydziestki ósemki Minatella.

Brossard zobaczył, jak eksploduje tylna szyba volkswagena i tryska z niej strumień krwi – prawie tak jakby kierowca wylał na ulicę filiżankę kawy. Cholera – pomyślał – zabił ją! A potem ujrzał pękającą przednią szybę plymoutha i usłyszał szybki terkot broni, kiedy Newt odpowiedział ogniem. Ulicę wypełnił nagle dym i

teatralne smugi światła, a Jambo zniknął, jakby zapadł się pod ziemię.

Brossard wychylił się, dysząc ciężko, najpierw z jednej, potem z drugiej strony zaparkowanego samochodu. Ten skurwiel zniknął! Policjant nie ruszał się z miejsca, napięty jak struna, z lekko ugiętymi kolanami i podniesionym wysoko w obu dłoniach rewolwerem; na błękitnej koszulce odznaczały się ciemne plamy potu.

–Gdzie on się podział? – zawołał do Johna Minatella. Wydłużona, blada twarz Johna przypominała cielęcy mózdzek.

–Nie widzę go. Wydaje mi się, że go trafiłem.

–Newt! – krzyknął Ralph chrapliwym, wysokim głosem.

–Wszystko w porządku, Ralph! – odkrzyknął Newt.

–Gdzie on się, kurwa, podział? – zawołał Ralph.

–Nie wiem. Nie widziałem, dokąd pobiegł.

–Co to, kurwa, znaczy, że nie widziałeś, dokąd pobiegł?

–To znaczy, że nie widziałem, dokąd pobiegł.

Zapadło długie milczenie. Cała Seaver Street wstrzymała jakby na chwilę oddech. Słysząc tylko dobiegający z daleka uliczny hałas i odgłos startującego z międzynarodowego lotniska Logan i kierującego się na południowy wschód L-1011.

Ralph niechętnie okrążył samochód. Trzymał w wyciągniętych rękach swoją czterdziestkę czwórkę i widział, że jej lufa drży leciutko, ale składał to na karb adrenaliny.

–Panie du Freyne! – zawołał, oglądając się na Johna. – Panie du Freyne, jesteśmy funkcjonariuszami policji i mamy nakaz aresztowania. Albo pan nam to ułatwi, albo będziemy musieli uciec się do ostateczności.

Dym zaczął się unosić w górę, i w miarę jak się unosił, ulicę wypełniły z powrotem normalne hałasy. Słysząc było głośnie rozmowy, grającą muzykę, szczekanie psów i szum drzew.

Ralph pochylił się, zajrzał pod samochód, za którym się chował, i omiótł spod niego wzrokiem całą ulicę. Zobaczył mnóstwo opakowań po gumie do żucia, butelki, zgniecione puszki i coś czarnego, co wyglądało na czyjś porzucony więzienny strój. Ale to było wszystko.

–Panie du Freyne, mam nakaz aresztowania pana, ale jeśli będzie pan z nami współpracował, może pan się z tego łatwo wywinąć. Słyszysz mnie pan? Zależy nam nie na panu, ale na tych, co kupują towar. Nie interesuje nas nawet Luther! Powie nam pan po prostu, kto prowadzi ten interes i będziemy pana chronić do końca życia. Niech pan pomyśli, to rok wyborów. Prokurator okręgowy jest całkiem słodki dla koronnych świadków. Chyba pan o tym wie. Niech pan sobie przypomni, jak potraktowano Macka Rivierę.

Ponownie odpowiedziała mu tylko cisza. Ralph gwizdnął na Johna, żeby zwrócić jego uwagę, a potem energicznie machając rewolwerem dał mu znak, że powinien opuścić względnie bezpieczne schronienie za drzwiami samochodu i ruszyć wolno chodnikiem, żeby zobaczyć, gdzie skrył się Jambo du Freyne.

Najbardziej martwił się, że Jambo wyciął mu numer w stylu Harry'ego Lime'a: otworzył klapę kanału i zszedł pod ziemię.

Sam też ruszył chodnikiem, co jakiś czas kucając, żeby zobaczyć, czy nie widać gdzieś nóg du Freyne'a.

–Newt! – zawołał. – Twoje radio wciąż działa?

–Działa – odkrzyknął Newt. – Wezwałem już ambulans.

–Kurwa – szepnął bezgłośnie Brossard. Czuł, jak robi mu się niedobrze. Powinien pozwolić du Freyne'owi odjechać, powinien pozwolić mu uciec. Śmierć jednej postronnej osoby stanowiła zbyt wysoką ceną za udaną zasadzkę, nawet jeśli była to najbardziej spektakularna zasadzka na handlarzy narkotyków w historii stanu Massachusetts. Być może ta dziewczyna z włosami zaplecionymi w warkoczyki i srebrnymi kółkami w uszach nie zginęła, lecz była z pewnością ciężko ranna. Jej rodzina, przyjaciele i adwokat, a także każda stacja telewizyjna i gazeta w Nowej Anglii będą chcieli wiedzieć, dlaczego detektyw Ralph Brossard rozpoczął akcję, kiedy przejeżdżała akurat Seaver Street i znajdowała się dokładnie na linii strzału.

–Gówno – powiedział. – Gówno, gówno, gówno. – Był wściekły, roztrzęsiony, gorzko zawiedziony i przestraszony; a w ustach nie czuł nic poza smakiem gówna.

–Nie widzę go! – zawołał John Minatello.

–Więc gdzie jest ten kutas? – domagał się odpowiedzi Ralph.

–Zajrzyjcie pod samochody, na litość boską. Zajrzyjcie pod samochody – krzyczał Newt.

–Zajrzałem – protestował Minatello.

Kucając jak mógł najniżej, Ralph posuwał się lewą stroną ulicy. Co jakiś czas opierał dłoń o rozgrzany, szorstki chodnik, żeby zajrzeć pod zaparkowane samochody i sprawdzić, czy nie widać za nimi tydek du Freyne'a. Z otwartego okna obserwowała go beznamiętnym wzrokiem starsza kobieta. Jej powiększone przez soczewki oczy wyglądały jak dwie świeżo otwarte ostrygi.

–Niech się pani, do cholery, cofnie! – warknął na nią.

–Po co? – zapytała. – Widziałam już, jak giną ludzie.

–Policja! Niech się pani, do cholery, cofnie! – powtórzył.

–Tam idzie! – krzyknął w tej samej chwili Newt i Ralph ujrzał przesuwający się między samochodami cieńmy kształt: ręce, nogi i jasny błysk niklowanej broni.

–Nie ruszaj się! – wrzasnął, podnosząc oburącz swoją czterdziestkę czwórkę i celując z niej wzdłuż chodnika, dokładnie tam, gdzie Jambo miał postawić następny krok. Zobaczył jego wełnianą czapeczkę, znikającą pod łuszczącym się winylowym dachem brązowego sedana de ville, a potem Jambo dał nura na chodnik i obrócił się do niego twarzą: czarne okulary, błyszczące zęby i błyszcząca broń.

Zobaczył również młodą kobietę, która popychając przed sobą dziecięcy wózek wyszła z drzwi kamienicy tuż za du Freyne'em. Zobaczył ją tak wyraźnie i dokładnie, jak nie widział do tej pory niczego, tak wyraźnie, jak Thelmę w ten letni poranek, kiedy po raz pierwszy uświadomił sobie, że jej nie kocha. Thelma uśmiechała się wtedy zadowolona i syta, nie wiedząc, że skończyły się dni szczęścia i nie czeka jej nic poza samotnością i łzami.

I ta dziewczyna uśmiechała się także, kiedy pochyliła się, żeby otrzeć ze śliny podbródek niemowlęcia. Kiedy Jambo pociągnął za spust i w powietrzu rozległ się

ogłuszający huk wystrzału. I kiedy Ralph odpowiedział ogniem, a pocisk kalibru czterdzieści cztery wyleciał z szybkością dwustu pięćdziesięciu dwóch metrów na sekundę z lufy jego rewolweru i rozbił niczym granat dziecinny wózek, zamieniając go we fruujące w powietrzu strzępy materaca, plastikowych zabawek i ludzkiego ciała.

Jambo uniósł się i zaskoczony odwrócił do tyłu. W tej samej chwili Newt przebiegł ulicę i dopadł go, trzymając przed sobą sztywno wyprostowany pistolet.

–Rzuć broń! Nie ruszaj się! Twarzą do ziemi, kutasie! – wrzeszczał, wbijając dosłownie lufę w nos du Freyne’a.

Ralph stał z wciąż uniesionym w górę rewolwerem, a dziewczyna odwróciła się i popatrzyła mu prosto w oczy. Nikt jeszcze tak na niego nie popatrzył, nigdy, nawet żony, których mężów był zmuszony zastrzelić; ani matki, których synowie powiesili się w więzieniu.

Podszedł do niego John Minatello.

–Ralph – powiedział. – Oddaj mi broń.

–Co takiego? – zapytał Brossard.

–Oddaj mi broń. Widziałem, co się stało. To nie była twoja wina. Ralph zmierzył go wzrokiem. Dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo blady jest John Minatello. Jego skóra była biała jak wosk, z wielkimi, wyraźnymi porami. Miał duże, smutne, brązowe oczy i pieprzyk na prawym policzku. I te idiotyczne jedwabiste brązowe wąsy, z rodzaju tych, które zapuszczają sobie chłopcy, żeby pokazać, że są już dorośli. I śmieszna różowosrebrna hawajska koszula z palmami i tańczącymi hulagula dziewczętami.

Newt przycisnął du Freyne’a twarzą do chodnika i zakuwał go w kajdanki – pośpiesznie i w milczeniu, niczym człowiek, który wiąże przed pieczeniem skrzydła indyka. Dziewczyna przyglądała się im wszystkim z niedowierzaniem.

–Mój mały – powiedziała. Brzmiało to bardziej jak jakiś śpiew niż normalne słowa. – Mój ma-a-a-aly.

Z wahaniem Ralph ruszył ostrożnie w jej stronę. Nadal trzymał podniesioną wysoko broń, żeby pokazać, że nie chce zrobić jej krzywdy. Dziewczyna była młoda i niezbyt ładna; miała dość jasną skórę, owalną twarz, cienkie, wyskubane brwi i lakierowane na sztywno włosy. Wpatrując się w niego szklistymi oczyma drżała na całym ciele i Ralph nie miał ani cienia wątpliwości, że jest w szoku. Podobnie jak on sam.

–Mój mały – powtórzyła i sięgnęła do rozbitego, otwartego wózka, wyjmując z niego coś, co wyglądało jak zakrwawiony zwinięty ręcznik. Z tą różnicą, że z jednej strony zwisała z tego czegoś bezwładnie pulchna, mała rączka, a z drobnych paluszków kapwały krople krwi.

–Ja... – zaczął Ralph. Ale w tej samej chwili zacisnęła mu się krtań i opadła szczeka, i nie był w stanie powiedzieć ani słowa więcej. Chciał błagać ją o wybaczenie. Tylko... jaki był sens przeproszenia za to, co się stało? Jaki był sens jej tłumaczyć? Jak mógł oczekiwać, że mu kiedykolwiek wybaczy?

John Minatello wyjął czterdziestkę czwórkę z jego dłoni.

–Chodź, Ralph. Wszystko skończone.

–Ja nie chciałem... – wyjąkał.

–W porządku, Ralph.

W brązowym, rozgrzanym powietrzu rozbrzmiewało ćwierkanie syren. W Seaver Street skręcił ambulans, za nim następny, a potem dwa wozy policyjne. Ralph pozwolił, żeby John Minatello wepchnął go z powrotem do samochodu. Usiadł z pochyloną głową na miejscu pasażera, wbijając wzrok w asfalt. Słyszał zbliżających się z przodu i z tyłu ludzi. Usłyszał brzęk tłuczonej szyby, ale nie wydawało się, by dotarło do niego, co to oznacza.

–John? Co z tą dziewczyną? – zapytał, podnosząc na chwilę wzrok. – Dziewczyną z volkswagena?

John opierał się o otwarte drzwi samochodu, rozglądając się wokół niespokojnie.

–Trudno powiedzieć – stwierdził, rzucając mu szybkie spojrzenie. – Zajmują się nią teraz medycy. Ale widać tam dużo krwi. I tkanki mózgowej. Nie wygląda to zbyt zachęcająco.

Pękła kolejna szyba. Ralph usłyszał krzyki, odgłosy kłótni i głośnie bębnienie. Nieoczekiwanie w powietrzu zatoczyła łuk cegła, lądując na bagażniku ich samochodu. Otępiały i zszokowany podniósł w górę głowę. Coś się działo, ale nie bardzo mógł się zorientować co. Tuż u jego stóp rozbiła się kolejna cegła. Później jeszcze jedna, a potem butelka i kawałek rury, który uderzył pionowo o jezdnię i przez chwilę tańczył w miejscu niczym laska Freda Astaire'a.

Brossard wstał. Nie wierzył własnym oczom. Seaver Street – jeszcze przed kilkoma chwilami duszna, parna i wyludniona – roiła się teraz od rozwrzeszczanych, podskakujących, przepychających się młodych Murzynów. Ciskali cegłami, butelkami, mutrami i kawałkami drewna, a jakiś młody elegant w kapeluszu z szerokim rondem i z włosami zaplecionymi w warkoczyki trzymał w dłoniach dwa metalowe młotki i walił nimi we wściekłym rytmie reggae w maskę zaparkowanego samochodu.

–Latomba! Latomba! – krzyczał.

–Co jest, do cholery? – zapytał Ralph i w tej samej chwili podbiegł do niego zaczerwieniony i wściekły sierżant Riordan.

–Zabieraj stąd dupę, ty głupi sukinsynu! – wrzasnął.

–Co tu się, do diabła, dzieje? – domagał się odpowiedzi Ralph.

–Co się dzieje? Tyś się tu pojawił. Razem ze swoją pierdoloną zasadzką. Zatlukłeś właśnie pierwszego i jedyne synalka ich ukochanego lokalnego bohatera, oto co się stało. Nawet jeśli nas zaraz nie wystrzelają, rozpirzą to miejsce w drobny mak, a to oznacza, że za jednym zamachem na marne pójdzie jedenaście lat zasranych negocjacji rasowych, cacy, cacy i równych praw dla wszystkich. Zabieraj stąd dupę, zanim cię spalą, zatluką na śmierć albo wysadzą w powietrze.

–Co ty chrzanisz, Riordan? – ryknął Ralph. – Zastawiliśmy właśnie najbardziej udaną zasadzkę na handlarzy narkotyków, jaką oglądało to pierdolone miasto. I przykro mi z powodu dzieciaka, w porządku? Żałuję, że to się stało, ale stało się i nic na to nie mogę poradzić!

John Minatello wziął go za rękę.

–Chodź, Ralph, musimy się stąd wynosić. Ralph obrócił się i zmierzył go wzrokiem.

–Jasne, że musimy się stąd wynosić. Ale razem z du Freyne'em.

–Newt już go zabrał.

–Newt zabrał du Freyne'a?

Wokół nich padały kolejne butelki i cegły. Po schodach prowadzących do kamienicy, w której mieszkał Luther Johnson, stoczyła się nagle kula pomarańczowego ognia i po chodniku zaczęły pełzać płomienie.

–Chodź, Ralph – popędzał go John Minatello. – Rzucają koktajlami Mołotowa. Nie mamy odpowiedniego wyposażenia, żeby sobie z tym poradzić.

–Oddaj mi rewolwer – powiedział Brossard.

–Ralph... przecież wiesz, że nie mogę tego zrobić.

Na jezdni obok nich rozbił się wielki kawał tynku i przez chwilę nie mogli oddychać w gęstych oparach kurzu. Jak na razie dwóch umundurowanych policjantów trzymało tłum w odpowiedniej odległości, ale kiedy pielęgniarze wsunęli do ambulansu potrzaskane szczątki wózka i wszyscy zobaczyli na własne oczy, jak bardzo były pokrwawione, rozległ się ochryply krzyk wściekłości i wokół wozów policyjnych zaczęła lądować grzmiąca kaskada rozpryskujących się butelek i cegieł – niczym prawdziwa monsunowa ulewa gniewu, frustracji i furii.

Trójkątny kawałek betonu trafił w ramię sierżanta Riordana; Ralph oberwał w tył głowy butelką.

–Oddaj mi ten pierdolony rewolwer, John! – wrzasnął Brossard. – To rozkaz!

Minatello zawahał się, spojrzał na sierżanta Riordana, wahał się jeszcze przez chwilę, a potem oddał Brossardowi jego czterdziestkę czwórkę. Ten złapał ją niecierpliwie i odbezpieczył.

–Spierdalaj stąd, Brossard – warknął sierżant Riordan, otrzepując kurz z ramienia. – A jeśli któremu kolwiek z moich ludzi spadnie choćby włos z głowy, zaręczam ci, że cię znajdę i popamiętasz mnie na całe życie.

–Czy Newt ma sportową torbę? – zapytał Ralph.

–O to właśnie chodzi – powiedział John Minatello.

–O co chodzi? Co to znaczy: o to właśnie chodzi? O co, kurwa, chodzi?

–Chodzi o to, że straciliśmy torbę.

Ralph wbił w niego wzrok. Wszędzie wokół fruwały i waliły o jezdnię butelki, puszki, kamienie i cegły, ale on stał zupełnie nieruchomo, wystawiony na uderzenia, z lekko zgarbionymi w geście niedowierzania ramionami i rewolwerem przy boku.

–Straciliście ją?

John Minatello wzruszył zakłopotany ramionami, a potem uchylił się, żeby nie dostać w twarz butelką.

–Jambo musiał ją gdzieś rzucić. Zapadła się jak pod ziemię.

–Co, do cholery, znaczy: musiał ją gdzieś rzucić? Gdzie? Jak daleko mógł rzucić? Pięć? Dziesięć metrów?

–Przykro mi, Ralph. Nie ma po niej żadnego śladu. Przeszukaliśmy cały chodnik i



jezdnię pod wszystkimi samochodami.

Brossard przygryzł wargę. Był zbyt przygnębiony, żeby kląć. Stracili sportową torbę i wszystkie znakowane pieniądze – co oznaczało, że na marne poszedł ponad rok żmudnej inwigilacji, zakładania podsłuchu i zbierania informacji. Ponad rok jego życia okazał się stracony. Wszystkie te ogłupiające godziny, jakie spędził w samochodzie, żując wyschnięte hamburgery i pijąc kawę z polistyrenowych kubków; wszystkie te drętwe godziny, jakie zmarnował w sądzie, czekając na zezwolenie na podsłuch; wszystkie te pory roku, wszystkie jego fortele, przebłyski intuicji i żmudna detektywistyczna robota; dosłownie wszystko.

Na środku ulicy wybuchł kolejny koktajl Mołotowa i przednie opony mazdy pikapa zajęły się ogniem. Tłum wył teraz jednym przeciągłym, wysokim głosem.

–Chodź, Ralph – powiedział sierżant Riordan. – Pora się stąd wynosić. Zanim się obejrzymy, rozerwą nas na kawałki.

Podbiegł do nich młody umundurowany funkcjonariusz z żółtawym wąsikiem.

–Mamy rozkaz się wycofać, sierżancie. Wysyłają wsparcie.

–W porządku, O’Hara – odparł sierżant Riordan i rzucił kilka instrukcji swoim ludziom. Jego głos utonął niemal w zawodzeniu ambulansów.

–Śmierć białym świniom! Śmierć białym świniom! – krzyczał tłum. Kilkadziesiąt metrów od nich młodzi ludzie rozbujali chevroleta pikapa, a potem przewrócili go na dach. Samochód eksplodował z potężnym hukiem i w powietrze uniosła się wielka chmura lepkiego dymu. Wycie tłumu stało się jeszcze głośniejsze.

Sierżant Riordan złapał Ralpha za ramię, zbyt mocno, żeby miał to być gest pocieszenia.

–Lepiej jedź z nami, Brossard. To o twoją dupę im chodzi, a na pewno nie uda ci się wydostać stąd swojego wozu.

Kucając przebiegli pod gradem sypiących się na nich kamieni, cegieł, desek, butelek, nawet monet. Newt zdołał uruchomić plymoutha i ruszył do tyłu z piskiem torturowanych opon. Biegli za nimi trzej młodzi ludzie, krzyząc, podskakując i waląc kijami baseballowymi i stalowymi prętami w okna samochodu. Wybili boczne i porysowali przednią szybę. Ale w końcu Newtowi udało się w jakiś sposób zawrócić kontrolowanym poślizgiem i popędził na północ, zarzucając szeroko na obie strony bagażnikiem.

Riordan otworzył na oścież tylne drzwi swojego wozu patrolowego i energicznie wepchnął Ralpha do środka.

–Gaz do dechy, O’Hara – rozkazał. – Mamy na pokładzie trefny towar.

Riordan otwierał właśnie swoje drzwi, kiedy Brossard ujrzał, że zatacza się nagle i opiera mocno o bok samochodu. Po szybie z prawej strony popłynął strumień krwi, tak jakby ktoś chlusnął nią z rzeźniczego wiadra.

–Sierżancie! – zawołał piskliwym głosem O’Hara.

–Cofnij się – wrzasnął na niego Ralph.

–Co? – zapytał poblady O’Hara. Połówka cegły uderzyła w dach samochodu.

–Cofnij się, na litość boską!

O’Hara zwiększył maksymalnie obroty, a potem wrzucił tylny bieg i zaczął się

wycofywać.

–Teraz się zatrzymaj! – rozkazał Brossard.

O'Hara wcisnął hamulec. Ralph wywalił kopniakiem drzwi i uchylając się przed gradem pocisków podbiegł do sierżanta Riordana, który leżał na plecach z rękoma i nogami podkurczonymi niczym u szczeniaka, wstrząsany drgawkami. Jego twarz pokrywała ciemno-szkarłatna krew i uklękawszy przy nim Brossard od razu spostrzegł, że ma odstrzelony cały czubek głowy.

Riordan wpatrywał się w niego bezradnym wzrokiem; nie zdawał już sobie prawdopodobnie sprawy, kim jest ani co się stało. Ralph poczuł, że ma tego dosyć: zbyt dużo krwi, zbyt dużo bezradności. Zdawał sobie w pełni sprawę z tego, że sierżant Riordan za chwilę umrze.

Ze wszystkich stron nadciągał w jego stronę wyjący i urągający tłum.

–Zabić skurwiela! Zabić białą świnię! – wrzeszczeli.

Ralph powoli wyprostował się, podnosząc w prawej dłoni swoją czterdziestkę czwórkę i nic nie mówiąc. Nieduży, ale barczysty, męski i zdecydowany, przypominał teraz prawdziwego Hemingwaya.

Tłum cofnął się trochę, ale Brossard wiedział, że nie zdoła ich utrzymać długo na dystans. Zorientował się, że przygląda się ich twarzom – twarzom młodych mężczyzn, ale również kobiet i dzieci – i poczuł, jak ogarnia go coraz większe przerażenie i niedowierzanie na widok wykrzywającej je nienawiści. Jak mogli kogoś tak bardzo nienawidzić – zwłaszcza kogoś, kogo nawet nie znali?

Jedna z fruujących w powietrzu cegieł trafiła go w ramię i stracił na chwilę równowagę. Tłum krzyknął głośno i zaczął się zbliżać.

–Nie ruszać się! – krzyknął Brossard, podnosząc w obu dłoniach rewolwer, ale nie wywarło to na nich żadnego wrażenia. – Nie ruszać się – krzyknął po raz drugi, ale oni zbliżali się nadal, a jeden z nich, w czerwonej baseballowej czapce, z gołą piersią i naszyjnikiem z piór i paciorków, wysforował się naprzód i smagnął go anteną radiową po ramieniu.

Ralph obrócił się na pięcie i wystrzelił. Huk wystrzału zupełnie go ogłuszył. Młody człowiek zatańczył w powietrzu, a potem poślizgnął się i upadł, z wbitym w Brossarda zdumionym spojrzeniem. Z widniejącej w jego piersi, nieco większej od baseballowej piłeczki okrągłej dziury trysnęła gorąca krew. Tłum zawył – dosłownie zawył – rykiem, który mógł przeciąć szklaną taflę. Ralph dał krok do tyłu – wstrząśnięty tym wyciem i wstrząśnięty tym, co zrobił. Mógł być Hemingwayem: mógł być najtwardszym, najbardziej napalonym detektywem w całej brygadzie antynarkotycznej – mógł oglądać bez zmrużenia oka krew, flaki i pochlastane żyłkami dziwki, ale mając czterdzieści trzy lata nigdy jeszcze nie zastrzelił stojącego naprzeciwko niego twarzą w twarz człowieka, nie zastrzelił na zimno, ot tak. Był przerażony i zdumiony, ale także podniecony, a adrenalina krążyła w jego żyłach tak szybko, że nie zdziwiłby się, gdyby udało mu się dać sześciometrowego susa do tyłu.

Tłum rzucił się na niego, wymachując kijami i ciskając cegłami – a potem trafiło go w czoło zardzewiałe kanalizacyjne kolanko i o mało nie stracił przytomności.

Wystrzelił dwa razy w powietrze, ale atakujący nie zwracali na to wcale uwagi, więc strzelił ponownie i na ziemię osunęła się młoda dziewczyna, a potem strzelił raz jeszcze, zabijając kolejnego czarnego.

Napastnicy się nie cofnęli. Jego strzały nie tylko ich nie powstrzymały, ale jeszcze bardziej rozwścieczyły. Każdy strzał dawał im nowego męczennika. Każdy strzał nadawał wyższy sens ich sprawie. Zabić białe świnie!

Zdał sobie sprawę, że za chwilę rozszarpia go na strzępy. Ale potem gdzieś w głębi świadomości usłyszał głębokie buuufff! Z załadowanej grubym śrutem wiatrówki, a w chwilę później jeszcze jedno buuufff!

Nigdy nie wyobrażał sobie, że będzie oglądał rozrywanych pociskami ludzi. Ale teraz fruwały wokół niego krwawe ochłapy, trzepotały w powietrzu całe mięśnie, a twarze upodobały się do truskawkowej miazgi.

A potem podjechał do niego bokiem wóz patrolowy z otwartymi drzwiami.

–Ralph! – wrzasnął ze środka John Minatello. – Na miłość boską, Ralph!

Brossard oddał jeszcze jeden strzał, umyślnie w powietrze, i wgramolił się tyłem do samochodu. O’Hara wcisnął gaz do dechy, skręcił kierownicą i zderzył się z electrą du Freyne’a. Cofnął się kilka metrów i poczuli miękkie głuche stuknięcia, z jakimi potracali kolejnych ludzi. Tłum walił w dach samochodu młotkami i kawałkami betonu, a w chwilę później prysnęły boczne szyby.

–Spieprzaj stąd, do wszystkich diabłów! – wrzasnął do O’Hary John Minatello.

Przez moment Ralph był przekonany, że wszyscy zginą.

–Święta Mario, Matko Boska, wybacz mi! – jęknął.

W tej samej chwili prawą stronę przedniej szyby przebiła, dziurawiąc fotel, długa rura od rusztowania. Gdyby siedział tam sierżant Riordan, przeszłaby go żywcem. Ale potem samochód podskoczył i obijając się o zaparkowane samochody, gruz i kawałki betonu ruszył ponownie do przodu. Po kilka sekundach byli już przy końcu ulicy, i skręcali, kierując się na północ, w prawo.

Ralph milczał na tylnym siedzeniu, totalnie zszokowany i otępiały. Słyszał syreny mijających ich samochodów policji i straży pożarnej, słyszał warkot krążących w górze helikopterów. Ale po krótkiej chwili mijali już tętniące normalnością ulice, po których spacerowali robiąc zakupy normalni ludzie i jeździły na deskach normalne dzieci, i nagle był z powrotem zwyczajny letni poranek na południowych przedmieściach Bostonu.

Czterdziestka czwórka leżała na jego kolanach. Lufa ostygła już, ale wciąż unosił się z niej swąd spalonego prochu. John Minatello zerknął raz i drugi na pistolet, ale nie próbował mu go odebrać. Ralph patrzył w milczeniu na drzewa, budynki i mijające ich samochody, oglądając wszystko przez czerwony, żelatynowy filtr krwi sierżanta Riordana.

Matthew Monyatta tłumaczył właśnie młodej samotnej matce, jakie przysługują jej prawa jako lokatorce, kiedy drzwi jego gabinetu otworzyły się na oścież.

–Proszę chwilę poczekać, jestem zajęty – zawołał, podnosząc rękę.

Ale jego nieoczekiwanego gościa wcale to nie zraziło. Zapukał kłykciami w otwarte drzwi.

–Przepraszam, że wpadam tak obcesowo, Matthew, ale... – zaczął, oczekując, że Monyatta spyta go, o co chodzi.

–To musi być jakaś ważna sprawa? – domyślił się Monyatta.

–Bardzo ważna – przytaknął gość. – Mówiąc szczerze, krytyczna.

–Jak długo to potrwa? – zapytał Matthew. Jego gość zrobił zatroskaną minę.

–Obawiam się, że dość długo.

–Przykro mi, Elizabeth – powiedział Monyatta, zwracając się do ubranej w suknię z czerwonej satyny młodej kobiety z wielkimi złotymi kolczykami, o zapadającej w pamięć etiopskiej twarzy w kształcie migdała – ale muszę cię na chwilę przeprosić. Nie martw się... nie wyrzucą cię na ulicę. Nie pozwolę, żeby to się stało. Masz prawo mieszkać tam, gdzie mieszkasz, a oni nie mają prawa cię nachodzić. Więc się nie przejmuj. Po twojej stronie jest Pan, po twojej stronie jest prawo i po twojej stronie jestem ja.

Młoda kobieta uściśnęła jego dłoń i przez chwilę można było odnieść wrażenie, że zaraz uklęknie na podłodze i ucałuje jego stopy. Ale wstała tylko z krzesła i nie zaszczycając ani jednym spojrzeniem nieoczekiwanego gościa wyszła z pokoju, szeleszcząc jedwabnymi halkami.

Barczysty, przypominający posturą staroświecką szafę biały mężczyzna, który przerwał im rozmowę, wszedł do środka i zamknął za sobą dokładnie drzwi. Miał rumianą twarz, kręcone blond włosy i szeroko rozstawione, leciutko błyszczące oczy, które nadawały mu trochę niezrównoważony wygląd. Ubrany był w krzykliwą sportową kurtkę w musztardowo-niebieskie paski i łososiową koszulę, nie różniącą się kolorem od jego twarzy.

–Słyszałeś najświeższe wiadomości? – zapytał bez ceregieli gospodarza.

–Oczywiście, że słyszałem – odparł Matthew, odchylając się do tyłu, aż zaskrzypiały głośno sprężyny w jego fotelu.

Monyatta miał pięćdziesiąt pięć lat i był przystojnym czarnoskórym mężczyzną o potężnej lwiej grzywie – przystojniejszym teraz, kiedy z wiekiem zapadły się lekko jego oczy, uwydatniły kości policzkowe, a linia szczęki nabrała biblijnej ostrości. Luźna żółtawa dżalabia – północnoafrykańska, opatrzona kapturem szata – nie tylko nadawała mu wygląd proroka albo mistyka, ale kryła również całkiem pokaźny brzuch. Na palcach każdej dłoni tkwiły po trzy masywne złote pierścienie.

Gość usiadł. Odwiedzał już wcześniej ten gabinet, toteż nie zaintrygowały go ilustracje, które wisiały na pomalowanych na beżowy kolor ścianach: piaskowe wydmy, piramidy i dziwacznie stylizowane afrykańskie twarze o skośnych oczach. Matthew Monyatta był założycielem, prezesem i czołowym guru bostońskiej Grupy Czarnej Świadomości Olduvai. W czasach Czarnych Muzułmanów należał do protegowanych Malcolma X, ale po roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim, kiedy jego żona i dzieci zginęły w krwawej utarczce pomiędzy czarnymi frakcjami, stracił wiele ze swego fanatyzmu i zaczął działać na rzecz rasowego pojednania, starając się jednocześnie wykazać, że czarna cywilizacja jest równie stara i głęboko zakorzeniona jak biała. Stąd się zresztą wzięła nazwa „Olduvai” – od wąwozu w Tanzanii, w którym odkryto najstarsze ślady homo erectus.

–Na ulicach toczy się prawdziwa wojna – stwierdził gość.

–Czy to pana dziwi, panie zastępco burmistrza? – zapytał Matthew. – Biały policjant zastrzelił trzymiesięcznego syna jednego z największych bohaterów naszego getta. Zginęło również czterech innych naszych czarnych braci i jedna czarna siostra. To była masakra, masakra dokonana na progu murzyńskiego domu. A wszystko to podobno w ramach akcji wymierzonej w siatkę handlarzy narkotyków, prowadzoną przez bogatych członków Bluszczowej Ligi, którzy nigdy w życiu nie wjechaliby na Seaver Street bez włączonej na pełny regulator klimatyzacji.

Kenneth Flynn zacisnął wargi i uciekł spojrzeniem w bok. Nigdy nie lubił Matthew Monyatta i wiedział, że nigdy go nie polubi. Nie miał uprzedzeń rasowych; jeden z jego najlepszych kumpli z college’u był czarny i ubiegał się teraz o posadę stanowego sekretarza skarbu. Kenneth nie znosił po prostu moralności getta. Irlandzkie getto było tak samo złe jak afrykańskie; jedno i drugie sprowadzało się do brzydkich, ręcznie robionych garnków, monotonnych pieśni o amatorskiej melodyce i naćpanych młodzieńców w sandałach na nogach i z gwiazdami w oczach.

Tymczasem na Seaver Street paliły się domy, plądrowane były sklepy i do miasta zstąpił Hieronim Bosch.

–Rozmawiałem z burmistrzem. Poprosił mnie, żebym się z panem spotkał – wyjaśnił Kenneth.

–Naturalnie – stwierdził Matthew. – Przysłał pana do mnie, bo potrafi pan namawiać ludzi, żeby robili to, na co nie mają wcale ochoty. Chce, żebym poszedł na Seaver Street i powiedział tym wszystkim czarnym, żeby przestali palić i plądrować i zaczęli zachowywać się jak grzeczne dzieci. Bo w tym z kolei jestem dobry ja sam. Czasami zastanawiam się, w czym jest dobry pan burmistrz.

–W delegowaniu ludzi – odparł Kenneth. – Ma wyjątkowy talent do delegowania ludzi.

Matthew kiwnął głową i krzywo się uśmiechnął.

–Tym razem, panie zastępco burmistrza, zupełnie nie jestem pewien, czy chcę tam iść. To sprawa policji. Ta zasadzka nie powinna nigdy być urządzona... nie na Seaver Street... nawet gdyby się udała. Jeśli pójdę tam teraz, uniosę w górę ręce i powiem: ludzie, ludzie, przestańcie palić i plądrować, nie bądźcie źli, białe świnie tego nie chciały, jak pan myśli, kim stanę się w ich oczach? Wujem Tomem? Zdrajcą mojej rasy? Czy po prostu honorową świnia? – Zapadła cisza i po chwili Monyatta podjął: – Być może nie widziałem na oczy pana Latomby, a jednak opląkuję jego zastrzelonego synka, podobnie jak opląkują go wszyscy mieszkańcy Seaver Street. Opląkuję pozostałych, którzy ponieśli dzisiaj śmierć i którzy cierpieli; i opląkuję Boston. Kenneth przesunął palcem pod kołnierzykiem i skrzywił się.

–Naprawdę nie mam ochoty wysłuchiwać retorycznych popisów, panie Monyatta. Jeśli nie pogada pan z tymi ludźmi, czeka nas krwawa jatka. To miasto pójdzie z dymem, panie Monyatta, a pan jest jedyną osobą, która może je ocalić.

Matthew uniósł swoje studwudziestokilogramowe ciało z fotela, który zaskrzypiał z ulgą dwa albo trzy razy. Okrążył biurko i stanął nad Kennethem niczym Mount Monyatta, zasłaniając całe padające przez okno światło. Wokół jego szyi wisiało

sześć albo siedem naszyjników, na które nanizane były afrykańskie paciorki, krążki z brązu i amulety z koziego wlosia, miedzianego drutu i szkła.

– „Czy znasz porządek nieba albo czy możesz ustanowić jego władztwo na ziemi? – zacytował. – Czy potrafisz podnieść swój głos ku chmurom, aby cię okrył nawał wód? Czy możesz wypuścić błyskawice, aby poszły i rzekły do ciebie: Oto jesteśmy!?”

Kenneth podniósł powoli wzrok i spojrzał Monyatcie prosto w oczy.

– „Tylko ze słyszenia słyszałem o tobie – odpowiedział cytatem – lecz teraz moje oko ujrzło Cię.”

Matthew przyglądał mu się bardzo długo. A potem wziął stojący na biurku przenośny telefon i razem z portfelem i kluczami do samochodu wrzucił go do przestronnej kieszeni swojej dżalabii.

– Sprytny z pana facet, panie zastępczo burmistrza – oświadczył. – Teraz niech pan mnie wiezie prosto do piekła.

## ROZDZIAŁ VI

Wysiadając z samochodu Michael zobaczył unoszące się nad dzielnicą Roxbury dymy i przystanął na chwilę na parkingu, przysłuchując się dochodzącemu z oddali stłumionemu zawodzeniu syren. Helikoptery przelatywały ludziom nad głowami, okrążyły przez moment Strefę Frontową w sztywnym powietrznym tańcu, a potem wracały w stronę centrum.

Dzień był duszny i prawie bezwietrzny; w powietrzu unosił się metaliczny zapach miedzi. Prognoza zapowiadała burzę z piorunami i obfite opady deszczu.

Michael zamknął samochód i podzwaniając kluczykami ruszył w stronę głównego wejścia Boston Central Hospital. Przyjechał z New Seabury poprzedniego dnia po południu i spędził noc na kanapie u Joe Garbodena. Tego ranka pojawił się w Plymouth Insurance z tępym bólem głowy spowodowanym przez ciśnienie atmosferyczne oraz opróżnioną razem z Joe, żeby uczcić jego powrót, butelką maker's mark. Powitano go oficjalnie z powrotem w firmie i wręczono brunatny skoroszyt oznaczony napisem O'BRIEN.

Przestudiował większość akt podczas składającego się z cheeseburgera i lodowatego micka samotnego lunchu w Clarke's Saloon naprzeciwko Faneuil Hall. Chciał wykuć na blachę wszystkie dane, zanim będzie miał okazję rozmawiać z Kevinem Murrayem i Arturem Rolbeinem, dwoma inspektorami, którzy zajmowali się do tej pory dochodzeniem.

Zdawał sobie sprawę, że jego dokooptowanie nie wzbudzi prawdopodobnie ich entuzjazmu, i naprawdę nie chciał, żeby to Kevin Murray wykonał całą robotę, ale policja i koroner udzielili mu tylko bardzo ogólnikowych informacji, a rzecznik Federalnego Urzędu Lotnictwa zawzięcie odmawiał odpowiedzi na wszelkie pytania, twierdząc, że „na tym etapie zdecydowanie nie czas jeszcze na jakiegokolwiek spekulacje”.

W aktach znajdowała się interesująca notatka sporządzona przez Artura Rolbeina, asystenta Kevina Murraya. Rolbein rozmawiał z właścicielem jachtu, który po rozbiciu się helikoptera Johna O'Briena na Nantasket Beach popłynął do brzegu swoim pontonem. Człowiek ten nazywał się Neal Masky, był dyrektorem agencji reklamowej i miał mały letni domek w Cohasset.

Masky: Po tym jak helikopter rozbił się na plaży, przez dłuższą chwilę panowała niesamowita cisza. Nie wiem, Trwało to przynajmniej przez trzy albo cztery minuty. Podpływałem do brzegu i wtedy właśnie zobaczyłem czarny albo ciemnoniebieski pikap, zaparkowany niedaleko wraku. Nie miałem pojęcia, jak się tam znalazł, bo nie widziałem, żeby jechał w tym kierunku po katastrofie... chociaż mogłem go nie zauważyć, bo helikopter zasłaniał mi widok.

Z drugiej strony... bardzo mnie obchodził los pasażerów helikoptera i ciągle spoglądałem ku nim, żeby sprawdzić, czy nie widać jakichś śladów życia. Z pewnością zobaczyłbym zbliżającą się furgonetkę. Nie wyobrażam sobie, jak mógłbym jej nie zauważyć...

Mogę tylko założyć, że stała tam... no wie pan... jeszcze przed katastrofą.  
Rolbein: Powiedział pan, że widział kogoś obok wraku. Kogoś w czarnym

płaszczu.

**Masky:** Zgadza się. Nie potrafię podać panu dokładnego rysopisu, to był bardzo długi płaszcz. To znaczy... nie jestem pewien, czy „długi” to odpowiednie słowo. Może lepiej byłoby powiedzieć „obszerny”.

**Rolbein:** Czy zauważył pan, co robiła ta osoba?

**Masky:** To mógł być mężczyzna albo kobieta. Miał albo miała taki specjalny sprzęt, coś w rodzaju nożyc do cięcia metalu, takie same, jakich używa straż pożarna podczas wypadków drogowych. Słyszałem warkot prądnicy i widziałem, jak ten ktoś podnosi w górę nożyce. Przypominały olbrzymie metalowe szczypce kraba.

**Rolbein:** Szczęki życia.

**Masky:** Tak właśnie je nazywają? Nie wiedziałem. Mnie przypominały szczypce kraba.

**Rolbein:** A potem zobaczył pan, jak ta osoba wynosi coś z wraku? Zgadza się?

**Masky:** Tak, oczywiście. Wolałbym nie zgadywać, co to było. Krzyczałem, ale znajdowałem się wciąż zbyt daleko, żeby ktoś mnie usłyszał. Zacząłem mocniej wiosłować, a kiedy się wiosłuje w pontonie, siedzi się oczywiście plecami do kierunku jazdy i następną rzeczą, jaką pamiętam, był potężny odgłos wybuchu. Poczulem na karku gorący podmuch, obejrzałem się i zobaczyłem, że cały pieprzony helikopter stoi w ogniu od kokpitu do ogona.

**Rolbein:** I nie zauważył pan, dokąd odjechał pikap?

**Masky:** Jest tylko jedna droga, którą mógł odjechać: z powrotem wzdłuż Sagamore Head, a potem na północ albo na południe w Nantasket Road. Jeśli skręcił na północ, nie mógł zjechać oczywiście dalej jak do Hull i Stoney Beach. Chyba że wsiadł na prom.

**Rolbein:** Ale nie widział pan tego?

**Masky:** Nie, proszę pana. Nie widziałem.

Pod zapisem tej rozmowy Michael znalazł notatki Rolbeina, wyrażające jego wątpliwości:

„Można by przyjąć, że pikap znalazł się na szczycie Sagamore Head przez kompletny przypadek i że kierowca wykorzystał okazję, żeby splądrować wrak. Ale kierowca pikapa miał ze sobą coś, co mogło być profesjonalnym sprzętem do cięcia metalu, Holmatro albo coś w tym rodzaju – fakt, o którym policja zapomniała poinformować prasę (dlaczego??). Kierowca użył nożyc, żeby wejść do środka i zabrać to, co chciał. Zatem nie tylko znalazł się w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu, ale był również w pełni przygotowany na to, co przy wielu wątpliwościach musimy uznać za wypadek. Według naszych komputerów szansę kogoś, kto ustawiłby się w dowolnym miejscu wybrzeża Massachusetts, czekając, aż gdzieś w pobliżu rozbije się helikopter, wynoszą jak 87 234 000 do jednego, co oznacza, że ta osoba mogłaby czekać sobie nawet 239 000 lat. Załóżmy zatem, że nasz kierowca wiedział, iż helikopter O’Briena rozbije się na Sagamore Head. Jakim cudem?? Chyba że strącony został tam specjalnie?? Przez raketę, do tej pory nie odkrytą albo nie ujawnioną?? Z karabinu albo działka przeciwlotniczego?? (Wciąż nie wyjaśnia to tak dokładnego lądowania... gdyby rozbił się kilka metrów bliżej, wpadłby



prosto do morza.) Może kraksę spowodował pilot samobójca?? Notabene: sprawdzić wyniki jego badań lekarskich i raport lekarza sądowego. Może cierpiał na jakąś śmiertelną chorobę i chciał, żeby jego rodzina otrzymała odszkodowanie z tytułu katastrofy? Podobnie jak w sprawie Pan American Airlines przeciwko Roddickowi”.

Michael przekartkował pobieżnie resztę akt, ale rozważania Rolbeina dały mu jak na razie najwięcej do myślenia z całej dokumentacji zgromadzonej w skoroszycie. Zadzwoił do Rolbeina i zostawił wiadomość na taśmie, prosząc o spotkanie w ciągu najbliższych kilku dni. A potem pojechał do Central Hospital na spotkanie z doktorem Raymondem Moorpathem, który badał ofiary katastrofy na specjalną prośbę komisarza bostońskiej policji, Homera T. Hudsona.

Boston Central był kiedyś obskurnym, zaniedbanym miejskim szpitalem, z kiwającymi się na korytarzach ćpunami, zakrwawionymi toaletami i wydzierającymi się na każdym piętrze alkoholikami. W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym zamknięto go z braku funduszy, ale sześć lat później przejęty został przez potężne konsorcjum finansistów, właścicieli nieruchomości i bogatych lekarzy. Odnowiono wspaniałą gotycką fasadę z czerwonej cegły i luksusowo wyposażono pokoje. Dla tych, którzy mogli sobie na to pozwolić albo odpowiednio zabezpieczyli się za pośrednictwem ubezpieczeń TAHPs, Bay State lub Blue Cross, Boston Central oferował najnowocześniejsze leczenie chorób układu krążenia, komplikacji diabetycznych, nowotworów i AIDS, a także różnego rodzaju transplantacje. Można tu było sobie zamówić fotoforezę, żeby poprawić osłabioną odporność, kurację neutronową, żeby zlikwidować guza na mózgu albo balonowanie, żeby umiarować serce.

Boston Central był pozłacaną świątynią nowoczesnej medycyny, a doktor Raymond Moorpath jednym z jej głównych kapłanów.

Michael musiał prawie przez piętnaście minut czekać na dole. Najpierw przechadzał się po holu, stąpając po lśniącej mozaikowej podłodze i oglądając olejne portrety słynnych bostońskich lekarzy, a potem zasiadł na jasnobrązowej skórzanej kanapie i przerzucał broszury na temat odsączania tłuszczu, dzięki czemu „uzyskiwało się bardziej pożądaną kontur ciała”, a także likwidowało fałdy na udach i biodrach, „wydatny” brzuch, zbyt obfity podbródek i powiększone męskie piersi.

–Pan Rearden? – zapytała, pochylając się do przodu czarnowłosa recepcjonistka w rozkosznych małym pielęgniarskim czepku na głowie. Jej oczy połyskiwały fioletowo w świetle stojącej na biurku lampy. – Chce się z panem widzieć doktor Moorpath. Ósme piętro, pokój osiem tysięcy dwieście dwa.

Korytarz wyłożony był grubym zielonkawym dywanem i unosił się w nim raczej zapach hotelu niż szpitala. Ściany obwieszono nieokreślonymi w stylu i dość brzydkimi obrazami abstrakcyjnymi, które wyglądały, jakby malowali je neurotycy, a zamawiali filistrowie. Po drodze Michael minął jasnowłosego mężczyznę w wózku, który uśmiechnął się do niego szeroko.

–Czy pan jest Lloyd Bridges? – zapytał.

Znalazł doktora Moorpatha grającego w golfa w dużym narożnym gabinecie z wysokim sufitem. Widok za oknami był niewyraźny i zamazany, mimo to zaledwie

kilka kilometrów dalej Michael mógł dostrzec pomarańczowe płomienie, unoszący się leniwie brązowy, gęsty dym i krążące niczym ważki helikoptery. Nie wydawało się, by cokolwiek z tego przeszkadzało doktorowi Moorpathowi, właściwie ledwie to zauważał. Michael miał uczucie, że doktor odczuwa nawet pewien rodzaj złośliwej satysfakcji. Wszystko, co robili ubodzy i upośledzeni, aby sprowadzić na siebie coraz większą biedę, potwierdzało tylko ich głupotę – taka była opinia doktora Moorpatha. „Nikt nigdy nie wziął pod uwagę, że być może im to odpowiada. To, że są upośledzeni, daje im poczucie własnej ważności”.

Gabinet został urządzonej w stylu, który miał prawdopodobnie naśladować przepych i solidny charakter angielskiego wiejskiego domu: wyłożone dębową boazerią ściany, masywny kamienny kominek i obite skórą biurko, które samo jedno mogłoby pomieścić którąś z tych biednych upośledzonych rodzin, na jakie doktor Moorpath ustawicznie się uskarżał. Na ścianie naprzeciwko drzwi wisiał duży olejny obraz przedstawiający angielskie polowanie: jaskrawa plama różowych strzeleckich kurtek, kapeluszy i wyglansowanych butów.

Sam doktor Moorpath był olbrzymem – należał do tych osób, które w pojedynkę mogą przeciążyć windę. Miał dużą, jowialną twarz, krzaczaste brwi i błyszczące, czarne jak u kruka włosy, zaczesane starannie do tyłu. Ich kolor był tak intensywny, że musiał je farbować; oczywisty i śmieszny przejaw próżności, który zupełnie nie pasował do złożonej osobowości doktora Moorpatha i którego Michael nigdy nie był w stanie zrozumieć. Miał na sobie bardzo drogą wełnianą kamizelkę z podobnym do szala kołnierzem, workowate brązowe sztruksy i chrystusowe sandały założone na ciemnozielone skarpetki.

Ukończył z wyróżnieniem wydział patologii Harvard Medicine School i przez dwa dziesięciolecia był jednym z najlepszych lekarzy sądowych w całym stanie. Napisał wyczerpujący podręcznik entomologii sądowej, w którym przedstawił metodę określenia czasu śmierci denata na podstawie stadium rozwojowego żerującej w jego ciele ścierwnicy: „Znaczenie cyklu życiowego Sarcophaga Carnara w ustaleniu czasu zgonu” – wśród studentów mówiło się raczej: Mucha Moorpatha.

Niemniej wskutek zażartych walk podjazdowych w biurze koronera nie mógł doczekać się awansu i dwanaście lat temu rozgniewany i sfrustrowany przyjął ofertę Brigham Women's i przeniósł się na ich oddział patologii, a kiedy otwierano ponownie Boston Central, objął stanowisko ordynatora patologii. Był teraz bogaty, otoczony powszechnym respektem i powszechną antypatią, i dwadzieścia razy bardziej hałaśliwy niż kiedyś.

–Michael! – ryknął. – Cóż za wspaniała niespodzianka! Minęło już chyba pięć lat!

–Prawie – potwierdził Rearden, ściskając olbrzymią dłoń doktora; jego podobne do bananów palce jak zwykle sprawiły, że poczuł się niczym mały chłopiec.

–Słyszałem, że złożyłeś rezygnację – stwierdził z niesmakiem doktor, tak jakby było to czymś równie nieprzyzwoitym co publiczne oddawanie moczu.

–Owszem, złożyłem coś w tym rodzaju – odparł Michael, rozglądając się po pokoju. – Miałem małe załamanie nerwowe.

–Tak, słyszałem. Wydaje mi się, że psychika niektórych osób może po prostu

nieść mniej niż psychika innych. W większości przypadków śmierć nie jest wcale atrakcyjna, prawda? Prowadzę teraz interesujące badania nad gangreną, w szczególności gangreną spowodowaną przez zmiżdżenia i poparzenia. Fascynujące... ale nie, z całą pewnością nie atrakcyjne.

–Nieży masz tutaj gabinet – zauważył Michael.

–Hmm, dziękuję. Cieszy mnie myśl, że dodaje nieco godności notorycznie niedocenianej profesji. Proporcje są nieco inne i trochę niższy sufit, ale poza tym stanowi on dokładną replikę głównej bawialni Foxley Hall w Huntingdonshire w Anglii. Z wyjątkiem oczywiście wyposażenia technicznego.

Podszedł do eleganckiego sekretarzyka z okresu Jakuba I i otworzył go. Wewnątrz znajdowały się telefony, komputer osobisty Apple i faks.

–I spójrz na to – roześmiał się. Otworzył drzwiczki stojącej obok wąskiej dębowej szafki, odsłaniając znajdujący się w środku CDI. – Lubię w intermediach golf... mogę poćwiczyć trochę między przypadkami.

–Jestem pod wrażeniem – stwierdził Michael.

–Napijesz się czegoś? – zapytał, zamykając drzwiczki, doktor. – Mam bardzo dobre wino. A także szkocką i piwo, jeśli sobie życzysz. Piłeś kiedyś piwo Singha z Tajlandii? Wyśmienite. Po sześciu butelkach zaczynasz rozumieć tajski, nie trzeba męczyć się i wkuwać. Nie zakochuj się w honorze... to takie dobre stare tajskie przysłowie.

–Chciałbym zachować jasny umysł – powiedział Michael.

–Cóż... to bardzo mądrze z twojej strony – odparł Moorpath, nalewając dużą porcję glenmorangie. Podsunął sobie szklaneczkę na chwilę pod nos, tak jakby to była maska tlenowa. – Nie ma nic lepszego od dobrej whisky – stwierdził z rozmarzeniem.

–Zastanawiasz się pewnie, dlaczego chciałem się z tobą zobaczyć – powiedział Michael.

–Sekretarka mówiła coś o ponownym rozpatrywaniu pewnych starych przypadków. Piszesz wspomnienia? Czy chcesz przeżyć na nowo swoje koszmary? Jaki konkretny przypadek masz na myśli?

–Obawiam się, że żaden z nich. Nie byłem zupełnie szczery. Doktor Moorpath zaparkował swój wielki tyłek na poręczy sofy.

–Pracowaliśmy razem nad kilkoma interesującymi sprawami, prawda? Co to było ostatnio? Katastrofa motorówki przy Spectacle Island? Urocza pani Deerhart III, wystarczająco bogata, żeby kupić wszystko z wyjątkiem swoich własnych amputowanych stóp. Michael uśmiechnął się kwaśno i kiwnął głową.

–Dostała siedem milionów sto dziewięćdziesiąt tysięcy, co prawie pokryło koszty nowych. I dzisiaj potrafi całkiem dobrze tańczyć.

–Cóż, bardzo się cieszę – stwierdził doktor Moorpath. – Nie można tego powiedzieć o mnie. Moja żona twierdzi, że tańczę jak Godzilla. Moja czwarta żona. Nie poznałeś jeszcze Jane, prawda? Wzięliśmy ślub w kwietniu w Santa Cruz Huatullo. Piękna dziewczyna: inteligentna, młoda, wspaniała gospodyni. Kandydowała do tytułu Playmate of the Month. – Przez chwilę się zastanawiał, a

potem hałaśliwie odchrząknął. – Wcale mi to nie przeszkadzało, Playmate of the Month jest całkiem w porządku, ale cieszę się, że zrezygnowała.

–Plymouth Insurance zaangażował mnie do sprawy O'Briena – oświadczył Michael. – I to jest prawdziwy powód mojej wizyty.

Moorpath zakrył prawą dłonią oczy. Pozostał w tej pozycji prawie przez minutę, nic nie mówiąc, ale kiedy odsunął w końcu rękę, na jego twarzy malował się wyraz głębokiego wstrętu i niedowierzania, tak jakby Michael doniósł właśnie na policję, że doktor Moorpath napastuje własne córki.

Michael wziął płytki oddech.

–Chciałbym, jeśli można, zadać ci dwa pytania – rzekł.

–Rozmawiałem już z kimś z Plymouth Insurance. – W głosie doktora Moorpatha zabrzmiała niemal otwarta wrogość. – Jak on się nazywał... Ballpen, czy coś w tym rodzaju.

–Rolbein – poprawił go Michael. – I rzeczywiście, zgadza się. Rolbein napisał w swoim raporcie, że bardzo chętnie z nim współpracowałeś, ale tylko w określonych granicach. Kłopot polega na tym, że były one dość wąskie. Zachowałeś dla siebie wiele ważnych informacji. Na przykład wstępne badanie pośmiertne. Na przykład kopie aktu zgonu. Na przykład: ile ludzi zginęło w katastrofie i czy nie ma przypadkiem jakiejś niezgodności między liczbą ofiar znalezionych we wraku i liczbą osób, które weszły na pokład helikoptera obok domu pana O'Briena. Mówimy tutaj o naprawdę wysokich roszczeniach, Raymond, o prawdziwej forsie, i rzeczywiście potrzebujemy tych informacji.

–Dlaczego twoim zdaniem komisarz poprosił, żebym to ja przeprowadził badania pośmiertne? – zapytał doktor Moorpath. – Poprosił mnie osobiście. – Podniósł do ucha dłoń z wyciągniętym kciukiem i małym palcem, naśladując rozmowę telefoniczną.

–Podejrzewam, że zrobił to ze względu na konieczność zachowania dyskrecji – odparł Michael. – Gdyby zabrali te ciała do miejskiej kostnicy, następnego ranka Globe zamieściłby na pierwszej stronie zdjęcia leżącej obok siebie całej rodzinie. O'Brienowie połączeni w obliczu śmierci, albo coś w tym rodzaju.

–Właśnie – stwierdził doktor Moorpath. – Wysłał do mnie te szczątki, ponieważ zwłoki rodziny O'Brienów nie są padliną, na której mogłyby żerować środki przekazu. John O'Brien był sędzią Sądu Najwyższego, a jego ojciec był przyjacielem mojego ojca. Cała ta tragiczna historia wymaga dyskretnego, godnego i powściągliwego podejścia i powstrzymania bezpodstawnych i dzikich spekulacji.

–Ktoś mógłby powiedzieć, że ludziom zależy na zachowaniu dyskrecji tylko wtedy, kiedy chcą coś ukryć.

Doktor Moorpath zadumał się na chwilę, a potem z jego krtani wydobył się groźny pomruk. Michael domyślał się, że jest mocno poirytowany. Trudno było jednak oprzeć się pokusie zirytowania go w jeszcze większym stopniu. Doktor Moorpath nie znosił głupców i inaczej myślących i nieodmiennie wyprowadzał go z równowagi każdy, kto kwestionował jego kliniczne opinie. Ale Michael już dawno się zorientował, że na im mniej pewnym Moorpath się porusza gruncie, tym bardziej robi się wściekły,

a wybuch złości nie stanowi sygnału, aby się wycofać, ale żeby naciskać – coraz mocniej i mocniej.

–Skończyłeś już badanie wstępne? – zapytał.

–Kiedy skończę, przekażę je normalnymi kanałami.

–Więc jeszcze go nie skończyłeś?

–Tego nie powiedziałem.

–A zatem je skończyłeś?

–Tego też nie powiedziałem.

–Raymond... na litość boską. Ty masz swoją robotę, a ja swoją. Ten człowiek nie żyje. Nie żyje cała jego rodzina. Komu wyrządzisz krzywdę?

–Naprawdę tego nie zrozumiesz. – Doktor Moorpath posłał mu jedno ze swoich słynnych piorunujących spojrzeń.

–Zaryzykuj, Raymond. Moi pracodawcy mają przed sobą realną perspektywę wypłacenia dziesiątków milionów dolarów, co oznacza, że będą mieli o wiele mniej pieniędzy, żeby zaspokajać roszczenia innych klientów i o wiele mniej pieniędzy, żeby kupować sobie maserati i marmurowe jacuzzi. Będą poważnie wkurzeni. Podobnie jak ja, ponieważ nie będzie to dotyczyć ciebie; oni będą poważnie wkurzeni na mnie.

Doktor Moorpath wypił trochę whisky i zadrżał lekko, tak jakby ktoś przeszedł obok jego grobu i uśmiechnął się na jego widok.

–Nic się nie zmieniłeś, prawda? – zapytał z niewesołym uśmiechem.

–Pokaż mi swój raport – nalegał Michael. Wcale nie chciał oglądać tego raportu. Nie chciał patrzeć na spalone, pokurczone ciała. Na podobne do masek twarze, obnażone ogniem zęby.

Moorpath potrząsnął głową.

–Naprawdę tego nie zrozumiesz, Michael. Kiedy ginie nagle człowiek taki jak John O'Brien, ma to swoje szczególne reperkusje. Polityczne, prawne, finansowe... To nie to samo, kiedy ginie w wypadku na autostradzie jakaś wracająca do domu, mieszkająca na przedmieściu rodzina. To nie to samo, kiedy odnajduje się w parku martwego pijaka. To delikatna sprawa. Trzeba ją rozpatrywać na wielu poziomach.

–Rozumiem – powiedział Michael. – Ale Plymouth Insurance jest w tym samym stopniu zainteresowane Johnem O'Brienem co policja. A może nawet w większym.

Doktor Moorpath zadrżał. Zachowywał się tak, jakby się lekko wstawił i było oczywiste, że nie zamierza mu w niczym pomóc. Siedząc w fotelu Michael przyjrzał się lekarzowi i zadumał nad tym, jak upadają najlepsi. Trudno znaleźć kogoś bardziej zgorzkniałego, upartego i zaabsorbowanego samym sobą od idealisty, który porzucił własne ideały.

Mijały minuty. Za oknem w niebo wzbijały się kolejne, przypominające pryzmę brudnych kalafiorów kłęby dymu. Doktor Moorpath wypił do końca whisky i najwyraźniej nie miał ochoty podtrzymywać rozmowy. Michael siedział obserwując go. Wiedział, że nie posuwa się ani trochę do przodu, ale mimo to dziwnie nie chciało mu się wyjść. Tak jakby czekał, że Moorpath nagle zmięknie i wszystko opowie. Albo że zobaczy jakiś niezwykły znak: na przykład zesłanego przez niebiosa lśniącego

białego gołębia.

–Masz małego syna, prawda? – zapytał nagle doktor Moorpath tonem luźnej pogawędki.

–Tak, Jonasa. Fajny chłopak. Trzynastolatek. Ma pewne kłopoty z czytaniem, ale...

–Ja też mam dzieci – przerwał mu doktor Moorpath. – Młodsza nazywa się Jane, starsza Juniper. Kończy teraz dwadzieścia siedem lat. W gruncie rzeczy chyba mnie nienawidzi. Jest feministką. To dziwne, jak bardzo feministki nienawidzą mężczyzn. Można by pomyśleć, że pierwszym odruchem feministki powinno być zaprzyjaźnienie się z mężczyznami... uczynienie z nich swoich sojuszników, nie wrogów.

–Zamierzasz pokazać mi te akta? – zapytał Michael.

–Hmm? – mruknął podnosząc brew doktor Moorpath i dopiero teraz Michael uświadomił sobie, że jego gospodarz wcale nie jest wstawiony, że daje mu po prostu coś do zrozumienia. To mianowicie, że sprawa Johna O'Briena znajduje się poza jego zasięgiem i nie będzie na jej temat dyskutować bez względu na okoliczności, i że nie chce, aby Rearden go dalej wypytywał.

–Może jednak spróbuję tego piwa – powiedział Michael. Nagle zaschło mu w gardle. Czuł, że grozi mu niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo, które nadciągało z całkiem niespodziewanej strony, tak jakby był pływakiem i zobaczył coś bardzo dużego, ciemnego i amorficznego – na przykład wynurzający się z morza łeb wielkiej, czarnej ośmiornicy.

Doktor Moorpath otworzył lodówkę, która wyglądała z zewnątrz niczym devonport: wiktoriańskie orzechowe biurko „dla młodych, uczących się panienek”. Wyjął ze środka oszronioną butelkę piwa i zamknął drzwiczki.

–Prawdziwy Armageddon, prawda? – zauważył, wskazując głową unoszącą się na południu miasta dymy. – Jak brzmi to powiedzenie? „Armageddon, Armageddon i po Armageddonie”.

–Mamy poważne problemy z posunięciem się w sprawie O'Briena choćby o krok do przodu – powiedział Michael, bacznie obserwując nalewającego mu piwo Moorpatha.

–Cóż... w tych okolicznościach należało się tego spodziewać.

–Nie wiem nawet, jakie to okoliczności.

–Takie, że nominacja Johna O'Briena miała zrównoważyć w końcu obecność przeforsowanych jeszcze przez Nixona prawicowych sędziów. Ale nie tylko to. Nominacja Johna O'Briena miała raz na zawsze zmienić Amerykę.

–Popierałeś go? – zapytał Michael.

Prawdziwy wyraz twarzy doktora Moorpatha skrywała gra światła i cieni.

–Jestem lekarzem sądowym – odparł. – Zajmuję się ludzkim ciałem, a nie ideami politycznymi.

Michael miał zamiar dalej przyciskać doktora Moorpatha do muru, kiedy rozległo się krótkie, symboliczne pukanie do drzwi i do gabinetu zajrzał sprawiający wrażenie zaniepokojonego brodaty, śniadolicy doktor.

–Przepraszam, że panu przerywam, doktorze Moorpath – powiedział – ale

przywieźli właśnie kilka ofiar ulicznej strzelaniny, i komisarzowi policji oraz zastępcy prokuratora okręgowego bardzo zależy na tym, żeby rzucił pan na nie okiem. Najwyraźniej powstały pewne wątpliwości... – Doktor zobaczył Michaela i przerwał w połowie zdania, ale ten i tak mógł się domyślić, o co chodzi. Najwyraźniej powstały pewne wątpliwości, kto i jak ich zabił. Gliniarze w Strefie Frontowej byli prawie tak samo skorzy do pociągania za cyngiel jak yummys.

–Oczywiście – odparł doktor Moorpath, wstając z sofy. – Tak, Michael? Czy jest coś jeszcze? – zwrócił się do Reardena, dając mu niedwuznacznie do zrozumienia, że audyencja skończona.

–Właściwie tak, jest coś jeszcze – odparł Michael. – Chciałem, żebyś powiedział mi, kiedy przetransportowano tutaj zwłoki i jaką zastosowano wobec nich procedurę. Co zrobiłeś, kiedy je tu przywieziono i kto się nimi zajmował?

–Czy to nie może poczekać do jutra? – zapytał niecierpliwie Moorpath, zakładając biały fartuch.

–Mógłbym postawić ci lunch – zaproponował Rearden.

–Dziękuję, Michael, ale wszystkie lunche mam już zarezerwowane.

–Może u Jaspersa?

–Przykro mi. Mam wielką ochotę, ale dziękuję.

–W porządku – stwierdził Michael wstając. – Nie wiem, jak przyjmie to staruszek Bedford, ale cóż... Wciąż podobno gracie razem w golfa, prawda?

Doktor Moorpath rzucił okiem na swój błyszczący zegarek marki Jaeger-le-Coultre.

–Posłuchaj, Michael... To nie potrwa długo. Poczytaj sobie jakieś czasopisma. Janice przyniesie ci kawę.

Michael ponownie usiadł.

–Raymond... Edgar będzie ci naprawdę wdzięczny.

Ale doktor Moorpath zniknął już niczym niżowy front burzowy za drzwiami, pozostawiając Reardena samego w swojej mieszczącej się na ósmym piętrze bawialni wiejskiego domu – z jej ciszą, klimatyzowanym chłodem i widokiem na płonący Boston.

Michael przeszedł się po gabinecie i wziął do ręki porcelanową pasterkę. „Oliver Sutton Antiques. Londyn. Staffordshire, około roku 1815. Gwarantowany autentyk” – brzmiał napis na spodzie. Odstawił ją ostrożnie z powrotem. Nie bardzo lubił antyki. Nie podobała mu się myśl, że ci, którzy je wykonali, i ci, którzy je pierwsi kupili, leżą już od dawna zapomniani w grobie – nie zapisane nigdzie nazwiska, życie, które rozsypało się w pył.

Podszedł do okna i obserwował przez chwilę bijące w górę słupy dymu i skrzący się uliczny ruch. Osiem pięter niżej, na szpitalnym parkingu, zobaczył dwóch miniaturowych, podobnych do mrówek lekarzy, którzy podeszli do siebie i zaczęli rozmawiać. Głowy obu obróciły się w bok, kiedy przeszła koło nich szybko pielęgniarka.

Wciąż gapił się przez okno, kiedy otworzyły się za nim drzwi gabinetu.

–Och, przepraszam – odezwał się dziewczęcy głos. – Szukam doktora Moorpatha.

**Odwrócił się. W progu stała wysoka brunetka w szarym kostiumie w paski. W rękę trzymała trzy brązowe koperty.**

**–W porządku – powiedział. – Doktor Moorpath został wezwany na dół do niespodziewanego przypadku.**

**–Przyniosłam mu te fotografie, to wszystko. Pilnie ich potrzebował.**

**–Może pani je tutaj zostawić. Wróci za parę minut.**

**–No nie wiem... – Dziewczyna przycisnęła koperty obronnym ruchem do piersi. – Kazano mi oddać je doktorowi Moorpathowi do rąk własnych.**

**–Cóż... może pani poczekać. To nie potrwa długo.**

**Zerknęła z niepokojem na zegarek, a potem weszła do gabinetu i zaczęła przestępować niecierpliwie z nogi na nogę. Michaelowi wydała się bardzo atrakcyjna: przypominała mu Linde Carter z lat, kiedy grała w „Wonder Woman”. Oficjalny, utrzymany w stonowanych kolorach strój nie zdołał ukryć pełnych kształtów i błyszczących hiacyntowobłękitnych oczu.**

**–O drugiej jestem umówiona na lunch – powiedziała z uśmiechem, który szybko zgasł na jej ustach.**

**–Doktor Moorpath powinien zaraz wrócić – zapewnił ją ponownie Michael.**

**–To są powiększenia, rozumie pan – wyjaśniła. – Doktor Moorpath chciał mieć komputerowe powiększenia.**

**Michael kiwnął głową. Tak naprawdę wcale go to nie interesowało.**

**–Tam na dole toczy się prawdziwa wojna – zauważył, wskazując głową unoszące się dymy i krążące helikoptery.**

**Dziewczyna uśmiechnęła się, przestąpiła ponownie z nogi na nogę i spojrzała na zegarek.**

**–Proszę posłuchać – powiedziała w końcu. – Mam naprawdę mało czasu. Czy jeśli zostawię tutaj te koperty, może pan dopilnować, żeby otrzymał je doktor Moorpath? Mam na myśli, przekaże mu do rąk własnych? To naprawdę ważne.**

**–Jasne – odparł Michael. – Niech pani je tylko zostawi na biurku. Dopilnuję, żeby je dostał.**

**–Dziękuję – rozpromieniła się dziewczyna. – Ocalił mi pan życie. – Położyła koperty na obitym skórą blacie biurka, posłała Reardenowi całusa i wyszła.**

**Michael pociągnął łyk piwa i uśmiechnął się do siebie. Przed ślubem być może udałoby mu się zaprosić ją do tej pory na kolację. Albo przynajmniej zapytać, jaki jest jej znak Zodiaku. Domyślał się, że Strzelec. Piękny, rozpromieniony Strzelec.**

**Minęło dziesięć minut. Potem dwadzieścia. Doktor Moorpath wciąż nie wracał. Michael słyszał na dole syreny i widział coraz więcej karettek podjeżdżających z kręcącymi się na dachach czerwonymi światłami. Otwierały się drzwiczki z tyłu i miniaturowi pielęgniarze wwozili do szpitala miniaturowych poszkodowanych. Poczul nagły zawrót głowy, tak jakby spadał na betonowy podjazd trzydzieści metrów niżej, i nagle przypomniał sobie spadające ciała i drzewa, które zakwitły ludzkimi rękoma.**

**Przespacerował się jeszcze raz po gabinecie, trzymając się z daleka od okien. W końcu – czego być może nie dało się uniknąć – stanął przy biurku doktora Moorpatha. Nakopercie, która znajdowała się na samej górze, widniał napis ROOSA i**



długi szereg cyfr. Michael wiedział wszystko o stanowym senatorze z Partii Demokratycznej, George'u Roosie. Odkryto go powieszzonego na uchwycie na papierowe ręczniki w męskiej toalecie na stacji benzynowej w New Brighton, Watertown. Niektórzy twierdzili, że to zabójstwo, inni, że samobójstwo, jeszcze inni, że zboczenie seksualne. Michael uznał, że nie ma ochoty oglądać powiększonych zdjęć senatora George'a Roosa, żywego ani umarłego.

Na kopercie pod spodem napisano ZERBEY. Michael nigdy nie słyszał o nikim, kto nosi takie nazwisko, i uznał, że spędzi prawdopodobnie resztę życia we względnym komforcie, nie dowiadując się, kim był ów Zerbey, zwłaszcza jeśli zginął okropną śmiercią.

Usłyszał w oddali zawodzenie syren. A potem wziął do ręki trzecią kopertę i zobaczył na niej nazwisko O'BRIEN.

Przez dłuższy czas trzymał kopertę w dłoni i ręka trzęsła mu się tak, jakby przeniósł ciężką walizkę przez całą stację metra Park Street.

O'BRIEN, 343/244D/678E/01X. Wiedział nawet, co oznaczają te liczby. To były numery akt z biura koronera, a końcowe 01X oznaczało, iż zawartość tej koperty i wszystko, co wiązało się ze sprawą O'Briena, było ściśle poufne i przeznaczone wyłącznie dla oczu upoważnionego personelu. Jeśli powiesz o tym komukolwiek, oznaczało 01X – nawet swojej żonie – stracisz pracę i znajdziesz się w poważnych tarapatach.

Michael rozejrzał się, a potem nadstawił ucha. W gabinecie panowała cisza; żadnego szumu wind, żadnych kroków.

Czekał jeszcze chwilę, starając się oddychać powoli, płytko i bardzo cicho. Nie słyszał nikogo. Czując spływający mu po plecach zimny pot, zaczął odwijać nawoskowaną nitkę, która zamykała kopertę.

Przerwał na chwilę i znowu nadstawił ucha. Usłyszał, jak ktoś przechodzi pośpiesznie korytarzem, ale kroki szybko umilkły i w gabinecie ponownie zapadła cisza.

Wyjął błyszczące, kolorowe fotografie. Było ich razem jedenaście; rozłożył wszystkie wachlarzowato na biurku doktora Moorpatha. Przyglądał się im przez chwilę i poczuł nagle, że zaraz straci nad sobą panowanie i że podłoga pod jego stopami otworzy się niczym brzuch L-1011 nad Rocky Woods; że osunie się w ciemność, rozbije o drzewa i o skały i nie zostanie z niego nic poza zakrwawionymi kośćmi.

Widział spalonego, skulonego mężczyznę, mężczyznę bez głowy. Widział spaloną kobietę, kobietę, której ciało otwarte było od krocza aż po czaszkę. Widział spalonego mężczyznę leżącego między spalonymi siedzeniami helikoptera, mężczyznę bez nóg.

Widział mężczyznę w zmiażdżonym lotniczym hełmie, mężczyznę, a raczej to, co z niego zostało, z dziwnie i przerażająco powykrzywianą twarzą o spieczonych, okopconych sadzą policzkach, która przypominała jakiś upiorny obraz Picassa.

Jezus. Jezus. Jezus.

Michael zamknął oczy, ale obrazy wciąż tkwiły pod jego powiekami.

Wytrzeszczone oczy, obnażone szczęki, powykrzywiane ręce i nogi. Spokojnie – powiedział sobie – na litość boską, spokojnie.

Przyjrzał się fotografiom ponownie, porównując je ze sobą i zastanawiając się. Słyszał swój urywany chrapliwy oddech i widział, jak trzęsą mu się ręce. Czuł, jak rośnie pod nim ten ciemny amorficzny kształt. Czuł, jak z oceanu wynurza się ta wielka, czarna ośmiornica, żeby opleść swymi mackami jego zdrowy rozsądek. A potem wstrzymał na chwilę oddech. Opanuj się – nakazał sobie – to ważne.

Studiował teraz fotografie z powolnym, analitycznym zainteresowaniem kogoś, kto wie, na co patrzeć. Jak leżały ciała? W jaki sposób znalazły się w danej pozycji? Czy zostały okaleczone przez wstrząs, przez wybuch czy przez ogień? Dlaczego jedno z nich leżało skurczone na podłodze? Dlaczego ciało kobiety zostało z takim okrucieństwem otwarte? Co się stało z głową drugiego mężczyzny?

Już na pierwszy rzut oka mógł stwierdzić, że oparzenia nie były tak ciężkie, jak można by sądzić na podstawie tego, co pisała prasa. Nie ma tutaj mowy o zwłokach, które są nie do rozpoznania – pomyślał. – Nie ma mowy nawet o „pomarszczonych czarnych małpach”. Widzimy na tych zdjęciach cztery wyraźne i dające się zidentyfikować zwłoki, które znajdowały się przez chwilę w ogniu eksplozji kilkuset galonów paliwa, ale nie zostały zupełnie spalone. Każdy mógł policzyć, ile ciał było w helikopterze. Pierwsze oficjalne raporty, które twierdziły, iż „urazy fizyczne są tak poważne, że wciąż niemożliwa jest pełna identyfikacja”, miały się po prostu z prawdą. Michael widział jak na dłoni cztery oddzielne ciała, i z łatwością mógł powiedzieć, kto jest kim. Frank Coward, pilot. Dean McAllister, asystent w Departamencie Sprawiedliwości. Eva Hamilton O'Brien, żona Johna O'Briena, i sam John O'Brien, pozbawiony głowy niedoszły sędzia Sądu Najwyższego.

Dla Michaela jeszcze jedna rzecz nie ulegała najmniejszej wątpliwości: ci ludzie byli martwi, zanim jeszcze się spalili. Kikuty nóg McAllistera zostały częściowo skauteryzowane przez ogień. Wnętrznosci pani O'Brien skurczyły się z gorąca, co stanowiło oczywisty znak, że została rozpruta przed eksplozją. Twarz Franka Cowarda spiekła się na szkarłatny kolor – ale tylko w tych miejscach, które były odsłonięte po zmiążdżeniu jego hełmu.

John O'Brien nie miał głowy, zgadza się, ale spalił się tylko tył jego marynarki, co stanowiło dowód, że siedział zgięty wpół w swoim fotelu jeszcze przed eksplozją wraku.

Michael podnosił jedną po drugiej fotografie, sprawdzając i porównując. Nic dziwnego, że całą katastrofę otaczano taką tajemnicą. Nic dziwnego, że Murray i Rolbein napotkali ścianę milczenia, próbując dowiedzieć się czegoś na policji i w biurze koronera. Widział już tego rodzaju „wypadki” dziesiątki razy – w wypalonych mieszkaniach i szkieletach samochodów.

Nie było co do tego wątpliwości: rodzina Johna O'Briena nie zginęła, kiedy helikopter zetknął się z ziemią. Rodzina Johna O'Briena nie zginęła również później, kiedy eksplodował. Rodzina Johna O'Briena zginęła wewnątrz helikoptera w jakimś momencie między zetknięciem się z ziemią a eksplozją.

Ktoś ich zabił – zabił ich w tak okrutny sposób, że Michael ledwie mógł na to

patrzeć.

Na chwilę zamknął oczy. Słyszał syreny, które zawodziły zgodnym chórem na ulicy. A potem, podjąwszy decyzję, złożył razem fotografie i podszedł do imitacji sekretarzyka w stylu Jakuba I. Otworzył go, włączył należący do doktora Moorpatha faks NEC i wystukał szybko numer własnego faksu w Plymouth Insurance. Już przedtem zaschło mu w ustach, ale teraz były suche jak wiór. Nie mógł opanować drżenia rąk, kiedy wsuwał do faksu fotografię pozbawionego głowy Johna O'Briena i czekał na potwierdzenie transmisji.

Faks cmoknął, zaświergotał i przyjął jego numer. Michael czuł, jak stopniowo ochładza się spocona skóra na jego plecach. Pierwsza fotografia powoli przejechała przez skaner. Wydawało się, że trwa to całe godziny. Rearden bębnił palcami po skraju sekretarzyka i modlił się w duchu, żeby doktor Moorpath nie wrócił, zanim on będzie gotów.

W tej samej chwili kiedy zakończyła się pierwsza transmisja i Michael wyjmował fotografię z faksu, drzwi gabinetu otworzyły się na oścież i pojawił się w nich wysoki czarnoskóry lekarz w białym fartuchu.

–Doktor Moorpath? – zapytał zaskoczony.

–Na dole, w izbie przyjęć – odparł Michael. Doktor rozejrzał się po gabinecie.

–Mogę zapytać, co pan tutaj robi?

–Konserwacja – powiedział Michael wskazując głową faks.

–Aha. W porządku – odparł lekarz. Wychodząc zamknął za sobą drzwi.

Tak szybko, jak mógł, Michael wsunął do faksu drugą fotografię.

Przesłanie wszystkich jedenastu zajęło mu prawie piętnaście minut, ale doktor Moorpath wrócił z izby przyjęć dopiero pół godziny później i do tego czasu Michael zdążył wyłączyć faks i wsadzić fotografie z powrotem do koperty.

Moorpath był blady i roztargniony.

–Wszystko w porządku? – zapytał go Michael.

–Zupełnie jak w Wietnamie – oświadczył doktor Moorpath. Podszedł do barku i nalał sobie kolejną dużą whisky. Wypił ją trzema szybkimi łykami i odkaslnął.

–Może powinienem wrócić tu jutro – zasugerował Rearden.

–Tak, dlaczego nie. Umów się z Janice. Wydaje mi się, że jestem wolny po czwartej.

–Tak zrobię. Dziękuję, że poświęciłeś mi tyle czasu. Michael podał Moorpathowi rękę; przez ułamek sekundy doktor spojrzał mu prosto w oczy i zmarszczył brwi.

–Coś się stało, Michael? – zapytał, wciąż mocno ściskając w dłoni jego palce.

–Nie, nic. Jestem tylko trochę zmęczony, to wszystko. Nie przyzwyczajony do pracy od dziewiątej do piątej.

Moorpath przytrzymał jeszcze przez chwilę jego rękę i Michael wyczuł, że coś podejrzewa, choć nie wie dokładnie co.

–Dbaj o siebie – powiedział w końcu. Podszedł do biurka i wziął do ręki leżące tam koperty.

–Aha... jakaś dziewczyna przyszła tutaj zaraz po tym, jak cię wezwali, i zostawiła je dla ciebie.

Doktor Moorpath sprawdził widniejące na nich nazwiska.

–O'Brien – powiedział, podnosząc do góry ostatnią kopertę. – Czekałem na to.

–Pozwolisz mi rzucić okiem? – zapytał nieśmiało Michael.

–Jeszcze nie teraz. Wszystko w swoim czasie – odparł doktor potrząsając głową.

Michael wzruszył ramionami i wyszedł z gabinetu, zamykając za sobą bardzo

cicho drzwi.

Patrice Latomba zjadł płatki i położył talerz na stercie innych brudnych naczyń w zlewie. Rozsunął palcami żaluzje i przez moment wpatrywał się w snujące się dymy. Zamieszki na chwilę ustały. Policja okrążyła prawie całą dzielnicę, ale straż pożarna trzymała się z daleka, pozwalając samoistnie wygasać pożarom, i tylko jeden albo dwa helikoptery krążyły co jakiś czas nad domami – w przeciwieństwie do całego ich roju, który terkotał nad Roxbury wczoraj, godzina po godzinie, aż Patrick myślał, że oszaleje, Verna zaś tkwiła skurczona za białą, winylową kanapą i krzyczała, ile tylko miała sił w płucach.

Nie mógł jej winić. Na jej oczach zastrzelono małego Toussainta. Nie widział ciała, ale widział wózek, rozpruty szkielet z poszarpanym na strzępy, unurzonym we krwi piankowym materacem, który przypominał truskawkowe ciastko. Biały doktor coś do niego mówił – tak cicho, że Patrice nie był w stanie nic zrozumieć. Ale potem czarna pielęgniarka powtórzyła z okrutną jasnością słowa doktora.

–Nie ma siły, żeby ktoś mógł przeżyć taki strzał. Nie przeżyłby go nawet Mike Tyson. Możemy tylko powiedzieć, że mały o niczym nie wiedział. Absolutnie o niczym.

–Nie czuł żadnego bólu? – zapytał Patrice, a pielęgniarka potrząsnęła zdecydowanie głową i to było najgorsze ze wszystkiego; z Toussainta musiały zostać naprawdę same strzępy, skoro siostra mówiła to tak pewnie. Patrice wyszedł na szpitalny parking i wył, i skowyczał niczym ranny wilk.

Tej nocy, rozhisteryzowany i niestrudzony, przebiegał ulice Strefy Frontowej, rozbijając aluminiowym kijem do baseballa szyby samochodów, rzucając cegłami i kawałami krawężnika, pomagając dziko wrzeszczącym tłumom przewracać ciężarówki. Na ulicach krzyżowały się snopy świateł z helikopterów, a w pewnym momencie, krótko po północy, Seaver Street wypełniły opary gazu łzawiącego. Krztusząc się, Patrice uznał to za znakomity środek podniecający, wspaniały naturalny narkotyk. „Terminator”! „Universal Soldier”! „New Jack City”! W ciemności terkotały strzelby, wszędzie odbijały się rykoszetem pociski. Z prawie każdego apartamentu dochodziło dudnienie i pulsowanie muzyki, muzyki walki; to jest to, bracie, to jest rewolucja! Pękały szyby wystawowe, szkło dzwoniło niczym źle nastrojone kuranty. Młodzi chłopcy wbiegali w ciemność i dym, kradnąc ze sklepów magnetowidy, buty Adidasa, miksery, odtwarzacze kompaktowe i tyle skórzanych kurtek, ile tylko zdołali unieść. Ponurzy bracia z łomami odginali kraty, którymi zabezpieczone były sklepy z alkoholem i buszowali po półkach, kradnąc co tylko mogli, i tłukąc to, czego nie mogli. Whisky płynęła chodnikami, wódka bulgotała w rynsztokach. Ludzie włamali się do publicznej pralni, wyłamali zamocowane w nich pralki i wytoczyli je na ulicę. W nie kontrolowanej, radosnej furii podkładali nawet

**ogień pod własne mieszkania, pod własne samochody i rozbijali tysiące szyb.**

**–Nie jestem w stanie zrozumieć mentalności ludzi, którzy protestują przeciwko niesprawiedliwości społecznej, obracając w perzynę własną dzielnicę – powiedział tego ranka w telewizji burmistrz.**

**Ale Patrice rozumiał. Patrice wiedział, że chcą obrócić w perzynę wszystko to, czym kazała im być amerykańska historia. Patrice wiedział, jak bardzo się dusili, jak bardzo czuli się biedni, bezradni i wyniszczeni, żyjąc na tych ubogich krańcach bogatego miasta białego człowieka. Patrice wiedział, że chcą być znowu nadzy i wolni, że chcą głęboko odetchnąć, że chcą tańczyć. Patrice wiedział, że chcą zbudować swoją własną cywilizację – jeśli trzeba, na ruinach poprzedniej. Niszczyli tę dzielnicę, prawda – ale to nie była ich własna dzielnica. Niszczyli dzielnicę, którą założyli dla nich biali.**

**Patrice Latomba miał trzydzieści trzy lata i jako były bokser silną, giętką budowę ciała i mięśnie, które zaczynały wiotczeć z braku systematycznego treningu. Miał krótko obcięte włosy z płaskim czubem i dokładnie wygolonymi bokami, ale nie odbierało to wcale urody jego przystojnej i wyrazistej twarzy. Dwukrotnie złamany nos był wciąż mniej lub bardziej prosty, a pod spuchniętymi od setek ciosów łukami brwiowymi kryły się inteligentne i przenikliwe ciemne oczy. Boks uczynił z niego swego rodzaju lokalnego bohatera. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym, w tryskających niczym ze szlauchu strugach krwi i potu, znokautował w pięciu rundach Gary’ego Montanę, „Błyskawicę”, i występując w telewizji myślał: to jest to: sława i pieniądze. Ale potem przeczytał broszurkę Matthew Monyatty „Czarna Tożsamość” i z dnia na dzień stał się aktywnym rewolucjonistą, czarnym bojownikiem, do tego stopnia niepohamowanym, że nawet reporterzy National bali się podchodzić do niego bez ochroniarza. W Madison Square Garden, po znokautowaniu w dwóch straszliwych rundach Lenny’ego Fassbindera, potrząsnął obiema pięściami przed kamerą i zawołał: „Załatwiłem jednego, teraz kolej na resztę, białe świnię”. Został dożywotnio zdyskwalifikowany – ale na Seaver Street uczyniło to z niego prawie świętego i prowadził odtąd życie politycznego przywódcy, duchowego ojca, ekscentryka i kochanka, pełniąc przy okazji rolę (przynajmniej jeśli chodzi o Globe) użytecznego źródła cytatów założeń czarnego ekstremizmu.**

**Tego dnia ubrał się na czarno – w czarną prostą koszulę, czarną bandanę i dżinsy. Na szyi miał mojo – naszyjnik z wisiosem, w którym znajdowały się zioła, przyprawy i prochy jego brata Aarona. Nosił żałobę po swoim synu, Toussaincie, który przeżył siedemdziesiąt osiem dni i nie miał żadnej szansy, kiedy jego wózek trafiony został z czterdziestki czwórki Ralpa Brossarda. I który poszedł do nieba i śpiewał teraz w niebiańskim chórze, razem z innymi słodkimi i niewinnymi martwymi dziećmi.**

**Verna również ubrała się na czarno – w prostą suknię do kostek. Zaczesała włosy do tyłu i wsadziła w nie hebanowy grzebień. Była bardzo szczupła i piękna, a rozpacz uczyniła ją jeszcze piękniejszą.**

**–Zjesz coś? – zapytał Latomba.**

**Wzruszyła ramionami, kanciastymi i spiczastymi niczym na przedstawiającym**

prasującą kobietę obrazie Picassa.

–Musisz coś zjeść, Verna – powiedział.

–Zjem coś – obiecała. – Ale jeszcze nie teraz.

–Chcesz, żebym wezwał doktora?

–Doktor nie przyjdzie. Nikt nie przyjdzie, dopóki nie skończą się walki.

–Walczą z powodu małego Toussainta, kochanie. Walczą, żeby uczcić jego pamięć. Każdy strzał, który słyszysz, to kolejny głos czarnego brata, mówiącego: koniec z zabijaniem dzieci, koniec z zabijaniem dzieci.

Podniosła wzrok. Miała szkliste oczy.

–Mały Toussaint na pewno nie chciałby tych zamieszek. Nie chciałby wszystkich tych pożarów, śmierci i kradzieży.

–Oni zamordowali moje dziecko. Zastawili zasadzkę na tej przeklętej podmiejskiej ulicy, po której spacerują kobiety i dzieci, i zamordowali go. Nie ma co do tego kwestii.

Verna opuściła głowę. Wodziła w kółko palcem po czerwonym, plastikowym blacie stołu, rysując wciąż jeden i ten sam wzór.

–To nie ma teraz chyba żadnego znaczenia? – zapytała. – Toussaint nie żyje i nic na świecie nie wróci go z powrotem, nigdy.

Patrice oparł ręce o biodra i rozejrzał się po kuchni. Zważywszy całą jego sportową karierę i lata politycznej walki, nie wyglądała zbyt zachęcająco. Nędzna i uboga, pomalowana była na żółty, słoneczny kolor, co miało ją ożywić, a przez co w jakiś dziwny sposób sprawiała jeszcze bardziej ponure i przygnębiające wrażenie. Do tanich pomarańczowych szafek przypięte były pinezkami zdjęcia Toussainta z polaroida, a obok lodówki leżał jego gryzaczek z kości słoniowej. Latombę przeszedł dreszcz, tak jakby przez kuchnię przesunął się duch małego Toussainta i po raz ostatni, zanim odejdzie na zawsze, dotknął ojca i matki.

–Może powinnaś pobyć trochę ze swoją mamą – zaproponował.

Verna potrząsnęła z roztargnieniem głową.

–Nie mogłabym tego zrobić, kochanie. To byłoby tak, jakbym go zostawiła. To znaczy, jak by to wyglądało, gdyby spojrzał w dół, gdziekolwiek jest... i zobaczył, że nie ma mnie w domu?

Patrice położył dłoń na jej ramieniu. Rozumiał, co miała na myśli.

–Czy nie moglibyśmy po prostu przestać walczyć? – zapytała. – Toussaint na pewno nie chciałby rozlewu krwi.

–„Czarny Amerykanin nie może nigdy przestać walczyć” – odparł kategorycznym tonem Latomba, cytując fragment „Czarnej Tożsamości”. – „Czarny Amerykanin musi walczyć i walczyć, walczyć przez całe życie, aby zachować po prostu to, co ma, nie mówiąc już o zdobyciu czegoś więcej”.

–Ale nie teraz, Patrice! – odezwała się błagalnym tonem Verna. Jej oczy były pełne łez. – Nie teraz, nie w ten sposób i nie z powodu małego Toussainta!

Patrice potrząsnął głową, szybko i zdecydowanie, niczym oganiający się od osy pies. Usłyszał na zewnątrz pisk opon i – gdzieś dalej – głośny terkot strzelby dużego kalibru, trzy strzały jeden po drugim. Nienawidził białych bardziej, niż był w stanie to

wypowiedzieć. Nienawidził tych, którzy patrzyli na niego wilkiem, tych, którzy patrzyli na niego jak na powietrze, i tych, którzy uśmiechali się i próbowali z nim zaprzyjaźnić.

Gdyby spalił się cały Boston, pokazałby nareszcie białemu człowiekowi, że dni jego dominacji są skończone, i skakałby wysoko z radości.

–Patrice! – powtórzyła błagalnie Verna. – Nie możemy postępować w ten sposób. Chcemy chyba sprawiedliwości, a nie zemsty!

–Tak? Czyjej sprawiedliwości? Ich sprawiedliwości?

–Patrice, pomyśl o mnie. To niczego nie rozwiąże. Patrice... proszę cię... jeśli nie ze względu na mnie, to na małego Toussainta.

Wiedział, że logicznie rzecz biorąc Verna ma rację. Plądrowanie sklepów i zamieszki pogarszały tylko sytuację. Czarna Tożsamość traciła resztki publicznej sympatii, jaką kiedykolwiek posiadała. Po trwających całe dnię pożarach, strzelaninie i demolowaniu domów trudno im będzie znaleźć sędziów przysięgłych, którzy uznają, że detektyw Brossard winien jest czegoś więcej niż zaniedbania. Oczywiście, jeśli detektyw Brossard zostanie w ogóle postawiony przed sądem. Bardziej prawdopodobne było, że po krótkim ochrzczeniu komisarz policji postawi mu drinka w Brendan Behan Club i będą razem dowcipkować o prażeniu z pistoletów do czarnych bachorów.

–No nie wiem – odpowiedział Vernie. – Muszę się nad tym zastanowić.

W tej samej chwili zadzwonił dzwonek do drzwi i przez chwilę spojłali na siebie oboje niepewnym wzrokiem.

–To pewnie Bertrand – powiedział w końcu Patrice. – Chce, żebym spotkał się z jakimś bratem z Los Angeles. Tym, który pomógł rozdmuchać tę sprawę z Rodneyem Kingiem.

–Patrice – powtórzyła Verna. – Koniec z rozlewem krwi. Błagam cię, przez wzgląd na pamięć twojego martwego dziecka.

Patrice miał rację: to był Bertrand – niespokojny, nerwowy osobnik w czarnych okularach i z warkoczykami na głowie, ubrany w szkarłatną zamszową kowbojską kurtkę z frędzelkami. Przynosił jednak zupełnie inną niż Latomba się spodziewał wiadomość.

–Chce się z tobą widzieć Matthew Monyatta, człowieku.

–Matthew Monyatta? Co on tutaj robi?

–Był tutaj także zeszłej nocy, człowieku, szukając ciebie, tyle że nikt nie wiedział, gdzie jesteś. Powiedział, że chce cię zapytać, co się właściwie dzieje.

Patrice zerknął na Vernę, a potem z powrotem na Bertranda.

–Gdzie on jest? Nie mógł po prostu do mnie przyjść?

–Czeka na ciebie w Palm Diner. Powiedział, że nie będzie czekał długo.

–Dlaczego sam tu nie przyszedł?

Bertrand nie odpowiedział, ale obaj dobrze wiedzieli dlaczego. Wymagały tego względy starszeństwa, względy protokołu. Seaver Street była królestwem Patrice'a Latomby, ale Matthew Monyatta był kimś ważniejszym i Patrice musiał mu okazać szacunek.

–A ten drugi brat? – zapytał Latomba.

–Może poczekać.

–Dobrze... w takim razie załatwmy to od razu.

Patrice dał Vernie szybkiego całusa i uścisnął jej dłoń, na znak że nic jej nie grozi, i wyszedł z mieszkania. Po paru sekundach otworzył drzwi z powrotem.

–Nie zapomnij założyć łańcucha. I nikomu nie otwieraj! – zawołał i ponownie wyszedł. Po chwili otworzył drzwi po raz drugi i Verna usłyszała, jak przechodzi przez pokój, otwiera szufladę biurka i coś z niej wyjmuje. Wiedziała, co to jest: jego samopowtarzalna czterdziestka piątka.

Matthew Monyatta siedział na tyłach sali, ubrany w luźną brązową dżalabię i brązową welwetową czapkę. Palm Diner pogrążony był w półmroku, stłuczono bowiem wszystkie szyby i okna zostały zabite deskami, mimo to na sali wciąż przebywało dwudziestu albo trzydziestu młodych ludzi, grając w bilard, paląc tytoń i śmiejąc się nie wiadomo z czego. Właściciel, Kenny, wciąż podawał pieczone żeberka i kurczaki, a w powietrzu pulsowała muzyka reggae.

–Długo się nie widzieliśmy, Matthew – powiedział Patrice, podchodząc do niego z wyciągniętą dłonią.

Matthew nadal trzymał ręce skrzyżowane na piersi, spoglądając z wyraźną dezaprobatą na Latombę.

–O co chodzi, człowieku? – zapytał Patrice, obracając się na pięcie. – Nie musisz się chyba na mnie wściekać? Słyszałeś, co te sukinsyny zrobiły z moim dzieckiem.

–Słyszałem i przykro mi.

–Jest ci przykro? Przykro ci? Gdyby było ci naprawdę przykro, nie przychodziłbyś tutaj, wysługując się białym świnom.

–Wysługując się? – oburzył się Matthew. – Znasz mnie chyba wystarczająco dobrze. Nie wysługuję się nikomu, ani białym, ani czarnym. Pracuję na rzecz czarnej dumy, pracuję na rzecz czarnej tożsamości, pracuję nad tym, żeby zapewnić czarnemu człowiekowi należne mu miejsce w historii. A co wy takiego robicie? Palicie swoje własne domy, plądrujecie swoje własne sklepy, demolujecie własną dzielnicę, a potem skarżycie się, że was wystawiono do wiatru, że wszyscy was prześladują i nikt nie dał wam żadnej szansy. Zabili ci dziecko, człowieku, i to jest prawdziwa tragedia. Ale jest ona tylko jednym z symptomów tego, na co sami pozwoliliście... przez wasze własne niedbalstwo, przez waszą własną głupotę. Przez wasz własny uparty bunt.

–Sprzedałeś się, człowieku – oznajmił z niesmakiem Patrice. – Zupełnie się sprzedałeś.

–Siadaj – powiedział Matthew, ale Patrice nie ruszył się z miejsca. – Dobrze, więc pozwól, że coś ci powiem. Przyszedłem tutaj wczoraj, żeby z tobą porozmawiać, bo poprosił mnie o to burmistrz, ale nikt nie mógł cię znaleźć. Biegałeś jak szalony po Roxbury, prawda? Chciałeś zobaczyć, jak palą się domy, prawda? Chciałeś zobaczyć, jak niebo rozświetla łuna pożarów, tak żeby wszyscy wiedzieli, że Patrice Latomba cierpi, że Latombie stała się krzywda... Cóż zobaczyłem, jak niebo rozświetla łuna pożarów i wcale mi to nie zaimponowało. Ale jestem tutaj znowu i chcę położyć koniec wszystkim tym pożarom, zamieszkom i całemu temu



szaleństwu. Położyć koniec natychmiast. Zraniono cię, wiem o tym. Ale nie rań swoich przyjaciół i nie rań swoich ziomeków po to tylko, żeby pokazać, jak wielką ci wyrządzono krzywdę. Ludzie patrzą na ciebie, Patrice, w ten sam sposób, w jaki patrzą na mnie.

Patrice wciągnął nosem powietrze, jakby wdychał suchą kokę, po czym uciekł spojrzeniem w bok.

–Czy ty mnie słuchasz? – zapytał Matthew.

Latomba obrócił się z powrotem i wbił w niego rozognione oczy.

–Kim ty jesteś, Matthew? Jakimś cholernym świętym? Matthew posłał mu smutne spojrzenie.

–Jestem czarnym człowiekiem, Patrice, oto kim jestem. Moja dusza narodziła się w Olduvai, a ciało zostało przeniesione tutaj.

–Bzdury – parsknął Latomba.

–Posłuchaj, Patrice – mówił dalej Monyatta. – Widziałem przepowiednię. Zobaczyłem ją w kościach.

Bertrand zaczynał zdradzać oznaki zdenerwowania. Podobnie jak dla większości czarnych nazwisko Matthew Monyatty owiane było dla niego legendą i nie chciał słyszeć żadnych afrykańskich przepowiedni; w każdym razie nie tak blisko domu.

–Daj spokój, Matthew – powiedział Patrice. – To wszystko bzdury. Na tym świecie liczą się tylko dwie rzeczy: po pierwsze, forsa; po drugie, biała skóra. Spójrz na Michaela Jacksona, na litość boską. Ma już pierwsze, wciąż ciężko pracuje nad drugim... i co twoim zdaniem, jest ważniejsze?

–Wyzywasz los, Patrice – stwierdził Monyatta. – Bo na tym świecie są ludzie, którzy nie pragną niczego więcej jak tego, żebyś zniszczył sam siebie. Wiem o tym. – Dotknął palcami czoła. – Widzę to tutaj.

–Bzdura – powtórzył Patrice.

Matthew wzruszył ramionami, jakby był rozczarowany, ale niezbyt zaskoczony.

–Jestem czarnym człowiekiem, Patrice, tak samo jak ty. Ale wcale nie o to chodzi.

–Więc o co takiego chodzi? – zapytał prowokacyjnie Latomba. – Chcesz, żebyśmy przestali walczyć? Chcesz, żebyśmy przestali podkładać ogień? Chcesz, żebyśmy się stali grzecznymi, oswojonymi czarnymi, śpiewającymi tak, jak im zagrają? Chcesz, żebyśmy cofali się przed uderzeniami i nadstawiali drugi policzek, czy o to ci chodzi?

Matthew opuścił bez słowa głowę, zaciskając jednocześnie potężne pięści. Jego masywna pierś unosiła się gwałtownie w oddechu i Bertrand zaczął się powoli cofać, tak jakby bał się eksplozji.

–Patrice – odezwał się w końcu Monyatta. – Występujesz przeciwko czemuś, czego nawet nie znasz. Dlaczego, twoim zdaniem, pojawili się tam ci gliniarze?

Patrice nerwowo pociągnął nosem.

–Zastawili zasadzkę na handlarzy narkotyków, tak słyszałem.

–Zastawili zasadzkę na handlarzy narkotyków – powtórzył za nim Matthew. – Zwykłą, normalną zasadzkę?

–Skąd mam o tym, do diabła, wiedzieć? Zabili mi syna. Matthew Monyatta przez

dłuższą chwilę wpatrywał się w napięciu w Latombę.

– Powinieneś zakończyć walkę, Patrice. Powinieneś powiedzieć swoim ludziom, żeby się uspokoili i poszli do domów. Nie dla burmistrza i nie dla mnie. Nawet nie dla bostońskiej Izby Handlu. Po prostu odwołaj to ze względu na samego siebie i ze względu na dobro nas wszystkich. Nie występujemy tutaj przeciwko białemu społeczeństwu. Nie występujemy przeciwko białym.

– Naprawdę? – zdziwił się Patrice. – W takim razie przeciwko komu?

– Bielszym od białych – odparł tajemniczo Matthew. – Prawdziwym białym. Tym z pustyni, tym, na których złożone zostały nasze grzechy. I to jest naprawdę zła karma, człowieku.

Patrice utkwiał w nim zwięzione oczy. Bertrand kręcił się, przestępując w miejscu z nogi na nogę. Sprawiał wrażenie porządnie przestraszonego.

– Nie mam pojęcia, o co, do diabła, ci chodzi – stwierdził Patrice, zwracając się do Monyatty.

– Dowiesz się, Patrice – odparł tamten, podnosząc w górę palec. – Dowiesz się. Ale kiedy to się stanie, będzie ci już wszystko jedno. Ostrzegam cię teraz.

– Próbujesz mnie przestraszyć, czy co? – zapytał Latomba.

– Nie potrafię cię przestraszyć, ale im to się uda. Przestraszą cię tak, że dusza pójdzie ci w pięty.

Patrice prawie przez minutę wpatrywał się ze strachem i niedowierzaniem w Monyattę. A potem wycofał się powoli między stolikami, przez kłęby dymu z marihuany i pulsującą muzykę reggae, a za nim podążył Bertrand. Latomba odwrócił się dopiero przy samych drzwiach.

– Jesteś szalony, wiesz o tym? – wrzasnął do Monyatty. – Byłeś kiedyś moim bohaterem, wiesz o tym? A teraz spójrz tylko na siebie. Jesteś bielszy od pierdolonego białego!

Matthew nie ruszył się z miejsca, patrząc, jak Latomba wychodzi na ulicę. Po pewnym czasie z mroku za grającą szafą wynurzył się Kenneth Flynn i stanął obok stolika Monyatty z rękoma w kieszeniach.

– Nic na niego nie działa, prawda? – zapytał.

– Nie wiem – odparł Matthew. – Może tu jeszcze wróci.

– Co takiego krzyczał do ciebie? Że jesteś bielszy od pierdolonego białego?

– Nie przychodzisz z Ziemi Świętej – powiedział Matthew. – Nigdy nie szedłeś przez pustynię razem z Aaronem. – Odsunął do tyłu krzesło, wstał i ruszył ku drzwiom.

Kenneth podszedł do baru i odliczył trzy dwudziestodolarowe banknoty.

– Nie przychodź tu nigdy więcej, człowieku – ostrzegł go właściciel.

Na zewnątrz Matthew podszedł do granatowego buicka Kennetha, wsiadł do środka i cierpliwie czekał, aż Flynn odwiezie go do domu.

Kenneth przystanął na chwilę przy drzwiach Palm Diner, obserwując palące się Roxbury i słuchając monotonnego grzechotu półautomatycznej broni i kwartetów odbijających się od ścian pocisków. Po raz pierwszy w ciągu całej swojej politycznej kariery uświadomił sobie, że nie rozumie tego, co dzieje się w Bostonie; i w ogóle w Ameryce. Po raz pierwszy w życiu poczuł, jak ogarnia go autentyczny strach.

## ROZDZIAŁ VII

Joe Garboden położył fakсы na biurku i rozsiadł się wygodniej w brązowym skórzanym fotelu.

–Są cholernie ciemne – stwierdził. – Ten akurat wygląda, jakbyś sfotografował biblijne ciemności.

–Ale jednak widać na nim zarys ciała O’Briena – upierał się Michael. – Spójrz... to jego zgięte plecy... a tutaj powinna być głowa.

–Dobrze, te fakсы stanowią pewną wskazówkę – zgodził się Joe. – Ale daleko im do tego, żeby pełnić rolę dowodów.

–Polisa O’Briena w Plymouth Insurance – powiedział Michael – ubezpieczała go na wypadek śmierci albo kalectwa, ale nie w wyniku działań wojennych, terroryzmu czy zabójstwa. Na litość boską, on ma uciętą głowę. Cóż to mógł być za wypadek?

–Ludzie tracili już głowy podczas nieszczęśliwych wypadków. Przypomnij sobie biedną Jayne Mansfield. I pomyśleć, że podkochałem się w niej jako piętnastoletni chłopak.

Michael złożył fakсы i wsunął je z powrotem do koperty.

–Mamy tutaj dosyć, żeby zmusić biuro koronera do pokazania nam oryginałów.

–Daj spokój, Michael, w tej sprawie musimy postępować ostrożnie. Te zdjęcia stanowią dowód sądowy. Nie jestem pewien, czy kopiując je nie naruszyłeś prawa. Skonsultujemy się najpierw z naszymi prawnikami. Nie chcemy przecież działać na szkodę w tej sprawie przez nielegalne postępowanie.

–Nie sądzisz, Joe, że wszyscy mają prawo wiedzieć, iż sędzia Sądu Najwyższego padł ofiarą morderstwa? Bez względu na to, w jaki sposób została ujawniona ta informacja? Mam na myśli, że sprawa jest ważna niezależnie od przyczyn, dla których interesuje się nią Plymouth Insurance.

–Te fakсы nie stanowią niepodważalnego dowodu, że O’Brien został zamordowany. Podobnie, jak nie stanowią go fotografie, z których je skopiowałeś. To ty twierdzisz, że obcięte uda McAllistera zostały skauteryzowane i że skurczyły się wnętrzności pani O’Brien... ale nie jest to opinia eksperta. Żeby powiedzieć coś na pewno, musimy mieć wyniki badań przeprowadzonych przez Moorpatha, a także raport Federalnego Urzędu Lotnictwa. – Garboden odchrząknął, po czym ciągnął dalej: – Zgadzam się z tobą, że jest całkiem prawdopodobne, iż rodzina O’Brienów została zamordowana. Ale nie możemy narażać na szwank reputacji Plymoutha, idąc na udry z wymiarem sprawiedliwości.

Michael wiedział, że Joe ma rację. Sędziowie patrzyli niechętnym okiem na metody, do jakich uciekały się towarzystwa ubezpieczeniowe, żeby wstrzymać wypłaty kwestionowanych odszkodowań. Plymouth dostał już w tym roku raz po uszach, kiedy sędzia apelacyjny unieważnił orzeczenie, wydane na podstawie nagrania rozmowy telefonicznej przeprowadzonej przez kobietę, która twierdziła, że ogłuchła w wyniku wypadku samochodowego. Podśluch założono bowiem nielegalnie.

–W porządku – powiedział. – Będę miał to wszystko na uwadze.

–Jest jeszcze jedno... – stwierdził Joe. – Czy zauważyłeś, żeby na którejs

fotografii pojawiła się Cecilia O'Brien? No wiesz... Sissy, ich córka?

Michael przez chwilę się zastanawiał, a potem potrząsnął głową.

–Nie, nie widziałem jej. Były tam tylko cztery ciała. O'Briena, jego żony, McAllistera i Cowarda. Żadnej fotografii Cecylii.

–To również należałoby dokładnie zbadać – zasugerował Joe. Michael machnął kopertą w powietrzu.

–Masz dzisiaj czas na drinka? – zapytał.

–Nie bardzo. Przychodzi do nas siostra Marcii. W całym Brookline nikt nie usłyszy naszych krzyków o pomoc.

–W takim razie dobranoc – powiedział Michael i wyszedł z gabinetu.

Pchnąwszy oszklone obrotowe drzwi Plymouth Insurance Building, wyszedł na gwarną i upalną Huntington Avenue i poczuł, jak nagle zaczyna mu doskwierać samotność. Przed wyjściem z biura wykręcił numer Patsy, ale telefon dzwonił i dzwonił, a ona nie podnosiła słuchawki. Próbował się domyślić, gdzie jest i co robi i nagle poczuł, że za nią tęskni – o wiele dotkliwiej niż kiedykolwiek do tej pory.

Zeszłą noc spędził u Joe i Marcii na rozsuwanej kanapie w ich apartamencie w Brookline, ale dzisiaj Joe znalazł mu mieszkanie nad Cantina Napoletana przy Hanover Street. Zawsze lubił hałaśliwy i obskurny North End z jego małymi, intensywnie pachnącymi sklepikami i wiedział, że będzie się tam czuł jak w domu. Z tą różnicą, że nie było razem z nim Patsy i Jasona; i naprawdę musiał pracować, ciężko pracować – koniec ze zbijaniem bąków nad morzem.

Przeszedł przez Copley Place, mijając kwitnące w betonowych klombach czerwone pelargonie i pomarszczoną bryzłą sadzawkę. Za jego plecami wznosiły się błyszczące drapacze chmur Back Bay: Prudential Tower, Plymouth Building i hotel Mfcrriott. Ale przed nim, daleko na południu, wciąż widać było brązowe plamy dymu, unoszącego się z plądrowanej i palonej Seaver Street i dwudziestu okolicznych przecznic.

Wysoko nad jego głową przeleciały z rykiem dwa helikoptery Gwardii Narodowej; ich śmigła migotały w słońcu. Michael osłonił dłonią oczy i patrzył, jak kierują się na południe. A kiedy zniknęły za budynkami, obrócił się – i jego uwagę przykuł nagły ruch pomiędzy stojącymi nie opodal, posadzonymi w równym rzędzie drzewami. Wydawało mu się, że kiedy się poruszył, ktoś szybko schował się w cieniu między drzewami, aby nie zostać zauważonym.

Michael nie był pewien, dlaczego takie właśnie odniósł wrażenie. Ale było coś ukradkowego w sposobie, w jaki ten ktoś zszedł z pola widzenia i nie pojawił się ponownie na oświetlonej słońcem alejce, co powinien zrobić, gdyby normalnie spacerował. Ten ktoś mógł być oczywiście kobietą, ale wydawał się na to trochę zbyt wysoki.

Michael przystanął i zmrużył oczy, żeby rozpoznać kryjącą się w cieniu postać. Może nie było tam nikogo. Może po prostu wyprowadziły go z równowagi straszne fotografie, które oglądał w gabinecie doktora Moorpatha. Śniło mu się kiedyś, że wszyscy, którzy zginęli w katastrofie nad Rocky Woods, zgromadzili się któreś nocy na jego podwórku, zapukali do drzwi i stali w świetle księżyca, milczący i pełni

wyrzutu, czekając ze straszliwą cierpliwością, aż wróci im z powrotem życie. Ten sen prześladował go przez blisko cztery miesiące i doktor Rice musiał użyć wszystkich swoich talentów, żeby się z nim uporać. Którejś nocy przyśniło się Michaelowi, że ktoś puka do drzwi, ale kiedy je otworzył, jego podwórko było wprawdzie zalane księżycową luną, lecz puste, i wtedy właśnie zorientował się, że ofiary katastrofy nie będą go już więcej prosić o odkupienie grzechów, wskreszenie czy o cokolwiek jeszcze. Mimo to nigdy nie pozbył się uczucia, że zmarli mogą za nimi podążać, błagając w milczeniu o pomoc.

Ruszył dalej, co jakiś czas oglądając się przez ramię. Z początku nie widział nic, ale kiedy zbliżył się do końca klombów, wydawało mu się, że zobaczył za drzewami połę płaszcz. Zatrzymał się i czekał, nikt się jednak nie pojawił. Dał krok w lewo, a potem w prawo, próbując odkryć, kto jest tym cieniem deptającym mu po piętach. Ale zobaczył tylko nakrapiane cętkami słońca cienie drzew. Ciepła, wiejąca z południowego zachodu bryza niosła odgłosy ulicznego ruchu: klaksony, warkot silników i pisk opon.

Ruszył na ukos betonową alejką w stronę drzew. Jeśli ktoś go śledził, chciał wiedzieć, kto to taki. Przeskoczył przez niski murek i przyśpieszył kroku.

Znalazłszy się w rzucanym przez liście i gałęzie cieniu, zobaczył starego ślepcę w spranej płóciennej marynarce, który postukując laską zmierzał w jego stronę. Ślepiec miał na głowie beret i smoliście czarne przeciwsłoneczne okulary. Towarzyszył mu sprawiający wrażenie znudzonego czarno-biały kundel. Poza nim w pobliżu nie było nikogo.

Michael odwracał się na wszystkie strony, ale nigdzie nie dostrzegł żadnej osoby ubranej w płaszcz; żadnej osoby, która miałaby jakiś powód go śledzić – nikogo prawdziwego, nikogo wyobrazonego, nikogo, kto wzięłby się z jego koszmarów.

Ślepiec zatrzymał się kilka kroków przed Michaeliem.

–Pan coś zgubił? – zapytał głosem, który przypominał szelest pokruszonych krakersów.

Jego kundel oblizał wargi.

–Wydawało mi się, że zobaczyłem kogoś, kogo znam – skłamał Michael. – Skąd pan wiedział, że czegoś szukam? – dodał po chwili.

–Hmm! Poznają to po tym, jak obraca pan stopy: w tę stronę, potem w inną i z powrotem.

–Musi pan mieć bardzo wrażliwy słuch.

–Diabelnie. Czasami zbyt wrażliwy. Zdarza się, że słyszę coś, czego wcale nie mam ochoty słyszeć.

–Cóż... dziękuję za zainteresowanie – powiedział Michael, odwracając się, żeby odejść.

–On był tutaj – poinformował go nagle ślepiec. Michael stanął w miejscu i odwrócił się z powrotem.

–Kto? O czym pan mówi?

–Mężczyzna, którego pan szuka. Był tutaj.

–Skąd pan wie? Nawet ja sam nie wiem, jak on wygląda.

–Powiedział pan zdaje się, że to ktoś, kogo pan zna – odparł ślepiec.

–Nie byłem pewien.

–Ale on pana dobrze zna. Szedł za panem. Zatrzymywał się, kiedy pan się zatrzymywał i chował, kiedy pan się odwracał.

Michael rozejrzał się szybko wokół siebie.

–Więc gdzie on teraz jest?

–Są inne miejsca, dalej niż daleko stąd – powiedział ślepiec i uśmiechnął się.

Wariat – pomyślał Michael. – Jest nie tylko ślepy, ale i szurnięty Na chwilę zapadło między nimi niezręczne milczenie. Michael nie był pewien, czy przypadkiem nie wypowiedział ostatniej myśli na głos. Ale potem ślepiec odezwał się ponownie.

–Mnie też poddawano hipnozie, wie pan. Kiedy jeszcze miałem oczy. Sześć albo siedem razy.

Rearden nie odpowiedział. To musiało być coś w rodzaju gry, jakiś rodzaj bolesnego żartu. Jakim cudem ten ślepiec mógł wiedzieć, że on jest poddawany hipnoterapii? Nie miał przecież tego wypisanego na twarzy – a zresztą tamten nie mógł jej zobaczyć – nie słyhać tego było przecież w jego głosie.

Kundel zaskowyczał głośno, zniecierpliwiony, że stoją w miejscu.

–Są ludzie, którzy żyją tutaj, i ludzie, którzy żyją tam – ciągnął dalej ślepiec. – I są ludzie, którzy żyją tu i tam.

–Obawiam się, że niezupełnie pana rozumiem – stwierdził Michael.

Ślepiec uśmiechnął się i podniósł w górę otwartą dłoń.

–Mam nadzieję, że nigdy pan nie zrozumie.

–Słyszał pan, jak ktoś za mną idzie? – nalegał Michael. Ślepiec kiwnął głową.

–Pański stary przyjaciel, pan Hillary.

–Nie znam nikogo o takim nazwisku.

Nie mówiąc więcej ani słowa ślepiec podreptał, szurając nogami i stukając laską, między drzewa. Michael przyglądał mu się, jak idzie przeczesując dłonią włosy. Czuł się w osobliwy sposób wytrącony z równowagi, tak jakby zupełnie przypadkowo odkrył, że świat nie jest taki, jak mu się zawsze wydawało – tak jakby wszędzie istniały niewidzialne drzwi, przez które ludzie mogą wchodzić i wychodzić, a których on dotąd nie zauważał.

Po chwili się otrząsnął. Ślepiec był tylko zwyczajnym ślepcem o lekko zachwianym umyśle, a „pana Hillary’ego” znał pewnie z lat młodości – jakiś nauczyciel ze szkoły, sklepikarz albo przyjaciel rodziny. Intrygujące było jednak to, iż wiedział o hipnoterapii Michaela. „Mnie też poddawano hipnozie”... tak dokładnie powiedział.

Doszedłszy do Columbus Avenue, Rearden złapał taksówkę. Kiedy był w śródmieściu Bostonu, jeździł na ogół zawsze autobusem albo tramwajem, tym razem czuł jednak, że powinien jak najszybciej oddalić się od swego miejsca pracy.

–Hanover Street, numer trzysta czterdzieści sześć – powiedział. Czarny kierowca z posiwiałymi włosami i baseballową czapką Red Sox na głowie bez słowa ruszył z miejsca.

Wysoko przeleciały z rykiem kolejne dwa chinooki Gwardii Narodowej. Kierowca

zerknął na niego we wstecznym lusterku i Rearden zobaczył, że jedno oko ma podbiegłe ciemną krwią.

–Zupełnie jak na wojnie – zauważył Murzyn.

–Nie słyszałem najnowszych wiadomości – powiedział Michael. – Czy zamieszki wciąż jeszcze trwają?

–Gliniarze wciąż zabijają niewinnych przechodniów, jeśli o to panu chodzi.

–Nie interesuje mnie polityka – odparł Rearden.

–Kto tu mówi o polityce? – odparł taksówkarz. – To jest chyba dzień Sądu Ostatecznego, nie? To nie jest sprawa polityczna. To sprawa biblijna.

–Cokolwiek to jest, to hańba – stwierdził Michael.

–To dzień Sądu – powtórzył kierowca. – Wiedziałem zawsze, że nadejdzie, i oto nadszedł.

Wysadził Michaela przy restauracji. Późne popołudniowe słońce wypełniało Hanover Street stopionym złotem. Cantina Napoletana była małym staroświeckim lokalem, z czerwono-zielonymi markizami, dwoma drzewkami wawrzynu po obu stronach wejścia i lśniącymi szybami, na których widniały wypisane złoconymi literami napisy.

Taksówkarz wręczył Michaelowi resztę i zmierzył go oczami: jednym zdrowym i jednym podbiegłym krwią.

–To całopalna ofiara, ot co – powiedział z agresywną przesadą. – Całopalna ofiara, której woń miła jest Panu.

–Co takiego?

–Woń miła jest Panu – powtórzył taksówkarz i odjechał.

Joe spisał się na medal. Apartament był duży i przestronny, ze świeżo cyklinowanym dębowym parkietem, pomalowanymi na biało ścianami i salonem, który wychodził na Hanover Street. Balkon z balustradą z kutego żelaza był dość szeroki, by zmieścić się na nim dwa składane krzesła, odwrócony do góry nogami, służący w charakterze stolika kwietnik z terakoty i plastikowe skrzynki, w których rosły zakurzone pelargonie.

Michael podciągnął do góry białe płócienne story, otworzył drzwi na balkon i salon wypełnił uliczny zgiełk, ciepłe powietrze i unoszące się z restauracji na dole zapachy – cebuli, czosnku, pomidorów i bazylii, które grzały się na wolnym ogniu w dziewiczym oleju z oliwek.

Meble w salonie utrzymane były w spokojnym stylu i miały przypominający owsiankę kolor. Na ścianie wisiała tylko jedna ilustracja – plakat z biura podróży przedstawiający białą jak śnieg, pustą plażę pod atramentowoniebieskim niebem.

Joe wniósł już wcześniej na górę poobijaną skórzaną walizkę Reardena i zostawił ją w korytarzu. Michael położył ją na łóżku w sypialni, otworzył i z rezygnacją spojrzął na pogniecione koszulki polo i spodnie. Nigdy nie był zbyt dobry w składaniu i pakowaniu i zawsze zabierał zbyt dużo rzeczy. Nie wiedział na przykład, po co wziął ze sobą ten wielki brązowy rybacki sweter, który wygrał na plaży od sprzedawcy przynęt, Johna McClusky'ego. A może wiedział: może było to coś w rodzaju kamizelki ratunkowej – coś, co przypominało mu dom i wybrzeże, a także Patsy i

Jonasa; miłość i wolność, z których zrezygnował w zamian za pieniądze.

Powiesił ubranie w pomalowanej na biało, pachnącej świeżym drewnem szafie z żaluzjowymi drzwiczkami, a potem wsunął pustą walizkę pod łóżko. Sypialnia była urządzona tak samo oszczędnie jak salon, z pomalowanym na biało nocnym stolikiem ze sztucznego bambusa i kupionym na wyprzedaży łóżkiem krytym narzutą koloru owsianki. W całym mieszkaniu tyle było tego koloru, że można by pomyśleć, iż zostało udekorowane przez konia. Ale w oknach sypialni wisiały delikatne koronkowe firanki i widać było przez nie wyłożone ceglami podwórko na tyłach restauracji, na które wychodzili czasami kucharze, żeby wytrzeć serwetką spocony kark, zapalić papierosa, pośmiać się i pogadać.

Michael umył twarz i ręce w małej, wyłożonej białymi kafelkami łazience, a potem ponownie zadzwonił do Patsy.

–Właśnie przyjechałem na Hanover Street.

–Jak mieszkanie? W porządku?

–Niesamowite. Wielki salon, sypialnia, łazienka i kuchnia. Mam tutaj wszystko, czego potrzebuję. Albo innymi słowy, wszystko, czego potrzebuję w tej chwili. No i dobrze się składa, że lubię włoskie żarcie. Mieszkam tuż nad neapolitańską restauracją. Za każdym razem, kiedy oddecham, czuję poilo abruzzese – zanucił na melodię „Pennies from Heaven”.

Patsy się roześmiała.

–Jak ci leci? – zapytała po chwili. – Mam na myśli pracę. Kiedy dzwoniłeś poprzednio, wydawałeś się jakiś spięty.

–W pracy wszystko w porządku. Kłopot polega na tym, że już zacząłem za wami tęsknić.

–Nie masz żadnych problemów?

–Problemów? Jakich problemów?

–No wiesz... stres czy coś w tym rodzaju...

Pomyślał o śledzącej go postaci, która skryła się za drzewami na Copley Place, i o ślepcu, który wiedział, że kogoś szuka. Pana Hillary’ego, kimkolwiek on był.

Pomyślał o taksówkarzu, który mówił o dniu Sądu, o Biblii i o całopalnej ofierze, której woń miła jest Panu.

–Wszystko w porządku – odparł trochę sztywno. – Staram się nie tracić zdrowego rozsądku.

–Obiecaj, że nie będziesz przede mną ukrywał, jeśli zaczną się jakieś trudności – powiedziała Patsy. – To nie jest przecież twoja wina. Nie masz się czego wstydić. Zadzwoń tylko do mnie i spróbujemy o tym porozmawiać. Albo zadzwoń do doktora Rice’a. Wiem, że potrzebujemy pieniędzy, ale nie aż tak bardzo.

Michael odchrząknął. Rozświetlone słońcem firanki unosiły się i opadały na wietrze.

–Wszystko w porządku, naprawdę. Joe dobrze się mną opiekuje. Przywiózł tu nawet moją walizkę.

–W telewizji bez przerwy pokazują zamieszki.

–Cóż, widać trochę dymów i nad głowami latają helikoptery, a kiedy byłem dzisiaj



rano w Boston Central, przywieziono trochę rannych. Ale poza tym wszystko jest w porządku. To jeden z tych wybuchów, do których dochodziło już nieraz w długie, upalne lato.

–Uważaj na siebie – powiedziała Patsy. – Zobaczymy się w sobotę i niedzielę, dobrze?

–Mogę być zajęty.

–W takim razie sama przyjadę do Bostonu, żeby złożyć ci wizytę. Moje towarzystwo nie będzie ci chyba przeszkadzało w pracy?

Michael uśmiechnął się. Na skraju łóżka leżał, tam gdzie go przed chwilą rzucił, Boston Globe. Przez pierwszą stronę biegł wypisany wielkimi czcionkami tytuł: **MONYATTA APELUJE O SPOKÓJ. LICZBA OFIAR ŚMIERTELNYCH WZROSŁA DO DWUDZIESTU TRZECH.** Uśmiech zgasł mu na ustach i w tej samej chwili słońce zaszło za chmurę. Poczul się dziwnie odpowiedzialny, tak jakby w jakiś sposób winien był tych zamieszek – jakby jego niespodziewany przyjazd do Bostonu naruszył równowagę miasta.

–Jesteś tam, Michael? – zapytała Patsy.

–Jestem, jestem – uspokoił ją. Na dole zaczęli smażyć rybę.

Kiedy obudził go dzwonek telefonu, na dworze wciąż było jasno. Ale słońce już zaszło i to nie było światło dnia ani światło księżyca, ale reflektory, które oświetlały tylne podwórko Cantina Napoletana. Pomywacze dzwonili talerzami, a kucharze zaśmiewali się, palili papierosy i dowcipkowali na temat zaokrąglonych kształtów dziewcząt, które jadły fettucine. (Za godzinę mieli już być w domu i chrapać w piżamach u boku swoich żon.)

Z początku, nie przyzwyczajony do nowego mieszkania, nie mógł sobie przypomnieć, gdzie stoi telefon, ale dzwonił natarczywie i w końcu odnalazł go pod własną kurtką, którą rzucił na płócienne krzesło w rogu sypialni.

–Tak? O co chodzi? – zapytał, podnosząc słuchawkę. Był oszołomiony i dezorientowany. Nie pamiętał nawet, co mu się śniło. To miało coś wspólnego z drzewami. Coś z trzepoczącymi, znikającymi z pola widzenia połami płaszcza. Miał wrażenie, jakby język spryskano mu kryształkami soli.

–Mickey? To ty?

–Kto mówi?

–Joe. A kto inny twoim zdaniem?

–To ty, Joe? Czego chcesz? Która jest, do diabła, godzina?

–Trzecia zero siedem. Oglądałem wiadomości. A ty nie?

–Żartujesz chyba. Kto, do cholery, ogląda wiadomości o trzeciej zero siedem?

Spałem.

–Spałeś? No to wszystko jasne. Myślałem już, że spakowałeś się i wróciłeś do New Seabury, tak długo nie odpowiadałeś. No wiesz... bałem się, że zatęskniłeś za domem. Bałem się, że rzuciłeś wszystko w diabły.

–Jeśli będziesz wydzwaniał do mnie o tej porze, chyba to zrobię.

–Michael... to pierwszy i ostatni raz. Włącz wiadomości.

–Nie mam jeszcze telewizora. Musisz mi opowiedzieć.

–Aha... w takim razie słuchaj. Odnaleźli właśnie Sissy O'Brien.

–Odnaleźli ją? Sissy O'Brien? – Michael usiadł na skraju łóżka. – Kto ją odnalazł?

I gdzie? Żywą?

–Straż nadbrzeżna w Nahant Bay. Bez wątpienia nie żyje.

–Gdzie ją odnaleźli? W Nahant Bay? To więcej niż piętnaście kilometrów na północ od Nantasket Beach.

–Zgadza się. I jeśli przyjąć, że jej ciało dryfowało z miejsca katastrofy na Sagamore Head aż do East Point, gdzie je odnaleziono, musiałaby przepłynąć przez Hingham Bay albo Quincy Bay, omijając Peddock Island, Long Island i wszystkie inne wyspy, i wszystkie inne prądy... musiałaby przepłynąć całą Massachusetts Bay i skręcić z powrotem do brzegu.

–Czy to wszystko, co powiedzieli? Że ją odnaleziono i że nie żyje?

–Do tego się to w skrócie sprowadza.

Michael ujrzał przez chwilę swoje blade odbicie w lustrze: potargane brązowe włosy, zwisający członek, chude nogi i ręce.

–Nahant Bay... – powtórzył i odchrząknął. – To, zdaje się, w hrabstwie Essex, prawda? Kto prowadzi tę sprawę? Chyba nie szeryf Wellman Brock?

–Jeszcze nie wiem – odparł Joe. – Ale bardzo w to wątpię. Biedny stary Brock nie potrafiłby odnaleźć gówna w oczyszczalni ścieków.

–Wpadnij po mnie za dwadzieścia minut – powiedział Michael. – Przejedziemy się do Nahant Bay.

–Co takiego? Jest dopiero kwadrans po trzeciej.

–I co z tego? Zanim tam dotrzemy, będzie już jasno.

Michael i Joe zaparkowali między wydrami i wysiedli z samochodu.

–Cholera! – zaklął, obracając się, Joe. – Wiesz, co ten piasek potrafi zrobić z karoserią?

Ruszyli do przodu, ześlizgując się w dół i wspinając po zboczach wydram. Joe klął, kiedy piasek wciskał się do jego półbutów Gucciego. Klął, kiedy piasek wiał mu w oczy. Dla Michaela piasek był czymś zwyczajnym i potrafił odwracać twarz przed podmuchami wiatru.

Dwieście metrów od East Point plażę ogrodzono powiewającymi pomarańczowymi chorągiewkami, chociaż w gruncie rzeczy nie zostało tu nic do oglądania. Poranne niebo miało bladofioletowy kolor jagodowego jogurtu. Atlantyk również był bladofioletowy, ale trochę ciemniejszy i lekko zagniewany – szczyrzył zęby, dąsał się, znowu szczyrzył zęby, wlokąc ze sobą wodorosty i porywając je z powrotem.

Nozdrza Michaela ściągnięte były od soli, zimna i klimatyzacji w samochodzie Garbodena. Miał na sobie brązowy rybacki sweter i cieszył się, że go zabrał. Joe szczyrzył zębami w swojej szmaragdowozielonej włoskiej marynarce i zapiaszczonych półbutach od Gucciego.

Przy chorągiewkach wciąż stały dwa wozy patrolowe z biura szeryfa hrabstwa Essex, a także trzy nie oznakowane wozy, w tym pomarańczowy caprice i zielonkawy buick century z wyraźnie wygiętym tylnym zderzakiem. Bliżej brzegu stał bardzo wysoki mężczyzna w pogniecionym żółtawoszarym płaszczu, młodszy facet w

garniturze i z zaczesaną do tyłu czupryną i potężnie zbudowany, otyły typ w skautowskim kapeluszu, w którym Michael od razu rozpoznał szeryfa Brocka.

Joe podniósł w górę taśmę z chorągiewkami i natychmiast podbiegł do nich przyszczały zastępca szeryfa.

–Wstęp wzbroniony, proszę pana – powiedział, podnosząc rękę.

–Tom! – krzyknął Joe, machając energicznie ręką w stronę bardzo wysokiego mężczyzny w pogniecionym płaszczu.

Kiedy tamten pomachał mu w odpowiedzi, Joe opuścił za sobą taśmę i ruszył w jego stronę.

–Hej, proszę pana – powtórzył zastępca. – Naprawdę nie wolno tutaj wchodzić. To znaczy chciałem powiedzieć, że...

Joe odwrócił się i spiorunował go wzrokiem.

–Goń się – warknął i ruszył dalej w stronę wybrzeża. Po chwili odwrócił się i powtórzył raz jeszcze: – Goń się!

–Stój! – krzyknął zastępca, odpinając kaburę, ale w tej samej chwili podszedł do niego Michael i położył rękę na jego dłoni. Mimo zimna, a może właśnie z jego powodu, chłopak cały się trząsał.

–Posłuchaj... – odezwał się półgębkiem Michael, tak jakby w ogóle się do niego nie zwracał. – Wszystkim nam zdarzają się sytuacje, z których nie sposób wyjść z twarzą. To jest właśnie jedna z nich. Spełniasz swój obowiązek, i to dobrze, ale żaden z tych ludzi nie spojrzy na to w ten sposób. Ten wysoki facet w płaszczu to porucznik Thomas Boyle z bostońskiej policji, zgadza się? Ten drugi to twój szef, szeryf Wellman Brock, zgadza się? Każde jego życzenie jest dla ciebie rozkazem. A to jest Joe Garboden z Plymouth Insurance, który choć nie wykupił mnie na własność, moich jaj i całej reszty, ma poza tym wszystko, o czym może zamarzyć. Pomyślmy więc o naszych emeryturach, ty i ja, i pozwólmy ważniakom stawiać babki w piaskownicy. Przyjdzie kiedyś i na nas kolej, wierz mi.

Młody zastępca popatrzył na niego jak na nienormalnego.

–W porządku... – powiedział w końcu, sprawiając jednak wrażenie, że niezupełnie wszystko zrozumiał, po czym zapiął z powrotem kaburę.

–Nadejdzie jeszcze twój czas, wierz mi. – Michael ścisnął go za ramię. – Czas, kiedy ci faceci znajdą się wszyscy w domach spokojnej starości i zapomną, że kiedykolwiek jedli porządnie usmażony na patelni befszytk.

Zastępca kiwnął głową, a potem wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Zgadza się – oznajmił i nie przestając się uśmiechać obrócił na pięcie.

Michael wystawił na wiatr lewy policzek i ruszył po wilgotnym, szarym piasku w stronę wybrzeża.

–Cześć, Żyrafo – powiedział, podając dłoń porucznikowi Boyle'owi. – Jak się miewa Megan? Widziałem jej artykuł w Boston Magazine. Ten na temat duszonej pieczeni czy czegoś w tym rodzaju.

–No, no, Mikey Rearden – powiedział uśmiechając się Thomas. Wyglądał na zmęczonego. Miał białe policzki i zaczerwieniony od wiatru nos. – Powiedzieli mi, że rzuciłeś to wszystko w diabły.

–Problemy psychologiczne – przyznał Rearden. – Małe załamanie.

–Słyszałem. – Thomas pociągnął nosem i wyjął z kieszeni chusteczkę.

–Nic poważnego. Nie mogłem po prostu oddzielić tego, co zewnętrzne, od tego, co wewnętrzne. Rozumiesz, co mam na myśli. – Michael popukał się w czoło. – Ale teraz jestem już prawie wyleczony. Przeszedłem hipnoterapię.

–Nie mów? Rzeczywiście pomaga?

–To zależy. Trzeba chyba chcieć, żeby pomogła.

–Zastanawiałem się, czy nie przydałaby się Megan – powiedział Thomas. – Rozumiesz, żeby nabrała bardziej pozytywnego podejścia. Czasami jest tak cholernie załamana. Nie mówi mi o tym, ale ja chyba byłbym na jej miejscu.

–No nie wiem – wzruszył ramionami Michael, uświadamiając sobie, że rzeczywiście nie wie. – Powinna chyba porozmawiać o tym ze swoim lekarzem. Chwilami wydaje mi się, że hipnoterapia bardziej szkodzi, niż pomaga. Dopóki nie poddałem się hipnozie, nie wiedziałem, że się boję ciemności.

Joe sprawiał wrażenie zakłopotanego. Podobnie jak szeryf Brock – odziana w piaskowy mundur galaretowata góra mięsa z rzucającym się w oczy sztucznym tupecikiem na głowie. Wzrok szeryfa uciekał we wszystkie strony, a on sam wyglądał, jakby rozpaczliwie marzył o obfitym śniadaniu, wygodnym fotelu w swoim gabinecie i długiej kontynuacji przerwanej snu.

–Porozmawiamy o tym później, dobrze? – Thomas ścisnął Michaela za łokieć. – Ci faceci są na nogach od trzeciej.

–Gdzie ją znaleźli? – zapytał Joe nienaturalnie wysokim głosem. Thomas zaprowadził ich w dół, tam gdzie piasek był równiejszy.

Przy samej linii brzegu znajdował się drewniany znak – normalny kij, nic więcej. Wszelkie ślady pojawienia się Sissy zostały już zmyte przez morze.

–Rozmawiałeś z ludźmi ze straży nadbrzeżnej? – zwrócił się do Thomasa Michael.

–Masz na myśli wiatry, pływy i prądy, prawda? – odpowiedział pytaniem Thomas.

–Tak – potwierdził Michael.

–Cóż... obiecali mi dostarczyć raport na temat pływów od dnia, w którym doszło do katastrofy. Być może spróbują nawet puścić manekin z Sagamore Head, żeby zobaczyć, co się stanie... można oczywiście opracować matematyczną symulację pływów i wiatrów, ale dryfujący topielec nie zawsze robi to, czego się po nim spodziewają.

–Rozmawiasz z rybakami – rzucił Joe.

Michael rozejrzył się dookoła. W zarysie plaży było coś znajomego, chociaż nie potrafił powiedzieć co. Podeszedł do samego brzegu, aż przybój zmoczył mu podeszwy butów. Osłonił obiema dłońmi oczy i wpatrywał się przez chwilę w horyzont. Był tutaj już przedtem, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Być może z ojcem, kiedy był dzieckiem. Za każdym razem, gdy ojciec skończył łódź wielorybniczą, która mu się naprawdę podobała, zeglował nią sam do Marblehead albo do Plymouth i zabierał ze sobą Michaela. Popijali gorącą czekoladę z termosów, jedli kanapki z serem i kielbasą i śpiewali razem morskie pieśni, stare tradycyjne szanty i głupie piosenki, które sami wymyślili.

Płynęliśmy na starym statku „Bum”, Mając za cały ładunek rum. „Bum” cuchnął, lecz nie tonął I wszystkim się zdawało, że powinniśmy nazwać go inaczej, Ale na nic nam by się to zdało.

Uśmiechnął się do siebie, chociaż jednocześnie zbierało mu się na płacz. A potem obejrzał się do tyłu, w stronę Joe i Thomasa, który zapalał właśnie kolejnego papierosa.

–Już ją zabrali? – zawołał. Thomas odwrócił się.

–Nie... ambulans wciąż tutaj stoi. Doszło do małej różnicy zdań, dokąd ją zawieźć. Komisarz Hudson chce ją mieć w Boston Central, razem z resztą rodziny O’Brienów. Ja chcę ją mieć u siebie... razem z drugą młodą damą, którą znaleźliśmy we wtorek.

Michael zmarszczył brwi.

–Jaką młodą damą?

–Nie oglądałeś tego w wiadomościach? Znaleźliśmy dziewczynę w opuszczonym domu przy Byron Street, niedaleko Public Gardens. Była związana drutem kolczastym i torturowana.

–Co je łączy?

Thomas wskazał głową wydmy. Michael rzucił po raz ostatni okiem na ocean i ruszył w ślad za nim. Wydma była stroma i Thomas rozkaszał się, zanim się wdrapali na szczyt.

–Powinieneś rzucić palenie – zauważył Joe.

–Nie musisz mi o tym mówić – odparł Thomas. Ambulans z biura koronera hrabstwa Essex stał zaparkowany z boku piaszczystej drogi. Na dachu kręciło się w ciszy czerwone światło, tak jakby samochód był ostrzegającą przed niebezpieczeństwem morską latarnią. Jedno skrzydło tylnych drzwi było wciąż otwarte i opierał się o nie młody pielęgniarz z opadającym w dół blond wąsikiem. Wyglądał na zmęczonego i znudzonego.

–Coś już wiadomo, poruczniku? – zapytał Thomasa, kiedy się zbliżyli.

Boyle potrząsnął głową.

–To jeden z tych przypadków, kiedy polityka bierze górę nad zdrowym rozsądkiem. Ci panowie reprezentują Plymouth Insurance, są inspektorami ubezpieczeniowymi. Dasz im rzucić okiem?

–Naprawdę chcecie panowie ją oglądać? – zapytał pielęgniarz z niedowierzaniem, od którego zaswędziały Michaela dłonie.

–Po prostu ją otwórz – rzucił niecierpliwie Thomas.

–O rany – jęknął medyk, dając niedwuznacznie do zrozumienia, że każdy, kto chce oglądać akurat tego topielca, musiał się urwać z choinki.

Otworzył szeroko drugie skrzydło drzwi i wspiał się do ambulansu. Na złożonych noszach leżała szara torba z przypiętą już kartą identyfikacyjną. Pielęgniarz otworzył zamek błyskawiczny i z torby wysunęła się nagle zielonkawoszara ręka. Michael odsunął się przestraszony. Medyk musiał to zobaczyć.

–Ona jest martwa, niech pan się nie boi – powiedział rozbawiony. – Nie wyskoczy stąd i nie będzie pana ganiała po plaży.

–Dziękuję, możesz nas zostawić – polecił Thomas, wdrapując się do ambulansu.

W przeciwieństwie do większości ludzi, którzy zajmują się nieboszczykami, nie lubił wisielczego humoru – zwłaszcza kiedy zmarły nacierpiał się tyle co ta dziewczyna. Śmierć może być czasami zabawna, podobnie jak życie. Ale z jakiegoś powodu nigdy się z tym nie pogodził i bardzo rzadko go to śmieszyło.

Michael wdrapał się za nim do ambulansu, pochylając głowę. Ciało dziewczyny cuchnęło mocno morską wodą i rozkładem. Była szczupła i młoda; sądząc po figurze liczyła nie więcej niż czternaście, piętnaście lat. W jej krótkie jasne włosy wplątały się wodorosty. W uchu, które widzieli, było pełno piasku, ale wciąż tkwił w nim ozdobny kolczyk ze szkła i jakiegoś matowego metalu – prawdopodobnie srebra.

Otwartymi szeroko oczyma wpatrywała się w dach karetki. Ale jej tęczęwki były całe mlecznobiałe, niczym mięso gotowanego dorsza, i oczywiście nie mrugała oczyma. Piasek wypełniał jej nozdrza i lekko uchylone usta.

Najbardziej przeraził jednak Michaela widok jej ciała. W drobnych piersiach widniały głębokie otwarte rany, tak jakby ktoś poprzecinał je na krzyż kuchennym nożem. Każda ze zniekształconych i powykrzywianych brodawek została sześć albo siedem razy przebita spinaczem do papieru. Nagi brzuch pokrywały liczne skaleczenia, rany i oparzenia – w większości blade i obrzmiałe z powodu długiego przebywania ciała w wodzie. Na udach również znajdowało się mnóstwo nacięć i oparzeń.

–To jest Sissy O'Brien? – zapytał, czując, jak usta wypełnia mu gęsta ślina.

Thomas wyjął z kieszeni płaszcza kolorową fotografię i pokazał Reardenowi. Fotografia drżała mu w ręku i Michael musiał ją przytrzymać, żeby się lepiej przyjrzeć.

–Sissy O'Brien, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Zobacz sam. Potrzebna będzie oczywiście jeszcze formalna identyfikacja.

–Jezu Chryste, kto to mógł zrobić?

–Według mnie ci sami ludzie, którzy zabili naszą anonimową damę z Byron Street. Ten sam perwersyjny modus operandi, te same obrażenia, ślady chłosty i oparzeń... a o żadnej z tych rzeczy nie poinformowaliśmy prasy, nie może więc być mowy o małpowaniu.

–Co to jest? Jakiś rodzaj sadomasochistycznego kultu czy co? Thomas potrząsnął głową. Chciało mu się palić, ale wiedział, że nie wolno mu tego robić we wnętrzu ambulansu. Choć w gruncie rzeczy nie miało to większego znaczenia: pacjent był już martwy.

Michael rozsunął z wielkimi oporami suwak kilka jeszcze centymetrów niżej. Między nogami Sissy, wokół jej warg sromowych i po wewnętrznej stronie ud widać było sine skaleczenia i ślady oparzeń.

–Jakiś żartowniś zabawiał się zapalniczką – zauważył Thomas zupełnie matowym głosem. Wolał nie myśleć, jak strasznie musiała krzyczeć Sissy O'Brien. A może w ogóle nie była w stanie krzyczeć. Wokół jej ust widniały zadrapania wskazujące, że została zakneblowana – najprawdopodobniej jednym z tych nadmuchiwanych knebli, których używają fetyszyści.

Michael pochylił się i dopiero wtedy zobaczył coś, co go wprowadziło w totalne

przerażenie. Spojrzał szeroko otwartymi oczyma na Thomasa. Między udami Sissy O'Brien wiło się coś ciemnego, kosmatego i mokrego.

–Tu coś jest – zauważył głosem, który brzmiał, jakby wydobył się z cudzej krtani. Thomas przełknął ślinę i wzruszył ramionami.

–Naprawdę dali jej nieźle w kość, wierz mi.

Rearden nie ośmielił się spojrzeć po raz drugi. Widział, że Thomas jest zmęczony, ale nie rozumiał, jak ktoś mógł przejść do porządku dziennego nad taką rzeczą. Coś tam było – coś ciemnego, obrzydliwego i kosmatego, coś, co wystawało spomiędzy pozlepianych krwią pośladek Sissy O'Brien.

–Do diabła, Thomas, ona ma ogon!

–Wyjdźmy stąd – rzucił Boyle.

–Co?

–Wyjdźmy stąd! – powtórzył Boyle i wypchnął go po schodkach ambulansu na piasek. Metr dalej stał Joe, rozmawiając z sierżantem Jahnkem. Obaj spojrzeli z niepokojem na Thomasa i Michaela.

–Przepraszam – rzucił Boyle, biorąc głęboki oddech. – Wciąż sobie powtarzam, że nie powinienem się tym wszystkim przejmować, ale po prostu nie jestem w stanie.

–Ona ma ogon – powtórzył Michael. Zdawał sobie sprawę, że w jego głosie brzmi histeria, ale nie zwracał na to uwagi. – Thomas, ona ma z tyłu cholerny ogon!

Thomas wyjął zapalniczki i przez dłuższy czas usiłował zapalić papierosa, osłaniając płomyk przed wiatrem.

–Powiedziałem ci, że dali jej nieźle w kość. Z tego, co się domyślamy, zrobili jej coś... z kotem.

–Z kotem? O czym ty, do diabła, opowiadasz? Z kotem? – Michael był autentycznie wstrząśnięty.

Wiatr sypnął im piaskiem w oczy.

–Jack! Jack! Chodź no tutaj! – zawołał ktoś.

W tej samej chwili z drugiej strony ambulansu wyszedł młody mężczyzna w okularach i w ciemnoniebieskiej wiatrówce.

–W porządku, poruczniku – powiedział, zbliżając się do Thomasa. – Możemy ją zabrać. Rozmawiałem z koronerem, koroner z komisarzem, a komisarz z gubernatorem.

–Z gubernatorem? Co mu takiego powiedziałaś, na litość boską?

–Że to prawdopodobnie ofiara masowego mordercy i że mogą być następne. I jak to będzie wyglądało w telewizji, jeśli policja nie zechce puścić na ten temat pary z ust.

–Masz tupet, Victor – stwierdził z podziwem i zazdrością Boyle.

–Każdego stać na tupet, jeśli wie, co robi.

–Pozwól, Mikey – zwrócił się Thomas do Reardena. – To Victor Kuryłowicz, nasz nowy lekarz sądowy. Przeniósł się tutaj z Newark w New Jersey. Victor jest ekspertem, jeśli chodzi o topielców, a także ofiary pożarów.

Michael podał mu rękę. Dłoń Victora była zimna, miękka i bezwładna; Rearden nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ściska rękę nieboszczyka.

–Miło pana poznać – powiedział. – Jestem Michael Rearden, z Plymouth Insurance. To znaczy... właściwie zarabiam na życie wymyślając gry planszowe i różne urządzenia dla wędkarzy. Ale Plymouth poprosił mnie, żebym zajął się sprawą O'Briena.

–Cóż, życzę panu powodzenia – stwierdził Victor. – To naprawdę dziwna sprawa.

–Co to za historia z kotem? – zapytał Rearden. Victor rzucił mu szybkie spojrzenie.

–Naprawdę nie chciałbym teraz na ten temat dyskutować. Nie miałem jeszcze okazji przeprowadzić dokładnych oględzin.

–Na litość boską, ta dziewczyna ma ogon... – zaczął drżącym głosem Michael.

–Niech pan posłucha – przerwał mu Kuryłowicz. – Domyślam się mniej więcej, co mogli jej zrobić, ale nie będę w stanie nic powiedzieć, dopóki nie przeprowadzę dokładnego badania. To jest zbyt okropne, żeby pozwalać sobie na różne spekulacje.

Michael trzy albo cztery razy zaczerpnął głęboko powietrza. Miał uczucie, jakby jego głowa wypełniała się gęstą, czarną krwią.

–To nie ma żadnego sensu. Jakim cudem Sissy O'Brien tu się w ogóle znalazła? I kto mógłby chcieć skrzywdzić ją w ten sposób?

–Nie mam najmniejszego pojęcia – rzekł kategorycznym tonem Thomas.

–Jak ktoś mógł w ogóle pomyśleć, żeby jej coś takiego zrobić?

–Mikey... naprawdę, nie mam zielonego pojęcia. Ale pracujemy nad tym. Jeśli uda nam się znaleźć związek między Sissy O'Brien a tą dziewczyną, którą zamordowano na Byron Street... wtedy być może posuniemy się krok naprzód.

–Ten związek istnieje – stwierdził Victor z całkowitą, pozbawioną emocji pewnością. – Prawdę mówiąc, to coś więcej niż luźny związek. Te dwie sprawy są ze sobą całkowicie połączone. Czuję to.

–Niedoszły detektyw – zauważył Thomas. – Mógł zostać gliniarzem, gdyby nie był na to zbyt inteligentny. Ale w policji nie lubią jajogłowych, prawda, Victor? Chociaż w Bostonie zacisnęli zęby i jakoś ich tolerują.

Michael obejrzał się w stronę ambulansu. Młody pielęgniarz z wąsikami, który zapinał torbę z ciałem, wyszczerzył do niego zęby. Jezus. Czasami zbawcy byli równie pozbawieni uczuć co zabójcy.

–Jeśli rodzinę O'Brienów z rozmysłem zabito, nie będziemy musieli płacić. Wiesz o tym, prawda? – zapytał Rearden, zwracając się do Thomasa.

–Jedynym członkiem rodziny O'Brienów, który mnie interesuje, jest Sissy – oświadczył Boyle wypuszczając z ust kłęb dymu – a ją zamordowano, co do tego nie ma dwóch zdań.

–Ktoś wynosił coś z wraku helikoptera – powiedział Michael. – Tym czymś mogła być Sissy, ranna albo nieprzytomna.

–Istnieje taka możliwość – zgodził się Thomas. – Prawdę mówiąc, najbardziej prawdopodobna. Ani przez moment nie uwierzyłem, żeby mogła tu dopłynąć z Sagamore Head. Moim zdaniem, została tutaj porzucona wczoraj w nocy przez ludzi, którzy ją zamordowali.

–Co zamierzasz zrobić dalej? – zapytał Michael.



–Zamierzam definitywnie powiązać tę sprawę z morderstwem przy Byron Street i zacząć jednocześnie pytać, czy ktoś nie widział ludzi wrzucających coś do oceanu. Sprawdzimy dom po domu, co tutaj nie powinno być takie trudne. Całe Nahant liczy zaledwie cztery tysiące dwieście mieszkańców, łącznie z kotami.

–Sądysz, że sprawcy byli ci sami? Thomas kiwnął głową.

–Dziewczyna, którą odnaleźliśmy przy Byron Street miała na plecach dwie głębokie rany po punkcji, tuż nad miednicą. Sissy O'Brien ma identyczne obrażenia.

–Rany po punkcji? – zapytał Michael ocierając wierzchem dłoni zimny pot z czoła.

–Nie wiemy dokładnie, czym są – odezwał się Victor – ale zostały zadane o wiele mniej brutalnie od innych obrażeń. Mam na myśli, że są prawie kliniczne.

Michael przyglądał się przez chwilę palącemu Thomasowi.

–Co, u diabła, o tym wszystkim sądzisz? – zapytał w końcu.

–Moje domysły są tak samo dobre jak twoje. – Boyle cisnął papierosa na ziemię.

–Nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym obejrzał tę drugą dziewczynę?

Niekoniecznie na własne oczy. Wystarczą zdjęcia.

–Jasne. Zadzwoń do mnie i jakoś się umówimy.

–Wygląda tak samo fatalnie jak ta, niech pan mi wierzy... I zginęła o wiele wcześniej – powiedział Victor.

–Jak długo pana zdaniem Sissy przebywała w wodzie? i

–Jeszcze nie wiem... – Victor zmarszczył czoło. – Osiem, dziewięć godzin, może więcej.

–Czy została utopiona?

–Nie wygląda na to. Ale to nietrudno będzie stwierdzić. Michael zmrużył oczy i przyjrzał się jasnej, omiatanej wiatrem plaży.

–Ktoś zabrał ją z Sagamore Head, torturował, a potem przywiózł tutaj i wrzucił do morza. I po co to wszystko?

–Czegoś od niej chciał – orzekł Thomas.

–Czegoś chciał? Czego mianowicie?

–Nie wiem... ale nikt nie morduje bez powodu. Nigdy. Może ojciec chce po prostu spokoju i ciszy i dlatego morduje swoje dzieci. Może urzędnik chce awansować i dlatego morduje jedyne go faceta, który stoi mu na drodze. Może konkubina robi się zazdrosna i dlatego morduje żonę swego kochanka.

–Więc czego mógłby ktoś chcieć od Sissy O'Brien... zwłaszcza że nie żyją już oboje jej rodzice i nikt nie może zapłacić okupu?

–No cóż... – powiedział Thomas, ściskając Michaela za ramię i posyłając mu jeden ze swoich słynnych krzywych uśmiechów. – Nie chcieli jej pieniędzy, nie chcieli seksu i nie chcieli jej krwi. Zgadnij, z jakiego jeszcze powodu mogliby ją zamordować.

Obok, skrzecząc głośno, przeleciała bardzo nisko mewa.

–Może uda mi się to zgadnąć – stwierdził Michael.

Pora była wracać. Joe machał energicznie ręką, a sierżant Jahnke podnosił wysoko radiotelefon, dając do zrozumienia Thomasowi, że ktoś chce z nim pilnie rozmawiać.

Rearden i Kuryłowicz wracali razem przez wydmy.

–Oni coś ukrywają – powiedział Victor.

–Kto?

–Władze. Koroner, komisarz, gubernator. Może ktoś jeszcze wyżej.

–Skąd pan o tym wie?

–Takie same rzeczy zdarzały się w Jersey, kiedy zabito kogoś ważnego z lokalnego rządu, policji albo mafii. Zawsze zabierano gdzieś ciała, wciąż brakowało jakichś dowodów. Jedyne morderstwa, w których zapadały normalne wyroki, to te, których ofiarami padali zwyczajni ludzie.

Michael przez chwilę się zastanawiał.

–Widziałem fotografie z helikoptera Johna O’Briena – powiedział. – Po wypadku.

–Był spalony, prawda?

–Nie do tego stopnia, jak to podają środki przekazu. Można zidentyfikować ciała.

–Myślałem, że nie sposób odróżnić jednej ofiary od drugiej, tak całkowicie były zwęglone.

–Nie, absolutnie nie. Zostały osmalone, to wszystko.

–Podpuszcza mnie pan. Koroner stwierdził, że zostały spalone w stopniu uniemożliwiającym rozpoznanie. Na węgiel, tak dokładnie powiedział.

–We wraku były cztery osoby: pilot, facet o nazwisku Coward; młody asystent z Departamentu Sprawiedliwości, Dean McAllister; pani O’Brien; i sam John O’Brien. Kiedy po raz pierwszy oglądałem te zdjęcia, zastanawiałem się, czy paru nie brakuje... no wie pan, fotografii Sissy O’Brien. Ale teraz wiem, że w ogóle jej tam nie było.

–Dlaczego komisarz miałby kłamać w tej sprawie? – zapytał Victor.

–Nie wiem. Ale mam kilka kopii tych fotografii i chciałbym, żeby pan się im przyjrzał. Ich jakość pozostawia wiele do życzenia. Przesłałem je faksem z gabinetu doktora Moorpatha, kiedy doktor latał ofiary z Seaver Street. Tak jak powiedziałem, są zamazane i bardzo ciemne. Ale może zdoła pan na nich dojrzeć coś, czego ja nie byłem w stanie.

Victor zatrzymał się, zdjął z nosa okulary i wytarł je zamyślony małym kawałkiem papierowego kuchennego ręcznika.

–Mówiąc mi o tym, podejmuje pan ryzyko. Może doktor Moorpath i ja jesteśmy starymi kumplami? Sądowi lekarze trzymają się na ogół razem, wie pan przecież o tym. Do tego obaj jesteśmy członkami Stowarzyszenia Patologów Stanu Massachusetts.

–Jasne, że podejmuję ryzyko – zgodził się Michael. – A robię to dlatego, że nie wygląda pan na faceta, którego można by było spotkać na Chestnut Hill grającego w golfa z doktorem Moorpathem. Poza tym nie ma w ogóle takiego stowarzyszenia.

Victor założył z powrotem okulary.

–W porządku – powiedział w końcu i zerknął na zegarek. – Dzisiejszy dzień odpada. Ale niech pan do mnie wpadnie jutro... powiedzmy o jedenastej. Muszę najpierw pójść do fryzjera.

Michael nie wiedział, czy znalazł w Victorze Kuryłowiczu sojusznika czy też nie; ale podobała mu się demonstrowana przez niego mieszanka zgrzywy, twardości i

dziwactwa. Właśnie te trzy cechy tworzą dobrego lekarza sądowego. Michaela totalnie wytrącał z równowagi sam widok nieboszczyka; Victor musiał spędzać całe dnie, rozcinając martwe ciała, zajmując się ich organami wewnętrznymi, wyjmując ich mózgi, wątroby i płuca, i starając się jednocześnie nie myśleć, że była to czyjaś matka, czyjeś dziecko – ktoś, kto zaledwie parę godzin wcześniej mógł z nim rozmawiać.

Brnąc pod górę przez wydmy Rearden po raz ostatni rozejrzał się dookoła. Joe czekał na niego, rozmawiając niecierpliwie z sierżantem Jahnkem. Michael usłyszał za plecami warkot odjeżdżającego ambulansu i nagły odgłos syreny, od którego wszyscy podskoczyli w miejscu.

Wtedy właśnie zobaczył w oddali coś białego. Coś, co błyszczało niczym żagiel w złocistej porannej mgiele.

Oślonił oczy przed blaskiem, ale wciąż nie mógł się zorientować, co to jest. Odwrócił się do jednego ze stojących nie opodal funkcjonariuszy straży nadbrzeżnej i zapytał, czy mógłby pożyczyć od niego lornetkę.

–W porządku, ale niech pan traktuje ją z szacunkiem. To sprzęt Zeissa, wart siedemset dolców z hakiem. – Na obu policzkach strażnika wykwitwały jasnoszkarłatne plamy i Michael miał nadzieję, że to nic zaraźliwego.

Wziął od niego lornetkę i nastawił ostrość na biały kształt w oddali. Obraz był wciąż zamazany – z morza unosiła się właśnie letnia, poranna mgła. Nie miał jednak żadnych wątpliwości, co widzi. To, co wziął z początku za żagiel, stało na lądzie, na stromym, porośniętym trawą cyplu. Na szczycie trójkątnej białej budowli widać było czarną kratę balkonu i błyszczące szkło soczewek.

To była latarnia morska – ale nie jakaś tam latarnia. Ta sama biała, przysadzista latarnia, którą widział w swoim hipnotycznym transie.

A na prawo od niej, za uginającymi się na wietrze drzewami stał rząd zielonych kolonialnych domów. Tych samych domów, które oglądał w transie.

Z rosnącym uczuciem przerażenia obrócił się w lewo, a potem w prawo i dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że to właśnie ta zatoka – ta sama, którą oglądał zahipnotyzowany przez doktora Rice'a.

To była ta zatoka i to była ta latarnia; i to tutaj właśnie, w miejscu, w którym wyłowiono z oceanu Sissy O'Brien, miało się zmienić jego życie. Czuł, jak obracając się na wietrze, niczym kurek na dachu, zbliża się do niego przeznaczenie. Słyszał szeleszczący w wodorostach piasek. Przyjrzał się ponownie z podnieceniem i z lękiem latarni i kiedy podszedł do niego Joe, i wziął go pod łokieć, mówiąc: – Chodź, Michael, umieram z głodu, zjemy jakieś śniadanie – jego oczy były szeroko otwarte i wytrzeszczone, wiedział o tym; i Joe instynktownie cofnął rękę.

–Michael? Co się stało?

–Nic. Ale coś zaczyna się rozjaśniać.

–Chcesz mi o tym opowiedzieć?

–Nie wiem... chyba jeszcze nie teraz. Znajdźmy jakieś miejsce, gdzie można coś zjeść.

–Hej! – wrzasnął za nim strażnik, kiedy się oddalali. – Niech pan mi odda tę

**lornetkę!**

**Verna Latomba stała akurat w kuchni, prasując czarną spódnicę, kiedy odezwał się dzwonek do drzwi. Wyciągnęła rękę i zgasiła telewizor. Para z żelazka rozwiała się w powietrzu. Verna oglądała właśnie program Oprah Winfrey o kazirodztwie; mężczyzna o niezwykle białej twarzy opowiadał, jak się zakochał w swojej szesnastoletniej córce. Verna zastygła w bezruchu i przez chwilę nasłuchiwała. O tej porze nikogo się nie spodziewała. Wiedziała, że Patrice wróci dopiero wieczorem, a może jeszcze później. Miał zresztą klucz i nie potrzebował dzwonić.**

**Postawiła żelazko na podstawce i przeszła do salonu. Zobaczyła, że zapomniała założyć łańcuch przy frontowych drzwiach, i podniosła rękę, żeby to zrobić, ale zanim zdążyła go dotknąć, dzwonek nieoczekiwanie odezwał się po raz drugi. Zawahała się i stała przez chwilę nasłuchując, ale dzwonek nie zadzwonił ponownie.**

**–To ty, Patrice?! – zawołała.**

**Zapadła długa cisza. Nikt się nie odezwał. Ale Verna wiedziała, że ktoś tam jest – nie tylko dlatego, że nie usłyszała oddalających się kroków. Nie słyszała, żeby ktoś coś mówił. Nie słyszała niczyjego oddechu. Ale w jakiś sposób wyczuwała, że ktoś tam stoi – ktoś o nieskończonej cierpliwości i trudnych do wyobrażenia zamiarach.**

**–Kto tam?! – zawołała.**

**Żadnej odpowiedzi. Verna wzięła do ręki huśtającą się końcówkę łańcucha. Z obitej żółtą tapetą ściany, tuż przy framudze, wpatrywał się w nią smutnie Jezus – wyobrażony jako czarny człowiek z żółtymi oczyma.**

**–Jesteśmy przyjaciółmi – odezwał się młody męski głos. Verna znieruchomiła, trzymając w ręku uniesiony do połowy łańcuch.**

**–Przyjaciółmi? Jakimi przyjaciółmi? – zapytała.**

**–Przyjaciółmi – powtórzył młody człowiek, jakby nie trzeba było dodawać nic więcej.**

**–Nie jesteście żadnymi przyjaciółmi, których bym знаła – odparła Verna.**

**–Przyjaciółmi Patrice’a.**

**–Patrice powiedział, żebym nikogo nie wpuszczała. Kolejna długa pauza.**

**–Nas możesz wpuścić.**

**–Naprawdę nie mogę. Przykro mi.**

**–Patrice powiedział, że nas możesz wpuścić. Spotkaliśmy Patrice’a na ulicy, tuż przy Palm Diner.**

**–Patrice powiedział: nikogo.**

**–Naprawdę nie otworzysz drzwi?**

**–Nie mogę. Patrice by się wściekł.**

**–Wiesz, co zrobimy, jeśli nie otworzysz drzwi?**

**–Możecie mi nie grozić.**

**–Jeśli nie otworzysz drzwi, chuchniemy i dmuchniemy, i rozwalimy twój dom na kawałki.**

**–Jesteście chorzy, czy co? Wynoście się.**

**Kolejna pauza. Wydawało jej się, że słyszy jakieś szepty i szuranie stóp. Mogłaby przysiąc, że młody człowiek cicho chichocze.**

A potem – bez żadnego ostrzeżenia – zamek szczęknął i drzwi się otworzyły.

–Precz! – krzyknęła. – Wynoście się!

Skoczyła na drzwi, tłukąc sobie ramię, ale nie miała żadnych szans. Dwaj młodzi ludzie w przeciwsłonecznych okularach wdarli się do pokoju, popychając ją do przodu otwartymi dłońmi. Jeden z nich zatrzasnął za sobą drzwi i założył łańcuch. Drugi popychał ją przez cały salon, a potem cisnął na sofę. To była kryta beżowo-białą kapą stara sofa, którą podarował im kiedyś dobry przyjaciel Patrice’a. Padając Verna otarła sobie biodro. Próbowała wstać, ale młody człowiek pchnął ją z powrotem w dół.

–Czego chcecie? – zapytała, trzęsąc się ze strachu i gniewu. – Nie jesteście żadnymi przyjaciółmi Patrice’a, których bym знаła.

–I co teraz zrobisz, Verna? – zapytał, szczerząc zęby, jeden z młodych ludzi. – Wezwiesz gliniarzy?

–Gliniarzy? – powtórzyła z pogardą, mimo że głos miała nienaturalnie wysoki. – Ludzie, których mam zamiar wezwać, sprawią, że pożałujecie tego, coście zrobili, o wiele bardziej, niż gdybym wezwała gliniarzy.

Próbowała ponownie wstać, ale młody człowiek popchnął ją z powrotem, tym razem mocniej.

–Siedź, Verna! Siedź! Bądź grzeczną dziewczynką!

Młodzi ludzie byli chudzi, o lekkiej budowie ciała, bez kawałka zbędnego tłuszczu, i z początku wzięła ich za bliźniaków. Ale kiedy myszkowali po mieszkaniu, zorientowała się, że całkowicie się od siebie różnią i tylko ich białe jak mąka twarze i małe, nieprzezroczyste szkła okularów sprawiły, że wydawali się tacy podobni.

Jeden z nich był wysoki i miał duży, mięsisty nos, zapadłe policzki i przetłuszczone czarne włosy, zaczesane do tyłu i związane w mizerny koński ogonek. Jego wargi były tak bezkrwiste, że wydawały się prawie fiołkowe. Po lewej stronie podbródka miał pieprzyk, z którego wystawał pojedynczy długi włos.

Nosił jedwabny czarny płaszcz, a pod nim czarną koszulkę i workowate czarne spodnie. Przypominał Vernie rockowego menażera, którego kiedyś znała – tak samo modnie ubrany, tak samo zainteresowany tylko sobą i okrutny wobec wszystkich, którzy od niego zależeli, i tak samo nieskończenie obleśny.

Wydzielał dziwny i wyraźny zapach, przypominający nieświeży gulasz podgrzany na przypalonym oleju, sojowym albo sezamowym.

Drugi młody człowiek miał krótko obcięte włosy i krótki, spiczasty nos. Ściągnięte w grymasie do tyłu wargi nadawały jego twarzy prawdziwie wilczy wyraz. Był niższy od swego towarzysza, bardziej żyłasty i o wiele bardziej aktywny. Myszkował bez przerwy po mieszkaniu, podnosząc i odstawiając na miejsce różne przedmioty. Ubrany był w czarny sweter polo, czarne wojskowe buty z gumowymi podeszwami i czarne skórzane spodnie, ozdobione haczykami, łańcuchami i pinezkami. Przez ramię przewieszoną miał czarną płócienną torbę, która obijała mu się o biodro, kiedy krążył po pokoju.

–Zrobimy to teraz, Joseph? – zapytał, kręcąc głową.

–Jasne – odparł ten o imieniu Joseph. – Jasne, że to zrobimy.

**–Ale już teraz? – niecierpliwie upewniał się niższy.**

**–Jasne, Bryan. Jasne, że zrobimy to teraz. – Joseph posłał mu bezkrwisty uśmiech.**

**Bryan zdjął przez głowę czarną płócienną torbę i położył ją na wyłożonym glazurą stoliku do kawy. Joseph pochylił się, otworzył ją i przez chwilę grzebał w środku. Verna usłyszała szcęknięcie i dzwonięcie metalowych przedmiotów, a potem Joseph wyjął dwa półmetrowe kawałki chromowanego drutu i sekator, jakiego używają ogrodnicy do przycinania zwiędłych róż. Odwrócił się do Verna i uśmiechnął.**

**–Wpadłaś kiedyś w panikę? – zapytał. – Mam na myśli prawdziwą, totalną panikę.**

**Verna wpatrywała się w niego przerażona, nie rozumiejąc, o co ją pyta.**

**Joseph zwolnił zaczep sekatora i ciachnął nim kilka razy w powietrzu, tak jakby zamierzał pociąć na kawałki ten konkretny poranek. A potem zaniósł się świszczącym śmiechem.**

**–Nigdy nie wpadłaś w totalną panikę? No to będziesz teraz miała niezwykłą wprost okazję!**

## ROZDZIAŁ VIII

Michael podszedł z fotografią do okna i przyglądał się jej bez słowa prawie przez minutę, chociaż rozpoznanie dziewczyny zajęło mu tylko sekundy.

Na Cambridge Street, sześć pięter niżej, wciąż zawodziły syreny jadących na południe karetek.

Kiedy poprzednio oglądał zdjęcie tej samej dziewczyny, miała właśnie zamiar się uśmiechnąć – przymykając jedno oko przed blaskiem letniego słońca.

To, które trzymał teraz w ręku, zrobione zostało w kostnicy. Portret w skaleczeniach i inkrustowanych oparzeniach sińcach.

–Wielki Boże – jęknął.

Przez ostatnie dziesięć minut Victor ślęczał nad niewyraźnymi kopiami fotografii, które Michael przesłał faksem z gabinetu doktora Moorpatha. Co jakiś czas robił na nich małe krzyżyki ołówkiem i zapisywał coś drobnym, starannym charakterem pisma w żółtym notesie, połykając równocześnie w wilczym tempie kęsy sandwicza z soloną wołowiną z piklami i popijając je zupą pomidorową z polisterynowego kubka.

W końcu zorientował się, że Michael ma mu coś ważnego i bolesnego do powiedzenia. Opuścił w dół ołówek i ruszając wolniej szczękami spojrzał na niego powiększonymi przez soczewki bystrymi oczyma.

–To jest Elaine Parker – oznajmił Rearden, opuszczając w dół trzymaną w drżących dłoniach fotografię.

Victor odłożył ołówek i przełknął ślinę.

–Znasz ją?

–Powinienem. Napatrzyłem się dość jej fotografii.

–Ale kim ona jest?

Michael odsunął się od okna i siadł po drugiej stronie biurka.

–Pamiętasz katastrofę nad Rocky Woods? Tę, w której rozbił się L-1011?

–Kto nie pamięta.

–Siedemnastego marca zeszłego roku, pięć po piątej po południu.

–Badałeś tę sprawę z ramienia Plymouth Insurance, prawda? Powiedział mi o tym Żyrafa.

Michael położył fotografię Elaine Parker na biurku Victora.

–Tamtej nocy zginęło trzysta dwanaście osób. Samolot otworzył się jak jakiś cholerny strąk grochu i wszyscy runęli w dół. Wszyscy oprócz niej.

–Nie bardzo rozumiem – stwierdził Victor.

–Była na liście pasażerów: Elaine Patricia Parker, dwadzieścia jeden lat, studentka sztuki z Attleboro, Massachusetts. Leciała, żeby zobaczyć jakąś wystawę, która przyjechała z Europy. Turner, Gauguin, już nie pamiętam. Tego popołudnia zgłosiła się do stanowiska odprawy Midwest Airlines dziewiętnaście minut po trzeciej. Miała ze sobą tylko pojedynczą walizkę w kratę. Z tego, co wiemy, przed wejściem do samolotu wypła na lotnisku kawę i zjadła ciastko. Kilka osób zauważyło, że rozmawiała w kawiarni z jakimś młodym człowiekiem. Wiemy tylko, że się uśmiechał i miał ciemne włosy. Niezbyt wiele. Świat pełen jest ciemnowłosych, uśmiechniętych młodych mężczyzn i młodych dziewczyn, które chętnie z nimi

rozmawiają.

Victor przyjrzał się leżącym przed nim ciemnym, zamazanym faksom. Nakreślił już zarys jednego powykręcanego ciała i fragment następnego. Zgięty wpół, pozbawiony głowy John O'Brien. McAllister z uciętymi na wysokości ud nogami.

Ugryzł kolejny kęs sandwicza.

–Przeszukaliśmy trzydzieści kilometrów kwadratowych... daleko poza miejscem, w którym zdarzyła się katastrofa. Ale nigdzie nie natrafiliśmy na jej ciało – powiedział Michael. – Znaleźliśmy tylko należącą do niej torebkę i jeden but. Jej samej nigdy nie odnaleźliśmy.

Pochylił się nad biurkiem i wbił wzrok w fotografię. Twarz dziewczyny była spuchnięta wskutek daleko posuniętego rozkładu i potwornie pokiereszowana. W jej wargach tkwiły wędkarskie haczyki, a na powiekach widniały oparzenia od papierosów. Nie widział jeszcze fotografii całego jej ciała, a po tym, co opowiadał mu Kuryłowicz, nie miał na to wcale ochoty. Nigdy nie sądził, że można męczyć kobietę na tak wiele sposobów.

–Ona cierpiała, prawda? – zapytał. – Naprawdę cierpiała.

–Nie jesteś w stanie w to uwierzyć? – odparł z pełnymi ustami Victor.

Michael wstał z krzesła i przeszedł się po gabinecie. Zbliżył się do wiszącego w rogu ludzkiego szkieletu, spojrzął w jego puste, zakurzone oczodoły, a potem dotknął go lekko i kościotrup zatańczył w powietrzu, klekocząc kolanami.

–Nazywamy go Leniuch – powiedział Victor. Michael uśmiechnął się z przymusem.

–Pytanie brzmi... – zaczął, ale nagle drzwi gabinetu otworzyły się i do środka wszedł Thomas. Był spocony i sprawiał wrażenie zmęczonego. Z pogniecionych żółtawych spodni wystawała mu koszula, krawat miał przekrzywiony.

–Jak ci idzie? – zapytał Victora. Kuryłowicz uniósł do góry zjedzonego do połowy sandwicza.

–Przerwa na lunch. Krojenie ludzi to ciężka robota. Otworzyliśmy mu klatkę piersiową i jamę brzuszną. Keiller usuwa teraz zawartość żołądka. Prześlę ci wstępny raport najszybciej, jak będzie można.

–Postaraj się zrobić to przed obiadem – zaproponował Thomas. – Mój system trawienny niezbyt dobrze znosi tego rodzaju rzeczy. – Spojrzął na Michaela, pociągnął nosem, a potem wytarł go wierzchem dłoni. – No, Mikey... Victor powiedział mi, że trochę pomogłeś nam w tej sprawie.

–Więcej niż trochę – wtrącił Victor, wskazując na leżącą na biurku fotografię. – Michael twierdzi, że wie, kim jest nasza anonimowa dama z Byron Street.

–Żartujesz chyba? – rzucił z niedowierzaniem Boyle. – Wiesz, kim ona jest? – zapytał, podnosząc fotografię.

Michael kiwnął głową.

–Jesteś tego pewien?

–Absolutnie. Nazywa się Elaine Patricia Parker – odparł Rearden. – Jedyna osoba z listy pasażerów L-1011, której ciała nigdy nie udało nam się odnaleźć.

Thomas był wyższy o głowę od Michaela. Wpatrywał się w niego przez dłuższy czas, oddychając chrapliwie przez otwarte usta.



–Elaine Patricia Parker?

–Zgadza się. Była studentką sztuki z Attleboro. Jej nazwisko znajdowało się na liście pasażerów, ale nigdy jej nie odnaleźliśmy.

–I rozpoznajesz ją po tak długim czasie, mimo że była straszliwie torturowana i bita, a jej twarz jest do tego stopnia zniekształcona?

Michael kiwnął głową.

–Wierz mi, Thomas. Przyglądałem się setki razy wszystkim dostępnym fotografiom tej dziewczyny. Jestem profesjonalistą.

Thomas podniósł do góry brew.

–Wciąż jestem profesjonalistą – powtórzył z naciskiem Rearden.

Victor zabębnił energicznie palcami po biurku, wstał i sięgnął po zielony fartuch, który wisiał na wieszaku obok schematu gruczołów limfatycznych z „Histologii” Hewera.

–Słuchajcie, powinienem już wracać na dół – oświadczył.

–W porządku – powiedział Thomas, nie spuszczając wzroku z Michaela. – Daj mi znać, co ustalicie, najszybciej jak możesz.

Kuryłowicz wyszedł, pozostawiając Michaela, Thomasa i kościotrupa Leniucha w niezręcznym milczeniu. Boyle wziął do ręki fotografię Elaine Parker i podniósł ją w górę. Rearden rzucał na nią co chwila okiem, ale nie był w stanie dokładnie przyjrzeć się twarzy dziewczyny. Znowu czuł ten okropny znajomy zawrót głowy, tak jakby podłoga miała rozstąpić się pod jego stopami – tak jakby miał runąć sześć tysięcy metrów w dół, w lodowatą ciemność. A potem poczuć, jak po całym ciele siekają go gałęzie drzew i roztrzaskać się o twardą ziemię, niczym nurkujący w beton pływak.

–Jesteś pewien, że to ona? Michael odchrząknął.

–Wydostanę jej akta z Plymouth Insurance i przyniosę ci. Z tego, co pamiętam, dziewczyna miała również znaki szczególne. Małe znamię pod prawą pachą.

–Powiem Victorowi, żeby go poszukał – stwierdził Thomas. Wciąż trzymał fotografię tuż przed oczyma Michaela, bladego, spoconego i stale przelykającego ślinę. Boyle sprawiał wrażenie, że bardzo interesują go przyczyny takiego zachowania.

–Z tego, co wiem, jej rodzice wciąż mieszkają w Attleboro – powiedział Michael. – Mógłbyś... mógłbyś poprosić ich, żeby ją zidentyfikowali, prawda?

–Będę musiał to zrobić, jeśli uwierzę, że to ona – odparł Thomas. Nie odkładając fotografii, sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął z niej papierosa. – Ale musisz zrozumieć moją sytuację. Nie zamierzam narażać nikogo na oglądanie szczątków tej dziewczyny, jeśli zachodzi jakiegokolwiek prawdopodobieństwo, że to nie ona. To, co jej zrobili, sprawia, że nawet mnie śnią się w nocy koszmary. A ja widziałem już w życiu mnóstwo nieprzyjemnych rzeczy, jakie ludzie zrobili innym ludziom.

–To ona, jestem tego pewien – upierał się Michael. I był tego pewien.

–Cóż... jeśli masz rację, Mikey, podrzuciłeś nam ciężki orzech do zgryzienia – rzekł Thomas. – Na przykład: w jaki sposób udało jej się przeżyć katastrofę na dużej wysokości, z której nie wyszedł cało nikt inny?

–Istnieje kilka możliwości – odparł Michael. – To mógł być jeden z tych

fenomenów natury, szansa jedna na milion. Niektóre ofiary katastrofy nad Lockerby po odnalezieniu wciąż dawały znaki życia, mimo że spadły z wysokości ponad dziesięciu kilometrów. Przyznaję, że nie żyły zbyt długo. Kiedy ciało ludzkie spada z dużej wysokości, osiąga maksymalną prędkość stu siedemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, a potem opór wiatru uniemożliwia dalsze przyśpieszenie. Kiedy uderza o ziemię, skutek nie jest gorszy niż przy czołowym zderzeniu dwóch samochodów jadących z prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów.

–I nie lepszy – wtrącił Thomas.

Michael wzruszył ramionami.

–Inną możliwością jest, że w ogóle nie było jej w samolocie. Zgłosiła się do odprawy, widziano w każdym razie, jak się zgłasza do odprawy... i na pokładzie znalazł się jej bagaż, a także torebka i but. Nie mamy oczywiście żadnych żywych świadków, którzy potwierdziliby, że weszła do samolotu.

Thomas wsunął między wargi papierosa, który kiwał się nie zapalony w jego ustach, kiedy mówił.

–Jeśli masz rację co do tej... jak ona się nazywa?... Elaine Parker, wtedy mamy dwie dziewczyny, obie z rejonu Bostonu, które w ten czy inny sposób przeżyły katastrofę lotniczą i które zostały następnie porwane, uwięzione, torturowane i zabite. I Bóg jeden wie dlaczego i kto to zrobił.

–Jest oczywiście jeszcze jedna rzecz, która łączy te dwie sprawy – dodał Michael. – Te klute rany na plecach.

–Jasne – zgodził się zmęczonym tonem Thomas. – Ale nie jest to zbyt wiele, chyba się zgodzisz? Ktoś wbił im w plecy igły. Ale na razie nie mamy żadnego pojęcia, w jakim celu to zrobił. Osobnym problemem jest fakt, że wnętrzności naszej damy z Byron Street znajdują się w stanie daleko posuniętego rozkładu, a zatem Victor nie jest w stanie ustalić, co chciał osiągnąć jej prześladowca, z wyjątkiem oczywiście zadania jej skrajnego bólu.

–Daleko posuniętego rozkładu?

–Robaki – wyjaśnił Thomas. – Larwy ścierwnicy pospolitej. Zapytaj o to Victora, jest w tej dziedzinie ekspertem. Wnętrzności znikają niczym przeznaczony do rozbiórki dom.

–W porządku – przerwał mu Michael. – Wiem coś niecoś na temat ścierwnicy. – Dotknął wierzchem dłoni czoła. Czuł się jednocześnie spocony i zziębnięty. Może powinien po południu zadzwonić do doktora Rice'a – po prostu żeby o tym podyskutować, nabrać do tego wszystkiego odpowiedniego dystansu. Rzeczywistość zaczynała rzucać na niego chłodny, złowrogi urok i czuł, że znalazł się bardzo daleko od Patsy, Jonasa i cichego, budzącego zaufanie gabinetu doktora Rice'a.

Zadzwoił telefon.

–Boyle – rzucił podnosząc słuchawkę Thomas. Przez chwilę trzymał ją przy uchu, a potem odłożył. – Viktor chce, żebym zszedł na dół, do kostnicy. Mówi, że znalazł coś, co powinienem zobaczyć... – Przerwał na moment, a potem dodał: – Chcesz przejść się tam razem ze mną?

Michael wahał się trochę, ale w końcu kiwnął głową.

–Domyślam się, że nie mam wyboru.

Przez dwa ostatnie dni w miejskiej kostnicy panowało urwanie głowy. W zamieszkach przy Seaver Street zginęło już dwudziestu dwóch mężczyzn i trzy kobiety, a najgorszego spodziewano się tej nocy. Lekarze sądowi musieli się poza tym zajmować normalnym kontyngentem ofiar, które zabite zostały z broni palnej, zasztyletowane, spalone w pożarach i wyłowione z morza. Boston stanowił istną Mekkę topielców. Burmistrz przyznał kiedyś niedyskretnie, że od początku tego stulecia w bostońskim porcie utopiło się więcej osób, niż wynosi łączna liczba ofiar „Titanica” i „Lusitanii”.

Michael musiał przysunąć się do ściany, żeby przepuścić popychany przez karłowatego Murzyna wózek z przykrytymi zielonym prześcieradłem zwłokami.

–When a man... loves a woman... – podśpiewywał pod nosem pielęgniarz.

Victor czekał na nich przy wahadłowych drzwiach kostnicy. Zakrwawione dłonie w rękawicach trzymał wysoko podniesione, tak jakby udzielał im błogosławieństwa.

–To nie jest przyjemne – oznajmił – ale bardzo interesujące. Pchnął wahadłowe drzwi i weszli za nim do chłodnej, jaskrawo oświetlonej sali. W powietrzu unosił się silny odór środków antyseptycznych, żółci i nieświeżych ludzkich zwłok. Idący zaraz za Victorem Thomas energicznie wytrząsał na chusteczkę esencję z goździków.

–Chcesz trochę? – zapytał, odwracając się do Michaela, ale ten potrząsnął przecząco głową.

Na białym, ceramicznym stole pod baterią oślepiających chirurgicznych lamp leżało coś, co przypominało w pierwszej chwili rozdarty worek tropikalnych owoców – bijące po oczach brązy i żółcie, fiolety i czerwienie. Dopiero obszedłszy stół dookoła, Michael zdołał doszukać się sensu w tym, co widział – ponieważ ten rozdarty worek tropikalnych owoców miał głowę, twarz, a także dwie ręce i nogi. To było ciało Sissy O'Brien, otwarte od krocza aż po obojczyk, rozplątane szeroko przez rozległe suprapubiczne cięcie, po to aby Victor Kuryłowicz mógł ustalić, co takiego zrobili jej prześladowcy.

Michael zorientował się, że wpatruje się w twarz dziewczynki. Oczy Sissy były zamknięte, a skóra perłowoszara, prawie fosforyzująca, ale śmierć nadała jej rysom spokojne, dojrzałe piękno i Michael nie potrafił wprost uwierzyć, że to czoło i jedwabiste włosy skrywają tylko ciemność i nicość – młode życie, które zostało przerwane w tak okrutny sposób z powodu, którego nie potrafił sobie wyobrazić. Przesunął oczyma po makabrycznej pstrokaciźnie jej wnętrzości i zobaczył Victora, który przyglądał mu się przez odbijające światło okulary i Thomasa – z załzawionymi oczyma i przytkniętą do nosa chusteczką.

–Tutaj – powiedział Kuryłowicz. – Musisz podejść bliżej. Michael zbliżył się do stołu. Czuł wybrzuszącą się pod jego stopami ciemność.

–Bliżej – powtórzył Victor. – Ona nie zeskoczy ze stołu i nie poprosi, żebyś zatańczył z nią taniec watusi.

Michael przysunął się do stołu na tyle blisko, na ile tylko się odważył. Victor wziął do ręki chromowane lustro i odsunął nim beżowe, lodowate stopy wnętrzości.

–Tutaj mamy nerki – wyjaśnił.

Nerki Cecilii były tak podobne do wieprzowych nerczek, że Michael przysięgł sobie w duchu nigdy więcej w życiu nie wziąć do ust żadnych podrobów – brązowe, zakrzywione i trochę tylko zmatowiały wskutek działania powietrza. Victor pchnął je i zakołysały się lekko w swojej wyściółce z białego tłuszczu i luźnej, upstrzonej żyłkami tkanki łącznej.

–Z tego, co udało mi się do tej pory ustalić – stwierdził Victor rzeczowym tonem wykładowcy – najpoważniejsze obrażenia są rezultatem tortur o podłożu sadomasochistycznym. Są straszne... a kiedy mówię straszne, mam na myśli, iż nie zetknąłem się z czymś podobnym do tej pory. W pierwszej kolejności chciałem jednak dowiedzieć się, jaki charakter mają te dwie rany klute w niższej części pleców, ponieważ w oczywisty sposób może to nam pomóc w ustaleniu, co ewentualnie łączy ofiarę z Byron Street z tą biedną, leżącą przed nami dziewczyną. Nie wydaje mi się, żeby głównym powodem tych punkcji był zamiar zadania bólu, w porównaniu bowiem z bólem spowodowanym przez przytknięcie zapalonego papierosa do nagiej brodawki sutka nie ma o czym mówić.

–Więc co takiego odkryłeś? – zapytał niecierpliwie Thomas, któremu najwyraźniej robiło się niedobrze.

Victor spojrzał na nich i uniósł z zadowoleniem brew.

–Odkryłem, że te punkcje prowadziły bezpośrednio do nadnerczy.

–Czy trudno je wykonać? – zapytał stłumionym głosem Thomas.

–Wyjątkowo. Jak sami widzicie, nerki są w dużym stopniu ruchome.

–Zatem ktokolwiek wbił igłę prosto w te konkretne gruczoły, uczynił to z wprawą...

–Owszem.

–Dokładnością...

–Fenomenalną dokładnością. Musicie pamiętać, że lewa nerka znajduje się w jamie brzusznej zawsze trochę powyżej prawej.

–I premedytacją.

–Na pewno.

–Może to był chirurg? – zapytał Michael.

–To całkiem możliwe. Z całą pewnością nie był to gracz w strzałki.

Thomas wziął głęboki, przesycony goździkami oddech.

–Co jest takiego nadzwyczajnego w tych nadnerczach? Dlaczego ktoś mógłby chcieć wbijać w nie igłę?

Victor ujął skalpel i odciął włóknistą tkankę, która przywierała do szczytu jednej z nerek. Polało się trochę krwi i płynu komórkowego, ale Sissy była od dawna martwa i nie powinna wziąć mu tego za złe.

–O, tutaj – powiedział, otwierając nerkę, żeby Thomas i Michael mogli zobaczyć na własne oczy.

Boyle nie mógł przestać myśleć o przekąsce, którą zamówił trzy tygodnie temu u Barretta, o wszystkich tych owiniętych plastrami boczków, leżących na podgrzewanym, srebrnym półmisku podrobach.

–To są nadnercza, umiejscowione na szczycie każdej z nerek. Mają około pięciu centymetrów długości i mniej niż pięć centymetrów szerokości. Widzicie wewnątrz tę twardą, intensywnie żółtą warstwę? Nazywamy ją warstwą korową. A w samym środku, tutaj, gdzie widzicie tę miękką, ciemnobrązową substancję, znajduje się rdzeń.

–W porządku – powiedział, przełykając ślinę, Thomas. – Ale co produkują te gruczoły? Czy to coś ważnego?

Victor wyprostował się.

–Osoba, której usunie się nadnercza, doznaje prostracji mięśni i w ciągu kilku dni umiera. Wewnątrz tego miękkiego, brązowego rdzenia produkowana jest adrenalina.

–Masz na myśli tę samą adrenalinę, która daje człowiekowi kopa?

–Zgadza się. Za każdym razem, kiedy jesteś przestraszony, podniecony albo w stresie, twoje nadnercza pompują adrenalinę i to sprawia, że otwierają się szerzej twoje oczy, jeżą się na głowie włosy, serce uderza szybciej, a wątroba zaczyna wydzielać do krwi dodatkowy cukier.

Michael czuł, jak zamyka się wokół niego ciemność, ale próbował rozumować racjonalnie.

–Co starasz się przez to powiedzieć? Że ktoś umyślnie wbił igłę w nadnercza tej dziewczyny, po to żeby ściągnąć adrenalinę? O to ci chodzi?

–Skąd mam wiedzieć? To robota porucznika Boyle’a. – Victor miał rozbawioną minę.

–Ale ktoś z premedytacją wbił igły w jej nadnercza?

–Zgadza się: w sam środek, tam, gdzie produkowana jest adrenalina. A w tych okolicznościach gruczoły oczywiście powinny wydzielać bardzo duże ilości adrenaliny.

–Mówisz o przerażeniu, o bólu i o strachu przed śmiercią? Victor kiwnął głową.

–To oczywiście tylko teoria. Ale pozwala nam myśleć o motywie innym niż prosty sadyzm.

–Inny motyw? – zapytał Michael. – Jaki inny motyw? Po co komuś, do cholery, może być potrzebna cudza adrenalina?

–Trudno powiedzieć – odparł Victor. – Potrzebną nam adrenalinę uzyskujemy na ogół od zwierząt albo syntetyzujemy. Używamy jej podczas operacji oka czy nosa i we wszelkiego rodzaju nagłych przypadkach, ponieważ zwiększa ciśnienie krwi, a poza tym zwęża mniejsze naczynia krwionośne i ogranicza krwawienie. Czasami podajemy ją bezpośrednio w zranione miejsce na kawałku gazy albo szarpi w celu powstrzymania krwotoku. Adrenalina może również być pomocna w leczeniu astmy.

Thomas spojrział na wypatroszone ciało Sissy O’Brien. Był zmieszany i robiło mu się niedobrze, ale przede wszystkim czuł olbrzymi smutek. Jego żona, Megan, została tragicznie dotknięta przez los, ale przynajmniej żyła. Życie tej biednej dziewczyny ktoś przerwał na zawsze – w szoku i w agonii, dla zaspokojenia żądzy, której nikt nie potrafił zrozumieć.

Stali wokół niej w jasnym, niczego nie pozostawiającym w ukryciu świetle kostnicy i każdy z nich rozmyślał na swój własny sposób o bólu. A także o Bogu i o

tym, czy On w ogóle istnieje.

–Ogon – powiedział nagle Thomas po dwóch albo trzech minutach.

Michael posłał mu niespokojne spojrzenie. To była ta rzecz, o której od początku starał się nie myśleć.

Victor podniósł prześcieradło, które przykrywało dolną część ciała Sissy O'Brien. Michael nie chciał tam spojrzeć, ale nie potrafił się powstrzymać. Czując jednocześnie ogarniające go nudności i rodzaj niezdrowego podniecenia zerknął na kosmate, zszargane futro między udami Sissy.

–Nie przeciąłem jeszcze jej jelit – wyjaśnił Kurylowicz.

–Ale domyślasz się mniej więcej, co jej zrobili?

–Tak – odparł, kiwając głową, Victor.

–Chcesz zrobić to teraz? Naprawdę musimy to wiedzieć.

–Nie musicie tu zostawać.

Thomas zerknął nad chusteczką na Michaela. Mój Boże – pomyślał – ten człowiek naprawdę jest na krawędzi. Znał Michaela od bardzo dawna. Wiedział, że jest dobry, że jest wyjątkowy, zwłaszcza jeśli chodzi o powikłane, pokrętne sprawy. Ale Joe Garboden ostrzegł go, że od czasu Rocky Woods Rearden nie jest już tym samym człowiekiem. Thomas też widział, że Michael załamuje się pod ciężarem swoich urazów. Miał szarą twarz i rozszerzone oczy i stojąc obok prosektoryjnego stołu Victora Kurylowicza zdradzał wszelkie objawy zbliżającego się szoku.

–Dajmy sobie z tym spokój, Victor – powiedział Boyle. – Możesz przysłać mi fotografie później.

Ale Michael chciał to zobaczyć. Michael musiał to zobaczyć. Był pewien, że istnieje jakiś związek między Sissy O'Brien a tym, co wydarzyło się nad Rocky Woods. Był pewien, że jeśli uda mu się rozwiązać tę sprawę, zdoła wyegzorczyć poprzednią. Zależało od tego całe jego zdrowie psychiczne. Cała jego dusza.

–W porządku – zwrócił się do Victora. – Jedźmy dalej. Victor spojrzał na Thomasa.

–Jasne... jeśli on tego chce – stwierdził Boyle. Kurylowicz dał znak dwojgu asystentom i zamienił z nimi szeptem kilka słów. Młoda Murzynka uparcie potrząsała głową, ale Victor położył w końcu dłoń na jej ramieniu.

–Nie wyobrażam sobie, żebyś natknęła się kiedyś na coś gorszego. Jeśli poradzisz sobie z tym, poradzisz sobie ze wszystkim. Pomyśl o tym.

Michael czuł, jak splywa mu po plecach pot. Pociągał bez przerwy nosem, tak jakby się przeziębiał. Nie potrafił opanować przerażenia. Wszędzie wokół niego rosła ciemność i miał wrażenie, że za chwilę zawali mu się na głowę cały budynek. Obserwował pochylającego się nad szczątkami Sissy O'Brien Victora, widział błysk skalpela i nie mógł się odwrócić. Patrzenie na to było zbyt okropne; ale jeszcze okropniejsze byłoby odwrócenie się tyłem.

Victor odezwał się dopiero, kiedy otworzył zwinięte różowe jelito grube – a potem nacinał je coraz niżej i niżej, odsuwając na bok warstwy tłuszczu i skórę. Nagrywał na magnetofon swoje spostrzeżenia, żeby przekazać Thomasowi dokładny wstępny

raport. Później spędzi całe godziny, tnąc, analizując i sporządzając kompletny katalog wszystkiego, co i w jakiej kolejności spotkało Sissy O'Brien, a także ustalając bezpośrednią przyczynę śmierci.

–Widzimy, że kieszka stolcowa i niższa część jelita grubego zostały brutalnie rozszerzone wskutek wciśnięcia siłą obcego obiektu... obiektu o średnicy około dziesięciu centymetrów i długości pięćdziesięciu centymetrów.

Michael domyślał się, co to za obiekt, a spoglądając na kształt pokrwawionych i poszarpanych jelit Sissy O'Brien mógł stwierdzić to z całą pewnością. Ale wciąż modlił się, żeby nic z tego, co oglądał, się nie wydarzyło, i żeby nikt nie popełnił takiego bestialstwa. Nie zdawał sobie sprawy, że z jego twarzy odpłynęła cała krew i przypominał teraz portret świętego męczennika w jakiejś średniowiecznej kaplicy. Nie zdawał sobie sprawy, że po policzkach płyną mu łzy.

To nie powinno się nigdy wydarzyć. To niemożliwe. Boże Wszechmogący, powiedz, że to wszystko nieprawda.

–W niższej części jelita grubego widzimy kilka perforacji i rozdarć, z których każde mogło spowodować śmiertelne zapalenie otrzewnej – mówił Victor.

Michael słyszał jego głos dobiegający z bardzo daleka, tak jakby Kuryłowicz przemawiał przez metalową tubę z innego pokoju. Zrobiło mu się zimno i czuł, jak krew odpływa mu z głowy. Uświadomił sobie, że za chwilę prawdopodobnie zemdleje.

Victor wysunął rękę i czarna dziewczyna położyła mu na dłoni skalpel. Pochylił się nad ciałem Sissy i precyzyjnie naciął ciemne wybrzuszenie na jej kieszce stolcowej. Biała tkanka rozsunęła się; Michael usłyszał głos Thomasa: – Jezus – i to było wszystko. Nie zemdlał. Nie upadł. Ale nie był w stanie się również poruszyć. Mógł tylko wpatrywać się w płonące martwe oczy kota, które pojawiły się między rozciętymi fałdami tkanki.

Zorientował się, że siedzi na twardym krześle. Nie bardzo pamiętał, jak się na nim znalazł. Ktoś trzymał go za rękę, to była kobieta. Wpatrywał się w pustą tekturową filiżankę. Słyszał głos Thomasa i głos Victora. Słyszał skrzypienie kół.

Nagle poczuł gęsty, ostry odór śmierci.

–...nie wiemy, z czym mamy do czynienia, poruczniku... – mówił Victor.

–To szaleństwo – powtarzał Thomas. – Ktokolwiek to zrobił, był chory na umyśle.

–...owinął ściśle drutem kolczastym... owinął ściśle niczym niemowlę... no wiesz, niczym jakiś cholerny kawał mięsa... a potem wcisnął go siłą... Jezus.

Kiedy Victor wrócił na górę, Michael wciąż stał przy oknie w jego gabinecie. Dochodziła dziewiąta wieczór. Niebo nad południowym Bostonem zasnute było gęstym dymem. Zachodzące słońce nadało mu złowrogi purpurowy odcień, a wszędzie wzdłuż horyzontu płonęły pożary, niczym ogniska oblegających miasto Hunów albo Wizygotów.

Nie odwrócił się, kiedy Victor wszedł do gabinetu, ale usłyszał, jak siada w swoim pochyłym kapitańskim fotelu, obraca się w nim i otwiera szufladę biurka. A potem doszedł go brzęk szkła i bulgot nalewanej z butelki whisky.

–Ty też masz ochotę? – zapytał go Victor. Michael potrząsnął głową.

–Chcesz z kimś pogadać? – pytał dalej Kuryłowicz.

–Dziś wieczorem porozmawiam z moim terapeutą.

–Jeśli chcesz, możesz stąd do niego zadzwonić.

–Dzwoniłem już. Nie zastałem go, ma wizytę domową. Hipnotyzuje w West Yarmouth jakąś kobietę, która chce być trochę chudsza.

Victor podszedł do okna i oparł się o framugę, kołysząc w dłoni szklaneczką z bourbonem.

–Wygląda na to, że wy, bostończycy, macie wielką ochotę obrócić w perzynę własne miasto – zauważył.

–Mnie o to nie pytaj – odparł Michael. – Po tym, co dzisiaj zobaczyłem, uważam, że ludzie są zdolni do wszystkiego. To znaczy, jak można...

Victor poczekał chwilę, aż dokończy zdanie, i nie doczekawszy się zrobił to za niego.

–Jak można tak męczyć niewinną młodą dziewczynę, a potem uśmiercić ją w sposób, który tobie ani mnie nie przyśniłby się w najgorszym śnie?

Michael przyjrzał mu się beznamiętnym wzrokiem. Victor zdjął okulary i uśmiechnął się do niego.

–W Newark nauczyłem się jednej rzeczy – powiedział. – Jeśli ktoś nie dba o ludzkie życie, wtedy rzeczywiście nie dba o ludzkie życie. Nie obchodzi go, w jaki sposób zabija ludzi. Strzał w głowę, nóż, uduszenie, jaka to różnica, skoro skutek jest zawsze ten sam. Tylko ludzie tacy jak ty i ja przejmują się, w jaki sposób kogoś zamordowano. Zabójców to nie interesuje. Odbierają komuś życie... jakie to ma znaczenie, jeśli ofiara będzie przy okazji cierpiała?

–Sądysz, że dla ludzi, którzy zamordowali Sissy O'Brien, nie miało znaczenia to, że cierpiała?

Victor pociągnął łyk bourbona.

–Zaczynam sądzić, że miało, ale inne niż to, o którym myślisz.

–Nie rozumiem.

–W porządku, zatem pozwól, że wyłożę to trochę inaczej. Zaczynam sądzić, że czymś zasadniczym dla całej sprawy są te ślady po igłach. Nie mamy żadnego bezspornego dowodu, że rany na plecach Elaine Parker prowadziły do jej nadnerczy. Wszystkie jej organy wewnętrzne znajdowały się w stanie daleko posuniętego rozkładu. Ale ślady znajdują się w tym samym miejscu co u Sissy O'Brien. Mogły nawet zostać zadane przez te same igły. W tym momencie uważam zatem, że możemy z dużą dozą prawdopodobieństwa stwierdzić istnienie ścisłego związku między śmiercią Elaine Parker i śmiercią Sissy. Obie poddano sadystycznym torturom. Obie przeszły przez piekło, możesz mi wierzyć, a Elaine przechodziła przez piekło przez cały rok, zanim ją ostatecznie uśmiercili. Jeśli twój żołądek wytrzyma raport na temat zgonu, prześlę ci kopię. Jest tam mowa o drucie kolczastym, o palących się papierosach, o karaluchach i nawet o żywym szczurze.

–O Boże – jęknął Michael. Naprawdę nie chciał tego dłużej słuchać.

Ale Victor nie dawał za wygraną.

–Pytanie brzmi: dlaczego były torturowane? Nie dla pieniędzy, ponieważ nikt nie domagał się za nie okupu. Nie mogły być torturowane w celu wydobycia jakiegis



informacji. Ani Elaine, ani Sissy nie znały żadnych wielkich sekretów, a Sissy nie miała okazji wpłynąć na decyzje podejmowane przez jej ojca. Nie może być też mowy o szantażu... nie posłużono się nimi, aby zmusić kogoś do zrobienia czegoś, na co nie miał ochoty.

–Więc dlaczego? – zapytał Michael. Victor wypił trochę bourbona.

–Zawsze mówię, że w ludzkim życiu mamy do czynienia tylko z trzema potężnymi motywami: są to pieniądze, władza i seks. Ale tutaj nie chodzi o pieniądze, nie chodzi o władzę i nie chodzi nawet o seks. Więc o co?

Michael wpatrywał się w niego, zbyt otępiały, żeby powiedzieć coś sensownego.

–Chodzi o samo życie – powiedział Victor, klepiąc go po ramieniu. – Nie o pieniądze, nie o władzę i nie o seks, ale o samo życie.

–Nie bardzo cię rozumiem.

–Ja też tego do końca nie rozumiem. Nie wiem, co się tutaj dzieje. Ale w chwili gdy ktoś zaczyna dobierać się do ludzkiego ciała, możesz się założyć, że gdzieś komuś innemu zależy na życiu. Popatrz na Trzeci Świat, na Indie, Afrykę: ludzie sprzedają dowolne ludzkie organy, a Zachód je kupuje. Istnieje rynek ludzkich nerek, rynek wątrób, nawet jąder. Zwróć się do doktora Ciach-Ciach, a dostaniesz nowe, piękne jaja. Wcale nie żartuję. A kiedy ludzie na Zachodzie nie mogą kupić organów, na których im zależy, robią coś, co my, grabarze, nazywamy zapewnieniem sobie „przymusowego dawcy”. Odnajdują odpowiednią osobę, zabijają ją i biorą to, co chcą.

–Mówisz serio? – zapytał Michael. Victor pokiwał zdecydowanie głową.

–Nikt przy zdrowych zmysłach nie powinien zgłaszać do przeszczepu swoich organów albo szpiku. Istnieje zawsze ryzyko, że któregoś dnia ktoś bogatszy od ciebie upatrzy sobie twoją wątrobę, płuca albo nawet serce... i człowieku, jeśli okaże się, że pasują...

–Ale my przecież mówimy o adrenalinie – wtrącił Michael.

–Zgadza się – przytaknął Victor. – O ludzkiej adrenalinie. A być może również o kortizonie. Nie wiem, dlaczego ktoś miałby ich tak bardzo potrzebować... ale jestem zdecydowany się dowiedzieć.

–Opowiedziałeś o tym wszystkim Thomasowi? – zapytał Michael.

Victor kiwnął głową.

–I co on na to?

–Niewiele. Thomas jest kimś, kogo mógłbyś nazwać pragmatykiem. A oprócz tego ma wrażliwy żołądek i nie lubi dyskutować o fizjologicznych szczegółach. Thomasowi nie przeszkadza, kiedy słyszy, jak źle się sprawy mają, dopóki nie powiesz mu, że mają się prawdopodobnie o wiele gorzej.

Michael nie potrafił przestać myśleć o tych okropnych kocich oczach, które spozierały na niego ze szczątków Sissy O'Brien. To było niczym coś z Edgara Allana Poe albo George'a Fieldinga Eliota – coś z „Czarnego kota” albo „Miedzianej miski”.

Patrzył teraz na Victora całkiem inaczej; trochę go to zaskoczyło i zaniepokoiło, ale również w dziwny sposób ucieszyło. Chudy, oziębły lekarz z Newark w New Jersey, okazał nagle skłonność do twórczego myślenia, do posługiwania się

wyobraźnią. Victor posłał mu mroczne, intensywne spojrzenie i choć nie było w nim ani śladu uśmiechu, Michael poczuł, że połączyło ich silne profesjonalne porozumienie, a także coś w rodzaju osobistej sympatii.

–Nie wiem... – powiedział Kuryłowicz. – Nie jestem pewien. Ale wyłania się z tego jakiś wzór... jakiś rodzaj rozumowania, jakiś rodzaj motywu. Po prostu myślę teraz na głos, naprawdę. Przez całe moje zawodowe życie zajmowałem się śmiercią. Mój wujek był przedsiębiorcą pogrzebowym i kiedy miałem dziewięć lat, pomagałem mu przygotować do pogrzebu mojego ojca. Kształcące, prawda? Wiem dużo o śmierci, Michael. Śmierć przypomina mi pusty dom, z którego wszyscy się wyprowadzili i wyniesiono meble. Mogę po nim chodzić i robiąc to odczuwam smutek, lecz nie strach. Ale mnóstwo ludzi nie chce nigdy umrzeć, naprawdę nigdy i zrobią wszystko, żeby żyć wiecznie. Cóż... umieść to po prostu w szufladce oznaczonej napisem „możliwe motywy”, dobrze? Michael spojrzał na zegarek.

–Będziesz zajęty dziś wieczorem? – zapytał Victora. – Chciałbym o tym z tobą trochę dłużej pogadać.

–Muszę zrobić notatki.

–A potem?

–Potem chyba nic. Zjem gotowe danie i idę spać.

–W takim razie – oświadczył Michael – czuj się zaproszony na kolację. Mieszkam nad Cantina Napoletana na Hanover Street. Podają tam cielęcą saltimbocce, od której łyzy staną ci w oczach.

Victor zastanawiał się przez chwilę, a potem kiwnął głową.

–W porządku, przyjmuję zaproszenie. Nie zaszkodzi dzisiaj uronić paru łez.

W salonie mieszkania Matthew Monyatty w osiedlu Mission Hill panował półmrok. Żaluzje były spuszczone i zaledwie mały trójkąt światła padał na lewą ścianę. Jedyne umeblowanie pokoju stanowiły wielkie czarne worki wypełnione fasolą i niski czarny japoński stolik. W stojącej na stole miedzianej misce tliły się trzy kawałki sandałowego drewna. Sam Matthew Monyatta siedział na podłodze obok stolika, wróżąc z kości. Miał spoconą, poważną twarz. Z odtwarzacza kompaktowego płynęły bardzo cicho dźwięki hipnotycznego, wybijanego na bębnach afrokaraimskiego rytmu.

Afrykańscy czarownicy wróżyli z kości na długo przedtem, zanim zaczął się handel niewolnikami. Pierwotnie zabijali ludzi, gdyż z ludzkich kości najlepiej dawało się przepowiadać przyszłość. Tajemnica afrykańskich czarowników przebyła Atlantyk na wiozących niewolników statkach i na plantacjach Południa zaczęto czynić te same przepowiednie badając kości kurze, wieprzowe albo jeszcze lepiej: poronionych dzieci.

Wróżenia nauczył Monyattę jego dziadek. Kości, które ułożyły się w kształt gwiazdy, oznaczały nadejście złych czasów; skrzyżowane – konflikt. Dwie równoległe oznaczały białych ludzi. Trzy równoległe i te, które ułożyły się w kształt kozła z rogami, symbolizowały coś więcej niż białych ludzi. Symbolizowały białych-białych ludzi: tych, którzy zostali złożeni w ofierze. Zapowiadały, że na ziemi nastanie horror; i że świat obróci się do góry nogami.

Od ponad dziesięciu lat Monyatta wyczuwał rosnącą aktywność białych-białych ludzi. Za każdym razem, kiedy wróżył, coś, nieważne jak drobnego i mało znaczącego, sygnalizowało ich obecność. Może się mylił, ale to wszystko kojarzyło mu się ze stopniowym upadkiem Jamaica Plain, Roxbury i innych przedmieść południowego Bostonu. Roxbury było niegdyś solidną dzielnicą żydowskiej klasy średniej, z pierwszorzędnymi sklepami i doskonałymi szkołami. Teraz królował w nich crack, zbrodnia i strzelający z samochodów gangsterzy. Zlikwidowano ostatni supermarket, a niedawno zamknął podwoje ostatni bank. I jakkolwiek Matthew je rzucał, kości zawsze mówiły to samo: biali-biali ludzie. Ludzie, którzy nigdy nie zamykali oczu. Takiego właśnie chcieli świata.

Matthew zebrał kości i w tej samej chwili usłyszał dzwoniący w kuchni telefon. Po chwili do salonu weszła jego córka Yasmin, szczupła i pełna gracji w swoim szkarłatnym sari.

–To do ciebie, tato. Patrice. – Podała mu telefon.

–Patrice? – zapytał Matthew. – Myślałem, że jestem bielszy od pierdolonych białych.

–Musisz mi pomóc, Matthew. – Patrice miał dziwnie zmieniony, przestraszony głos.

–O czym ty mówisz, Patrice? Jakiego rodzaju pomocy możesz od mnie oczekiwać?

–Słuchaj, Matthew, przepraszam cię za to, co wcześniej mówiłem. Naprawdę mi przykro. Wróciłem do domu o drugiej i drzwi były zamknięte. Ktoś przetrzymuje Verne jako zakładnika.

–Mówisz serio? Kto mógłby uwięzić Verne?

–Nie wiem, człowieku. Jest ich dwóch, obaj biali. Widziałem, jak wyglądają przez okno.

–Rozmawiałeś z nimi?

–Zapytałem, czego chcą, to wszystko.

–I co powiedzieli?

–Powiedzieli, że chcą odzyskać swoje pieniądze.

–Jakie pieniądze?

–Skąd, do diabła, mogę wiedzieć?! Nie mam niczych pieniędzy.

–Może kogoś obrabowałeś i po prostu o tym zapomniałeś.

–Słuchaj, człowieku, to nie są żarty! W moim mieszkaniu siedzi dwóch facetów, którzy uwięzili Verne i mają zamiar ją skrzywdzić. Tak właśnie powiedzieli, człowieku!

Matthew spojrzał na Yasmin i pokazał jej, że chce coca-coli. Yasmin wyszła do kuchni.

–Co ja mogę zrobić? To jest przestępstwo, Patrice. To nie ma nic wspólnego z czarną tożsamością. Jeśli potrzebujesz pomocy, zadzwoń na policję.

–Jak mogę zadzwonić na policję? Mamy tu prawdziwą wojnę, człowieku. Palą się domy, a oni nie wysyłają nawet straży pożarnej.

Matthew wiedział, co będzie musiał zrobić. Niezależnie od tego, jak bardzo irytował go ten człowiek, niezależnie od tego, jak bardzo podważył jego

wiarygodność i pracę na rzecz czarnej suwerenności, Patrice Latomba był bratem w potrzebie i Matthew musiał mu pomóc.

–Podwiesz mnie do Roxbury? – zapytał córkę. – Mam nadzieję, że zmieszczę się do tego twojego volkswagena.

–Jeśli się rozkraczy, czeka cię śmierć – odparła Yasmin.

Matthew, a w ślad za nim Patrice, Bertrand i dwaj inni bracia, zbliżyli się ostrożnie do drzwi mieszkania Patrice'a. Budynek wypełniała gryząca woń spalonego drewna i gumy, a także czegoś jeszcze – przypominającego odór spalonych ziemniaków.

Matthew wahał się przez moment, a potem nacisnął dzwonek.

Odpowiedziano prawie natychmiast, tak jakby ktoś na nich czekał.

–Kto tam?

–Matthew Monyatta. Jestem przyjacielem Patrice'a. Przyszedłem zobaczyć, co da się zrobić. Zobaczyc, czy nie uda się załatwić sprawy polubownie.

–Chcemy tylko odzyskać nasze pieniądze – odezwał się po kilku chwilach głos ze środka.

–Zapytaj go, jakie pieniądze – syknął Patrice.

–Patrice pyta, jakie pieniądze – powtórzył Matthew.

–Pieniądze, które zabrano po tym, jak zastrzelone zostało dziecko.

–O czym wy mówicie? – wrzasnął sfrustrowany i przerażony Patrice. – Nie zabrałem niczych pieniędzy.

–Naturalnie... świetnie o tym wiemy – odparł głos. – Ale wziął je jeden z twoich przyjaciół, Patrice. Jeden z twoich tak zwanych braci. Rozejrzyj się wokół siebie, zobacz, kogo brakuje. Popytaj się trochę. Ktoś zgarnął tę forszę i nie byli to ani gliniarze, ani nasz człowiek. Musiał to być któryś z twoich ludzi, Patrice.

–Czy mogę porozmawiać z wami twarzą w twarz? – zapytał Matthew.

Nastąpiła kolejna pauza.

–Dobrze – odezwał się w końcu głos. – Chcesz wejść do środka? W porządku, jeśli to będziesz tylko ty i nikt inny.

–Tam jest moja żona! – krzyknął Patrice. – Jeśli spadnie jej choć włos z głowy...

–Spokojnie, Patrice. – Matthew zacisnął dłoń na ramieniu Latomby. – Chodzi o to, żeby to jakoś załatwić. Proszę.

Latomba uderzył pięścią w ścianę, aż posypał się tynk.

–Mają moją żonę. Najpierw zabili mi dziecko, a teraz to...

–Zrobię wszystko, co w mojej mocy, człowieku – zapewnił go Matthew i delikatnie zapukał.

Drzwi uchyliły się, ale tylko o centymetry.

–Cała reszta niech się odsunie – zażądał głos.

Bertrand zbliżył się do wejścia, ale Patrice dał mu znak głową, żeby zastosował się do polecenia.

Drzwi otworzyły się szerzej. Matthew odwrócił się do Patrice'a i posłał mu długie, współczujące spojrzenie. A potem pchnął jeszcze szerzej drzwi i wszedł do mieszkania.

Drzwi zamknęły się za nim szybko. Stał w salonie naprzeciwko wysokiego

chudego mężczyzny o białej twarzy i skrytych za czarnymi przeciwsłonecznymi okularami oczach.

–Widzę, że Patrice sprowadził ciężkie posiłki – stwierdził mężczyzna z lekkim uśmiechem.

–Nie wydaje mi się, żeby to była odpowiednia pora na żarty – rzucił Matthew. – Co zrobiliście z Verną?

–Na razie niewiele. Ale zrobimy, jeśli nas do tego zmusicie.

–Chcę ją zobaczyć.

–Chce pan ją zobaczyć? Jasne, czemu nie. Trzymamy ją w kuchni. Idziemy. A propos, nazywam się Joseph, a to jest mój kumpel Bryan.

Matthew z niepokojem ruszył za Josephem do kuchni. To, co zobaczył, sprawiło, że natychmiast odwrócił w bok głowę. Verna leżała na brzuchu na plastikowym blacie stołu, związana drutem w ten sposób, że jej nogi były uniesione do góry.

Bryan miał tak samo białą twarz jak Joseph. Nie podniósł wzroku, kiedy Matthew wszedł do kuchni. Całą swoją uwagę poświęcał zapalanej białej świeczce, którą usiłował postawić na nagich plecach Verny. Co jakiś czas, kiedy z knota spływała roztopiona kropla wosku, przechylał ostrożnie świecę na bok i gorący wosk kapał w dół, i zastygał na ciemnych nagich plecach dziewczyny. Przy każdej kropli Verna wykrzywiła twarz i wydawała z siebie cichy, stłumiony krzyk. Na jej całym grzbiecie widniało już jakieś dwadzieścia albo trzydzieści zastygłych kropel.

–Jesteście chorzy, czy co? – zapytał Matthew drżącym z emocji głosem.

–Ten, który kradnie moją sakiewkę, nie kradnie byle czego – zacytował fałszywie Joseph. – Ten, kto kradnie moją sakiewkę, będzie cierpiał, cierpiał i cierpiał, aż odzyskam z powrotem gotówkę.

–Ta kobieta nic wam nie zrobiła.

–Nie wydaje mi się, żeby to było takie ważne – orzekł Joseph. – Jest po prostu ofiarą i nie możemy na to nic poradzić, prawda, Bryan?

–Prawda – przytaknął Bryan, lejąc wosk na plecy Verny. – Nie możemy nic na to poradzić.

–Zdajecie sobie sprawę, że Patrice was zabije.

Joseph obszedł stół, delikatnie wodząc opuszkami palców po pokrytych woskiem plecach Verny.

–Nie wydaje mi się, panie Monyatta. Szczerze mówiąc, będzie akurat odwrotnie.

–Puśćcie Vernę – nalegał Matthew. – Musicie... jest zupełnie niewinna.

–Och, nie zrobimy jej wielkiej krzywdy, chyba że okaże się to konieczne – zapewnił go Joseph. – Ale wie pan, ktoś zwinął naszą torbę, kiedy aresztowany został Jambo... a jest w niej mnóstwo forsy, a także kokainy i amunicji. Wszystko to należy do nas i chcemy to odzyskać.

–Nie wydaje mi się, żeby Patrice wiedział, kto ją zabrał – powiedział Matthew. – Sądzę, że ktoś po prostu zwinął ją i dał nogę.

Joseph zdjął swoje ciemne okulary i Matthew zastygł w bezruchu na widok jego oczu. Były krwistoczerwone, niczym oczy demona, i paliła się w nich taka pogarda i nienawiść, że Monyattę przeszedł dreszcz po plecach.

–Chcę dostać tę torbę z powrotem. Ta dama zostanie do tego czasu z nami, pod naszą opieką – powiedział Joseph. Uśmiechnął się i nagle między jego palcem wskazującym a środkowym pojawiła się żyłka. – Chyba nie sądzi pan, że się z nami nudzi. Pozwoli pan, że mu coś zademonstruję. – Mówiąc to wsadził palce lewej ręki między pośladki Verny i rozsunął je, odsłaniając jej ciemny, pomarszczony odbył i porośnięte kręconymi włoskami wargi sromowe.

–Widzi pan? – zapytał, zagłębiając palce w miękkie, szkarłatne wnętrze pochwy. – Jest wilgotna, gotowa na seks. Przerazenie zawsze to sprawia, przerazenie podnieca kobiety. Jeśli chcesz podniecić kobietę, Matthew, mam na myśli, naprawdę podniecić kobietę, przestrasz ją śmiertelnie. Puści wtedy soki, przyrzekam ci, zanim zdążysz powiedzieć „Monyatta”.

Wziął w dwa palce żyłkę i bardzo delikatnie narysował nią na lewym pośladku Verny wzór gry w kółko i krzyżyk. Na nagiej skórze ukazało się tylko parę małych kropelek krwi, która prawie natychmiast zakrzepła.

–Powiedz swojemu przyjacielowi, że chcemy odzyskać nasze pieniądze, Matthew. W przeciwnym razie Verna będzie musiała cierpieć o wiele bardziej, niż to jest konieczne.

Matthew obszedł dookoła stół. Był tak roztrzęsiony, że musiał się oprzeć o kuchenną skrzynię. Twarz Verny spoczywała przyciśnięta do plastikowego blatu. Oczy miała rozmazane od łez, a usta spuchnięte i pokaleczone.

–Verna... słyszysz mnie? – zapytał cicho, pochylając się nad nią Matthew. – Nazywam się Matthew... Matthew Monyatta. Może słyszałaś, jak Patrice wymienia moje nazwisko.

Verna chyba go nie słyszała. Zamrugła oczyma, ale nie była w stanie skoncentrować na nim wzroku.

–Wydostaniemy cię stąd, Verna, obiecuję.

–Wyjdiesz stąd, Verna – odezwał się Bryan – możesz się o to nie martwić. Prawdopodobnie przepuszczona przez maszynkę do mięsa, ale wyjdiesz.

Matthew obrócił się z furią. Ale Bryan natychmiast podniósł w jego stronę lewą rękę, wyprostowując sztywno wskazujący i mały palec i zwijając pozostałe, tak że jego dłoń ułożyła się w cornu, znak kozła, i w tym momencie Matthew przekonał się nieodwołalnie, że miał rację – i że to, przed czym ostrzegali go kości, jest prawdą.

Poczuł dotkliwy chłód w żołądku. Kości ostrzegały go, noc po nocy, coraz wyraźniej i wyraźniej, rok po roku. Biali-biali ludzie. Ludzie, którzy nigdy nie zamykali oczu. W Etiopii i w Egipcie, przed wiekami, nazywano ich stróżami, bezsennymi aniołami. Byli nieśmiertelni i prześladowali ludzi od samego zarania ich historii. Ci właśnie stróże pojawili się teraz na Seaver Street, ze swymi podeszłymi krwią oczyma, potworną arogancją i okrucieństwem, które nie znało granic. Pojawili się i domagali tego, co do nich należało.

Matthew nigdy jeszcze w całym życiu nie był tak przerażony.

–Znam was – powiedział chrapliwym głosem.

–Znasz nas? – zapytał Joseph, zakładając z powrotem ciemne okulary i posyłając mu promienny uśmiech.

–Jesteście stróżami, prawda? Seirimami?

Joseph się roześmiał.

–Wygląda na to, że coś pan sobie ubzdurał, panie Monyatta. Żyje pan w świecie snów. Jesteśmy uczciwymi biznesmenami, którzy chcą odzyskać swoje pieniądze, to wszystko.

–Powiedzcie mi, o jaką chodzi kwotę – powiedział Matthew. – Zobaczę, czy uda mi się ją dla was zorganizować. – Chociaż w kuchni Latomby było ciepło i duszno, zaczynał drżeć z zimna.

–Czteryście pięćdziesiąt.

–Tylko tyle? – zapytał z niedowierzaniem Matthew.

–Czteryście pięćdziesiąt tysięcy.

Monyatta dotknął delikatnie głowy Verny: gest błogosławieństwa, nadziei, pobożnego życzenia.

–Niech Bóg ma cię w swojej opiece – szepnął. – Dajcie mi trochę czasu, dobrze? Potrafię zebrać te pieniądze, jeśli trochę poczekacie.

–Nie chodzi nam tylko o pieniądze, panie Monyatta – wtrącił Bryan.

–A o co jeszcze?

–O zamieszki – wyjaśnił Bryan, kręcąc rękoma w powietrzu. – Chodzi nam o plądrowanie, o strzelaninę, o chaos.

–Chcecie, żeby to się skończyło?

Joseph wybuchnął krótkim, chrapliwym śmiechem.

–Skończyło? Oszalał pan? Chcemy, żeby to trwało nadal. Chcemy, żeby nastąpiła eskalacja. Chcemy, żeby pękały szyby, płonęły samochody, a białe świnie padały od strzałów zza węgła!

–Nie mogę na to pozwolić – powiedział drżąc cały Monyatta. Jego policzki przybrały barwę popiołu.

–Dlaczego? Niech pan mi powie dlaczego?

–To są moi ziomkowie... oni żyją w tym mieście. Żądacie, żeby zrujnowali swoją własną dzielnicę. Bóg jeden wie... Bóg wie, że to, co się stało, było wystarczająco złe.

–Niech pan nie wymienia przede mną boskiego imienia, panie Monyatta – odparł zimno Joseph. – Jeżeli istnieje jakaś rzecz, której nienawidzę bardziej od mediatora, to jest nią święty, a bardziej od świętego nienawidzę tylko mediatora, któremu wydaje się, że jest świętym.

–Jestem zwyczajnym człowiekiem – stwierdził Matthew. – Nie musicie się z mojej strony obawiać niczego oprócz tego, że jestem człowiekiem.

–Nie obawiamy się pana, panie Monyatta – szepnął Joseph. – Może jesteśmy stróżami, a może nie. Ale na pana miejscu nie podejmowałbym żadnego ryzyka. Rozumie pan? – Wyciągnął rękę w stronę Bryana, który podał mu zapaloną świeczkę. Nie spuszczać oczu z Monyatty Joseph wkręcił ją w odbył Verny.

Matthew wpatrywał się przez chwilę z przerażeniem w świeczkę, a potem zmierzył wzrokiem Josepha.

–Nie ma pan dużo czasu, panie Monyatta – powiedział Joseph. – Może godzinę, a

może pół. Potem zacznie się prawdziwy ból. Aha... i niech panu nawet w głowie nie postanie myśl o sprowadzeniu tutaj policji. Jeśli zwęszymy choćby jedną białą świnię, choćby jedną, pani Latomba będzie kołysać swojego synka w niebie. Wcale nie żartuję.

Z ulicy dobiegły Monyattę wystrzały i brzęk tłuczonej szyby.

–Niech Bóg ma mnie w swojej opiece – powiedział i przeżegnał się. – A także tę niewinną kobietę. A wy obaj bodajbyście wiecznie smażyli się w piekle.

–Wydaje się, panie Monyatta, że już czas na pana. Joseph i ja nie jesteśmy znani z bezgranicznej cierpliwości.

Matthew po raz ostatni spojrzął z rozpaczą na Vernę, między pośladkami której sphywał i skwierczał gorący wosk. A potem wyszedł z kuchni, przemierzył szybkim krokiem salon, pchnął frontowe drzwi i wyskoczył spocony i roztrzęsiony na korytarz.

–I co? – zapytał Patrice, natychmiast łapiąc go za rękaw. – Puszczą ją czy nie?

Matthew spojrzął mu prosto w oczy. Górną wargę pokrywały mu kropelki potu.

–Nie mogę dla ciebie nic zrobić, człowieku – powiedział. – Sam to na siebie ściągnąłeś. To ty ich sprowadziłeś, człowieku. Ty ich sprowadziłeś. Nie możesz winić nikogo oprócz samego siebie.

Zataczając się ruszył ku schodom i zaczął po nich zbiegać. Patrice stał przez chwilę wstrząśnięty w miejscu, a potem podążył za nim.

–Co z Verną? – zawołał przez balustradę.

–Niech Bóg ma ją w swojej opiece – odparł Monyatta. – Tyle tylko mogę ci powiedzieć.

–Ale co ja mam robić?

Matthew zatrzymał się w połowie schodów.

–Oni ją skrzywdzą, Patrice. Skrzywdzą ją w sposób, którego nawet nie potrafisz sobie wyobrazić.

–No tak! No tak! – wrzasnął Latomba. Wyjął samopowtarzalną czterdziestkę piątkę i odbezpieczył ją. – Mam zamiar odstrzelić im te cholerne łby! Bertrand! Mam zamiar odstrzelić im te cholerne łby!

–Zabiją cię, zanim zdążysz przekroczyć próg – ostrzegł go Monyatta. – Uwierz mi, Patrice, nie masz pojęcia, na co się porywasz.

–Więc czego oni, do diabła, chcą? – zawołał Patrice.

–Mówili ci już wcześniej. Chcą swoich pieniędzy.

–Na litość boską, ja nie mam przecież ich pieniędzy!

–Więc lepiej dowiedz się, kto je ma, albo skombinuj czterysta pięćdziesiąt kawałków, i to zaraz.

–Co ty mówisz! Skąd mam zdobyć taki szmal?

–Tego właśnie chcą, Patrice.

–A ty co takiego robisz? – zapytał Latomba. – Masz zamiar zostawić mnie samego, czy jak? Zostawić mnie samego z tymi karaluchami?

–Równie gorąco jak ty, Patrice, pragnę, żeby Vernie nie spadł nawet włos z głowy. Ale nie jestem w stanie zrobić nic więcej, dopóki nie odnajdziesz tych pieniędzy.



–A policja? Nie mógłbyś porozmawiać z policją? Posłuchaj: skończymy z zamieszkami, z całą tą awanturą.

–Powiedzieli, że jeśli sprowadzisz gliniarzy, od razu ją zabiją.

–Więc co masz zamiar zrobić? Chcesz tak po prostu zostawić mnie w potrzebie?

–Jest tylko jedna rzecz, którą mogę zrobić: muszę się zorientować, z kim i z czym przyjdzie się nam się zmierzyć. Potem tu wrócę. – Mówiąc to Monyatta ruszył dalej w dół schodów.

–Matthew! – zawył za nim Patrice. – Matthew, nie możesz mnie tak zostawić! Potrzebuję cię, człowieku!

–Oni są tutaj! Biali-biali ludzie! – ryknął na niego Monyatta, zaciskając ręce na poręczy. – Są tutaj! Przez ciebie! Dałeś im wszystko, czego chcieli! A teraz prosisz, żebym cię ocalił? – zapytał, po czym zbiegł na dół i wyszedł z budynku, zanim Patrice zdołał mu odpowiedzieć.

–Biali-biali ludzie? – zapytał Latomba Bertranda. – A kim oni są, do diabła?

–Nigdy nie słyszałem o żadnych białych-białych ludziach. – Bertrand wzruszył ramionami.

Patrice podbiegł do drzwi swojego mieszkania i zaczął w nie walić wściekle pięściami.

–Dotknijcie jej tylko, sukinsyny, to zrobię z was mokrą plamę! – krzyknął. Nie doczekał się żadnej odpowiedzi. – Kto wziął te pieniądze? – zapytał Bertranda. – Gdzie są, kurwa, te pieniądze?

–Trzeba się chyba będzie popytać. – Bertrand podrapał się po głowie.

Patrice rąbnął pięścią w poręcz.

–Ktokolwiek je zwinął, zabiję go! Zabiję! – ryknął. W tej samej chwili rozległ się rozpaczliwy krzyk Verny.

–Patrice! Patrice! Patrice!

Krótko przed świtem Michaelowi przyśnił się kot, który wypełzał z wnętrzości Sissy O'Brien: żółtooki, oblepiony ludzkim śluzem i szczerzący zęby. Obudził się z krzykiem.

Victor, który drzemał na kanapie w salonie, wbiegł do sypialni i zobaczył Michaela zaklinowanego między łóżkiem a ścianą i okładającego pięściami tapetę.

–Michael! – krzyknął. – Na litość boską, Michael! – Złapał Reardena za łokieć i próbował go podnieść, ale ten zbyt gwałtownie się szarpał. – Michael – powtórzył. – Posłuchaj mnie, Michael!

Rearden przestał wreszcie walić w ścianę, odwrócił się i wbił w niego nieprzytomne spojrzenie. Jego źrenice były malutkie jak główki od szpilek, a twarz przerażająco blada.

–To ja, Victor. Nic ci nie jest? Michael powoli dochodził do siebie.

–Nic mi nie jest – powiedział po chwili. – Miałem po prostu wizję, nic więcej.

–Wizję? Jakiego rodzaju wizję?

Michael próbował się krzywo uśmiechnąć.

–Gdyby przyśniła się tobie, nazwałbyś ją koszmarem. – Popukał się w głowę. – Z powodu mojego szczególnego stanu psychicznego... często jej doświadczam.

Nazywa się to odtworzeniem pourazowym, czy czymś w tym rodzaju.

–Chcesz trochę kawy? Michael kiwnął głową.

–Przepraszam za kłopot. Wydaje mi się, że nie powinienem jednak chodzić wczoraj do tej kostnicy. Przeskoczyła mi w głowie jakaś dźwignia.

–Żaden problem, nie ma o czym mówić. Dlaczego nie porozmawiasz o tym ze swoim psychiatrą?

–To chyba nie najgorszy pomysł. Ale muszę się z nim zobaczyć osobiście. Odbynam z nim seanse hipnozy, a nie sposób chyba zahipnotyzować kogoś przez telefon.

Victor spojrział na zegarek.

–Może bym cię tam zawiózł? – zasugerował. – Mam trochę wolnego czasu.

Powiedziałeś, że gdzie on przyjmuje, w Hyannis?

Detektyw Ralph Brossard przysnął właśnie, oglądając w telewizji „Dzyngischana”, kiedy zadzwonił telefon. Z początku myślał, że to sen, i czekał, aż odbierze go ktoś inny. Ale dzwonek brzęczał i brzęczał, i w końcu Brossard otworzył oczy, i uświadomił sobie, gdzie jest i co się dzieje.

Odsunął na bok stojące na małym stoliku przy jego fotelu opróżnione do połowy kartony z chińskim jedzeniem i podniósł słuchawkę.

–Nie ma mnie w domu – powiedział grubym głosem.

–To ty, Ralph? Newt przy telefonie.

–Już ci powiedziałem, Newt. Nie ma mnie w domu.

–Stało się coś dziwnego, Ralph.

Brossard rozejrzał się po oklejonym brązową tapetą pokoju, szukając wzrokiem papierosów, ale nigdzie ich nie było. Przez pozbawione zasłon okno widział nie kończący się sznur samochodów na John Fitzgerald Expressway, szarzejący świt nad bostońskim portem, a w samej szybie swoje upiorne odbicie – które teraz, kiedy nie golił się od dwóch dni, odkąd zawieszono go w obowiązkach, jeszcze bardziej przypominało Ernesta Hemingwaya.

–Skontaktował się z nami Patrice Latomba – powiedział Newt.

–Latomba? Stroisz sobie ze mnie żarty? Poczekaj chwilę, muszę znaleźć jakiegoś szluga. – Mimo słabych protestów Newta odłożył na bok słuchawkę i zaczął myszkować po salonie, podnosząc i odkładając z powrotem na miejsce książki i czasopisma. W końcu znalazł pudełko w połowie pokruszonych winstonów w wąskiej, pomalowanej na zielono kuchni. Pochylił się, mrużąc oczy, nad fajerką i zapalił. Podniósł z powrotem słuchawkę, puszczając kłęby dymu.

–W porządku, Newt. Już wróciłem. Co to za sprawa?

–Patrice Latomba twierdzi, że jego żona jest przetrzymywana w jego własnym mieszkaniu przez dwóch białych facetów.

–Cholera! Dostali chyba pomieszania zmysłów.

–Wcale na to nie wygląda. Siedzą tam od wczoraj rano.

–Wie, kim są?

–Nie ma pojęcia. Ale uważa, że może ty wiesz.

–Niby skąd? Całe życie spędziłem w małej szufladce oznaczonej napisem

„narkotyki”. Nie mam nic wspólnego z Czarnymi Muzułmanami, Afrykańską Insurrekcją i żadną z rzeczy, w którą wplątał się ten Latomba.

–Ci dwaj faceci twierdzą, że chcą dostać z powrotem swoje pieniądze.

–Pieniądze? Jakie pieprzone pieniądze?

–Posłuchaj, Ralph: pieniądze, które zginęły podczas zasadzki na du Freyne’a.

Wygląda na to, że ktoś je zwinął w całym tym rozgardiaszu, a teraz ci faceci chcą je odzyskać.

–A więc tak sprawa wygląda – stwierdził Ralph, dymiąc jak parowóz. – To dlaczego nie odda im tej forsy? Nam nie jest już do niczego potrzebna. Odkąd te banknoty zniknęły nam z oczu, nie stanowią żadnego dowodu. To znaczy, jesteśmy oczywiście do tyłu na czterysta pięćdziesiąt kawałków, ale c’est la vie.

–To nie tak, Ralph. Najwyraźniej brat, który zgarnął forszę, stwierdził, że jest jej za dużo, żeby się dzielić z innymi braćmi, i znajduje się teraz tam, gdzie inni bracia nieprędko go znajdą. Powiedzmy na Bermudach albo w Las Vegas.

–No to powiedz Latombie, żeby się zwrócił do glińiarzy.

–Daj spokój, Ralph, mieszkanie Latomby jest w samym środku Strefy Frontowej. Ludzie Latomby strzelają do glińiarzy, żeby zemścić się za śmierć jego małego, a glińiarze odpowiadają ogniem. Oficjalnie, nie możemy na Seaver Street przeprowadzić operacji odbicia zakładniczki ze względu na zbyt duże zagrożenie życia funkcjonariuszy i osób postronnych. Nieoficjalnie, nikogo nie obchodzi, co złego przydarzy się pani Latombie i komukolwiek, kto nosi to nazwisko.

–A co ja mam w tej sytuacji zrobić?

–Masz poradzić Patrice’owi Latombie, co ma robić, i pomóc mu wydostać panią Latombę całą i zdrową z rąk porywaczy. Nie wiem zresztą, czy zupełnie zdrową. Patrice mówi, że słyszał jej krzyki.

–Patrice chce, żebym mu pomógł? Kto, do diabła, z kogo robi tu balona? Zastrzeliłem przecież jego synka.

–Dokładnie. Dlatego właśnie uważa, że jesteś mu coś winien.

Brossard obserwował przez chwilę, jak hordy Dżyngischana galopują, potrząsając szablami, przez błonia na tyłach wytwórni Universal.

–Nie ma o tym absolutnie mowy, Newt – oświadczył. – Jeśli chcesz znać moją opinię, cała ta historia nie jest niczym więcej jak głupią próbą zwabienia mnie z powrotem na Seaver Street, po to żeby Latomba mógł mnie skutecznie uziemić. Powiedz mu, żeby wysłał mi bombę pocztą, zaoszczędzi mi to jazdy do Roxbury.

–On obiecuje, że jeśli uda ci się uratować jego żonę, uśmierzy zamieszki i nie wniesie przeciwko tobie żadnej skargi w związku ze śmiercią małego Toussainta.

–A co będzie, jeśli nie uda mi się uratować jego żony? Co będzie, jeśli załatwią ją ci faceci? Co wtedy zrobi? Uściśnie mi dłoń i zaprosi na stypę?

Zapadło długie, głuche milczenie.

–Szczerze mówiąc, Ralph – odezwał się w końcu Newt – ja mu wierzę.

–Wierzysz mu? Dobre sobie! Ale to nie ty masz wsadzić głowę w paszczę lwa.

–Ralph... ci ludzie zagrozili, że jeśli nie dostaną swojej forszy, zamęcą żonę Latomby na śmierć.

**Ralph uderzył się wewnętrzną stroną dłoni w czoło.**

**–I czego on się po mnie spodziewa? Bez brygady antyterrorystycznej jestem tak samo mądry jak on. Powiedz mu, żeby wywalił kopniakiem drzwi i wpadł do środka, prażąc gdzie popadnie z rewolweru. Albo uda mu się ją ocalić, albo nie.**

**–Możesz z nimi negocjować, tak powiedział Latomba. Możesz pójść z nimi na ugodę.**

**–Jaką ugodę? Na wypadek gdybyś zapomniał, jestem zawieszony. Nie mogę im nawet zaoferować sandwicza.**

**–W porządku, Ralph. Nie musisz się złościć. Przekazałem ci po prostu wiadomość.**

**–Dobra... dzięki, Newt. Przykro mi... Podejrzewam, że najmocniej przykro mi z powodu samego siebie.**

**–Jutro mam dzień wolny – powiedział Newt. – Może byśmy pojechali obaj do Sunset i zobaczyli, ile uda nam się obalić piw?**

**Ralph popatrzył na opartą o obramowanie kominka fotografię Hemingwaya. Nic dziwnego, że biedny sukinsyn strzelił sobie w końcu w łeb. W świecie pełnym fałszu, strachu i tchórzostwa czasami wydaje się to jedynym wyjściem, które wybrać może prawdziwy mężczyzna.**

## ROZDZIAŁ IX

Był słoneczny, lekko zasnuty mgłą poranek. Jechali na południe Pilgrims' Highway, słuchając w radiu rock and rolla z lat siedemdziesiątych: „Staying Alive”, „The Air That I Breathe” i „Reasons To Be Cheerful”.

–Powinienem zrobić sobie wakacje – stwierdził Victor. – Od lat nie brałem urlopu. Każdego dnia kolejne martwe ciało. Rozumiesz, o co mi chodzi?

–To musi być bardzo przygnębiające – domyślił się Michael.

–Skądże znowu, wcale nie przygnębiające. Po prostu nudne. Rozumiesz, o co mi chodzi? Jeśli zobaczyłeś jedną trzustkę, zobaczyłeś je wszystkie.

Dotarli do New Seabury krótko przed jedenastą. Michael wjechał na swoje własne podwórko i zatrąbił. Patsy natychmiast otworzyła drzwi kuchenne i zbiegła po drewnianych schodach, ubrana w obcisłe dżinsy i koszulę w różową kratę, ze związanymi z tyłu włosami. Michael przytulił ją mocno; była tak samo ciepła i seksowna jak zawsze i jak zawsze pachniała wodą Lauren.

–To jest Victor Nie Do Wymówienia – powiedział w końcu, odwracając się do tyłu.

–Kurylowicz – przedstawił się Victor, podając jej rękę. Patsy uścisnęła ją i uśmiechnęła się.

–Miło mi pana poznać. Michael wszystko mi o panu opowiedział przez telefon.

–Mam nadzieję, że nie całą prawdę.

–Powiedział, że jest pan przyjacielem.

Wspięli się po schodkach do kuchni, minęli ją i przeszli do salonu, z jego dwiema zniszczonymi sofami, krzesłami z wyprzedaży i olśniewającym niebiesko-białym widokiem na ocean.

–Chcesz kawy? – zapytała Patsy Michaela. Jej oczy błyszczały z radości na jego widok.

–Z przyjemnością – odparł.

–Piękne miejsce – rzekł Victor, kiedy Patsy wyszła do kuchni. – Bóg jeden wie, dlaczego zdecydowałeś się pracować w mieście.

–Brak jakichkolwiek dochodów – odparł Michael. – W przeciwnym razie nie zaciągnęliby mnie tam czwórką koni.

–Jak się czujesz? – zapytał Victor.

–Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, jestem trochę rozkojarzony.

–Zamierzasz spotkać się z tym twoim psychiatrą?

–Tak, po południu.

–Ta cała hipnoza... naprawdę ci pomaga?

–Jasne. Odtwarza się w jej trakcie najgorsze koszmary. Przeżywa się je na nowo, chodzi koło nich, uczy sobie z nimi radzić... w ten sam sposób, w jaki ty uczysz się radzić sobie ze śmiercią.

Victor uśmiechnął się i spojrzał na morze.

–Wiesz, co powiedział mi mój stary, zanim umarł? „Na litość boską, nie pozwól, żeby wujek Kazik dotknął mnie tymi swoimi szminkami. Nie chcę potem wyglądać, jak ciotka Krysia”. Śmieliśmy się z tego tak mocno, aż się popłakaliśmy. A potem płakaliśmy z żalu. Miał raka.

–Co sprawiło, że przeniosłeś się tu z Newark?

–Nic konkretnego. Zaoferowali mi tę robotę, więc przyjechałem.

–Nie jesteś żonaty? Potrząsnął głową.

–Kiedy ogląda się, co ludzie mają w środku, trudno nawiązać z nimi jakiś rodzaj fizycznego stosunku. Człowiek nabiera swoistego dystansu, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Do salonu, niosąc kawę, weszła z powrotem Patsy. Nalała im, a potem usiadła obok Michaela i pocałowała go w policzek.

–Dzwoniłam do ciebie dziś rano – powiedziała – ale już wyjechałeś.

–Tak?

–Byłam trochę zaniepokojona. Po drugiej stronie ulicy kręciło się dwóch facetów. Zachowywali się, jakby obserwowali dom. Zastanawiałam się, czy nie wezwać policji, ale kiedy wyrztałam dziesięć minut później, zniknęli.

–Jak wyglądali?

–Nie wiem... jakoś tak dziwnie. Jeden z nich ubrany był cały na czarno, a drugi na szaro. Obaj mieli przeciwsłoneczne okulary, tak że trudno powiedzieć, jak naprawdę wyglądały ich twarze. Spozrzegłam tylko, że byli strasznie bladzi. Wiesz, prawie jak albinosi.

–Cóż, mamy w New Seabury najprzeróżniejszych gości. – Michale wzruszył ramionami. – Kiedyś zajechała tutaj limuzyna pełna gangsterów i wszyscy zasiedli na plaży w swoich płaszczach z alpaki i butach od Gucciego i palili cygara. A potem odjechali.

–Ci tutaj nie wyglądali wcale na włamywaczy albo kogoś w tym rodzaju – powiedziała Patsy. – Mimo to zaniepokoiłi mnie, sama nie wiem dlaczego.

–Gdyby zjawili się ponownie, wezwij gliniarzy.

–Było coś jeszcze. Ostatniej nocy telefonował do mnie trzy razy jakiś mężczyzna. Mówił mi, że to pomyłka, ale on nie przestawał dzwonić.

–Powiedział, o jaki numer mu chodzi?

–No nie – odparła Patsy.

–Czy jego głos kogoś ci przypominał? – Nie.

–Mówił coś nieprzyzwoitego?

–Nie, absolutnie. Ale był bardzo uparty. Wciąż pytał o pana Hillary’ego.

Michael wlepił w nią zdumione spojrzenie. Po plecach przeszły mu zimne ciarki.

–O pana Hillary’ego? Jesteś pewna?

–Tak powiedział. „Chcę mówić z panem Hillarym”. Michael zmarszczył brwi. To właśnie nazwisko wymienił ślepiec, którego spotkał na Copley Place. Dwukrotne powołanie się na nie, w tak krótkim czasie, tak przypadkowo i bez uzasadnienia nie mogło stanowić zbiegu okoliczności.

–Coś się stało? – zapytał Victor.

–Sam nie wiem... słyszałem już po prostu wcześniej to nazwisko.

–To dziwne – stwierdził Kuryłowicz.

Victor i Patsy wybrali się w Hyannis na zakupy, a Michael poszedł do doktora Rice’a. Było roziskrzane słoneczne popołudnie, wiał silny wiatr, a chmury sunęły po

niebie niczym rozbrykane owce. Doktor Rice kazał mu czekać przez ponad dwadzieścia minut, a kiedy w końcu otworzył drzwi gabinetu, wyszła zza nich śpiesząc się ubrana w pomarańczowy lniany kostium kobieta w średnim wieku. Miała szkarłatną twarz, zaczerwienione oczy i rozmazany makijaż.

–Przepraszam, że trzymałem cię tak długo – powiedział doktor Rice. Tego dnia ubrany był zupełnie nieoficjalnie w żółtą koszulkę z krótkimi rękawami, spodnie do golfa w niebieską kratę i białe, sznurowane, sportowe buty.

–Przepraszam za strój. Po południu gram w Chatham. Psychiatrzy zmierzają się z dentydami. Powinniśmy dać im popalić.

Michael usiadł na płóciennym krześle. Chromowana poręcz, którą wygiął podczas ostatniej wizyty, została już wyprostowana. Doktor Rice podszedł do okna i zaciągnął żaluzje, pograżając gabinet w brązowym półmroku.

–Jak się czujesz, Michael? – zapytał, opierając pośladek o skraj biurka. – Przez telefon wydawałeś się jakiś spanikowany.

–Mówiąc prawdę... byłem zupełnie rozkojarzony – przyznał Michael.

–Rozkojarzony?

–To ta praca, nie ma co do tego wątpliwości. Wciąż nawiedzają mnie obrazy tego, co wydarzyło się w Rocky Woods. Są także inne rzeczy. Naprawdę dziwne incydenty na ulicy, których nie potrafię zrozumieć.

–Masz na myśli koszmary?

–Nie, nie. To się dzieje na jawie. O każdej porze dnia i nocy. Wciąż doświadczam tych dziwnych uczuć, jakbym wypadał z samolotu... jakbym miał zaraz umrzeć.

–Cóż... wiem, że potrzebujesz tej pracy, ale może powinieneś pomyśleć o złożeniu rezygnacji – stwierdził rzeczowym tonem doktor Rice. – Mówiłem ci już poprzednio: twoje zdrowie psychiczne jest warte o wiele więcej niż jakakolwiek forsa. Co z tego, że zostaniesz milionerem, jeśli będziesz za bardzo szurnięty, żeby się tym cieszyć.

–Nie chcę odejść. Nie mogę odejść. Zbyt wiele jest pytań, zbyt wiele zagadek... Jeśli nie odkryję, co się stało z Johnem O'Brienem i jego rodziną, to będę jeszcze bardziej szurnięty, niż byłem wcześniej, przynajmniej takie mam wrażenie.

–Naprawdę uważasz, że to takie strasznie ważne? Facet nie żyje i nic go nie wskrzesi. Sposób, w jaki umarł, może obchodzić Plymouth Insurance, ale jakie to ma realne znaczenie dla ciebie? Mam na myśli znaczenie psychologiczne?

–Wielkie – odparł Michael. – Oglądał pan chyba w wiadomościach, że córkę O'Brienów znaleziono na plaży w Nahant.

–Oczywiście – stwierdził ostrożnie doktor Rice, włączając magnetofon.

–Pojechałem nad Nahant Bay i oglądałem jej zwłoki. Ale co jeszcze ważniejsze, zobaczyłem Nahant Bay i okazało się, że jest tą samą zatoką, którą widziałem, kiedy mnie pan ostatnio hipnotyzował.

–Jesteś tego pewien? – Doktor Rice zrobił zdziwioną minę.

–Absolutnie. Ta sama plaża, ta sama latarnia morska, wszystko.

–Byłeś kiedyś wcześniej nad Nahant Bay?

–Nigdy.

–Nigdy nie widziałeś jej w jakimś przewodniku ani czasopiśmie?

Michael stanowczo potrząsnął głową.

–Cóż... to rzeczywiście zastanawiające – przyznał doktor Rice. – Słyszałem o pacjentach, którzy podczas hipnozy widzą to, co zdarzyło się gdzie indziej, ale nigdy o kimś, kto widzi to, co zdarzy się w przyszłości.

–Chcę, żeby mnie pan znów zahipnotyzował – powiedział Michael.

Doktor Rice wstał i okrążył biurko. Przyćmione światło odbijało się od jego błyszczących, świeżo ogolonych policzków, ale oczy pozostawały w nieprzeniknionym mroku.

–Jesteś tego pewien? – zapytał.

–Oczywiście... Dlaczego pan pyta? Nigdy wcześniej pan tego nie robił.

–Dlatego, że się o ciebie niepokoję. Normalnie pacjenci korzystają z doznań hipnotycznych, żeby uporać się ze swoimi urazami psychologicznymi. W twoim przypadku wydaje się, iż dzieje się na odwrót... tak jakbyś podczas hipnozy doznawał dodatkowych urazów, które później niepokoją cię w codziennym życiu.

–Widziałem Nahant Bay. Widziałem tę latarnię i plażę. Widziałem te zielone kolonialne domki. Były tam, na litość boską. Naprawdę tam były. Muszę się dowiedzieć, jak udało mi się je zobaczyć, zanim tam pojechałem; i dlaczego je zobaczyłem.

Doktor Rice pochylił głowę.

–Musisz zrozumieć, że hipnoterapia może tylko pomóc odkryć rzeczy, które już wcześniej znajdują się uśpione w twoim umyśle. Nie powie ci nic, o czym byś już przedtem nie wiedział.

–Proszę – powiedział Michael. – Żyję teraz na ostrzu noża. Trzymam się kurczowo rzeczywistości. Widzę rzeczy, których nie powinienem widzieć. Zdarzają mi się najprzeróżniejsze dziwaczne historie. W Bostonie wydawało mi się, że ktoś mnie śledzi; potem zagadnął mnie ten ślepiec; a potem taksówkarz zaczął cytować Biblię.

–Normalne bostońskie scenki – zauważył z krzywym uśmiechem doktor Rice.

–Musi mnie pan zahipnotyzować – upierał się Michael.

–W porządku – zgodził się w końcu doktor Rice. – Ale wszystko to nagrywam na magnetofon i chcę mieć czarno na białym na taśmie, że hipnotyzuję cię na twoją własną prośbę i ryzyko i że całkowicie zwalniasz mnie z wszelkiej odpowiedzialności.

Michael zawahał się. Nigdy dotąd doktor Rice nie mówił w ten sposób.

–Boi się pan – stwierdził.

–Po prostu się o ciebie troszczę. Hipnoza nie jest towarzyską sztuczką. Możesz doznać poważnego urazu.

–Już i tak mam wizje, w których wypadam z samolotu. Mam na myśli wizje na jawie, w środku dnia, kiedy wydaje mi się, że otwiera się przede mną ziemia. Widzę ciała. Widzę fragmenty ciał. Widzę je, na litość boską! Co może być gorszego niż to?

–W porządku – zgodził się doktor Rice. – Jeśli uważasz, że hipnoza może ci naprawdę pomóc, w porządku. Ale powtarzam jeszcze raz: nie doświadczysz w transie niczego, czego już byś i tak nie wiedział. I może powinieneś najpierw zastanowić się nad tym, co już wiesz.

–Słucham? – zapytał Michael, wodząc głową za krążącym wokół niego psychiatrą.



**–Lubię cię – stwierdził doktor. – Nie mogę powiedzieć nic więcej.**

**–Proszę – powtórzył Michael. – Niech mnie pan zahipnotyzuje.**

**Doktor Rice podsunął sobie krzesło i usiadł obok niego. Michael czuł w jego oddechu zapach binaki.**

**–Wygodnie ci? – zapytał psychiatra i Michael kiwnął głową.**

**–Połóż lewą rękę na swoim lewym kolanie, dłońią w górę, a prawą rękę na lewej, również dłońią w górę. Odpręż się. Jesteś zaniepokojony, jesteś przestraszony, nie wiesz, co robić... ale przyszedłeś tutaj po pomoc i ja ci pomogę. Pokręć głową, pozwól rozluźnić się mięśniom. Odpręż się.**

**Michael odprężył się – naprawdę odprężył. Pozwolił, aby jego dusza wypłynęła przez stopy i stał się niczym więcej jak bezwonną marionetką – porzuconą na płóciennym krześle doktora Rice'a, bezwładną, pustą, podatną na wszelkie sugestie, gotową na wszystko.**

**Doktor Rice wyjął swój cynkowo-miedziany krążek i przycisnął go do otwartej dłoni Michaela.**

**–Skoncentruj wzrok na środku krążka, na miedzianym dysku. Wpatruj się prosto w miedź i nie odwracaj wzroku.**

**Michael wbił wzrok w tańczącą przed jego oczyma plamę miedzi. Tym razem – pomyślał – na pewno mnie nie zahipnotyzuje. Tym razem mu się nie uda.**

**–Czujesz, jakbyś zasypiał – mówił psychiatra. – Nie walcz z pokusą snu... pozwól, żeby cię ogarnął, kiedy nadejdzie. Kiedy powiem, żebyś zamknął oczy, zamknij je. – Doktor Rice przesuwiał bez przerwy dłońmi przed jego twarzą. – Czujesz się śpiący. Twoje powieki są tak ciężkie, że prawie nie możesz ich unieść. Straciłeś czucie w rękach i nogach. Twoje ciało całe zdrętwiało. Zamykają ci się oczy, zaraz zaśniesz. – Dotknął powiek Michaela. – Nie jesteś w stanie otworzyć oczu – wymruczał. – Będziesz spał, spał, spał. Nie możesz otworzyć oczu; są mocno zamknięte. Teraz śpisz. Zapadłeś w sen.**

**Michael nie chciał wcale zasnąć. W każdym razie nie tak łatwo. Tym razem chciał pokazać doktorowi Rice'owi, że potrafi mu się oprzeć. Nie, tym razem mu się nie uda – pomyślał, czując jednocześnie, że ześlizguje się w nierzeczywistość, ześlizguje się w ten ciepły, mroczny i gościnnie ocean podświadomości i nie może otworzyć oczu, choćby nie wiadomo jak się starał. Po prostu nie może. I właściwie wcale tego nie chciał, ponieważ ocean był głęboki i przyjemny, mógł nurkować w nim coraz głębiej i nurkując zanurzać się w sen.**

**Zobaczył to jasne, różowe światło, które ukazywało mu się zawsze, kiedy hipnotyzował go doktor Rice, i tym razem światło wydało mu się jaśniejsze niż kiedykolwiek. A potem ogarnęła go ciemność.**

**Wiedział, że stoi na plaży. Nadal nie chciał otworzyć oczu, ale wiedział, że stoi na plaży. Słyszał bijące niezmordowanie o brzeg fale, czuł wiejące mu w twarz podmuchy słonego wiatru i słyszał krzyk mew.**

**Usłyszał, jak Jonas mówi: -...rower... – a potem otworzył oczy.**

**Blisko niego stał, obserwując go, wysoki mężczyzna. Miał białe jak śnieg włosy, długie i jedwabiste. Były zaczesane do tyłu, ale niektóre z nich unosiły się w**

więcącym od morza wietrze. W pociągłej, wyrazistej twarzy tkwił prosty, wąski nos, wystające kości policzkowe i ciemne, władcze oczy. Był w gruncie rzeczy przerażająco przystojny – należał do tych mężczyzn, w obecności których mężczyźni obejmują obronnym gestem swoje żony.

Miał na sobie długi, drogi płaszcz z jasnoszarej, delikatnie tkanej wełny, który falował i łopotał na wietrze. Skrupulatnie obierał owoc limony, pozwalając, by fragmenty skórki spadały na piasek.

–A więc przyszedłeś, żeby się do nas przyłączyć – powiedział, uśmiechając się. Jego głos nie był zsynchronizowany z ruchem warg i Michael miał wrażenie, że ogląda źle zdubbingowany zagraniczny film.

Ogarnął go paraliżujący strach, ale mężczyzna objął go troskliwie ramieniem.

–Chodź... – powiedział. – Nie powinieneś się bać... jesteś teraz wśród przyjaciół... przyjaciół i krewnych.

–Nie rozumiem – stwierdził Michael. Omiótł wzrokiem wybrzeże, przyglądając się smaganym wiatrem wydmom, przycupniętym na brzegu kolonialnym domkom i zataczającym ciche kręgi mewom. W oddali widział na plaży jakiś szary i blady przedmiot, który mógł być wyrzuconym na brzeg pocztowym workiem, stosem śliskiej ikry albo czymś o wiele gorszym. Wokoło spacerowało kilka mew, skubiąc co jakiś czas tę rzecz dziobami.

Mężczyzna popchnął delikatnie Michaela w drugą stronę. Jego płaszcz owijał się Reardenowi wokół kostek, utrudniając mu posuwanie się do przodu.

–Jesteś bardzo uprzywilejowany, chyba o tym wiesz. Niewielu z was wciąż pamięta, kim są...

Wspięli się na wydmy, zapadając po kostki w miękkim, szarym piachu. Michael nie mógł się powstrzymać, żeby nie odwrócić się po raz ostatni i nie spojrzeć na leżącą na plaży kupkę łachmanów. To nie mogła być chyba Sissy O'Brien? Nie podobała mu się gwałtowność, z jaką szarpały ją mewy ani to, że jedna z nich wzbijała się w powietrze, trzymając w dziobie coś mokrego i postrzępionego.

–Szybciej – popędził go mężczyzna. – Nie mamy dużo czasu.

–Dokąd idziemy? – zapytał Michael.

Mężczyzna nie odpowiedział, ale chwycił go mocno pod łokieć szponiastą dłonią i pchnął do przodu. Smagani wiatrem wspięli się razem na szczyt wydmy, a potem zaczęli schodzić szerokim, piaszczystym zboczem w stronę latarni morskiej, którą Michael widział w poprzednim transie.

–Ja tylko śnię – powiedział Michael. – Powiedz mi, że śnię. Mężczyzna obrócił się do niego; jego twarz była prostokątna i biała jak kreda, a oczy czerwone niczym płynne rubiny.

–Nie, Michael, to nie sen, to wszystko prawda... to dzieje się tu i teraz. Gdybyś śnił, wtedy ja też musiałbym śnić i ty i ja śnilibyśmy ten sam sen.

–Tak naprawdę wcale mnie tutaj nie ma – upierał się Michael.

–Oczywiście, że jesteś. Nie czujesz wiatru? Nie słyszysz szumu morza?

–Znajduję się w transie. Siedzę w gabinecie doktora Rice'a w Hyannis.

Zahipnotyzował mnie.

–Przebywasz tutaj, Michael. Dlaczego udajesz, że jest inaczej? Mężczyzna ciągnął potykającego się Reardena coraz bliżej i bliżej w stronę latarni. Wiatr gwizdał i szeleścił w kępach traw. Latarnia była tak olśniewająco biała, że mimo pochmurnej pogody patrząc na nią Michael mrużył oczy przed blaskiem.

–Przestań mnie ciągnąć! – krzyknął uwalniając łokieć z uścisku. – Nie chcę nigdzie iść.

Mężczyzna zatrzymał się i zmierzył go wzrokiem. Stał na szeroko rozstawionych nogach, wyprostowany jak struna, z rękoma opartymi na biodrach. W jego postawie było coś biblijnego.

–Musisz – rozkazał.

Michael potrząsnął głową.

–Nigdzie nie pójdę. To tylko sen.

Mężczyzna pochylił się nad nim.

–Ja nigdy nie śpię. A ponieważ nie śpię, nic mi się nie śni. To nie jest sen. To rzeczywistość. Znajdujesz się tutaj, Michael, na plaży, i pójdiesz tam, dokąd ci każę.

Złapał Michaela za ramię i pociągnął go do przodu. Rearden zdawał sobie częściowo sprawę, że w rzeczywistości ciągnie go do przodu doktor Rice. Zdawał sobie częściowo sprawę, że wciąż przebywa w jego gabinecie. A jednak morska bryza była silna i słona; czuł osypujący się pod stopami piasek i owijający się między jego kostkami płaszcz mężczyzny. Jak to być może? – pomyślał. – Jak to jest w ogóle możliwe? Gdzie ja jestem, na litość boską? Czy znajduję się w transie, czy mi się to przyśniło, czy już umarłem?

Mężczyzna ciągnął go, metr za metrem, w stronę latarni. Podszedłszy bliżej Michael zobaczył, że wzniesiono ją z otynkowanego na biało betonu i że jest o wiele bardziej brudna i zniszczona, niż wydawało się to z oddali.

–Wejź do środka – rozkazał mężczyzna, pociągając go ku niskim, masywnym drzwiom z pokrytego brązowymi zaciekami dębu. Przekręcił żelazną klamkę i otworzył drzwi na zewnątrz. A potem złapał ponownie pod łokieć Michaela i wepchnął go do środka.

Rearden rozejrzał się dookoła. Stał w ciemnej, przesyconej zapachem wilgoci dużej sali z wysokim sufitem i grubo tynkowanymi ścianami. Otaczało go sześćdziesięciu albo siedemdziesięciu stojących w półkolu bladoliczych młodych mężczyzn ubranych na czarno, szaro i zgniłozielono. Nie byli wcale zaskoczeni; wpatrywali się w niego z lodowatą ciekawością. Wodził oczyma od jednego do drugiego, ale na ich twarzach widział tylko okrucieństwo i wrogość; tak jakby zbyt nim pogardzali, aby skrępować mu ręce i obdrzeć go żywcem ze skóry.

–To tylko sen – powtórzył z uporem, omiatając wzrokiem kolejne aroganckie twarze. – To musi być sen.

–Żaden sen – powtórzył z naciskiem mężczyzna. – Chcesz, żebym ci to udowodnił?

–To sen – upierał się Michael. – Jestem w Hyannis, a nie w Nahant Bay. Siedzę w gabinecie doktora Rice'a i jestem poddawany hipnozie. Słyszysz mnie pan, doktorze Rice? Chcę, żeby mnie pan stąd wyciągnął! Chcę, żeby pan to zrobił natychmiast!

Nie wiedział, czy mówi do rzeczy. Nie wiedział, czy siedząc na jawie w gabinecie doktora Rice'a nie wydaje z siebie niezrozumiałego bełkotu – w którym to przypadku doktor najprawdopodobniej nie dowie się, że powinien przerwać jego trans. Ale chciał się obudzić. Nie mógł znieść tego wiatru; nie mógł znieść lodowatego wyrazu, który widniał na twarzach młodych mężczyzn; i nie mógł myśleć o tym worku z pocztą, który nagle wstawał i podążał za nim – bo teraz był pewien, że to wcale nie był worek z pocztą, ale Sissy O'Brien, z szarą twarzą, wplątanymi we włosy wodorostami i tym potwornym kotem, który krył się głęboko w jej wnętrzu, rozwścieczony i mściwy, gotów rzucić się i wydrapać mu oczy.

–Przerażasz mnie – powiedział do mężczyzny o białej twarzy. – Przerażasz mnie i muszę stąd teraz wyjść.

–Wszystko jest w porządku, Michael. – Mężczyzna położył spokojnym gestem rękę na jego ramieniu. – Wszystko jest w porządku. Musisz tylko wrócić od razu do swojej rodziny i zapomnieć o nas. Nie chcesz chyba, żeby stało się im coś złego, prawda?

–Nie – odparł nerwowo Michael.

Mężczyzna o białym obliczu odwrócił się i spojrzał mu prosto w twarz. Michael nigdy w życiu nie widział podobnych, podbiegłych krwią źrenic. Cofnął się krok do tyłu.

–Czego się boisz? – zapytał złośliwie mężczyzna. – Nikt przecież nie boi się podbiegłych krwią oczu. Nie widziałeś nigdy oczu człowieka, który nie spał od trzech tysięcy lat? Nie widziałeś nigdy oczu człowieka, który czuwał noc po nocy, miesiąc po miesiącu, rok po roku, kiedy budowano piramidy, kiedy dochodził do władzy i ginął Cezar, kiedy sunęły po oceanie łodzie wikingów i kiedy lądowali na Plymouth Rock pierwsi amerykańscy osadnicy?

–To wszystko sen – powtórzył Michael. Zamknął oczy i bez przerwy powtarzał: – To wszystko sen.

Ale kiedy uniósł powieki, wciąż pochylał się nad nim człowiek o białej twarzy i wciąż otaczali go ci inni ludzie, wpatrując się w niego wzrokiem świadczącym o tym, że woleliby go widzieć martwego.

Mężczyzna szturchnął go mocno w pierś, tak że aż go zabolalo.

–Wiesz, kim jestem? – zapytał. Michael potrząsnął głową.

–Szukałeś mnie i próbowałeś mnie odnaleźć, choć sam nie zdawałeś sobie z tego sprawy.

–Co to znaczy? – zapytał drżąc Michael. – Jeśli nie wiem nawet, kim ani czym jesteś, w jaki sposób mogłem cię szukać?

–Nazywają mnie panem Hillarym – odparł mężczyzna o białej twarzy. – A ty szukałeś mnie, nawet o tym nie wiedząc. Ale teraz... – Przerwał i wyprostował się, a potem ruszył wolnym krokiem przez izbę. Poły długiego płaszcza ciągnęły się za nim niczym smuga dymu. – Teraz wiesz, kim jestem, i miałeś okazję to poczuć... a ja pojawiłem się tutaj, aby cię ostrzec. Nie wolno ci niczego ujawnić: masz zapomnieć, że mnie widziałeś, zapomnieć, że do ciebie mówiłem... Świat nigdy nie był prosty, Michael – stwierdził niemal z żalem. – Ani prosty, ani cnotliwy. Nie możesz pozbyć się

swoich grzechów przez modlitwę. Nie możesz pozbyć się ich, składając je na barki jednej osoby, a potem składając tę osobę w ofierze waszemu okrutnemu Bogu. Nie możesz pozbyć się swoich grzechów przez spowiedź ani rozgrzeszenie albo mówiąc, że ci przykro. Grzech jest grzechem i grzechem pozostanie, niezależnie od tego, czy to wam się podoba, czy nie. Tkwi w was i musicie z nim żyć. A nawet jeśli uda wam się w jakiś sposób uzyskać rozgrzeszenie, jest ono tylko tymczasowe... rozumiesz mnie?... Ponieważ bez względu na to, jak mocno pragniecie ukryć wasze grzechy, zapomnieć o nich i udawać, że nigdy ich nie popełniliście, one zawsze, ale to zawsze, odnajdą was z powrotem. – Wskazał na swoje oczy. – Wiesz teraz dlaczego. Ponieważ to my je przechowujemy. Przechowujemy je i nawet jeśli wy o nich zapomnieliście, my je pamiętamy. Nigdy nie śpimy i nigdy nie zapominamy. Dla nas nie istnieje żadne „rano poczuł się lepiej”. Dla nas nie istnieje powiedzenie: „cóż... to było tylko niczym zły sen”. Dla nas nie istnieje nic oprócz bólu i kary, aż do czasu kiedy oddamy wam z powrotem całą waszą niegodziwość, zwrócimy cały chaos i okrucieństwo, w którym żyliście, zanim Aaron złożył ofiarę. Nie spłaciliście swoich długów, Michael! Nie spłaciliście! Ale zbliża się w końcu dzień zapłaty!

Michael dał krok do tyłu, ale pan Hillary ruszył za nim, wbijając weń płonące szkarłatne oczy.

To tylko trans – przypomniał sobie Michael. – Siedzę w gabinecie doktora Rice’a w Hyannis, i to tylko trans.

Pan Hillary podchodził coraz bliżej i Michael poczuł nagle na twarzy jego chłodny oddech. Stojący dalej młodzieńcy o białych twarzach zaczęli szurać nogami i przesuwać się niczym sfruwające ze ścian nie odkrytej jaskini nietoperze albinosy.

–Nie spłaciłeś swojego długu, Michael! Nikt z was tego nie zrobił. Ale zbliża się dzień zapłaty! – Podniósł lewą rękę i z bezgraniczną delikatnością pogłodził Michaela po policzku.

A potem pochylił się ku niemu, lekko rozwierając wargi i nagle stało się oczywiste, że ma zamiar go pocałować. Michael odepchnął go i zaczął machać na oślep pięściami.

–Precz ode mnie! – krzyczał głośno. – Precz ode mnie! Precz ode mnie, ty przeklęty zbrodnicu!

Uderzył kłykciami prawej ręki w obity metalem bok biurka doktora Rice’a, otworzył oczy i uświadomił sobie, że miał rację. To był trans. To był tylko zły sen. Nie odwiedził Nahant Bay. Nie wspinał się po wydmach, nie wchodził do latarni morskiej. Nie widział tłoczących się w półkolu młodzieńców o śmiertelnie bladych twarzach.

Przez cały czas siedział tutaj, w pogrążonym w brązowym półmroku gabinecie. Widział oprawiony w ramy dyplom doktora Rice’a z Wiednia i obraz Charlesa Sheelera, przedstawiający pokład transatlantyku – opuszczony, cichy, drobiazgowo odtworzony.

Porzucony scenariusz, jakby przepojony oczekiwaniem, że coś się wydarzy. Doktor Rice stał odwrócony plecami do okna z nieszczęśliwym wyrazem twarzy.

–Dobrze się czujesz? – zapytał.

–Nie wiem – odparł Michael. – Miałem tę samą wizję co poprzednio... z mężczyzną

na plaży. Tyle że tym razem to zaszło o wiele dalej. – Opisał swoją wizję krótkimi, urywanymi zdaniami, starając się niczego nie uronić.

–Coś poważnie cię niepokoi – oznajmił doktor Rice, wysłuchawszy go do końca.

–Nic z tego nie rozumiem – stwierdził Michael. – Nigdy przedtem nie słyszałem o żadnym panu Hillarym.

–Stworzyłeś tę całą historię w swojej podświadomej wyobraźni – powiedział psychiatra. – To jest coś w rodzaju metafory określającej to, co robisz w rzeczywistości. Ludzki umysł nie uznaje czegoś takiego jak nie dająca się racjonalnie wytłumaczyć katastrofa helikoptera. Zwłaszcza twój umysł, wyszkolony w szukaniu odpowiedzi i wyjaśnień. Pan Hillary przypomina owych wymaginowanych przyjaciół, których mają małe dzieci... z tym wyjątkiem, że jest twoim wymaginowanym wrogiem. Kimś, kogo możesz obwinie za śmierć O'Briena...

–Kimś w rodzaju kozła ofiarnego – wtrącił Michael. Doktor Rice podniósł niespodziewanie wzrok i popatrzył na Reardena, jakby ten dotknął jego odkrytego nerwu. Ale potem wydał wargi i pokiwał głową.

–Tak jest. Zgadza się. Kimś w rodzaju kozła ofiarnego. Przez chwilę przesuwiał na biurku papiery. Michael nie spuszczał z niego wzroku.

–Co pan mi radzi? – zapytał w końcu.

–Nie wiem, to zależy od ciebie. Ale moim zdaniem, jedyną szansę na poprawę daje ci odpoczynek i trzymanie się z daleka od wszystkiego, co ma związek z nagłą i gwałtowną śmiercią. Brakuje ci do tego po prostu psychicznej siły i nie musisz się z tego powodu wstydzić. Radzi sobie z tym bardzo niewielu ludzi.

Michael wstał z krzesła. Nie wiedział dlaczego, ale czuł, że nie powinien w tej kwestii polegać na doktorze. Zawsze dotąd mu ufał. Może chodziło o to, iż tym razem doktor Rice próbował mu zdecydowanie wybić z głowy myśl o dalszej pracy w Plymouth Insurance. Nigdy przedtem nie starał się mu niczego wyperswadować, nawet istotnie głupich pomysłów, w rodzaju rejsu dookoła świata albo podróży psim zaprzęgiem na biegun pomocny.

–Jutro rano wracam do Bostonu – powiedział. – Może mógłbym wpaść do pana i porozmawiać jeszcze raz przed wyjazdem?

Doktor Rice kiwnął głową.

–Bardzo dobrze... powiedzmy za kwadrans dziesiąta. Nie później. W czwartek rano mam zawsze jedną z moich odchudzających się pań, a ona nie może kazać czekać swojemu cellulitisowi.

Michael opuścił gabinet i wyszedł na zalaną słońcem ulicę. Po drugiej stronie jezdni zobaczył Patsy i Victora, którzy przyglądali się wystawie Raven Bookstore. Zawołał do nich, ale w tej samej chwili ulicą przejechała, zasłaniając ich, duża ciężarówka. Miał właśnie zamiar przejść przez jezdnię, gdy w wejściu do sklepu z materiałami żelaznymi, zaledwie półtorej przecznicy dalej, zobaczył bladego mężczyznę w ciemnych okularach. Wyglądało na to, że obserwuje Patsy i Victora – ale kiedy Rearden ruszył w ich stronę, mężczyzna opuścił swój posterunek w drzwiach i ruszył szybkim krokiem na północ.

Michael przeszedł przez ulicę i wziął Patsy pod ramię.

**–Widziałaś tego faceta? – zapytał. – Tego, który idzie chodnikiem?**

**–Dlaczego pytasz?**

**–Czy to nie jeden z tych, którzy obserwowali dom? Patsy osłoniła oczy dłonią.**

**–Nie jestem pewna... nie widzę jego twarzy. Jest podobnie ubrany... ale nie, nie mogę powiedzieć na pewno.**

**–Chcecie, żebym za nim pobiegł? – zapytał Victor. – W szkole średniej grałem w drużynie futbolowej.**

**Mężczyzna zniknął już za następnym rogiem i Michael potrząsnął głową. Miał dziwne uczucie, że nawet jeśli puszczą się za nim w pogoń, nigdy go nie odnajdą.**

**Ruszyli z powrotem do samochodu Reardena.**

**–Jak udała się hipnoterapia? – zapytał Victor.**

**–Nie jestem pewien. Trochę namieszała mi w głowie. Człowiek nie zawsze czuje się po niej lepiej.**

**–W takim razie, jaki sens się jej poddawać?**

**–Ma pomóc ci zbadać własną podświadomość.**

**–Nie wiem, czy bym tego chciał – stwierdził Victor. – Moja podświadomość jest pełna demonów.**

**–Podobnie jak wszystkich. Ale dzisiejszy seans był dziwaczny. Wrócę tu jeszcze jutro rano, żeby zobaczyć, czy nie da się go jakoś usensownić.**

**–Nigdy nie byłem hipnotyzowany – powiedział Victor. – Nie wydaje mi się, żebym dał się uśpić.**

**–Bardzo byś się zdziwił – odparł Michael. – Czasami przychodzę do doktora Rice'a z silnym postanowieniem, że nie dam się uśpić, a mimo to udaje mu się to bez żadnych trudności.**

**Otworzył samochód i cała trójka wsiadła do środka. Victor, który wybrał miejsce z tyłu, pochylił się w stronę Patsy i Michaela.**

**–Widziałem kiedyś pokaz hipnozy na scenie – powiedział. – Ludzie stali na jednej nodze, zdejmowali spodnie, takie różne rzeczy. Wszystko to po obudzeniu z transu i zejściu ze sceny.**

**–Nazywamy to sugestią pohipnotyczną – wyjaśnił Michael, wyjeżdżając tyłem na ulicę. – Kiedyś nie wierzyłem w jej działanie, ale ludzie rzeczywiście jej ulegają... pod warunkiem, że sugestia jest jasna i wyraźna.**

**–A co się dzieje, jeśli jest w jakiś sposób destruktywna? Michael otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale w tej samej chwili usłyszeli za sobą przeraźliwie głośny klakson autobusu. Jego kierowcy udało się jakoś ominąć tył ich samochodu, a kiedy umilkły wzajemne połajanki, obaj, Michael i Victor, zapomnieli, o czym rozmawiali.**

**Gdy jechali z powrotem do New Seabury, Kuryłowicz sprawiał wrażenie zamyślnego.**

**–Grosik za twoje myśli? – zapytała, odwracając się do niego, Patsy.**

**–Nie wiem. Po prostu coś mi przyszło do głowy.**

**–Coś dobrego? Coś złego?**

**–Coś, co zaczyna nadawać sens czemuś, co nie ma sensu.**

**Ralph smażył właśnie skwierczący na patelni bekon, kiedy zadzwonił telefon.**

–Nie ma mnie w domu – oznajmił, przytrzymując ramieniem słuchawkę. – Jeśli chcesz zostawić wiadomość, odezwij się po usłyszeniu sygnału. Biiip.

–Czy mówię z detektywem Ralphem Brossardem?

–Zgadza się. Kto chce z nim mówić?

–Pan wie, kim jestem, panie Brossard. To pan zabił mojego syna. Zapadła bardzo długa cisza.

–Słyszysz mnie pan, panie Brossard?

–Słyszę. Zeszłej nocy zadzwonił do mnie detektyw Newton. Powiedział mi, czego pan chce.

–Przetrzymują ją już blisko przez dwadzieścia godzin, panie Brossard. Zdołałem zyskać trochę na czasie, mówiąc im, że odkryłem, gdzie są pieniądze. Ale oni ją krzywdzą, człowieku. Naprawdę ją krzywdzą, a ja nie wiem, co robić.

Brossard obrócił widelcem boczek na drugą stronę.

–Będzie pan musiał poradzić sobie z tym wszystkim sam, panie Latomba, albo zadzwonić pod dziewięćset jedenaście. Zostałem zawieszony w obowiązkach w związku z toczącym się przeciwko mnie wewnętrznym dochodzeniem, co jest normalną procedurą w wypadku takim jak ten. Nie mogę nic zrobić, nawet gdybym chciał.

Patrice wciągnął głośno powietrze.

–Nienawidzę pana, panie Brossard. Nienawidzę pańskiej arogancji, ale równie gorąco nienawidzę wszystkich białych ludzi. To, że zabił pan mojego syna, nie sprawiło, żebym czuł to jeszcze mocniej. To po prostu nie byłoby możliwe.

–Miło wiedzieć, że taki z pana szczerzy facet – odparł Ralph. – Ale to chyba nic nie zmienia?

–Chcę ci tylko powiedzieć, człowieku, że to czy mi pomożesz, czy nie, zależy wyłącznie od twojego sumienia. Zastrzelełeś mojego syna, zabiłeś mojego małego Toussainta i z tego powodu jesteś mi coś winien. Jesteś mi coś winien.

Ralph zgasił gaz.

–Panie Latomba, śmierć pańskiego synka była tragiczną pomyłką. Gdyby udało mi się w jakiś sposób cofnąć w czasie i sprawić, żeby do niej nie doszło, na pewno bym to zrobił. To była straszna tragedia i jest mi z tego powodu ogromnie przykro, ale doszło do niej zupełnie przypadkowo. Jambo strzelił do mnie i ja odpowiedziałem ogniem. Wózek z pańskim synem znalazł się po prostu na linii strzału.

–Jesteś mi coś winien, człowieku! – krzyknął na niego bliski łez Latomba.

–Przykro mi, panie Latomba, ale nie jestem panu winien nic oprócz szacunku, jaki należy się każdej istocie ludzkiej.

–Mojej żonie też nie? – zapytał drżącym głosem Patrice.

–Też nie – odparł głucho Ralph.

–Dobrze. Niech pan tylko tego posłucha. To jest nagranie, zrobione na moim własnym sprzęcie hi-fi. Ci faceci wysunęli kasetę na korytarz mniej więcej przed godziną.

–Naprawdę nie wydaje mi się, panie Latomba...

–Niech pan tego wysłucha! – zawołał Patrice i w jego głosie zabrzmiała taka furia,



że Ralph umilkł i nie odkładał słuchawki.

Usłyszał szmery i stuki, kiedy Patrice włączał magnetofon. A potem stłumione i zniekształcone głosy, jakby dwóch ludzi rozmawiało ze sobą w łazience albo kuchni. Ktoś się roześmiał – śmiech mężczyzny – i mikrofon wyłapał czyjś oddech.

–Wiemy, że robisz wszystko, aby odnaleźć nasze pieniądze, Patrice – odezwał się jakiś głos – ale powinieneś chyba poznać przedsmak tego, co się stanie, jeśli ci się nie uda.

–Na początek użyjemy noża – odezwał się drugi, bardziej odległy głos.

Przez chwilę trwała cisza, a potem rozległ się krzyk kobiety. Krzyczała bardzo długo i nie przerywała, żeby zaczerpnąć tchu. Ralphowi zjeżyły się na karku włosy; po kilku sekundach odsunął od ucha słuchawkę i przykrył ją dłonią. Słyszał już krzyczącą z bólu kobietę i wiedział, że to nie jest udawane. Nie tylko nie udawane – to był najbardziej przeraźliwy krzyk, jaki kiedykolwiek słyszał, a słyszał już w życiu wycie kobiety oblanej benzyną i podpalonej przez zazdrosnego męża. Podniósł słuchawkę do ucha dopiero, kiedy upewnił się, że zapadła cisza.

–Panie Latomba?

Krótkie szczęknięcie, kiedy Patrice wyłączał magnetofon.

–Panie Latomba?

–Jestem. Słyszałeś to, człowieku? Oni ją żywcem kroją, człowieku. Oni ją kroją.

–Ma pan jakieś pojęcie, gdzie są te pieniądze? – zapytał bardzo poważnym tonem Ralph.

–Szuka ich siedmiu moich ludzi. Jeden z nich uważa, że zabrał je brat o imieniu Freddie, a Freddie zniknął, jakby się pod ziemię zapadł.

–Otworzył pewnie torbę i doszedł do wniosku, że trafiła mu się wcześniejsza Gwiazdka.

–Co ja mam zrobić, człowieku? Słyszałeś, jak oni traktują Verneę. Zadają jej tyle bólu. Chcą ją zabić.

Ralph przeszedł dwa kroki przez kuchnię, sięgając po papierosa.

–Powiedz mi coś o swoim mieszkaniu – powiedział.

–To znaczy co?

–Czy jest na pierwszym, czy na drugim piętrze?

–Na drugim.

–Czy oprócz frontowych ma jakieś drzwi służbowe?

–Nie. Można się tam dostać tylko przez frontowe.

–Jakiś balkon?

–Jest wąski balkonik od ulicy.

–A mieszkanie piętro wyżej? Też ma balkon?

–Zgadza się. Wszystkie mają balkony.

–Jak wychodzi się na te balkony? Czy drzwi na nie są oszklone?

–Zgadza się. Ale... po co te wszystkie pytania na temat balkonów? Co ma z tym wspólnego mój balkon?

Ralph zapalił papierosa przy kuchence, o mało nie opalając przy tym sobie rzes.

–Czy twój balkon ma oszklone drzwi? – powtórzył.

**–Tak, ma.**

**–Otwierają się na zewnątrz czy do wewnątrz?**

**–Nie wiem, człowieku – zaprotestował Patrice. – Na zewnątrz, do wewnątrz, jakie to ma znaczenie?**

**–Mam zamiar zadać ci jeszcze jedno pytanie – powiedział Brossard. – Czy dasz mi słowo, że jeżeli będę próbował uratować twoją żonę i nie uda mi się, zagwarantujesz mi bezpieczne wydostanie się z Seaver Street?**

**Usłyszał, jak Patrice przełyka z przejęcia ślinę.**

**–Czy to znaczy, że to zrobisz?**

**–Daj mi słowo, Latomba. I upewnij się, że te wszystkie ptasie mózdzki i obleśne typy, których nazywasz swoją obstawą, wiedzą, że je dałeś.**

**–Masz moją uroczystą przysięgę, człowieku.**

**Ralph rzucił okiem na zegarek.**

**–Daj mi dwadzieścia minut. Będę jechał brązowym volkswagenem.**

**Odłożył słuchawkę. Chyba postradałem zmysły – pomyślał. Ale czuł równocześnie, że żyły rozsadza mu dzika, niepohamowana radość. To miało być coś niebezpiecznego, dramatycznego, a przede wszystkim zrobionego na własną rękę. Coś z Hemingwaya. Coś dla prawdziwego mężczyzny. Po to właśnie wstąpił do policji, ale rzadko to w niej odnajdywał. Zawsze pragnął, żeby coś się działo, a co w zamian kazali mu robić? Tony papierkowej roboty, urozmaicanej godzinami ogłupiającej inwigilacji i jeszcze bardziej ogłupiającymi godzinami spędzonymi w sądzie w oczekiwaniu na złożenie zeznań.**

**Otworzył szufladę nocnej szafki i wyjął z niej niklowaną czterdziestkę czwórkę. A potem podszedł do biurka, otworzył je, zabrał dwa pudełka amunicji i wrócił do kuchni, gdzie czekał na niego przysmażony na patelni bekon. Złapał palcami plaster wędzonki i wsadził go do ust, a po chwili zrobił to samo z następnym.**

**Z pełnymi ustami, oblizując palce z tłuszczu, wyszedł z mieszkania i ruszył na południe, aby dokonać bohaterskich czynów.**

## ROZDZIAŁ X

Ku zdumieniu Michaela, kiedy wrócili z Hyannis, na podjeździe stał zaparkowany niebieski cadillac Garbodena. Z początku nigdzie nie było widać Joe, ale kiedy Michael wszedł do domu i wyrzął przez okno, zobaczył, że tamten stoi w odległości jakichś stu metrów na plaży, z płaszczem przewieszonym przez ramię, i wpatruje się w morze.

–Kto to jest? – zapytał Victor, kładąc zakupy na kuchennym stole.

–Mój bezpośredni szef – odparł Michael. – Zastanawiam się, czego, u diabła, może chcieć.

Zszedł na podwórko i ruszył na przełaj przez wydmy. Joe musiał usłyszeć jego kroki, bo odwrócił się i uniósł na powitanie rękę.

–Cześć, Michael. Wspaniały dzień. Jak się udała terapia?

–Nie wiem. Niespecjalnie. W pewien sposób odkrywca, ale zdecydowanie dziwaczna.

Joe nie wydawał się tym naprawdę zainteresowany.

–Pomyślałem, że lepiej będzie, jak przyjadę osobiście – powiedział.

–Tak? Zaczynasz nabierać upodobania do nadmorskich wycieczek?

Joe rozejrzał się dookoła. W słońcu lśniły ściany domów i iskrzył się biały przybój. Michael również rozejrzał się dookoła i zobaczył, że przez okno w salonie obserwuje ich, trzymając w ręku puszkę piwa, Victor. Kiedy zauważył, że Rearden patrzy w jego stronę, wzniósł ją w milczącym toaście.

–Właśnie otrzymaliśmy wyniki przeprowadzonych przez doktora Moorpatha badań pośmiertnych – rzekł Joe. – Przywiozłem ich kopię ze sobą, jest w samochodzie. Środki przekazu dostaną je dzisiaj o czwartej, tak żeby zdążyli na wieczorne wiadomości.

–No to mamy w końcu jakiś postęp – stwierdził Michael.

–Nie jestem tego wcale taki pewien.

–Co to znaczy: nie jesteś tego taki pewien? Moorpath mógł wyciągnąć tylko jedną konkluzję.

–Mianowicie?

–Joe... ci ludzie zostali zamordowani. Na litość boską... widziałeś przecież fotografie. John O'Brien został zdekapitowany, jego żona wypatroszona. Deanowi McAllisterowi ucięto obie cholerne nogi. Przypadkowo zginął być może pilot, ale i to wydaje się dość mało prawdopodobne. Jego głowa została rozbita na miazgę. To było zabójstwo. Morderstwo. Jak inaczej to wszystko wytłumaczyć? W żadnym wypadku nie można tego chyba uznać za samobójstwo?

Joe potrząsnął głową.

–Obawiam się, że nie jesteś na bieżąco. Doktor Moorpath doszedł w swojej nieskończonej mądrości do wniosku, że wszystkie osoby znajdujące się w helikopterze doznały śmiertelnych uszkodzeń ciała w wyniku katastrofy. Zwłoki zostały spalone podczas wybuchu, ale nie aż tak doszczętnie, żeby doktor Moorpath nie mógł z całkowitą pewnością stwierdzić, że „wszystkie zróżnicowane i śmiertelne obrażenia były dziełem przypadku”.

Michael wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

–Johnowi O’Brienowi ucięto głowę! Jego żona miała na kolanach własne wnętrzności! – krzyknął.

–John O’Brien został zdekapitowany przez pękniętą ściankę. Pani O’Brien została przepołowiona przez złamaną podpórkę fotela.

Joe wpatrywał się w morze i Michael zdał sobie nagle sprawę, jak bardzo się postarzał, jak bardzo pochyliły się jego ramiona. Pamiętał czasy, kiedy on i Joe byli naprawdę ostrzy – kiedy rozwiązywali jedną sprawę po drugiej: podpalenia, rozbite samochody, zatopione jachty, wszystko... W samym tylko roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym przysporzyli obaj Plymouth Insurance jakieś siedemdziesiąt osiem i pół miliona dolarów. Złoci Chłopcy, najszybsi, obdarzeni największą intuicją, najlepiej opłacani. Ale teraz on sam bał się, że wywróci się, przechodząc przez ulicę, a Joe był cały poobijany, niczym stara kanapa, na której podskakiwały trzy pokolenia dzieciaków.

Położył rękę na ramieniu Garbodena, ale poczuł, jak sztywnieją jego mięśnie i czym prędzej zabrał ją z powrotem.

–Co na to policja?

–Komisarz Hudson wyda dziś wieczorem oświadczenie, sprowadzające się do tego, iż zapoznał się z raportem doktora Moorpatha i przyjmuje go do wiadomości.

–A Federalny Urząd Lotniczy?

–Jorge da Silva zbadał turbiny i mechanizmy przekładniowe za pomocą boroskopu. Bezpośrednią przyczyną katastrofy była awaria przekładni. Zużycie koła zębatego doprowadziło do zwiększonego luzu i w rezultacie dramatycznego przegrzania. Michael miał przez chwilę wrażenie, jakby się upił albo oszalał.

–Chcesz powiedzieć, że cała katastrofa była dziełem przypadku?

–Jorge da Silva chętnie udostępni nam cały wrak. „Możecie rozebrać go na części chińskimi pałeczkami”, tak dosłownie się wyraził.

–Joe... jeśli katastrofa wydarzyła się absolutnie przypadkowo, jakim cudem ten pikap czekał na nich na Sagamore Head? Jak się do tego ma oświadczenie, które Neal Masky przekazał Arturowi Rolbeinowi?

Joe wzruszył lekceważąco ramionami.

–Pikap to czysty przypadek. Zbieg okoliczności. Oczywiście pod warunkiem, że nie wymyślił go Masky.

–Dlaczego, do diabła, miałby go wymyślać?

–Może płynął na brzeg, żeby samemu obrabować helikopter.

–Może płynął na brzeg, żeby samemu obrabować helikopter? – Michael podniósł w błagalnym geście ręce do nieba. – Nie wierzę własnym uszom, Joe. Ze wszystkich kierunków zbliżały się ekipy ratownicze. Facet musiał przepłynąć trzysta metrów otwartej zatoki, walcząc z silnym południowo-zachodnim wiatrem, w pontonie wielkości mojej wanny. Szansę, że dotrze do wraku przed policją albo strażą pożarną, były naprawdę minimalne. I on miałby myśleć o rabowaniu?

–To tylko jedna z wysuniętych teorii.

–Przez kogo? Kto je wysunął?

–Jeśli chcesz wiedzieć, pan Bedford. Michael zmierzył go wzrokiem.

–Wysunął je pan Bedford? Pan Edgar Bedford, nasz pan i władca?

Joe kiwnął głową. Wydawał się zakłopotany i usilnie unikał wzroku Michaela.

–Po prostu spojrział w nowy sposób na całą sprawę. Sam wiesz, że kiedy prowadzi się złożone dochodzenie, można czasem pogubić się w szczegółach. Nie widać lasu spoza drzew.

–Lasu? Drzew? O czym ty mówisz, Joe? – Michael poczuł, jak ogarnia go ślepa furia. – Edgar Bedford ma być... no jak to się, do cholery nazywa... strażnikiem zasobów Plymouth Insurance. To jest główna przyczyna, dla której zatrudnia ciebie, i to jest główna przyczyna, dla której ty zatrudniasz mnie. Nasze zadanie polega na udowodnieniu, że John O'Brien został umyślnie zamordowany. A mimo to nasz prezes wysuwa figlarnie teorię, która podważa wiarygodność naszego najlepszego i praktycznie jedyne go świadka.

Joe nie odpowiedział od razu. Wyjął pogniecioną białą chusteczkę, złożył ją i rozłożył, a potem hałaśliwie wydmuchał nos.

–Nie mam ci dużo więcej do przekazania – przyznał. – Może wrócimy do domu... pokażę ci raport doktora Moorpatha i faksy, które dostałem od Jorge da Silvy z urzędu lotnictwa.

–Joe... – nie dawał za wygraną Michael. – Co tu się dzieje? Co się stało?

Ruszyli w stronę domu. Tuż nad ich głowami unosiła się, dotrzymując im kroku, mewa i nie odfrunęła, nawet kiedy Garboden machnął na nią ręką.

–Ktoś wywiera bardzo silny nacisk – powiedział Joe.

–Co masz na myśli?

–Dokładnie to. Ktoś chce, żeby sprawa O'Briena została zamknięta i odłożona na półkę. Ktoś, kto posiada wpływy, o których ja i ty możemy tylko marzyć.

–Kto to może być?

–Nie mam pojęcia i nie wydaje mi się, żeby opłacało się wnikać w to zbyt głęboko. – Joe wydał wargi. – Pomyśl tylko, Michael. Jeśli Edgar Bedford zdradza nagle chęć wybulenia kilkuset milionów dolców, nie wnosząc nawet sprawy do sądu, w takim razie ktoś musi mu ścisnąć jaja z siłą, która zamienia je w pasztet z wątróbek.

Okrążyli dom i zaczęli wchodzić po drewnianych schodkach.

–Czy to sprawa polityczna? – zapytał Michael.

–Nie wiem – odparł Joe. – Nie pytałem. W życiu człowieka są takie chwile, kiedy uznaje, że mądrzej będzie spojrzeć w inną stronę. – Przerwał i obrócił się do Michaela z bardzo smutną i poważną miną. – Nie twierdę, że to jest honorowe. Nie twierdę, że to jest słuszne z zawodowego punktu widzenia. Ale tak jest mądrzej.

–A co z Sissy O'Brien? – zapytał go Michael. – Jak ona pasuje do tej historyjki o zupełnie przypadkowej katastrofie? Jak Edgar Bedford zamierza wyjaśnić to, co się z nią stało?

–Sprawa Sissy O'Brien wciąż jest badana.

–Wiem, że jest. Przeze mnie, przez porucznika Thomasa Boyle'a z bostońskiej policji i przez pana Victora Kuryłowicza z biura koronera. Tak się składa, że pan Kuryłowicz złożył mi dzisiaj wizytę.

U szczytu schodów pojawił się Victor, trzymając w ręku puszkę budweisera.

–Na zdrowie – powiedział, kłaniając się.

–Victor, to jest Joe Garboden z Plymouth Insurance. Przywiózł kopię raportu doktora Moorpatha na temat wypadku O’Brienów.

Joe i Victor uścisnęli sobie dłonie. Garboden sprawiał wrażenie spłoszonego i spoglądał nerwowo na zegarek.

–Słuchaj, Michael, może to nie jest odpowiedni moment.

–Daj spokój, Joe, Victor badał zwłoki Sissy O’Brien. Ja też je widziałem, chociaż szczerze tego żałuję. Wszystko, co powiedzieli w telewizji i napisali w gazetach, to prawda. Była seksualnie napastowana i torturowana, i działa się to wszystko, kiedy żyła.

Victor zdjął okulary i kiwnął głową.

–To prawda – potwierdził.

–Jeśli ją torturowano – ciągnął dalej Michael – to musiała przeżyć katastrofę. Można napastować seksualnie trupa, ale nie ma chyba sensu go torturować, nieprawdaż?

–Taki nasuwa się logiczny wniosek – zgodził się Garboden.

–Logiczny wniosek? Rozmawiasz z Michaeliem, Joe. Z twoim starym kumplem Michaeliem. Oczywiście, że Sissy przeżyła katastrofę. I w tym miejscu raport Raymonda Moorpatha szczególnie nie trzyma się kupy. Chociaż jej ciała nie znaleziono we wraku, Sissy O’Brien musiała siedzieć obok Deana McAllistera... więc jest cholernie dziwne, że tylko jego nogi zostały przecięte przez pękniętą ściankę, która wbiła się w oba fotele. Odnalezienie zwłok Sissy O’Brien obala również całkowicie teorię Edgara Bedforda o tym, że Neal Masky próbował splądrować wrak i że nie było żadnego pikapa.

–Ona przeżyła katastrofę, ale nie była w stanie podnieść się z fotela – odezwał się Victor tak cicho, że szum wiatru prawie zagłuszał jego głos. – Wydostać się z helikoptera mogła tylko pod warunkiem, że ktoś ją uwolnił i wyniósł.

–A to dlaczego? – zdziwił się Joe.

–Jej stopy i kostki – odparł Kuryłowicz – zostały zmiażdżone pod fotelem. Mogę tylko przypuszczać, że ktoś użył łomu albo innej dźwigni, aby ją uwolnić, a potem wynieść z helikoptera. Sama nie byłaby w stanie stamtąd wyjść ani nawet wypełznąć.

Joe wyglądał na bardzo zmartwionego. Jego twarz przybrała prawie beżowy kolor.

–Michael... – powiedział. – Naprawdę nie chcę żadnych problemów. Cokolwiek zdarzyło się Sissy O’Brien, jestem pewien, że komisarz Hudson potrafi to rozwikłać.

–Nie ma tu nic do rozwikływania – oświadczył Michael głosem, który nigdy przedtem nie brzmiał tak chłodno. Zaskoczyło to nawet jego samego. – Musisz tylko wrócić do Edgara Bedforda i powiedzieć mu, że nie zgadzamy się z wynikami badań Raymonda Moorpatha ani z raportem Jorge da Silvy, i że w ciągu następnych dziesięciu dni zamierzamy zaoszczędzić mu więcej forsy, niż ktokolwiek zrobił to przez ostatnie dziesięć lat.

–Wydaje mi się, że Edgar rozważył już tę ewentualność. I odrzucił ją. Mogę tylko

dodać, że bardzo niechętnie. Naprawdę bardzo niechętnie.

–Doskonale. Powiedz mu zatem, że zwrócimy się do środków przekazu.

–Daj spokój, Michael – zaprotestował Garboden. – Nie widziałeś, co piszą do tej pory gazety? Najmłodszy w historii sędzia Sądu Najwyższego ginie w tragicznym wypadku. To wszystko, co chcą wiedzieć. Ciało Sissy O'Brien zostało wyrzucone na brzeg w Nahant. I co z tego? Mogła przydryfować tam z miejsca katastrofy, mogła wypaść albo wyskoczyć z helikoptera, jeszcze zanim się rozbił. Kto to może wiedzieć? Sissy jest martwa. Niczego nam nie powie; nie jest w stanie. A nikt inny nie potrafi tego ustalić.

–Jak wytłumaczycie ślady po torturach? – zapytał Victor.

–Kto wie? – odparł Joe. – Każdy mógł wyciągnąć ją z zatoki. Może tak naprawdę wcale nie była torturowana. Znajdowała się w morzu całkiem długo, prawda? Wiecie, co potrafią zrobić drapieźniki. Rekiny, kraby... im jest wszystko jedno, co jedzą na lunch.

Zapadło między nimi długie milczenie. W końcu Joe nie mógł znieść go ani chwili dłużej i podniósł poirytowany obie ręce.

–No co? – zapytał.

–Jest pewna rzecz, o której nie wiesz, Joe. – Michael starał się za wszelką cenę nie stracić zimnej krwi. – Sissy O'Brien była torturowana przy użyciu zapalonych papierosów, różnych dziwnych metalowych narzędzi, noży, wędkarskich haczyków i innych przedmiotów, których sobie nawet nie wyobrażasz. A ostatnią torturę zadano jej wykorzystując kocura, którego obwiązano ciasno drutem kolczastym i wsadzono tam, gdzie ty i Edgar Bedford możecie sobie wsadzić swoje teorie.

Wargi Garbodena były białe jak kreda. Złapał się drewnianej poręczki, żeby nie stracić równowagi.

–Jezus... – szepnął. – Przepraszam.

–I po co to wszystko, Joe? – chciał wiedzieć Michael. – Wszystkie te kręactwa, wszystkie nieprawdziwe wyniki badań i fałszywe raporty?

–Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żebyśmy musieli to wiedzieć – odparł Joe. – Góra stwierdziła, że dochodzenie w sprawie O'Briena zostało zamknięte, że śmierć była dziełem przypadku i że Plymouth Insurance wypłaci odszkodowanie. To wszystko, co mam ci do powiedzenia.

Michael wziął go za rękę.

–Joe? – zapytał z troską w głosie.

–Wszystko jest w porządku, jak najbardziej. Wszystko jest pod kontrolą. Chodź ze mną do samochodu, to dam ci raport doktora Moorpatha. A potem się pożegnamy.

–Joe...

Garboden obrócił się dość gwałtownie i Michael usłyszał, jak pęka szew pod pachą jego marynarki. Joe miał spoconą i wykrzywioną twarz, bardziej podobną do twarzy lalki niż mężczyzny.

–Na litość boską, Michael! Ja wiem, że to szwindel. Nie musisz pogarszać tego, co i tak jest już dla mnie wystarczająco trudne.

–Ale dlaczego?

–Dlatego, że czasami ocalenie własnej skóry jest ważniejsze od sławy.

–A prawda?

–Prawda? Ha, ha! To ci się udało. Pracujemy chyba w ubezpieczeniach? Za prawdę nie płaci się tu premii.

Michael zdał sobie sprawę, że niewiele więcej ma mu do powiedzenia. Nigdy jeszcze nie widział Garbodena w takim stanie: śmiertelnie poważnego, przestraszonego, cynicznego.

–W porządku... – oświadczył. – Jeśli tak to wygląda.

Joe ruszył w stronę samochodu. Michael zawahał się przez chwilę, a potem podążył w ślad za nim. Joe otworzył drzwi i wziął z fotela pasażera zieloną tekturową teczkę, oznaczoną nazwiskiem O'BRIEN.

–Rusz głową, Michael. To po prostu przekracza możliwości kogoś takiego, jak ty czy ja. Sądzisz, że komuś drgnie powieka, żeby nas załatwić, jeśli nie zawahał się przed załatwieniem osoby tak wpływowej i ustosunkowanej jak John O'Brien?

–Chcesz mi powiedzieć, że to wszystko było z góry ukartowane?

–Nic ci nie próbuję powiedzieć, Michael – odparł Garboden. – Próbuję cię tylko przekonać, żebyś ruszył głową, i tyle.

Miał właśnie podać mu teczkę z wynikami badań, kiedy coś przykuło jego wzrok po drugiej stronie ulicy. Michael również tam spojrzał.

Tuż przy podwórku Anstrutherów stała zaparkowana pod prąd czarna riviera camaro. Miała pokrytą błotem karoserię i upstrzoną muchami przednią szybę, ale Michael dostrzegł siedzących w środku dwu młodych mężczyzn w ciemnych okularach.

–Znasz tych facetów? – zapytał Garbodena.

–Nie – odparł Joe. – Tak tylko im się przyjrzałem. Strzeżonego Pan Bóg strzeże, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął automatyczny ołówek. – Gdybyś czegoś potrzebował, masz tutaj numer mojego telefonu komórkowego.

Otworzył tylną okładkę teczki i szybko nagryzmolił numer. A potem podał teczkę Michaelowi, zatrzasnął drzwi i uruchomił silnik.

–Będziesz jutro w biurze? – zapytał. Michael kiwnął głową.

–Jeśli nie masz nic przeciwko temu, koło południa. Mam jeszcze jedną sesję z psychiatrą.

Joe uniósł rękę na pożegnanie, a potem wyjechał z podjazdu i ruszył ulicą w stronę South Mashpee. Michael stał na podwórku, patrząc, jak cadillac znika za rogiem. Prawie natychmiast zamruczał silnik stojącego po drugiej stronie ulicy samochodu: głęboki, agresywny warkot. Czarna, zabłocona riviera ruszyła w ślad za Garbodenem.

Coś jest tutaj nie w porządku – pomyślał Michael, odwracając się w stronę domu. U szczytu schodów wciąż stał, obserwując go, Victor Kuryłowicz.

–Kłopoty – powiedział Michael, znalazłszy się na górze.

–To te wyniki badań pośmiertnych? – zapytał Victor. Michael wręczył mu teczkę i



**Kurylowicz przekartkował ją.**

**–To brednie – stwierdził po chwili, dotykając palcem ustępu dotyczącego Johna O’Briena. – „Pan O’Brien został zdekapitowany przez gilotynowe działanie poruszającej się poziomo pękniętej aluminiowej ścianki, która znajdowała się bezpośrednio za jego siedzeniem”. Z kogo pan sobie robi kpiny, panie Moorpath? Coś ci powiem, Michael: te fakty, które mi pokazywałeś, nie były zbyt wyraźne, ale widziałem na nich dobrze, że ścianka za jego plecami nie została uszkodzona. Poza tym, gdyby ucięło mu głowę, kiedy siedział wyprostowany, kołnierzyk i marynarkę miałyby całe zalane krwią. Tymczasem Johna O’Briena popchnięto w dół, jeszcze zanim został zdekapitowany. Musiało tak być, ponieważ krew trysnęła bezpośrednio na podłogę. Na kołnierzyku nie było żadnej plamki, podobnie jak na ramionach. Na miłość boską, ktoś dokonał na nim egzekucji.**

**–Kłopot polega na tym – powiedział Michael – że jakieś anonimowe siły nie chcą, abyśmy ogłosili, że dokonano na nim egzekucji. Jakieś anonimowe siły życzą sobie, abyśmy zaakceptowali tezę, że wszystko to wydarzyło się przypadkowo.**

**–A Sissy O’Brien?**

**–Och, nie martw się o Sissy. Znajdą jakiś sposób, żeby to też wyjaśnić. Przekartkowała ją za sobą łódź rybacka, przypadkowo zaczepiła wargami o wędkarskie haczyki, przypadkowo przewróciła się na popielniczkę i poparzyła sobie powieki petami, a potem przypadkowo usiadła na kocie. Wszystko to już widzę.**

**Victor przerzucił z niesmakiem pozostałą część raportu. Spojrzawszy jednak na tylną okładkę znieruchomiał i zmarszczył brwi.**

**–Czy to napisał Joe? – zapytał.**

**–To numer telefonu w jego samochodzie, na wypadek gdybym go pilnie potrzebował.**

**–Nie wydaje mi się. Spójrz tutaj.**

**Victor podniósł teczkę i Michael przyjrzał się nabazgranym w pośpiechu literom: Mushing, grudzień 1991. Michael zmarszczył brwi. Mushing, grudzień 1991? Co to miało, do diabła, znaczyć? I dlaczego Joe tak nalegał, żeby posłużyć się tym w nagłym przypadku?**

**–Masz pojęcie, o co tu chodzi? – zapytał Victor. – Jesteś, zdaje się, wielkim ekspertem w dziedzinie psich zaprzęgów?**

**–Tak nazywa się czasopismo, to wszystko.**

**–Masz ten numer?**

**–Nie wiem. Pewnie mam.**

**–Może sprawdzimy?**

**Przeszli do gabinetu. Zaraz po sprowadzeniu się do New Seabury Michael ustawił przy tylnej ścianie gabinetu dwie długie półki. Zawalone one były teraz książkami, czasopismami naukowymi i kubkami po kawie, których zapomniał odnieść do kuchni.**

**–Sprawdź górną półkę, ja dolną – zaproponował Michael. Chociaż szukali we dwójkę, dopiero po kilku minutach Victor wyciągnął egzemplarz Mushing i triumfalnie podniósł go do góry.**

**–Wydanie specjalne. Poświęcone zaprowadzeniu dyscypliny w twoim psim**

zaprzęgu.

Podał czasopismo Michaelowi i nieoczekiwanie wypadła z niego na podłogę duża, brązowa koperta. Michael podniósł ją i przyjrzał się jej z obu stron. Była zaklejona i czysta, nie licząc napisanego ołówkiem słowa „Parrot”.

–To Joe musiał ją tutaj schować – stwierdził Michael. – Zastanawiam się, co u diabła, jest w środku.

–Łatwo to sprawdzić.

Michael ostrożnie rozerwał kopertę. Wewnątrz odkrył kilkanaście kserokopii białoczarnych fotografii, w większości powiększonych do granicy czytelności.

Przedstawiały grupki ludzi, mężczyzn i kobiet, stojących przed płotem, częściowo na słońcu, a częściowo w cieniu drzew. Michael podał kopie Victorowi, który przyjrzał się im dokładnie i potrząsnął głową.

–Nic mi to nie mówi.

–Mnie też.

–Poczekaj chwilę. Na odwrocie tej jednej jest coś napisane. Victor przeczytał długi, nagryzmołony niewyraźnie ołówkiem napis i podał bez słowa kopię Michaelowi. Rearden przeczytał go także i spojrzął na Kuryłowicza.

–Cholera jasna – powiedział.

–Myślisz, że te zdjęcia są prawdziwe? – zapytał Victor.

–Joe najwyraźniej uważa, że są, a Joe nie uwierzy nawet, że jest dzień, jeśli nie otrzyma w tej sprawie zaprzysiężonego oświadczenia.

–Co zamierzasz teraz zrobić?

–Nie wiem. Zmienić nazwisko, ukryć się gdzieś i udawać, że nigdy nie widziałem tych zdjęć.

Od wyjazdu z New Seabury Joe zerkał co chwila w lusterko, wpatrując się w zakurzoną czarną rivię. Wiedział, kto w niej siedzi. Ci sami młodzi ludzie o białych twarzach, którzy wmaszerowali rano do jego gabinetu i wręczyli mu teczkę z wynikami badań i wyraźną instrukcją, że dochodzenie w sprawie Johna O’Briena zostaje zamknięte ze skutkiem natychmiastowym.

Zaczął się z nimi kłócić, a wtedy jeden z nich zapytał go najdelikatniej, jak mógł, czy podoba mu się jego własna żona. Taka, jaka jest. Nie oszpecona, nie okaleczona, nie dotknięta ostrzem noża, szczypcami ani palnikiem.

Wstrząśnięty zadzwonił na górę i zapytał, czy może mówić z panem Bedfordem. Usłyszał, że jest akurat na trwającej cały dzień konferencji, ale zostawił instrukcje: młodzi ludzie z Hillary Underwriters mają jego całkowite poparcie.

–Ci młodzi ludzie wysunęli pod moim adresem groźby – zaprotestował Joe w rozmowie z osobistym sekretarzem pana Bedforda.

–Żartowali, Joe – odparł sekretarz. – Żartowali. – Ale ton jego głosu mówił wszystko: trzymaj buzię na kłódkę i rób, co ci każą.

Włączył radio. Zespół o nazwie Red House Painters wykonywał smętną pieśń w stylu Zachodniego Wybrzeża, przy której krzepiące wydawałyby się żałobne pienia. Spojrzął w tylne lusterko; wciąż widać było w nim białoliczych młodzieńców w czarnej rivię, depczących mu po piętach ze złowrogą zawziętością – nie tak blisko, żeby

go wyprzedzić, i nie tak daleko, by mógł odnieść wrażenie, że zamierzają dać mu spokój.

Pierwotnie planował pojechać szosą numer sto trzydzieści, wjechać na autostradę w Sandwich i polecieć nią prosto na pomoc do Bostonu. Zamiast tego skręcił na zachód w stronę sto pięćdziesiątej pierwszej szosy, krętej stanowej drogi, która omijała od południa Johns Pond i przecinała Hutchville. Potem miał zamiar z powrotem skręcić na północ. A już zaraz przekona się, czy naprawdę go śledzą, a jeśli tak, jak dobrze potrafią prowadzić.

Widząc przed sobą różnobarwny, migający w oczach kalejdoskop dębów, klonów i modrzewi, wszedł w pierwszy długi zakręt prowadzący do szosy sto pięćdziesiąt jeden i kiedy tylko czarne camaro zniknęło z pola widzenia, wdepnął gaz do dechy. Samochód skoczył do przodu, a strzałka na szybkościomierzu powoli mijała kolejne cyfry: osiemdziesiąt... dziewięćdziesiąt pięć... sto pięćnaście... sto trzydzieści.

W najnowszym fabrycznym modelu cadillaca nie miał z nimi jednak najmniejszej szansy. Riviera pojawiła się natychmiast w jego lusterku – mogła być poobijana i zakurzona, ale miała pięciolitrowy silnik z turbodoładowywaniem, sztywne zawieszenie i szerokie opony. Dogoniła go z całą siłą i drapieżnym głodem górnego lwa i kiedy po raz kolejny zerknął w lusterko, była tuż tuż, mniej niż pół długości samochodu za jego tylnym zderzakiem, a białolicy młodzieńcy śmieli się z niego i kpili, pokazując gestami rąk, żeby spróbował jechać szybciej.

Joe wyjął chusteczkę i otarł nią pot z twarzy.

–W porządku, sukinsyny, chcecie urządzać sobie wyścig? – szepnął. Ponownie wcisnął gaz do dechy i cadillac skoczył do przodu. Ale nie dość szybko. To nie był wyczynowy samochód; nie miał jaj. Zanim się zorientował, czarna riviera znowu siedziała mu na zderzaku, a potem stuknęła weń lekko, tylko po to żeby się z nim trochę podrażnić i utrudnić prowadzenie.

Joe zjechał na drugą stronę szosy, modląc się, żeby nikt nie nadjeżdżał z przeciwka. Riviera stuknęła go ponownie, a potem jeszcze raz. Opony cadillaca piszczwały niczym przestraszone dzieci.

Próbował zwolnić, ale riviera nie przestawała popychać go do przodu i w końcu znowu wcisnął gaz, usiłując się od nich oderwać. Prowadził już przecież od trzydziestu lat. W porządku, reagował wolniej i stracił zdolność zachowania całkowicie zimnej krwi. Ale był przecież doświadczonym kierowcą. Żaden młody gnojek nigdy w życiu nie zdoła pokonać na szosie Joe Garbodena.

Szczepione razem dwa samochody ścinały z piskiem opon kolejne zakręty, omijając od południa Johns Pond. Riviera nie przestawała walić w jego tylny zderzak i Joe czuł, że traci panowanie nad kierownicą. Jestem doświadczony – przekonywał sam siebie – potrafię sobie z tym poradzić. Ale wiedział, że jest przerażony. Wiedział, że nie jest w stanie stawić im czoła. Spojrzał w lusterko i zobaczył, że dwaj młodzieńcy śmieją się z niego, naprawdę się śmieją. Czarne oczy, białe twarze.

Śmieli się z niego.

Policja nazywa to „czerwoną mgielką” – tę potężną falę wściekłości i strachu, kiedy kierowca traci poczucie rzeczywistości, przestaje zachowywać się jak istota

ludzka i zupełnie już nad sobą nie panuje. Napędzany gniewem, napędzany adrenaliną i palącym poczuciem współzawodnictwa zrobi wszystko i wszystko postawi na jedną kartę. Swoją pracę, swoje życie i życie wszystkich tych, którzy znaleźli się akurat obok niego.

Joe zobaczył przed oczyma „czerwoną mgiełkę”. I wdepnął z całej siły w hamulec.

Cadillac zakołysał się, wpadł w poślizg i okręcił wokół własnej osi. Riviera walnęła w niego, ścięła lewe tylne światła i urwała zderzak, a potem skręciła z rykiem silnika na trawiaste pobocze i dalej w stronę drzew. Uderzyła w ścianę klonów i przewróciła się na dach. Przez moment trwało namaszczone milczenie, a potem w górę strześlił język ognia: pięćdziesiąt litrów benzyny buchnęło wysokim płomieniem prosto w niebo.

Samochód Garbodena zakręcił się jeszcze raz i zatrzymał w końcu na skraju drogi. Riviera stała cała w płomieniach. Dym zasłaniał przednią szybę cadillaca; gdzieś obok przeleciały płonące kawałki winylu, czarne niczym tańczące nietoperze; a potem iskry. Garbodenowi udało się jakoś rozpiąć pasy i wygramolił się na zewnątrz. Riviera huczała cicho, niczym gazowy palnik.

Joe zdołał uczynić pięć albo sześć kroków w stronę wraku. Ale potem, zupełnie bez ostrzeżenia, jego kolana zamieniły się w torebki przezroczystej galarety i musiał się odwrócić, i oprzeć o maskę swojego samochodu. Zaburczało mu w żołądku. Popołudniowe powietrze wypełniał odór benzyny i palącego się plastiku. Z krzaków po drugiej stronie szosy wzbiło się w powietrze, napędzając mu stracha, stado jaskółek.

–Jezus – mruknął pod nosem. – Jezus. – Czuł jednocześnie ulgę i przerażenie.

Pochylił się nad wypolerowaną maskę cadillaca i ujrzał w niej swoje wykrzywione, niewyraźne odbicie. Zamknął oczy i przez chwilę oddychał głęboko. Zabił ich, prawda?... Tych dwóch facetów o białych twarzach, w ich ciemnych, ciemnych okularach. Było mu niedobrze, ale nie czuł się wcale winny. Gdyby ich nie załatwił, oni zabiliby jego, to jasne. Skrzywdziliby jego żonę. Widział podobnych do nich ludzi już przedtem – nie raz, ale wiele razy. Nie zauważał ich aż do chwili, kiedy po raz pierwszy zwrócił na nich baczniejszą uwagę – a gdy to się stało, uświadomił sobie, że są wszędzie – zajmowali każdą ważną społecznie funkcję, brali udział w każdej liczącej się konferencji gospodarczej, każdym politycznym mityngu. Widział, jak przyjeżdżali i wyjeżdżali z Plymouth Insurance w swoich limuzynach z przyciemnianymi szybami. Widział ich na bankietach w Milton, Duxbury i Canton – białolicych, powściągliwych i niedostępnych. Nikt nigdy o nich nie mówił i nikt też się z nimi nie spierał. Przyjmowano ich w bostońskim towarzystwie tak samo, jak ludzie przyjmują obecność grzyba w starym domu. Nikomu się nie podoba, ale kiedy się rozprzestrzeni, niewiele można zrobić z wyjątkiem wyburzenia ścian nośnych.

Joe był wesoły, rubaszny i ceniono go w pracy. Trochę zbyt dużo pił, ale zawsze miał przy sobie paczkę miętówek. Jedną z przyczyn, dla których ciągle popijał, było to, że wokół niego zaczynało dziać się coś, czego nie rozumiał – ludzie o białych twarzach pojawiali się i odchodzili, tak jakby należał do nich nie tylko cały Boston, ale cała Ameryka, a być może cały świat.

Widział, jak Edgar Bedford otwiera przed nimi drzwi, uśmiecha się i podaje im rękę. Widział ich na bankiecie wydanym z okazji objęcia władzy przez nowego burmistrza. Widział ich wszędzie, codziennie. W samochodach, bankach, hotelach i windach. A jednak nikt inny nie wydawał się ich zauważać. Czasami czuł się niczym Donald Sutherland w „Inwazji pożeraczy ciał” – tak jakby był ostatnim człowiekiem w świecie opanowanym przez obcych.

Tego samego ranka kiedy rozbił się helikopter O'Briena, widział dwóch mężczyzn o białych twarzach, wychodzących z budynku Federalnego Urzędu Lotnictwa. Widział także innych w komendzie policji i jednego, który rozmawiał o czymś z powagą z burmistrzem. Jaki to stanowiło dowód? Żaden. Ale Joe chciał być dobrze kryty i dlatego właśnie wyznaczył do tego śledztwa Kevina Murraya i Artura Rolbeina. Kevin i Artur byli inteligentni, uparci i niezależni, nie ulegali zbyt łatwo emocjom. Obaj odnosili się ze sceptycyzmem do Edgara Bedforda i całego bostońskiego politycznego establishmentu.

Był naprawdę zaskoczony, kiedy Edgar Bedford dał mu nagle do zrozumienia, że do tej konkretnej sprawy powinien zaangażować z powrotem Michaela. Garboden wiedział, że Michael nie pozbiarał się jeszcze po Rocky Woods. W swoim ostatnim kwartalnym raporcie dla Plymouth Insurance doktor Rice zaznaczył, że Rearden nie uporał się nawet w połowie ze swoim urazem. Kolejne dochodzenie, podczas którego stanie twarzą w twarz z ludzkim cierpieniem, mogło jeszcze bardziej wyprowadzić go z równowagi – wzmóc jego poczucie winy i całkowicie wyalienować go ze społeczeństwa. Jak można się uśmiechać i mówić ludziom „dzień dobry”, jeśli się wie, jak wyglądają rozdarci na strzępy. Jeszcze jedna sprawa taka jak Rocky Woods mogła sprawić, że Michael przekroczy niewidzialną granicę i będzie się nadawał tylko do czubków. Joe spierał się z Edgarem Bedfordem przez bitą godzinę, ale ten nie dawał za wygraną.

–Trzeba dać facetowi szansę... to tak jak z wypadkiem samochodowym... im szybciej siądzie się potem za kierownicą i zacznie prowadzić, tym lepiej. – Bedford przerwał, zatarł ręce, a potem dodał: – Przekaż to tak, jakby to był twój własny pomysł, dobrze? Jeśli powiesz mu, że to wyszło ode mnie, najprawdopodobniej odmówi. Wiesz, jaki jest przekorny.

Joe nie miał wyboru: musiał pojechać do New Seabury i namówić Michaela, żeby objął sprawę. Oczywiście Rearden był utalentowany, obdarzony intuicją i nieskazitelnie uczciwy. Był również niesamowicie inteligentny – rozumiał, że las składa się nie tylko z drzew, ale również z przestrzeni między nimi. Dobrzy inspektorzy ubezpieczeniowi widzieli nie tylko to, co jest, ale również to, czego nie ma. Ale Joe potrzebował kogoś, kogo nie prześladowały koszmary – kogoś, komu nie wydawało się, że ścigają go martwe, pozbawione członków ofiary wypadków. Joe potrzebował kogoś, kto nie bał się ludzi o białych twarzach.

Wziął głęboki oddech i otworzył oczy. I nagle poczuł się tak, jakby ktoś powoli oblał mu lodowatą wodą koszulę na plecach. Jego odbiciu na masce cadillaca towarzyszyły z obu stron dwa inne odbicia – dwa zakrzywione, zniekształcone odbicia ludzi o białych twarzach.

Obrócił się. Stali tylko dwa albo trzy metry od niego, z osmalonymi włosami, w zwęglonych, dymiących marynarkach, z twarzami białymi jak śmierć. Mieli podbiegłe krwią oczy.

Joe był tak przerażony, że musiał zacisnąć mięśnie, żeby nie popuścić w spodnie.

–Myślałeś, że już nas nie zobaczysz? – odezwał się jeden z nich. – Myślałeś, że się upiekliśmy?

Joe sięgnął ręką do tyłu, żeby poczuć za sobą bezpieczną maskę samochodu.

–Daj spokój, chłopie – powiedział. – To był wypadek. Waliliście w mój zderzak, nie?

Mężczyzna o białej twarzy pokiwał przecząco palcem.

–Nie, to nie wypadek, przyjacielu. To było zrobione z premedytacją. W innych okolicznościach mogło dojść do prawdziwej jatki.

–To był wypadek – powtórzył drżącym głosem Joe.

–Nie wydaje mi się – stwierdził drugi mężczyzna. Uśmiechnął się i z jego ust wydobył się dym.

Joe przez chwilę nie ruszał się z miejsca, opierając się o maskę cadillaca, spocony, napięty, wytrzeszczając szeroko oczy. Modlił się, żeby przejechał inny samochód i wystraszył te dwa osmalone upiory. Modlił się, żeby nadleciał helikopter i pilot wezwał patrol do płonącego wraku ich riviery.

Ale przede wszystkim modlił się, żeby nie zrobili mu nic złego.

Jeden z mężczyzn sięgnął ręką do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął z niej dwie długie metalowe rurki, cienkie niczym wkład do długopisu.

–Czy pan nas się boi? – zapytał rzeczowym tonem.

–Czy sprawiamy, że czuje się pan tak, jakby miał za chwilę umrzeć? – zapytał drugi.

Kiedy podeszli bliżej, Joe dostrzegł, że jeden z nich ma na lewej skroni odlaną z matowego srebra koźlą czaszkę. A właściwie nie na skroni, ale w skroni – ponieważ tego rodzaju ozdobę można było zamocować tylko wiercąc dziurę w czole. Z kącików ust spływała mu czarna od sadzy ślina.

–Boisz się nas, przyjacielu? – zapytał, a potem wydał z siebie przeraźliwy odgłos, przypominający krzyk świniopasa i kolejne ptaki wzbily się w powietrze z pobliskich krzaków.

Joe okrążył powoli swój samochód, a potem rzucił się bez słowa do ucieczki. Biegł ukośnie po porośniętym kępami traw zboczu, kierując się w stronę lasu. Jeśli uda mu się wbiec między drzewa, nie znajdą go nigdy w życiu. Walczył kiedyś w Trzecim Pułku marines pod Phu Bai. Wiedział, co to jest strach, ale wiedział również, jak przetrwać.

Wbiegł na szczyt wzgórza i obejrzał się przez ramię. Znajdowali się dwadzieścia albo trzydzieści metrów z tyłu, ale nie dawali za wygraną. Mogli być poparzeni i zszokowani, ale byli młodzi, a młode nogi potrafią biec szybciej od starych. Joe przedzierał się przez krzaki i paprocie, czując smagające go i kłujące po twarzy cienkie gałązki. Słyszał swój oddech, chrapliwy i krótki. I wydawało mu się, że słyszy głos poganiającego go sierżanta Jacksona: „Szybciej! szybciej! szybciej!”

Oślaniając twarz podniesionym ramieniem zsunął się w dół wąwozu i pobiegł nim, brodząc po kostki w zeszlorocznych liściach. „Szybciej! szybciej, szybciej!”

Dotarłszy do końca wąwozu, zaczął wspinać się po stromym gliniastym zboczu, czepiając się korzeni i zarośli, żeby nie zsunąć się w dół. Słyszał za sobą szybkie tupanie i szelest rozgarnianych stopami liści, ale się nie odwracał. „Nigdy się nie odwracaj – powtarzał zawsze sierżant Jackson. – To osłabia tempo twojej ucieczki, potęguje strach i daje im świetny cel w postaci twojej poblądłej facjaty”.

Zdyszany, łapiąc kurczowo powietrze wdrapał się na górę między gałęziami dwóch srebrzystych brzoź i natychmiast puścił się pełnym pędem dalej. Grunt był tutaj bardziej płaski, ale opadał lekko w prawo i Joe ruszył w tę samą stronę, oddalając się coraz bardziej od szosy.

Za sobą słyszał trzask dartych gałęzi i korzeni. Ludzie o białych twarzach wspinali się za nim po gliniastym zboczu, ale on nie zwalniał ani na chwilę.

Chociaż korony całkowicie zasłaniały widok nieba, drzewa w tym lesie rosły dziwnie daleko od siebie i Joe nie mógł się oprzeć wrażeniu, że biegnie przez pograżoną w mroku kolumnową salę balową. Nie potrafił ocenić dystansu i skali. W wymarłym lesie brak było jakichkolwiek śladów działalności człowieka, niczego, co dałoby mu poczucie proporcji. „Szybciej! szybciej!” – wrzeszczał sierżant Jackson, ale Joe pocił się i trząsał, i nagle dały o sobie znać wszystkie te lata żłobania piwa, palenia papierosów i opychania się włoskim żarciem. Usłyszał głośny okrzyk bardzo blisko za sobą – o wiele bliżej niż jego zdaniem mogli się znajdować ci dwaj osmaleni mężczyźni o podbiegłych krwią oczach. Strach dodał mu skrzydeł i przebiegł jeszcze kilka metrów dalej. Stopy grzęzły mu w liściach, uda ocierały się o siebie, a brzuch podskakiwał na wszystkie strony.

Jezus, gdzie się podział szeregowiec piechoty morskiej, Joe Garboden, twardy, młody i sprawny jak wszyscy diabli? Kim był ten ciężko dyszący, spocony klaun z tańczącym rumbę bańdziochem i słabymi, miękkimi kolanami? Upadł, zanim uświadomił sobie, że pada. Zaczepił nogą o korzeń i runął jak długi na ziemię, nie asekurując się nawet rękoma. Dyszał, był pokaleczony i obolały. Chciał wybuchnąć płaczem, zwinąć się w kłębek i błagać o łaskę. Ale nad uchem wciąż słyszał krzyk sierżanta Jacksona: „Szybciej! szybciej!” – więc dźwignął się na nogi i próbował biec dalej.

W tej samej chwili zrównali się z nim dwaj ludzie o białych twarzach – tym razem w milczeniu, bez żadnych krzyków i śmiechów – i zwalili go z nóg niczym dwa dopadające antylope gnu młode lwy.

–Proszę – jęknął błagalnie Joe. Nie wiedział nawet, co mają zamiar z nim zrobić. Był tylko pewien, że w ten czy inny sposób go uśmiercą.

Przycisnęli go twarzą do zeschniętych liści. Jeden z nich usiadł mu okrakiem na plecach, a drugi krążył dookoła, czyniąc drobiazgowo przygotowania.

Joe pocił się obficie i próbował złapać oddech. Tylko pięć albo sześć centymetrów od jego nosa mały bursztynowy pajęczek usiłował wspiąć się po skraju brązowego zeschniętego liścia. Chrapliwy oddech Joe wprowadził liść w drżenie i pajęczek na chwilę ściśle do niego przywarł. Mój Boże – pomyślał Joe. – Jak bardzo

**silni przerażają słabych, nie zdając sobie w ogóle z tego sprawy.**

**Żałował prawie, że nie jest tym pajęczkiem, wszystko bowiem, o co musiało się martwić to żyjątko, sprowadzało się do tego, czy nie zsunie się z liścia, czy będzie padać i czy znajdzie coś do zjedzenia.**

**Mężczyzna o białej twarzy, który siedział na nim okrakiem, był zaskakująco lekki, ale jego kolana wbijały mu się w biodra z taką siłą, że Joe nie był w stanie się poruszyć. Napastnik miał spodnie pełne wypalonych dziur i śmierdział silnie spaloną bawełną, kwaśnym potem i czymś jeszcze: czymś, co przypominało Garbodenowi zapach szpitala lub cmentarza, ale nie mógł się zdecydować czego.**

**–Sam się o to prosiłeś, przyjacielu – powiedział drugi mężczyzna, kucając obok tak, żeby Joe mógł zobaczyć jego twarz. Białą, kredowobiałą, obsypaną pryszczami i krostami, z wielkimi wągrami po obu stronach nosa i podbiegłymi krwią oczyma.**

**–Mam rodzinę – wycharczał Joe, wypluwając z ust kawałki liści.**

**–Masz rodzinę? To nawet lepiej. Ludzie, którzy mają rodzinę, zawsze się o wiele bardziej boją. A oczywiście im bardziej jesteś wystraszony, tym większą sprawiam nam to przyjemność.**

**–Myślicie, że... że mnie przerażacie? Służyłem w Nam. Mężczyzna o białej twarzy pochylił się jeszcze niżej i pocałował Garbodena w usta, a potem zlizął językiem pot z jego czoła.**

**–Ale jednak żyjesz, prawda?**

**–Ty obleśny sukinsynu – syknął Joe.**

**Mężczyzna o białej twarzy wydał z siebie wysoki, podobny do piania koguta chichot, a potem wstał i zaczął spacerować dookoła.**

**–Wiesz co, przyjacielu, zadowolony jestem, że uciekłeś do lasu. Tutaj jest o wiele bardziej intymnie, nie sądzisz? Nadstaw ucha! Niczego nie słysząc. Nawet samolotu. Nawet małego ptaszka. Wymarłe miejsce, niczym mauzoleum. Trochę upiorne, prawda?**

**Okrążył unieruchomionego Garbodena, rozgarniając stopami liście, a potem zaczął nucić – wysokie wibrujące mruczenie – i po krótkiej chwili leżący z policzkiem mocno przyciśniętym do ziemi Joe rozpoznał melodię. Pamiętał tę piosenkę ze szkoły; wszyscy śpiewali ją w podstawówce.**

**Czym jest twoja piątka?**

**Zielone rośnie sitowie!**

**Piątka oznacza twoje drzwi,**

**A czwórka kolędników.**

**Trójka, trójka rywali,**

**Dwójka liliowobiałych chłopców,**

**Ubranych całych na zielono, ho-ho.**

**A jedynka to jedynka, coraz bardziej samotna.**

**Joe słuchał z zamkniętymi oczyma, próbując przekonać sam siebie, że wcale go tu nie ma – że znalazł się z powrotem w swojej klasie, że widzi prześwitujące przez górną część wysokich okien promienie słońca i słyszy unoszące się w powietrzu głosy dzieci.**



Przez ułamek sekundy uwierzył, że zdoła uwolnić się od koszmaru siłą samej wyobraźni.

Ale potem mężczyzna, który siedział na nim okrakiem, podciągnął do góry jego marynarkę i koszulę, kalecząc go długimi, ostrymi paznokciami w plecy.

–Złaz ze mnie, ty sukinsynu! – ryknął Joe. Ale drugi mężczyzna ponownie ukląkł tuż obok i pomógł pierwszemu podciągnąć marynarkę aż do ramion. – Sukinsynu! – wrzasnął ponownie Joe, a mężczyzna nabrał bez wahania pełną garść ziemi, zgniłych liści i igieł i wepchnął ją Garbodenowi prosto w otwarte usta.

–Nie musisz być ordynarny, przyjacielu – upomniał go.

Joe kaszlnął, wypluł ziemię i próbował wstać. Ale teraz obydwaj zaczęli znęcać się nad nim z potworną siłą i zwierzęcą gorliwością. Jeden z nich trzy albo cztery razy uderzył go kłykciami palców w bok głowy, a drugi zaczął kopać w uda i żebra. Joe wrzasnął, zgniłe liście dostały mu się do tchawicy i o mało się nie udławił.

–Myślisz, że już się boi? – zawołał mężczyzna, który siedział na nim okrakiem. – Myślisz, że jest już gotów?

–Zaraz go przygotuję – odparł drugi. Złapał Garbodena za pasek i ściągnął mu spodnie z pośladków. Zsuwając się, pasek szorował go boleśnie w uda i biodra.

–Na pomoc! Nie! Słuchajcie... dam wam wszystko, czego chcecie! – wrzasnął.

Nie zwracali na niego żadnej uwagi. Ściągnęli mu spodnie i rzucili je w krzaki. Pólnagi i otępiały Joe spróbował po raz ostatni podnieść się na nogi. Ale jeden z mężczyzn o białych twarzach obszedł go dookoła i kopnął prosto w szczyt nosa. Kopnięcie było tak nieoczekiwane, że z początku Joe nie uprzytomnił sobie nawet, co się stało, ale potem poczuł płynącą mu do gardła krew – krew zmieszaną z sosnowymi igłami i zgniłymi liśćmi – krew, która miała metaliczny i świeży smak śmierci.

Nagle uświadomił sobie, że go zabijają. Nagle zdał sobie sprawę, że dzisiaj nadszedł dzień jego śmierci.

O, Boże – pomyślał. – O, Boże, błagam, nie rób mi tego. Nie tutaj i nie teraz. Nie z rąk tych potwornych ludzi o białych twarzach.

Mężczyzna, który siedział okrakiem na jego plecach, wbił mu teraz kolana w barki, przygważdżając go do ziemi. W tej samej chwili drugi mężczyzna wsunął mu rękę między uda, złapał za jądra i mocno je ścisnął.

–Nie! – wrzasnął Joe, próbując przekręcić się na plecy.

–Wybór należy do ciebie, przyjacielu – powiedział ten, który klęczał na jego ramionach. – Śmierć albo życie, wszystko zależy od ciebie.

–Mam żonę – jęknął Joe, czując płynącą mu z kącika ust krew. – Mam rodzinę.

–Czy to robi komuś jakąś różnicę? – zapytał go mężczyzna.

–Proszę tylko o trochę litości, nic więcej.

–Litości... A to dobre! Chętnie zobaczyłbyś, jak się smaży na wolnym ogniu.

–Boże, zlituj się – wycharczał Joe.

–Nie sądzę – odparł mężczyzna.

W tej samej chwili ten, który ścisnął w rękę jego jądra, gwałtownie wsunął mu głowę między uda, pociągnął w dół penis i wziął go w usta. Joe stęknął z przerażenia

**i wygiął plecy w łuk, ale mężczyzna zwarł wargi i zacisnął zęby na skraju żołądki.**

**Joe trząsał się cały ze wstrętu i strachu.**

**–Czego, do diabła, chcecie? – powtarzał. – Czego, do diabła, chcecie?**

**–Chcesz, żeby ci go odgryzł? – zapytał go sugestywnym, obleśnym tonem ten, który klęczał na jego plecach. – Mój przyjaciel wprost uwielbia je odgryzać.**

**Jakby chcąc podkreślić te słowa, jego towarzysz zacisnął trochę mocniej zęby na delikatnej skórze i lubieżnie oblizwał czubek penisa. Żołądek Garbodena zacisnął się ze strachu, wstrętu i od smaku krwi.**

**Prawie nie potrafił myśleć. Jego umysł przypominał nastawiony maksymalnie głośno telewizor, który nie odbiera żadnego programu. Nic nie widział i nic nie słyszał. Wszystkie jego zmysły odbierały tylko nie kończący się, ogłuszający szum.**

**Bał się już poprzednio o swoje życie: raz podczas wypadku samochodowego i drugi raz podczas lotu nad wodospadem Niagara, kiedy w jego samolot trafiła błyskawica. Ale to było nic w porównaniu z tym, co go spotkało teraz: tym połączonym w jeden koszmar cierpieniem, przerażeniem i skrajnym upokorzeniem. Odkrył, że modli się, żeby jego rodzina nigdy nie dowiedziała się, co się z nim stało. Lepiej pozostać tutaj na zawsze, w płytkim leśnym grobie, lepiej żeby Marcia nigdy nie odkryła, co zrobili z nim ci ludzie o białych twarzach.**

**Wciąż się modlił, kiedy mężczyzna, który klęczał na jego ramionach, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni dwie metalowe rurki. Bez słowa, bez żadnego wahania wcisnął końcówkę jednej z nich w nagi grzbiet Garbodena, kalecząc jego bladą skórę.**

**–Wiesz, co mówi Biblia – rzucił tonem pogawędki. – Nie samym chlebem człowiek żyje.**

**–Co...? – zapytał Joe; i w tej samej chwili mężczyzna pchnął rurkę tak mocno, że wbiła się głębiej i Joe poczuł, jak wnika, zimna i ostra, w jego ciało. Dotknęła czegoś w jego wnętrzu i czuł, jak rozstępuje się tkanka, a nerwy drżą z nieoczekiwanej udręki. Próbował walczyć, ale zęby na jego penisie zacisnęły się tak mocno, jakby drugi mężczyzna za chwilę miał go odgryźć. Mimo tortur, jakie zadawała mu ta igła, mimo potwornego, przeszywającego bólu, którego doznawał, czując, jak wsuwa mu się w ciało, kłując i wnikając w jego nerkę, wczepił obie dłonie w ziemię, zacisnął mocno powieki i próbował myśleć o wszystkim oprócz cierpienia.**

**Co było oczywiście niemożliwe – ponieważ następną rzeczą, jaką poczuł, było ostrze drugiej igły, która przebiła jego skórę, mięśnie i tkankę tłuszczową po drugiej stronie pleców. Otworzył usta do krzyku, ale nic nie usłyszał, a potem jego zatoki wybuchły w potwornym kichnięciu – i z nosa pociekła mu krew zmieszana z ziemią, sosnowymi igłami i wymiotami.**

**Wydawało mu się, że słyszy czyjś śmiech – wysoki, przenikliwy śmiech szaleńca. Wydawało mu się, że słyszy odgłos burzy, ale to tylko huczała mu krew w mózgu.**

**Poczuł słodki, intensywny ból w nerkach, ból, który przekonał go, że umiera. Nie wiedział, czy śmiać się razem z nimi, czy łkać z bólu.**

**Osunął się głęboko w nieświadomość i kiedy tak leżał nieprzytomny, dwaj mężczyźni o białych twarzach pochylili się nad nim i chleptali z intensywnym skupieniem z dwu wystających z jego pleców rurek. Czynność tę zakłócało im**

**jedynie od czasu do czasu ćwierkanie siedzącego na drzewie ptaka i odległe buczenie samolotu.**

**Joe czuł, jak go wysysają, ale nie budził się z omdlenia. Wydawało mu się, że idzie gdzieś plażą, że bryza wieje mu w oczy, a dookoła krążą mewy. Zdawał sobie sprawę, że ktoś za nim podąża, tuż za jego prawym ramieniem – tak blisko, że gdyby się odwrócił, stanąłby z nim twarzą w twarz.**

**–Możesz się do nas przyłączyć, wiesz – szepnął głos w połowie porwany przez bryzę.**

**Zatrzymał się i ten, kto siedł za nim, zatrzymał się także.**

**–Pan Hillary? Pan Hillary? – usłyszał czyjś głos.**

**Odwrócił się i stanął naprzeciwko wysokiego, kościstego mężczyzny w szarym płaszczu z miękkiej wełny, mężczyzny o białych jak śnieg włosach, które powiewały na wietrze, zasłaniając częściowo twarz. Jego oczy były czerwone, niczym dwa wypełnione krwią kałamarze.**

**–Pan Hillary – szepnął ktoś; i tym kimś był on sam. Mężczyzna skinął głową i uniół w górę prawą rękę, z której zsunął się rękaw. Miał cienki nadgarstek i niezdrowo białą skórę.**

**–Możesz się do nas przyłączyć, wiesz? – odezwał się z uśmiechem. Mówił niczym sceniczny brzucho mówca, nie otwierając w ogóle ust. – Cały świat stanowi nasze dominium. Grzechy ojców i grzechy synów, wszystkie należą do nas.**

**Joe zrobiło się zimno z bezgranicznego przerażenia. Jego serce biło wciąż wolniej i wolniej. Nikt jeszcze nie przeraził go tak bardzo w ciągu całego życia.**

**Pan Hillary nie przestawał się uśmiechać i wyciągnął ku niemu rękę. Pod jego skórą coś się wiło, coś się poruszało. Joe nie chciał patrzeć, nie chciał się dowiedzieć, co to takiego, ale nie potrafił na to nic poradzić. Pan Hillary przerażał go tak straszliwie, że nie miał odwagi odwrócić wzroku.**

**–Czy się mnie boisz? – zapytał pan Hillary. – Czy jest we mnie coś, co budzi twój niepokój?**

**Joe nie odrywał oczu od jego ręki. Nagle zdał sobie sprawę że to wije się coś w jego żyłach. Po wewnętrznej stronie przegubu, tam, gdzie skóra była cienka i prawie przezroczysta, mógł właściwie dostrzec, co to jest.**

**W żyłach mężczyzny, stałym strumieniem, na którego widok robiło mu się niedobrze, pełzły cmentarne robaki. Poruszały się i tłoczyły wewnątrz jego ramienia, wokół łokcia i po zewnętrznej stronie dłoni.**

**Joe powoli podniósł wzrok i zobaczył, że robaki pełzną nawet tętnicami z boku jego szyi.**

**Twarz pana Hillary’ego wykrzywiła się w uśmiechu.**

**–Czy się mnie boisz, Joe? – zapytał.**

**Garboden zaczerpnął rozpaczliwie powietrza, wciągając w płuca krew, ziemię i strzępy swoich zatok. Chciał odetchnąć jeszcze raz, ale nie mógł. Jego płuca były zapchane, tchawica zablokowana liśćmi i tkanką. I za bardzo się bał.**

**Jego serce zacisnęło się, niczym zaciskający pięść mężczyzna, zacisnęło się mocno i nie chciało się otworzyć.**

**O, Boże. O, Boże.**

**Serce nie chciało bić dalej. Płuca nie chciały oddychać.**

**O, Boże. O, Boże. O, Boże.**

**I wtedy spłynęła na niego śmierć. Niczym trzepoczące skrzydła czarnego ptaka.**

**Niczym otwierające się drzwi piwnicy. A potem nie było już nic.**

## ROZDZIAŁ XI

Detektyw Ralph Brossard zaparkował na krawężniku tuż przy końcu Seaver Street. Zaraz za nim zatrzymał się purpurowy eldorado rocznik tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt dwa, który eskortował go przez całą Strefę Frontową. Ralph wysiadł, zamknął drzwi na klucz i od razu zdał sobie sprawę z absurdalności zamykania trzyletniego volkswagena na Seaver Street. Po pierwsze nikt nie zechce go tu ukraść, po drugie gdyby jednak zechciał, policyjne statystyki wykazywały, że nawet modele z zainstalowanym fabrycznie alarmem są kradzione w ciągu minuty i pięćdziesięciu ośmiu sekund, a na ogół szybciej.

Coś kazało mu jednak wierzyć, że dzisiaj nikt nie zwinie tego wozu. Na chodniku czekał na niego Patrice Latomba w otoczeniu swoich sześciu albo siedmiu poruczników. Był wśród nich Bertrand, narwany i dziki, z warkoczykami na głowie i w ciemnych okularach na nosie, a także wściekle przystojny, ubrany w skórzaną kurtkę bez rękawów czarny młodzieniec z ogoloną głową i srebrnymi kolczykami w uszach oraz były bokser z podpuchniętymi oczyma i zmiażdżonym nosem, w którym Ralph (z pewnym smutkiem) rozpoznał Henry'ego „Hammera” Riversa, jednego z jego idoli z czasów czarno-białych telewizorów z zaokrąglonymi rogami. Z czasów Cassiusa Claya i Johna Kennedy'ego.

Obszedł swój samochód i zbliżył się do wpatrującego się weń kamiennym wzrokiem Patrice'a.

–Przykro mi – powiedział. – Chce, żebyś to wiedział, zanim powiemy cokolwiek innego. To był wypadek, nic więcej. Ale twój syn jest martwy, to ja go zastrzeliłem i jest mi z tego powodu cholernie przykro.

–Po prostu o tym nie mówmy – rzucił Latomba. – Gadanie nie wróci mu życia. Nic nie wróci mu życia.

–Gdzie jest twój balkon? – zapytał Ralph.

–Dokładnie nad nami. Na drugim piętrze. Ale zaciągnęli zasłony. Nic nie widać.

Ralph dał parę kroków do tyłu i przyjrzał się pokrytej zaciekami kamienicy z czerwonej cegły. Balkony były o wiele węższe, niż się spodziewał – z trudem mieściło się na nich kilka krzeseł. Ale wiedział, że próba sforsowania frontowych drzwi to czyste samobójstwo. Zbyt wielu już widział zastrzelonych na podestach Roxbury umundurowanych funkcjonariuszy i nie kwapił się zająć następnego miejsca w kolejce.

–Rozmawiałeś z nimi ostatnio? – zapytał Patrice'a.

–Próbowałem. Ale oni nie rozumują racjonalnie, człowieku. Mówią, że chcą swoich pieniędzy i koniec. Nie obchodzi ich, kto je ma. To ja muszę je dla nich znaleźć. Kurwa, człowieku, robiłem, co mogłem, sprawdziłem, kogo się dało. Naprawdę nie wiem, kto je zwinął. Gdybym wiedział, już by je mieli.

–Odbierają telefony? – zapytał Ralph.

–Tak.

–I jest ich dwóch?

–Na pewno nie więcej.

–Kiedy ostatnio spali?

–Nie sądzę, żeby w ogóle spali, człowieku. Rozmawialiśmy z nimi przez cały wczorajszy dzień, a potem przez całą noc i dzisiejszy ranek.

–Z obydwoma?

–Jasne. Mają różne głosy. Jeden z nich ma akcent z Salem albo Marblehead, wiesz, o co mi chodzi? Kulturalny akcent, z północy. Tak dziwacznie cedzi słowa. Drugi gada bardziej jak normalny bostończyk.

–Muszą być cholernie zmęczeni.

–To ty tak twierdzisz, człowieku. Według mnie wcale nie wydają się zmęczeni. Żaden z nich.

Ralph przez chwilę się zastanawiał.

–Więc nie wiesz, gdzie są pieniądze, tak czy nie? – zapytał w końcu ostro.

–Człowieku, gdybym wiedział...

–Dobrze, dobrze, wierzę ci – przerwał mu Ralph. – I nie znasz tych ludzi? To znaczy, nie masz marnego pojęcia, kim są? Nic nie przychodzi ci do głowy?

–Nie znam żadnego z nich, przysięgam. Ralph potarł czoło opuszkami palców.

–Nie wiedziałem, że oprócz Jamba du Freyne’a, Luthera Johnsona i wszystkich tych pośredników z Harvardu, Harvard Medical School i MIT w operacji brał udział ktoś jeszcze.

–Człowieku, ja nie wiedziałem nawet tego – powiedział Patrice. – Że Luther handluje towarem, tak, ale o tym wiedzieli wszyscy. To była jego praca.

–Więc jak wygląda teraz sytuacja? – zapytał Ralph. Był spięty i podekscytowany; znajdował się w zupełnie obcym środowisku. W oczach obserwującego go przystojnego młodzieńca malowała się jawna nienawiść, a Henry „Hammer” przestępował z nogi na nogę, pochylał boksem ruchem głowę i uderzał pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki.

–Oni robią krzywdę Vernie. – Patrice mówił przez zaciśnięte gardło. – Nie wiem, jak wielką, i nie wiem, w jaki sposób. Słyszałem jej krzyk przez telefon. Nigdy w życiu nie słyszałem, żeby ktoś tak krzyczał. Jeśli nie przyniosę torby do dwunastej, zamierzają ją zabić, bez żadnych ale.

Z oczu Patrice’a nagle popłynęły łzy. Ralph spojrział na niego i doznał całkiem niespodziewanego uczucia. Po raz pierwszy w całej swojej karierze zrozumiał, że przestępcy, których ściga, to także ludzie; że są podobni do niego; że płaczą i troszczą się o swoich bliskich, nawet jeśli są włamywaczami, gangsterami, handlarzami narkotyków i alfonsami. To nie była kwestia wybaczenia. Wybaczenie należało do sądu. To była kwestia zrozumienia: Patrice płakał i Ralph rozumiał to; rozumiał to, patrząc na człowieka, któremu zabił dziecko.

–Wydostanę ją – zapewnił. – W samochodzie mam linę i hak.

–I to wystarczy? Lina i hak?

–Jasne. Pod warunkiem że ktoś zaprowadzi mnie do mieszkania piętro wyżej.

Verna otworzyła oczy i poczuła przenikliwy ból w przegubach i kostkach. Leżąc z policzkiem przyciśniętym do kuchennego stołu widziała zawieszony na ścianie kwadratowy żółty zegar. To, że spała tylko dwadzieścia minut, sprawiło jej jednocześnie ulgę i zawód. Zawód, bo potrzebowała o wiele więcej snu i kiedy spała,

nie groziły jej lubieżne tortury, które zadawali jej Bryan i Joseph. Ulgę, bo zostało jej jeszcze dwie i pół godziny do południa, kiedy Patrice obiecał dostarczyć pieniądze.

Przez chwilę myślała, że Bryan i Joseph zdrzemnęli się także. Ale kiedy tylko otworzyła oczy i próbowała się przekręcić, żeby zająć bardziej wygodną pozycję, pojawił się Bryan, z białą twarzą i podbiegłymi krwią oczyma, piłując paznokcie pilnikiem.

–Głodna? – zapytał. Przełknęła gęstą ślinę.

–Mogłabym się napić trochę wody. I straszliwie bolą mnie przeguby. Nie czuję w ogóle rąk.

Bryan kiwnął głową, jakby dobrze ją rozumiał.

–Bóg zsyła cierpienie, aby nas doświadczyć – rzekł.

W kuchni pojawił się z roztargnionym wyrazem twarzy Joseph.

–Zgubiłem gdzieś jedną z moich rurek – powiedział.

–Zostawiłeś ją pewnie w salonie – stwierdził Bryan. – Czy mógłbyś przynieść Vernie trochę wody?

–Jestem pewien, że zostawiłem ją tutaj.

–Przynieś Vernie trochę wody, dobrze? Nie chcemy, żeby się odwodniła.

Organizm niezbyt dobrze to znosi. Zagęszcza się krew. Zakwasza adrenalina.

–Czy nie moglibyście mnie po prostu rozwiązać? – zapytała Verna. – Obiecuję, że nie będę próbowała uciekać.

Bryan potrząsnął głową.

–Wkrótce będziemy musieli się pożywić.

–Mogłabym wam coś przygotować. W lodówce mam mnóstwo wieprzowych kotletów.

Joseph, który nalewał z kranu wodę do filiżanki, zaniósł się krótkim śmiechem.

–My nie jemy wieprzowiny – wyjaśnił Bryan.

–Mam także wołowinę i fasolę. Mam tuńczyka.

–Nie jemy wołowiny, fasoli ani tuńczyka – powiedział Joseph. Przeszedł przez kuchnię z filiżanką i uniósł głowę Verny, żeby mogła się napić. Większość wody pociekła jej po podbródku, ale udało jej się zaspokoić pierwsze pragnienie.

Położyła z powrotem głowę na stole. Joseph stanął tuż obok, tak blisko, że czuła jego zapach, gnilny, roślinny zapach, podobny do tego, jaki wydają stojące w pozbawionym wody wazonie zwiędłe róże.

Nie jedli wołowiny, nie jedli fasoli i nie jedli tuńczyka. Verna wolała nie pytać, co jedzą – mogła jej się nie spodobać odpowiedź. Poza tym nauczyła się już ich nie prowokować, żadnego z nich. Zachowywali się dziwnie poprawnie, a przecież zdążyli zadać jej tyle bólu, że wiedziała, iż ich okrucieństwo nie zna żadnych granic.

Nie potrafiła zrozumieć, jak ktoś może tak bardzo dręczyć drugiego człowieka, zwłaszcza że obaj nie wydawali się przy tym doznawać żadnej przyjemności – nawet najslabszej seksualnej przyjemności. Za każdym razem, kiedy ją męczyli i dotykali, robili to w tak rzeczowy sposób, że czuła się zupełnie nikim, kawałkiem miecha, które torturowali, nie dlatego by żywili wobec niej jakiegokolwiek złe zamiary, ale w ramach ich własnego, niepojętego rytuału.

Nie nienawidzili jej, czuła to. Nie byli jej nawet nieprzychylni.

Przekomarzali się z nią w tak przyjazny sposób, że chwilami wydawało jej się, że ją właściwie polubili.

To właśnie czyniło ich okrucieństwo tym bardziej potwornym. To przerażało ją mocniej niż cokolwiek innego.

Niepokoilo ją coś jeszcze. Coś, co tkwiło w jej świadomości niczym wbity w stopę kawałek szkła. Przez większość czasu była zbyt oszołomiona, zbyt obolała i wyczerpana, żeby o tym myśleć. Ale ta rzecz nie dawała jej spokoju.

Ci ludzie w ogóle do tej pory nie spali. Widziała ich razem, widziała ich oddzielnie. Ale zawsze kiedy myślała, że jeden z nich odpoczywa, pojawiał się ponownie, uśmiechnięty, z płonącymi jak rubiny oczyma.

Miała przedziwne wrażenie, że oni nigdy nie śpią.

Postawna Murzynka w niebieskiej, kwiecistej sukience otworzyła oszklone drzwi przed Ralphem i wyprowadziła go na wąski balkon. W jednym jego rogu stał wiklinowy fotel z dziurawym siedzeniem, przykrytym postrzępioną poduszką.

–Tutaj na ogół spędzam czas – powiedziała. – Nie sięgają tu płomienie i nie fruują kule.

W drugim rogu balkonu stały gliniane doniczki, w których rosły jaskrawo kwitnące kwiaty i zioła: tymianek, włoska pietruszka, kolendra, bazylija i szalwia.

–To mój ogródek, moje oczko w głowie – oświadczyła Murzynka.

–Naprawdę ładny – zauważył Ralph. – Przyjemnie zobaczyć, jak ktoś coś uprawia.

Wychylił się przez balustradę i przyjrzał znajdującemu się trzy i pół metra niżej balkonowi Latomby. Stał na nim czerwony rower, a w zardzewiałych puszkach po oliwie rosły podobne do pokrzyw wysokie rośliny, które w podejrzany sposób przypominały indyjskie konopie. Ralph złapał metalową poręcz i potrząsnął nią. Wydawała się dość mocna.

–Trzymają ją chyba związaną w kuchni – powiedział Patrice. – Kilka razy krzyczała i stamtąd właśnie dochodziły jej krzyki.

–W porządku – odparł Ralph. – Twoja kuchnia znajduje się w tym samym miejscu co kuchnia tej pani?

–Zgadza się.

–W porządku – powtórzył Ralph, starając się, by w jego głosie zabrzmiała pewność siebie. – W takim razie zabieram się do dzieła.

Wszedł z powrotem do mieszkania i po chwili wrócił, niosąc ciężki szary sznur, który przywiózł w bagażniku volkswagena. Patrice i kobieta obserwowali w milczeniu, jak zręcznie zawiązuje marynarski węzeł na poręczy i pociąga za sznur, żeby sprawdzić zamocowanie, a potem wyjmuje z kabury pod pachą czterdziestkę czwórkę, otwiera cylinder, przekręca go, zamyka i odbezpiecza rewolwer.

–Uważaj, do kogo celujesz, dobrze? – poprosił Patrice. – Załatwiłeś już mojego chłopaka, nie załatw mojej kobiety.

Ralph spojrział na niego ostro, ale się nie odezwał. Mógł tutaj w ogóle nie przychodzić i wciąż jeszcze mógł się odwrócić plecami i odejść, ale nie zamierzał tego teraz mówić. W żyłach krążyła mu adrenalina i był gotów na wszystko. Chciał



zeskoczyć z tego balkonu i dać kopa w dupę porywaczom, i żadna drętwa gadka Latomby nie mogła go teraz powstrzymać.

–Zmówcie krótką modlitwę – powiedział.

Kobieta przeżegnała się i rzekła: – Alleluja, alleluja! – a Patrice popatrzył na niego, jakby naprawdę miał do czynienia z czubkiem, co nie było prawdopodobnie zbyt odległe od prawdy.

Ralph okręcił sznur wokół lewego nadgarstka. A potem przelazł przez balustradę i przez chwilę balansował w powietrzu na szeroko rozstawionych nogach, obrócony plecami do ulicy, która znajdowała się prawie dwadzieścia metrów niżej. W wyciągniętej prawej ręce trzymał swoją czterdziestkę czwórkę. To było to. Do tego został stworzony mężczyzna. Usłyszał w oddali terkot półautomatycznej strzelby i rozejrzał się wokół. Spowita gęstym brązowym dymem Seaver Street przedstawiała obraz nędzy i zniszczenia i to właśnie było mu teraz potrzebne: poczucie zagrożenia, wojenny pejzaż, świadomość, że może coś zmienić.

Wydał z siebie okrzyk, który przeraził nawet jego samego. A potem skoczył do tyłu, opuszczając się w dół. Odbił się raz nogami od ściany, żeby lepiej się rozbujać, a potem wciąż krzycząc jak szaleniec, skoczył na balkon Latomby. Zaczepił stopą o balustradę, przewrócił rower i okręcił się trochę wokół własnej osi, ale ułamek sekundy później runął prosto w drzwi i w eksplozji szkła i okiennych futryn wylądował na podłodze salonu, owinięty niczym w całun w białe koronkowe firanki.

Poderwał się na nogi. Miał przecięty lewy policzek, a z długiego skaleczenia na wewnętrznej stronie prawej dłoni kapłała na dywan gęsta krew. Zanosząc się kaszlem zdołał się wyplątać z firanek i wbiegł do przedpokoju. Drzwi kuchni były lekko uchylone; czuł papierosowy dym i słyszał czyjś głos. Po krótkim wahaniu wpadł do środka, trzymając w sztywno wyprostowanych dłoniach rewolwer.

–Nie ruszać się! – wrzasnął.

Po obu stronach kuchennego stołu stali dwaj mężczyźni w ciemnych okularach. Nie sprawiali w ogóle wrażenia zaskoczonych. Jeden z nich palił papierosa, wypuszczając z nozdrzy cienkie strużki dymu, a drugi zawzięcie opiłowywał paznokcie.

Verna Latomba wciąż leżała przywiązana mocno do stołu, naga, pokaleczona, ze skrępowanymi z tyłu rękoma i nogami. Na jej plecach wycięty był nożem wzór w jodełkę, a pośladki i uda zachłapane miała zastygłym białym woskiem.

Próbowała się obejrzeć, żeby zobaczyć, kto chce przyjść jej z pomocą.

–Patrice? – zawołała przenikliwie chrapliwym głosem. – To ty, Patrice?

Ralph dał kilka kroków do przodu, celując Josephowi prosto między oczy.

–To pan? – zapytała z niedowierzaniem Verna.

–Powiedzmy, że jestem coś winien Patrice'owi – odparł Ralph.

Bryan przestał piłować paznokcie i wsadził pilnik do kieszeni.

–Powiedziałem: nie ruszać się! – ryknął Ralph. Młody człowiek podniósł do góry obie ręce.

–Przecież się nie ruszamy, na litość boską, w ogóle się nie ruszamy.

–Połóżcie ręce na głowach – poinstruował ich Ralph. – Połóżcie ręce na głowach i

**obróćcie się. Powiedziałem: obróćcie się do ściany. Twarzą do ściany, comprenez!**

**Dwaj młodzieńcy popatrzyli na siebie, wzruszyli ramionami i wykonali polecenie. Ten, który palił, trzymał nadal w dłoni papierosa, tak że dym wydawał się wydobywać z jego głowy.**

**Napięty jak struna, wytrzeszczając szeroko oczy, Ralph obszedł dookoła stół. Jeden z młodzieńców obejrzał się przez ramię.**

**–Do ściany, sukinsynu! – warknął na niego Ralph.**

**–Przepraszam, że się obejrzałem – odparł ze zniecierpliwieniem w głosie młody człowiek.**

**Brossard zaczął otwierać jedną po drugiej kuchenne szuflady, aż znalazł to, czego szukał – noże. Wybrał ten, który wydawał się najostrzejszy, i zaczął przecinać lewą ręką sznury, którymi skrępowane były nadgarstki i kostki Verny.**

**–Nie wiem, co z was za cholerni zbrodniecy... – sapnął ciężko, przecinając kolejne więzy.**

**–Tym lepiej dla pana – odparł jeden z młodzieńców.**

**Brossard przeciął ostatni sznurek. Krzywiąc się z bólu Verna opuściła powoli w dół nogi. Ralph rzucił nóż i stanął obok niej, osłaniając jej plecy ramieniem.**

**–Myślisz, że dasz radę iść? – zapytał.**

**–Nie wiem – odparła. Drżąc cała, próbowała złapać go za rękaw.**

**–Dobrze... jeśli nie dasz rady iść, zarzucę cię sobie na ramię, w porządku?**

**Spróbuj tylko usiąść, to wszystko. Po prostu spróbuj usiąść.**

**Młody człowiek z papierosem odwrócił się twarzą do Ralpha i opuścił w dół rękę.**

**–Obróć się! Twarzą do ściany! – ryknął Brossard. – Jesteś głuchy czy co?**

**Młodzieniec nie zareagował.**

**–Czy na podstawie tej poronionej akcji mamy wnosić, że pan Latomba nie jest w stanie znaleźć naszych pieniędzy? – zapytał i zaciągnął się lekko papierosem.**

**–Ostrzegam cię po raz ostatni, przyjacielu, odwróć się do ściany!**

**–Drogi panie, muszę po prostu wiedzieć, czy nie tracę tu na próżno czasu. Jeśli nie uda nam się odzyskać tych pieniędzy od pana Latomby, wtedy będziemy musieli spróbować tam, gdzie nam się to uda.**

**–Do ściany! – powtórzył Ralph.**

**Ale młody człowiek pozostał tam, gdzie stał, paląc, uśmiechając się i czekając. A potem drugi młody człowiek opuścił rękę i odwrócił się, i teraz obaj stali, obserwując Ralpha i czekając na jego reakcję, tak jakby zależało im na tym, żeby strzelił.**

**–No dalej, podnieś się trochę – powiedział Bossard do Verny. Ukląkł na jedno kolano przy stole i zarzucił ją sobie na lewe ramię. Nie była ciężka, czuł jej wystające żebra i biodra, a także zapach perfum i potu. Mimo to zaczęło mu drżeć z wysiłku ramię. Musiał naderwać sobie jakiś mięsień, skacząc z balkonu. Na dodatek prawa ręka zaczęła mu także drżeć pod ciężarem ważącej ponad kilogram czterdziestki czwórki. Wyprostował się, stękając z wysiłku i stąpając niezgrabnie na boki, żeby utrzymać równowagę. – Trzymajcie się ode mnie z daleka – ostrzegł dwóch młodzieńców. – Nie chcę was zastrzelić, ale zrobię to, jeśli będę musiał.**

**–Obawiam się, że nie pan będzie decydował, kiedy umrzemy – oświadczył ten,**

który palił papierosa i zaczął do nich podchodzić, odsuwając krzesło, które stało mu na drodze.

Wycofując się ku drzwiom, Ralph poprawił sobie na ramieniu Vernę. Zwisiała niezbyt pomocna i bezwładna niczym martwa antylopa i o mało nie pociągnęła go za sobą na podłogę. Ręce i nogi musiała mieć tak zdrętwiałe, że nie była w stanie balansować ciałem. Z jakiegoś powodu Ralphowi przypomniał się ojciec, który chorował na stwardnienie rozsiane. Któregoś dnia cesał się przed stojącym na kominku lustrem, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że postawił obutą w pantofel stopę między płonącymi na palenisku szczapami i że pali mu się noga. Pamiętał, jak matka weszła do pokoju i krzyknęła. Wspomnienie tego krzyku wciąż jeszcze było w stanie wytrącić go z równowagi, nawet dzisiaj.

Dotarł do drzwi i w tej samej chwili drugi młodzieniec obrócił się na pięcie i ruszył tanecznym krokiem wokół stołu, żeby zamknąć mu drogę ucieczki. Ralph pomachał mu przed nosem rewolwerem.

–Zejdź mi z drogi, dobrze? Wiesz, co to jest? To czterdziestka czwórka. Odstrzeli ci łeb... albo nie łeb, ale całe ramię.

Młody człowiek wzruszył ramionami i cofnął się, podnosząc w górę ręce, tak jakby chciał go uspokoić.

–W porządku, przyjacielu... nie ma potrzeby się tak ekscytować. Kątem oka Brossard spostrzegł, że drugi młodzieniec próbuje podkraść się bliżej. Obrócił się, tamten skoczył do przodu i wtedy Ralph strzelił – nie stracił, dzięki Bogu, dobrego refleksu. Rewolwer odrzuciło do tyłu i przez chwilę wydawało się Brossardowi, że cała kuchnia rozszerza się od ogłuszającego huku, z jakim wystrzelony został na bliską odległość wydłużony pocisk z czterdziestki czwórki. Zobaczył rozchylające się klapy płaszczka i strzepy czarnej tkaniny. Zobaczył wijącego się w kłębach dymu młodzieńca, który wywracał się, padał na podłogę.

Ale zamiast naprawdę upaść, młodzieniec kręcił się dalej niczym tańczący kozaka tancerz, a potem wyprostował z powrotem w kłębach dymu, tak samo uśmiechnięty i tak samo niefrasobliwy jak przedtem.

–Mówiłem ci – powiedział. – Nie do ciebie należy decyzja, kiedy umrzemy.

Ralph strzelił ponownie – a niech tam. Siła odrzutu poderwała do góry jego prawą dłoń i nadwerżyła bark. Z płaszczka młodzieńca uniosły się czarne strzepy, a on sam westchnął głucho, puszczając z ust dym. Ale na tym się skończyło. Ralph strzelił jeszcze raz, choć wiedział, że na nic się to nie zda.

Usłyszał walenie we frontowe drzwi.

–Brossard! Brossard! Co tam się, do diabła, dzieje, człowieku? – zawołał ktoś, najprawdopodobniej Patrice.

–Wszystko w porządku! – odkrzyknął Ralph. – Mam Vernę, wszystko jest pod kontrolą!

Młody człowiek parsknął pustym śmiechem.

–Wszystko pod kontrolą? Wszystko pod kontrolą? Bardzo w to wątpię. Moim zdaniem, nic nie jest pod kontrolą. – Zbliżył się do Ralpa. Z jego płaszczka wciąż unosiły się kłęby dymu. Oczy miał podbiegłe krwią i bez wyrazu. Ralph podniósł

ponownie czterdziestkę czwórkę, ale młody mężczyzna odsunął po prostu na bok łufę. – Nie, to nie jest odpowiedni sposób – powiedział.

–Zabieram stąd tę kobietę – oznajmił Ralph.

–Oczywiście – zgodził się młodzieniec. – Zabierasz ją stąd... bardzo daleko stąd.

Tam, gdzie będzie bezpieczna.

Sięgnął do kieszeni swojej zniszczonej marynarki, wyjął z niej mały krążek z miedzi i cynku i trzymając go między kciukiem a palcem wskazującym podniósł na wysokość twarzy policjanta.

–Wiesz, co to jest? – zapytał spokojnie. Ralph chwiejąc się niepewnie, dał krok do tyłu.

–Gównu mnie to obchodzi. Zabieram stąd tę kobietę i koniec.

–Ale rzuć tylko okiem – zachęcił go mężczyzna, podnosząc krążek wyżej. – Czy to kółko nie sprawia, że czujesz się śpiący?... że czujesz się zmęczony? Czy nie masz ochoty położyć na chwilę Verny i udać się na dobrze zasłużony odpoczynek?

–Jesteście nienormalni – odparł Ralph i nagle zdał sobie sprawę, że nie może oderwać oczu od miedziano-cynkowego krążka. Emanowała z niego niezwykła prostota. Wszystkie twoje problemy zaklęte są w miedzi. Wszystkie twoje kłopoty zaklęte są w cynku. Wszystkie twoje stresy i niepokoje, wszelkie winy i obawy – mogą być tak proste jak ja. Krąg w kręgu. Jak każda zależność w galaktyce, jak planety w planetach, jak koła w kołach.

–Założę się, że jesteś bardzo zmęczony – powiedział mężczyzna.

–Wychodzę.

–Jasne, że wychodzisz. Wcale nam to nie przeszkadza. Co to ma wspólnego z nami? Pan Latomba stracił nasze pieniądze, gołębie wyleciały z klatki. – Młodzieniec zamrugał powoli krwawoczerwonymi oczyma i Ralph zobaczył w nich lecące leniwie ptaki – trzepoczące skrzydłami i zawracające spokojnie nad krwawoczerwonymi plażami i krzepnącym, falującym lekko oceanem. Nie mógł oderwać wzroku od miedziano-cynkowego krążka, który w jakiś przedziwny sposób nie przestawał mrugać i migotać.

Poczuł, jak zanurza się w ciepłych i krwistoczerwonych przybrzeżnych falach. Słońce zaświeciło na chwilę przez różową pianę, a potem otoczyła go ciemność, wszechobecna ciemność i coraz dotkliwszy chłód, ale nurkował coraz głębiej, bo musiał to robić.

–Czego się boisz? – zapytał mężczyzna.

–Ognia... Mój ojciec spalił sobie stopę w kominku.

–Ach, ognia! Nie powinieneś się bać ognia. Jest naszym przyjacielem.

Nurkował coraz głębiej; i im głębiej nurkował, tym większy go ogarniał chłód. Czuł swoje ciało, które poruszało się niczym funkcjonująca bezszelestnie maszyna.

Ogień – pomyślał. – Ogień jest moim przyjacielem – i nie zdając sobie sprawy, że wcale nie nurkuje, przeszedł pogrążony w głębokim hipnotycznym transie przez kuchnię Latomby, objając się o stół i krzesła i wciąż trzymając na ramieniu bezwładną Vernę. Prawa ręka opadła mu w dół i ciężki rewolwer uderzył o wyłożoną plastikowymi płytkami podłogę. Ani Bryan, ani Joseph nie schylili się, żeby go

podnieść. Nie musieli. Nie do niego należała decyzja, kiedy umrą.

–Brossard! – wrzasnął Patrice, waląc w drzwi. – Co tam się dzieje, Brossard?

Bryan uśmiechnął się do Josepha i Joseph odwzajemnił jego uśmiech. Verna zaczęła się wić i szarpać, próbując się uwolnić, ale Brossard przytrzymał ją z nienaturalną siłą – tą samą siłą, która dała Michaelowi moc powyginania poręczy fotela – a ona była przecież osłabiona i zdrętwiała od długiego leżenia na stole.

–Puść! Puść mnie! – jęknęła, ale Ralph złapał ją prawą ręką za włosy i pociągnął jej głowę do góry tak silnie, że ścięgnięta jej karku trzasnęły głośno i o mało nie zabił jej na miejscu. Wydała z siebie wysoki, zdyszany krzyk – ale pogrążony w transie Ralph w ogóle jej nie słyszał.

Śnił teraz, że wynurza się z morza i sunie do brzegu. Niebo było czarne jak świeżo rozlana krew. W oddali widział płonące ognisko i wirujące w powietrzu sadze. Blisko ognia stał wysoki mężczyzna w szarym płaszczu. Trzymał ręce w kieszeniach, a twarz owiewały mu białe jak śnieg włosy. Ralph nigdy przedtem nie spotkał tego mężczyzny, ale w jakiś sposób wiedział, kim jest i że od dawna przeznaczone mu było go spotkać.

Krocząc po piasku podszedł do ogniska – tak blisko, że czuł na twarzy i dłoniach jego ciepło.

–Cześć, Ralph – rzucił mężczyzna, nie otwierając nawet ust. To on – pomyślał Brossard – to jest pan Hillary. Trzymając Vernę mocno za szyję, przekręcił gałki dwóch przednich palników kuchenki. Zapaliły się, a on przesunął nad nimi dwa albo trzy razy nie osłoniętą niczym ręką, żeby poczuć ich ciepło. Rozszedł się silny zapach spalenizny, kiedy skurczyły się i spłonęły włoski na wierzchu jego dłoni, ale on nie mrugnął nawet okiem.

–Bardzo tu zimno, prawda, Ralph? – powiedział pan Hillary. – Ogrzejmy się, dobrze? Przysuńmy się do ognia.

Ralph wyciągnął, jak mógł najbliżej, obie ręce ku ognisku. Paliło się teraz mocniej – mała, pomarańczowa, gorąca grota z wyrzuconych na brzeg desek i połamanych skrzynek. Fascynowały go jasne iskry, które sunęły wzdłuż szczap, a potem wirując unosiły się ku krwawoczerwonemu niebu. Miał wielką ochotę wziąć w ręce jedną ze szczap, żeby dokładniej jej się przyjrzeć.

–Ogień jest naszym przyjacielem – powiedział pan Hillary. Ralph chwycił Vernę za kark, wbijając głęboko palce w jej nerwy.

Usiłowała się uwolnić, drapiąc go wściekle po twarzy, waląc łokciem i łapiąc za jądra. Krzyczała teraz bez przerwy, ale on nie zwracał na to uwagi. Miał szeroko otwarte oczy i ani razu nie mrugnął, nawet kiedy przeorała złamanymi paznokciami po jego lewym policzku, rozcinając mu skórę od oka aż po usta.

–Ogień jest naszym przyjacielem – powtórzył. Krew płynęła mu po twarzy czterema oddzielnymi stróżkami i kapiała na kołnierzyk. – Słyszysz? Ogień jest naszym przyjacielem.

–Nie! Nie! Nie! – wrzeszczała Verna, z groteskowo wykrzywioną z bólu i ze strachu twarzą. Próbowala się wyzwolić, opadając na kolana, ale Ralph podciągnął ją bezlitośnie w górę. A potem, bez wahania, uderzył jej twarzą o jeden z zapalonych

palników.

I przytrzymał ją tam.

I przytrzymał ją tam.

Włosy Verny zapaliły się i po chwili cała głowa zamieniła się w kulę pomarańczowego ognia. Z pokrytych bąblami warg wydobył się dźwięk, który nie przypominał w ogóle ludzkiego głosu – skrzypiące, nie kończące się wysokie zawodzenie, tak jakby ktoś przesuwiał dłutem przez całą długość tablicy – a potem Ralph uniósł na chwilę lekko jej głowę i uderzył nią z powrotem o palnik. Otworzyła usta, żeby odetchnąć i odetchnęła płonącym gazem.

Włosy spaliły się w ciągu kilku sekund, zmieniając się w rozjarzone, migotliwe strączki. Płomienie gazu lizały jej czoło i gwałtownie pożerały uszy. Skóra na policzkach poczerwieniała, skurczyła się i zaczęła pękać niczym przypiekana czerwona papryka. Przez cały czas szarpała się, wila i waliła go rękoma, ale Ralph przyciskał nieubłaganie jej twarz do palnika, mimo że zajęła się ogniem jego własna lewa dłoń, a płomienie zaczęły lizać rękaw jego kurtki.

–Ogień jest naszym przyjacielem – powtarzał, utkwivszy oczy w panu Hillarym, który stał pięć metrów dalej, gdzieś w kuchennej ścianie. – Ogień jest naszym przyjacielem.

Skóra na jego palcach spuchła i pokryła się bąblami. Płonął teraz cały rękaw i całe jego ramię zamieniło się w kolumnę ognia. Oddzielne zapachy spalonych włosów, spalonej wełny i spalonego mięsa połączyły się w jedną gryzącą zjełczałą woń i nawet Bryan nie mógł powstrzymać kaszlu. Joseph złapał go pod ramię i wypchnął szybko z kuchni.

Ralph nie widział ich – nie mógł ich widzieć, ponieważ wciąż pogrążony był w głębokim hipnotycznym transie. Trans wpłynął na jego system nerwowy w ten sam sposób, w jaki stwardnienie rozsiane wpłynęło na organizm jego ojca: uczynił go niewrażliwym na ból. Palił się, ale w ogóle tego nie czuł – przekonany, że ogień jest jego przyjacielem.

Verna wykonała nagle przedziwny, szaleńczy taniec, wyginając plecy w łuk i podskakując dwa razy, i wreszcie udało jej się wyzwolić. Zatoczyła się i upadła bokiem na podłogę – oślepiąca, z poczerniałą i dymiącą głową, ze zwęglonym nosem i spalonymi do żywego mięsa wargami. Nie udało jej się podnieść; leżała zupełnie sztywna obok kuchenki i tylko kurcząca się i otwierająca prawa dłoń wskazywała, że wciąż jeszcze żyje.

Ralph zdał sobie sprawę, że stoi zbyt blisko ognia. Było mu zdecydowanie za gorąco. Zaswędziało go lewa dłoń i podniósł ją w górę, aby sprawdzić, czy się nie oparzył.

Kiedy to zrobił, w płomieniach stanął cały świat. Krzyknął, obudził się i poczuł nagle potworny ból. Jego ręka, jego cała pieprzona ręka paliła się jak pochodnia. Próbował zdusić ogień, waląc ją drugą dłonią, ale poparzył sobie tylko palce. Każde uderzenie wydawało się jedynie jeszcze bardziej rozniecać ogień. Czego uczyli ich na lekcjach przetrwania? Rzuć się na ziemię, turlaj się, zduś ogień, jak możesz najlepiej.

Zerwał wiszący na haczyku obok kuchenki ręcznik i owinał go wokół ręki. Widział,

że cała dłoń jest straszliwie poparzona – pięć spalonych do kości, zwęglonych palców. To było więcej, niż mógł znieść; kompletnie zszokowany zaczął słaniać się na sztywnych nogach po kuchni; ręka nie przestawała dymić, a on próbował poradzić sobie jakoś z najpotworniejszym cierpieniem, jakiego w życiu doświadczył. Przytrzasnął kiedyś palce drzwiami samochodu. Innym razem oparzył dłoń, dolewając benzyny do niechętnie palącego się rożna. Kiedy indziej stracił paznokiec w walce z agresywnym handlarzem cracka. Wszystko to bolało. Ale nic nie dało się porównać z tym, czego doznawał teraz. Nigdy nie uwierzyłby, że człowiek może tak cierpieć i nie umrzeć.

Ale on wcale nie umarł. Wciąż żył. I nie zdawał sobie nawet sprawy, że wyje z bólu.

Usłyszał czyjś płacz. I wściekle walenie w drzwi. A potem strzały i trzask rozłupywanego drewna. Ktoś się kłócił, wściekle kłócił, wrzeszcząc ile sił w płucach. Po chwili w drzwiach kuchni pojawił się Patrice Latomba, zdyszany, spocony, ubrany tylko w poplamioną smarem kamizelkę i dżinsy.

Spojrzał na Verne, która leżała na plecach z wciąż tłącą się twarzą, trzęsąc się w agonii i waląc piętami w podłogę.

–Co tu się stało, człowieku?

Ralph był w stanie tylko wyszczerzyć do niego w upiornym uśmiechu zęby. Ból zasnuwał mu oczy szkarłatną mgiełką i miał wrażenie, że zaraz upadnie.

–Co tu się, kurwa, stało, człowieku? Gdzie są ci faceci? Gdzie są ci faceci?

–Nie wiem... oni... – zaczął Ralph. A potem z jego gardła wydobył się pełen udręki jęk: – Ja nie chciałem jej spalić! Nie wiem, jak to się stało! Na litość boską, ja tego nie chciałem!

Patrice rozgarniał rękami zasłaniający mu widok dym. Nagle jego twarz zrobiła się śmiertelnie poważna.

–Ty ją spaliłeś? – zapytał. W jego głosie zabrzmiał ów straszny chłód totalnego zaskoczenia i słysząc go, Ralph poczuł na podniebieniu smak oleju i metalu.

–Nie chciałem jej spalić – powtórzył.

Patrice podniósł w sztywnych dłoniach rewolwer i nacisnął spust. Pocisk z czterdziestki piątki trafił Ralpha prosto w szczyt nosa, rozpryskując jego mózg na kuchennych zasłonach; na szybie zakwitł odbity z szybkością trzystu metrów na sekundę podobny do kosza z kwiatami beżowo-krwawy wzór.

Nie czekając, aż Ralph runie na podłogę, Patrice obrócił się i zastrzelił Verne, mierząc prosto w dymiące szczątki jej twarzy.

W progu pojawił się Bertrand. Rozejrzał się z podziwem dookoła.

–Zabiłeś ich oboje, człowieku. Co na to prawo?

–Nie ma już prawa, człowieku. Nie ma już żadnego pierdolonego prawa. – W oczach Patrice'a zalśniły łzy. – Przynajmniej na Seaver Street.

Bertrand spojrzał na Verne.

–Święta Mario, Matko Boska – szepnął i przeżegnał się. Patrice wypchnął go z kuchni, a potem popychając przed sobą wyszedł na korytarz.

–Nie ma już religii, człowieku, i nie ma już prawa. Nie ma już niczego. To wojna,

człowieku. To wojna. Jeśli w promieniu jednego kilometra stąd zobaczysz choćby jedną białą twarz... zobaczysz Żyda, Araba albo pieprzonego indiańskiego Algonkina, odstrzel mu łeb. Załatw ich, człowieku. Masz na to moje osobiste zezwolenie. Bo teraz ja stanowią tu prawo. Po tym, co tutaj zrobili, wolno mi.

Bertrand wyjął z kieszeni swojej czerwonej kurtki z frędzlami niklowaną czterdziestkę piątkę i strzelił prosto w sufit. Na podłogę posypał się tynk.

–Gwiazdka! Mamy w tym roku wcześniej Gwiazdkę! – krzyknął, otrzepując z kurzu ramiona.

Michael siedział w swojej samotni, kiedy rozległo się ciche pukanie do drzwi i do środka weszła Patsy. Było już dobrze po południu – na lunch zjedli wszyscy potrawkę z kurczaka, a potem Victor poszedł z Jonasem na plażę, żeby puszczać jego nowy latawiec.

Słońce wychodziło i chowało się za sunące szybko wzdłuż wybrzeża obłoki. Michael widział w oddali Victora i Jonasa, a także wirujący i nurkujący w dół żółto-czerwony latawiec; wiatr wiał dziś nierówno i zbyt wiele było dziur powietrznych.

Patsy stanęła z tyłu i zaczęła masować mięśnie jego barków.

–Strasznie jesteś spięty – powiedziała. – Nie byłeś taki spięty od wielu miesięcy.

–To wszystko ta praca. Kiedy tylko z tym skończę i odbiorę czek, z powrotem się ustatkuję, przyrzekam.

–No nie wiem – stwierdziła. – Może to ci służy. Trochę stresu. Odsunął do tyłu krzesło i objął ją ramieniem, a potem posadził sobie na kolanach i pocałował. Włosy miała związane żółtą jedwabną szarfą i ubrana była w krótką bawełnianą sukienkę, żółtą jak słoneczniki, żółtą jak farba, żółtą jak niemogę-uwierzyć-że-to-nie-masło. Jej wargi miały smak różowej szminki i świeżych perfum. Na rękę brzęczała bransoletka z koralami.

Kiedy skończyli się całować, spojrzeli sobie w oczy pogodnym, baczny wzrokiem.

–Zmieniłeś się – powiedziała z przekonaniem.

–Zmieniłem się? Nie wydaje mi się.

–Tak... wyraźnie to czuję, zmieniłeś się. Stałeś się... jakby to powiedzieć... głębszy.

–Głębszy? To znaczy, że do tej pory byłem płytki? Mówisz, jakbym był pływalnią.

Pstryknęła go palcem w czubek nosa.

–Nie to miałam na myśli. Chodzi mi o to, że wydajesz się bardziej pewny siebie... o wiele bardziej przekonany do tego, co robisz. Mam wrażenie, że nagle zdałeś sobie dokładnie sprawę, dokąd zmierzasz.

Michael rzucił okiem na leżący na podłodze obok sofy pognieciony egzemplarz Mushing i uświadomił sobie, że Patsy ma rację. Po raz pierwszy od blisko roku wiedział, dokąd zmierza, i nie był to wcale biegun magnetyczny, który miał zdobyć z zaprzęgiem psów husky i czterema skrzynkami labatta.

Od czasu Rocky Woods zdejmował z siebie stopniowo wszelką odpowiedzialność – odpowiedzialność, która spoczywała na nim jako inspektorze ubezpieczeniowym, jako mężu i nawet jako mężczyźnie. Próbował udawać, że jest w stanie stać się



zupełnie kimś innym – nie tylko innym, ale również szczęśliwszym. Powinien wiedzieć, że w gruncie rzeczy nigdy nie miał szczęścia, to znaczy nigdy nie dostał nic za darmo. Nigdy nie wygrał w żadnym konkursie albo loterii, nie udało mu się zarobić ani grosza na automatach do gry. Również w pracy, mimo odnoszonych sukcesów, nie doczekał się nigdy awansu ani podwyżki. Weźmy choćby sprawę Hunta sprzed trzech i pół roku. Odkrył, że bogata pani Lynnfield była martwa, zanim zapalił się jej samochód. Zbadał jej nos i usta i stwierdził, że nic nie wskazywało na to, by wdychała dym. Nie wpadli na to nawet faceci ze straży pożarnej. Zaoszczędził Plymouth Insurance milion trzysta pięćdziesiąt tysięcy, a sam doczekał się tylko wdzięcznego klepnięcia po plecach od Joe Garbodena i pochwalnego listu od Edgara Bedforda.

Patsy miała rację. Dochodzenie w sprawie Johna O'Briena sprawiło, że stał się głębszy. Zdał sobie sprawę, że nie jest tylko biernym obserwatorem albo facetem grzebiącym w dymiących szczątkach cudzego życia – jest kimś, kto może zmienić wiele rzeczy, w tym również własne życie.

Tę nową pewność siebie zdobył, oglądając między innymi to, co przyśniło mu się podczas transu – oglądając tę plażę, tę latarnię morską i mężczyznę o białych włosach. Miał przedziwne wrażenie, że mężczyzna z transu istnieje naprawdę i należy do ludzi, którzy wpływają na losy świata. Był także pewien, że zasadnicze znaczenie ma tutaj sama latarnia. Mogła istnieć w rzeczywistości albo stanowić symbol. Postanowił odkryć, na czym polega to znaczenie i kim jest ten mężczyzna – i to zdecydowanie dodawało mu sił.

On również mógł wpłynąć na historię.

Patsy pocałowała go w czoło i zmierzwiła mu włosy.

–Więc o co w tym wszystkim chodzi? – zapytała. – Kim są ci ludzie, którzy sterczeli po drugiej stronie ulicy?

–Nikim ważnym. – Micheal odzwajemnił pocałunek.

–Muszą kimś być.

Michael przekręcił z powrotem krzesło, tak że oboje spoglądali teraz na rozłożone na biurku czarno-białe fotografie, które Joe ukrył w grudniowym numerze Mushing. Musiały zostać maksymalnie powiększone: miały gruboziarnistą, zamazaną fakturę, a niektóre nadawały się świetnie do ogłaszanego przez National Enquirer konkursu „Co to jest?”

–Co to za ludzie? – zapytała Patsy.

–Rozpoznajesz kogoś z nich?

Podniosła jedną z fotografii i bacznie jej się przyjrzała.

–Nie wiem... Gdzie zrobiono te zdjęcia?

Na fotografii widać było stojący w cieniu drzew płot, przed którym pozowało do zdjęcia kilka osób – kobieta w poplamionej sukience, mężczyzna w garniturze i sportowej kurtce, jeszcze jedna kobieta z torebką i w sukience z krótkimi rękawami, a także mężczyzna w koszuli w kratę. Osiem albo dziewięć innych osób stało za płotem, ale na ich twarzach tańczyły cętkowane cienie drzew i trudniej je było odróżnić. W prawym rogu widać było trzech bladych młodzieńców. Wszyscy mieli

ciemne okulary i popularne w latach sześćdziesiątych, nasunięte na czoło czarne kapelusze.

–No? – nalegał Michael.

Przyjrzała im się z bliska, prawie dotykając zadartym noskiem fotografii. A potem podniosła wzrok i popatrzył na delikatną oprawę oczu i maleńkie szare plamki na niebieskich jak bławatki tęczówkach.

–To oni, prawda? – zapytała.

–Nie wiem. Dlatego właśnie cię pytam.

–To oni – potwierdziła, kiwając głową. – Przynajmniej ci dwaj. Ten z prawej i ten obok niego, w środku. Nie rozpoznaję tego z lewej strony.

–Jesteś pewna?

Zerknęła ponownie na fotografię i kiwnęła głową.

–Jestem pewna. Zdecydowanie. Spójrz na jego uszy. Nie przypomina do złudzenia pana Spocka, ale niewiele mu brakuje. Każdego z osobna trudniej byłoby rozpoznać, ale obaj...

Michael pocałował ją w ucho i okręcił wokół palca jej delikatny, jasny loczek.

–Chciałem dotrzeć psim zaprzęgiem do bieguna – powiedział. – Chciałem zostawić ciebie i Jonasa, polecieć na północną Grenlandię i resztę drogi pokonać sankami. Miałem chyba skrytą nadzieję, że umrę na hipotermię. Śmierć z wyziębienia organizmu jest podobno bezbolesna... zwłaszcza kiedy wszystkie te wierne pieski liżą cię po twarzy tuż przed spotkaniem z Wielkim Stwórcą Lodów Waniliowych.

–Chciałeś po prostu uciec przed rzeczywistością, kochanie. Nie próbuj z tego żartować. Po Rocky Woods naprawdę cierpiałeś i nie udawaj, że tak nie było, bo ja cierpiałam razem z tobą.

–Wiem – odparł Michael, ściskając ją za rękę. – Ale to jest rzeczywistość – dodał, dotykając fotografii. – To są ludzie, którzy kręcili się koło domu; i to są ludzie, którzy pojechali za Garbodenem, kiedy stąd wyjeżdżał. Będę chciał powiększyć te zdjęcia na komputerze w Plymouth, ale już teraz jestem na dziewięćdziesiąt procent pewien.

–Kiedy je zrobiono? – zapytała Patsy.

–Jesteś na to gotowa? Według tego, co napisał Joe na odwrocie, dwudziestego drugiego listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku ze wschodniej strony Dealey Plaza w Dallas.

Zapadło długie milczenie. A potem Patsy ponownie spojrzała na fotografię.

–Ale przecież... tam właśnie zamordowano prezydenta Kennedy'ego.

–Zgadza się.

Przez kilka chwil się nad tym zastanawiała. Michael nie spuszczał z niej wzroku.

–Ale jakim cudem ci ludzie mogli tam być w sześćdziesiątym trzecim, skoro są tutaj dzisiaj i wyglądają dokładnie tak samo?

–To właśnie próbował odkryć Joe. I to muszę teraz odkryć ja.

–Ależ, Michael, to nie są ci sami mężczyźni. Ci, których widziałam, nie mieli na oko więcej niż dwadzieścia pięć, trzydzieści lat. Kiedy zamordowano Kennedy'ego, musieli być małymi dziećmi. A swoją drogą... czy jesteś pewien, że te zdjęcia są autentyczne? Nie przypominają żadnych fotografii, które oglądałam wcześniej. Nie

**pokazywali ich w tym filmie na temat zabójstwa JFK?**

**–Nie, nie pokazywali. Według Garbodena, zrobione zostały przez niejakiego Jacoba Parrota, właściciela sklepu muzycznego w Grand Prairie. Był jedną z nielicznych osób, którym policja i FBI nie skonfiskowała zdjęć po zamachu. Kiedy zobaczył, jak zabierają ludziom aparaty, przewinął szybko film, wyjął go i schował do kieszeni. Pożyczył aparat od przyjaciela i nie nastawił właściwie ostrości. Na większości zdjęć postać prezydenta jest zamazana, ale ludzi na porośniętym trawą pagórku widać całkiem wyraźnie. I tutaj właśnie ich mamy.**

**–Naprawdę wierzysz, że to ci sami mężczyźni?**

**–Spójrz na to zdjęcie.**

**Michael wręczył jej fotografię, na której wyraźnie widać było jednego z młodzieńców w ciemnych okularach, przyciskającego strzelbę do ramienia. Drugi odwracał się na bok, zasłaniając ucho dłonią, tak jakby nie chciał, żeby ogłuszył go wystrzał.**

**Patsy przyglądała się zdjęciu przez chwilę, po czym rzuciła je z powrotem na biurko.**

**–Tak... to oni – powiedziała. – Naprawdę. To oni.**

**–Jesteś tego pewna?**

**–Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Te uszy Spocka... a ten drugi... jest w nim coś kwadratowego. Nawet gdybym zobaczyła na zdjęciu tylko jednego, powiedziałabym tak. Tym bardziej dwóch. To muszą być oni.**

**Michael dał jej kolejnego całusa.**

**–Teraz muszę się tylko dowiedzieć, dlaczego Joe zostawił je u mnie.**

**–Chyba żeby je ukryć.**

**–No tak, to oczywiste. Ale dlaczego właśnie tutaj? A nie w domu, w biurze, w schowku na dworcu autobusowym, gdziekolwiek indziej?**

**–Może wiedział, że go ścigają.**

**–Wszystko jedno...**

**–Może zorientował się, że go śledzą dopiero w ostatniej chwili i po prostu nie miał czasu, żeby schować je gdzie indziej?**

**Michael przerzucił jeszcze raz fotografię i powoli pokręcił głową.**

**–No nie wiem... wcale mi się nie podoba, że się tu znalazły. Z powodu takich zdjęć giną ludzie.**

**–Dlaczego nie porozmawiasz o tym z Joe?**

**–Przez komórkowy telefon, który podsłuchać może nawet twoja młodsza siostra? Chyba żartujesz.**

**–Nie musisz wymieniać nazwiska Kennedy’ego. Możesz mówić w sposób ogólnikowy, na przykład: Dziękuję ci bardzo, Joe, za te ciekawe akta, które mi przysłałeś. Albo: Naprawdę spodobały mi się te zdjęcia dzieciaków.**

**Michael uścisnął jej dłoń i roześmiał się.**

**–Myślisz, że to coś w rodzaju „Człowieka z U.N.C.L.E.”? Nie, niedługo będzie w swoim biurze, wtedy do niego zadzwonię.**

**Przez okno zobaczyli wracających do domu Victora i Jonasa.**

–Poważnie – powiedziała Patsy. – Co teraz zamierzasz zrobić? Chcesz zawiadomić policję?

–Na razie nie. Będziemy musieli przedstawić o wiele poważniejsze dowody. Poza tym jeśli ci ludzie zorientują się, że jesteśmy na ich tropie, mogą załatwić również i nas. Przypomnij sobie tego faceta, jak on się nazywał... tego, który miał zeznać pod przysięgą w sądzie, że Lee Harveya Oswalda i Claya Shawa łączyły jakieś bezpośrednie powiązania. David Ferrie, tak się chyba nazywał. „Zmarł w tajemniczych okolicznościach”, zanim zdążył cokolwiek zeznać. Podobnie jak wielu innych ludzi. Praktycznie wszyscy, którzy mogli udowodnić to, co możemy udowodnić my... że Lee Harvey Oswald nie zastrzelił prezydenta Kennedy’ego... że nie zastrzelił go i nie mógł tego zrobić, i że zrobili to ci ludzie. Ci faceci o białych twarzach, w swoich kapeluszach, garniturach i dziwacznych ciemnych okularach.

–Michael... chyba nie zamierzasz ścigać ich na własną rękę?

–Nie, Joe i ja będziemy ich ścigać razem... pod warunkiem że otrzymamy niewielkie wsparcie z biura koronera i z policji.

Do gabinetu wszedł Victor, z załzawionymi od bryzy oczyma, a w ślad za nim uśmiechnięty od ucha do ucha Jonas.

–Jezu, ale wieje – sapnął Kuryłowicz.

–Udało wam się puścić latawca?

–Cały czas nosem w dół – oświadczył jadowitym tonem Jonas.

–Wypisz wymaluj historia mojego życia – powiedział Victor, siadając i zdejmując okulary. – Na każdym kroku rozczarowanie.

–Jonas... może napiłbyś się coca-coli? – zasugerował Michael.

–Ach, rozumiem. Teraz ma być rozmowa tylko dla dorosłych – stwierdził Jonas, który zdążył już wskoczyć na kanapę.

Michael zmierzwił mu włosy.

–Nigdy nie potrafię zrozumieć, jak ktoś tak bystry mógł wyskoczyć z moich łędźwi.

–Łędźwi? Co to takiego?

–Po prostu napij się coli, dobrze?

–Chcę wiedzieć, co to są łędźwie.

–Łędźwie to są genitalia.

–To znaczy, na przykład mój siusiak?

–Tak, Jason, na przykład twój siusiak.

–Więc dlaczego nie powiedziałeś tak od razu?... Łędźwie. Nieźle by to wyglądało w szkole: Hej, Bradley, zostaw w spokoju swoje łędźwie.

–Boże, trzynastoletni chłopiec – pokiwał głową Michael, a mały wyszedł, nie zamykając zresztą za sobą dokładnie drzwi.

Victor podniósł już z biurka i przeglądał fotografie Kennedy’ego.

–Co o tym myślisz? – zapytał, zwracając się do Patsy.

–Uważam, że to jest naprawdę przerażające. Uważam, że powinniście przekazać to wszystko policji albo FBI... niech oni się tym zajmą. – Zacisnęła wargi.

–Nie jestem taki pewien, czy to dobry pomysł – stwierdził Victor.

–Tak?

–Pomyśl tylko. Joe znalazł najwyraźniej ślad, wskazujący na udział tych ludzi w zamachu na Kennedy’ego. Ale Joe przekonany jest również, że maczali oni palce w morderstwie Johna O’Briena, które bostońska policja stara się z całych sił przedstawić jako wypadek.

–Więc sugerujesz, że policja również maczała palce w tych zabójstwach?

Victor wzruszył ramionami.

–Może nie bezpośrednio. Ale z całą pewnością robią wszystko, co mogą, żeby ukryć dowody. Moja rada jest następująca: w kontaktach z policją powinniśmy postępować bardzo, bardzo ostrożnie.

Michael podszedł do drzwi i otworzył je. Podwórko w dole było puste, a ulica wymarła. Piasek szemrał cicho w trawie i wirował po chodniku.

–Proponuję, żebyśmy wrócili do Bostonu i spróbowali znaleźć coś więcej – powiedział. – Możemy chyba zaufać Thomasowi Boyle’owi?

–Wydaje mi się, że tak. Jak mało komu.

–Musimy z nim porozmawiać na temat oficjalnej linii policji w tej sprawie. A potem musimy jeszcze raz skontaktować się z doktorem Moorpathem. Niech wyjaśni, dlaczego na miłość boską napisał, że John O’Brien i towarzyszące mu osoby zginęły w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Musimy porozmawiać z Edgarem Bedfordem z Plymouth Insurance i zapytać go, dlaczego chce zamknąć dochodzenie. Musimy porozmawiać z Kevinem Murrayem i Arturem Rol-beinem. Czytałem ich raporty, ale wciąż nie znam odpowiedzi na wiele pytań.

–Jeśli chcesz znać moje zdanie, zamierzasz wsadzić kij w gniazdo szerszeni – powiedział Victor.

Michael kiwnął głową.

–Wiem o tym. I najpierw zamierzam porozmawiać z Joe. Chcę wiedzieć, dlaczego tak się boi... i jak bardzo powinniśmy się bać my wszyscy.

–Myślę, że powinniśmy się bać jak wszyscy diabli – stwierdził Victor.

Patsy rzuciła mu zaniepokojone spojrzenie.

–Nie chcecie chyba wracać do Bostonu już zaraz? – zapytała. Michael spojrzął na zegarek. Było jedenaście minut po trzeciej.

–Nie natychmiast. Najpierw muszę przedyskutować to z Garbodenem. Nie chcę, żeby to wszystko skrupiło się na nim.

Krótko po czwartej zatelefonował do Plymouth Insurance. Asystent Garbodena oznajmił, że szef nie wrócił jeszcze z New Seabury. Jazda do Bostonu nie powinna zabrać więcej niż dwie godziny, nawet biorąc pod uwagę korki, ale może Joe zatrzymał się gdzieś na lunch albo pojechał najpierw do domu. Michael wystukał prywatny numer Garbodena i telefon odebrała Marcia, ale ona także nie widziała Joe.

Dała mu numer telefonu komórkowego i Michael wystukał go. Nosowy głos z taśmy oznajmił, że telefon jest nieczynny.

–Nie ma go w biurze, nie ma go w domu, a telefon w samochodzie nawalił – powiedział Michael, zwracając się do Victora.

–Daj mu jeszcze pół godziny – zasugerował Kuryłowicz. Michael zadzwonił jeszcze

raz do biura o piątej, a potem o wpół do szóstej. Ostatni raz zadzwonił dziesięć po szóstej, kiedy biuro było zamknięte; włączyła się automatyczna centrala:

–Jeśli znacie państwo numer wewnętrzny osoby, z którą chcecie się skontaktować, proszę go teraz wybrać...

Wystukał wewnętrzny.

–Cześć, mówi Joe Garboden – odezwał się nagrany głos. – Nie ma mnie teraz w gabinecie.

Michael podniósł w górę słuchawkę, żeby Victor mógł usłyszeć wiadomość.

–Wcale mi się to nie podoba – powiedział. – Mam nadzieję, że nie przydarzyło mu się nic złego.

Victor potrząsnął głową.

–Nie martwiłbym się tak bardzo. Pewnie kogoś spotkał i zasiedział się.

Michael zatelefonował do Kevina Murraya, ale jego matka oświadczyła, że wyjechał na weekend do Maine. Zatelefonował do Artura Rolbeina i ten zgodził się z nim spotkać o drugiej po południu następnego dnia. Wydawał się jednak dziwnie spięty.

–Wszystko w porządku? – zapytał go Michael.

–Oczywiście. Słyszałem po prostu, że dochodzenie w sprawie O'Briena zostało nieodwołalnie zamknięte.

–Widziałeś raport doktora Moorpatha?

–Nie czytałem go jeszcze, ale wspomnieli o nim w wiadomościach o czwartej.

–I co o tym sądzisz?

–Nic nie sądzę. Dochodzenie jest zamknięte. Śmierć nastąpiła w wyniku nieszczęśliwego wypadku, Plymouth płaci.

–Wierzysz, że to był nieszczęśliwy wypadek? Zapadło długie milczenie.

–Pracuję teraz nad czymś innym – oświadczył w końcu Artur Rolbein.

–Artur... chcę poznać twoją opinię na ten temat.

–Porozmawiamy o tym jutro – rzucił Artur i odłożył słuchawkę tak szybko, że Michael nie zdążył nawet powiedzieć „do widzenia”.

Victor pociągnął łyk piwa z butelki.

–Co ci powiedziałem? Postępuj naprawdę bardzo, bardzo ostrożnie.

## ROZDZIAŁ XII

Michael wydzwaniał do Joe co pół godziny prawie do pierwszej w nocy. Zatelefonował też do wydziału ruchu, ale według posiadanych przez nich informacji w hrabstwach Barnstable i Plymouth nie doszło do żadnego wypadku, w którym uczestniczyłby niebieski cadillac metallic. Na drodze numer czterysta dziewięćdziesiąt pięć, na północny wschód od West Wareham, w czołowym zderzeniu z samochodem chłodnią Kenworth zginęli mężczyzna i kobieta, ale oni podróżowali w srebrnym lincolnie. Przy drodze numer sto pięćdziesiąt jeden znaleziono spaloną rivierę camaro, ale nie było żadnych ofiar i wydział ruchu doszedł do wniosku, że ktoś podpalił skradziony czy też rozbity pojazd, aby ukryć dowód rzeczowy albo wyciągnąć odszkodowanie.

Victor leżał już na kanapie, przykryty ciemnozielonym wełnianym kocem. Okulary położył na podłodze obok.

–Bez skutku? – zapytał, kiedy Michael odłożył słuchawkę.

–Nie wiem, gdzie się, do diabła, podział.

–Daj spokój... znajdziemy go jutro w Bostonie. O której godzinie chcesz stąd wyjechać?

–Wcześniej. Za piętnaście dziesiąta mam kolejną sesję u doktora Rice'a, ale mogę to odwołać.

–Czy ta hipnoterapia to ci właściwie pomaga?

–Nie wiem. Czasami mam po niej w głowie jeszcze bardziej popieprzone niż przedtem. Ale kiedy indziej... daje mi siłę, bez której nie mógłbym robić pewnych rzeczy.

–Dzisiaj rano mówiliśmy o sugestii posthipnotycznej. Czy doktor Rice sugeruje ci jakieś rzeczy?

Michael zebrał razem leżące na biurku fotografie Parrota.

–Tylko bardzo ogólnie. No wiesz, na przykład: „dzisiaj będziesz się czuł bardziej na tak”.

–I czujesz się rzeczywiście na tak?

–Oczywiście. Czasami działa to bardziej, czasami mniej skutecznie, ale działa.

–Nie mówi ci nic konkretnego: na przykład żebyś zaczął stepować na środku ulicy albo dał całusa każdej kobiecie w niebieskiej sukience?

Michael się uśmiechnął.

–Niech lepiej nie próbuje.

–Ale właściwie mógłby to zrobić?

–Jasne. Większość osób uważa, że nigdy nie da się zahipnotyzować i że nigdy nie poddadzą się posthipnotycznej sugestii. Ale niewiarygodne jest, do czego potrafi skłonić ludzi dobry hipnotyzer. Wszystkie te opowieści o ludziach, którzy nigdy nie zrobią czegoś niebezpiecznego i zagrażającego życiu, czegoś, co sprzeciwia się ich naturze, to jeden wielki nonsens. Wykwalifikowany nowoczesny hipnotyzer potrafi cię skłonić, żebyś skoczył z Hancock Tower albo wszedł prosto pod autobus. Cokolwiek zechce.

–Cóż... tak właśnie myślałem.

–Co masz na myśli? – Michael spojrział mu prosto w oczy.

–Myślę o Franku Cowardzie, pilocie helikoptera, którym leciała rodzina O'Brienów.

–Mów dalej.

–Za każdym razem, kiedy robimy jakiś krok do przodu, wracamy do kwestii katastrofy. W porządku: przyjmujemy do wiadomości, że O'Brien i towarzyszące mu osoby zostali prawdopodobnie zamordowani. Przyjmujemy do wiadomości, że Sissy O'Brien została porwana. Ale jak to zrobiono? Skąd mordercy wiedzieli, gdzie się rozbije helikopter, jeśli Frank Coward nie sprowadził go w dół umyślnie?

–Sądysz, że Frank Coward mógł rozbić helikopter kierując się sugestią posthipnotyczną? – zapytał Michael.

–To tylko hipoteza, nic więcej. Nie był śmiertelnie chory. Thomas Boyle powiedział mi, że policja sprawdziła wszystkie jego bankowe konta i wszystkie jego ostatnie wydatki i nie znaleźli nic, co by wskazywało na to, że został przekupiony. Nie kupił sobie nowego samochodu, nie zarezerwował wycieczki do Acapulco, nie fundnął nawet żonie nowej lodówki od podłogi do sufitu. Oczywiście istnieje możliwość, że chciał po prostu przeprowadzić samobójczy zamach na O'Briena. Przypomnij sobie terrorystów z Bliskiego Wschodu, którzy wjeżdżają ciężarówkami wypełnionymi trotylem do amerykańskich baz wojskowych. Albo tę kobietę, która zabiła Rajiva Gandhiego. Ale nie wiem... samobójcza misja nie bardzo tu pasuje, prawda? Żeby amerykański pilot zabijał sędziego Sądu Najwyższego? Nie brzmi to zbyt prawdopodobnie.

Michael przez chwilę się zastanawiał.

–W porządku – powiedział w końcu. – To interesująca teoria. Może jednak nie odwołani tej wizyty u doktora Rice'a. Zapytam go o te rzeczy.

Victor położył się na plecach na kanapie i przeżegnał się. Michael miał właśnie zgasić światło.

–Zawsze to robisz? – zapytał.

–To tylko stary zwyczaj. Nauczyła go mnie moja babcia, kiedy byłem dzieckiem. Znak krzyża odpędza liliowobiałych chłopców, tak właśnie mówiła.

–Liliowobiałych chłopców? A kimże oni byli?

–Naprawdę nie wiem. To jakaś stara żydowska legenda z Polski. Przychodzili w nocy i kradli ci duszę, coś w tym rodzaju. Nigdy mi dokładnie nie powiedziała. Za każdym razem, kiedy o nich mówiła, bez przerwy żegnała się znakiem krzyża.

–Śpij dobrze – powiedział Michael. – Może ja także powinienem się przeżegnać – dodał, zanim zgasił światło.

O szóstej rano zadzwoniła Marcia. Drżącym głosem poinformowała Michaela, że Joe wciąż jeszcze nie wrócił do domu. Obdzwoniła wszystkich znajomych, telefonowała na policję, do wydziału ruchu i do szpitali. Zapadł się jak kamień w wodę.

–Może coś go zatrzymało i spędził noc w hotelu – zasugerował Michael, chociaż ani przez chwilę w to nie wierzył.

–Zadzwoniłby, Michael. Zawsze dzwoni.



–Będę z powrotem w Bostonie w porze lunchu. Jeśli do tego czasu nie pojawi się w biurze, wpadnę do ciebie.

–Boże drogi, mam nadzieję, że nic mu się nie stało – powiedziała Marcia. – Od czasu, kiedy objął tę sprawę O’Briena, był taki podenerwowany.

–Podenerwowany? – zapytał ze zdumieniem Michael. – Czym?

–Bardzo go to niepokoiło. Nawet przerażało. Bez przerwy powtarzał, że dzieją się rzeczy, o których nikt nie wie. Że istnieje jakieś tajne stowarzyszenie... tak to nazywał. Mówił, że zauważył to już przed laty, ale na początku nie do końca wierzył w jego istnienie. Ale teraz ma dowody.

Michaelowi przyszły na myśl fotografie. Co takiego, u licha, odkrył Joe? Może jakiś związek między zamachem na Kennedy’ego a morderstwem O’Briena? Powiązania z mafijnymi bossami w rodzaju Sama Giancana albo Bugsy’ego Siegela? Tajne stowarzyszenie politycznych najemnych morderców?

–Nic mi o tym nie mówił – powiedział Marcii.

–Wiem – odparła przez łzy. – Przykro mi, Michale – podjęła po chwili. – Być może powinien. Ale uparł się, że nie powie nikomu, dopóki nie będzie absolutnie pewny. Dlatego nie chciał, żebyś pracował nad tą sprawą. Powiedział, że ty na pewno odkryjesz, co się dzieje, i narobisz hałasu, zanim on zdoła zgromadzić dosyć dowodów.

–Co ty mówisz? – Michael zmarszczył brwi. – Nie chciał, żebym pracował nad tą sprawą? Przyjechał tu i osobiście mnie o to prosił. Dosłownie błagał.

–Musiał. Chciał ciebie Edgar Bedford i Joe nie miał wyboru.

–Po prostu nie mogę w to uwierzyć, Marcia. – Michael był zupełnie zaskoczony. – Joe naprawdę nie chciał, żebym prowadził to dochodzenie?

–Twierdził, że to zbyt niebezpieczne. Że zbyt wiele jest do stracenia. Starał się tego nie okazywać, ale był ciężko przerażony. Leżał z otwartymi oczyma w nocy i cały się trząsł.

–Porozmawiam z tobą później – zapewnił ją Michael i odłożył słuchawkę.

Kiedy do kuchni weszła ubrana tylko w kraciatą koszulę Patsy, wciąż siedział i gapił się w kuchenny stół.

–Co się stało, Michael? – zapytała go. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył upiora.

Po śniadaniu pojechali we dwóch do Hyannis, żeby Rearden mógł odbyć sesję z doktorem Rice’em. Przez cały czas próbowali się dodzwonić do Garbodena, ale nie było go w biurze, a telefon w samochodzie nadał nie działał. Poranek był gorący, słoneczny i prawie bezwietrzny; Michaelowi wydawało się, że ogląda ulice Hyannis przez wypolerowaną szybę.

–Może gdzieś się ukrył – powiedział Victor, odchylając do tyłu głowę i wystawiając łokieć przez otwarte okno samochodu.

Michael zaparkował przed budynkiem, w którym znajdował się gabinet doktora Rice’a.

–Mam nadzieję. Naprawdę się martwię.

Weszli do poczekalni. Po panującym na zewnątrz upale wewnątrz wydawało się chłodne i pogrążone w półmroku. Duża palma w doniczce pochylała się i drżała w

strudze powietrza, która płynęła z klimatyzatora. Za biurkiem recepcjonistki nie było nikogo, mrugające światełko na centralce świadczyło o tym, że ktoś usiłuje się dodzwonić. Obrotowy fotel stał odsunięty od biurka, tak jakby dziewczyna zerwała się z niego w pośpiechu, a na dywanie leżała jej torebka, z której wysypały się klucze, grzebień i pomadka.

Michael rozejrzył się dookoła.

–Dziwne – stwierdził.

–Może musiała lecieć pędem do toalety – powiedział Victor.

–Nie sądzę. Idąc do toalety, dziewczęta zabierają na ogół ze sobą szminkę i grzebień.

–Podziwiam twoją przenikliwość – stwierdził Victor, rzucając mu chytre spojrzenie. – Powinieneś zostać inspektorem ubezpieczeniowym.

Michael podszedł do oklejonych mahoniowym fornirem drzwi. Były lekko uchylone – może na centymetr albo dwa – mimo to zapukał.

–Doktorze Rice? – zawołał. – Doktorze Rice? To ja, Michael Rearden. Przyszedłem na wizytę.

Pchnął drzwi do środka, ale nie chciały się otworzyć. Pchnął je ponownie. Coś leżało na podłodze, blokując je, coś miękkiego i ciężkiego, przypominającego materac albo...

Pchnął jeszcze raz i zobaczył odzianą w pończochę stopę.

Odzianą w pończochę stopę, która lekko przesunęła się bezwładnie na bok.

–Jezus – jęknął.

–Co się stało? – zapytał Victor.

–Jakieś ciało opiera się o drzwi. Ciało kobiety. Widzę jej stopę. Victor spróbował zajrzeć za drzwi, a potem cofnął się.

–Skoro leży w takiej pozycji, napastnik nadal znajduje się prawdopodobnie w gabinecie. Chyba że uciekł tylnym wyjściem.

Michael poczuł ściekające mu po plecach krople potu.

–Może powinniśmy wezwać policję?

–Daj spokój – stwierdził Victor. – Praktycznie rzecz biorąc, sami jesteśmy policją.

Przynajmniej ja.

Michael zawahał się, a potem podszedł z powrotem do drzwi.

–Doktorze Rice? – zawołał. – Jest pan tam? To ja, Michael Rearden.

Czekali prawie pół minuty, ale wciąż nie było odpowiedzi.

–Nie mamy chyba wyboru, prawda? – powiedział w końcu Victor. – Rozwalimy je.

Stanąwszy obok siebie w poczekalni chwycili się za ramiona, żeby nie stracić równowagi. Po raz pierwszy, odkąd pracował ze swoim ojcem, uszczelniając pokład i pokostując belki, Michaela ogarnęło silne poczucie wspólnoty; oto robili coś razem, bez żadnej dyskusji. Chudy i przebiegły Victor nie był człowiekiem, z którym Michael zaprzyjaźniłby się w normalnych okolicznościach. Ale było w nim coś niepokojąco bezpośredniego. Wiedziałeś, że ten człowiek nie spróbuje wcisnąć ci kitu i że kiedykolwiek się do niego zwrócisz, pomoże ci, nawet się nad tym nie zastanawiając.

Albo nie – w zależności od nastroju.

**–Gotów? – zapytał Victor. – Raz, dwa, trzy, gotów czy nie, kopujemy!**

**Razem walnęli w drzwi. Ich połączona siła okazała się o wiele większa, niż się spodziewali. Drzwi wypadły z zawiasów i złamały się kompletnie na pół, przykrywając niczym namiot leżącą na podłodze korytarzyka kobietę. Michael i Victor podnieśli je i wepchnęli do poczekalni, gdzie zawisły nad biurkiem recepcjonistki niczym pijak, który ma co prawda trudności z zachowaniem równowagi, ale jakimś cudem udaje mu się nie upaść.**

**W korytarzu leżało ciało recepcjonistki doktora Rice'a. Michael natychmiast rozpoznał jej długie czarne włosy. Ktoś podciągnął do góry brzoskwiniową jedwabną bluzkę i ściągnął w dół obcisłe spodnie, odsłaniając dół pleców, pośladki i uda. Jej skóra była biała niczym smalec. W dolnej części pleców widniały dwie ranki, niezbyt krwawe, ale bardzo głębokie – tak jakby zaatakowano ją biurowym przyrządem do dziurkowania.**

**–To znowu oni – oznajmił Michael stłumionym z przejęcia głosem.**

**Victor dotknął ranek opuszkami palców, tak jakby mógł sprawić, żeby się zagoiły.**

**–Dokładnie takie same – stwierdził.**

**Michael miał właśnie zamiar powiedzieć, że zadzwoni do Thomasa Boyle'a, kiedy z gabinetu doszedł ich przerażający, rozdzierający wrzask. Był to krzyk mężczyzny – i tym potworniejszy z tego powodu – mężczyzny, który starał się nie okazać, że cierpi potworny, niemożliwy do zniesienia ból, ale w końcu nie zdołał się opanować.**

**Michael i Victor ruszyli bez słowa ku drzwiom gabinetu. Michael otworzył je kopniakiem; uderzyły o ścianę, zadrżały w zawiasach i znieruchomiały, a oni zobaczyli stężałego z bólu doktora Rice'a: siedział skurczony na swoim krześle od Oggettiego, z twarzą zmiętą niczym stara brudna chusteczka i paznokciami wbitymi we wnętrze dłoni tak głęboko, że spomiędzy palców sączyła się ciemna, gęsta krew.**

**Wyglądał niczym średniowieczny kaleka, niczym jeden z trędowatych, którzy wlekli się niegdyś z jednego jarmarku na drugi, przysiadając na stopniach kościoła, błagając o łaskę i żebrząc o datki. Obok niego stali dwaj wysocy mężczyźni o białych, czujnych twarzach, z oczyma skrytymi za intensywnie ciemnymi szklami okularów. Ubrani na czarno, tak jakby byli kapłanami, przedsiębiorcami pogrzebowymi, muzykami dżezowymi albo członkami satanistycznej sekty, mieli w sobie jakiś przerażający chłód. Jonas powiedziałby, że są zimni jak ryby. Ten z prawej trzymał w rękach zaopatrzone w długie uchwyty wielkie przemysłowe nożyce, naprawdę potężny sprzęt, który mógł przeciąć stalowe pręty o średnicy ludzkiej kostki. Albo nawet ludzkie kostki.**

**I przeciął.**

**Zakrwawione stopy doktora Rice'a leżały na podłodze, piętnaście centymetrów pod jego kostkami. Wciąż obute były w brązowe, eleganckie Oksfordy i wciąż miały na sobie skarpetki w zielono-żółte romby. Jedna stopa przewróciła się na bok; druga stała wyprostowana. Piętnaście centymetrów wyżej, ze szkarłatnego mięsa uciętych równo goleni wystawały białe kości, a z tętnic buchała straszными, rytmicznymi strugami jasna krew.**

**–...robicie,co wy robicie! – usłyszał swój własny krzyk Michael. Rzucił się na**

faceta z nożycami, wyrwał mu je z rąk i obrócił go dookoła, tak że ten rąbnął plecami o szafkę na akta. Mężczyzna o białej twarzy był śmiesznie lekki, mimo to Michael poczuł zdziwienie, że zdołał odepchnąć go z taką siłą. Szafka zachwiała się, ale nie przewróciła. Młody człowiek musiał sobie jednak uszkodzić kręgosłup, bo upadł na podłogę i leżał z twarzą wtuloną w brązowo-żółtawy dywan, trzęsąc się niczym ogłuszony cielak.

Nie czekając ani sekundy Michael zatoczył łuk trzymanymi w ręku nożycami i trzasnął drugiego mężczyznę w szyję, tuż pod uchem. Ten zatoczył się, stracił równowagę i przyklęknął na jedno kolano, opierając się o wieżę stereo. Chciał podnieść się na nogi, ale w tej samej chwili Victor dał krok do przodu i z całą zaciętością wyszkolonego boksera uderzył go najpierw w grzbiet nosa, potem w prawy policzek i dwukrotnie w prawą skroń. Młodzieniec znowu próbował się podnieść, ale nagle zachwiał się i legł na podłodze tuż obok swego towarzysza.

Doktor Rice przestał krzyczeć; nie przestała jednak płynąć krew z jego nóg. Dywan pod krzesłem był ciemny i wilgotny. Doktor trząsał się, a właściwie cały podskakiwał na krześle.

–Wezwij ambulans! – krzyknął Victor. Zerwał z szyi krawat, okręcił go wokół lewej nogi doktora, zrobił węzeł i z całej siły go zacisnął. Krwawienie zmniejszyło się z potężnego, buchającego z tętnicy strumienia do cieknącej powoli, gęstej, karmazynowej strużki. Victor ściągnął Rice'owi z szyi jego jedwabny krawat w kwiatki i założył opaskę zaciskającą na prawą nogę, która również przestała krwawić.

–Ambulans jest w drodze – powiedział Michael. Pierwszy mężczyzna zaczął podnosić się na nogi.

–Nie ruszaj się z miejsca! – krzyknął na niego Rearden.

–Robisz sobie żarty? – odparł młody mężczyzna stłumionym od wstrząsu głosem.

–Nie ruszaj się, jesteś aresztowany.

–Nie może być... Aresztowany? – odparł kpiącym głosem mężczyzna. – Czy mam prawo milczeć? Czy mam prawo do adwokata? Czy mam prawo wyjść stąd, kiedy będziesz wygłaszał te wszystkie nadęte, pompacyjne bzdury?

–Nie ruszaj się z miejsca – powtórzył Michael.

Młody człowiek ruszył wyzywająco ku drzwiom, ale Rearden natychmiast go dopadł, złapał za rękę i cisnął o ścianę.

Przez chwilę wstydził się sam swego postępowania. Nie musiał reagować tak gwałtownie. Nie był atletycznie zbudowany i z pewnością nie dałby rady komuś, kto miałby zamiar go naprawdę skrzywdzić. Ale był w dobrej formie i czuł, że potrafi być na swój sposób twardy; a oprócz tego doszedł jakoś do ładu z wszystkimi tymi ludźmi, którzy spadli z nieba nad Rocky Woods. Odkrył w sobie rodzaj odwagi, który zdecydowanie przewyższał wszystko, czego mogli wymagać od niego w Towarzystwie Ubezpieczeniowym Plymouth – gdyby tylko potrafili go zrozumieć.

Spojrzał na Victora. W oczach jego partnera paliły się niebezpieczne ogniki i Michael zrozumiał, że Kuryłowicz myśli tak samo jak on. Mianowali się wzajemnie członkami ekipy, która doprowadzi tę rzecz do końca.

–Kto was tu przysłał? – zapytał pierwszego młodzieńca.

–Nikt... naprawdę nikt – odparł tamten. Miał przedziwnie staranny akcent, tak jakby pochodził z Salem, Marblehead albo jeszcze dalej z północy.

–Zadzwoń jeszcze raz po ambulans – powiedział Victor, dotykając dłonią czoła doktora Rice’a. – Dostał szoku.

Michael podniósł słuchawkę telefonu.

–Nie ruszaj się – ostrzegł pierwszego mężczyznę, wystukując dziewięćset jedenaście i prosząc o połączenie z pogotowiem ratunkowym.

–Chce pan, żebyśmy wysłali kolejny ambulans?

–Nie, na litość boską. Niech pani im po prostu powie, żeby się pośpieszyli.

–Zawsze jadą jak mogą najszybciej, niech mi pan wierzy. Michael odłożył słuchawkę.

–Musimy już iść – poinformował go pierwszy mężczyzna.

–Co takiego? Zostajecie tutaj!

–Przykro mi, ale musimy iść.

–Zostajecie tutaj i koniec dyskusji.

Mężczyzna opuścił głowę, odwrócił się do niego plecami i przez ułamek sekundy Michael naprawdę uwierzył, że ma zamiar zastosować się do jego polecenia. Ale potem młodzieniec odwrócił się tak szybko, że Rearden w ogóle tego nie zauważył, i uderzył go w obojczyk czymś ciężkim i twardym – może przyciskiem do papieru albo blokadą drzwi, czymkolwiek, co zdążył złapać.

Ból był tak potężny, jakby ramię rozerwał mu pocisk. Zatoczył się do tyłu na biurko doktora Rice’a i próbował złapać równowagę, a kiedy mu się to nie udało, przyklęknął na jedno kolano. Prawie w tej samej chwili drugi mężczyzna kopnął Victora w lewą stronę klatki piersiowej, a potem obaj wybiegli z gabinetu, kierując się na tyły budynku.

–Pilnuj go! Zwróć uwagę na jego oddech! – krzyknął Victor i ruszył niczym terier za dwoma mężczyznami.

Michael usłyszał trzask wyważonych kopnięciem tylnych drzwi, po którym rozległ się natychmiast dzwonek alarmu. Słyszał odgłosy kroków i krzyki. Masując obolałe ramię podniósł się na nogi i stanął obok doktora Rice’a. Doktor mrugał przez jakiś czas powiekami, ale potem otworzył nagle szeroko oczy i przyjrzał się Michaelowi, najwyraźniej go rozpoznając.

–Ambulans jest już w drodze – zapewnił Rearden, biorąc go za rękę.

–Mam nadzieję, że mają ze sobą jakiś porządny klej – szepnął doktor.

–Niech pan się nie martwi... przeżyje pan. Może nawet uda się uratować pańskie stopy. Mikrochirurdzy potrafią teraz robić fantastyczne rzeczy.

Ciałem doktora Rice’a wstrząsnął dreszcz. Jego długie, wypielęgnowane paznokcie wbiły się w palce Michaela.

–Powiedzieli mi, że tam, dokąd się wybieram, nie będę potrzebował stóp.

–Chcieli pana zabić?

–Oczywiście, że chcieli mnie zabić. Jak wszystkich innych, którzy odkryli ich spisek.

–Co to za spisek?

–Wierz mi, Michael, tak naprawdę wcale tego nie chcesz wiedzieć. – Uśmiechnął się słabo.

–Ale dlaczego wybrali akurat pana?

–A jak myślisz? Wybrali mnie, ponieważ jestem najlepszy. Bo potrafię posłużyć się moją aurą.

Skrzywił się i zakaszłał, i przez moment Michael myślał, że Rice zaraz umrze, tak po prostu, na jego oczach, siedząc na swoim krześle od Oggettiego. Ale po chwili doktor uniósł do góry drżącą rękę i otarł nią usta.

–Z tego, co wiem, jest nas tylko sześciu... sześciu albo siedmiu – powiedział.

Michael ścisnął go za rękę. Nie mógł patrzeć na jego ociekające krwią kostki.

–Jakich sześciu albo siedmiu? – zapytał.

–Hipnotyzerów auralnych. Nie wiedziałeś o tym? Jestem hipnotyzerem auralnym. To rzecz, której nauczyliśmy się w latach sześćdziesiątych. Której nie sposób zrozumieć, dopóki nie spojrzysz na siebie z zewnątrz.

Zapadło długie milczenie. Doktor Rice złapał rękę Michaela i odchylił się do tyłu na krześle i stało się jasne, że zaczyna ponownie odczuwać ból w amputowanych nogach. Dłoń Michaela tkwiła w jego palcach niczym w szponach martwego sępa; oddech miał krótki i urywany.

Z oddali dobiegło ich wycie syreny.

–Słyszysz pan? – zapytał Rearden. – Są już niedaleko. Rice jeszcze mocniej zacisnął palce na jego dłoni.

–Nie mogę wyjaśnić wszystkiego... nie ma na to czasu. Ale zajrzyj do mojego notesu... zajrzyj do filofaksu... leży w górnej prawej szufladzie biurka. I weź tę książkę, stojącą na półce obok Sheelera... tę zieloną.

Ambulans zatrzymał się przed budynkiem. Michael widział przez na pół opuszczone żaluzje obracające się na jego dachu czerwone światło.

–Jest jeszcze coś... – szepnął doktor Rice.

–W porządku – zapewnił go Michael. – Może pan powiedzieć mi później. Zaraz zabiorą pana do szpitala.

–Nie, Michael, jest jeszcze coś więcej... coś, co musisz wiedzieć...

–Niech pan posłucha... nie ma pośpiechu. Opowie mi pan, kiedy się pan będzie lepiej czuł.

Ale Rice przywarł do niego, próbując nawet podciągnąć się wyżej.

–Doktorze Rice...

–Słuchaj! – przerwał mu doktor. – Ten pilot, Frank Coward... był jednym z moich pacjentów... przysłali go tutaj na seanse hipnozy auralnej, żebym mógł mu powiedzieć, co ma zrobić... żeby mógł mu to powiedzieć pan Hillary.

–Nie rozumiem – wyjąkał Michael.

–Przeczytaj mój dziennik, przeczytaj książki... wtedy zrozumiesz.

–Victor powiedział, że Frank Coward rozbił helikopter, bo kazano mu to zrobić pod hipnozą.

–Kimkolwiek jest ten Victor, ma rację. Jest w każdym razie na właściwym tropie. Ale na tym nie koniec...

W tej samej chwili usłyszeli pukanie do frontowych drzwi.

–Hej? Jest tam kto? Jesteśmy z pogotowia – zawołał pielęgniarz.

–Tutaj! – krzyknął Michael.

–Proszę – syknął doktor Rice. – Musisz mnie wysłuchać!

–Bill, ta kobieta nie żyje – doszedł ich głos z korytarza.

–Proszę – powtórzył błagalnym tonem doktor, łapiąc Michaela za rękaw i potrząsając z bólu krwawymi kikutami. – To samo zrobiłem tobie!

–Co takiego? – zapytał, wpatrując się w niego z konsternacją I Michael.

–To samo... co Frankowi Cowardowi.

–Co pan ma na myśli? – zawołał Rearden.

Doktor Rice nie odpowiedział. Zamiast tego wsadził do kieszeni wolną rękę i coś z niej wyjął. Coś małego, wielkości ćwierćdolarowej monety, tylko trochę od niej grubszego. Wetknął ten przedmiot w dłoń Michaelowi i zacisnął na nim jego palce.

W tej samej chwili do gabinetu wpadło dwóch barczystych, ostrzyżonych krótko pielęgniarzy.

–Chryste – jęknął jeden z nich. – On nie ma obu stóp. Michael szarpał gorączkowo doktora za ramię.

–To samo co Frankowi Cowardowi? – powtarzał. – Co znaczy, że zrobił mi pan to samo?

Powieki Rice'a zatrzepotały nagle i opadły w dół, głowa przechyliła się w bok, a górna warga oparła się na wystających zębach w przedziwnej parodii grymasu.

–Daj spokój, chłopie. – Pielęgniarz odsunął Michaela na bok. – On potrzebuje teraz pomocy prawdziwego specjalisty.

Drugi pielęgniarz ukląkł i podniósł z niesmakiem z podłogi stopy doktora.

–Musimy włożyć je do lodówki – stwierdził. – A potem jak najprędzej odwieźć tego biedaka do szpitala.

Michael usłyszał na dworze kolejną syrenę, potem jeszcze jedną i trzaśnięcie drzwiczek. Wezwana została policja. Jednocześnie przez tylne drzwi wszedł, łapiąc z trudem powietrze, Victor.

–Nie mogłem ich dogonić – powiedział. – Skręcili za rogiem przy Copper Kettle, a potem jakby rozplynęli się w powietrzu.

Do gabinetu wpadł brzuchaty gliniarz w świeżo uprasowanym mundurze. Popatrzył mrugając oczyma na Victora, potem na Michaela i w końcu na doktora Rice'a.

–Boże Wszchemogący – wydusił z siebie. – Boże Wszchemogący.

## ROZDZIAŁ XIII

Spotkał się z Arturem Rolbeinem w barze Pod Szczurem, lokalu, którego nie odwiedzał od lat i w którym było wszystko, co powinno być w tego rodzaju knajpie: kłęby papierosowego dymu, pulsująca muzyka i klientela tak różnorodna – począwszy od kłótliwych piwoszy z Boston College, poprzez zachowujących kamienne oblicze czarnych braci, aż po uśmiechniętych od ucha do ucha Eskimosów – że antropolog z Marsa mógłby zabrać ją do domu w swoim latającym spodku, aby zademonstrować, jak zróżnicowana jest ludzka cywilizacja.

Musiał przesunąć spotkanie o cztery godziny. Policja przesłuchiwała kolejno po dwie godziny, jego i Victora, i zgodziła się ich wypuścić tylko pod warunkiem, że nie pojedą dalej niż do Bostonu i że będą w stanie w każdej chwili wrócić do Hyannis na dalsze przesłuchania.

Doktora Rice'a przewieziono helikopterem do Boston Central, gdzie miano mu przyszyć stopy, które poleciały razem z nim w aluminiowych skrzynkach z lodem. Na szczęście dla Victora i Michaela doktor podał policji rysopisy swoich niedoszłych zabójców i zaręczył, że ani Rearden, ani Kuryłowicz nawet go nie dotknęli.

–Oni przyszli później – powtarzał. – Uratowali mi życie. Artur Rolbein siedział wciśnięty w kąt przy narożnym stoliku.

Chudy i kanciasty niczym lampa architekta, z ostrzyżonymi na pazia, pokrytymi łupieżem falującymi czarnymi włosami przy każdym przełknięciu śliny wybałuszał oczy, a grube, czerwone wargi wyglądały, jakby malował je szminką.

Michael zapytał, czego się napije.

–Seven-up.

–Na pewno?

–Nie mogę brać do ust alkoholu. Dostaję od razu wypieków.

Michael zamówił lowenbrau z beczki. Pociągnął długi łyk chłodnego piwa i pochylił się do przodu; z głośników dobiegał rytmiczny łomot Perpetual Dawn.

–Powinniśmy chyba porozmawiać wcześniej – zaczął. – Twój raport na temat sprawy O'Briena był bardzo inspirujący.

Artur Rolbein pociągnął nosem, wzruszył ramionami i uciekł wzrokiem w bok.

–Cóż, tak jak powiedziałem, nie pracuję już nad tą sprawą.

–Nie wierzysz chyba, że to był nieszczęśliwy wypadek.

–Wierzę w to, w co bezpiecznie jest wierzyć.

–I uważasz, że nie jest bezpiecznie mówić w tym przypadku o morderstwie z premedytacją? Twierdzić, że John O'Brien został zamordowany?

–Powiedzmy, że nie jest to rzecz, o której trąbiłbym na całe biuro.

–Dlaczego?

–Z powodu pewnych ludzi, którzy przychodzą i odchodzą.

–Tak? Co to za ludzie?

Artur Rolbein rozejrzał się po zatłoczonej knajpie – zupełnie jakby brał udział w teatralnej próbie i reżyser kazał mu zachowywać się nerwowo.

–Joe Garboden może ci powiedzieć więcej ode mnie.

–Z tego, co widzę, Joe Garboden także jest ciężko przestraszony.



–I trudno mu się dziwić – skomentował Rolbein. – Zachowujesz się tak, jakbyś chciał ściągnąć na siebie grube kłopoty – dodał.

–Artur, to naprawdę ważne – nalegał Michael. – Musisz mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Artur Rolbein wziął głęboki oddech i zakrył twarz ręką, tak że jego oczy lypały spomiędzy palców jak zza maski. Kiedy się w końcu odezwał, zaczął mówić bardzo szybko, mamrocząc monotonie pod nosem. Dochodzący z głośników jednostajny łomot Perpetual Dawn sprawiał, że Michael ledwie mógł go zrozumieć.

–Przeczytałeś mój raport. Obliczyłem prawdopodobieństwo nieszczęśliwego przypadku... jak to się robi zawsze w ubezpieczeniach. Ale prawdopodobieństwo, że helikopter O'Briena rozbił się przypadkowo przy krańcu mierzei, gdzie czekał już na nich morderca, jest zbyt małe, żeby zaakceptował je nawet najbardziej wyrozumiały agent ubezpieczeniowy. A spójrzmy prawdzie w oczy: nie ma kogoś takiego, jak wyrozumiały agent ubezpieczeniowy...

Poszedłem do Kevina ze wszystkim, co wiedziałem... relacją Masky'ego i całą tą statystyką. Udało mu się dotrzeć do jakichś technicznych ustaleń Federalnego Urzędu Lotnictwa i zgodził się ze mną. Poszliśmy więc razem do Joe Garbodena, a on przyznał, że cała ta historia jest delikatnie mówiąc cholernie dziwna. Wypadek helikoptera był bardzo podejrzany i zachodziło domniemanie, że mamy do czynienia ze spiskiem mającym na celu zbiorowe morderstwo.

–Więc co się stało? – zapytał Michael. – Razem z Kevinem byliście na tropie. Dlaczego Joe odebrał wam nagle tę sprawę i oddał ją mnie? Potem dowiedziałem się, że wcale nie miał wielkiej ochoty mi jej powierzać.

Artur Rolbein łyknął seven-up, nie odsuwając dłoni od twarzy.

–Kazał mu to zrobić Edgar Bedford.

–Ale... daj spokój, Artur, to nie ma żadnego sensu. Bedford wiedział, że jestem psychicznym inwalidą. Wiedział, że przechodzę terapię. Dlaczego miałby sądzić, że uda mi się poprowadzić tę sprawę lepiej od was?

–Mnie o to nie pytaj – odparł Rolbein. – Ale Joe powiedział kiedyś, że nawet Edgar Bedford musi robić, co mu każą.

–Edgar Bedford? Największy bostoński miliarder? Chyba żartujesz.

–Joe był tego pewien. Nie mówił dokładnie, o co chodzi, wspominał tylko, że są pewni ludzie, którzy przychodzą i odchodzą. Widział ich w gabinecie Bedforda, widział ich w gabinecie burmistrza, widział ich wszędzie.

–Jakich ludzi?

–Nie wiem, po prostu ludzi. Powiedział, że kiedy człowiek uświadomi sobie, kim są, zawsze już ich rozpozna. Zbierał na ten temat dokumentację. Może dostał paranoi, może praca rzuciła mu się na mózg. Jest moim szefem, więc nie próbuję być mądrzejszy od niego. Ale sprawa O'Briena to zbiorowe morderstwo, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Helikopter mógł być kierowany przez jakiś sygnał radiowy, kto wie? Żyjemy przecież w erze rozwiniętej technologii. Jeśli dziewięcioletni smarkacz potrafi dotrzeć na najwyższy poziom Sonic the Hedge-hog, dorosły inżynier może znaleźć sposób rozbicia w dowolnym miejscu helikoptera. Zawsze

można wszystko zaaranżować, nieważne jak.

–Więc co jest ważne? – zapytał Michael.

–Zawiadamiając mnie i Kevina, że odbiera nam sprawę O' Briena – Joe przesunął w naszą stronę kartkę papieru, tak abyśmy nie przerywając rozmowy mogli przeczytać, co jest na niej napisane...

–Mów dalej.

Artur Rolbein był przestraszony i podenerwowany. Odślonił twarz i Michael zobaczył, że ma łzy w oczach.

–Nigdy tego nie zapomnę. Na kartce było napisane: „Proszę, zgódźcie się, żadnych kłótni, OK, w przeciwnym razie was zabiją”. A potem zabrał ją i dopisał na odwrocie: „Mówię serio”.

–Zgodziliście się zatem – powiedział ze smutkiem Michael. Żałował, że Joe nie ma w domu i nie może z nim porozmawiać.

Artur Rolbein otarł palcami łzy i gorzko się uśmiechnął.

–A ty byś się nie zgodził?

Podali sobie ręce przed barem i obiecali, że będą w kontakcie. Wieczór był ciepły i Commonwealth Avenue waliły tłumy przechodniów. Zza ceglanej ściany, na której zamocowano znak z niemieckim napisem Rathskeller, wciąż dobiegało ich rytmiczne dudnienie muzyki. Artur Rolbein oświadczył, że trochę się przejdzie: chciał odwiedzić przyjaciela, który mieszkał przy Boylston Street. Michael zatrzymał taksówkę.

–Dokąd pana zawieźć? – zapytał kierowca.

–Cantina Napoletana, Hanover Street.

Jechali przez zatłoczone ulice. Było prawie zupełnie ciemno, w mroku błyskały reflektory i hałasowały klaksony. Wysoko nad głowami przeleciały z rykiem silników dwa chinooki Gwardii Narodowej. Kierowca spojrział we wsteczne lustro i Michael zobaczył, że jedno oko ma podbiegłe ciemną krwią.

–Zupełnie jak na wojnie – zauważył taksówkarz.

–Nie słyszałem najnowszych wiadomości – powiedział Michael. – Czy zamieszki wciąż jeszcze trwają?

–Gliniarze wciąż zabijają niewinnych przechodniów, jeśli o to panu chodzi.

–Nie interesuje mnie polityka – odparł Rearden.

–Kto tu mówi o polityce? – odparł taksówkarz. – To jest chyba dzień Sądu Ostatecznego, nie? To nie jest sprawa polityczna. To sprawa biblijna.

–Cokolwiek to jest, to hańba – stwierdził Michael.

–To dzień Sądu – powtórzył kierowca. – Wiedziałem zawsze, że nadejdzie, i oto nadszedł.

Wysadził Michaela przy Cantina Napoletana. Wręczając mu resztę, zmierzył go oczami: jednym zdrowym i jednym podbiegłym krwią.

–To całopalna ofiara, ot co – powiedział z agresywną przesadą. – Całopalna ofiara, której woń miła jest Panu.

–Co takiego?

–Woń miła jest Panu – powtórzył taksówkarz i odjechał.

Stojąc na chodniku przed Cantina Napoletana, wtopiony w normalność letniego

wieczoru na Hanover Street, z jej zapachami włoskiej kuchni, samochodowych spalin, bostońskiego portu, ropy i kobiecych perfum, Michael uprzytomnił sobie ponad wszelką wątpliwość, że Joe miał rację i że naprawdę odkrył coś dziwnego i strasznego w tkance codziennego życia.

To musiało być niczym odkrycie złowrogiej twarzy we wzorze znajomej tapety. Zauważywszy ją raz, widzi się ją wszędzie i zawsze, wyłania się bez końca w każdym fragmencie wzoru.

Wspiął się po schodach do swego mieszkania i otworzył kluczem drzwi. Wszędzie paliło się światło, a z włączonego kompaktu dobiegały takty „Nice Work If You Can Get It” Theloniousa Monka. Victor już tu był. Siedział z nogami na sofie, popijając na zmianę kawę i jacka daniel’sa.

–Czekałem na ciebie – powiedział, zdejmując okulary i odkładając na bok notes, który studiował. Na sofie obok niego leżały przedmioty, które Michael zabrał z gabinetu doktora Rice’a: filofaks i oprawiony w zieloną skórę tom z półki obok obrazu Sheelera. Kiedy policjanci z Hyannis pomagali pielęgniarzom wynieść doktora do ambulansu, Michael schował to wszystko do dużej, brązowej koperty z nadrukiem New England Deconess Hospital, po czym wetknął ją pod pachę i wyszedł z gabinetu.

–Wygląda na to, że Frank Coward był pacjentem doktora Rice’a od całkiem długiego czasu – stwierdził Victor. – Doktor leczył hipnoterapią jego koszmary i powtarzające się ataki paniki. Biednego starego Franka odwiedzali najwyraźniej w snach jego dwaj koledzy ze służby. Najbardziej wyprowadzało go z równowagi to, że on był o dwadzieścia lat starszy, podczas gdy oni w ogóle się nie zestarzelili.

–Czy jest tu coś, co może wskazywać, że Frank został poddany posthipnotycznej sugestii?

Victor polizał palec i przerzucił szybko z powrotem kartki.

–To uderzyło mnie jako możliwa wskazówka – powiedział, podając mu otwarty notes.

Widniała tam nabazgrana jaskrawoczerwonym tuszem krótka notatka, skreślona najwyraźniej charakterem pisma doktora Rice’a. „6 kwietnia, dzwonił H, żeby zapytać o postępy i ogólny stan zdrowia Franka. Powiedziałem mu oczywiście, że jestem przekonany, iż Frank może obecnie przeprowadzić «akcję» i będzie go nawet łatwiej «zgalwanizować» niż Lesleya Kellowa”.

Michael odłożył notes i wlepił w Victora szeroko otwarte oczy.

–Lesleya Kellowa! Wiesz, kim był Lesley Kellow?

–A powinienem?

–Lesley Kellow był drugim pilotem samolotu, który eksplodował nad Rocky Woods.

–Żartujesz.

–Bynajmniej. Niewiele zresztą z niego potem zostało. Dosłownie kawałki. Większe i mniejsze kawałki, dokładnie tak jak w układance, tyle że z ciała i kości. W gruncie rzeczy był porozrywany bardziej niż ktokolwiek inny w samolocie.

–Jak doszło do katastrofy? – zapytał Victor.

–Nigdy nie ustaliliśmy tego z całkowitą pewnością. Najbardziej prawdopodobna

teoria głosiła, że ktoś podłożył bombę gdzieś w środkowej części kadłuba. Nie w luku bagażowym, ale w kabinie pasażerskiej, między rzędami dwudziestym a dwudziestym trzecim, dokładnie między skrzydłami. Dno samolotu otworzyło się, tak jakby Pan Bóg rozłuskał strąk grochu, i wszyscy wypadli na zewnątrz.

Victor kiwnął głową.

–Pamiętam, widziałem to w telewizji.

–Przecież to oczywisty trop. Zarówno Frank Coward, jak i Lesley Kellow przechodzili terapię hipnotyczną u doktora Rice'a. Jest jeszcze jeden trop, o którym wspominał Joe. Tylko hipotetyczny, ale jednak. W rozbitym helikopterze zginął John O'Brien, a w katastrofie nad Rocky Woods poniósł śmierć Dan Margolis. Pamiętasz chyba Margolisa?... To ten facet, który zamierzał rozprawić się z kolumbijskimi handlarzami narkotyków. Dwaj liberałowie, obaj zabici w samolotach pilotowanych przez pacjentów doktora Rice'a.

–I kolejny trop – wtrącił Victor. – Mężczyźni stojący za płotem, na tym porośniętym trawą pagórku, niedaleko miejsca, w którym zamordowano Kennedy'ego. Następny liberał.

Przez chwilę obaj milczeli, nie chcąc wypowiedzieć na głos nasuwającej się nieodparcie konkluzji. Była zbyt daleko idąca, zbyt dramatyczna. Była niczym odkrycie, że biegun południowy znajduje się w istocie na górze mapy, a biegun północny na dole.

–Myślisz, że to spisek? – zapytał w końcu Victor.

–Jeżeli w ogóle, to zupełnie nieprawdopodobny – stwierdził Michael. – Bo jaki miałyby być motyw? Jakie polityczne podłoże?

–To właśnie będziemy musieli odkryć – powiedział Victor. Michael przeczytał po raz drugi notatkę doktora Rice'a.

–Na początek ustalmy, kim jest ten „H”. Jeżeli „H” chciał wiedzieć, czy Frank Coward może przeprowadzić akcję, to w takim razie wydaje się całkiem prawdopodobne, że właśnie on był łącznikiem między doktorem a spiskowcami. Oczywiście zakładając, że istnieją w ogóle jacyś spiskowcy.

Victor zaczął kartkować filofaks doktora Rice'a.

–Hmm, znał mnóstwo osób na „H”. Julius Habgood, chirurg szczękowy. Kerry Hastings, kwiaciarka. Norman T. Henry.

Michael podszedł do stołu i podniósł słuchawkę telefonu.

–Zadzwoń jeszcze raz do Marcii, żeby sprawdzić, czy ma jakąś wiadomość od Joe.

–Mason Herridge, pośrednik nieruchomości. Ruth Hersov, pośredniczka nieruchomości. Jacob Hertzman, psychiatra.

Michael wystukał numer Garbodena; Marcia odebrała prawie natychmiast.

–Joe? – zapytała głosem, w którym brzmiał niepokój.

–Nie, przykro mi, Marcia, to ja, Michael. Wciąż nie masz żadnej wiadomości?

–Nic. Nikt go nie widział, nikt o nim nie słyszał.

–Jestem przekonany, że nic mu się nie stało. Nie zdaje sobie po prostu sprawy, jak bardzo się niepokoisz.

–Chyba sam w to nie wierzysz. Joe nie zniknąłby tak po prostu, nic mi nie mówiąc. Bywa czasami kłótniwy albo niecierpliwy, ale nigdy okrutny.

–Czy mogę ci jakoś pomóc? – zapytał Michael.

–Joe Hesteren, mechanik samochodowy – ciągnął dalej Victor. – Joyce Hewitt. Leonard Heyderman.

–Po prostu odzywaj się – poprosiła Marcia. – Jutro przyjeżdża moja siostra, ale czuję się taka samotna.

Michael odłożył słuchawkę. W głębi duszy poważnie niepokoił się o Garbodena. Dręczyła go obawa, że Joe zginął i że nigdy już nie zobaczy go żywego.

–Tutaj mam coś dziwnego – powiedział Victor.

–Tak?

–Jest tu po prostu tylko samo nazwisko, ale prawdopodobnie nie ma to większego znaczenia.

Michael obszedł sofę i zajrzał Victorowi przez ramię. Kuryłowicz wskazał elegancko wykaligrafowane nazwisko i adres: pan Hillary, Goafs Cape, telefon 508.

Michael poczuł, że po grzbiecie chodzą mu zimne ciarki. Nie mógł powstrzymać mimowolnego dreszczu.

–Pan Hillary – powtórzył. – To człowiek, którego widziałem, kiedy byłem zahipnotyzowany. Człowiek, którego nazwisko wymienił ślepiec na Copley Place.

Victor obrócił się.

–Jezus – powiedział. – Jesteś blady jak ściana.

–Nie sądziłem, że istnieje naprawdę.

–Dlaczego się tak przejmujesz? Wszystko to można świetnie wytłumaczyć. Doktor Rice wprowadził do twojej pamięci to nazwisko podczas hipnozy. Mógł nawet nie zrobić tego bezpośrednio... może rozmawiał po prostu w tym czasie z panem Hillarym przez telefon.

–Ale ja go widziałem. Wiem dokładnie, jak wygląda.

–To niekoniecznie musi coś oznaczać. Najprawdopodobniej usłyszałeś po prostu, będąc w transie, nazwisko tego człowieka, a twoja wyobraźnia stworzyła jakiś jego obraz. Założę się, że jeśli cofniesz się pamięcią wstecz, znajdziesz kogoś, kto wygląda całkiem podobnie. Może to postać z jakiejś książki albo z filmu... ktoś o podobnym nazwisku.

–Nigdy w życiu nie widziałem człowieka, który by go przypominał. A swoją drogą, jak wytłumaczysz, że wymienił jego nazwisko ten ślepiec?

–Nie wiem. Pewnie się przesłyszałeś. A może miałeś kaca po seansie hipnotycznym.

–Usiłujesz odgrywać przede mną wielkiego sceptyka? – zapytał Michael.

–Jestem lekarzem sądowym – uśmiechnął się Victor. – Nauczono mnie być sceptycznym. Nie mam nic przeciwko szukaniu różnych powiązań i tropów i wyciąganiu logicznych wniosków. Ale nie wierzę w magię i nie wierzę, że oglądałeś podczas seansu hipnotycznego ludzi, których nie widziałeś przedtem na oczy.

Michael wziął do ręki filofaks.

–Pan Hillary, Goat's Cape. Gdzie, do cholery, jest Goat's Cape?

**–Nie wiem. Masz jakąś mapę?**

**Rearden zszedł na dół i zabrał ze schowka na rękawiczki swoją podniszczoną mapę samochodową Randa McNally’ego. Chodniki były wciąż zatłoczone, a po drugiej stronie ulicy młody człowiek z długimi, opadającymi na ramiona czarnymi włosami grał na skrzypcach – wykonując jeden z tych wysokich pasaży, które zawsze przypominały Michaelowi filmy z bladymi kobietami gotyku, biegającymi w przerażeniu po komnatach opuszczonego zamczyska.**

**Zamykał właśnie z powrotem samochód, kiedy zobaczył pod drugiej stronie ulicy kogoś jeszcze. Mężczyznę w bardzo ciemnych okularach, stojącego przy drzwiach zamkniętej już włoskiej piekarni di Lukki. Znowu poczuł, jak chodzą mu po plecach ciarki. Nie sposób było powiedzieć, czy mężczyzna wpatruje się w Michaela czy nie, ale stał zupełnie nieruchomo, z rękoma zwieszonymi po bokach i najbardziej przerażający był właśnie ten jego kompletny bezruch pośrodku śpieszącego się gdzieś, przepychającego tłum.**

**Michael ruszył z powrotem chodnikiem w stronę Cantina Napoletana. Odwrócił się tylko raz: tuż przedtem nim wszedł do domu; mężczyzna wciąż tam stał, wciąż nieruchomy jak słup.**

**Wróciwszy na górę, podszedł do okna, wychodzącego na Hanover Street, ale przed piekarnią di Lukki zaparkowała duża, niebieska furgonetka i nie potrafił powiedzieć, czy mężczyzna w ciemnych okularach wciąż tam stoi.**

**–Coś nie w porządku? – zapytał Victor. W czasie nieobecności Michaela nalał sobie kolejną szklaneczkę whisky i dalej przeglądał notes doktora Rice’a.**

**–Nie wiem... w wejściu do piekarni po drugiej stronie ulicy stał jakiś facet. Błada twarz, ciemne okulary. Bardzo podobny do tych typków, którzy kręcili się po New Seabury.**

**–Wciąż tam jest?**

**–Nie wiem... chyba już poszedł.**

**–Cóż... nie dajmy się zwariować – powiedział Victor. Michael rozłożył mapę na stole i zaczął sunąć palcem wzdłuż wybrzeża, poczynając od Acoaxet na południu aż po Salisbury Beach na północy.**

**–Wiedziałaś, że doktor Rice uprawiał hipnozę auralną? – zapytał Victor.**

**–Tak, wspomniał o tym dzisiaj. Przedtem też mówił kilkakrotnie o mojej „aurze”, kiedy poddawany byłem terapii. Myślałem, że chodzi mu o moje osobiste wibracje. Uważał, że moja aura jest w fatalnym stanie.**

**–To wszystko? Nie mówił ci, co próbuje zrobić? Michael spojrzał na niego ostro.**

**–Usiłował doprowadzić moją aurę do porządku.**

**–Ale nie wyjaśnił ci, na czym właściwie polega hipnoza auralna? Michael wyduł wargi. Denerwowało go, że Victor wypytuje tak drobiazgowo o przebieg terapii, której był poddawany prawie od roku.**

**–Hipnoza auralna to hipnoza, która pomaga doprowadzić do porządku twoją aurę, to wszystko.**

**–Tak, jasne, w pewien sposób pomaga. Ale oddziałuje zupełnie inaczej niż normalna hipnoza. Ma ten sam terapeutyczny cel... ale posługuje się inną techniką.**

Jest o wiele silniejsza, o wiele bardziej bezpośrednia. Kilka miesięcy temu czytałem o tym artykule w *New Psychology* i jeżeli rozumiesz psychiatryczny żargon, masz tu wszystko wyjaśnione w tej książce.

–Czyżby? – zapytał Michael, próbując ukryć ogarniającą go irytację. Jego sunący po mapie palec dotarł do Priscilla Beach, na południe od Bostonu. – Myślałem, że w ogóle nie wierzysz w hipnozę. Twierdziłeś, zdaje się, że oglądałeś ją tylko na scenie, kiedy ludziom perswadowano, żeby zdjęli publicznie spodnie i inne takie rzeczy.

–Może kłamałem.

Rearden podniósł wzrok.

–Może kłamałeś? Dlaczego miałbyś kłamać w takiej sprawie?

Victor zdjął okulary. Jego oczy wydawały się zażawione i mętne.

–Wiem dobrze, co zawdzięczam hipnozie. Chciałem po prostu dowiedzieć się, czy z tobą było podobnie.

–Co mianowicie zawdzięczasz hipnozie?

–Mnie nigdy nikt nie hipnotyzował. W tej sprawie wcale cię nie oszukałem. Ale hipnotyzowano wielokrotnie, w ciągu kilku miesięcy, moją siostrę. Była bardzo chora, rozumiesz. Wydaje mi się, że kuracja zaoszczędziła jej wiele bólu. Przypuszczam, że chciałem po prostu wiedzieć, czy to prawda: czy naprawdę złagodzone jej cierpienia.

–Cóż, mogę ci zagwarantować, że ta kuracja pomaga – odparł Michael.

Victor zagiął róg kartki w książce doktora Rice'a.

–Posłuchaj tego: „Hipnoza auralna została odkryta w roku tysiąc siedemset osiemdziesiątym drugim przez markiza de Puysegara, ucznia Mesmera, wiedeńskiego lekarza, twórcy mesmeryzmu. Mesmer używał do hipnotyzowania ludzi wszelkiego rodzaju sprzętu: drutów, magnesów i naczyń z wodą. Markiz de Puysegar dowiódł, że wszystko to jest niepotrzebne; wystarczy tylko kojący głos i coś, na czym można skupić wzrok, na przykład światło albo moneta”.

Co więcej... posłuchaj tego: „...w latach osiemdziesiątych osiemnastego stulecia markiz udał się w podróż do Południowej Ameryki i odkrył tam w Peru Indian, którzy hipnotyzowali się tylko po to, aby aury opuściły ich ciała i tańczyły ku uciesze dzieci wokół obozowych ognisk”. Potrafisz w to uwierzyć? Wczesna telewizja! „Odbywali nawet ze sobą hipnotyczne pojedynki, wprowadzając się w trans i doprowadzając do tego, że aura jednego wojownika mogła fizycznie opuścić jego ciało i walczyć z aurą drugiego”. Wydaje się, że uczestnicy tych transów żuli sporo liści koki, ale nie ma to większego znaczenia. Istota hipnozy auralnej sprowadza się do tego, że aura hipnotyzera opuszcza na jakiś czas jego ciało i łączy się z aurą pogrążonego w transie pacjenta. Można to nazwać hipnozą zaangażowaną.

–Mów dalej – ponaglił go Michael.

–Doktor Rice wspomina o hipnozie auralnej dwa albo trzy razy. Oto, co pisze w październiku zeszłego roku: „Uraz Michaela Reardena okazał się tak trudny do opanowania, że postanowiłem wyzwolić podczas tej sesji jego aurę. Doświadczenie okazało się przerażające. Rearden znajduje się w stanie tak głębokiego szoku, że jego eteryczne ciało tworzą ciemne węzły napięcia i lęku, które można porównać jedynie do niezwykle silnych skurczów mięśniowych. To jeden z najgorszych

przypadków, na jakie natrafiłem, trudniejszy nawet od Franka Cowarda. Gdyby udało się przeświecić jego aurę, łatwiej można by zidentyfikować wszystkie prześladowające go tej nocy traumatyczne doświadczenia, ale ja muszę działać «na wyczucie», «przez dotyk». Nigdy dotychczas nie napotkałem tak ciemnego i zdeformowanego ciała eterycznego”.

Michael odchrząknął z rozbawieniem.

–Opisuje mnie, jakbym był jakimś Quasimodo.

–Garbus z Hyannis – uśmiechnął się Victor. – Tym niemniej... uważa chyba, że hipnoza auralna pomagała ci przewyciężyć urazy. Kiedy weźmie się pod uwagę, jak bardzo niebezpieczne mogą okazać się takie seanse, powinieneś być mu chyba wdzięczny.

–Niebezpieczne? Co masz na myśli?

–Zwykle hipnotyzer wprowadza cię w lekki trans, który zawiesza na jakiś czas niektóre twoje funkcje korowe. Stajesz się podatny na sugestie, dzięki czemu hipnoterapeuta może zaprowadzić cię z powrotem w czasy dzieciństwa i w ogóle w dowolny punkt, w którym zaczęły się problemy... w twoim przypadku jest to katastrofa nad Rocky Woods. Pomaga ci zlokalizować i zrozumieć twoje lęki i nakazuje ci po prostu, abyś z nimi skończył. Budzi cię, pstryk i po problemie.

–Ale hipnoza auralna jest, inna?

–Cóż, bardziej przypomina fizjoterapię... no wiesz, kiedy miałeś wypadek albo coś w tym rodzaju i terapeuta zabiera cię do basenu i manipuluje przy twoich mięśniach. Hipnotyzer wprowadza cię w głęboki trans... tak głęboki, że wolniej bije twoje serce i oddychasz prawie w dwa razy wolniejszym tempie. W momencie kiedy wchodzisz w trans, przyłącza się do ciebie jego ciało eteryczne. Jego aura towarzyszy ci praktycznie przez cały czas. Może „wizytować” wraz z tobą twoje lęki i pomóc ci stwierdzić, że w gruncie rzeczy nie masz się czego obawiać.

–Co w tym jest takiego niebezpiecznego?

–Dla początkującego hipnotyzera twoja aura może się okazać do tego stopnia przerażająca, że sam nie potrafi sobie z nią poradzić. Urazy, które zniekształcają twoją aurę, mogą zdeformować również jego. Niebezpieczeństwo polega na tym, że doktor może doznać równie poważnego urazu co pacjent. A nawet większego, ponieważ jego aura przebywa poza ciałem i jest bardziej niż zwykle podatna na zranienie.

–Wierzysz w to wszystko? – zapytał Michael.

Victor pokiwał głową.

–Powinieneś widzieć moją siostrę, Ruth. W sześćdziesiątym siódmym roku stwierdzono u niej raka żołądka. Cierpiała ból, którego nie potrafiłbyś sobie nawet wyobrazić. Jediną osobą, która ułatwiła jej przeżycie ostatnich dni, był hipnoterapeuta. Dzięki niemu zamiast cierpieć katusze, spędziła wiele błogich godzin. Zabierał ją z powrotem w dzieciństwo, wracał do dnia jej ślubu. Przeżywała na nowo wszystkie swoje najszcześniejsze chwile. Umierając nie leżała w szpitalnym łóżku w Newark, ale wyprowadzała na spacer swego psa z domu naszego wuja w Cos Cob w stanie Connecticut. Oczywiście tutaj, w środku – dodał, pukając się w czoło.



Przerwał na chwilę i zaszklily mu się trochę oczy. – To była hipnoza auralna – podjął. – Dopiero po wielu latach odkryłem, że zabierając Ruth w tę podróż w lata młodości hipnoterapeuta cierpiał prawie tak samo dotkliwy ból jak ona. Po śmierci mojej siostry spędził siedem miesięcy w szpitalu, lecząc perforowane wrzody żołądka. O mało nie umarł.

–To zadziwiające – powiedział Michael – że dwie psychiki mogą się tak blisko połączyć. Stać się do tego stopnia... jak to się mówi... symbiotyczne.

–Nie jestem pewien, czy wierzę w zbiorową podświadomość – stwierdził Victor. – Ale na pewno wierzę, że dwoje ludzi potrafi zbliżyć się do siebie tak blisko, że mają te same podświadome doznania. Kochasz swoją żonę. Powinieneś o tym wiedzieć.

–Tak – odparł powoli Michael. – Chyba tak. Wydaje mi się, że zapominam o tym częściej, niż powinienem.

Victor zamknął książkę doktora Rice'a i wstał z sofy, pragnąc najwyraźniej zmienić nastrój.

–Do rzeczy – powiedział. – Gdzie jest ten Goat's Cape, którego szukasz?

Michael ponownie zaczął sunąć palcem wzdłuż linii brzegowej Massachusetts. Minął bostoński port, Winthrop Beach, Revere Beach i Lynn Harbor, i nagle znalazł, czego szukał, zdziwiony, że nie zauważył tego napisu nigdy przedtem. Goat's Cape; położony po południowej stronie przylądka Nahant fragment lądu wrzynający się w Massachusetts Bay na samym końcu długiego na pięć kilometrów przylądka, który przypominał szarpiącego się na linie delfina.

Nahant – to na tamtejszej plaży znaleźli wyrzucone na brzeg torturowane ciało Sissy O'Brien; to tamtejszą latarnię widział w swoim hipnotycznym transie.

–No, no, no – mruknął Victor, zsuwając okulary na czoło i przyglądając się uważnie mapie. – Wszystko to zaczyna nabierać sensu.

Michael odwrócił się. Jego własny cień wydał mu się nienaturalnie powiększony i straszny.

–A więc to prawda? – powiedział ze ściśniętym gardłem. – Cała ta gadanina o spisku. To prawda.

–Powiedzmy w ten sposób: sprawa z pewnością wymaga dalszego dochodzenia.

–Tak – odparł Michael, czując, jak pod jego stopami otwiera się podłoga.

Nie zostało im tego wieczora dużo do roboty poza oglądaniem telewizji, wypiciem paru drinków i omówieniem tego, co planowali na następną rano.

O dziesiątej CBS nadało reportaż na żywo z Seaver Street. Z początku nie było fonii, ale wystarczała wizja. W zniszczonym barze stał czarny reporter; na jego spoconej twarzy odbijały się czerwono-niebieskie policyjne światła. Z tyłu widać było palące się samochody i ciężarówki.

–...siedmiu żołnierzy Gwardii Narodowej zginęło – usłyszeli – kiedy ich helikopter rozbił się nie opodal Grove Hall... zaginęło już osiemnaście osób cywilnych... zamieszki zupełnie wymknęły się spod kontroli... gubernator ogłosił wprowadzenie stanu wyjątkowego.

–Koniec świata, który znamy – zauważył oschle Victor.

–Otrzymałaliśmy właśnie wiadomość – oznajmił ze studia prowadzący program

**John Breezeman – że prezydent jest głęboko zaniepokojony zamieszkami w Bostonie i że z całego serca popiera działania gubernatora.**

**Michael wstał i wyłączył telewizor.**

**–Prześpijmy się trochę. Nie chcę oglądać końca świata na kacu.**

**Tej nocy, tuż przed świtem, przyśnił mu się najbardziej niezwykły i przerażający koszmar. Spadał tak jak zawsze w ciemności i wiedział, że wszędzie obok niego spadają inne ciała.**

**Ale kiedy tak pruł przez zimne nocne powietrze, poczuł, że ktoś trąca go w bok. Nagle wcale już nie spadał, ale przepychał się przez tłum i wszyscy dotkliwie go potracali. Nie robili tego jednak tak, jak robią ludzie w normalnym tłumie. Robili to w sztywny, niezdarny sposób, tak jakby nie potrafili ustać sami na nogach; tak jakby ktoś pociągał za niewidoczne nitki, żeby ich ożywić.**

**Tak jakby byli martwi.**

**Zobaczył w tłumie uśmiechniętego mężczyznę w garniturze. Mężczyzna nic nie mówił, po prostu machał do niego ręką, a kiedy Michael podszedł bliżej, wyciągnął ramiona, tak jakby chciał go objąć, uściskać i przycisnąć do serca.**

**–Nie! – krzyknął Michael. – Nie! Proszę do mnie nie podchodzić! Proszę się do mnie nie zbliżać!**

**Nie bał się potracających go ludzi. Nie bał się mężczyzny w garniturze. Bał się tego, co sam zamierzał zrobić. Przerazały go jego własne mordercze zamiary.**

**Wiedział, że jeśli ten człowiek podejdzie choć trochę bliżej, będzie musiał go zabić. Rozpłatać niczym dojrzały melon.**

**Ale mężczyzna wciąż się uśmiechał, przepychając się w jego stronę i Michael nie mógł się odwrócić, nie mógł uciec z powodu otaczającego go martwego tłumy.**

**–Nie, panie prezydencie! – krzyknął. – Niech pan do mnie nie podchodzi. Nie, panie prezydencie, nie!**

## ROZDZIAŁ XIV

–Wchodźcie – powiedział Thomas, otwierając przed nimi drzwi mieszkania. Spod jego flanelowej koszuli w czerwoną kratę wystawały siwiejące włosy na piersi. Zaprowadził ich do ładnie urządzonego salonu, w którym panował lekki bałagan. W powietrzu unosił się zapach cynamonu, goździków i szarlotki, a przez smugę dymu z niedawno zgaszonego papierosa przeświecało słońce.

–Słyszeliście najnowsze wiadomości? – zapytał, zbierając z kanapy wczorajsze gazety. – Pali się połowa Roxbury. Zabito dwóch następnych żołnierzy Gwardii Narodowej. Wygląda na to, że sytuacja pogarsza się, zamiast polepszać.

–Chcieliśmy poinformować cię o paru sprawach – oznajmił Victor, składając okulary i wsuwając je do kieszeni koszuli. – Ale przede wszystkim musisz zawiesić na chwilę na kołku swój naturalny policyjny sceptycyzm.

–Siadajcie – powiedział Thomas. – Chyba nie znasz mojej żony, prawda, Victor?

Do salonu wjechała na wózku Megan. Miała na sobie biały lniany fartuszek haftowany w kwiatki i usmarowany mąką nos.

–Przepraszam was bardzo – powiedziała z uśmiechem. – Próbowałam właśnie sprawdzić stary irlandzki przepis na szarlotkę.

–Dzień dobry, pani Boyle – powitał ją Michael. – Jestem Michael Rearden. Spotkaliśmy się kiedyś na wiejskim targu w Cold Spring Park. Powiedziała mi pani, co robić z arugolą.

–Tak, pamiętam – odparła, kiwając głową, Megan. – Co słychać?

Rearden machnął niezdecydowanie ręką.

–Byłem trochę rozkojarzony, ale jakoś doszedłem do siebie. Jeśli nie ma pani nic przeciwko, chcielibyśmy zamienić dwa słowa z Żyrafą.

–Oczywiście. Zrobić wam kawy?

Thomas niecierpliwie zaprowadził ich do gabinetu. Stała tam niewielka, kryta zielonym welwetem kanapa i zawalone aktami i pismami biurko. Na ścianie wisiało kilka zbiorowych fotografii z bostońskiej policji – unoszący szklanki w stronę kamery, zaczerwieniem od alkoholu funkcjonariusze.

–Usiądźcie – powiedział Boyle.

Michael i Victor przycupnęli niezbyt wygodnie na kanapie, dotykając się wzajemnie udami. Thomas zamknął drzwi i usiadł za biurkiem, odchylając się do tyłu na staroświeckim drewnianym krześle.

–To dochodzenie w sprawie O’Briena – zaczął Michael – to prawdziwa puszka Pandory.

Thomas uniósł w górę dłoń.

–Zanim zaczniecie, chciałbym wam przekazać wiadomość, którą otrzymałem z biura szeryfa hrabstwa Barnstable. Znaleźli kolejne ciało z punktowymi ranami na plecach... takimi samymi jak u Sissy O’Brien i Elaine Parker. – Wziął głęboki oddech. – Nie wiecie o tym, ale rozesłałem na cały stan instrukcję z prośbą, aby przekazywano do bostońskiego wydziału zabójstw wszelkie informacje o torturach i niezwykłych ranach. Ta wiadomość nadeszła dziś o trzeciej trzydzieści rano.

Michael czekał. Czuł, że Thomasowi ciężko jest o tym mówić i zaczął się domyślać

dłaczego.

–Ciało odnalezione zostało w gęstym lesie w odległości mniej więcej ośmiuset metrów od drogi numer sto pięćdziesiąt jeden, niedaleko Johns Pond. Nie było śladów stosunku, ale nie otrzymałem jeszcze do tej pory szczegółowego raportu. Lekarz, który badał zwłoki, uważa, że śmierć została spowodowana przez jakiś rodzaj igły bądź igieł, które zostały wbite od tyłu w nadnercza. Dokładnie tak samo, jak w przypadku Elaine Parker i Sissy O'Brien. – Twarz Thomasa była szara. Nie spał od chwili, kiedy wczesnym rankiem zadzwonił do niego szeryf Maddox; i w ogóle nie znosił przekazywać nikomu tego rodzaju wiadomości. – Na podstawie odnalezionych nie opodal dokumentów szeryf Maddox dokonał wstępnej identyfikacji zwłok. Należą... uhum... do Josepha K. Garbodena.

Już od chwili kiedy Boyle zaczął mówić, Michael podejrzewał, że to Joe. Mimo to po policzkach pociekły mu łzy i ogarnął go olbrzymi żal i poczucie osamotnienia, tak jakby stracił któregoś z rodziców. Nie ulegający na ogół sentymentom Victor objął go ramieniem i mocno uścisnął.

–Kiedy mniej więcej nastąpiła śmierć? – zapytał Kuryłowicz.

–Przedwczoraj, krótko przed południem. Ustaleń dokonano... uhum, na podstawie stadium rozwojowego muchy ścierwnicy.

–To oznacza, że zginął zaledwie w pół godziny po odjeździe sprzed domu Michaela w New Seabury.

Thomas kiwnął głową.

–Bardzo mi przykro, Mikey. Znałem Joe mniej więcej tak samo dobrze jak wszystkich w tym mieście, ale lubiłem go o wiele bardziej niż wielu innych.

–Czy Marcia już wie? – zapytał Michael, ocierając palcami oczy.

–Dick Maddox wysłał do niej dwóch swoich zastępców.

–Jezus – jęknął Michael. – Wiedziałem, że musiało stać się coś złego, kiedy nie odbierał telefonu w samochodzie i nie wrócił do domu na noc.

–Naprawdę mi przykro – powtórzył Thomas. – Wiem, że od dawna się przyjaźniliście.

Rozległo się szybkie pukanie do drzwi i Boyle otworzył. To była Megan, z kawą i irlandzką szarlotką, którą sama upiekła. Wjechała wózkami do gabinetu i postawiła ostrożnie tacę na stosie starych egzemplarzy Guns Ammo.

Już miała zostawić ich samych, kiedy nagle odwróciła się i wlepiła w Michaela przypominające miętowy likier zielonkawę oczy.

–Co powiedziałaś? – zapytała.

W pierwszej chwili Rearden nie zorientował się, że Megan zwraca się właśnie do niego.

–Słucham? – zapytał zmieszany.

–Coś powiedziałaś – odparła. – Stawiałam właśnie tacę i usłyszałam, jak coś mówisz.

–Przykro mi, ale nic nie mówiłem.

–Przekazałem im właśnie wiadomość o Joe Garbodenie – oznajmił Thomas, biorąc ją za rękę.

–Nie, nie – upierała się Megan. – Na pewno coś powiedziałaś. Powiedziałaś: „Hillary”.

Michaelowi przeszły po dłoniach ciarki, tak jakby trzymał je, wbrew swojej woli, w wypełnionych żółtymi robakami słojach.

–Hillary? Usłyszałaś, że powiedziałem „Hillary”?

–Jestem tego pewna – odparła Megan.

–Daj spokój, kochanie – wtrącił Thomas, kładąc jej dłoń na ramieniu. – Nie słyszałem, żeby Mikey cokolwiek mówił. Megan miała przedwczoraj pierwszy seans hipnoterapii – powiedział, zwracając się do Reardena – i od tego czasu prześladują ją jakieś zwidy. Wprawdzie ty mi to polecałaś, ale sam nie wiem. Nie jestem pewien.

–Przechodziłaś hipnoterapię? – zapytał z przejęciem Michael.

Megan kiwnęła głową.

–Przeszłam seans hipnoterapii auralnej u doktora Loefflera w Brigham and Women’s. Złagodziło to bardzo ból, ale teraz dla odmiany prześladują mnie halucynacje. To znaczy, dokładnie rzecz biorąc, może nie halucynacje, ale dziwne, drobne doznania. Słyszę na przykład ludzi, którzy nic nie mówili. Wciąż myślę, że muszę dokądś iść... że powinnam przygotować się do wyjścia. Kłopot polega na tym, że nie wiem dokąd.

–Słyszałaś przedtem nazwisko Hillary?

–Nie wiem. Wydaje się jakieś znajome. Nie mam pojęcia dlaczego.

–Podczas moich ostatnich seansów hipnotycznych – powiedział Michael, zwracając się do Thomasa – widziałem wysokiego, białowłosego mężczyznę o nazwisku Hillary. W każdym transie spotykałem go w Nahant Bay i zabierał mnie do latarni morskiej. Twierdził bez przerwy, że powinienem się do niego przyłączyć, że jestem jednym z jego ludzi. Wewnątrz latarni przedstawia mnie wszystkim tym młodzieńcom o białych twarzach. Tym samym, którzy obserwowali mój dom w New Seabury, tym samym, którzy mają na oku mnie i Victora, odkąd wróciliśmy do Bostonu, i tym samym, którzy śledzili Joe, kiedy odjeżdżał dwa dni temu spod mojego domu.

–Ja też ich widziałem – dodał Victor, na wypadek gdyby Thomas uznał, że Rearden znajduje się pod działaniem zbyt silnego emocjonalnego stresu.

–Przyszliśmy tutaj – podjął Michael – aby powiedzieć ci, że złapaliśmy dwóch z nich w chwili, gdy obcinali stopy mojemu hipnoterapeucie.

–Co takiego robili? – zapytał z niedowierzaniem Thomas.

–Obcinali mu stopy przemysłowymi nożycami. Zabili jego recepcjonistkę i najprawdopodobniej chcieli zabić również jego. Na szczęście Victorowi udało się prawie powstrzymać krwawienie i przewieziono go na zabieg mikrochirurgiczny do Boston Central. Leży tam teraz.

–Kiedy go odnaleźliśmy, był w szoku, ale zdołał potwierdzić to, co razem z Victorem już podejrzewaliśmy... że pilot O’Brien prowadził helikopter pozostając w stanie posthipnotycznej sugestii, a kierowca pikapa wiedział, że maszyna rozbije się na Nantasket Beach.

–Dał nam również swój notatnik i filofaks. W tym pierwszym znajdują się zapiski

dotyczące kogoś oznaczonego literą „H”. Zajrzeliśmy do filofaksu i trafiliśmy na pozycję „Pan Hillary, Goat’s Cape”. Goat’s Cape jest na półwyspie Nahant, dokładnie tam, gdzie stoi latarnia morska.

Megan trzymała Thomasa za rękę. Nawet bez smugi mąki na nosie wydawała się bardzo blada.

–Latarnia – wyjąkała. – Zgadza się. Latarnia.

–Ty też ją widziałaś?

–Kiedy byłam w transie. Z dużej odległości. Biała, przysadzista latarnia.

Thomas zmarszczył brwi.

–Dwie różne osoby nie mogą chyba oglądać tych samych rzeczy podczas dwóch różnych seansów hipnotycznych. Ludzie nie mogą mieć takich samych snów, prawda? Jakim cudem mogliście oboje widzieć tę samą latarnię?

–To się zdarza – wtrącił Victor. – Zauważ, że byli poddawani hipnoterapii auralnej, która różni się od normalnej hipnozy. Umysł pacjenta staje się wtedy podatny na zewnętrzne wpływy... na aury innych osób. Możliwe, że zarówno terapeuta Michaela, jak i terapeuta Megan kontaktowali się z tym panem Hillarym i wtedy wydaje się całkiem prawdopodobne, że oboje, Michael i Megan, mogli oglądać podczas transu jego latarnię.

Megan zadrżała.

–To straszne – stwierdziła.

–Jest coś jeszcze bardziej straszniejszego. – Michael otworzył teczkę i podał Thomasowi fotografie, które Joe ukrył w egzemplarzu Mushing.

–Co to wszystko ma znaczyć? – zapytał Boyle.

–Po prostu rzuć na to okiem – powiedział Michael. – Przeczytaj podpisy na odwrocie. A potem sam zdecyduj, co to wszystko ma znaczyć.

Thomas obracał przez chwilę fotografie na wszystkie strony.

–Są trochę zamazane, prawda? Dealey Plaża, dwudziestego drugiego listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku... Ale to przecież...

Nagle umilkł. Obejrzał dokładnie wszystkie zdjęcia, przeczytał podpisy. Megan nalala kawy i siedzieli razem popijając ją, podczas gdy Thomas wpatrywał się bez słowa w fotografię przedstawiającą stojących na porośniętym trawą pagórku mężczyzn o białych twarzach.

–Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? – zapytał w końcu Michael.

–Nie wiem. Nie wiem, co powiedzieć. Tego typu dochodzenie grubo przekracza moje kompetencje.

–Ale nie zamierzasz powiedzieć o tym komisarzowi Hudsonowi, prawda? Ani FBI?

–Nie bardzo widzę, co innego mógłbym zrobić.

–Możesz pomóc nam zlokalizować tego pana Hillary’ego.

–To nie powinno być zbyt trudne. Mamy jego adres.

–Możesz go zabrać na przesłuchanie.

–Czyżby? Na podstawie jakiego zarzutu? Że pojawia się w transach hipnotycznych innych ludzi?

–Thomas, to jest poważna sprawa – powiedział Michael. – Dlatego zginęła Sissy

O'Brien, a także Elaine Parker. I wszyscy ci ludzie, którzy ponieśli śmierć nad Rocky Woods. A teraz mamy dowód, że zamordowany został z tych samych powodów również JFK.

Thomas potrząsnął przecząco głową. Wsadził fotografie do koperty i wręczył ją z powrotem Reardenowi.

–To wszystko domysły. Dzikie domysły. Oficjalne wyniki sekcji są takie, że John O'Brien i członkowie jego rodziny zginęli w nieszczęśliwym wypadku... i spójrzmy prawdzie w oczy: jedyną osobą na świecie, której nie oskarżono dotąd przy jakiejś okazji o udział w zamachu na Kennedy'ego, jest papież.

Zadzwoił telefon. Megan odebrała go w salonie.

–Thomas! – zawołała po chwili. – Dzwoni David Jahnke. Mówi, że to pilna sprawa.

–Przepraszam was na chwilę – powiedział Thomas, podnosząc słuchawkę. – Dzień dobry, Davidzie, co się stało tym razem? – Kiedy słuchał, w jego policzku poruszał się co jakiś czas rytmicznie mięsień. – Piętnaście minut – powiedział w końcu i odłożył słuchawkę.

–Co się stało? – zapytał Victor.

–Lepiej będzie, jak ze mną pójdziesz – odparł Thomas. Wstał i dopił kilkoma szybkimi łykami gorącą kawę. – Brygadzie SWAT udało się odbić połowę Seaver Street. Przejęli między innymi apartament Patrice'a Latomby. – Zapiął pas z kaburą i wsunął do niej służbowy rewolwer. Victor pomógł mu założyć brązową marynarkę. – Znaleźli tam dwa ciała. Jedno należy do Verny Latomby, żony Patrice'a, drugie do detektywa Ralpha Brossarda z brygady antynarkotycznej... tego samego, który zabił przypadkowo dzieciaka Latomby i zapoczątkował całą tę wojnę.

–Czy mogę pójść razem z wami? – zapytał Michael.

–Przykro mi – odparł Thomas. – W tym momencie nie mogę sobie na to pozwolić. Jeszcze jeden martwy cywil i Globe upiecze nas na wolnym ogniu.

Victor uścisnął mocno ramię Michaela.

–Skontaktuję się z tobą później. Nie martw się, nie dopuszczę, żebyś się z tego wyłączył.

–Może jeszcze trochę kawy? – zapytała Megan, kiedy wyszli.

Michael potrząsnął głową.

–Nie, dziękuję.

–Bardzo mi przykro z powodu twojego przyjaciela – powiedziała.

–Mnie też. Dlatego właśnie chcę dopaść tego pana Hillary'ego.

–Jak ktoś może uczestniczyć w czyimś transie hipnotycznym w sposób, w jaki on to zrobił? – zapytała.

–Nie wiem. Victor tłumaczy to tym, że hipnoza auralna jest bardzo silna. Dopóki mi tego nie powiedział, nie wiedziałem nawet, że mój terapeuta ją stosuje.

–Doktor Loeffler wyjaśnił mi kilka rzeczy – stwierdziła Megan. – Powiedział, że każdy ma swoją aurę... i że przypomina ona jaskrawe, kolorowe światło, które otacza ciało i jest od niego dwa albo trzy razy większe. Ludzie o bardzo wrażliwej psychice mogą ją widzieć. Uprzedził, że kiedy będzie mnie hipnotyzował, zobaczę białe albo różowe światło, i że to będzie jego aura wnikająca w moją podświadomość. –

Uśmiechnęła się. – Moim zdaniem to coś bardzo intymnego, naprawdę: pozwolić wniknąć obcemu człowiekowi we własną podświadomość. To gorsze niż pozwolić mu grzebać w szufladach z bielizną.

–Kiedy hipnotyzował mnie doktor Rice, ja również widziałem to różowe światło – potwierdził Michael. – Nigdy nie wiedziałem, czym jest. Domyślam się, że doktor Rice nie chciał, abym się domyślił, że podąża w ślad za mną.

–Doznałeś ciężkiego urazu? – zapytała Megan. – Nie masz mi chyba za złe, że o to pytam.

Michael potrząsnął głową.

–Byłem do niczego przez długie miesiące. – Wyjął z kieszeni cynkowo-miedziany krążek doktora Rice'a i podniósł go do góry. – Gdyby nie to śliczne maleństwo, mam wrażenie, że stopniowo stoczyłbym się w szaleństwo. Myślę o prawdziwym szaleństwie: nie do wyleczenia.

–Daj mi to obejrzeć – zażądała Megan. Położyła krążek na otwartej dłoni i przez chwilę mu się przyglądała, kilkakrotnie obracając. – A może spróbowalibyśmy razem? – zaproponowała.

–Nie rozumiem.

–Może spróbowalibyśmy wprowadzić się razem w trans? To znaczy, w ten sam trans hipnotyczny. Moglibyśmy wtedy wspólnie poszukać tego pana Hillary'ego. Jeśli istnieje zarówno w transach, jak i realnym świecie, w takim razie możemy go odnaleźć, nie wychodząc nawet z tego pokoju.

Michael posłał jej ostrożne spojrzenie. Miał nadzieję, że kalectwo nie wyprowadziło jej z równowagi; że nie pragnie za wszelką cenę zaznać swobody ruchów, którą nie mogła cieszyć się na jawie. Ale Megan uśmiechnęła się do niego i nie mógł się powstrzymać, żeby nie odwzajemnić uśmiechu. Lubił ją. Była pogodna, inteligentna i autentyczna. Paraliż nie wzbudził w niej złości na cały świat, nie wydawało się także, żeby prosiła o współczucie.

Wziął od niej cynkowo-miedziany krążek, położył go na stole między nimi, a potem przysunął sobie krzesło i usiadł.

–Nie wiem, czy to się uda – stwierdził. – Ale chyba warto spróbować. Weźmiemy się za ręce, dobrze, a potem utkwimy wzrok w krążku i spróbujemy się wzajemnie uśpić. A później zobaczymy, czy uda nam się połączyć nasze aury.

–Co będzie, jeśli się nie uda? – zapytała go Megan.

–Najgorszą rzeczą, jaka może nam się przydarzyć, jest to, że utniemy sobie oboje dobrze zasłużoną drzemkę.

–W porządku – zgodziła się. – Spróbujmy. Michael wziął jej dłoń w lewą rękę.

–Jesteś gotowa? – zapytał. – Patrz na krążek, pomoże nam zasnąć.

–Chcemy zasnąć – powiedziała Megan. – Chcemy zasnąć i zobaczyć wnętrza naszych umysłów.

Michael zaczął delikatnie zataczać kciukiem kółka po zewnętrznej stronie dłoni Megan.

–Chcemy zasnąć. Chcemy schodzić coraz głębiej i głębiej. Chcemy schodzić coraz niżej i niżej.



Michael nie zorientował się, że zapada w sen. Wciąż widział siedzącą naprzeciwko Megan, wciąż czuł miękką ciepłą skórę jej dłoni. Ale jego kciuk zataczał kolejne koła i jego umysł wydawał się w jakiś sposób za nim podążać. Czuł wzbierającą ciepłą ciemność, ciemność, która była głęboka i gotowa na jego przyjęcie. Leżący na stole cynkowo-miedziany krążek mrugał jasno i Michael nie mógł oderwać od niego oczu, niezależnie od tego, jak bardzo się starał. Słyszał warkot przelatującego w oddali helikoptera; słyszał uliczny ruch; ale nic nie było w stanie odwrócić jego uwagi od krążka. Przypomniało mu się dzieciństwo, kiedy był chory i leżał przez cały dzień w łóżku – drzemiąc i śniąc, podczas gdy słońce zatoczyło pełen krąg po nieboskłonie, a potem zgasło za horyzontem.

–Chcemy teraz zasnąć – powiedziała Megan; jej głos brzmiał tak, jakby dochodził z dużej odległości. – Chcemy zatopić się w naszych umysłach.

Michael chciał to powtórzyć, ale nagle stwierdził, że powoli, bardzo powoli osuwa się w miękką, duszącą ciemność. Nic już nie słyszał – ani głosu Megan, ani ulicznego ruchu, ani nawet własnego oddechu. Opadał coraz niżej i niżej, chociaż w przeciwieństwie do nawiedzających go koszmarów z Rocky Woods nie bał się wcale, że roztrzaska się o ziemię. Spadał tak wolno, jakby zsuwał się w czarną, welwetową przepaść.

Wolnym, wystudiowanym ruchem obrócił się i stwierdził, że stacza się na plecach po zboczu piaszczystej wydmy. Zbocze nagle się skończyło i zatrzymał się w miejscu, spoglądając w niebo, które było czarne jak węgiel. Piasek oświeślały promienie słońca, ale niebo było czarne. Nie potrafił tego zrozumieć. Przeleciały nad nim mewy, oślepiająco białe na tle ciemnego tła.

W oddali widział stojącą przy skraju wody kobietę. Spoglądała w dół, na fale, które obmywały jej kostki. Jej postać odbijała się w wodzie i Michaelowi wydawało się przez moment, że jest ich dwie, niczym na karcie do gry. Jej włosy unosiły się w podmuchach słonej bryzy.

Wstał i ruszył w tę stronę. Kiedy szedł, odwróciła się ku niemu i zobaczył, że to Megan. Stała, wpatrując się weń oczyma, w których malowała się skrucha, ale również triumf. Rzeczy, które były, minęły. Pomyśl o tych, które mają się dopiero wydarzyć.

Podchodząc do niej przypomniał sobie, że ludzie, którzy tracą sprawność ruchową, często przez długie lata śnią, że potrafią chodzić. Spotykał się z Megan taką, jaka była przed wypadkiem – rzecz, która prawdopodobnie nie mogła się przydarzyć nawet Thomasowi. Wziął ją za rękę i naprawdę poczuł jej dotyk: była prawdziwa. Z trudem mógł uwierzyć, że znajduje się w głębokim transie, w który sam się wprowadził.

–Cześć, Michael – powiedziała z uśmiechem. Jej głos nie wydawał się do końca zsynchronizowany z ruchem ust. – Udało się to nam, obojgu. Jesteśmy tutaj.

–Są tutaj nasze aury – przypomniał jej. – Nasze ciała zostały w twoim mieszkaniu. Miejmy nadzieję, że Żyrafa nie jest zbyt zazdrosny.

Megan uniosła się na palcach i pocałowała go w policzek.

–Ufam ci – oświadczyła.

Michael rozejrzał się dookoła. W oddali, po lewej stronie, widział biały kikut latarni. Nigdzie nie było śladu pana Hillary'ego, ale mniej więcej sto metrów od nich leżało przy brzegu szare zawiniątko, zawiniątko, które mogło być ciałem młodej dziewczyny. W pobliżu spacerowały białe mewy i co jakiś czas któraś z nich podbiegała bliżej i wbijała weń dziób.

–Chodźmy do latarni – zaproponował Michael. – Może znajdziemy tam pana Hillary'ego.

–Jesteś pewien, że to bezpieczne? – zapytała Megan. – Czy wiesz, co się dzieje z ciałem, jeśli ktoś zrani twoją aurę?

Michael rozejrzał się dookoła, a potem przeczesał dłonią swoje rzadkie szarobrazowe włosy.

–Nie mam pojęcia – odparł. – Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

Megan zawahała się i ścisnęła mocniej jego dłoń.

–Jeśli nie chcesz, wcale nie musisz tego robić – stwierdził. – Zawsze możemy się obudzić.

Wpatrywała się w niego przez chwilę strwożonym wzrokiem, a potem kiwnęła głową.

–Zróbmy to – powiedziała. – Musimy to zrobić.

Ruszyli, trzymając się za ręce, przez plażę i wspięli się po łagodnym, szarym zboczu wydmy. Za nimi cofało się od brzegu znużone morze. Nad nimi wciąż krążyły mewy w poszukiwaniu ryb i padliny. Stąpając po rosnącej w kępach trawie dotarli do latarni i okrążywszy ją stanęli przed drzwiami. Niskimi, grubymi, dębowymi drzwiami, zawieszonymi na wielkich, żelaznych zawiasach.

–Może powinniśmy zapukać – zaproponowała Megan.

–Znajdujemy się wewnątrz naszych własnych umysłów – przypomniał jej Michael. – Nie musimy pukać.

–A jeśli nie jesteśmy wcale wewnątrz naszych umysłów? Jeśli to wszystko dzieje się naprawdę?

–Widziałaś kiedyś czarne jak węgiel niebo w słoneczny jasny dzień?

Posłała mu zdziwione spojrzenie i popatrzyła w górę.

–Niebo jest błękitne, Michael. Zupełnie normalne.

–Widzę tylko czerń. Może doktor Rice miał rację: może moja aura jest cała zasupłana.

–To piękny błękit, Michael. Dziwię się, że go nie widzisz. Michael podszedł do drzwi i dotknął ręką ciężkiej klamki.

–Sprawdźmy, czy ktoś jest w domu. – Przekręcił klamkę, przekonany, że drzwi będą zamknięte, ale one otworzyły się bezszelestnie, odsłaniając przed nimi mroczne wnętrze, chłodne i cuchnące niczym wejście do jaskini. Zajrzeli do środka, ale dostrzegli tylko żelazną poręcz i kilka drewnianych stopni.

–Boję się – zwróciła się do niego Megan. – Czuję, że coś nie jest w porządku.

Michael nie odpowiedział, ale ścisnął mocniej jej rękę i przez chwilę nasłuchiwał. Wydawało mu się, że doszedł go jakiś śpiew albo jęki – bardzo, bardzo słabe, odbijające się echem od kamiennych ścian.

**–Ktoś jest w środku – powiedział. – Powinniśmy się rozejrzeć.**

**–Boję się, Michael, wcale tego nie kryję.**

**Ponownie przez chwilę nasłuchiwali. Z początku nie słyszeli nic poza krzykiem mew i upartym szumem wiatru, ale potem doszło ich znowu jakieś dziwne zawrozczenie – i tym razem byli pewni, że to czyjeś jęki.**

**–Ktoś jest ranny – powiedział Michael.**

**–Ale gdzie jest pan Hillary?**

**–Nie wiem. Może kiedy jesteśmy tu we dwójkę, w ogóle się nie pojawi.**

**–Nie chcę tam wchodzić, Michael.**

**–Chcesz tutaj zostać?**

**–Nie chcę także, żebyś ty tam wchodził.**

**–Muszę, Megan. Oni zabili jednego z moich najlepszych przyjaciół. Zabili także mnóstwo innych osób. Nie mogę po prostu pozwolić, żeby uszło im to na sucho.**

**Megan ścisnęła go mocniej za rękę.**

**–Oczywiście masz rację – przyznała w końcu. – Może po tym wypadku zrobiłam się tchórzliwa. Myśl o jakimkolwiek bólu...**

**–Obiecuję, że nie pozwolę cię nikomu skrzywdzić.**

**Michael otworzył szerzej drzwi i weszli ostrożnie do środka. Wnętrze latarni pogrążone było w mroku i unosił się w nim silny zapach zwiędłych kwiatów i czegoś jeszcze: cynamonu, potasu i alkoholu – składników płynu do balsamowania. Zapach śmierci.**

**Wspięli się razem po drewnianych schodach, które wznosiły się spiralnie w prawą stronę. Bielone ściany były zimne i wilgotne, tak jakby wchłonęły całe wieki morskiej wody. U szczytu schodów znajdowały się kolejne drzwi, które otwierały się na zewnątrz, tak że Michael musiał przekręcić klamkę i cofnąć się o dwa stopnie do tyłu.**

**Weszli do środka. Znajdowali się w dużej, okrągłej bibliotece, z tysiącami książek, stojącymi na ustawionych kółkach półkach. Niektóre tomy były tak stare, że spod skóry, w którą je oprawiono, wystawały skrawki płótna, a welinowe grzbiety zostały zjedzone przez robaki. Inne były zupełnie nowe, niedawno opublikowane.**

**„Pochodzenie grzechu” Williama Charterisa. „Sumienie społeczne” Leahy Brightmullera.**

**Bibliotekę oświetlała pojedyncza, wisząca u sufitu żarówka, taka, jakiej używają artyści, żeby malować w nocy; dawała chłodne, lodowate światło. Pośrodku pokoju stała kanapa, wyściełona popękana brązową skórą, a na niej przykucnęła na czworakach bardzo chuda biała dziewczyna ze zdumiewająco rudymi włosami i zdumiewająco rudymi piegami. To właśnie ona musiała przez cały czas jęczeć, ponieważ kiedy Michael i Megan weszli do środka, jęknęła znowu. Obchodząc dookoła bibliotekę Michael zobaczył nagle, jaka jest tego przyczyna. U jej piersi wisiały, wbijając pazury w skórę i chciwie ssąc jej sutki, dwa małe, rude kociaki.**

**Za każdym razem, kiedy dziewczyna jęczała, kociaki kołysały się w powietrzu i wbijały jeszcze głębiej pazury. Michael widział łzy w jej oczach; ale chociaż otwierała je, jak mogła najszerzej, chyba go w ogóle nie dostrzegła.**

**–Co to jest? – wyszeptała przestraszona i przejęta grozą Megan. – Co ona robi?**

Michael potrząsnął powoli głową.

–Nie mam najmniejszego pojęcia, naprawdę.

–Boże, ależ to musi boleć – szepnęła Megan. Obserwowali przez kilka chwil dziewczynę, nie bardzo wiedząc, co robić.

–Nie wydaje mi się, żeby Hillary był tutaj – szepnął w końcu Michael. – Może powinniśmy uznać, że na dzisiaj dosyć.

–Dlaczego na dzisiaj dosyć? – odezwał się nagle chłodny głos, kiedy właściwie już odwracali się do wyjścia. – Cieszę się, mogąc was tutaj gościć.

Za ich plecami stał wysoki, kościsty mężczyzna, świdrując ich czerwonymi oczyma, osadzonymi w kredowobiałej twarzy. Jego długi, szary płaszcz włókł się za nim, szeleszcząc cicho szu-szu-szu po podłodze – tak jakby on także bał się go rozgniewać.

Pan Hillary położył jedną dłoń na ramieniu Michaela, a drugą na ramieniu Megan. Michael widział, że Megan nie może powstrzymać drżenia.

–Dlaczego chcecie już wychodzić? – zapytał pan Hillary. – Przyjęcie dopiero się zaczyna.

–Wydaje mi się, że zobaczyliśmy już dosyć, dziękuję – odparł Michael, biorąc opiekuńczym gestem Megan za rękę.

–Dosyć? – zdziwił się pan Hillary. – Nie zobaczyliście jeszcze nic. Ta dziewczyna to mój aperitif, skromny wstęp przed rozpoczęciem właściwej hulanki.

Obszedł dookoła kanapę, przyglądając się uważnie rudej dziewczynie. Płakała teraz całkiem głośno; na jej piersiach widniały dziesiątki szkarłatnych zadrapań, ale kociaki nie przestawały wbijać w nie pazurów.

–Taka jesteś śliczna – powiedział pan Hillary. Sięgnął do kieszeni swego obszernego płaszcza i wyjął z niej dwie albo trzy szminki. Sprawdził wszystkie dokładnie, po czym zdecydował się na odcień Strawberry Crush. Z wielkim skupieniem pochylił się do przodu i zaczął malować jej wargi, mimo że dziewczyna nie przestawała płakać i drżeć z bólu. – „A synowie Azazela winni umalować swoje kobiety, odziać je we wspaniałe szaty i uczynić z nich ladacznicę; i winni nauczyć swoje córki rzemiosła ladacznic; i wszystkie kobiety winny stać się ladacznicami, aż świat pochłonie w końcu ogniste piekło; i winny oddawać się każdemu, kto je zechce i znajdować w tym upodobanie”.

–Tego wcale nie ma w Biblii! – zaprotestowała Megan.

–Masz absolutną rację – zgodził się pan Hillary. Wyjął z kieszeni kredkę do oczu i zaczął malować powieki dziewczyny. – Masz przepiękne oczy – stwierdził z autentycznym podziwem. – Musimy je umalować, żebyśmy mogli je lepiej widzieć.

Dziewczyna nadal drżała i płakała, i kociaki drżały także. Pan Hillary żartobliwie je poklepał, a one wbiły jeszcze głębiej pazury w jej skórę i zakołysały się w powietrzu. Dziewczyna krzyknęła głośno:

–Nie rób tego! Nie rób tego!

Nie mówiąc ani słowa pan Hillary dał znak ręką i jak spod ziemi pojawił się chudy, bladolicy mężczyzna w czarnym garniturze i ciemnych okularach.

–To jest Joseph – przedstawił go pan Hillary. – Jest jednym z moich najstarszych

**synów, prawda, Joseph?**

**Joseph nie odezwał się ani słowem, ale sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął z niej dwie cienkie, długie, metalowe rurki. Podał je panu Hillary'emu, po czym podszedł do kanapy i bez żadnego wahania złapał dziewczynę za nadgarstki.**

**Musiała się domyślać, co teraz nastąpi, bo przestała jęczeć i płakać, i zaczęła wydawać krótkie, urywane krzyki. Najwyraźniej jednak nie czyniła większych wysiłków, żeby uciec. Praktycznie żadnych. Michael nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Joseph złapał ją nie dlatego, by nie uciekła, ale ponieważ będzie teraz dobrowolnie doznawała olbrzymiego bólu i potrzebowała kogoś, kto ją przytrzyma.**

**Megan posłała mu przerażone spojrzenie, ale Michael przytknął palec do ust. Istniał przecież jakiś powód, dla którego pan Hillary im to pokazywał. Równie dobrze mógł ich uwięzić, wypędzić albo nawet zabić – jeśli można było w ogóle oddziaływać w ten sposób na czyjąś aurę.**

**Pan Hillary stanął tuż obok kanapy. Przez chwilę mierzył okiem konesera nagie plecy dziewczyny, a potem zaczął wodzić po nich palcem, zaczynając od jej wąskich ramion, poprzez kościste kręgi, aż po wgłębienie między pośladkami. Dopiero teraz Michael zauważył, że dziewczyna ma po obu stronach pleców dwa złote ćwieki – każdy z niewielką dziurką w środku. Nie powiedział nic Megan, ale nagle uprzytomnił sobie, że wie, do czego służą. Działy w podobny sposób, jak złote druciki, które kobiety wsuwały sobie w uszy po ich przekłuciu, żeby nie pozwolić zabiżnić się otworom. Dziewczyna miała w plecach dwie ranki, które prowadziły bezpośrednio do nadnerczy, i trzymała je otwarte, po to aby pan Hillary mógł od czasu do czasu skosztować jej adrenaliny.**

**Pan Hillary podniósł pierwszą z metalowych rurek, wetknął ją w otwór po lewej stronie i wsunął w ciało ofiary, ze znanstwem odnajdując nadnercze. Dziewczyna zadrżała i wydała z siebie kolejny krzyk bólu, a Joseph uderzył kociaki, które jeszcze głębiej wbiły pazury w jej piersi.**

**Pan Hillary pochylił się nad jej plecami, wsadził między wargi koniec rurki, zamknął oczy i zaczął ssać. Michael widział, jak zapadają się rytmicznie jego policzki. Białe jak kości włosy opadły mu na czoło; po chwili sięgnął w dół wolną ręką i zaczął masować sobie krocze. Na jego twarzy malował się wyraz straszliwej ekstazy.**

**Michael i Megan obserwowali to wszystko z rosnącym przerażeniem. Ssąc adrenalinę z rurek umieszczonych w plecach dziewczyny, pan Hillary doznawał coraz większego podniecenia. Jego naładowane statyczną elektrycznością białe włosy uniosły się wokół głowy, niczym u papugi kakadu, a twarz zaczęła połyskiwać białą z rozkoszy – oślepiającą, mieniącą się w oczach bielą, na którą Michael nie mógł wprost patrzeć.**

**Pan Hillary stawał się stopniowo coraz bardziej przystojny – tym przerażającym rodzajem przystojności, który może urzec zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Pociągnął ostatni łyk z umieszczonej po prawej stronie rurki, otarł wargi palcami, a potem wyprostował się na całą swą wysokość – ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu – i posłał Michaelowi i Megan szeroki uśmiech.**

Jego włosy lśniły niczym najbielszy jedwab, a pełne wigoru czerwone oczy błyszczały z przyjemności. Błada skóra połyskiwała na doskonale uformowanych kościach policzkowych – skóra tak miękka, że Michael odczuł przewrotną chęć, aby jej dotknąć i pogłodzić.

Nos pan Hillary'ego był prosty i wąski, ostro uformowany; cienkie, lecz zmysłowe wargi przywodziły na myśl wyrafinowane kształty skrzypiec Stradivariususa.

Odwrócił się z powrotem do dziewczyny na kanapie i dał prawą dłonią znak, że uczta skończona. Joseph natychmiast pomógł jej wstać, a potem złapał za grzbiety oba kociaki i oderwał je, jednego po drugim, od jej piersi. Tym razem nie krzyknęła, zakryła tylko rękoma twarz i piersi, a Joseph bez wahania skręcił kociętom karki, obu jednocześnie, tak jakby wyżywał mokry ręcznik. Cisnął ich ciała w ogień i nie spojrzał nawet, jak płoną. Futerka kotów zajęły się ogniem. Jak dalece prawdziwe jest to wszystko? – myślał Michael. – Czy to się dzieje w transie, czy w rzeczywistości? Jak mogę czuć swąd płonącego futra, skoro to wszystko ma być tylko fantazją?

Joseph okrył ramiona dziewczyny brązowym szalem i wyprowadził ją z biblioteki, a pan Hillary obrócił się z powrotem ku Michaelowi i Megan. Wciąż się uśmiechał, tak jakby coś go rozbawiło.

–Witaj – zwrócił się do Michaela. – Tym razem przyszedłeś z własnej woli.

–Tym razem przyszedłem, żeby sprawdzić, czy to ty zabiłeś Joe Garbodena – odparł Michael.

Pan Hillary potrząsnął głową.

–Nic nie rozumiesz, prawda? A może po prostu nie chcesz zrozumieć. Grzech jest grzechem i musi zostać ukarany. Nie ma takiej rzeczy jak pokuta. Twój przyjaciel chciał zmienić wyroki przeznaczenia, a ci którzy się na to porywają, muszą zapłacić wysoką cenę.

–Mój przyjaciel prowadził dochodzenie w sprawie zabójstwa sędziego Sądu Najwyższego.

Pan Hillary powoli potrząsnął swoją przystojną głową. Emanujący z niego seksualny urok był prawie namacalny – sprawiał, że włosy stanęły Michaelowi na karku i swędziały go zakończenia nerwów. Nigdy przedtem nie podniecił go w najmniejszym stopniu żaden mężczyzna – nigdy – i myśl, że może mieć najlżejsze inklinacje homoseksualne nappełniała go głębokim wstrętem. Jednocześnie jednak czuł erotyczne łaskotanie między nogami, tak jakby ktoś obejmował bardzo ostrymi paznokciami jego jądra i gładził go delikatnie po czubku członka.

Czuł rosnącą erekcję. Przerażony i przejęty wstrętem odsunął się krok do tyłu.

–Nie możesz mnie winić, Michael – powiedział pan Hillary. – Jestem wcielonym grzechem... każdym możliwym do wyobrażenia grzechem... ale to ty właśnie uczyniłeś mnie takim. To ja byłem kozłem ofiarnym. Ja byłem tym, dzięki komu zostałeś odkupiony. Biedni, słabi, zbłąkani ludzie! Patrzcie, ile wyrządziliście szkód! A teraz płaczecie, zawodzicie i błagacie o łaskę, teraz, kiedy mszczą się na was wasze własne błędy!

Jego krwiście czerwone oczy zatrzymały się przez chwilę na Michaelu i przesunęły po jego twarzy niczym wypełniona zakrwawionymi rybami mokra sieć.

Rearden poczuł dreszcz chłodnej zmysłowości, który spłynął w dół po jego kręgosłupie i zatrzymał się na gruczole prostaty. Jego penis był teraz maksymalnie wyprostowany, o mało nie pękał, mimo że pan Hillary nawet go nie dotknął.

Pan Hillary skoncentrował swoją uwagę na Megan.

–To nie jesteś prawdziwa ty, prawda? – zapytał. – To nie jesteś ta sama ty, której próbuje pomóc doktor Loeffler?

–Co masz na myśli? – zapytała stłumionym ze strachu głosem. Jej twarz i szyję pokrywał rumieniec, a brodawki piersi sterczały sztywno pod cienkim jedwabiem szarej bluzki.

Pan Hillary zakrył figlarnie twarz dłonią, tak że Megan widziała teraz tylko jego połyskujące zza palców krwiście czerwone oczy.

–Twoje prawdziwe ja, Megan, nie potrafi chodzić. Twoje prawdziwe ja, Megan, jest sparaliżowanym strzępem człowieka, który musi szukać spełnienia w pogodzie ducha, a także w ciastach i pierożkach.

Spojrzał z powrotem na Michaela.

–Jesteś pilnym uczniem, Michael. Z niecierpliwością będę czekał na nasze następne spotkanie – oznajmił, po czym ponownie skoncentrował uwagę na Megan. – Nie okłamuj się, kobieto. I tak za dużo jest już kłamstwa na tym świecie. O wiele za dużo! I zbliża się dzień, kiedy za całe to kłamstwo trzeba będzie zapłacić pełną cenę. Z odsetkami za dwa tysiące lat. – Podniósł obie ręce i złapał Megan za ramiona.

–Nie dotykaj jej! – krzyknął Michael, ale pan Hillary spiorunował go tak nienawistnym wzrokiem, że na chwilę się zawahał i ta chwila wystarczyła, aby Megan straciła równowagę. Ugięły się pod nią kolana i upadła na bok na podłogę biblioteki, uderzając ramieniem w mały mahoniowy podnóżek i przewracając go.

–To jest Megan, którą znamy i kochamy – zawołał z uśmiechem pan Hillary i ukląkł obok niej, niczym chłopiec obok swojej ukochanej, niczym rycerz obok swej upadłej królowej. Z nieskończoną delikatnością uniósł w prawej dłoni jej głowę i pocałował ją w usta. Jego lewa ręka pobiegła w tym czasie w dół, muskając lekko jej pierś, muskając lekko jej biodro, muskając lekko wewnętrzną stronę jej uda.

Michael ruszył niepewnym krokiem naprzód, chcąc przewrócić go na podłogę, ale pan Hillary obrócił się i podniósł rękę.

–Zatrzymaj się – powiedział najdelikatniejszym z tonów. A potem: – Obudź się.

–Obudzić się? – zapytał zdezorientowany Michael. – Obudzić się?

–Wszystko skończone, Michael. Obudź się.

Michael spojrzał wokół siebie – na półki biblioteki, na bielony sufit i na pana Hillary'ego, który wciąż klęczał nad Megan, przystojny i zły, z ręką opartą o jej biodro.

A potem usłyszał dźwięk, który wydaje zgniatane lustro na sekundę przedtem, zanim się rozprysnie.

Poczuł, jak świat ucieka mu spod nóg, coraz szybciej i szybciej.

Zobaczył światła, ciemność i przesuwające się przed jego oczyma ściany.

Usłyszał głosy i mruczenie, niewyraźne i powolne.

Otworzył oczy i stwierdził, że siedzi przy stole i mruga oczyma, które oślepiły

promienie słońca. Megan siedziała naprzeciwko, zaciskając dłonie na poręczach fotela.

Nie spuszczała z niego wzroku. Miała szeroko otwarte oczy, rozchylone lekko usta, a na policzkach wykwitły jej jaskraworóżowe plamy.

Michael nie wiedział, co powiedzieć. Jeszcze nigdy w życiu nie ogarnęła go tak gwałtowna seksualna żądza. Piers unosiła mu się i opadała w dół, jakby przed chwilą przebiegł w ostrym tempie kilka kilometrów.

Megan uniosła się bez słowa w fotelu i zsunęła na dywan. Jedną ręką odepchnęła na bok fotel, drugą zadarła w górę spódniczkę.

Michael rozpiął koszulę i pasek i szybko wysunął nogi z opadających spodni. Wiedział dobrze, że to, co robi, jest złe. Zdradzał Patsy i nadużywał zaufania Żyrafy. Ale krew pulsowała w jego tętnicach niczym deszczowa woda w burzowcu, a w uszach huczało mu z podniecenia.

Megan krzyczała głośno, niczym zraniony ptak. Sięgnęła obiema dłońmi w dół i ściągnęła swoje białe koronkowe majtki. Nabrzmiące i różowe wargi sromowe były gotowe i lśniące. Nagi Michael wspiął się na nią, trzymając w dłoni naprężony członek i wsunął go do środka – głęboko, aż splotły się ich włosy łonowe i nie mógł pchnąć go ani trochę dalej.

Całował ją, lizał i gryzł płatki uszu, a po chwili rozpiął jednym szarpnięciem guziki jedwabnej bluzki, wsunął rękę pod biustonosz i zaczął szczypać brodawki jej piersi. I przez cały czas starał się wejść w nią coraz głębiej, znowu, znowu i znowu, doznając największej i najtwardszej erekcji, jakiej kiedykolwiek doświadczył.

Megan nie musiała używać nóg, wystarczyły jej palce rąk i wargi. Całowała i kąsała jego usta, wodziła paznokciami po plecach, a potem rozsunęła jego pośladki i drapała go, drażniła i łachotała tak długo, aż poczuł, że nie może czekać ani chwili dłużej.

Megan musiała to wyczuć także.

–Teraz tu – powiedziała, ujmując w dłoń jego penis i ciągnąc go w górę; zmuszając Michaela, żeby przesunął się w górę. Kiedy przykucnął okrakiem nad jej twarzą, zaczęła całować go i masować ręką, coraz mocniej i mocniej, coraz szybciej i szybciej. Ich połączona żądza była niczym pędzące ku sobie po tym samym torze dwa ekspresowe pociągi. Coraz mocniej i mocniej, coraz szybciej i szybciej.

Michael doszedł do szczytu i trysnął raz, a potem drugi i trzeci gęstą, białą spermą, którą Megan, w najdziwniejszym rodzaju ekstazy, kierowała na całą swoją twarz – na powieki, policzki, włosy, wargi. Kiedy skończył się wytrysk, wyglądała, jakby ktoś ozdobił ją drżącymi perłami.

Michael pochylił się i pocałował ją, a ona odwzajemniła pocałunek, bardzo powoli i bardzo lubieżnie i przesunęła palcami po jego włosach.

–Wiesz, co to było, prawda? – szepnęła; jego ucho owionął jej gorący i głośny oddech.

Potrząsnął głową.

–To był on, to był pan Hillary. Posiadł nas oboje.

Nie wiedział, co powiedzieć. Już teraz dręczyło go poczucie winy. Chciał tylko



**jednego: podnieść się szybko z podłogi, włożyć spodnie i udawać, że to nigdy się nie wydarzyło. Jezus... po raz pierwszy w życiu zdradził Patsy – zdradził ją ze sparaliżowaną żoną inspektora z wydziału zabójstw. Nie potrafił uwierzyć, że to zrobił. Nie potrafił uwierzyć, że w ogóle mógł chcieć to zrobić.**

**Usiadł, poszukał w kieszeni spodni chusteczki i delikatnie wytarł nią twarz Megan, a potem ponownie ją pocałował.**

**–Przykro mi – powiedział. – Naprawdę mi przykro.**

**–Dlaczego? Zrobiłeś to, co chciałeś. To nie była miłość.**

**–Przykro mi dlatego, że cię lubię. Przykro mi, bo jesteś żoną Thomasa. Przykro mi, bo jestem mężem Patsy.**

**–Pomożesz mi usiąść na fotelu? – zapytała.**

**Zapiął guziki jej bluzki, podciągnął w górę majtki i wygładził spódniczkę, a potem wziął ją w ramiona i posadził z powrotem na fotelu.**

**–To był on – powtórzyła. – To nie byłeś ty i to nie byłam ja. To był on. Pokazywał nam nasze grzechy.**

**–Nadal nic z tego nie rozumiem – orzekł, sięgając po leżące na podłodze spodnie.**

**–Nie – odezwała się – zanim się ubierzesz, podejdź tutaj. Nagi zbliżył się do niej, a ona wzięła do ręki jego miękący penis.**

**Potarła kciukiem wokół żołądki, a potem delikatnie pomasowała trzon.**

**–Nigdy już mi się to nie przydarzy – stwierdziła. – Nie jestem cudzołożnicą i wiem, że ty nie jesteś cudzołożnikiem. – W jej oczach załśniły łzy. – To nie byliśmy my, to był on. Jest bardzo grzeszny. Ale nie żałuję tego. Nie mogę. Sprawileś, że poczułam się cała. Po raz pierwszy od czasu wypadku sprawileś, że poczułam się cała.**

**Michael pochylił się i pocałował ją w czoło.**

**–Lepiej już sobie pójdę. Mam jeszcze mnóstwo rzeczy do załatwienia.**

**Żadne z nich nie zauważyło słabego różowego światła, które błysnęło między nimi – ich dwie aury niechętnie rozstawały się ze sobą – ale kiedy Michael ubierał się i czesał włosy, oboje mieli poczucie dotkliwej straty i rozłączenia.**

**Rearden podniósł cynkowo-miedziany krążek i wsunął go do kieszeni. Nie bardzo wiedział, co powiedzieć, więc tylko wzruszył ramionami, uśmiechnął się i wyszedł, zamykając za sobą bardzo cicho drzwi.**

**Wyjeżdżając wielkim zielonym mercurym ze stromego podjazdu przed domem Thomasa i Megan, zauważył stojących po drugiej stronie ulicy, obserwujących go trzech bladych młodych ludzi w ciemnych okularach. Zatrzymał samochód i zaciągnął ręczny hamulec.**

**Z budynku natychmiast wybiegł i wściekle zapukał w boczną szybę wyglądający na Włocha mężczyzna w niebieskiej bawełnianej kurtce. Pan Novato, dozorca, którego nie znosił Thomas.**

**–Coś się stało? – zapytał Michael.**

**–Nie może pan tutaj parkować, to prywatny podjazd.**

**–Wcale nie parkuję, właśnie wyjeżdżam.**

**–Wyjeżdża pan?**

**–Zrobiłbym to dawno, gdyby mnie pan nie zatrzymał.**

–Był pan u kogoś z wizytą? – Mężczyzna wskazał palcem budynek.

–Zgadza się, byłem z wizytą. Jeśli chce pan wiedzieć, jestem przyjacielem porucznika Boyle’a.

–Nieszczęśliwy facet...

–Kto? O kim pan mówi? O poruczniku Boyle’u?

–Zgadza się, nieszczęśliwy z niego gość.

–Słuchaj, przyjacielu, możesz być tutaj dozorcą albo kimkolwiek, ale nie zamierzam dyskutować z tobą i w ogóle z nikim na temat osobistych spraw porucznika Boyle’a.

–A kto nie byłby na jego miejscu nieszczęśliwy? Jego żona jest bardzo chora. Nie może chodzić, nie może wyjść na zakupy, nie może kompletnie nic.

Michael uciekł spojrzeniem w bok, wziął głęboki oddech, a potem odwrócił się z powrotem do pana Novato.

–Porucznik Boyle z całą pewnością nie jest nieszczęśliwy, mogę to panu zaręczyć. I powiem panu coś jeszcze: pani Boyle jest warta więcej niż sto innych kobiet, które przychodzą mi na myśl.

Pan Novato spojrział na niego szeroko otwartymi oczyma.

–Hej... żałuję, że się w ogóle odzywałem. Nie miałem zamiaru nikogo obrazić. – Wycofał się i patrzył, jak Michael wydostaje się z gniewnym piskiem opon ze stromego podjazdu.

Włączając się do ruchu Rearden rzucił okiem w stronę bramy, w której stali obserwujący go młodzi ludzie o białych twarzach, ale teraz nie było po nich ani śladu. Całkiem możliwe, że ich sobie uroił – rozkojarzony po seansie hipnozy auralnej z Megan.

Z drugiej strony, tak samo możliwe było, że jechali teraz za nim, zamierzając zrobić z nim to, co z Garbodenem.

Skręcił na południe, w zatłoczoną Margin Street, a potem na zachód w Cooper Street. Samochodowe radio grało „Happy Together” zespołu Turtles. Imagine me and you, I do, I think about you day and night...

Jezu Chryste, co on takiego zrobił ze swoim honorem? Co zrobił ze swoim małżeństwem?

Zatrzymał się, żeby przepuścić przechodzącego przez jezdnię człowieka w ciemnych okularach, myśląc, że to niewidomy. Doszedłszy do krawężnika mężczyzna uniósł w salucie ciemne okulary i posłał mu promienny uśmiech.

Marcia zachowywała przesadną aktywność. Miała spuchniętą twarz i zaczesane do tyłu włosy. Prawdopodobnie nie przysiadła ani na moment od czasu, kiedy zastępcy szeryfa z hrabstwa Barnstable przynieśli jej wiadomość, że Joe odnaleziony został w lesie na północ od drogi numer sto pięćdziesiąt jeden – rozebrany do naga, poturbowany i martwy, z objawami ciężkiego zawału serca.

Rozmawiała z Michaeliem tak, jakby Garboden wciąż żył. Nie powiedziała co prawda wprost „kiedy wróci Joe”, ale wszystko, co mówiła, implikowało, że w biurze szeryfa w hrabstwie Barnstable popełniono fatalną i bolesną pomyłkę i że kiedy jej mąż wróci w końcu do domu, polecą prawdopodobnie kilka głów.

Michael siedział w salonie z filiżanką capuccino, której nie miał ochoty pić, a Marcia przebiegała pokoje, nie przestając monologować, klócić się i protestować. Gdyby zatrzymała się choćby na minutę, musiałyby przyjąć do wiadomości, że Joe nie żyje, a na to nie była jeszcze gotowa. Właściwie trudno to było przyjąć do wiadomości również Michaelowi. Wszędzie, gdzie spojrzał, stały fotografie Garbodena. Na telewizorze i na kominku. Nawet kiedy korzystał z łazienki, jego wzrok padł na zdjęcie Joe w żółtym kombinezonie nurka, przechwalającego się trzymanym w rękę olbrzymim krabem.

–Mówiłam mu, żeby się w to nie mieszał – stwierdziła Marcia.

–Mówiłaś mu, żeby w co się nie mieszał?

–W tę historię ze spiskiem. Nigdy nie przestawał o tym mówić.

–Dużo ci opowiedział? Marcia potrząsnęła głową.

–Stwierdził, że bezpieczniej dla mnie, jeśli nic nie będę wiedzieć. Próbowałam go przekonać, żeby o tym zapomniał. Założę się, że nic z tego nie jest prawdą, tak mu mówiłam. Ale nawet jeśli nie jest, ściągniesz sobie na kark różnych ludzi, którzy będą się obawiać, że to prawda. Więc daj sobie spokój.

–Przykro mi – rzekł Michael. – Nie wiem, co jeszcze powiedzieć.

Marcia przystanęła na chwilę w miejscu.

–Nic dla ciebie nie zostawił, jeśli o to ci chodzi.

–Wcale o tym nie myślałem.

–Jest jakaś koperta, ale to wszystko.

–Koperta? Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli ją obejrzę?

–Nie... jasne. – Marcia znikła w pokoju, w którym Joe urządził swój gabinet i po dwóch albo trzech minutach pojawiła się z powrotem z grubą, dużą kopertą. Z przodu widniały skreślone ręką Garbodena słowa: „Dla Michaela Reardena. Otworzyć tylko w wypadku mojej nagłej śmierci”.

Michael rozdarł kopertę i wyjął z niej list.

–Datowany jest dwa lata temu – stwierdził zdziwiony.

–Wtedy właśnie Joe wpadł na pierwsze ślady tego spisku – powiedziała Marcia. – Od tego czasu nasze życie stało się o wiele mniej harmonijne. Boże... żałuję teraz, że nie został pracownikiem oczyszczania miasta, woźnym w szkole albo mechanikiem samochodowym. Dlaczego nie trzymał się normalnych, rutynowych dochodzeń? Dlaczego myślał, że uda mu się zmienić świat?

Michael na krótką chwilę przestał słuchać monologu Marcii. Wiedział, co czuła, ale nie mógł na to nic poradzić. Poza tym starał się zrozumieć zawartość listu, który zostawił mu Joe. Na wyrwanej z notesu kartce nie było nic poza napisanymi na maszynie nazwiskami i liczbami; wraz z nią znajdowało się w kopercie dwadzieścia albo trzydzieści fotokopii sztychów i fotografie, w większości fotografie.

Nazwiska i numery były następujące: Lincoln 65 Alexander 81 Garfield 81 Umberto 00 McKinley 01 Madero 13 George 13 Ferdynand 14 Michał 18 Mikołaj 18 Carranza 20 Collins 22 Yilla 23 Obregon 28 Cermak 33 Dollfus 34 Long 35 Bronstein 40 Gandhi 48 Bernadotte 48 Hussein 51 Somoza 56 Armas 57 Fajsal 58 asSaid 58 Bandaranaike 59 Lumumba 61 Molina 61 Evers 63 Diem 63 Mansour 65 X 65

Yerwoerd 66 King 68 Tal 71 Noel 73 Park 74 Davies 74 Ratsimandrava 75 Fajsal 75 Rahman 75 Ramat Mohammed 76 Jumblat 77 Ngoubai 77 alNaif 78 Dubs 79 Neave 79 Mountbatten 79 Park 79 Tolbert 80 Deebayle 80 Ali Raji 81 esSadat 81 Gemayel 82 Sartawi 83 Aquino 83 Gandhi 84...”

Dopiero po minucie albo dwóch Michael zaczął pojmować, co próbował mu przekazać autor listu. Nazwiska należały do zabitych polityków, dygnitarzy i szefów państw, a liczby oznaczały lata, w których dokonano na nich zamachu.

Potem przyjrzał się fotografiom. Przedstawiały zabójstwa albo pogrzeby osób wyszczególnionych na liście bądź też egzekucje ich zabójców. Na każdej z nich stali z boku zakreśleni czerwonym flamastrem Garbodena dwaj albo trzej ludzie o białych twarzach.

Oto dagerotyp przedstawiający dokonaną w dniu siódmego lipca tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego roku, po zabójstwie Lincolna, egzekucję współników Johna Wilkesa Bootha. Mary Surratt, Lewis Paine i George Atzerodt wisieli na szubienicy, z workami na głowach i związanymi, żeby nie kopali, nogami. A obok – skryci przed promieniami słońca pod dużym parasolem – stali dwaj ludzie o białych twarzach. Obaj mieli okrągłe, ciemne okulary, obaj byli uśmiechnięci.

Oto Charles J. Guiteau, który zabił prezydenta Garfielda na dworcu kolejowym w Waszyngtonie. Przybywa w kajdankach na swój proces czternastego listopada tysiąc osiemset osiemdziesiątego pierwszego roku, a w tłumie, za jego lewym ramieniem widać trzech młodzieńców o białych twarzach.

Oto strzelanina, podczas której zginął szóstego października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku w trakcie parady wojskowej w Kairze prezydent Anwar es-Sadat. Większość widzów pochowała się pod ławkami, ale daleko po lewej stronie obserwuje zamach, uśmiechając się słabo, pojedynczy człowiek o białej twarzy.

–Czy mogę? – zapytał Michael, rozkładając fotografie na stole. Przesuwał wzrokiem od jednej do drugiej i chociaż różniły się jakością, a niektóre zostały najwyraźniej komputerowo powiększone, nie ulegało żadnej wątpliwości, że na wszystkich pojawiali się bez przerwy ci sami ludzie, identycznie wyglądający: od zamachu na Lincolna w teatrze Forda w Waszyngtonie, aż po zabójstwo Rajiva Gandhiego podczas politycznego mitingu w południowych Indiach. Ponad sto dwadzieścia pięć lat różnicy. Przekazując Michaelowi spis nazwisk i dat oraz zakreślając kółkami twarze na fotografiach Joe dawał mu niepodważalny dowód, że ludzie o białych twarzach rok po roku zabijają polityków i szefów państw – bez względu na prezentowane przez nich poglądy polityczne.

Niektóre ofiary były prawicowymi ekstremistami, inne lewicowymi terrorystami, zabójstwa zaś nie układały się w żaden sensowny wzór. Ale Joe udowadniał, że Kennedy nie był jedyną ofiarą ludzi o białych twarzach; stali za wszystkimi tymi zamachami.

Michael wstał z krzesła i wpatrywał się w zdjęcia, tak głęboko zatopiony w rozmyśleniach, że nie usłyszał nawet Marcii, która zapytała, czy podać mu coś do picia.

**I co teraz, u diabła, miał zrobić? Nie żywił najmniejszych wątpliwości, że kiedy ludzie o białych twarzach dowiedzą się, ile wie o ich spisku, będą się starali go uciszyć – tak jak uciszyli Garbodena, doktora Rice’a i być może wszystkich tych, którzy kiedykolwiek byli świadkami ich morderstw albo potrafili, jak Joe, zliczyć do czterech i zdali sobie sprawę, że te same blade twarze pojawiają się zdecydowanie zbyt często, żeby można to uznać za zbieg okoliczności.**

**Ogarnął go tak głęboki lęk i niezdecydowanie, że z trudem mógł oddychać. To przekraczało po prostu jego możliwości. Do kogo miał się zwrócić? Komu zaufać? Na pewno nie policji. Komisarz Hudson zaakceptował jawnie fałszywe wyniki sekcji Johna O’Briena, wyrażając „serdeczne podziękowania za przeprowadzoną z wnikliwością i pełnym poświęceniem pracę”. Nie mógł także pójść do środków przekazu, ponieważ tam również przełknięto, i to bez jednego choćby protestu, te wyniki – nawet Boston Globe, nawet Darlene McCarthy z Channel 56.**

**Nie mógł pójść do Edgara Bedforda. W końcu Joe podejrzewał już od kilku lat, że Edgar ma głębokie powiązania z ludźmi o białych twarzach. Niemal przerażający był sposób, w jaki szef Plymouth Insurance zaakceptował raport doktora Moorpatha – nie zważając na to, że będzie to kosztować firmę i reasekurantów dziesiątki milionów dolarów.**

**Mógł zaufać Thomasowi Boyle’owi, mimo że dręczyło go poczucie winy z powodu tego, co zrobił z Megan. Modlił się, żeby Thomas nigdy tego nie odkrył. No i Victorowi; mógł oczywiście zaufać Victorowi.**

**Powoli zebrał razem fotografie i wsunął je do koperty. Przede wszystkim miał nadzieję, że może zaufać samemu sobie.**

## ROZDZIAŁ XV

Spotkał się z Victorem i Thomasem w Venus Seafood, specjalizującej się we fruttii di mare knajpie przy Sleeper Street, niedaleko mostu Northern Avenue. Boyle znał jedną z jej właścicielek, samozwańczą „królową małży”, Susan Chused Still. Wydarzenia poranka wstrząsnęły Thomasem i Victorem, ale nie osłabiły bynajmniej ich apetytu, w związku z czym zamówili smażone małże i kukurydzę w kaczanach, a do popicia piwo Rolling Rock.

Michaelowi w ogóle nie chciało się jeść i krępował się spojrzeć Thomasowi w oczy. Wciąż widział zsuwającą się z fotela i zadzierającą spódniczkę Megan, wciąż widział jej zielonkawe oczy, w których paliła się cudza żądza.

Ograniczył się do paru łyków piwa i kilku garści migdałów.

–Verna Latomba została związana i torturowano ją w identyczny sposób jak Elaine Parker i Sissy O'Brien... z tą różnicą, że z Verną nie zdążyli posunąć się tak daleko – powiedział Victor.

–Z tego, czego się na razie domyślamy – wtrącił Thomas, zapalając papierosa – Ralph Brossard odwalił numer w stylu Tarzana. Dostał się do mieszkania Patrice'a Latomby z balkonu piętro wyżej. Bóg jeden wie dlaczego. Był zawieszony za nieumyślne zabicie synka Patrice'a. Moim zdaniem powinien trzymać się jak najdalej od Seaver Street, a zwłaszcza od Patrice'a Latomby. Tak więc wskoczył prosto do kuchni, w której leżała przywiązana do stołu Verna Latomba. Tyle ustaliliśmy... nie wiemy jednak, kto ją związał ani dlaczego. Było kilku świadków, ale wszyscy się ulotnili. Kimkolwiek byli sprawcy, musieli ją torturować, ponieważ na stole odkryliśmy ślady krwi, która została wstępnie zidentyfikowana jako krew Verny.

Wszystko wskazuje na to, że Brossard zabił jednego ze sprawców. Całe okno ochlapane zostało krwią i jest w nim otwór po pocisku, wystrzelonym prawdopodobnie z czterdziestki czwórki detektywa Brossarda. W jednej z kuchennych szafek znaleźliśmy inny pocisk, również z czterdziestki czwórki, noszący wyraźne ślady spłaszczenia i rysy, wskazujące na to, że przeszedł przez jakiś mebel albo ludzkie ciało. Niemniej odkryliśmy tylko zwłoki Verny Latomby i Ralpa Brossarda. Twarz Verny została straszliwie spalona, a użyto do tego kuchennego palnika, po czym ktoś zastrzelił ją z bliskiej odległości z czterdziestki piątki. Broń z całą pewnością nie należała do Brossarda. Brossard miał zwęgloną lewą rękę i zachodzi poważne podejrzenie, że to on jest odpowiedzialny za spalenie Verny. Zastrzelono go z tej samej czterdziestki piątki.

–Co o tym sądzisz? – zapytał Michael, połykając kolejne migdały i o mało się nimi nie dławiąc.

–Ktoś zmusił Brossarda do poparzenia Verny, a potem zastrzelił ich oboje.

–Ale dlaczego? – zapytał Michael. – Jaki jest motyw?

–Kto wie, może z zemsty?

–Zemsty? Zemsty za co? Rozumiem, że ktoś zabił detektywa Brossarda za to, że uśmiercił syna Latomby. Rozumiem, że ktoś zabił Vernę: były kochanek albo jakiś mściwy rasista. Ale kto chciałby zabić ich oboje? Za co?

–Niepokoi mnie także pytanie – wtrącił Victor – czyją krew znaleźliśmy na szybie.

Nie odkryliśmy żadnego śladu wskazującego na to, żeby czyjeś krwawiące ciało zostało wywleczone z kuchni, nie ma także żadnych śladów krwi w salonie, na korytarzu i na schodach. A przecież kimkolwiek był trafiony przez Brossarda osobnik, musiał doznać poważnych obrażeń. Szansę, że udało mu się powstrzymać upływ krwi i wyjść o własnych siłach z mieszkania, są równe zeru.

–Tak, to dziwne. – Thomas wypuścił nosem dym. – Cała ta cholerna sprawa jest bardzo dziwna. Gdybym był zabobonny, powiedziałbym, że mamy do czynienia z jakimiś upiorami. Z klątwą żywych trupów.

–Powtórzcie jeszcze raz, jak to było z tym Brossardem. W jaki sposób spalił Verne – powiedział Michael.

–Lewą dłoń – odparł Victor – miał spaloną aż do kości. Większość mięśni uległa zwęgleniu. Poważne oparzenia znajdują się również na całym przedramieniu, naruszona jest też skóra powyżej łokcia. Stwierdziliśmy oparzenia drugiego stopnia pod pachą i po lewej stronie tułowia oraz oparzenia pierwszego stopnia po lewej stronie twarzy. Na podstawie śladów kraty od kuchenki, pozostawionych na twarzy Verny, ustaliliśmy, że musiała zostać przyciśnięta wprost do palnika i trzymano ją tam prawie przez minutę.

Michael pomasaował powoli kark. Zdrętwiały mu mięśnie i miał kompletnie sztywne ramiona. Wolałby, żeby Thomas nie uśmiechał się bez przerwy, starając się dodać mu otuchy. Żałował prawie, że Boyle nie jest na niego wściekły: miałby wtedy przynajmniej poczucie, że poniósł zasłużoną karę za to, co zrobił.

–Sparzyłeś się kiedyś? – zapytał Thomasa.

Thomas potrząsnął głową.

–Rozumiem, do czego zmierzasz – powiedział Victor. – Oparzenia są niewiarygodnie bolesne. Tak bolesne, że ofiary często błagają, żeby je prędzej zabić. Michael kiwnął głową.

–Więc w jaki sposób ci dwaj zagadkowi sprawcy skłonili detektywa Brossarda, żeby przyciskał twarz Verny Latomby do kraty nad palnikiem, paląc sobie jednocześnie rękę? Nie wydaje mi się to możliwe, nawet gdyby przytknęli mu do głowy pistolet. Nie zniósłby po prostu tego bólu.

–Może przytrzymywali go siłą.

–Nie bardzo wyobrażam sobie jak. Każdy, kto zmusiłby go fizycznie do utrzymywania głowy Verny nad palnikiem, sam doznałby równie dotkliwych poparzeń.

Thomas zgniótł papierosa i kiwnął głową.

–Macie oczywiście rację – przyznał. – Jaka jest wasza teoria?

Michael wyjął z kieszeni cynkowo-miedziany krążek i położył go na stole.

–Moim zdaniem Brossard mógł zostać zahipnotyzowany. Mógł spalić Verne Latombę w wyniku hipnotycznej sugestii.

Thomas wziął do ręki krążek i obrócił go w palcach.

–Nie wydaje mi się, żeby hipnotyzerzy potrafili zmusić ludzi do zrobienia czegoś, co sprzeciwia się ich naturze. Gdybym uważał, że mogą coś takiego zrobić – dodał, zwracając się do Victora – myślisz, że wysłałbym Megan do doktora Loefflera?

Miał to być żart, ale Michael poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

–Wiara, iż nie można skłonić ludzi, aby zrobili sobie krzywdę albo uczynili cokolwiek, co sprzeciwia się ich naturze, jest, obawiam się, zwykłym mitem – powiedział Victor. – Człowiek w stanie hipnozy nie czuje bólu. Ludzie poddawani są pod hipnozą poważnym operacjom, bez żadnego znieczulenia, i nic nie czują.

–Ale przyciągając twarz Verny ku zapalonemu palnikowi...

–Może nie zdawał sobie nawet sprawy, że to jest palnik. Mogli mu zasugerować, że dokonuje prostego aresztowania. Albo coś zupełnie innego. To naprawdę zależy od tego, jak bardzo podatny był na sugestię.

Thomas spojrział na zegarek.

–Muszę wracać do siebie. Na trzecią zwołałem konferencję prasową. Myślę, że nadszedł już czas, aby szczegółowo poinformować opinię publiczną o tym, jakie paskudne rzeczy przydarzyły się Elaine Parker, Sissy O'Brien, Joe Garbodenowi, a także Ralphowi Brossardowi i Vernie Latombie.

–Chcesz wszystko ujawnić? – zapytał Victor. Thomas kiwnął głową.

–Śledztwu nic to nie zaszkodzi. Zastanówcie się, jakie poczyniliśmy do tej pory postępy? Żadne. Licząc na to, że kogoś aresztujemy, wstrzymywaliśmy ujawnienie pewnych specyficznych informacji, na przykład o ranach na plecach albo o tej historii z kotem. Ale nadal jesteśmy w lesie. Możemy mieć tylko nadzieję, że ktoś przypomni sobie jakiś mało istotny szczegół, który wiąże razem wszystkie te zabójstwa. Jak na przykład: skąd wzięli te metalowe rurki, które wbijają ofiarom w nadnercza? Gdzie kupili drut kolczasty? Kto zgłosił zaginięcie kota w czasie, kiedy torturowana była Sissy O'Brien?

–Dobrze – powiedział Victor, dopijając do końca piwo. – W takim razie złapiemy cię później.

Thomas wziął do ręki rachunek i podniósł się z miejsca.

–Ta hipnoza... naprawdę myślisz, że Megan będzie miała z tego jakiś pożytek? – zapytał, zwracając się do Michaela.

Rearden zawahał się i wzruszył ramionami.

–Wydaje mi się, że trzeba traktować ją tak jak każdą inną terapię. Pomaga tylko wtedy, kiedy pacjent chce wyzdrowieć. A z tego, co widziałem, Megan bardzo na tym zależy.

Thomas przez chwilę się zastanawiał, a potem pożegnał ich gestem uniesionej w stylu porucznika Columbo dłoni i wyszedł z restauracji.

–Trzymasz coś w zanadrzu, prawda? – zapytał Victor, kiedy Boyle zniknął za drzwiami.

Michael wyjął kopertę, którą zostawił dla niego Joe.

–Nie chodzi o to, że nie ufam Thomasowi. Chcę po prostu, żebyś spojrział na to pierwszy, a potem wspólnie ustalimy, co robić. Sam nie jestem jeszcze zdecydowany. Uważam, że to naprawdę poważna sprawa. Nie wiem, czy spalić te zdjęcia i udawać, że nigdy ich nie widziałem, czy też zachować je i wykorzystać w celu udowodnienia, że śmierć Johna O'Briena nie była przypadkowa, w nie większym w każdym razie stopniu niż przypadkowa była śmierć Abrahama Lincolna.



Victor przejrzał z poważnym wyrazem twarzy fotografie, po czym zdjął i złożył okulary.

–To może świadczyć, że albo Joe Garboden znajdował się w ostatnim stadium paranoi, albo dokonał najbardziej przerażającego odkrycia w ostatnich dwustu latach naszej historii.

Michael kiwnął ponuro głową.

–Czuję dokładnie tak samo. Ale nie mogę się zdecydować, czy mamy do czynienia z pierwszą czy drugą możliwością. Boję się, że Joe mógł mieć rację, ale boję się również, że mógł się mylić i że skończę tak jak on, wietrząc spisek we wszystkim, co się dzieje... „Spójrz na tych trzech mężczyzn, którzy idą razem ulicą. To spisek!”

Victor założył okulary, spojrzał na ulicę i roześmiał się.

–Nie możesz o tym wiedzieć, ale cała trójka pracuje w bostońskim biurze koronera. Więc rzeczywiście wydaje mi się, że można ich uznać za swego rodzaju spiskowców. Klub wybrańców, dyskutujących przy smażonych małżach i krewetkach z Misery Island o pobranych nieboszczykom wycinkach wątroby.

–Dokładnie – zgodził się Michael. – Na pewno masz rację. Ale ja naprawdę się niepokoję. Sprawa O’Briena kryje w sobie wiele dziwnych implikacji, tak dziwnych, że nie chcę dyskutować na ich temat nawet z Thomasem.

Zacinając się i zastanawiając nad odpowiednim doborem słów opowiedział Victorowi o hipnotycznym transie, w który wprowadzili się razem z Megan. Victor słuchał go z pochyloną głową i Rearden zauważył, że przerzedzają mu się włosy na przedziałku. Opowiedział o seksualnym podnieceniu, które wzbudził w nim pan Hillary, a także o tym, że Megan musiała czuć to samo. Nie przyznał się jednak, że razem z Megan uprawiali miłość, seks czy czymkolwiek było to, co robili na podłodze salonu w mieszkaniu Boyle’ów. Widział przed oczyma spryskaną spermą twarz Megan i policzki paliły go ze wstydu.

–Uważasz, że to, co widziałeś w transie, działa się naprawdę? – zapytał Victor.

–Pan Hillary istnieje naprawdę. Widzieliśmy jego nazwisko w notesie doktora Rice’a.

Victor przez chwilę się zastanawiał.

–Nie wiem – powiedział w końcu. – Myślę, że wchodzimy na grząski grunt. Istotne jest to, kto tu pociąga za sznurki. Kto nalegał żeby zwłoki O’Briena przewiezione zostały do Boston Central i żeby ich sekcję przeprowadził doktor Raymond Moorpath? Kto powiedział Moorpathowi, jakie mają być jej wyniki? Kto kazał komisarzowi Hudsonowi i Edgarowi Bedfordowi przyjąć do wiadomości raport Moorpatha?

–Może to także sprawka pana Hillary’ego – zasugerował Michael.

–No, tego jeszcze nie wiemy. – Victor wydał wargi. – Wierzę w to, co widziałeś w swoich transach. Jestem prawie zupełnie przekonany, że pan Hillary rzeczywiście istnieje. Ale może on z łatwością odmieniać twoje wyobrażenie, co jest prawdą, a co fikcją, po prostu żeby zbić cię z tropu. Znajdujemy się teraz w świecie hipnozy, Michael. Zawierzasz wyłącznie swojej intuicji.

Michael spojrzał na opróżniony w połowie talerzyk z migdałami i uznał, że nie

powinien jeść ich więcej.

–Posłuchaj – powiedział. – Uważam, że powinniśmy porozmawiać z Raymondem Moorpathem.

–Myślisz, że będzie chciał z tobą rozmawiać?

–Cóż... zrobił się ostatnio bardzo nadęty i zapatrzony w siebie. Ale znamy się od wielu lat. Może nie będzie chciał, a może będzie. Zawsze warto spróbować.

–Próbujesz uratować świat, prawda?

–Zgadza się. Próbuję uratować świat. Kukuryku!

Po wyjściu z Venus Seafood przeszli na drugą stronę ulicy, gdzie Michael zaparkował samochód. Popołudnie było wyjątkowo upalne; powietrze falowało nad chodnikiem niczym przezroczyście fale zbliżającego się przyływu. Nie zauważyli dwóch mężczyzn w ciemnych okularach, którzy stali w wejściu do wąskiego, ceglanego budynku naprzeciwko. Nie zauważyli także zaparkowanego zaledwie trzy samochody dalej brązowego lincolna town car, który zapalił silnik i ruszył tuż za nimi.

Victor zdjął okulary i zmęczony ścisnął mocno grzbiet nosa.

–Czuję się tak, jakbym od miesiąca był na nogach – powiedział.

Podjechali pod Boston Central i zaparkowali na parkingu dla lekarzy. Przed izbą przyjęć pełno było ambulansów, samochodów policyjnych i biegających wszędzie ludzi. Michael zatrzymał gliniarza o pociągłej twarzy i opadającym w stylu Wyatta Earpa wąsiku i zapytał go, co się stało.

–Na Blue Hill Avenue trwa prawdziwa wojna. Siedem osób postrzelonych z pistoletu maszynowego. Wśród nich jest trzech gliniarzy, dwóch na pewno zabitych.

Michael i Victor ruszyli w stronę głównego wejścia, ale zanim do niego doszli, na podjeździe pojawiły się kolejne trzy ambulanse z włączonymi syrenami i kręcącymi się na dachach światłami. Nad południową stroną miasta unosiło się coraz więcej dymów, a w powietrzu czuć było smród spalonej gumy. Zamieszki trwały już prawie przez cały tydzień. Każdego dnia nad Roxbury unosiły się nowe dymy, ale mieszkańcy Bostonu prawie ich nie zauważali: załatwiali swoje sprawy, pozwalając spłonąć połowie własnego miasta i dając kolejne świadectwo, że ludzie potrafią się szybko przyzwyczaić prawie do wszystkiego. Można to nazwać zdolnością do adaptacji, można nazwać cynizmem – ale w końcu nie dotyczyło to ich połowy...

Mimo to w całym Bostonie panowało przekonanie, że sytuacja raczej się pogarsza niż polepsza i że miasto zaczyna chwiać się w posadach. Telewizja przeprowadziła rano wywiad z prezydentem, który zaczął przebąkiwać o „szybkiej, zdecydowanej akcji, która wypłeni z korzeniami miejski terrorizm... bo tym właśnie ni mniej, ni więcej są obecne zamieszki”.

Oznajmili w recepcji, że chcą rozmawiać z doktorem Moorpathem. Znekana recepcjonistka kazała im poczekać: nie wiedziała, gdzie aktualnie znajduje się doktor. Nie było go w gabinecie; może zszedł na dół, na patologię. Po prawie dziesięciu minutach czekania Michael wskazał głową windę.

–Czas na samodzielną akcję, mon ami – powiedział.

Recepcjonistka, która odbierała jednocześnie trzy telefony i próbowała wyjaśnić grubej Nigeryjce, jak trafić na odsączanie tłuszczu, nie zauważyła nawet, że ruszyli

do windy.

Wysiedli na ósmym piętrze i stąpając po zielonym dywanie ruszyli w milczeniu korytarzem w stronę drzwi gabinetu Moorpatha. Michael zapukał, odczekał chwilę, po czym zajrzał do środka. Wspaniały gabinet był pusty, unosił się w nim jednak silny aromat cygara, a na biurku stała opróżniona do połowy szklaneczka szkockiej whisky.

–Raymond? – zawołał Michael. Wszedł do środka i rozejrzał się dookoła.

–Niezły gabinecik – stwierdził z gwizdem podziwu Victor.

–W sam raz na prywatną praktykę dla ciebie – oświadczył Michael. Sprawdził leżące na biurku papiery, ale znalazł tylko kosztorys nowych lodówek przeznaczonych do przechowywania ludzkich szczątków, ponaglenie z Reader's Digest i rachunek za regulację zaworów w należącej do doktora Moorpatha porsche.

Zbierali się do wyjścia, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i do środka wszedł podobny do Greka lekarz z obwisłym podbródkiem.

–Szukacie panowie doktora Moorpatha? – zapytał.

–Zgadza się. Może go pan widział?

–Zaledwie przed dwoma albo trzema minutami, na dziesiątym piętrze.

Prawdopodobnie wciąż tam jest.

–Dziękuję bardzo – powiedział Michael.

–Dziesiąte piętro – powtórzył podobny do Greka lekarz. – Na bloku pooperacyjnym.

–Na bloku pooperacyjnym?

–Zgadza się. Pacjenci dochodzą tam do siebie po poważnych zabiegach.

–Dosyć niezwykle miejsce jak na doktora Moorpatha – stwierdził z uśmiechem Michael. – Myślałem, że interesują go wyłącznie ci pacjenci, którzy nie doszli do siebie.

Podobny do Greka doktor wybuchnął śmiechem i położył na biurku zielony folder.

–Mamy tam bardzo interesujący przypadek, któremu wszyscy chcemy się przyjrzeć... mężczyzny, którego stopy zostały przypadkowo ucięte w kostkach. Przeszyto mu je z powrotem i oczywiście ciekawi nas, jaki jest wynik operacji. Prowadził ją doktor Ausiello, nasz najlepszy mikrochirurg.

Niczym dobrze naoliwione urządzenie w zegarze, w umyśle Michaela przeskoczyła mała zapadka. To właśnie doktor Rice stracił obie stopy; zaatakowany przez ludzi o białych twarzach doktor Rice. A teraz poszedł mu się przyjrzeć Moorpath – ten sam Moorpath, który zatuszował zamordowanie O'Brienów.

–Chodź – zawołał do Victora.

–Gdzie?

–Biegnijmy, zanim będzie za późno!

Wyskoczyli z gabinetu Moorpatha i popędzili korytarzem w stronę wind, zostawiając za sobą oniemiałego z wrażenia lekarza. Michael nacisnął przycisk dziesiątego piętra. Obok nich śmigły ekspresowe windy, co jakiś czas zatrzymywały się również te zjeżdżające na dół, wyrzucając z siebie tłumy rozplotkowanych

pielęgniarek i potulnych studentów. W końcu – po prawie całych dwóch minutach czekania – otworzyły się drzwi windy, która jechała na górę. W środku była tylko jedna osoba: starszy lekarz w trzyzęściowym garniturze.

–Próbowaliście już „Famous Atlantic”? – zapytał ni z gruszki, ni z pietruszki, kiedy winda ruszyła na dziesiąte piętro.

–Nie wydaje mi się – odparł Michael.

–Ja próbowałem dzisiaj, palce lizać. Ląduje na twoim talerzu prosto z nabrzeża. Świeższego mógłbyś dostać tylko pływając po zatoce z szeroko otwartymi ustami.

Drzwi windy otworzyły się i Michael z Victorem wyskoczyli z kabiny, zanim amator morskich przysmaków zdążył otworzyć po raz drugi usta. Pobiegli korytarzem do recepcji. Przy oświetlonym jarzeniówką biurku siedziała, czytając The National Enquirer, obdarzona okazałym biustem blondynka w seksownym małym czepku. „Urodziło się dziecko z czterema nogami!” krzyczał biegnący przez całą stronę tytuł. Pielęgniarka podniosła wzrok i posłała im szeroki, olśniewający uśmiech.

–Szukamy doktora Rice’a – powiedział Michael. – Jesteśmy jego przyjaciółmi. Bliskimi przyjaciółmi.

–Przykro mi. Doktor Rice nie przyjmuje teraz nikogo, nawet rodziny. Przeszedł poważną operację i jest wciąż bardzo chory.

–Odwiedzają go niektórzy lekarze – stwierdził Michael.

–Oczywiście. Lekarze to lekarze.

–Ale ja jestem jednym z jego pacjentów.

–Przykro mi, proszę pana, nie może pan się z nim teraz zobaczyć.

–Muszę go zobaczyć! Był u niego doktor Moorpath!

–Już panu mówiłam, doktor Moorpath jest lekarzem. Ma prawo go odwiedzać.

Proszę nie sprawiać kłopotów, bo będę zmuszona wezwać strażników.

W tej samej chwili przy biurku pojawił się posłaniec z bukietem irysów, stokrotek i lilii.

–Rice? – zapytał.

–Sala tysiąc jedenaście – odpowiedziała pielęgniarka, i to tylko chciał wiedzieć Michael. Bez słowa odwrócił się na pięcie i pobiegł korytarzem, kierując się wskazującymi numerację sal strzałkami.

Szybciej, na litość boską, szybciej! Skręcił na rogu i w odległości zaledwie dziesięciu metrów zobaczył drzwi oznaczone liczbą tysiąc jedenaście. Widział numer tak wyraźnie, bo były lekko uchylone.

–Proszę pana! – wołała za nim siostra. – Proszę pana! Nie wolno panu tam wchodzić!

Zdyszany Michael zwolnił do szybkiego kroku, ale w tej samej chwili drzwi do sali numer tysiąc jedenaście otworzyły się szerzej i pojawił się w nich Raymond Moorpath. Miał na sobie ciemny blezer i ciemny golf, a jego zawsze przyлизane włosy były potargane. Spojrzał na Michaela ze zdziwieniem i złością.

–Doktorze Moorpath – zaczął Rearden. Ale doktor zasłonił dziwnym, obronnym gestem twarz i zaczął pośpiesznie oddalać się korytarzem.

–Raymond, na litość boską! – krzyknął za nim Michael.

–Co się stało? Kto to jest? – zapytał Victor, który zrównał się z nim krokiem.

–Raymond Moorpath, zachowujący się jak pies, który zwędził ze stołu niedzielną pieczeń.

Victor zajrzał za uchylone drzwi, a potem odwrócił się z poważnym wyrazem twarzy do Michaela.

–Bardziej, jak patolog, który przygotował do sekcji doktora Rice'a.

Michael wszedł do środka. Znajdowali się w jednej z najnowocześniejszych sal na bloku pooperacyjnym Boston Central, ze wszelkiego rodzaju sprzętem monitorującym i służącym podtrzymaniu życia, jakiego ktoś mógł kiedykolwiek potrzebować. Doktor Rice leżał na stojącym pośrodku łóżku; jego nogi chroniła specjalna klatka. Podłączony był do nosowej kroplówki i monitora McClary'ego. Jego twarz miała odcień żółtawej szarości.

Monitor brzęczał głośno, sygnalizując wstrzymanie pulsu, oddechu i aktywności mózgowej, a także stałe obniżanie się ciśnienia krwi.

–Cholera! – zaklął Michael. Odwrócił się, żeby pobiec za doktorem Moorpathem, ale drogę zablokowali mu dwaj odziani na niebiesko lekarze, pielęgniarka i szpitalny strażnik.

–Co się tutaj, do diabła, dzieje? – zapytał jeden z lekarzy. – Kim pan jest, do diabła?

–Victor! – krzyknął głośno Michael. – Powiedz im, kim, do diabła, jesteśmy i co się tutaj, do diabła, dzieje!

Zaskoczony doktor dał krok do tyłu. Michael pchnął go w pierś otwartą dłonią, uderzył ramieniem strażnika i ruszył w pogoń za doktorem Moorpathem.

–Stój! – krzyknął za nim strażnik. – Nie ruszaj się!

Ale Rearden dobiegł już do końca korytarza. O mało nie potknąwszy się o własną stopę skręcił ostro w prawo i sapiąc ciężko z wysiłku popędził dalej. Tupiąc głośno mijał kolejne prostokąty drzwi i migające światła. Ktoś otworzył tuż przed nim drzwi i krzyknął głośno, kiedy koło nich przebiegał.

Domyślał się, że doktor Moorpath nie będzie próbował uciec w stronę wind. Musiałby wtedy zawrócić i narazić się na ryzyko, że Michael i Victor podzielą się i wezmą go w dwa ognie.

Dobiegając do klatki schodowej zobaczył, że zaopatrzone w pneumatyczny zamykacz drzwi właśnie się zatrzasnęły.

Pchnął je ramieniem i znalazł się na pogrążonej w półmroku klatce schodowej z pomalowaną na niebiesko balustradą. Przez chwilę nasłuchiwał, stojąc nieruchomo w miejscu – i tak, z całą pewnością rozpoznawał dobiegające z góry, odbijające się echem od betonowych ścian kroki doktora Moorpatha.

–Raymond! – krzyknął ochryplym z wysiłku głosem. – Raymond! Muszę z tobą porozmawiać!

Żadnej odpowiedzi. Tylko tupanie stóp wspinającego się coraz wyżej lekarza.

–Niech to diabli – sapnął Michael. Ale nie miał żadnego wyboru. Ruszył na górę, przeskakując po dwa schodki naraz i łapiąc co chwila za poręcz. Minął jedenaste, a potem dwunaste piętro. Wciąż słyszał o dwa albo trzy piętra wyżej doktora, który

wyraźnie już zwolnił kroku. Cztery piętra, po dwadzieścia cztery stopnie każde, to zmęczyłoby każdego, nawet gdyby był młody i wysportowany, a Moorpath miał pierwszą młodość za sobą i dwadzieścia kilo nadwagi.

Nagle Michael usłyszał dobiegający z góry ostry zgrzyt. Zadarł głowę i zobaczył smugę dziennego światła. Doktor Moorpath musiał dotrzeć do końca klatki schodowej i otworzył drzwi na dach. Łapiąc kurczowo oddech i czując spływający mu po plecach zimny pot, Rearden przyspieszył kroku i po chwili znalazł się na ostatnim podeście.

Przez chwilę się wahał. Dwuskrzydłowe drzwi kołysały się w przód i w tył w podmuchach ciepłego wiatru i razem z nimi przesuwał się powoli w przód i w tył równoległobok padającego na betonowe ściany słonecznego światła. Michael zauważył dachy budynków i dymy. Nigdzie nie dostrzegł doktora Moorpatha. Może zeskoczył już z dachu. Ale Raymond nigdy nie wydawał się typem samobójczym – był zbyt dumny, zbyt arogancki, zbyt pewny siebie. Bardziej prawdopodobne było, że schował się za drzwiami, chcąc uderzyć nimi Michaela. – Raymond? – zawołał Rearden. – Słyszysz mnie, Raymond?

Drzwi kołysały się nadal, w przód i w tył, ale nie słychać było żadnej odpowiedzi. Otarł chusteczką pot z twarzy, a potem wysmarkał nos. Miał wrażenie, jakby płuca i zatoki wyszorowano mu ajaxem.

Słyszał odległe wycie syren i głębokie buczenie helikopterów. Po chwili dobiegł go również odgłos otwieranych gdzieś daleko na dole drzwi i stłumione krzyki. Wiedział, że za kilkadziesiąt sekund strażnicy odkryją, gdzie jest – i że straci wtedy jedyną szansę, aby porozmawiać z Moorpathem na temat przeprowadzonej przez niego sekcji O'Briena, a także na temat pana Hillary'ego i ludzi o białych twarzach. Nie wspominając już o śmierci doktora Rice'a.

Powoli i ostrożnie, nasłuchując, czy nie dobiegnie go najłżejszy odgłos kroków, pokonał ostatnią kondygnację. Drzwi kołysały się w zawiasach i stuknęły o ścianę; Michael wyciągnął lewą rękę i zatrzymał je wewnętrzną stroną dłoni. Mógł albo skradać się powoli albo dać długiego susa. Zdecydował, że lepszy będzie długi sus. Zapewni mu przynajmniej przewagę wynikającą z zaskoczenia.

Policzył do trzech – i nie ruszył się z miejsca. A potem ponownie policzył do trzech i skoczył. W chwili kiedy to robił, prawe skrzydło drzwi odchyliło się z powrotem i wyrznęło go boleśnie klamką w łokieć. Stracił równowagę, upadł i tocząc się po szorstkim asfalcie, którym wylany był dach, zdarł sobie skórę z dłoni i rozerwał nogawki na kolanach – dwa trójkątnie rozdarcia, niczym u małego chłopca.

Zdyszany i przepelniony paniką zerwał się na nogi i rozejrzał na wszystkie strony – ale doktor Moorpath nie czekał na niego za drzwiami. Odchylił się trochę do tyłu, żeby wyrzeć za róg budki, w której mieściły się schody, ale tam też go nie było. Zerknął przez skraj dachu szesnaście pięter w dół, na tyły szpitala, gdzie widział unoszące się z kuchennych wentylatorów kłęby pary i spacerujących alejkami malutkich ludzi. Tam również nie dostrzegł ani doktora, ani ludzi biegnących do człowieka, który skoczył z dachu – a więc musiał być tu, na górze.

Utykając trochę, z wciąż obolałym łokciem Michael powoli okrążył maszynownię

wind, klimatyzatory i pomalowane na zielono zbiorniki z wodą. W oddali widział błyszczące nad Inner Harbor słońce i ruch samochodowy na moście Northern Avenue. Z miasta dochodził ciepły ożywiony szum i wydawało mu się, że słyszy osobno poszczególne głosy – kobiety wołającej swego psa na Boston Common; męża stojącego w otwartym oknie mieszkania przy Branch Street i mówiącego swojej żonie, że ją kocha; kłócącej się z chłopakiem dziewczyny w budce telefonicznej przy Boylston Street.

Na południowym zachodzie wciąż wisiały chmury dymu, gęste i brązowe niczym kopeć ze spalonych snów.

Michael obszedł już dookoła prawie cały dach. Zatrzymał się przy zbiornikach z wodą i nagle zobaczył doktora Moorpatha. Chciał krzyknąć „Raymond!”, ale głos uwiązał mu w gardle.

Lekarz stał na szczycie wyrzeźbionego w kamieniu godła, które wieńczyło północno-wschodnią elewację szpitala. Miał rozpostarte szeroko ramiona, tak jakby starał się złapać równowagę albo udawał ukrzyżowanego. Stopy oparł na samym skraju godła i nic nie dzieliło go od znajdujących się sto metrów niżej, prowadzących do głównego wejścia do szpitala kamiennych schodów. Odwrócony był plecami do Michaela, twarzą do ciepłego wiatru, którego podmuchy unosiły w górę trzepoczące poły jego marynarki.

Michael podszedł tak blisko, na ile tylko się odważył. Zorientowawszy się, że doktor wyczuł jego obecność, zatrzymał się w miejscu.

–Raymond – powiedział, starając się nie wytrącać go z równowagi. – Nie chcesz chyba zrobić niczego nieroztropnego, prawda, Raymond?

Doktor Moorpath z początku nie odpowiadał, pochylił tylko lekko głowę.

–Cóż warte byłoby życie, Michael, gdybyśmy nie mogli sobie pozwolić na chwilę nieroztropności – odkrzyknął w końcu.

–Przyszedłem z tobą porozmawiać.

–Cóż... z całą pewnością wybrałeś dobry moment. Dwie albo trzy sekundy później i nikt nigdy by się nie dowiedział.

–Chcesz powiedzieć, że go zabiłeś? Naprawdę zabiłeś doktora Rice’a?

Doktor Moorpath wciąż stał odwrócony do niego plecami.

–Powiedzmy, że zaoszczędziłem mu czegoś o wiele gorszego.

–Nie rozumiem.

–Pięćset miligramów chlorku potasu zatrzymało jego serce prawie natychmiast. Chyba się zgodzisz, że lepsze to niż długie miesiące tortur doznawanych z rąk tych obleśnych młodzieńców, którzy wysysają z ciebie samą duszę?

–Wiesz o nich? Wiesz, kim są?

Doktor Moorpath nie odpowiedział.

–To oni zabili Johna O’Briena, prawda? – zapytał Michael. – Widziałem fotografie.

Doktor Moorpath wciąż milczał.

–Powiedz, czy zabili Johna O’Briena – nalegał Michael. – Doktor Rice zahipnotyzował Franka Cowarda, a ten rozbił umyślnie helikopter na Sagamore Head. Tak to wyglądało, prawda? Dlatego właśnie chcieli zabić doktora Rice’a: żeby nie

powiedział nikomu, jak to się odbyło.

–Skoro tyle wiesz, dlaczego mnie jeszcze wypytyujesz? – oskarżył go Moorpath. – Dlaczego nie pójdziesz prosto do Edgara Bedforda albo do komisarza Hudsona? Dlaczego nie pójdziesz do biura prokuratora okręgowego albo do jego wysokości burmistrza? Opowiedz wszystko dziennikarzom z Globe, Phoenixa, Herolda. Zgłoś się do telewizji.

Michael czekał, że doktor powie coś więcej, ale on umilkł i balansował dalej na dwudziestu pięciu centymetrach piaskowca, rozpościerając ramiona niczym wielki, czarny gawron. Wystarczająco wstrząsające było jednak to, co już dał mu do zrozumienia – Michael uświadomił sobie bowiem z chłodnym przerażeniem, że nie ma najmniejszego sensu zwracanie się w sprawie pana Hillary’ego i ludzi o białych twarzach do Edgara Bedforda – podobnie zresztą jak do komisarza Hudsona, prokuratora okręgowego, burmistrza i do środków przekazu.

Wiedział, że jeśli poprowadzi dalej śledztwo w sprawie zabójstwa O’Briena, znajdzie się rychło w sytuacji, którą w Plymouth Insurance określano jako „umyślne i nierozważne wystawianie się na najwyższe niebezpieczeństwo”. Innymi słowy, jego szansę przeżycia będą tak znikome, że nikt nie zgodzi się go ubezpieczyć.

Doktor Moorpath dawał mu do zrozumienia, że podejrzenia Garbodena były słuszne i że na ludzi o białych twarzach rzeczywiście można się wszędzie natknąć: wszystko organizowali, wszystko kontrolowali, podpowiadali możliwym tego świata, co mają robić, nagradzali posłusznych i likwidowali w straszliwy sposób tych, którzy sprawili im zawód.

–Raymond – powtórzył błagalnym tonem. – Musisz mi powiedzieć, kim oni są.

Doktor Moorpath potrząsnął ledwo dostrzegalnie głową.

–Nie, nie zrobię tego, Michael. Uwierz mi: lepiej będzie, jeśli się nie dowiesz.

–Nie chcesz zejść na dół?

–Po co?

–Nikt nie zrobi ci najmniejszej krzywdy, Raymond. I jeśli prawdą jest to, co mówisz o biurze prokuratora okręgowego, nikt nie wysunie przeciwko tobie żadnych zarzutów.

–Nie zrobiłem tego, co mi kazano – oznajmił doktor. – Przeszkodziłem im.

–I co z tego? Co ci mogą zrobić?

–A co zrobili Elaine Parker? Co zrobili Sissy O’Brien? Co zrobili twojemu przyjacielowi, Garbodenowi? Uwierz mi, Michael, oni będą chcieli mnie teraz dopaść i lepiej załatwić to w ten sposób. – Przesunął się centymetr bliżej krawędzi kamiennego herbu i podniósł twarz ku niebu. – Pokazali mi coś, w co nigdy bym nie uwierzył – powiedział. – Pokazali mi siłę ludzkiej aury, pokazali mi całą jej glorię.

–Masz na myśli hipnozę? O tym właśnie mówisz, o hipnozie?

–To tylko początek. Hipnoza jest tylko wejściem, niczym dziura w podłodze, przez którą wślizgują się myszy, żeby odkryć wspaniałe bogactwa spiżarni. Ludzka aura jest magiczna, nieskończona, zdumiewająca... i ci, którzy nauczą się nią posługiwać, mogą opanować samą esencję życia.

Doktor Moorpath był teraz bliski hysterii. Michael ostrożnie wyciągnął w jego



stronę rękę.

–Chodź, Raymond, zejdź stamtąd – poprosił. – Chcę dowiedzieć się czegoś więcej. Chcę, żebyś opowiedział mi coś więcej. Ale nie mogę cię słuchać, kiedy tak chwiejesz się nad krawędzią, naprawdę.

Doktor obrócił się i spojrzał na Michaela przez prawe ramię. Od widoku jego twarzy stawały na głowie włosy. Miał wytrzeszczone oczy, a mięśnie szczęki zacisnął tak mocno, że wydawało się, iż zaraz eksploduje od środka.

–Patrz! – rzucił. I zszedł z krawędzi. I zaczął iść.

Stawiał długie, posuwiste kroki w rozrzedzonym powietrzu – coraz wyżej i wyżej, niczym człowiek wspinający się po zaspie śniegu.

Michael nie był w stanie się poruszyć. Nie wierzył własnym oczom. A mimo to – oddalony trzy metry od krawędzi dachu, a po chwili jeszcze dalej i jeszcze wyżej – doktor Moorpath odchodził od niego, stąpając szesnaście piętér nad ziemią.

Michael nie był w stanie krzyknąć ani się odezwać, przerażony i zarazem wstrząśnięty.

Doktor Moorpath nie oglądał się, ale nagle wtulił głębiej głowę w ramiona. Wyglądało na to, że wspinać się mu coraz większą trudność. Zaczął zwalniać i raz, a potem drugi lekko się potknął. Znajdował się teraz prawie dziesięć metrów od szpitala i trzy metry nad powierzchnią dachu.

Michael zobaczył przecinający plecy doktora Moorpatha bladoróżowy błysk. Ten sam bladoróżowy błysk, który widział, kiedy hipnotyzował go doktor Rice. Ciało eteryczne. Aura. Doktor Moorpath wspinał się coraz wyżej, a migotanie stawało się coraz jaśniejsze i częstsze, aż w końcu cały jego ciemny kontur otoczyły roztańczone, jaskrawe wyładowania energii.

Moorpath uniósł w górę jedną nogę i zawahał się; a potem uniósł drugą i wahał się jeszcze dłużej.

Spod jego marynarki zaczęły się wydobywać smugi dymu.

Podniósł lewą rękę, jakby chciał podciągnąć się po stromym zboczu. Oślepiające żółte światło błysnęło z jego rękawa, a z przegubów zaczął się sączyć ciemny niczym krew dym. Podniósł prawą rękę i podciągnął się jeszcze trochę, ale było jasne, że nie uda mu się długo kontynuować tego spaceru.

Przez moment zawisł po prostu nieruchomo w powietrzu, przywierając rozpaczliwie do nicości. Z jego ubrania walił gęsty, czarny dym. A potem z przeraźliwym wrzaskiem zajął się od stóp do głów ogniem. Rozległ się przypominający fajerwerki trzask, w powietrze trysnął snop iskier i doktor Moorpath zaczął obracać się dookoła jak fryga, z otwartymi niewiarygodnie szeroko ustami, z których wydobywał się udręczony krzyk.

Przez chwilę Michael myślał, że doktor nigdy nie runie w dół – że będzie kręcił się w kółko tak długo, aż cały się spali. Fragmenty płonącego materiału oderwały się od jego ramion, a z pękających stóp tryskały rozpalone krople tłuszczu.

Ale nagle przekręcił się w bok i zaczął spadać. Michael podszedł na sztywnych nogach do krawędzi dachu i patrzył, jak Moorpath obracając się w powietrzu leci w dół – ramiona, nogi, płomień, ramiona, nogi, płomień – i w końcu uderza o ziemię

niczym worek rozżarzonego popiołu.

Wciąż stał przy gzymsie, wpatrując się w płonące ciało, kiedy pojawił się koło niego Victor, a w ślad za nim dwaj szpitalni strażnicy.

–Jezus – powiedział Kuryłowicz, patrząc na otaczający spalone szczątki tłum. – Co się, do diabła, stało?

–Podpalił się – wyjaśnił matowym głosem Michael. – A potem skoczył. W ten sam sposób, w jaki zabili się ci japońscy studenci, pamiętasz, podawali w wiadomościach.

Victor położył mu rękę na ramieniu.

–Dobrze się czujesz? – zapytał.

–Jasne, że dobrze – odparł Michael, choć czuł się zupełnie pusty, wyprany z wszelkich uczuć, tak jakby stał po raz ostatni w domu, który miał opuścić. Żadnych mebli, żadnych dywanów, telefonu i co zaskakujące, żadnych wspomnień.

Victor rzucił okiem na wciąż dymiące zwłoki doktora Moorpatha, a potem z powrotem na krawędź dachu.

–Skąd on skoczył? – zapytał.

–Ze szczytu tego herbu – powiedział, wskazując głową, Michael. – Kiedy wybiegłem na dach, już tam stał. Rozmawiałem z nim. Prosiłem, żeby zszedł, ale nie byłem w stanie nic zrobić.

Victor ponownie spojrzał w dół.

–Stał na szczycie tego herbu i skoczył aż tam? Daj spokój, Michael, przecież to jest przynajmniej...

–Tak? – zapytał głośno Michael, a potem wymówił bezgłośnie słówko „później”, dając do zrozumienia Kuryłowiczowi, że w obecności dwóch strażników nie chce dyskutować na temat tego, co przydarzyło się doktorowi Moorpathowi.

–Aha – mruknął, spoglądając z powrotem w dół, Victor. – Rozumiem, co masz na myśli.

Podobni do lalek pielęgniarki toczyli szybko nosze do miejsca w którym upadł Moorpath.

–No, chodźcie już, ważniacy – odezwał się jeden ze strażników. – Będzie z wami chciała rozmawiać policja.

–Słuchaj, przyjacielu, nie nazywaj nas „ważniakami” – skarcił go Victor. – Masz do nas mówić „panie doktorze” i „panie inspektorze”.

Strażnik wypuścił powoli z płuc powietrze, jakby było mu to głęboko obojętne.

–Dobra, więc chodźcie na dół, panie ważny doktorze i panie ważny inspektorze. Gliniarze nie mogą się doczekać, żeby z wami pogadać.

## ROZDZIAŁ XVI

Michael skończył właśnie kopiować fotografie Garbodena, kiedy bez pukania otworzyły się drzwi. Wsunął ostatnie zdjęcia do koperty i obejrzał się przez ramię. Ku jego zdumieniu, do gabinetu zawitał sam Edgar Bedford, pan i władca Plymouth Insurance. Barczysty i wysoki, miał byczy kark, suche, białe włosy i dużą, rasową głowę, ale twarz szpeciły mu purpurowe i białe plamy, które zawsze przypominały Michaelowi siekaną wołowinę z puszki. Zbyt wiele słońca, zbyt wiele wizyt u kosmetyczki, zbyt wiele podwójnych martini.

Miał na sobie smoking i czarną muszkę i pachniał wodą po goleniu Xeryus, której używali młodzi mężczyźni i która kłóciła się z jego wiekiem i wyglądem. Omiótł dokładnym spojrzeniem gabinet, a potem uśmiechnął się – tak jak uśmiechają się ludzie, którzy nie muszą nikomu być za nic wdzięczni.

–Jesteś jeszcze, Rearden – zauważył. Miał stłumiony i dziwnie niewyraźny głos, niczym złe nagranie z taśmy. – Do późna pracujesz.

–Tak, panie prezesie. Właśnie zamykałem dochodzenie w sprawie O'Briena.

–Tak... tak... bardzo smutna historia. – Edgar Bedford przespacerował się po pokoju i rzucił okiem na wiszące na ścianie notatki. – Szczególnie mi przykro z powodu Joe.

–Słyszał pan o śmierci doktora Moorpatha? – zapytał Michael, starając się, żeby nie zabrzmiało to zbyt prowokacyjnie.

Edgar Bedford kiwnął głową.

–Znałem Raymonda od dwudziestu pięciu lat. Graliśmy razem w golfa. To naprawdę bardzo smutne.

–Pracował ostatnio w dużym psychicznym napięciu, tak słyszałem – rzucił lekko Michael, wzruszając ramionami (i mając przed oczyma Raymonda Moorpatha, który krzycząc z bólu wirował i palił się w powietrzu). Edgar Bedford odwrócił się i utkwiał w nim wodniste oczy.

–Tak – wycedził po chwili. – Ja też o tym słyszałem. Kiedy... ee... zamkniesz sprawę O'Briena, przekaz ją jak najszybciej na moje biurko.

–Zastanawiałem się, czy chce pan, żebym został – powiedział Michael.

Edgar Bedford zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem, tak jakby nie rozumiał, co może znaczyć słowo „został”. Michael wziął głęboki oddech.

–Teraz, kiedy sprawa jest skończona... mam na myśli katastrofę O'Briena... być może znajdzie pan dla mnie coś innego.

–To jedna z przyczyn, dla których chcę z tobą pomówić – oznajmił Bedford.

–Bardzo chciałbym otrzymać następną sprawę. Wydaje mi się, że wylizałem się ze swoich psychologicznych urazów.

Edgar Bedford w ogóle go chyba nie słuchał. Rozejrzał się po gabinecie, spostrzegł krzesło maszynistki i postawił je na środku pokoju, po czym usiadł, skrzyżował ramiona i spojrzał na Michaela z wyrazem twarzy, z jakim nikt dotąd na niego nie patrzył. Pogardliwym i władczym – ale również niespokojnym – tak jakby nie miał dla niego ani krzty szacunku, lecz z drugiej strony obawiał się, że Rearden może zburzyć z trudem wypracowywaną harmonię jego życia.

–Mam zamiar coś ci powiedzieć, Michael. Od blisko stu lat moja rodzina trzęsie Bostonem.

–Wiem o tym, panie prezesie.

–A wiesz, w jaki sposób tego dokonaliśmy? Wiesz, jak zdobyliśmy takie wpływy?

–Jestem przekonany, że zaraz mi pan o tym powie, panie prezesie.

–Zdobyliśmy te wpływy przyjaźniąc się z odpowiednimi ludźmi. Tak właśnie tego dokonaliśmy. Byliśmy dobrzy dla ludzi, którzy mogli nam pomóc, i nigdy nie wybaczyliśmy tym, którzy chcieli nas wysadzić z siodła.

Michael kiwnął głową, tak jakby w pełni rozumiał, o czym jest ten wykład.

–Niezależnie od tego, za kogo mnie uważasz, Rearden, nie jestem głupcem – podjął po chwili Edgar Bedford. – Na swój sposób jesteś jednym z nas i to cię chroni. Ale fakt, że jesteś pod ochroną, nie oznacza, że nie można cię zranić... i że możesz robić, co ci się podoba, wtykając nos w nie swoje sprawy. Więc mówię ci teraz: zakończ ten raport na temat nieszczęśliwego wypadku, w którym zginął O'Brien... zrób to tak, żeby byli zadowoleni reasekuranci... a wtedy być może pomyślimy, żeby cię zatrzymać.

Michael stał przed szefem Plymouth Insurance, trzymając za plecami fotografie Garbodena.

–Tak jest, panie prezesie – powiedział.

Edgar Bedford utkwiał w nim swoje wodniste, wyblakłe oczy i Michael poczuł nagle, że podłoga otwiera mu się pod stopami, nie spojrzawszy jednak w dół i nie runął w otchłań. Z miny prezesa Plymouth Insurance trudno było wywnioskować, czy zauważył ten moment słabości. Wstał, odsunął na bok krzesło i spróbował się uśmiechnąć.

–Zawieranie właściwych przyjaźni, Rearden, to właśnie wprawia w ruch ten świat. Przeczytam z zainteresowaniem twój raport. A propos, pogrzeb Joe odbędzie się w sobotę o jedenastej w krematorium Wakefield. Dziwne, nigdy nie sądziłem, że jest z Wakefield, a ty? Mam nadzieję, że się tam zobaczymy.

Michael zaczekał, aż Edgar Bedford wyjdzie z gabinetu, i wyłączył kserokopiarkę, a potem stał przez dwie albo trzy minuty w półmroku, myśląc o wspinającym się w powietrzu Raymondzie. „Tak właśnie tego dokonaliśmy” – powiedział Edgar Bedford. – Przyjaźniąc się z odpowiednimi ludźmi”.

Zadzwoił do Patsy. Nie powiedział jej o śmierci Raymonda Moorpatha. I tak była już wystarczająco roztrzęsiona z powodu jego przedłużającej się nieobecności, śmierci Joe i tego, co przytrafiło się doktorowi Rice'owi (nie powiedział jej również o śmierci tego ostatniego). Na domiar złego, telewizja bez przerwy pokazywała zamieszki rasowe w Bostonie i w każdych wiadomościach można było obejrzeć na żywo strzelaninę, zasadzki, płonące budynki i uciekające ile sił w nogach dzieci.

Burmistrz wezwał rezerwistów Gwardii Narodowej i oddziały antyterrorystyczne, ale każda nowa inicjatywa rozniecała tylko coraz bardziej rozruchy. Dziesięciolecia gniewu, złości i alienacji były niczym zgromadzone na opał suche drewno, a każda próba ich stłumienia przypominała dolewanie oliwy do ognia.

–Ucieszysz się, kiedy ci powiem, że Edgar Bedford kazał mi zamknąć całe

dochodzenie – poinformował ją. – Powiniennem skończyć przed sobotą. Na weekend wrócę do domu.

–Jonas tęskni za tobą – powiedziała Patsy. – Ja też. Pamiętam, co mówiłam o pieniądzach... ale teraz nie wydają mi się już takie ważne.

Michael nie wiedział, co powiedzieć. Przypomniał sobie ześlizgującą się z fotela Megan. Przypomniał sobie, jak wycierał jej twarz. Tak bardzo się wstydził, że zbierało mu się na płacz.

–Może zaoferują mi pracę na stałe. Nie wiem jeszcze. Muszę trochę poczekać.

–Może pomyślisz o skończeniu tej gry planszowej, nad którą pracowałeś.

Przełknął ślinę. W oczach stanęły mu łzy.

–Tak, jasne. Pomyślę.

O trzeciej w nocy zadzwonił telefon. Spocony i przestraszony usiadł w łóżku. Znowu miał ten sen. Widział idącego w jego stronę, wyciągającego dłoń, uśmiechniętego prezydenta. I słyszał swój własny, puszczone bardzo wolno głos: Neeee, paanieee preezyyydenncieeee, proooszęęęę dooo mnnnieee nieee pooodchoodziiiić...

Telefon dzwonił i dzwonił i dopiero po dłuższej chwili Rearden uświadomił sobie, gdzie on sam się znajduje i gdzie stoi aparat.

–Michael? – usłyszał chropowaty głos z irlandzkim akcentem. – Mówi Żyrafa.

–Żyrafa? Wiesz, która jest godzina?

–Trzy po trzeciej. Możesz do mnie wpaść?

–Masz na myśli: w tej chwili?

–Im szybciej, tym lepiej. To ważne, Mikey. To jest coś, czego przez cały czas szukaliśmy.

Nie był pewien, czy złapie o tej porze taksówkę, pojechał więc własnym samochodem i zaparkował go naprzeciwko domu, w którym mieszkał Boyle. Wiał ciepły wiatr i po ulicy wciąż kręciło się kilku nocnych marków. Obok skrzynki pocztowej na rogu stał jakiś mężczyzna z twarzą zasłoniętą rondem kapelusza. Trzymał ręce przy bokach i w ogóle się nie ruszał. Michael miał przez chwilę ochotę go zaczepić, ale potem uznał, że bezpieczniej będzie tego nie robić. Co w gruncie rzeczy mógł mu powiedzieć? „Wygląda pan jak jeden z ludzi o białych twarzach, którzy zdaniem mojego przyjaciela odpowiedzialni są za mordowanie sławnych ludzi. Co pan tutaj robi?”

Zapukał delikatnie do drzwi, bojąc się, że dzwonek może obudzić Megan, ale to właśnie ona mu otworzyła.

–Cześć, Michael, jak się czujesz?

Uścisnął mocno jej rękę. Było to potwierdzenie, że to, co zrobili, wywołał wyłącznie pan Hillary, a nie seksualny pociąg. I że ważne jest, aby pozostali przyjaciółmi.

Thomas i Victor siedzieli przy stole, popijając kawę i rozmawiając z wielkim, przystojnym Murzynem w zielonej dżalabii.

–Mikey, to jest Matthew Monyatta z Grupy Czarnej Świadomości Olduvai.

–Miło pana poznać. Wydaje mi się, że widziałem pana w telewizji.

–No jasne – uśmiechnął się Matthew. – Co jakiś czas potrzebny im jest jakiś czarny rewolucjonista, żeby nadać programowi polityczną równowagę.

–Chcesz trochę kawy? – zapytał Thomas. – Pan Matthew ma nam coś ważnego do powiedzenia.

–Dla mnie trochę za wcześnie – odparł Michael. – A swoją drogą, wydaje mi się, że jesteśmy śledzeni. Po drugiej stronie ulicy sterczy jakiś facet. Nie jestem pewien, ale to chyba ten sam mężczyzna, który obserwował niedawno moje mieszkanie.

–O tak, z całą pewnością jest pan obserwowany – potwierdził Matthew. – Każdy, kto zagraża białym-białym ludziom, jest obserwowany. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

–Białym-białym ludziom? – zapytał Michael.

–Tak nazywani są w Afryce i na Bliskim Wschodzie. Z powodu swoich twarzy. Kto je raz zobaczy, nigdy ich nie zapomni. Białe twarze i zasłonięte oczy.

–Pamiętasz, co mówiłeś wtedy wieczorem? – zapytał Michael, zwracając się do Victora. – O liliowobiałych chłopcach?

–Liliowobiali chłopcy i biali-biali ludzie to jedno i to samo – stwierdził, kiwając głową, Matthew. – Jest w tym swoista ironia losu. Ich twarze są białe, ich skóra jest biała, ale dusze czarne jak noc.

–Wie pan, kim oni są? – dopytywał się Michael. Nie wierzył własnym uszom. Matthew pokiwał głową.

–Jasne, że wiem – odparł. – Dlatego właśnie zadzwoniłem do porucznika Boyle'a, zaraz po tym jak zobaczyłem w telewizji jego konferencję prasową.

–Niech pan opowie Michaelowi to, co powiedział pan mnie – zaproponował Thomas. – O kościach.

Matthew sięgnął pod kołnierz swojej dżalabii i wyjął miękką, skórzaną torebkę. Obluzował ściągający ją u góry rzemyk i wysypał na blat stołu tuzin małych, białych kości.

–To są kości. Czarownicy używają ich w Kenii do przepowiadania przyszłości i odkrywania tajemnic przeszłości. Trzy tygodnie temu rzuciłem je, a one ostrzegły mnie, że biali-biali ludzie są niespokojni.

–W jaki sposób ostrzegły? – zapytał Michael, starając się, żeby nie zabrzmiało to zbyt sceptycznie. Ale była czwarta rano, a on spodziewał się czegoś bardziej wiarygodnego.

Matthew przesunął dłonią po kościach, które potoczyły się po stole i zmieniły swój wzór.

–Wiem, co panu chodzi po głowie. Myśli pan, że to zbyt prymitywne, nic więcej jak przesąd czarnego człowieka. Kto potrafi przepowiadać przyszłość ze szczątków martwego koguta? Kto potrafi przepowiadać przyszłość z samych kości? Ale ja nauczyłem się czytać z nich od pewnego czarownika, który żył blisko Olduvai, a jego z kolei nauczył inny czarownik i tak dalej, i tak dalej, przez ponad tysiąc lat przekazywana była ta sama wiedza, ta sama psychokinetyczna umiejętność, jeszcze zanim wynaleziono dla niej naukową nazwę. Działają podobnie jak różdżki, ale nie odkrywają wody. Zamiast tego wyczulone są na ducha danej osoby i jeśli ten duch

jest pobudzony lub niespokojny, drżą i podskakują, i same się poruszają. Duchy białych-białych ludzi są bardzo potężne: potrafią wpłynąć na całą ludzką społeczność, więc kiedy biali-biali ludzie są niespokojni, kości ostrzegają o tym dosyć wcześnie.

–I to właśnie wydarzyło się trzy tygodnie temu? – zapytał Thomas, robiąc notatki w kołonotatniku.

–To się zaczęło trzy tygodnie temu – odparł Matthew – i od tego czasu kości są coraz bardziej niespokojne. Wiedziałem, że stanie się coś złego, że zginie ktoś ważny, ale nie dawały mi żadnej wskazówki, kto to może być; ich wzór był zupełnie niejasny. I kiedy rozbił się helikopter pana O’Briena, i wszyscy zginęli, mogłem ich tylko oplakiwać. Nie miałem pewności, że winę za to ponoszą biali-biali ludzie, ale silnie ich o to podejrzewałem, ponieważ tego dnia kości dosłownie podskakiwały, tańczyły na stole niczym małe upiory. A potem, oczywiście, zobaczyłem ich.

–Widział pan ich? – zapytał Thomas. – Widział pan białych-białych ludzi?

Matthew zawahał się przez chwilę i pochylił głowę. Kiedy się odezwał, jego głos brzmiał o wiele ciszej.

–Widziałem ich u Patrice’a Latomby. Ołówek Thomasa zatrzymał się nad kartką.

–Czy było to po, czy przed zamordowaniem Verny Latomby?

–Widziałem ich, widziałem razem z Verną. Była związana i torturowali ją. Polewali stearyną ze świec i kaleczyli nożami.

Thomas zmierzył go surowym wzrokiem.

–Widział pan ich razem z Verną, widział pan, jak ją torturują, a mimo to nie wezwał pan policji? Matthew... mógł pan uratować jej życie!

Monyatta spojrzał mu prosto w oczy.

–Biali-biali ludzie powiedzieli mi, żebym pilnował własnego nosa. Myśli pan, że to nie bolało, wyjść ot tak, z tego mieszkania? Myśli pan, że nie było mi wstyd? Że nie wstydzilem się samego siebie, mojej rasy i mojego tchórzostwa?

–Ale Jezus, Matthew... Monyatta rąbnął pięścią w stół.

–Nie wiecie, z kim macie do czynienia! To nie są włoscy mafiosi, chińskie tongi albo gangi Yardie. To są biali-biali ludzie!

Michael uciekł spojrzeniem w bok. Wybuch Matthew wprowadził go w zakłopotanie, ale wprowadzały go w zakłopotanie również własne myśli. Biali-biali ludzie? Na rany Chrystusa. Czy po to Thomas wyciągnął go w środku nocy z łóżka? Żeby wysłuchiwał razem z nim tego zabobonnego bełkotu? Z drugiej strony nie mógł zaprzeczyć, że Monyatta był człowiekiem o olbrzymiej dumie i sile charakteru.

–Niech pan się uspokoi, Matthew – powiedział łagodnym głosem Thomas. – Niech pan mi powie, co sprawia, że są gorsi nawet od mafii?

Matthew wziął głęboki oddech.

–Naprawdę tego nie rozumiecie, prawda? Mafia ma honor, ma religię i reguły postępowania. Owszem, są zabójcami, parają się narkotykami, prostytutką i hazardem. Ale mają swoją dumę i są lojalni wobec własnej rodziny, niezależnie od tego, jak bardzo wynaturzona jest ta duma i lojalność. Niczego takiego nie ma w białych-białych ludziach. Są winni wszelkich grzechów, jakie ktokolwiek mógł

kiedykolwiek popełnić. Każdego występkę. Każdego okrucieństwa. I tym właśnie są: najokrutniejszymi istotami na tej ziemi, prawdziwym wcieleniem wszelkiego zła.

–W rękach takich ludzi widział pan Vernę Latombę i nie starał się pan jej w żaden sposób pomóc?

–Nie, nie zrobiłem tego.

–I jest pan z tego dumny?

–Nie, nie jestem. Ale i tak nie mogłem nic zrobić; nikt nie mógł nic zrobić. Gdybym spróbował przeżegnać ich znakiem krzyża, wierście mi, wtedy rzuciliby się za mną w pogoń niczym rekiny rodem z piekła i nie spoczęliby, dopóki by mnie nie dopadli. Oszukiwałem się, że Patrice i Luther Johnson prowadzą z nimi jakieś narkotykowe interesy. Nie wiem, czy zdajecie sobie z tego sprawę, ale biali-biali ludzie są po szyję zaangażowani w handel narkotykami, nie z powodu osiągniętych tutaj zysków, lecz dlatego że niszczą one wszelkie społeczne więzi. Dlatego tak chętnie sprzedają crack studentom MIT i Bluszczowej Ligi... to są właśnie wasi Bluszczowi Łącznicy.

Kiedy sprzedasz narkotyki dzieciakowi z Blue Hill Avenue, nie ma to najmniejszego znaczenia. Chłopak nie ma żadnych społecznych wpływów, stanowi po prostu jeszcze jedną cyfrę w smutnej statystyce. Ale kiedy sprzedajesz crack zdolnemu fizykowi, przyszłemu adwokatowi albo dobrze zapowiadającemu się politykowi, czynisz poważne szkody. Niszczysz setki istnień... za cenę jednego.

–Co sprawiło, że zadzwonił pan dziś w nocy do porucznika Boyle'a? – zapytał Victor.

–Chyba poczucie winy. A także fakty, które podał pan na konferencji prasowej, fakty, które upewniły mnie na sto procent, że to właśnie biali-biali ludzie zabili Johna O'Briena, Elaine Parker i tego waszego przyjaciela z ubezpieczeń. Powiedział pan, że wszystkie ofiary miały te same ślady, te same punktowe rany na plecach... Kiedy to usłyszałem, krew stężała mi w żyłach, ponieważ nikt nie robi takich rzeczy, nikt oprócz nich; zostawiają ten ślad po sobie podobnie jak książę Drakula zostawiał ślady zębów na szyjach kobiet.

–Skąd oni się wzięli, ci biali-biali ludzie? – zapytał Michael. – To znaczy, kim dokładnie są? Jakimiś zagranicznymi wywrotowcami?

Matthew parsknął głośnym, gorzkim śmiechem i walnął pięścią w stół.

–To się panu udało! To się panu udało! Zagranicznymi wywrotowcami, a to dobre!

–Niech pan się uspokoi, Matthew – powiedział Thomas. – To wcale nie jest śmieszne.

–Ależ tak – zapewnił Monyatta. – Dokładnie rzecz biorąc, to wy jesteście śmieszni. Jesteście śmieszni, jeżeli wydaje się wam, że wasza zachodnia cywilizacja jest wolna od wszelkich związków z przeszłością. Ilu amerykańskich Żydów wraca do Izraela, żeby medytować i modlić się? Ilu czarnych Amerykanów wraca do Nigerii i Sierra Leone, żeby poszukać swoich korzeni? Ilu Irlandczyków wraca do Irlandii, Niemców do Niemiec, Neapolitańczyków do Neapolu? Wszyscy jesteśmy nierozzerwalnie związani z naszymi przodkami, z naszą rasą... i to jest piękne, świadczy o naszym człowieczeństwie, i nie powinniśmy się tego wstydić, lecz być z tego dumni.

–Ale co to ma wspólnego z białymi-białymi ludźmi? – upierał się Thomas.



**Matthew pociągnął łyk kawy, a potem łyk czystej wody i pochylił się z poważną miną nad stołem. Jego szeroka, dziobata twarz przypominała Michaelowi afrykański krajobraz – ze stepami policzków, wysokimi górskimi pasmami kości policzkowych, jaskiniami nozdrzy i wieńczącym to wszystko płaskowyzem czoła.**

**–Wywodzą się z czasów Trzeciej Księgi Mojżeszowej, która została napisana dwa tysiące sześćset lat temu. Księga ta pokazuje sposób, w jaki można oddzielić człowieka od jego grzechów i jakie są tego konsekwencje.**

**W żydowski dzień pojednania rozkazał Pan swemu kapłanowi Aaronowi „wybrać kozła dla Azazela”. „I położy Aaron obie swoje ręce na głowie kozła żywego, i wyzna nad nim wszystkie przewinienia synów izraelskich i wszystkie ich przestępstwa, którymi zgrzeszyli, i złoży je na głowę kozła, i wypędzi go przez wyznaczonego męża na pustynię”. Pamiętajcie, że kiedy mówiło się w tamtych czasach o grzechach, miało się na myśli wszelkie rodzaje przewinień... od dotknięcia kobiety w czasie jej miesięcznego krwawienia i odsłonięcia nagości żony twego brata, aż po obcowanie cielesne z mężczyzną tak jak z kobietą, co stanowiło obrzydliwość.**

**–Innymi słowy, Aaron miał wybrać kozła ofiarnego, złożyć na niego wszystkie grzechy, wyprowadzić go na pustynię i zrzucić ze skały. I od tej chwili każdy miał być czysty, każdy miał być liliowo-biały – podsumował sceptycznie Victor.**

**–Kozioł ofiarny – powtórzył Michael. Nie wiedział, dlaczego to określenie wydało mu się tak znajome. – Kozioł ofiarny.**

**–Trzecia Księga Mojżeszowa dość dokładnie opowiada – podjął Matthew – jakiego trzeba wybrać kozła, jakie jego części wolno zjeść, a jakie spalić. Nie mówi nam jednak, że w rzeczywistości Aaron wcale nie posłużył się kozłem. Jeśli zajrzeć do egipskich testamentów albo przeczytać opowieści Sumerów, okazuje się, że użył nie kozła, ale człowieka. Był nim prawdopodobnie Azazel, jeden z aniołów, które chodziły wówczas po ziemi, tak samo jak chodzimy dzisiaj po niej my, z tą oczywiście różnicą, że Azazel był naprawdę przerażający.**

**–Powiedział pan: anioł? – zapytał Victor. Matthew wzruszył ramionami.**

**–Tak ich nazywano, w gruncie rzeczy jednak nikt nie wie, kim byli naprawdę. Wyglądali jak ludzie i mówili ludzkimi językami, ale czasami mogli zmieniać swój wygląd i przemawiać w językach, o których nikt nigdy nie słyszał. Łatwo ich było jednak rozpoznać, ponieważ mieli niezwykle silne aury i każdy wyróżniał się jakąś osobliwością, na przykład dodatkową brodawką albo niezwykłym kolorem włosów. Azazela nazywano Kozłem, ponieważ miał czerwone oczy i wyglądał jak kozioł.**

**Victor potrząsnął z niedowierzaniem głową, ale Thomas podniósł z zaciekawieniem wzrok.**

**–Niech pan mówi dalej – powiedział.**

**–Ludzie wybrali Azazela, żeby odpokutował za ich grzechy – podjął Matthew – ponieważ był inny i ponieważ się go bali. Aaron położył obie dłonie na głowie Azazela, a potem jakiś człowiek powiodł go na sznurze na pustynię i zrzucił ze skały. Wszyscy tańczyli, śpiewali i krzyczeli po hebrajsku: ach, jakie to wspaniałe, to już koniec, wszystkie nasze grzechy zostały odpuszczone. Jak się jednak okazało, nie zostały. Bo Azazel przeżył. Poraniony i połamany przeżył. Przez dwadzieścia lat wędrował po**

pustyni... jako nomad, jako włóczęga... i przez cały ten czas miał w sobie zamknięte wszystkie grzechy tych ludzi, grzechy całego plemienia Izraela. I stał się nie z własnej winy wcielonym złem. Zabijał owce i wielbłądy. Gwałcił kobiety i małe dziewczynki; gwałcił psy i chłopców; ale nie możecie go za to winić. Wińcie za to Jahwe, wińcie Aarona. Wińcie każdego, kto wciąż wierzy w Pana. Ponieważ Azazel wziął na siebie wszystkie grzechy ludu Izraela: wszystkie, niezależnie od tego, jak wielkie. Wziął na siebie całe ich okrucieństwo, całą ich perwersję, całą ich winę.

Stał się również nieśmiertelny, a w każdym razie żył bardzo długo. Możecie unosić brew, przyjaciele, ale podstawową rzeczą jest uświadomienie sobie, że anioły naprawdę istnieją. Nie anioły z baśni, ze skrzydłami, aureolami i harfami; ale ludzie, którzy byli obecni w Dniach Magii, kiedy Bóg, kimkolwiek był, wciąż chodził po tej ziemi i otwarcie praktykowano cuda i sztuki magiczne.

Podobno anioły potrafiły nawet latać... chociaż we wszystkich starożytnych księgach określa się to raczej jako „chodzenie w powietrzu”. Dobry Boże, oczywiście nie wiem, czy to prawda, wiem tylko, że Azazel istniał naprawdę. Popłynął na greckim statku handlowym do kraju, który dzisiaj nosi nazwę Maroko, i zamieszkał w zamku, z którego rozciągał się widok na Cieśninę Gibraltarską. Wtedy właśnie zaczęło się gromadzić wokół niego coraz więcej białych-białych ludzi, którzy również mogli być aniołami.

Kimkolwiek byli, nigdy nie zasypiali. Potraficie sobie to wyobrazić? Nigdy nie zasypiali! Czuwali przez całe lata i z tego powodu ich oczy podbiegły były krwią. W Księdze Enocha nazywani są Stróżami, ponieważ zawsze czuwali, nigdy nie spali i nigdy nie okazywali zmęczenia. W dialektach afrykańskich, w Nigerii, Sierra Leone, Senegal, a także na Haiti i Martynice, nazywają ich białymi-białymi ludźmi. Oczy jak rubiny, skóra jak śnieg. W Europie dawno o nich zapomniano, ale wciąż pamięta się wyliczankę „dwójka liliowobiałych chłopców, ubranych całych na zielono”.

–Próbuje nas pan przekonać, Matthew – zapytał śmiertelnie poważnym tonem Thomas – że oni mają setki lat? Że nigdy nie śpią? Że nie umierają?

–Człowieku, przecież wiesz, że nie! – zawołał, trzęsąc podwójnym podbródkiem, Matthew. – Nigdy! Tylko Azazel może im kazać umrzeć!

–Niech pan mówi dalej – powiedział Michael. Nie miał ochoty wdawać się w kłótnię, tym bardziej że nie bardzo wiedział, o czym właściwie opowiada Matthew.

–Biali-biali ludzie starali się ze wszystkich sił dogodzić Azazelowi. Nie było to jednak łatwe, ponieważ jako anioł nie przyjmował żadnego normalnego pożywienia. Jednak przebywając na Ziemi, trzeciej planecie Słońca, musiał się jakoś odżywiać. Okazało się, że pożywieniem, jakiego potrzebował, była adrenalina; ostatecznie zawarł w sobie całe ludzkie zło, wszystkie ludzkie występki, które płonęły w nim, trawiły go od środka; żeby żyć, potrzebował ludzkiej energii. Opowieści o tym, że biali-biali ludzie piją krew, to jedno wielkie nieporozumienie. Wzięło się chyba z powodu ich przekrwionych oczu. Na tej podstawie powstały mity o wampirach i opowieści o Drakuli. Ale to się nigdy nie zdarzyło... wampiry nigdy nie istniały. Wiecie, co Jahwe mówi w Trzeciej Księdze Mojżeszowej: „Zwrócę swoje oblicze przeciwko spożywającemu krew i wytracę go spośród jego ludu. Gdyż życie

wszelkiego ciała jest w jego krwi, w niej ono tkwi”. Nawet najgorsze demony przestrzegają tego prawa. Ale potrzebują adrenaliny; potrzebują jej naprawdę za wszelką cenę. I dlatego porywają młode dziewczęta, a potem straszą je i torturują, aby ich nadnercza wyprodukowały dodatkową adrenalinę. Biali-biali ludzie zawsze noszą przy sobie wąskie rurki z metalu, żeby móc wbić je w plecy ofiary, odnaleźć nadnercza i wyssać z nich adrenalinę.

–Dobrze, Matthew – zwrócił się do niego Victor. – Niech pan nam powie, skąd pan o tym wszystkim wie.

Monyatta obrócił się i spojrzał mu prosto w oczy.

–Wiem o tym, ponieważ pochodzę z Olduvai. Ponieważ od trzydziestu lat studiuję religię i antropologię i potrafię odróżnić prawdę od czystej fantazji. Wiem, ponieważ wierzyłem w to, w co nie chcieli uwierzyć tradycjoniści i sceptycy; i ponieważ mam w sobie trochę magicznej siły. Chce pan, żebym rzucił kości i powiedział, jaka czeka pana przyszłość?

Victor posłał mu krzywy uśmiech.

–W porządku, Matthew... nie wydaje mi się, żeby to było konieczne.

–Proszę opowiedzieć nam trochę więcej o tym kozle ofiarnym – powiedział Thomas.

Monyatta dopił do końca kawę i otarł usta.

–Cóż... kiedy Aaron kazał zrzucić Azazela ze skały, ten przysiągł sobie, że odda nam wszystkie grzechy z powrotem... te same grzechy, które złożył na niego Aaron w dniu pojednania. Obiecał, że będzie utrzymywać świat w stanie ciągłego rozjątrzenia, zabijając każdego, kto zechce zaprowadzić pokój i zrozumienie. Jego biali-biali ludzie będą obcowali z kobietami, aby kazić permanentnie ludzki ród. Pamiętajcie, co mówi Biblia? „A kiedy ludzie zaczęli rozmnażać się na ziemi i rodziły im się córki, ujrzeni synowie boży, że córki ludzkie były piękne. Wzięli więc sobie za żony te wszystkie, które sobie upatrzili”.

Biali-biali ludzie nauczyli swoje żony wszelkiego rodzaju zaklęć i rzucania uroków, a także sztuki przycinania korzeni i botaniki. Azazel nauczył swoich synów, jak wojować i wyrabiać miecze i tarcze. Kobiety nauczył stosowania kosmetyków i „oszukańczej sztuki ozdabiania ciała”, wyjawiał im również wiele czarnoksięskich sekretów.

Od wieków już Azazel sprowadza na nas chaos, wojny i rozpad społecznych więzi, obracając brata przeciwko bratu, rasę przeciwko rasie. O co, waszym zdaniem, chodzi w tych całych zamieszkach na Seaver Street? Biali-biali ludzie niszczą po prostu naszą społeczność. O co chodziło w zamachu na O'Briena? Za każdym razem, kiedy Bóg upodoba sobie jakiegoś człowieka, za każdym razem, kiedy ten człowiek wydaje się bliski rozwiązania jakiegoś ważnego, nękającego świat problemu, Azazel każe go zamordować. Biali-biali ludzie robią to bardzo rzadko... najczęściej posługują się podstawionymi pionkami, takimi jak Sirhan Sirhan, który zabił Roberta Kennedy'ego, albo James Earl Ray, który zabił Martina Luthera Kinga.

Azazel jest Wielkim Kozłem. Azazel zawiera w sobie wszystkie grzechy Izraela, podniesione do n-tej potęgi, ponieważ odplaca nam za nie z odsetkami.

Thomas odchylił się do tyłu i postukał w zamyśleniu po zębach długopisem.

–Zdaje pan sobie chyba sprawę, jak bardzo idiotycznie to brzmi? – zapytał.

–Oczywiście, że brzmi idiotycznie. I tylko dlatego białym-białym ludziom udawało się tak długo ukrywać. Nazywam ich aniołami, bo tak właśnie nazywali ich ludzie w czasach Lewitów i nie wiem, kim innym mogliby być. Uważaliśmy kiedyś, że schizofrenicy są opętani przez szatana, ale fakt, że dzisiaj znamy lepiej ich chorobę, wcale nie chroni ich bardziej przed szaleństwem. Może ci biali-biali ludzie są po prostu „inaczej uzdolnieni”... może cierpią w wyniku jakiejś genetycznej wady, która uniemożliwia im sen i sprawia, że potrzebują dodatkowej adrenaliny. Nie dowiemy się tego, dopóki nie będziemy mogli ich zbadać.

–Naprawdę wierzy pan, że Azazel wciąż żyje? Ten sam Azazel, którego Aaron kazał wyprowadzić na pustynię?

–Nie wiem. Czy jest możliwe, żeby jakakolwiek ziemska istota żyła dwa i pół tysiąca lat? Naprawdę nie uważam, żeby to było ważne. Nawet jeżeli sam Azazel nie żyje, wciąż żyje jego imię, jego dzieło i jego rytuały. Za każdym razem, kiedy kogoś zabijają, zabierają ze sobą jakąś ważną część ciała ofiary, po to aby nie mogła zmartwychwstać.

–Nie wiedziałem, że zmartwychwstanie w ogóle jest możliwe – wtrącił Victor.

–Widzę, przyjacielu – odparł Monyatta, nie starając się wcale ukryć brzmiającej w jego głosie urazy – że nigdy nie był pan na Haiti i nie studiował kultu vodu... Zmartwychwstanie jest nie tylko możliwe, ale zdarza się dość często... i to nie tylko na Karaibach. Żywe trupy chodzą po Bostonie, przyjacielu. Żywe trupy chodzą po Manhattanie, Zobacz pan, niedługo zaczniesz się pan za nimi oglądać.

–Więc robią to z każdą swoją ofiarą? – przerwał Thomas, chcąc wrócić do tematu.

–Zgadza się, z każdą. Abrahamowi Lincolnowi zabrali serce; Johnowi Kennedy’emu mózg. Zabrali oczy Martinowi Lutherowi Kingowi i płuca Anwarowi esSadatowi. Jeśli nie mogli zabrać niczego z miejsca zbrodni, mieli na swoich usługach wielu doktorów i przedsiębiorców pogrzebowych.

Michael przypomniał sobie stąpającego niepewnie w powietrzu doktora Moorpatha. Być może Matthew Monyatta przesadzał. Być może mieszał fakty z zabobonnym bełkotem. Ale Michael widział na własne oczy, jaką mocą dysponują biali-biali ludzie, bądź też liliowo-biali chłopcy, i odczuł, jak przerażająco jest ona prawdziwa.

Moc z czasów Starego Testamentu. Moc, która zawierała w sobie całą magię i całą tajemnicę Biblii.

–Co zabrali Johnowi O’Brienowi? – zapytał Matthew. – Nie poinformowaliście gazet, że został w jakiś sposób okaleczony.

–Skąd pan wie, że został okaleczony?

–Ponieważ zabili go biali-biali ludzie, a powiedziałem wam już, że oni zawsze coś zabierają.

Thomas przez chwilę milczał, wciąż odchylony do tyłu, wciąż zamyślony.

–W porządku – powiedział w końcu. – Zabrali mu głowę. Zdekapitowali go nożycami mechanicznymi Holmatro... sprzętem, jakiego strażacy używają do

wycinania ludzi z samochodowych wraków. Wszędzie było mnóstwo krwi, ale nie znaleźliśmy głowy. Mogliśmy co najwyżej zakładać, że sprawca uznał ją za trofeum.

–To tylko w połowie prawda – pokiwał głową Matthew. – Zabrali ją częściowo jako trofeum, częściowo jako zabezpieczenie.

–Pozwoli pan, że o coś zapytam... – odezwał się Victor. – Czy wiadomo o którymkolwiek z białych-białych ludzi, że umarł?

Matthew potrząsnął głową.

–Pilnie strzegą swoich sekretów: tego, jak żyją, i tego, jak udaje im się przetrwać. Mają mnóstwo wysoko postawionych przyjaciół, których sowicie wynagradzają za pomoc. Mają również wielu wysoko postawionych wrogów, ale wszyscy oni zbyt bardzo się boją, żeby im zaszkodzić. Czasami lepiej odwrócić się w drugą stronę, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi.

Znam pewną opowieść o starym marokańskim kupcu. Wybrał się on z wizytą do białych-białych ludzi, którzy porwali jego córkę i zamierzali ją zhańbić. Błagał białego-białego człowieka, żeby ją oszczędził i pozwolił jej wrócić do domu, ale ten uparcie odmawiał. Arabska grzeczność zabrania jednak gospodarzowi wyprosić gościa. Kupiec przebywał więc przez cały dzień i całą noc w domu białego-białego człowieka, błagając go, aby nie hańbił jego córki, a ten nie miał oczywiście innego wyjścia: musiał siedzieć i słuchać jego próśb. Kupiec spędził tam kolejny dzień i kolejną noc, ale coraz bardziej chciało mu się spać. A biali-biali ludzie oczywiście nigdy nie zasypiają. Kupiec uświadomił sobie, że wkrótce zapadnie w sen, a wtedy biały-biały człowiek będzie mógł go opuścić i posiąść jego córkę. Zaczął więc nucić piosenkę, którą śpiewała mu do snu jego babka. Nucąc ją, kołysał przed oczyma gospodarza ozdobnym wisiołem. Biały-biały człowiek zasnął i w czasie snu zaczął ujawniać się jego prawdziwy wiek: stopniowo schnął, kurczył się i w końcu nie zostało z niego nic więcej niż...

–Mały, zwinięty w kłębek, włochaty przedmiot podobny do brukwi – wtrącił Thomas.

Matthew wlepił w niego zdumiony wzrok.

–Skąd pan wie?

–Bo widziałem coś takiego. A właściwie fotografię tej rzeczy. Wisiała w holu domu przy Byron Street, gdzie odnaleźliśmy Elaine Parker. Odziani w wiktoriańskim stylu ludzie stali wokół stołu, na którym leżał właśnie taki wysuszony przedmiot.

–Więc zaczyna mi pan wierzyć? – zapytał Matthew.

–Muszę chyba napić się jeszcze kawy – stwierdził Victor. Thomas zapisał coś pośpiesznie w notesie.

–W tych wszystkich mitach na pewno coś jest – powiedział. – Nie wierzę, że biali-biali ludzie są odpowiedzialni za wszystkie większe, popełnione kiedykolwiek morderstwa. Jednak to, co pan opowiedział, w wystarczającym stopniu zgadza się z zaistniałymi faktami, żeby zbadać rzecz bliżej.

–To, co zrobił ten kupiec, to była po prostu hipnoza – stwierdził Michael. – A ja oglądałem pana Hillary’ego wyłącznie w hipnotycznym transie.

–Jakie wymienił pan nazwisko? – zapytał Matthew. W jego głosie zabrzmiał

autentyczny niepokój.

–Hillary – powtórzył Michael. – Przechodzę hipnoterapię i podczas kilku ostatnich seansów widziałem wysokiego, białowłosego mężczyznę o nazwisku Hillary.

Matthew dotknął dłonią czoła, odczyniając urok.

–Święty Hilary był jedynym papieżem, o którym wiadomo, że stykał się z białymi-białymi ludźmi. Było to w piątym wieku. Krążą opowieści, że widziano go razem z Azazelem. Krążą opowieści, że on sam był Azazelem. Podobno pochodził z Sardynii, ale niektórzy wierzyli, że przybył z Maroka.

–Zbieg okoliczności? – zapytał Thomas.

–Nie wydaje mi się – stwierdził Michael. – W tej sprawie było już zbyt wiele cholernych zbiegów okoliczności i wszystkie wskazują na jedną osobę: pana Hillary’ego z Goat’s Cape na półwyspie Nahant.

–W porządku – odparł Thomas, rozprostowując ramiona. – Wydaje mi się, że ja też mógłbym napić się trochę kawy.

–Co masz zamiar zrobić? – zapytał Michael.

–Przede wszystkim porządnie to wszystko przeanalizować – odparł Thomas.

–To wszystko? Co z panem Hillarym?

–Co z panem Hillarym? Ma nazwisko, które brzmi tak samo jak imię papieża z piątego wieku. Pojawił się w twoich hipnotycznych transach. A także w notesie twojego terapeuty. Aha... byłbym zapomniał... pewien ślepiec wymienił jego nazwisko, rozmawiając z tobą na ulicy. Nie wydaje mi się, żeby to były wystarczające powody, aby go zwinąć.

–Mógłbyś obstawić jego dom – zasugerował Michael. Thomas potrząsnął głową.

–To również trudno by mi było usprawiedliwić. Z prawnego i finansowego punktu widzenia.

–W takim razie ja będę obserwował jego dom.

–Trzymaj się z daleka od jego domu. Węsz dalej, szukaj dowodów. Jeśli coś znajdziesz, daj mi znać.

–Zamierza pan wystąpić przeciwko białym-białym ludziom, poruczniku? – zapytał Matthew.

–Jeśli istnieją i jeśli zrobili to, co według pana, zrobili, wtedy tak, zamierzam przeciwko nim wystąpić.

Matthew uniósł swoje wielkie ciało z fotela i wygładził dżalabię.

–W takim razie, dam panu mądrą radę. Niech pan nigdy nie pozwoli, żeby biali-biali ludzie przekroczyli pański próg. Niech pan się do nich nigdy nie odzywa i nie patrzy im w oczy. A jeśli zobaczy pan kogoś w nocy, proszę upewnić się, czy ma pan latarkę albo świeczkę i nigdy nie odwracać się do niego plecami. Thomas odprowadził Monyattę do drzwi.

–Dziękuję, że zadał pan sobie tyle kłopotu.

–Pan nie wie jeszcze, co to jest prawdziwy kłopot, poruczniku.

–Cóż... wygląda na to, że niedługo się dowiem. Matthew dotknął ponownie czoła.

–Niech dobre duchy chronią pana przed nieszczęściem.

Michael wyszedł z mieszkania Thomasa krótko po ósmej, po przygotowanym

przez Megan śniadaniu i przedyskutowaniu tego, co może wynikać z opowiedzianej przez Matthew historii. Wszyscy zgodzili się, że fotografie zgromadzone przez Garbodena mogą wskazywać na istnienie spisku, w wyniku którego popełniono większość dokonanych w ciągu ostatnich stu dwudziestu lat politycznych morderstw. Nie byli jednak przekonani, czy pojawiający się na wszystkich zdjęciach ludzie o bladych twarzach są rzeczywiście tymi samymi osobnikami, a także, czy są oni rzeczywiście „białymi-białymi ludźmi” Matthew, potomkami aniołów ze Starego Testamentu.

–Pamiętajcie, że Matthew to rewolucjonista – powiedział Thomas. – Może chce wykorzystać nas do własnych politycznych celów albo po prostu zrobić z nas zabobonnych idiotów.

–Nie odniosłem takiego wrażenia – zaprotestował Michael. – Wydawało mi się, że był autentycznie przerażony.

Do salonu wjechała Megan ze świeżymi grzankami. Położyła dłoń na ręku Michaela i poczuł fizyczne ciepło jej aury.

–Najadłeś się? – zapytała.

Rearden spojrzał na Thomasa. Widząc jego uśmiech poczuł się jak szczur, który wykradł smakołyki z cudzej spiżarni.

Po powrocie do domu ściągnął sweter i rzucił go na kanapę, a potem zmęczony usiadł i zdjął buty. Spozregłszy mrugającą lampkę na automatycznej sekretarce, wcisnął przycisk, żeby usłyszeć wiadomość. Usłyszał cichy trzask, długie syczenie, a potem niewyraźne dźwięki muzyki – dziwnej nieharmonicznej muzyki, która brzmiała, jakby ktoś usiłował oddać, grając na skrzypcach, dręczącą go migrenę.

A potem rozległ się bardzo głośno ochrypli, świszczący głos – tak głośno, jakby mówiąca osoba stała tuż przy jego ramieniu.

–Nadużyłeś naszej cierpliwości, Michael. Próbowaliśmy dodać ci otuchy, próbowaliśmy być tolerancyjni. Mogłeś prowadzić spokojne i dostatnie życie, gdybyś tylko odwrócił wzrok. Odwrócenie wzroku to nie grzech, Michael. Musimy się bronić, chyba to rozumiesz. Każdy społeczny porządek ma prawo się bronić. Dlatego właśnie wypożyczyliśmy twoją żonę i syna, Michael... Po to, żeby się bronić. Teraz, Michael, możesz już tylko odwrócić wzrok i nigdy nie oglądać się z powrotem.

To było wszystko. Przez jakiś czas słyszał zgrzytliwą muzykę, a potem umilkła i ona. Taśma się zatrzymała. Michael natychmiast podniósł słuchawkę i wystukał numer swojego domu w New Seabury. Za pierwszym razem wybrał zły numer i powitał go ciągły ton. Za drugim razem usłyszał sygnał własnego aparatu, który odzywał się przez blisko minutę. Nikt nie podnosił słuchawki.

Zadzwoił do Thomasa.

–Wróciłem do domu i zastałem wiadomość w automatycznej sekretarce. Ktoś powiedział, że wypożyczył Patsy i Jonasa. Zatelefonowałem do nich, ale nikt nie odpowiada.

–Jesteś pewien, że nie wyszli gdzieś na chwilę?

–O tej porze Patsy jest normalnie w domu, a Jonas w szkole.

–Może zadzwoń do szkoły i sprawdź, czy przyszedł. Jeżeli nie, skontaktuję się z

moim starym kumplem, Waltem Johnsonem Hyannis i poproszę, żeby zajrzał do twojego domu. Najważniejsze to nie wpadać w panikę.

–Thomas...

–O co chodzi, Mikey?

–Wydaje mi się, że to był on. Ten głos w telefonie. Wydaje mi się, że go rozpoznałem.

–To świetnie. Kto to twoim zdaniem jest?

–Jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewien, że to był pan Hillary.

W słuchawce zapadła długa cisza.

–Cholera jasna – zaklął w końcu Thomas.

–Dlaczego „cholera jasna”? – chciał wiedzieć Michael.

–Posłuchaj – powiedział Boyle. – Wiemy, gdzie mieszka pan Hillary, prawda?

–Zgadza się... więc jeśli porwał Patsy i Jonasa...

–Mógł porwać Patsy i Jonasa, tak. Jeśli maczał palce w zabójstwie Johna O'Briena, w takim razie z całą pewnością ma motyw, żeby powstrzymać cię przed węszeniem wokół tej sprawy. Ale ja nie mogę przeszukać jego domu bez nakazu, a żeby go dostać, muszę podać jakiś powód.

–Ale ja przecież rozpoznałem jego głos. Jakiego jeszcze potrzebujesz powodu?

–Mikey... czy spotkałeś kiedykolwiek na jawie pana Hillary'ego?

–Oczywiście, że nie. Ale...

–Mikey... czemu rozpoznałeś jego głos?

–Przecież do mnie mówił, na miłość boską! Mówił do mnie, kiedy byłem w tra... – urwał. Nagle zrozumiał, co miał na myśli Thomas. Żaden sędzia nie wyda nakazu przeszukania tylko dlatego, że ktoś rozpoznał głos, który słyszał przedtem podczas transu hipnotycznego.

–Zadzwoń do szkoły – powiedział Thomas. – Zadzwoń do szkoły, a potem oddzwoń z powrotem.

–Dobrze – odparł Michael i odłożył słuchawkę.

Poszukał w książce telefonicznej numeru szkoły i wystukał go. Ale wiedział dobrze, jaka będzie odpowiedź, jeszcze zanim poproszono wychowawczynię klasy Jonasa. Patsy i Jonas zostali porwani – przez pana Hillary'ego, przez liliowobiałych chłopców – i przed oczyma miał teraz tylko upstrzoną poparzeniami po papierosach skórę Elaine Parker i chudego kota, który wciąż prześladował go w koszmarach, szczerząc zęby z wnętrzości Sissy O'Brien.



## ROZDZIAŁ XVII

Na skrzyżowaniu McClellan Highway i Revere Beach Parkway doszło do wypadku. Wielka ciężarówka przewróciła się i leżała na boku na jezdni niczym wielki, martwy słoń, w kałuży oleju napędowego zamiast krwi. Ruch zablokowany był aż do Bennington Street i Michael z Victorem musieli sfrustrowani czekać w korku.

Dochodziła czwarta, zanim dotarli do Lynn Shore Drive i skręcili w drogę prowadzącą wzdłuż Nahant Beach. Popołudnie było ciepłe, a wiejąca od morza bryza lekka jak piórko, ale słońce zasłoniła gęsta, szara mgła i plaża przypominała wypraną z kolorów czarno-białą fotografię.

–Zdajesz sobie sprawę, że Żyrafa dostanie białej gorączki, jak się dowie, że wybraliśmy się tutaj na własną rękę? – zapytał Victor.

–Żyrafa może robić, co chce. Żyrafie nie porwała całej rodziny jakaś banda maniaków o białych twarzach.

–Myślisz, że naprawdę zadzwonił do ciebie pan Hillary?

–Przegrywałem taśmę dziesiątki razy. Jestem tego pewien. Nie wiem, w jaki sposób mogłem słyszeć podczas transu jego prawdziwy głos, ale słyszałem go.

–No cóż... Hipnoza auralna stanowi bardzo potężną formę ludzkiej komunikacji. Nie wiem, czy ktoś posiada psychiczną siłę, aby porozumiewać się z kimś na odległość pięćdziesięciu kilometrów tak, aby można było rozpoznać jego głos. Ale kto wie? Wszystko znajduje się jeszcze w powijakach. To przypomina rzeczywistość wirtualną, bez konieczności posługiwania się całym kosztownym elektronicznym sprzętem.

–To przypomina latanie bez skrzydeł – dodał Michael. – Tak jak to zrobił doktor Moorpath.

–Żałuję, że tego nie widziałem – stwierdził Victor. Michael posłał mu uważne spojrzenie.

–Wierz mi, to prawda.

–Nie zrozum mnie źle. Nie wątpię w to, co mówisz. Żałuję po prostu, że tego nie widziałem.

–Czy nie sądzisz... zresztą nieważne.

–Co takiego? – zapytał Victor.”

–No więc... kiedy zobaczyłem chodzącego w powietrzu doktora Moorpatha, pomyślałem nagle o Elaine Parker. Spadła z wysokości sześciu tysięcy metrów, a jednak udało jej się przeżyć. Przez całe miesiące widziałem ten wypadek w swoich koszmarach. Wypadałem z tego L-1011 więcej razy, niż potrafisz zliczyć. Spadałem i spadałem, i za każdym razem myślałem sobie: gdybym tylko potrafił latać.

–Próbujesz zasugerować, że być może Elaine Parker potrafiła latać? – Victor uniósł brwi. – Albo chodzić w powietrzu? Tak samo jak doktor Moorpath?

–Istnieje taka możliwość, prawda? Jeśli udało się to jemu, to być może jej też. Słyszałem o pewnym pilocie bombowca, który spadł w czasie wojny z wysokości sześciu tysięcy metrów i wylądował na jakichś drzewach.

Minęli elegancko pomalowane plażowe domki Little Nahant i skręcili w nierówną, piaszczystą drogę, która prowadziła do latarni na Goat's Cape. Wielki mercury

podskakiwał na wybojach, a tylne koła utknęły raz w żwirze i piasku. Nagle znaleźli się w szczerym polu porośniętym kępami morskiej trawy – i za parę chwil zobaczyli przysadzistą, białą latarnię, którą Michael oglądał w swoich hipnotycznych transach.

–Lepiej tu zaparkuj – powiedział Victor. – I ustaw wóz przodem w kierunku jazdy na wypadek, gdybyśmy musieli stąd szybko pryskać.

Michael skierował samochód przodem na północ. Wysiedli i resztę drogi do latarni pokonali pieszo. W okolicy nie było zaparkowanych żadnych innych pojazdów, a sama latarnia sprawiała wrażenie opuszczonej. Lampa była brudna i popękana, a ściany od strony morza pokryte zaciekami.

–Wygląda na pustą – stwierdził Victor. – Może ten cały pan Hillary rzeczywiście jest wytworem twojej wyobraźni.

Michael potrząsnął głową.

–Pamiętaj, że Megan widziała go także.

–Może jest wytworem również jej wyobraźni.

–Daj spokój, Victor. Nie wierzysz chyba, że dwoje ludzi mogłoby wymyślić sobie równocześnie tę samą fikcyjną postać? Oboje przybyliśmy do Goat's Cape w naszym transie. Oboje widzieliśmy pana Hillary'ego tak wyraźnie, jakby istniał w rzeczywistości.

–Dlaczego nie powiedziałeś o tym Żyrafie?

–To nie sprawiłoby żadnej różnicy. Poza tym nie chciałem, żeby coś sobie pomyślał.

–Co sobie pomyślał? – zapytał ze zdumieniem Victor. Michael nie odpowiedział. Fakt, że Megan przykuta jest do wózka – pomyślał – wcale nie oznacza, by była mniej piękna, mniej atrakcyjna albo seksowna. Victor rozejrzał się dookoła i pociągnął nosem.

–Może zapukasz do drzwi – zaproponował. – Ja zobaczę, co jest z tyłu.

Michael przełknął ślinę. Z latarni nadal nie dobiegał żaden dźwięk i zaczął żałować, że tu w ogóle przyjechał. Może Thomas miał rację, że nie należy pojawiać się na Goat's Cape bez żadnego konkretnego dowodu świadczącego o tym, że pan Hillary porwał Patsy i Jonasa. Wciąż nie było zresztą żadnego konkretnego dowodu, że w ogóle zostali porwani. Szukała ich policja z Barnstable, ale jak dotąd nie znaleziono niczego podejrzanego. Dom był pusty, ale zamknięty. Żaden z sąsiadów nie słyszał krzyków ani odgłosów walki, ani nie widział kręcących się po okolicy obcych.

Michael był jednak pewien, że Patsy i Jonas zniknęli na dobre i że porwał ich pan Hillary. To przekonanie tkwiło w jego umyśle niczym mroczny, nie wypowiedziany wyrok. Tak jakby wiedział, ale nie do końca rozumiał dlaczego. I chociaż z latarni nie dochodził żaden odgłos ani znak życia, czuł, że coś się w niej kryje. Coś bardzo mrocznego, bardzo dziwnego.

Coś, co przyciągało go coraz bliżej i sprawiało, że chciał tutaj pozostać.

Coś, co przyciągało go coraz bliżej i sprawiało, że musiał tutaj pozostać.

Victor uścisnął jego ramię, a potem ześlizgnął się po stromym zboczu i obszedł latarnię od strony morza.

–Jest tutaj kilka zabudowań – zawołał. – Sprawdzę je. Michael odczekał jeszcze

chwile, a potem podszedł powoli do masywnych, dębowych drzwi. Znajdował się przy nich zardzewiały uchwyt dzwonka z kutego żelaza, a pod nim skorodowana tabliczka, na której widniały litery ARY L EEPER.

Napis prawdopodobnie brzmiał kiedyś MR HILLARY, LIGHTHOUSE KEEPER (PAN HILLARY, LATARNIK). Ironia losu sprawiła, że to, co zostało, można było teraz wymówić jako AIRY LEAPER (POWIETRZNY SKOCZEK).

Michael pociągnął za uchwyt i czekał. Nie usłyszał nawet dzwonka. Może był popsuty, a Patsy i Jonas czekali już w domu, próbując się z nim bez skutku skontaktować.

Spojrzał na zegarek. Było dwadzieścia po czwartej. Przypomnił sobie, co mówiła mu zawsze matka, kiedy mijało dwadzieścia minut po jakiejś godzinie. Że to pora, kiedy latają nad głowami anioły. Odchrząknął i po raz drugi pociągnął za uchwyt dzwonka.

–Na razie nic – zawołał Victor z drugiej strony latarni. – Poza jednym przedpotopowym rowerem i połamanym kojcem na kurczaki.

Michael przyjrzał się ścianom latarni. Tuż nad drzwiami wyryte były napisy, niektóre wyglądały na całkiem stare: „John luty 1911” i „Anthea ‘34”, i raczej bez sensu „Andover Newton Theological School na zawsze”. Wyżej dostrzegł jeszcze więcej graffiti. Część z nich wydrapano pismem zwierciadlanym, a inne składały się wyłącznie z trójkątów, kwadratów i zygzaków. Żeby zobaczyć niektóre z nich, Michael musiał dać krok do tyłu: znajdowały się siedem, a nawet dziesięć metrów nad ziemią.

Jak, do diabła, ludzie dostali się tak wysoko, żeby to wszystko wyryć – pomyślał nagle. Mogli użyć oczywiście drabiny, ale schody prowadzące do drzwi miały wyjątkowo wąskie stopnie, zbyt wąskie, żeby można było na nich oprzeć normalną drabinę. A poza tym który latarnik tolerowałby wandalów, wspinających się po ścianach latarni i wykuwających dłutem i młotkiem najróżniejsze litery i symbole?

Jeden z wyrytych pismem zwierciadlanym napisów brzmiał: JEDNA DZIESIĄTA EFY. Inny NIECZYSTE. Pozostałe stanowiły niezrozumiały bełkot.

Michael wciąż przyglądał się graffiti, kiedy dębowe drzwi otworzyły się zupełnie bezszelestnie. Z początku w ogóle tego nie zauważył – tak bardzo zainteresowały go hieroglify, które wyglądały jak różne ptaki: kruki, mewy, jastrzębie i bociany.

Były tam także insekty: rysunki, które przypominały pająki, krocionogi i mrówki.

Drzwi latarni otworzyły się trochę szerzej i dopiero teraz wzrok Michaela przyciągnął rozszerzający się stopniowo prostokąt czerni. Wzdrygnął się, zaskoczony i o mało nie spadł ze stromych schodów.

W progu stała blada, młoda kobieta. Jej oczy były koloru zielonej mięty. Na głowie miała białą bawełnianą chustę, która nadawała jeszcze bledszy odcień jej cerze, a na szyi delikatny złoty łańcuszek. Ubrana była w długą do kostek suknię z tej samej cienkiej, białej bawełny co chusta.

–Szuka pan kogoś? – zapytała wysokim głosem, ledwie słyszalnym poprzez szum przyboju.

–Szukam pana Hillary’ego. Czy go zastałem?

–Oczywiście. Oczekuje pana.

–Czy jest tutaj moja żona? I mój syn?

–Oczywiście. Nie spodziewał się pan tego?

Michaela ogarnął tak potężny gniew i jednocześnie strach, że przez chwilę nie mógł oddychać.

–Proszę powiedzieć panu Hillary’emu, że ma ich natychmiast wypuścić.

Natychmiast! Chce ich tu zaraz zobaczyć!

Dziewczyna uśmiechnęła się na widok jego gniewu.

–Może pan wejść i zobaczyć ich w środku.

–Dobrze. Ale zaraz ich stąd zabieram.

–Dlaczego nie porozmawia pan z panem Hillarym? Tak długo czekał, żeby z panem pomówić.

–Mam taki zamiar. I nie wiem, czy spodoba mu się to, co ode mnie usłyszy. Victor!

–No właśnie – powiedziała dziewczyna. – Zauważyliśmy, że przywiózł pan ze sobą kolegę.

–Zgadza się, przywiozłem.

–Pan Hillary wolałby, żeby pański towarzysz opuścił to miejsce.

–Nie wydaje mi się, żeby pan Hillary był w stanie wydawać komukolwiek jakieś polecenia. Policja wie, że tutaj jesteśmy.

Dziewczyna spojrzała mu prosto w oczy.

–Nie, nie wie – odparła zupełnie spokojnie.

Michael lekko się cofnął. Czuł, jak jego umysł ogarnia dziwny chłód, tak jakby w tkankę mózgową wbijała się zimna igła.

–Nie musi nas pan okłamywać – stwierdziła z uśmiechem dziewczyna.

Z drugiej strony latarni pojawił się wycierający chusteczką okulary Victor.

–Wilgotna mgła – wyjaśnił. – Co się tutaj dzieje? – zapytał na widok dziewczyny.

–Jest tutaj pan Hillary – odparł Michael. – A także Patsy i Jonas.

–Widziałeś ich?

–Właśnie wchodzę, żeby ich zobaczyć.

–Tylko pan – oznajmiła dziewczyna, zwracając się do Michaela. – Nie chcemy pańskiego towarzysza. Pański towarzysz ma stąd natychmiast odejść i nic nikomu nie mówić.

–Poczekaj, skarbie – odezwał się Victor. – Twój pan Hillary popełnił poważne przestępstwo, podobnie zresztą jak i ty. Więc wpuść nas po prostu do środka, a my zabierzemy żonę i dziecko tego pana i już nas tu nie będzie. W przeciwnym razie jeszcze pogorszycie swoją sytuację.

–Tylko pan – powtórzyła dziewczyna.

Victor wspiął się po ostatnich dwóch schodkach.

–Jestem funkcjonariuszem bostońskiego biura koronera – powiedział, zwracając się bezpośrednio do dziewczyny – i polecam pani natychmiast zaprowadzić nas do Patsy i Jonasa Reardenów. Rozumie pani po angielsku?

Dziewczyna w ogóle nie zwracała na niego uwagi. Jej zielone oczy wciąż utkwione były w stojącym za plecami Victora Michaela. Malowało się w nich jakieś niezwykle

skupienie, jakby wypełniała je przedestylowana miłośnicie zazdrość – jakby każdy przeżyty przez nią moment bólu i męczeństwa zredukowany został do tych dwóch kropel bezdennej zieleni. Położyła rękę na prawym ramieniu Victora i przez chwilę Michael nie bardzo wiedział, co ma zamiar zrobić. A potem zobaczył, jak złapała mocniej za ramię Kuryłowicza i napięły się mięśnie jej karku.

–O Chryste! – krzyknął nagle Victor. – Chryste! O Chryste! Obrócił się na pięcie, jakby znajdował się na obrotowej scenie.

Usta miał szeroko otwarte z przerażenia, przez dziurę w koszuli chlustała, lejąc się na stopnie, gęsta krew. Michael chciał go złapać, chciał go przytrzymać, ale Victor stracił równowagę i runął w dół, staczając się ze schodów.

Ośłupiały Rearden podniósł w górę zakrwawione ręce. Wbił wzrok w dziewczynę, która uśmiechnęła się do niego, całkowicie spokojna, całkowicie opanowana. Jej prawa ręka była również zakrwawiona – aż do łokcia, tak jakby założyła na nią czerwoną wieczorową rękawiczkę.

Trzymała w niej mały nóż o wąskim ostrzu. Musiała rozplatać Victorowi brzuch od pępka aż do mostka; zrobiła to bez najmniejszego wahania.

–Victor! – krzyknął Michael. Chciał zbiec ze schodów, ale dziewczyna wyszła na zewnątrz i stanęła przed nim z podniesionym nożem. – Zejdź mi z drogi! – ryknął na nią Michael. – On jest ciężko ranny. Mogłaś go zabić. Zejdź mi, do cholery, z drogi!

Próbował ją jakoś ominąć, ale ona skutecznie blokowała jego ruchy. Jej oczy były kompletnie pozbawione wyrazu i wiedział, że jemu także może za chwilę rozplatać brzuch.

–Joseph! – zawołała przenikliwie wysokim głosem.

Michael zrobił zwód i próbował ominąć ją z drugiej strony, ale machnęła na ukos nożem i ciachnęła go aż do kości po palcach. Krew pociekła po jego rękawie i zachlapała schody. Musiał wyjąć chusteczkę i obwiązać nią dłoń. Materiał z białego natychmiast zrobił się szkarłatny.

–Posłuchaj – zwrócił się do dziewczyny, trzęsąc się ze zdenerwowania. – Nie możecie go tam tak po prostu zostawić. Wykrwawi się na śmierć.

–Obawiam się, że powinien o tym pomyśleć, kiedy prosiłam go, żeby sobie poszedł – odparła dziewczyna. Powiedziała to takim rzeczowym tonem, jakby nie zgodziła się z Victorem, do jakiej mają tego wieczoru wybrać się restauracji.

Michael zerknął przez ramię dziewczyny i zobaczył, że Kuryłowicz próbuje się podnieść na nogi. Jedną ręką trzymał rozcięty brzuch, drugą chwycił się za poręcz.

–Victor! – krzyknął Michael, ale Kuryłowicz nie odpowiedział. Był prawdopodobnie w stanie zbyt wielkiego szoku, żeby go usłyszeć.

–Musisz mi pozwolić mu pomóc – nalegał Michael.

–Wszystko jest w porządku... Pomogą mu Joseph i Bryan – odparła z uśmiechem.

W tej samej chwili, jakby w odpowiedzi na sygnał inspicjenta, z latarni wyszli dwaj odziani na czarno młodzi ludzie o białych twarzach i z oczyma skrytymi za szklanymi nieprzeniknionymi ciemnymi okularów. Nie patrząc nawet na Michaela zbiegli szybko po schodkach.

–Na litość boską, traktujcie go delikatnie – zawołał Michael. A potem do

**dziewczyny: – Musicie wezwać ambulans. No szybko, musicie natychmiast wezwać ambulans. Macie tutaj jakiś telefon?**

**–Przestań się przejmować – powiedziała z uśmiechem dziewczyna. – Wejdz do środka i zobacz się ze swoją żoną i synem. Zaopiekujemy się twoim kolegą.**

**–Trzeba wezwać ambulans! – krzyknął na nią. – On umiera, zabiłaś go! Trzeba wezwać ambulans!**

**Stojący u podnóża schodów Kuryłowicz podniósł wzrok i zobaczył śpieszących ku niemu ludzi o białych twarzach. Michael nie miał pojęcia, co jego przyjaciel mógł sobie pomyśleć. Victor był w tak głębokim szoku, że prawdopodobnie nie wiedział nawet, gdzie się znajduje i co się z nim dzieje. Może wydawało mu się, że jest znowu małym chłopcem i że jego babcia ostrzega go po raz któryś z rzędu przed liliowobiałymi chłopcami – bladolicymi chłopcami, którzy odwiedzają ludzi we śnie i wysysają z nich duszę.**

**Cokolwiek to było, wydał z siebie tak rozpaczliwy krzyk, że Michaelowi zjeżyły się włosy na karku, po czym puścił poręcz, złapał się obiema rękoma za brzuch i pokuśtykał przez trawę.**

**–Victor! Victor, nie biegnij! – zawołał Rearden.**

**Nie mógł mu w żaden sposób pomóc. Próbował odepchnąć dziewczynę, ale ona ponownie zatoczyła krąg nożem, który przeciął jego płócienną marynarkę i zadrasnął go głęboko w ramię.**

**Zgięty wpół Victor podskakując kuśtykał w stronę morza. Michael słyszał jego rozpaczliwy szloch. Mężczyznom o bladych twarzach nie chciało się nawet biec – podążali za nim szybkim, spokojnym krokiem – zaledwie sześć, siedem metrów z tyłu. Cała scena przypominała Michaelowi Zbigniewa Cybulskiego z „Popiołu i diamentu”, który ślaniając się i krwawiąc z rany po postrzale uciekał uliczkami prowincjonalnego miasteczka. Patrząc na Victora miał to samo poczucie daremnego heroizmu. I to samo poczucie nierzeczywistości – tak jakby oglądał kolejny film.**

**Kuryłowicz dotarł prawie do samej plaży. Ale potem nagle osunął się na kolana i kiedy po chwili udało mu się podnieść, jego wnętrzności wyslizgnęły się na zewnątrz i zawisły między udami.**

**Michael wiedział, że Victor umrze. Z klinicznego punktu widzenia, już teraz był prawdopodobnie martwy. Ale w jakiś sposób udało mu się dać jeden krok po piasku, a potem drugi, z głową wygiętą w łuk, tak że wpatrywał się teraz prosto w szare popołudniowe niebo. Jego wnętrzności wlokły się za nim, zapiaszczone, szare i połyskujące krwią.**

**W końcu zatrzymał się i przez kilka sekund w ogóle się nie ruszał, a dwaj mężczyźni o bladych twarzach stanęli po jego bokach. A potem runął twarzą na piasek.**

**Bez chwili wahania młodzieńcy uklękli przy nim i podciągnęli w górę jego marynarkę i koszulę, obnażając plecy. Jeden z nich wyjął dwie długie, metalowe rurki i wbił je w skórę Victora. A potem obydwaj pochylili się nad nimi i zaczęli w skupieniu ssać.**

**Michael spojrział z niedowierzaniem na dziewczynę. Żołądek podchodził mu do**

gardła i zbierało mu się na wymioty.

–A więc to prawda – powiedział w końcu. – Oni istnieją.

–Liliowobiali chłopcy? Ależ oczywiście.

–Jeśli z głowy mojej żony i syna spadnie choć jeden włos... – zaczął i przerwał, uświadamiając sobie, jak głupio brzmi jego tyrada.

–Wejź do środka – zaprosiła go dziewczyna. – Twoje położenie naprawdę nie upoważnia cię, żeby nam grozić.

Michael spojrzął po raz ostatni na leżącego na plaży Victora, nad którym pochylały się te dwie ludzkie wrony, a potem wszedł do środka. Dziewczyna, która weszła tuż za nim, zamknęła cicho drzwi i przez chwilę znajdowali się oboje w kompletnej ciemności. Ale potem odsunęła ciężką zasłonę i zobaczył po lewej stronie spiralne schody. Wiedział, dokąd prowadzą. Odwiedził już tę latarnię w swoim transie.

Zaczął wchodzić na górę, słysząc za sobą ciche kroki dziewczyny.

–Zatrzymaj się – poleciła, kiedy dotarł do podestu. Stał w miejscu, a ona minęła go, muskając piersiami jego rękaw i ani na chwilę nie spuszczając z niego zielonych oczu. – Chodź za mną – powiedziała, otwierając kluczem drzwi. – Nadszedł czas, abyś spotkał się z panem Hillarym.

Michael przełknął sucho ślinę. Kręciło mu się w głowie ze strachu i od widoku straszliwej śmierci Victora.

–Chodź – ponagliła go dziewczyna. – To przywilej. To najważniejszy moment w całym twoim życiu.

Szurając stopami ruszył niechętnie do przodu i znalazł się w dużej, słabo oświetlonej bibliotece. Biegące kolidujące ściany zastawione były tysiącami książek, częściowo nowych, ale również tak starych, że nie wydawały się niczym więcej, jak przeżartymi przez robaki kupkami zakurzonego papieru. Pośrodku poustawiano w dziwnie przypadkowym porządku sofę, stoły i fotele, a podłogę pokrywały warstwy w większości wytartych dywanów. Największy fotel stał odwrócony tyłem do drzwi i Michael nie widział siedzącej w nim osoby. Widział jednak opuszczone z boku ramię: utkany z najdelikatniejszej wełny szary rękaw, z którego wystawały chude, długie palce.

Opuszki palców powoli ocierały się o siebie, zataczając uparte kręgi. W ten sposób ktoś mógłby gładzić jedwab albo włosy kobiety.

Dziewczyna okrążyła fotel i stanęła naprzeciwko siedzącego w nim mężczyzny.

–Jest już tutaj – oznajmiła cicho.

Mężczyzna powiedział coś; prawdopodobnie pytał, skąd wzięła się krew na jej ręce.

–Przyprowadził towarzysza – odpowiedziała. – Nie spodziewaliśmy się go. Zajęli się nim Joseph i Bryan.

Mężczyzna powiedział coś jeszcze. Dziewczyna uciekła spojrzeniem w bok, jakby zawstydzona.

Michael czekał, nie bardzo wiedząc, co ma robić. Ale nie czuł już takich sensacji w żołądku i powoli odzyskiwał pewność siebie. Ostatecznie, jeśli chcieli go

zamordować, mogli to zrobić do tej pory. Mieli jakiś powód, żeby go tutaj ściągnąć.

–Chcę zobaczyć się ze swoją żoną i synem – krzyknął tak głośno, jak potrafił.

Dziewczyna posłała mu pełne dezaprobaty spojrzenie zielonych oczu, ale ręka w szarym rękawie uniosła się w uspokajającym geście.

Mężczyzna ponownie powiedział coś cichym głosem. A potem wstał w końcu z fotela, odwrócił się i po raz pierwszy Rearden miał okazję zobaczyć go nie w transie, lecz w rzeczywistości. Przy jego sięgających kostek czarnych butach łąsił się szary kot, obserwując z ostrożną nienawiścią gościa.

–Ty jesteś Azazel – stwierdził Michael. I nie miał co do tego cienia wątpliwości.

Pan Hillary oparł ręce o biodra i dał kilka kroków do przodu, wlokąc za sobą poły płaszcza. W rzeczywistości wydawał się nawet wyższy niż w transie Michaela. Ale miał takie same jedwabiste, białe włosy, taką samą rzeźbioną twarz, takie same podbiegłe krwią oczy. I taką samą, a może nawet jeszcze bardziej władczą postawę. Postawę, z której emanowała nieśmiertelna moc i niezmierzone bogactwo i która budziła przesyczone erotyzmem, przerażające wrażenie, że człowiek znajduje się blisko jądra absolutnej amoralności.

–Nie sądziłem, że znasz to imię – stwierdził, ściągając do tyłu wargi w dziwnym uśmiechu. – Dla ciebie jestem pan Hillary. To jest świat ludzi świeckich. Musimy nosić świeckie nazwiska. – Podeszedł bliżej. Miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu i Michael cofnął się mimowolnie krok do tyłu, żeby nie musieć zadzierać głowy. – Z kim rozmawiałeś? – zapytał. – Kto opowiedział ci o Azazelu?

–Chcę odzyskać moją żonę i syna – oświadczył mocnym głosem Michael. – Nie masz prawa ich tutaj przetrzymywać.

–Mam chyba prawo bronić swoich interesów? – zapytał pan Hillary i zrobił zdziwioną minę.

–Nie masz prawa grozić mojej rodzinie.

–Daj spokój, Michael – powiedział pan Hillary, wyciągając dłoń i gładząc go delikatnie kłykciami po włosach.

Michael ponownie poczuł przechodzący po jego krzyżu alarmujący homoseksualny dreszcz. Ten człowiek nie był zwyczajnym mężczyzną. Ten człowiek w ogóle nie wyglądał jak mężczyzna. Był kimś innym, zupełnie kimś innym: jednocześnie mężczyzną, kobietą i bestią: trójcą złączoną w jedno. Michael czuł wibrację jego aury o wiele mocniej niż podczas hipnotycznych transów.

–Nie uważam, żebyś mi zagrażał, Michael – oznajmił pan Hillary – ale upór, z jakim prowadzisz śledztwo w sprawie tragicznej śmierci Johna O'Briena, niepokoi wielu moich przyjaciół. Ostatnią kroplą była twoja pogoń za biednym Raymondem Moorpathem. Lubilem Raymonda. Prawie go kochałem. Jak na człowieka, który złożył przysięgę Hipokratesa, był wspaniale zdeprawowany. Świetnie, aż do bólu, rozumiał ludzką słabość.

–Chcę odzyskać moją żonę i syna – powtórzył z uporem Michael. – I nie myślcie, że ujdzie wam na sucho morderstwo Victora Kuryłowicza. Wszystko widziałem i dopilnuję, żeby posadzono na krześle tych pańskich liliowobiałych chłopców. A także pańską przyjaciółkę.



Pan Hillary okrążył w zamyśleniu Michaela, nie zwracając uwagi na kręcącego się wokół jego miękkich butów kota.

–Może będziesz chciał porozmawiać z komisarzem Hudsonem. Jest moim dobrym przyjacielem. Mam dom w Amherst i często składa mi tam wizyty. A może wolisz zwrócić się do biura prokuratora okręgowego? Również tam mam mnóstwo przyjaciół. Mam przyjaciół wśród sędziów, wśród wydawców gazet i policjantów. Korzyść z długiego życia, Michael, jest taka, że można przenosić swoje wpływy z pokolenia na pokolenie, z dziada na ojca, z ojca na syna. Można cieszyć się wprost niespotykanym oddaniem swoich przyjaciół i kolegów. Spójrz na stojącą tutaj biedną Jacqueline. Cierpi taki ból po to tylko, żeby sprawić mi przyjemność. Przechodzi takie katusze tylko po to, żebym miał się czym odżywiać. Jacqueline nigdy nie wie, czy za minutę będzie żyć czy umrze. Mógłbym zabić ją w tej chwili. Rozplatać ją i grzebać ręką w jej trzewiach! Myślisz, że tego bym nie zrobił? Popatrz, jak płoną jej oczy!

Krew z przeciętych palców Michaela przesączała się przez chustkę i zaczęła kapać na dywan. Pan Hillary stał przez długą chwilę w bezruchu i obserwował to.

–Wycieka z ciebie życie, Michael – powiedział w końcu. Ściągnął z szyi białą jedwabną szarfę i wręczył mu ją, żeby obwiązał sobie dłoń. Szarfa była naelektryzowana i kiedy ją podawał, rozległy się ciche trzaski wyładowań. Pan Hillary spojrzał mu prosto w oczy i Michael poczuł, że dziwne rzeczy dzieją się z jego ciałem i umysłem. Na chwilę stracił równowagę, jak podczas trzęsienia ziemi.

–Powinieneś zobaczyć swoją żonę i syna, a potem zastanowimy się, co robić dalej – zdecydował pan Hillary. Prawie niedostrzegalnie skinął głową i blada dziewczyna o imieniu Jacqueline podeszła do kominka i pociągnęła za uchwyt dzwonka.

–Nie wiem nawet, czego ode mnie chcesz – powiedział Michael.

–A czego chcą wszyscy? – odparł pan Hillary. W jego głosie zabrzmiał cień tęsknoty. – Miłości, podnieć, uznania, komfortu, środków do życia.

–Chyba masz wszystkie te rzeczy?

–Mam z całą pewnością środki do życia. O miłość możesz zapytać tych, którzy mnie otaczają. Co do uznania... oczywiście, jest wielu takich, którzy mnie szanują. Być może bardziej z racji posiadanych przeze mnie wpływów niż tego, kim naprawdę jestem, ale...

Nagle otworzyły się drzwi i do biblioteki weszło pięciu młodych mężczyzn – wszyscy odziani na czarno i wszyscy w ciemnych okularach. Ich twarze były kredowobiałe jak oblicza strzyg, a trzech miało na dłoniach rękawiczki. Otoczyli pana Hillary'ego, tak jakby chcieli go przed czymś obronić.

Ich aura nie przypominała żadnej, z jaką Michael spotkał się do tej pory. Była śmiertelnie zimna, niczym zwiędłe, owinięte w czarną bibułę kwiaty.

–To moje dzieci – uśmiechnął się pan Hillary. – Moi liliowo-biali chłopcy. O bladej cerze i czarnych duszach. Módl się, żebyś nigdy nie obudził się w środku nocy i nie zobaczył jednego z tych młodych łotrów w swojej sypialni.

Michael odetchnął głęboko, próbując się uspokoić. Piekielnie bolały go palce.

–Mogę zobaczyć teraz moją żonę i syna? – zapytał.

–Oczywiście... możesz przespacerować się razem ze mną. To przywilej, zwiedzanie tej latarni. Oficjalnie jest nieczynna, ale mam paru przyjaciół w straży nadbrzeżnej. Nazywam ją moją norą. Mam oczywiście domy i gdzie indziej. Między innymi wspaniały dwór sprzed wojny secesyjnej w Charlotte w Karolinie Północnej. Powinieneś mnie tam kiedyś odwiedzić.

Pan Hillary dał znak ręką i Michael ruszył za nim przez bibliotekę w stronę skrytych za zasłoną drzwi.

–Chodź na górę – polecił pan Hillary i zaczął wspinać się po spiralnych schodach. Za nimi podążało trzech liliowobiałych chłopców. Jeden z nich zdjął ciemne okulary i kiedy Michael obrócił się, żeby mu się przyjrzeć, zobaczył, że ma oczy wypełnione krwią.

–Pytałeś, czego chcę – powiedział, wchodząc coraz wyżej, pan Hillary. Mijali właśnie małe okienko wychodzące na morze; w oddali płynął jacht, a dwójka dzieci puszczała latawiec.

–Chcę tylko, żeby ludzie zaakceptowali konsekwencje swoich czynów. Chcę, żeby wzięli na siebie winę za to, co zrobili. Dopóki tak się nie stanie, świat pozostanie siedliskiem zła i chaosu. Jesteś wobec mnie podejrzliwy. Boisz się mnie i obrzucasz w duchu obelgami. Ale równocześnie wzbudzam w tobie pożądanie. Wiesz dlaczego? Bo uosabiam wszelkie twoje grzechy, Michael, uosabiam grzechy wszystkich ludzi. Jestem kozłem ofiarnym. – Obrócił się na schodach i w półmroku zabłyśły jego czerwone oczy. – Kochasz mnie? Przerazam cię? To dobrze. W takim razie możesz mnie mieć.

Michael oparł się o masywną kamienną ścianę. Był zziębnięty i znużony, a przecięte palce bolały go tak dotkliwie, że ledwie mógł to wytrzymać. Przesiąknięta skrzeplą krwią jedwabna szarfa przyschła do rany i bał się ją teraz oderwać.

Pan Hillary dotknął jego ramienia i ruszył dalej w górę. Po chwili zatrzymali się wszyscy na wąskim, kolistym podeście, przed kolejnymi drzwiami. Pan Hillary otworzył je i wprowadził Michaela i swoich liliowobiałych chłopców do środka.

Znajdowali się w prostym, otynkowanym na biało pomieszczeniu z oprawionym w metalową ramę oknem, z którego rozciągał się widok na morze. Musiał to być kiedyś pokój wypoczynkowy dla personelu latarni, ponieważ stała w nim zapadnięta sofa, dwa niedobre fotele i pokryty rypsem stół do ping-ponga, zastawiony kieliszkami do wina, talerzami, a także stosami książek i magazynów. Wiszące na ścianach strzępki papieru świadczyły, że kiedyś musiała się tu znajdować duża kolekcja kobiecych aktów, teraz zerwanych, z wyjątkiem jednego wyblakłego zdjęcia z lat pięćdziesiątych, które przedstawiało mocno wymalowaną blondynkę, trzymającą w dłoniach piersi, jakby je ważyła.

Patsy i Jonas siedzieli na sofie, oddaleni od siebie mniej więcej o metr. Oboje byli mocno związani sznurem i mieli na oczach opaski. Usta zalepiono im samoprzylepną taśmą, uszy zatkano kawałkami waty. Patsy miała na sobie dżinsy i kraciastą, różową bluzkę; Jonas koszulkę Red Soxów i szorty. Kiedy Michael, pan Hillary i liliowo-biali chłopcy weszli do pokoju, nic w zachowaniu siedzących na sofie nie wskazywało, że zdali sobie sprawę z ich obecności. Byli niemi, głusi i ślepi.

Michael natychmiast ruszył ku Patsy, ale pan Hillary złapał go za rękaw i pociągnął z powrotem.

–Każ ich rozwiązać! – krzyknął Michael. – I odkneblować! Co wy sobie, do diabła, wyobrażacie, przecież to tylko kobieta i dziecko! Nie musicie trzymać ich związanych w ten sposób!

Pan Hillary odciągnął go jeszcze dalej.

–Dzięki temu bardziej się boją – mruknął. – I ty także. Michael dwa albo trzy razy głęboko odetchnął. Czuł, że zaraz otworzy się pod nim podłoga, a nie chciał, żeby to się stało; nie teraz. Teraz musi być spokojny, silny i opanowany. Koniec z nocnym spadaniem. Koniec z Rocky Woods. Od jego psychicznej równowagi zależy los Patsy i Jonasa.

–Co chcesz, abym zrobił? – zapytał.

Pan Hillary puścił jego rękaw, obszedł dookoła sofę i zatrzymał się dokładnie nad Patsy. Przemykając powieki, pogładził delikatnym, sennym gestem jej potargane jasne loki. Patsy szarpnęła głową, próbując strząsnąć jego dłoń.

–Mmmfff – mruknęła, ale do tego ograniczył się jej protest.

–To, czego od ciebie chcę, jest bardzo proste – powiedział pan Hillary. – Chcę, żebyś nic nie robił. Chcę, żebyś wrócił do Plymouth Insurance i sporządził raport, w którym stwierdzisz, że wedle twojej najlepszej wiedzy śmierć Johna O'Briena nastąpiła w wyniku nieszczęśliwego wypadku. A potem masz zamknąć sprawę i o wszystkim zapomnieć.

–A jeśli tego nie zrobię? Co wtedy?

Pan Hillary gładził jeszcze przez chwilę włosy Patsy, a potem podniósł głowę. Na jego przystojnej twarzy malował się przerażający wyraz.

–Wiesz, czym się żywimy. Wiesz, skąd to bierzemy.

Jeden z liliowobiałych chłopców, Joseph, parsknął piskliwym, szeleszczącym śmiechem.

–W porządku – rzucił Michael. – Wygląda na to, że nie mam innego wyjścia. Godzę się na wszystko. John O'Brien i jego rodzina zginęli w wypadku. A teraz odkneblujcie, proszę, moją żonę i syna i zabierzcie im z oczu te opaski.

Pan Hillary klasnął lekko w dłonie. Joseph i Bryan natychmiast wyjęli noże i zaczęli rozcinać krępujące Patsy i Jonasa więzy. Kiedy zdjęto jej z oczu opaskę, Patsy zobaczyła Michaela i wybuchnęła płaczem.

–Michael, dzięki Bogu – załkała, kiedy Bryan zerwał jej z ust taśmę. – Myślałam już, że nas zabiją.

Michael dał krok do przodu, żeby ją objąć, ale spojrzenie, jakie rzucił w jego stronę pan Hillary, kazało mu się cofnąć. Jonas również został uwolniony z więzów i natychmiast zaczął płakać.

–Tato, bolą mnie nadgarstki – zawołał.

–Mam nadzieję, że jesteście zadowoleni – powiedział Michael, zwracając się do pana Hillary'ego. Wypełniająca go wściekłość odbierała mu prawie mowę. – Wystarczyłoby, gdybyście rozmówili się ze mną... nie musieliście terroryzować mojej rodziny.

–Grozili, że nas wypatroszą... – załkała Patsy. – Mówili tyle przerażających rzeczy.

–W porządku – powtórzył Michael. – Jesteście zadowoleni? Dziś w nocy skończę raport w sprawie O’Briena i jutro z samego rana znajdzie się on na biurku pana Bedforda.

–Och, Michael, nie bądź taki zły. – Pan Hillary uśmiechnął się szeroko. – Chroniłem tylko swój mały ogródek. Nie stało się przecież nic złego. Nikomu nie spadł nawet włos z głowy. Na razie.

–Co to znaczy: na razie?

–Nie uwierzyłeś chyba, że pozwolę ci po prostu stąd wyjść i pojechać do domu?

–W takim razie co? – zapytał Michael. – Czego chcesz jeszcze?

–Michael... ty najwyraźniej nadal nie wiesz, kim jesteś. Nawet teraz.

–Może nie wiem. Ale z pewnością wiem, kim ty jesteś.

–Nie masz o tym najmniejszego pojęcia. Nie masz pojęcia, kim byłem kiedyś i kim jestem teraz. – Pan Hillary przeczesał aktorskim gestem swoje białe, jedwabiste włosy.

–Widziałem, co zrobiłeś Victorowi Kuryłowiczowi. Widziałem, co zrobiłeś Johnowi O’Brienowi i jego rodzinie. Każdy, kto robi takie rzeczy, jest maniakiem i sadystą. I tym właśnie jesteś.

W czerwonych oczach pana Hillary’ego zabłyśnięcie gniewu.

–Byłem pielgrzymem, istotą czystą. Byłem posłańcem Boga. W tamtych czasach boscy posłańcy mogli otwarcie chodzić między ludźmi, dzisiaj się tego boją... A potem schwytyli mnie ci zabobonni i ciemni Lewici i wybrali mnie, abym odpokutował za wszystkie ich grzechy. Moja czystość została zbezczeszczona, a niewinność zbrukana. Myślisz, że twój przyjaciel Victor cierpiał? Myślisz, że cierpiała Sissy O’Brien? Albo ktokolwiek z tych ludzi, którzy zginęli w Rocky Woods? Nie wiesz, na czym polega prawdziwe cierpienie, Michael. Nie masz pojęcia, jak ciężko jest nosić w sobie występki całego narodu. – Przerwał na chwilę i otarł koniuszkami palców wargi. – Przez dwadzieścia lat żyłem jak wyrzutek, w prawdziwym piekle na ziemi. Nikt nie chciał mnie znać, nikt nie chciał przyjąć mnie pod swój dach. Ale któregoś ranka, kiedy szedłem w stronę wschodzącego słońca, zobaczyłem, że ktoś idzie u mojego boku. Następnego dnia w niewielkiej odległości dołączył do nas następny. Po tygodniu szło nas już wielu. To byli Seirimowie. Najbardziej prymitywne plemiona semickie nazywały ich kozłimi demonami i składały im całopalne ofiary. Oczywiście w rzeczywistości nie byli wcale kozłimi demonami, lecz istotami, które tu widzisz: białymi-białymi ludźmi, liliowobiałymi chłopcami. Nieprawymi synami istot, które wy nazywacie aniołami. Bezsensownymi i zdeprawowanymi. Seirimowie także byli wyrzutkami. I kozłami ofiarnymi. Rechabeam wyznaczył dla nich kiedyś kapłanów, ale z nadejściem Mojżesza i Aarona zaczęto ich lżyć i prześladować, a Jozjasz zniszczył ich obozy i miejsca kultu.

Oni stanowią moją rodzinę. Oni stanowią moje plemię. Przyjęli mnie, kiedy nie chciał mnie przyjąć nikt inny, i stanęli u mego boku, kiedy wszyscy odwrócili się do mnie plecami i odczyniali na mój widok uroki. – Pan Hillary mówił teraz trochę ciszej.

**– Żyliśmy razem, a Seirimowie brali sobie żony, które rodziły dzieci. Krew liliowobiałych chłopców płynie dzisiaj w żyłach wielu ludzi, Michael. Każdy, kto o mnie śni... każdy, kto czuje, jak śmierć mości sobie niczym szary pajak gniazdo w jego umyśle, jest potomkiem liliowobiałych chłopców. John O'Brien śnił o mnie; i ty także. Mogę ci powiedzieć, kim jesteś: pochodzisz w odległej linii od jednego z tych ludzi. To mógł być Joseph, to mógł być Bryan. Krew, która spływa z twojej ręki, jest również naszą krwią.**

**Michael przez chwilę milczał.**

**–Co zamierzasz z nami zrobić? – zapytał w końcu.**

**–Zamierzam pokazać ci, jak wygląda pokuta za twoje grzechy i za grzechy innych ludzi. Dam ci zaznać rozkoszy największego cierpienia. – Pan Hillary wykrzywił wargi w uśmiechu.**

## ROZDZIAŁ XVIII

Thomas kończył śniadanie, kiedy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę i przytrzymał ją ramieniem.

–Boyle – powiedział z ustami wypełnionymi bułką.

–Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, poruczniku. – Głos sierżanta Jahnkego był nienaturalnie entuzjastyczny i chłopięcy.

–O co chodzi, David? – zapytał Thomas. Do pokoju wjechała Megan i uniosła bez słowa dzbanek z kawą, oferując mu dolewkę, ale Thomas potrząsnął głową.

–Przyszedłem dziś rano na komendę i czekał na mnie faks od policji z Plymouth w stanie Vermont. Próbowali zlokalizować doktora stomatologii i chirurgii szczękowej, Jamesa T. Honeymana, a także panią Honeyman... ludzi, którzy wynajęli dom na Byron Street.

–Udało im się coś ustalić?

–Na to wygląda. Należący rzekomo do państwa Honeymanów dom w uzdrowisku HawkSalt Ash nabyty został w rzeczywistości przez firmę White Mountain Resort Investments, zarejestrowaną w Manchester w stanie Vermont. Właściwie nie należy się temu dziwić, ponieważ w rejestrze Stowarzyszenia Amerykańskich Dentystów w ogóle nie figuruje doktor stomatologii i chirurgii szczękowej o nazwisku James T. Honeyman.

–Nie jest to zbyt zaskakujące – stwierdził Thomas.

–Mam coś jeszcze – powiedział sierżant Jahnke. – Prezesem White Mountain Resort Investments jest niejaki A.Z. Azel, a korespondencję do niego należy kierować do skrzynki pocztowej numer trzysta trzydzieści pięć w Nahant, Massachusetts. Kilka minut temu zadzwoniłem do urzędu pocztowego w Nahant, gdzie powiedziano mi, że osobnik, który odbiera listy z tej skrzynki, mieszka w nieczynnej latarni na Goat's Cape.

–Pan Hillary – szepnął Thomas.

–Pomyślałem, że będzie pan chciał o tym wiedzieć – oznajmił zadowolony z siebie Jahnke.

–Dobra robota, Davidzie. Prześlij moje serdeczne podziękowania do Plymouth. Powiedz Warrenowi Forshawowi, że ma u mnie pudełko cygar.

–Oczywiście, poruczniku. Czy chce pan, żebym załatwił nakaz rewizji?

–Jakbyś zgadł. Będę w komendzie za dziesięć minut. – Thomas odłożył słuchawkę i zacisnął pięść. – Mam cię, sukinsynu – mruknął.

Megan, która wjechała z powrotem do pokoju, nie mogła powstrzymać uśmiechu.

–O jakim mówisz sukinsynie? – zapytała.

–O panu Hillarym – odpowiedział. – Jest głównym podejrzanym w sprawie morderstwa Elaine Parker i Sissy O'Brien. David dostarczył właśnie podstawę prawną do przeszukania jego domu. A właściwie jego latarni, na Goat's Cape.

Z twarzy Megan odpłynęła cała krew.

–Co masz zamiar zrobić?

–Mam zamiar przyskrzynieć sukinsyna, Megs, to właśnie mam zamiar zrobić. Nie wiem, kiedy wrócę. Zadzwonię do ciebie później.

–Thomas... – zaczęła Megan. Ale jak miała mu opowiedzieć o wspólnym transie, w jaki wprowadzili się razem z Michaeliem? Jak miała opowiedzieć o tym, co widziała i co czuła, i co stało się między nimi później? Na myśl o tym wciąż paliły ją policzki. Wciąż fantazjowała, że mogą zrobić to ponownie, czuła tryskające jej na twarz, przypominające krople letniego deszczu ciepłe nasienie. – Uważaj na siebie – krzyknęła do niego, kiedy wychodził z mieszkania. Siedziała w fotelu, czekając, aż usłyszy odgłos zapalającego silnika samochodu, a potem podjechała szybko do telefonu i przekartkowała pozostawiony przy nim przez męża notes. Znalazłszy numer, wystukała go i niecierpliwie czekała. A jeśli nie ma go w domu? Co wtedy zrobi?

–Halo? Kto mówi? – odezwał się w końcu ostrożny głos.

–Pan Monyatta? – zapytała. – Mówi Megan Boyle, żona porucznika Thomasa Boyle’a. Panie Monyatta, pilnie potrzebuję pańskiej pomocy.

Michael miał sen. Śniło mu się, że przepycha się przez tłum ludzi, którzy nie poruszali się jednak jak normalni ludzie – poruszali się, jakby ktoś popychał ich i przeciągał z boku na bok. Poruszali się, jakby ledwie mogli ustać na nogach.

Przez tłum posuwał się powoli w jego stronę uśmiechnięty mężczyzna w garniturze. Widząc Michaela wyciągnął ku niemu rękę.

–Cieszę się, mogąc pana spotkać... Cieszę się, że udało się panu... – powiedział.

Ogarnięty paniką Michael usiłował się odwrócić, ale tłum napierał na niego coraz mocniej; niósł go do przodu wbrew jego woli, tak że ledwie dotykał stopami ziemi.

–Niech pan do mnie nie podchodzi! – krzyknął. – Niech pan do mnie nie podchodzi, panie prezydencie!

Obudził się spocony i drżący. Był rano i pokój zalewało słoneczne światło, tak jasne, że mogło się wydawać, iż znalazł się w niebie.

Leżał na wąskim tapczanie w ciasnym, otynkowanym na biało pokoiku. Oprócz małego stolika, na którym stały dwa świeczniki, nie było tu żadnych innych mebli. Na ścianie wisiał sztych przedstawiający świętego Krzysztofa, niosącego na ramieniu Jezusa. Jezus przycupnął na ramieniu świętego w jakiś przedziwny sposób – właściwie raczej frunął, niż siedział, a jego twarz zamazana była atramentem.

Michael podźwignął się sztywno. Przez na pół otwarte okno wiała silna bryza; z zewnątrz dochodził szum przyboju i krzyk mew. Rearden miał na sobie tylko szorty; po reszcie ubrania nie było ani śladu. Nie mógł sobie przypomnieć, co zdarzyło się ostatniej nocy. Jonasa zabrano, żeby przespał się w innym pomieszczeniu, a on i Patsy siedzieli na sofie w pokoju wypoczynkowym, pilnowani przez Josepha i Bryana.

Joseph i Bryan grali bez słowa w karty przy stole do ping-ponga. Kiedy zapadła noc, Patsy zasnęła oparta o jego ramię, a monotony szelest kart, uderzających o obciążony rypsem blat stołu, sprawił, że Michael również poczuł się senny. Ale zdecydowany był czuwać – choćby dlatego, aby zobaczyć na własne oczy, że liliowobiali chłopcy nigdy nie zasypiają.

Z tego, co pamiętał, grali w ciszy i bez żadnych oznak zmęczenia aż do czwartej rano. Nie tylko nie zasnęli, ale nie mrugnęli nawet okiem.

Siedząc na kanapie, prosił Boga, żeby nie dał im skrzywdzić Patsy i Jonasa. Boże, nie pozwól im na to – powtarzał w duchu. Ale to było wszystko, co pamiętał. Liliowobiali chłopcy musieli przenieść go tutaj i rozebrać, a on nawet się nie poruszył.

Wstał i w tej samej chwili otworzyły się drewniane drzwi. Do środka wszedł Joseph ubrany w luźną koszulę z czarnego jedwabiu.

–Pan Hillary zaprasza na swoje śniadanie – powiedział z uśmiechem.

–Powiedz panu Hillary’emu, żeby się odpieprzył. Gdzie jest moje ubranie?

–Nie będzie pan potrzebował ubrania, panie Rearden.

–Albo oddacie mi ubranie, albo nie ruszę się stąd nawet na krok. Uśmiech Josepha zaczął szybko znikać, niczym zatrzymana na chłodnej zimowej szybie mgiełka oddechu.

–Na dole jest już pańska urocza żona, panie Rearden. Myślę, że przede wszystkim ze względu na nią będzie mądrze, jeśli pan do nas dołączy.

–Jak dotkniecie jej choćby palcem...

–Miłość i dotyk, panie Rearden. Miłość i dotyk. Stanowią część tego samego cudownego doświadczenia.

Michael niechętnie wyszedł za nim z pokoju i ruszył wąskim, wyłożonym dębową klepką korytarzem. Co jakiś czas Joseph oglądał się przez ramię i szczyrzył zęby w uśmiechu.

Minęli kolejno trzy okna i Michael rzucił okiem na Nahant Bay i smaganą wiatrem plażę. Widział swój samochód, wciąż zaparkowany tam, gdzie go zostawił, przodem na północ, na wypadek gdyby trzeba było szybko uciekać. Teraz nie miał na to najmniejszej nadziei.

Joseph zszedł razem z nim po schodach i wprowadził ponownie do biblioteki. W fotelu z wysokim oparciem siedział pan Hillary, z niedbale skrzyżowanymi nogami i związanymi rzemykiem w koński ogon włosami. Jego podbiegłe krwią oczy były szeroko otwarte, tak jakby gapiąc się na coś dodawał sobie apetytu; spod ściągniętych do tyłu warg wystawały białe zęby.

Za fotelem – zupełnie jakby pozowali do rodzinnego portretu – stało ośmiu albo dziewięciu liliowobiałych chłopców; kilku ubranych było w czarną skórę, kilku w czarne marynarki od Armaniego, a kilku w czarne kamizelki z brokatu i czarne, impregnowane koszule. Wszyscy na czarno – z białymi twarzami i przekrwionymi oczyma.

Na poręczy fotela pana Hillary’ego siedziała Jacqueline. Miała na sobie przejrzystą, białą suknię, a kasztanowate włosy zaplotła w małe warkoczyki. Pod obiema piersiami biały materiał poplamiony był kropelkami zaschniętej krwi.

Uśmiechnęła się sennie do wchodzącego do biblioteki Michaela i wskazała głową na lewo. Ustawiono tam wezgłowiem do półek z książkami szeroki tapczan, obok którego zajęli pozycję kolejni liliowobiali chłopcy. Dwóch z nich miało na oczach ciemne okulary, a jeden trzymał rękę przy ustach, pokaślując i pociągając nosem.

Tapczan zasłany był śmierzdzącą stęchlizną narzutą z żółtoczerwonego brokatu; leżała na niej kompletnie naga Patsy, z kostkami i nadgarstkami związanymi czarnym



**jedwabnym sznurem do zasłon.**

**–Patsy! – zawołał drżącym głosem Michael. – Nic ci nie jest?**

**–Nie zrobili mi nic złego, Michael!**

**Rearden podszedł sztywnym krokiem do pana Hillary’ego.**

**–Uwolnij ją – powiedział. – Nie dojdiesz ze mną do żadnego porozumienia, jeśli jej nie uwolnisz.**

**–Jesteś jednym z nas, Michael – odparł miękko pan Hillary. W ręku trzymał długą, cienką szpicrutę z rękojeścią z matowego srebra. Mówiąc, smagał nią udo Jacqueline, żeby podkreślić wagę wypowiedzanych słów. Dziewczyna krzywiła się za każdym uderzeniem, ale nie cofała nogi.**

**–Uwolnij ją – powtórzył Michael. Pan Hillary powoli potrząsnął głową.**

**–Czytałeś opowieści o wampirach, prawda, Michael? O Drakuli, o miasteczku Salem i całej reszcie? O tym, jak wampir rozszerza zarazę na całą społeczność, wysysając krew i przenosząc swoją chorobę na ofiarę, która także staje się upiorem... – Uśmiechnął się i smagnął jeszcze mocniej szpicrutą udo Jacqueline. – Oczywiście, nie istnieje coś takiego jak wampir. Pan Bóg zakazał spożywania krwi i nawet najbardziej buntowniczy z jego posłańców nie ośmieliliby się naruszyć tej reguły. Przeczytaj Trzecią Księgę Mojżeszową. Ale opowieści o wampirach mają w sobie ziarno prawdy. Kiedy któryś z Seirimów wysie po raz pierwszy twoją adrenalinę, stajesz się kimś w rodzaju niewolnika, popadasz w uzależnienie. Chcesz oddawać ją znowu. Czujesz, jak śwędzą cię nerki, chcesz, żeby cię wyssać! Spójrz na obecną tutaj Jacqueline. Ona to uwielbia i odda mi trochę, jeśli tylko zechcę zbić ją dostatecznie mocno. Pokaż Michaelowi swoje ćwieki, Jacqueline. Pokaż, jak bardzo pragniesz, abym wyssał adrenalinę z twoich nadnerczy.**

**Oczy Jacqueline zabłysły zielenią, ale bez słowa wstała, odwróciła się tyłem i zadarła w górę sukienkę, tak aby Michael mógł przyjrzeć się jej nagim, bladym plecom.**

**Wiedział, co zobaczy. Oglądał to już w swoim hipnotycznym transie. A jednak te dwa wbite w jej plecy złote ćwieki wciąż go przerażały. Oznaczały, że z dobrej woli i z premedytacją oddała się panu Hillary’emu – że zrobiła to wiedząc, iż będzie ją krzywdził, torturował, a w końcu najprawdopodobniej zabije. Widział kaleczące jej piersi kociaki. Bóg jeden wiedział, jakie czekały ją jeszcze męczarnie.**

**–Możesz opuścić sukienkę, Jacqueline – powiedział pan Hillary, ale przedtem zdążył ją jeszcze smagnąć po nagich pośladkach. Spojrzał na Michaela i jego wargi rozchyliły się w wilczym uśmiechu. – Kiedy odkryłeś, co wydarzyło się Elaine Parker i Cecilii O’Brien, twoją pierwszą reakcją było, że torturowano je wbrew ich woli. Oczywiście! Któż chciałby być torturowany w ten sposób?! Ale twoja pierwsza reakcja była mylna. Elaine Parker błagała nas, żeby zachować ją dłużej przy życiu. Chciała zaznać jeszcze więcej bólu i oddać nam więcej adrenaliny. Sama proponowała nowe rodzaje tortur... przypalanie papierosami powiek, spalenie włosów łonowych, klucie piersi igłami. Była prawdziwą entuzjastką, Michael, chciała dać z siebie jak najwięcej. Podobnie jak Cecilia O’Brien. To nie ja wymyśliłem torturę, która ostatecznie zabiła Cecilie. Chciałem zachować ją przy życiu o wiele dłużej. Ale**

ona błagała nas, żebyśmy to zrobili, prosiła, płakała. Nie potrafiła wymyśleć niczego, co zraniłoby ją bardziej. – Pan Hillary polizał delikatnie koniuszek środkowego palca i wygładził nim brwi. – W objęciach śmierci była przepiękna. Naprawdę przepiękna. A jak smakowała... Właściwie nie powinienem ci tego mówić, bo zrobisz się zazdrosny.

–Musisz nas puścić – powtórzył matowym głosem Michael.

–Ależ oczywiście, że cię puszczę! – krzyknął pan Hillary. – Ale dopiero wtedy, gdy ty i twoja piękna żona zaznacie tej samej żądzę, która zżera Jacqueline... która zżerała Elaine, Cecilie i tyle, tyle innych.

–Nie waż się tknąć mojej żony! – krzyknął Michael.

Pan Hillary wstał z fotela. Poprawił wzgardliwym ruchem ramion swój długi płaszcz z szarej wełny, zmierzył Michaela przerażającym spojrzeniem przekrwionych oczu i ten zdał sobie ze straszliwym poczuciem bezradności sprawę, że nie jest w stanie niczemu zapobiec.

–Chodź – powiedział pan Hillary. Złapał w szponi uścisk ramię Michaela i pociągnął go w stronę tapczanu.

Michael czuł, jak ogarnia go ślepa furia, wstyd i głębokie upokorzenie. Patsy leżała przed nim, naga i bezbronna, i każdy z obecnych mógł oglądać jej miękkie piersi, bladoróżowe brodawki i splątaną gęstwą jasnych włosów łonowych. Nagość Patsy była czymś intymnym. Nagość Patsy była czymś, co należało tylko do nich dwojga, kiedy Jonas od dawna spał w swoim pokoju, w oknie sypialni świecił księżyc, a morze szeptało im kołysanki.

–Patsy – szepnął, chcąc wyjaśnić, że jest mu przykro, że nigdy nie chciał, aby do tego doszło. Boże Wszchemogący, któż by się przejmował, że świat rządony jest przez liliowobiałych chłopców, że zabijani są prezydenci, wybuchają wojny i palą się miasta?! Któż by się tym wszystkim przejmował, gdyby zhańbiono mu ukochaną żonę?

–Spodoba ci się to, Michael – powiedział pan Hillary. – Nie wiem, w jakim stopniu łączyłeś dotąd ból z przyjemnością, ale od dziś będziesz robił to zawsze.

Dał znak Josephowi i Bryanowi, którzy podeszli bliżej, trzymając między sobą szkarłatny koc.

–Pokażcie mu – polecił pan Hillary, a oni unieśli koc i Michael zobaczył, że leży na nim wielki, okrągły wieniec krwistoczerwonych róż, oskubanych z liści, ale nie z kolców.

–Co chcesz, do diabła, zrobić? – zapytał.

–Chcę patrzeć, jak kochasz się ze swoją piękną żoną, to właśnie chcę zrobić. I mam zamiar posmakować cię, Michael, abys wiedział, co to znaczy pokutować za cudze grzechy... żebyś wiedział, jak wygląda prawdziwe cierpienie. Płynie już w tobie krew Seirimów... teraz będziesz należał do nas duszą i ciałem.

Strzelił szpicrutą w powietrzu i Joseph i Bryan chwycili Michaela bez ostrzeżenia za ramiona.

–Puśćcie mnie! – krzyknął. – Puśćcie mnie, do jasnej cholery! Ale pan Hillary dał krok do przodu i smagnął go szpicrutą po twarzy – piekące uderzenie, od którego zapłonął cały policzek – a potem jeszcze raz, przez czoło, o mało nie wylupując oka.

–Jesteś jednym z nas, Michael. Nie zapominaj o tym. Michael zadrżał z bólu. Ugięły się pod nim kolana, ale dwaj liliowo-biali chłopcy nie dali mu upaść. Inny liliowobiały chłopiec podszedł od tyłu i ściągnął mu w dół szorty, a potem uniósł w górę najpierw jego jedną, a potem drugą stopę, żeby uwolnić nogi.

Joseph położył z wielką ceremonią różany wieniec na nagim brzuchu Patsy, a potem posłał Michaelowi złośliwy uśmiech.

–Wasz drugi miesiąc miodowy – powiedział przeciągając głoski z tym swoim śmiesznym akcentem z Marblehead. – Korzystajcie z życia.

Pan Hillary dał krok do przodu.

–Musisz ją tylko pokochać, nic więcej. Przecież ją kochasz, prawda? Pokaż, jak bardzo.

Przeczesał palcami jego włosy, w sposób w jaki mogłaby to zrobić kobieta i Michael poczuł, jak wbrew jego woli i mimo strachu przenika go dreszcz seksualnego podniecenia. Pan Hillary pieścił go przez chwilę po karku, kręcąc w palcach jego włosy, a potem pochylił się i pocałował w usta.

Michael poczuł na języku smak śliny, kwiatów i śmierci. Ale czuł jednocześnie, jak unosi się jego członek i nie mógł na to nic poradzić. Z odległości zaledwie kilku centymetrów wpatrywały się weń podbiegłe krwią oczy pana Hillary'ego – hipnotyczne, władcze, erotyczne, rozkazujące – i kusilo go niemal, żeby odwzajemnić pocałunek.

Pan Hillary cofnął się trochę do tyłu. Przyjrzał się sztywniejącemu penisowi Michaela i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Drażnił przez chwilę szpicrutą jego czubek, a potem przesunął ją w dół i polechtał mosznę.

–Teraz jesteś gotów, prawda? – zapytał i jego szept zabrzmiał niczym sześć albo siedem nałożonych na siebie równocześnie głosów. Lewą ręką złapał Michaela za penis i pociągnął go do przodu, a prawą rozchylił wargi sromowe Patsy. – No, już! Pokaż, jak bardzo ją kochasz? Pokaż, jak cię podnieca!

Michael szarpnął się i spróbował się cofnąć.

–Nie! Nie dotykaj jej! – krzyknął.

Ale Joseph usiadł w wezglowiu łóżka, wyjął długi ostry nóż do oprawiania mięsa i przysunął ostrze do policzka Patsy. Patsy drżąc cała zanosila się szlochem, z jej oczu spływały łzy.

–Zrób to, Michael, po prostu zrób to. Zrób, czego od ciebie chcą.

Michael zamknął na chwilę oczy – coś, czego nigdy nie mogli zrobić liliowobiali chłopcy. Nie zmówił modlitwy, nie potrafił sobie żadnej przypomnieć. Ale błagał Boga, żeby wziął pod swoją opiekę Patsy i wziął pod swoją opiekę Jonasa; i żeby nie pozwolił panu Hillary'emu za bardzo go skrzywdzić. A potem wdrapał się na tapczan, spojrział Patsy prosto w oczy i poprosił Boga, żeby zabił go na miejscu. Atak serca, wylew, uderzenie pioruna. Nieważne. Zabij mnie, Boże. Nie pozwól Patsy cierpieć.

Pan Hillary wsadził mu rękę między nogi, podrapał jego mosznę drugimi, ostrymi paznokciami, a potem wziął w dłoń penis i wprowadził go do pochwy Patsy. Robiąc to, wsunął również do środka dwa albo trzy własne palce, żeby móc pieścić ich oboje. Michael poczuł, jak Patsy sztywnieje ze wstrętu i zwierają się mięśnie jej

miednicy. Ale pan Hillary smagnął ją natychmiast szpicrutą po udach i rozluźniła się.

–Macie odczuwać przy tym przyjemność – szepnął. – Cały ból i całą przyjemność.

– Przesunął szpicrutę między pośladkami Michaela i wsunął jej koniec w jego odbył.

– Cały ból, Michael, i całą przyjemność. Teraz pochył się do przodu.

Brzuch i piersi Patsy w całości zakrywał wieniec czerwonych róż. Gdyby pochylił się do przodu, wbiłby w jej ciało wszystkie kolce.

–Nie mogę – szepnął.

–Co takiego? – zapytał pan Hillary.

–Nie mogę. Nie mogę zrobić jej żadnej krzywdy.

Pan Hillary dał krok do tyłu, przyglądając się Michaelowi z udawanym niedowierzaniem.

–Nie możesz? W takim razie będziemy musieli ci pomóc. Joseph, Bryan!

Pomóżcie mu!

Śmiejąc się głośno Joseph i Bryan podeszli do tapczanu i przycisnęli Michaela do piersi Patsy. Ukłucia kolców były nie do zniesienia. Kaleczyły skórę, szarpały nerwy. Ale na tym się nie skończyło. Joseph i Bryan zmusili Michaela do posuwania się do przodu i do tyłu, za każdym razem przyciskając go mocniej do ciała żony. Patsy krzyczała z bólu, a Michael tak mocno przygryzł wewnętrzną stronę policzków, że czuł, jak spomiędzy warg wycieka mu krew.

–Głębiej! Płycej! Głębiej! Płycej! – nucili Joseph i Bryan, popychając Michaela coraz mocniej i mocniej, aż skóra na piersiach ich obojga podarta była w krwawe strzępy. – Głębiej! Płycej! Głębiej! Płycej!

Pan Hillary dał krok do przodu i wyciągnął rękę, tak jakby oczekiwał, że Jacqueline zgadnie w lot jego życzenie. Zgadła i podała mu dwie cienkie rurki z metalu.

–Głębiej! Płycej! Głębiej! Płycej! – zawodzili Joseph i Bryan. I pomimo łez i krwi, pomimo udręki, jaką wywoływało w nim cierpienie Patsy, Michael poczuł zbliżający się orgazm.

–Szybciej! – popędzał go pan Hillary. – Mocniej! – powtarzał, smagając go po nagich pośladkach i mosznie, aż Michael nie wiedział, co jest bólem, a co seksualną ekstazą.

Poczuł skurcz między nogami i wygiął grzbiet w łuk. A potem doznał orgazmu, jakiego nie doświadczył nigdy przedtem. Miał wrażenie, jakby jego kręgosłup zamienił się w płynny ogień i wypływał z pleców, tryskając krąg po kręgu z penisa.

Opadł ciężko na Patsy, która krzyknęła z bólu. Przez chwilę szarpała się i wierciła, próbując zrzucić go z siebie, ale liliowobiali chłopcy przytrzymali go w miejscu. Przytrzymali go w miejscu i nie pozwolili się ruszyć.

Leżeli oboje na tapczanie, krwawiąc, płacząc i drżąc, a liliowobiali chłopcy przyciskali ich coraz mocniej do siebie. Pan Hillary obszedł dookoła tapczan i stanął nad nimi, stukając lekko rurkami, które wydawały wysoki, metaliczny dźwięk.

–No i co o tym sądzicie? – zapytał. Michael ledwie słyszał jego głos. – Czy to ból, czy przyjemność? Kto to może wiedzieć?

Wsunął rękę między uda Michaela i wyciągnął zakrzywionym palcem miękki penis

z pochwy. A potem z obscenicznie wyuzdaną ciekawością położnika rozsunął wargi sromowe Patsy i obserwował wyciekające z nich nasienie.

–Jesteście oboje tacy piękni – mruknął, przesuwając paznokciem po udach Patsy; i po udach Michaela; i wtedy chyba Michael ostatecznie zdał sobie sprawę, kim jest pan Hillary: do cna zdeprawowaną, doskonałą istotą. Koneserem wszystkich rzeczy pięknych – do których należało również uprawianie miłości – ale koneserem o totalnie zdeprawowanym smaku.

Pan Hillary był aniołem. A właściwie, dokładnym odwróceniem anioła. Patsy przygryzła z bólu wargi i płakała.

–Pozwólcie mi wstać – powiedział gęstym od krwi głosem Michael. – Na litość boską, proszę, pozwólcie mi wstać.

Pan Hillary przesunął otwartą dłoń po jego plecach i pośladkach.

–Najpierw, Michael, muszę cię posmakować. Najpierw muszę cię zarazić.

Michael próbował się wyrwać, ale liliowobiali chłopcy byli dla niego zdecydowanie zbyt silni. Poczł dotykającą jego pleców metalową rurkę i napiął mięśnie.

–Spodoba ci się to – mruknął dziwnie zniekształconym głosem pan Hillary. A potem wbił rurkę w jego plecy i Michael poczuł ból, jakiego nie doświadczył nigdy przedtem, tak olbrzymi, że wił się i szarpał, wbijając kolce róż w piersi Patsy i znacząc własną pierś krwawymi zadrapaniami.

–Nie! – krzyknął, płacząc jak dziecko. – Nie! Nie! Nie! Nie! Ale chłodna rurka pan Hillary’ego wbijała się coraz głębiej, przez mięśnie, tkankę łączną i końcówki nerwów, aż ukłuła jego lewą nerkę, a potem przesunęła się wyżej i zlokalizowała nadnercze.

Czuł jej ostrze głęboko wewnątrz własnych pleców. Nie chciał już nawet umrzeć, bo zapomniał, co oznacza umieranie. Leżał na Patsy niczym trup, a pan Hillary chleptał i chleptał, a potem wyprostował się ze zmienioną twarzą i wznoszącą się ekstatycznie pierś.

Jacqueline stanęła tuż obok niego. Gładziła go po ramieniu i unosiła co jakiś czas kolano, pieścąc go po udzie i tuląc twarz do jego płaszczka. Skrzywdź i mnie – mówiły jej oczy. – Weź i mnie. Ale on wyciągnął metalową rurkę z grzbietu Michaela, przeszedł przez pokój, przeciągnął się sennie i przesunął dłoń po piersi i brzuchu. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Wyglądał na zaspokojonego.

Liliowobiali chłopcy ostrożnie unieśli w górę Michaela i posadzili go na jednym z foteli. Zabrali wieniec i położyli go na podłodze, a potem rozwiązali Patsy i pomogli jej wstać, tak delikatni i troskliwi, jakby była ofiarą wypadku drogowego, a nie perfidnego aktu sadystycznej perwersji.

–Ubranie, proszę, oddajcie mi ubranie – powiedziała tylko.

–Prawdziwa córka Ewy – stwierdził z uśmiechem, odwrócony do niej plecami pan Hillary. – „Wtedy otworzyły się oczy im obojgu i poznali, że są nadzy”.

–Przestań! Przestań! – krzyknęła na niego Patsy. – Co z ciebie za potwór!

Pan Hillary obrócił się i w jego oczach zabłysł gniew. Ale kiedy zobaczył ją, nagą, podrapaną i zakrwawioną, odwrócił w bok głowę.

–Nie jestem potworem, Patsy. Na ziemi nie ma potworów. Trzęsąc się i płacząc naciągnęła dżinsy.

–Jesteś wcielonym złem!

–Ujrzeni synowie boży – zacytował z nieskończonym spokojem pan Hillary – że córki ludzkie były piękne. Wzięli więc sobie za żony te wszystkie, które sobie upatrzyli. A w owych czasach, również i potem, gdy synowie boży obcowali z córkami ludzkimi, byli na ziemi olbrzymi, których im one rodziły. To są mocarze, którzy z dawien dawna byli sławni. A gdy Pan widział, że wielka jest złość człowieka na ziemi i że wszelkie jego myśli oraz dążenia jego serca są ustawicznie złe, żałował Pan, że uczynił człowieka na ziemi i bolał nad tym w sercu swoim. I rzekł Pan: Położę kres wszelkiemu ciału, bo przez nie ziemia pełna jest nieprawości. – Przez dłuższy czas milczał, a potem dodał cichym głosem: – Księga Rodzaju, rozdział szósty. Trzy tysiące lat przed narodzinami Chrystusa. A mimo to wydaje się, jakby to wszystko zdarzyło się wczoraj. W tej samej chwili usłyszeli w oddali wysokie zawodzenie.

–Co to takiego? – zapytał pan Hillary. Bryan podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

–Nic. Nic nie widać – odparł. Ale potem coś przyciągnęło jego uwagę. – Poczekajcie... to policja – powiedział. – Cztery... pięć policyjnych samochodów. Jadą w naszą stronę.

–Policja? – zapytał z niedowierzaniem pan Hillary.

Thomas zastukał mocno w drzwi latarni i czekał.

–Uwierzyłbyś, że ktoś mieszka w takim miejscu? – zapytał Davida Jahnkego.

David przeczesywał właśnie włosy.

–Jest odosobnione i tanie – odparł. – O czym więcej mógłby marzyć zbrodniczy maniak?

–Nie bądź taki mądry – zgasił go Thomas. – Ten Hillary to większy cwaniak, niż się wydaje.

Rozejrzał się i sprawdził pozycje sześciu swoich umundurowanych policjantów, a także dwóch zastępców z Essex, których wypożyczył mu jego przyjaciel szeryf Protter – częściowo z uprzejmości, a częściowo, żeby patrzyli mu na ręce.

–Jest tutaj uchwyt dzwonka – zauważył David.

–Dzwonki są dla akwizytorów – stwierdził Thomas. – Gliniarze pukają.

Jego pukanie zostało widać usłyszane – bo drzwi otworzyły się cicho i ujrzeli za nimi dwóch młodych ludzi o białych twarzach – obu w ciemnych okularach i ubranych na czarno.

Sierżant Jahnke wyciągnął nakaz przeszukania.

–Czy jest tutaj ktoś o nazwisku Hillary? – zapytał. Obaj mężczyźni potrząsnęli głowami.

–Nieważne. Nawet jeśli nie, mamy nakaz przeszukania tej nieruchomości i to właśnie zrobimy. Odsuńcie się panowie na bok.

Nie mówiąc ani słowa, młodzi ludzie zamknęli Thomasowi drzwi tuż przed nosem. Boyle i sierżant Jahnke spojrzeli na siebie zupełnie skonsternowani.

–Nawet ich nie zatrzasnęli – powiedział David.

Thomas pociągnął za uchwyt dzwonka i walnął w drzwi pięścią.

–Panie Hillary! Panie Hillary! – zawołał. – Albo jak pan się tam nazywa. Jestem z

**policji! Z policji! Ostrzegam, niech pan otworzy te cholerne drzwi, zanim je wyważymy!**

**Walił jeszcze przez jakiś czas, a potem dysząc ciężko dał krok do tyłu. Kiedy się zbliżył, żeby zapukać ponownie, drzwi się otworzyły i stanął przed nim wysoki, białowłosy mężczyzna w ciemnych okularach i długim, szarym płaszczu.**

**–Pan Hillary? – zapytał Thomas. – Jestem porucznik Thomas Boyle, z bostonskiego wydziału zabójstw. Mam nakaz przeszukania tego domu... to znaczy latarni.**

**–Mogę go zobaczyć? – zapytał pan Hillary.**

**Sierżant Jahnke podał mu nakaz, a on dokładnie go przestudiował, po czym oddał z powrotem.**

**–No i co pan na to? – zapytał Thomas. Pan Hillary uśmiechnął się.**

**–Nakaz wydaje się autentyczny. Niestety nie mogę panów wpuścić. Mamy tutaj kwarantannę. Zapalenie opon mózgowych.**

**Zamykał już prawie drzwi, kiedy Thomas zablokował je stopą.**

**–Zapalenie opon mózgowych czy bóle miesiączkowe to nas naprawdę mało obchodzi. Wchodzimy do środka, panie Hillary.**

**–Nie może pan.**

**–Chce pan, żebym wszedł siłą? Mam ze sobą pokaźne posiłki. Nie chciałbym, żeby komuś stało się coś złego.**

**–To jest mój dom, poruczniku Boyle – odparł pan Hillary ze zniecierpliwioną miną – i mam w nim prawo do zachowania prywatności.**

**Thomas wyciągnął ponownie nakaz.**

**–Sędzia okręgu Essex uważa, że nie ma pan już prawa do zachowania prywatności.**

**Pan Hillary przez chwilę milczał i w ogóle się nie poruszał. A potem dał znak Thomasowi, żeby się zbliżył, bo chce mu szepnąć coś do ucha.**

**–Poruczniku, mam tutaj na górze Michaela Reardena, panią Rearden i młodego panicza Reardena. Bardzo nie chciałbym, żeby stało im się coś złego i mam wrażenie, że pan także. Więc niech pan się zabiera i wraca, skąd pan przyjechał. Porozmawiam osobiście z komisarzem Hudsonem i do południa będzie pan mógł przestać sobie zawracać głowę tą sprawą i zająć czymś poważnym: na przykład, kto maluje graffiti na Hancock Tower albo kto spluwa do portowych wód.**

**Thomasowi zwężyły się źrenice i spojrzał na pana Hillary'ego – spojrzał mu prosto w oczy, mimo że ten miał na nosie ciemne okulary.**

**–Grozi mi pan? – zapytał.**

**–Tak, grozę panu – uśmiechnął się pan Hillary.**

**–Jaki ma pan dowód, że są tutaj Reardenowie?**

**Pan Hillary skinął głową w stronę północnego zachodu.**

**–Stoi tutaj samochód Michaela. Jakiego jeszcze trzeba panu dowodu?**

**–Chcę się z nim zobaczyć, chcę z nim porozmawiać.**

**–Nie wydaje mi się, żeby to było możliwe, poruczniku. Chyba najlepszą rzeczą będzie, jeśli pan stąd odejdzie. Uznajmy to wszystko za drobne nieporozumienie.**

Thomas stał przez chwilę w miejscu i w ogóle się nie odzywał. Ale potem odwrócił się w stronę umundurowanych policjantów.

–Wilson! Ribeiro! Chodźcie tutaj! Przystępujemy do przeszukania.

Pan Hillary sztywniejąc, dał krok do tyłu.

–To nie jest dobry pomysł, poruczniku. Może pan zrujnować sobie karierę.

–Jestem przygotowany na to ryzyko – odparł Thomas. – Sierżancie Jahnke, przeszukanie od góry do dołu, nikt nie ma prawa wyjść.

–Tak jest, panie poruczniku – odparł David, prężąc się w postawie na baczność.

Ale w tej samej chwili, nie mówiąc ani słowa więcej, pan Hillary zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Thomas spojrzał na Davida.

–O! – powiedział David.

Wilson i Ribeiro wbiegli z wyciągniętymi pistoletami po schodach. Wilson był rumiany i tęgi, Ribeiro miał gęste, czarne wąsy.

–Przystąpimy do przeszukania – oświadczył Thomas – kiedy otworzymy te drzwi.

–W samochodzie mamy młot, panie poruczniku – stwierdził Ribeiro.

–To solidny, stuletni dąb – odparł Thomas. – Młot nie wystarczy, potrzebny będzie dynamit.

–Może weźmiemy ich głodem – zaproponował Wilson.

–Naprawdę? Ile to twoim zdaniem potrwa? Mają pewnie dość zapasów, żeby dotrzeć do zimy.

–Może powinniśmy wezwać straż pożarną – zaproponował David. – Są dobrzy w wyważaniu drzwi. Mają także drabiny. Moglibyśmy wspiąć się na górę i dostać do środka przez dach.

Thomas podniósł wzrok i potrząsnął głową.

–Musimy się zastanowić. Jeśli naprawdę wzięli Reardenów jako zakładników, czekają nas poważne kłopoty. Zabierzmy się do tego metodycznie. Nawiążmy kontakt telefoniczny i zobaczmy, co nam to da. Nie ma sensu podejmować frontalnego ataku: ta latarnia jest zbudowana jak forteca.

Zeszli ze schodów i ruszyli po porośniętym trawą piasku w stronę samochodu Boyle'a.

–Wilson, nawiąż kontakt telefoniczny – polecił Thomas. – Ribeiro, wezwij straż pożarną. Powiedz im, że będziemy potrzebowali drabin i czegoś do wyważenia solidnych, dębowych drzwi.

–Już się robi, szefie – odparł, machając ręką, Ribeiro. Thomas usiadł w samochodzie i zapalił papierosa.

–To wszystko może się okazać zwykłą stratą czasu, wie pan o tym, poruczniku? – zapytał David.

–Tak? A to dlaczego?

–Ponieważ ten cały Hillary ma dojścia do każdego, kto się liczy, włączając w to komisarza Hudsona. Nawet gdybyśmy zaprezentowali nagrania wideo, na których osobiście popełnia wszystkie te zabójstwa... nawet gdybyśmy zgromadzili osiem tysięcy świadków i każdy gotów byłby przysiąc z ręką na Biblii, że to on... czy naprawdę myśli pan, że uda się panu uzyskać nakaz aresztowania, nie mówiąc już o



wyroku?

–Zobaczymy – odparł Thomas, puszczając z ust cienką strużkę dymu.

W tej samej chwili podjechał do nich, podskakując na wybojach, wielki czarny lincoln. Był to stary model, z siedemdziesiątego drugiego albo trzeciego roku, z błyszczącą, wypucowaną karoserią i przyciemnionymi szybami. Samochód zatrzymał się, otworzyły się drzwi i wysiadł z niego Matthew Monyatta. Miał na sobie luźną, zieloną dżalabię i ozdobiony chwastem zielony fez. Okrążył samochód, otworzył bagażnik i wyjął z niego składany inwalidzki wózek, a potem podszedł do drzwi pasażera, otworzył je i Thomas zobaczył w środku Megan. Matthew, w trzepoczącej na wietrze dżalabii, pomógł jej troskliwie usadowić się na wózku.

–Megs? – zapytał Thomas. – Co ty tutaj, do diabła, robisz? Matthew ruszył w ich stronę, pchając przed sobą wózek z Megan i Thomas nie mógł nie zauważyć niezwyklego wyrazu, jaki malował się na ich twarzach. Były zdeterminowane, poważne – ale i natchnione.

–Wiem, co się tutaj dzieje, Thomas – powiedziała Megan. – Wiem, kim jest pan Hillary i jak się do niego dostać. Wiem chyba również, jak go zniszczyć.

Thomas ukląkł przed nią i wziął ją za rękę.

–To jest zbrodniczy maniak, Megs. Wezwaliśmy posiłki i wykurzymy go stąd. Nie potrafisz nam w żaden sposób pomóc.

–Owszem, potrafię. Wraz z Michaeliem i Matthew mogę zrobić wszystko, co zechcę.

–Ale Michael jest w środku. Pan Hillary przetrzymuje go jako zakładnika... razem z Patsy i Jonasem.

–Wiem. Czuję to już na Lynn Shore Drive, sześć kilometrów stąd. To kwestia aury, Thomas. To kwestia hipnozy. Tego, co nas połączyło. Dzięki temu możemy porozumiewać się duchowo. Matthew rozumie to także.

Thomas wyprostował się i zmierzył wzrokiem Matthew, ale ten zachował kamienne oblicze.

–Czy to prawda? – zapytał Boyle.

–Tak mi się wydaje – odparł Monyatta. – Podobnie jak prawdą jest Bóg, prawdą jest Olduvai i prawdą jest ten cały przeklęty świat.

–Co zatem proponujecie? – zapytał Thomas.

–Oboje, ja i Matthew, skontaktujemy się z Michaeliem – powiedziała Megan – a potem posługując się naszymi połączonymi aurami przepędzimy z latarni pana Hillary’ego.

–Myślisz, że możesz to zrobić, nie narażając nikogo na niebezpieczeństwo? Nie narażając na niebezpieczeństwo siebie?

Megan wzięła go za rękę i uścisnęła ją. W jej oczach błysnęły łzy.

–Thomas, kochanie, nigdy w życiu nie wyrządziłabym ci krzywdy. Nie z własnej woli, nigdy.

Thomas wyczuł, że jego żona mówi o czymś innym, ale nie miał pojęcia o czym. Wyjął chusteczkę i otarł jej łzy.

–Dobrze, w porządku – zgodził się. – Jeśli uważasz, że to coś da, spróbuj.

Megan wzięła za rękę Matthew i wyjęła z torebki cynkowo-miedziany krążek, który zostawił jej Michael. Thomas instynktownie dał krok do tyłu i pociągnął za sobą Davida Jahnkego. Nie wierzył w te rzeczy, ale nie wierzył również, że w tłumie łatwiej dokonywać cudów.

Megan wyciągnęła dłoń i położyła na niej krążek, który błysnął w promieniach słońca niczym widziane z daleka okno.

–Spójrz na to światło, Matthew i odpręż się – powiedziała. – Spójrz na to światło i odpręż się. Światło jest wszystkim, co istnieje. Światło jest środkiem wszechświata. Światło jest wszystkim... Czujemy się senni, czujemy się znużeni. Opuszcza nas cała nasza aura, cała nasza siła... zapadamy w trans, Matthew, zapadamy weń razem, trzymając się za ręce... ześlizgujemy się w sen, tylko ty i ja, podążając za świetlnym punktem, podążając za nim, przenikając go...

Thomas obserwował z rosnącym zdumieniem, jak zamykają się oczy Megan i zamykają się oczy Matthew. Oboje tworzyli dziwne tableau: Matthew stojący obok wózka Megan i trzymający ją za rękę, oboje w całkiem naturalnych pozach, tyle że pogrążeni w głębokim śnie. Thomas zbliżył się do nich ostrożnie, obszedł dookoła i z odległości zaledwie paru centymetrów zajrzał Matthew prosto w oczy.

–Niech to diabli – zdumiał się. – Nie ma go. Całkiem się wyłączył. Megan także. Nie wiedziałem, że hipnoza działa tak szybko.

David Jahnke nie wiedział, co powiedzieć. To nie mieściło się w normalnej procedurze. To nie było nawet robione na pokaz. To było czyste szaleństwo.

Megan i Matthew ruszyli, trzymając się za ręce, po trawie, a potem wspięli się po schodkach. Dzień był pozbawiony kolorów, niczym czarno-biała fotografia, leżąca od dziesięcioleci w starym pudle od butów. Drzwi latarni były zamknięte, ale oni przeszli przez nie, z szelestem poruszanych molekuł, i znaleźli się w środku.

–Hej, Michael? Jesteś tu? – zawołała Megan. Nie doczekała się żadnej odpowiedzi.

Ruszyli po spiralnych schodach na górę i otworzyli drzwi biblioteki. Michael siedział zgarbiony i nagi w fotelu, z pokaleczoną piersią, na której zaschły strużki krwi. Kiedy weszli do środka, podniósł powoli głowę i na jego ustach pojawił się uśmiech.

–Meeegaaan... – powiedział powoli i niewyraźnie. – Maaatheew...

Zobaczyli migocącą wokół niego różową, jasną aurę. Ich własne ciała eteryczne tańczyły po bibliotece niczym duchy albo płomienie, niepewne i drżące. Połączyli swoje aury z jego aurą i wszyscy troje poczuli przyływ ogromnej siły, potężnego ciepła, tak jakby ktoś otworzył drzwi pieca, a oni stali przed nim z obnażonymi piersiami. Michael wstał z krzesła, nagi, poraniony, ale prawie lewicujący w powietrzu.

–Azazel! – krzyknął potężnym głosem, który odbił się echem od ścian biblioteki. – Azazel!

W drzwiach pojawił się pan Hillary w towarzystwie Josepha i Jacqueline. Megan i Matthew wydał się jakiś inny: widzieli teraz jego aurę – czarną, połyskującą mgiełkę, która otaczała jego fizyczne ciało.

Ale jeszcze wyraźniej widzieli jego płonące, czerwone oczy. Przez moment poczuli, jak przenika ich straszliwy lęk – tym większy, że pan Hillary natychmiast wyczuł zaszłą w Michaelu zmianę.

–Kim jesteś? – zapytał podejrzliwie i w ten sposób się zdradził. Musiał się zorientować, że Michael ma w sobie więcej niż jedną aurę.

–Tym, który przyszedł po ciebie – odparł Michael. – Jestem przyjacielem Aarona. Jestem przyjacielem człowieka. Jestem przyjacielem wszystkich zhańbionych przez ciebie kobiet.

Pan Hillary wybuchnął śmiechem. Głębokim, kpiącym, obezwładniającym śmiechem, który przypominał toczącą się po pochylni beczkę z piwem. Ale w chwilę później Michael podbiegł do niego, złapał za włosy i okręcił dookoła – a potem podbił mu nogi i przewrócił na wyścielające podłogę dywany.

Michael miał w sobie połączoną moc Megan i Matthew. Moc maga i moc męczennicy. Płonął mocą, eksplodował nią.

Pan Hillary wydał przeciągły ryk – arrrrghhhhhh – i z furią zerwał się na nogi. Ciął szpicrutą – raz, drugi, trzeci – ale Michael był dla niego o wiele za szybki: miał w sobie szybkość Megan, z czasów kiedy była sprawna. A potem, czując w sobie siłę Matthew, z czasów kiedy był młody, uderzył pana Hillary’ego w klatkę piersiową – raz, drugi, trzeci – potężne niczym uderzenia młota ciosy, od których pękły żebra i obojczyk.

Pan Hillary wrzasnął z bólu i wściekłości. Z ust pociekła mu krew. Rozhisteryzowany i rozjuszony, ze świeżą dawką ludzkiej adrenaliny w ciele, nie był jednak w stanie przeciwstawić się trzem aurom w jednym ciele. Zatoczył się do tyłu, potknął o dywan i znowu zatoczył. Michael ruszył za nim w pogoń, a pan Hillary skoczył ku drzwiom i zbiegł po schodach.

Michael nie dbał o to, że jest nagi. Miał w sobie teraz anielską, nadludzką moc, był trójką w jedności. Zbiegł po schodach za panem Hillarym i otworzył na oścież drzwi. Zobaczył otaczające latarnię wozy patrolowe z błyskającymi na dachach światłami. Zobaczył Megan, siedzącą z pochyloną głową w swoim wózku, i zobaczył Matthew. Niech was Bóg błogosławi – pomyślał.

A potem dojrzał pana Hillary’ego, biegnącego przez porośnięte trawami wydmy, z powiewającymi dziko na wietrze białymi włosami i trzepoczącym z tyłu szarym płaszczem, i nie zważając na nic rzucił się za nim w pogoń.

–Stać! Nie ruszać się! Policja! – krzyknął jeden z policjantów, ale pan Hillary oczywiście się nie zatrzymał.

Padł strzał i w płaszczu pana Hillary’ego pokazała się na plecach dziura, ale on nie przestawał biec, coraz szybciej i szybciej, w stronę linii brzegu. Jakiś wóz patrolowy ruszył za nim z rykiem silnika po wyboistej trawie.

Michael biegł za panem Hillarym tak, jak nie biegł jeszcze nigdy w życiu. Nagi, biegł jak grecki atleta; każdy mięsień jego ciała był napięty, pompowała krew każda arteria.

Pan Hillary wbiegł na płyciznę, rozchlapując stopami wodę; policyjny samochód gnał, zataczając się i ślizgając po piasku zaledwie piętnaście metrów z tyłu.

**Wtedy właśnie wydarzyło się to, co niemożliwe.**

**Pan Hillary biegł dalej, ale jego zanurzające się w falach stopy rozpryskiwały coraz mniej wody. A potem przestał chlapać w ogóle i zaczął wzbijać się w powietrze. Wciąż biegł, ale teraz dwa metry nad wodą... trzy, sześć i jeszcze wyżej.**

**Policyjny samochód zatrzymał się na płyciźnie i wyskoczyło z niego dwóch gliniarzy, zanurzając się po kostki w wodzie. Przystawili dłonie do oczu i z niedowierzaniem patrzyli, jak pan Hillary, przebierając nogami i wymachując rękoma, wzbija się coraz wyżej w powietrze.**

**Michael dobiegł do brzegu i nie zatrzymał się.**

**Teraz! – zwrócił się niemo do Megan i Matthew. – Na miłość boską, teraz!**

**Biegł, coraz głębiej zanurzając się w wodzie – po kostki, po kolana, po uda.**

**Teraz! – krzyczał w głębi ducha. – Teraz!**

**I wtedy uniósł się, poczuł, jak się unosi. Poczuł w sobie lekkość, poczuł nieważkość. Z piany wyłoniły się najpierw jego kolana, a potem golenie. Jeszcze przez chwilę rozchlapywał stopami wodę i nagle znalazł się w powietrzu – wzbijając się coraz wyżej i wyżej.**

**To było rozpaczliwie trudne. Przypominało bieg po zboczu nie istniejącej góry. Musiał wciąż biec, wciąż przebierać nogami i wymachiwać ramionami, ponieważ za każdym razem, kiedy trochę zwolnił, czuł, że opada w dół.**

**Podtrzymywała go jego aura, jego ludzka aura, a także siła i nieważkość, które otrzymywał od Megan i Matthew. Użycjali mu całej swojej mocy, całej swojej wiary. Był to najwspanialszy przykład odwagi i wzajemnego zaufania, jakiego kiedykolwiek doświadczyli – troje obcych ludzi, połączonych w jedno i dających z siebie wszystko.**

**Widział wysoko przed sobą pana Hillary'ego, który wspinał się w powietrzu, stawiając szybkie, ulotne kroki, wtulając głowę w ramiona i trzepocząc połami płaszcza. Micheal próbował przyśpieszyć, próbował wzbić się szybciej. Morze błyszczało piętnaście, a potem dwadzieścia metrów pod jego stopami. Ale pan Hillary wciąż znajdował się wyżej.**

**Teraz! – błagał. – Teraz!**

**I daleko na dole, obserwowani przez zatroskanego i śmiertelnie poważnego Thomasa, Megan i Matthew pochylili głowy, ścisnęli jeszcze mocniej ręce i dali Michaelowi wszystko, na co ich było stać. Matthew drżał z napięcia. Spod zaciśniętych z całej siły powiek Megan płynęły łzy. Ale Thomas wiedział dobrze, że nie wolno mu ich budzić.**

**Wysoko nad Nahant Bay, zawieszony czterdzieści metrów w powietrzu, Michael zbliżał się do trzepoczącego na wietrze płaszcza pana Hillary'ego. Sięgnął ręką, ale nie udało mu się go złapać. Pan Hillary obrócił się z wyszczerzonymi niczym u wilka zębami i rozognionym spojrzeniem przekrwionych oczu, po czym dał jednego, a potem drugiego susa w górę.**

**–Azazel! – krzyknął za nim Michael.**

**Ale on wtulił tylko głowę w ramiona i zaczął wspinać się jeszcze wyżej, kopiąc obcasami rozrzedzone powietrze.**

**Sześćdziesiąt metrów nad wodą i kilometr od brzegu Michael gotów był dać za**

wygraną: pan Hillary wspiął się tak wysoko, biegł tak szybko. Ale potem Rearden dał ostatniego susa w górę i pochwycił płaszcz. Zacisnąwszy go w rękę przestał biec i natychmiast począł się osuwać w dół.

–Nieeee! – ryknął pan Hillary. – Nie, ty głupcze! Jesteś jednym z nas! Jesteś jednym z nas!

Zaczął szarpać płaszcz, wrywać się i kopać, próbując nabrać wysokości. Ale nawet aura Azazela, Kozła Ofiarnego, nie była w stanie utrzymać dwóch ludzi w powietrzu; nie na planecie, gdzie tak silna była grawitacja i tak duży balast ludzkich grzechów.

Płaszcz pana Hillary’ego zaczął się tlić i dym puścił się z jego butów. Jego aura dosłownie się przegrzewała. Przez chwilę wił się i walił Michaela pięściami, a potem paląc się i dymiąc zaczął opadać.

–Jesteś jednym z nas! – nie przestawał krzyczeć. – Jesteś jednym z nas!

Ale Michael trzymał mocno w rękach materiał płaszcza i nie zamierzał go puścić. Spełniał się jego koszmar. Spadał do morza i pan Hillary spadał razem z nim, aż w końcu oderwali się od siebie i lecieli osobno, wywracając w powietrzu koziółki, dwie małe plamki na tle porannego słońca.

Piętnaście metrów nad wodą pan Hillary eksplodował. Rozległo się stłumione puuuff, w powietrzu błysnął biały płomień, a potem w dół zaczęły spadać kawałki zwęglonego ciała i ubrania.

Jego szary płaszcz sfrunął na końcu; płonąc w powietrzu kołysał się niczym liść na wietrze, a potem osiadł na falach, otulając matczynym gestem tłące się szczątki.

Obok nich unosił się na wodzie, łapiąc kurczowo oddech, pokaleczony i zdezorientowany Michael.

Thomas natychmiast podbiegł do jednego z zastępców, który stał z rozdziawionymi ustami obok swego samochodu.

–Straż nadbrzeżną, szybko! Niech zaraz wyłowią ich obu z wody, tego martwego i tego, który jeszcze zipie.

Potem podbiegł do Megan i zaczął energicznie machać przed jej twarzą palcami. Kiedy nie dało to rezultatu, pomachał ponownie, a potem poklepał ją po policzkach.

–Megs! Megs! To ja!

Zamrugła oczyma. Z początku zachowywała się tak, jakby go nie poznawała, ale potem jej twarz rozjaśnił uśmiech.

–Megs? Udało ci się! Cokolwiek to było, jakkolwiek to zrobiłaś, udało ci się!

Nie przestając się uśmiechać pokiwała głową.

–Jest jeszcze jedna rzecz, która pozostała nam do zrobienia, kochanie. Biali-biali ludzie. Liliowobiali chłopcy.

Michael odnalazł Jonasa w jednym z małych, otynkowanych na biało pokoików na szczycie spiralnych schodów. Kiedy tylko otworzył drzwi, chłopiec podbiegł do niego, objął mocno i za nic nie chciał wypuścić z ramion.

–Nic ci nie jest? – zapytał Michael. – Nie zrobili ci nic złego, prawda?

Jonas potrząsnął głową. Nie płakał, ale nadal kurczowo się do niego tulił.

–Pachniesz szpitalem – powiedział.

–Podrapałem się, to wszystko. Pielęgniarze założyli mi opatrunek.

–Czy mamie nic się nie stało?

–Mama też jest trochę podrapana. Ale nic jej nie będzie.

Jonas podniósł wzrok.

–Widziałem cię przez okno. Widziałem, jak wspinałeś się w powietrzu. Jak to zrobiłeś?

–Człowiek może wszystko, jeśli tylko wystarczająco mocno tego chce.

–Ale ty byłeś wysoko w powietrzu...

–Nie zrobiłem tego sam. Pomogła mi Megan i pewien czarny mężczyzna o imieniu Matthew. Zrobiliśmy to razem.

–A ci inni ludzie? – zapytał Jonas.

–Policja otoczyła ich wszystkich w bibliotece. Nie będziesz musiał ich więcej oglądać.

Jonas przytulił się do niego jeszcze mocniej.

–Chodź – powiedział Michael, wicherząc mu włosy. – Pójdziemy zobaczyć się z mamą.

Zeszli po spiralnych schodach. W bibliotece stali pilnowani przez policjantów liliowobiali chłopcy. Było ich wszystkich trzynastu. Jonas zasłonił dłonią oczy, kiedy Michael poprowadził go ku znajdującym się po drugiej stronie pokoju drzwiom.

–Do widzenia, Jonas – rzucił Joseph, zdejmując ciemne okulary, ale chłopiec się nie odwrócił.

Michael schodził razem z Jonasem po kamiennych stopniach już na zewnątrz latarni, kiedy zza drzwi wyjrzał Thomas.

–Możesz mi poświęcić chwilę? – zapytał.

–Zaopiekuj się mamą, dobrze? – powiedział Michael i dał Jonasowi całusa. – Może pani zabrać go do ambulansu? – dodał zwracając się do stojącej na dole policjantki.

–To nie potrwa długo, prawda? – zapytał Jonas.

–Tak – odparł z uśmiechem Michael i jeszcze raz go pocałował. – To nie potrwa długo.

Wrócił do biblioteki. Matthew i Thomas stali zasępieni przy kominku.

–Matthew coś zaproponował – oznajmił cichym głosem Boyle.

–Co takiego?

–Jego zdaniem liliowobiali chłopcy wyjdą z tego bez szwanku. Są praktycznie nieśmiertelni. Nie można ich zabić, nie można im zrobić żadnej krzywdy. Nawet jeśli uda nam się wytoczyć im sprawę, mają za dużo wysoko postawionych przyjaciół. Nie dostaną żadnego wyroku.

–Więc co proponujesz?

–Moim zdaniem powinniśmy ich zahipnotyzować... po prostu uśpić.

–Ale jeśli to zrobimy, skurczą się i zeschną, prawda? Tak właśnie mówiłeś.

Matthew kiwnął głową. Michael spojrzał na Thomasa.

–Jakie jest twoje stanowisko? Czy nie naruszamy w jakiś sposób ich praw? To znaczy, czy nie będziemy odpowiadać za morderstwo, jeśli ich uśmiercimy?

–To nie są ludzie – powiedział Matthew. – Nie w normalnym sensie tego słowa. To

są po prostu rzeczy, po prostu rozsadniki choroby. Wirusy nie mają żadnych praw i oni także.

–Co o tym myślisz? – Michael spojrział na Megan.

–Widziałeś, czego dokonaliśmy na plaży – odparła, wzruszając ramionami. – Połączeni ze sobą, wszyscy troje. Dzięki nam wzniosłeś się w powietrze. Możemy zrobić to samo z liliowobiałymi chłopcami. W końcu uśpienie kogoś to żadna zbrodnia.

–Zbrodnia, jeśli wiesz, że ich w ten sposób uśmiercisz.

–Chyba pragniesz się ich pozbyć tak samo mocno jak my? – zapytał Thomas.

–Mocniej – powiedział Michael. – Ale nie jesteśmy przecież członkami straży obywatelskiej; i nie jesteśmy mordercami.

–W takim razie ujmę to inaczej. – Thomas zerknął na zegarek. – Masz dziesięć minut, żeby uśpić tych osobników. Zrób to przez wzgląd na Elaine Parker. Zrób to przez wzgląd na Sissy O'Brien.

Zrób to dla Victora i dla wszystkich tych ludzi, którzy zginęli w Rocky Woods. Megan wzięła go za rękę.

–Myślę, że mamy wobec nich ten obowiązek, Michael. Naprawdę.

–W porządku – odparł Michael. – Spróbujmy.

Thomas wyszedł z biblioteki, a w ślad za nim, dość niechętnie, jego podkomendni.

–Jeśli zaczną jakieś sztuczki... cokolwiek... tylko zawołajcie – rzucił jeden z nich, zanim zamknął drzwi.

Rearden podszedł do Josepha, który stał ze skrzyżowanymi z tyłu rękoma i wyrazem cierpliwej rezygnacji na twarzy.

–A więc to koniec – powiedział.

–Koniec? – Joseph wzruszył ramionami. – To nie jest koniec. To nie jest nawet początek końca. Są nas całe setki. Nieraz nas jeszcze zobaczysz.

–Wiesz, co mamy zamiar zrobić, prawda? – zapytał Michael. Joseph kiwnął głową.

–Tak, oczywiście. I witamy to z radością. Żaden z nas nigdy nie zaznał tego, czym jest sen... – Umilkł na chwilę. – Nie powinieneś być taki zdziwiony – dodał. – Potrzeba snu niczym nie różni się od innych: od pożądania, głodu, chciwości, żądzy odwetu.

–Żądzy odwetu... – powtórzył Michael. – Dlaczego czuję, że żądza odwetu to coś, na co dałem się nabrać?

–Bo odwet jest karą, której poddajemy kogoś, kto wyrządził nam krzywdę. To, co zamierzasz teraz zrobić, to nie kara. To naturalna konsekwencja wszystkiego, co się wydarzyło, i my się z tym godzimy. Chyba wiesz, że moglibyśmy stąd uciec. Wasze pistolety by nas nie zatrzymały. My, a nie wy, decydujemy, kiedy mamy umrzeć. Nawet gdyby udało się wam jakoś nas aresztować, w każdej chwili moglibyśmy uciec z waszych więzień... oczywiście gdyby którykolwiek z waszych sędziów odważył się wydać na nas wyrok. Pan Hillary mógł zginąć, Michael, ale wpływy Seirimów będą wieczne.

Michael przyjrzał się z ukosa swemu rozmówcy. Joseph najwyraźniej się z niego naigrawał: starał się pomniejszyć znaczenie zwycięstwa nad Azazelem. W

rzeczywistości jednak Michael wyczuwał w nim wielkie napięcie i jeszcze większą desperację. Śmierć pana Hillary'ego odebrała całe znaczenie ich dziwnej egzystencji. Stracili swego przywódcę – mentora i inspiratora – istotę, w ciele której paliły się niczym gorąca smoła grzechy całej ludzkości. Bez niego, bez Azazela, cóż miała począć w nowoczesnym świecie banda okrutnych, anachronicznych wyrzutków?

–Wiem, dlaczego nie uciekliście – powiedział tak cicho, żeby nie usłyszał go nikt poza Josephem. – Ponieważ nie macie po co uciekać. Nie macie przed sobą żadnego celu, żadnej przyszłości. Żadnej apokalipsy. Niczego.

Joseph nie przestawał się uśmiechać.

–Jesteś bardziej skomplikowany, niż na to wyglądasz, prawda, Michael?

–Teraz tak – odparł Rearden. Staął pośrodku biblioteki i podniósł w górę cynkowo-miedziany krążek, tak żeby wszyscy liliowobiali chłopcy wyraźnie go zobaczyli. – Spójrzcie na to – zakomenderował i w tej samej chwili krążek zabłyśł i zamrugał w promieniach słońca. – Spójrzcie na to kółko i pomyślcie o śnie. Nigdy nie spaliście, żaden z was... ale pomyślcie o tym teraz. Pomyślcie o odpoczynku, pomyślcie o spokoju. Pomyślcie o ciemności, która przemyje wasze oczy. – Zaczął przechadzać się przed nimi, trzymając krążek w podniesionej ręce, żeby wszyscy mogli go zobaczyć. – Teraz zaśniecie, po miesiącach i latach czuwania. Teraz zaśniecie i odpoczniecie na wieki. Czujecie się zmęczeni, zaraz zaśniecie. Czujecie się zmęczeni, zaraz zaśniecie...

Podczas gdy recytował monotonnym głosem te słowa, przez bibliotekę przeszło niezwykle drżenie. Zaszumiały książki, kurz posypał się z dawno nie sprzątanym półek. W powietrzu rozszedł się mocny zapach pustyni, otwartych złóż soli i wyschniętych rynsztoków. Błysnęło oślepiające słońce i powiał suchy wiatr.

Michael zorientował się, że osuwa się w mrok głębokiego hipnotycznego transu. Czuł, że blisko za nim podąża Matthew. Czuł jego osobowość – dumną, pierwotną i silną. Czuł również obok siebie Megan. Nie tak silną, ale równie zdeterminowaną. Cała trójka zapadała coraz głębiej i głębiej w trans – i przez cały ten czas migotała wokół nich białoróżowa aura. To była ich połączona aura – obdarzony wielką mocą ładunek eterycznej elektryczności. Tańczył i przeskakiwał od jednej do drugiej osoby, a potem powoli przygasł. Nastąpiła ciemność – zimna, podwodna ciemność, w którą ich aura zapadała się w totalnej ciszy, przezroczysta niczym meduza.

Michael uświadomił sobie, że idzie plażą. Nad jego głową świeciło słońce, ale niebo było czarne. W powietrzu wisiały nieruchomo świetliście białe mewy. Jego stopy chrzęściły po piasku niczym przesypywany łyżeczką cukier.

Między wydmami leżały setki okaleczonych ciał; na wietrze trzepotały cicho podarte, zbutwiałe ubrania. To były ciała tych wszystkich, którzy padli ofiarą liliowobiałych chłopców: zwłoki polityków i dyplomatów, lekarzy i prawników, mężczyzn, którzy starali się zaprowadzić pokój, i kobiet ofiarnych.

Michael zdał sobie sprawę, że płacze – że łyzy ciekną mu strumieniem po policzkach, a gardło ściska żal. Po raz pierwszy zobaczył na własne oczy rozmiary tragedii. Liliowobiali chłopcy zabijali bez litości każdego, kto był rzecznikiem porozumienia – każdego, kto chciał zaprowadzić na świecie pokój i zgodę. Czynili to,



uśmiercając przy okazji dziesiątki tysięcy postronnych ofiar. Wszystko w imię chaosu, wszystko w imię niezgody, zawiści, okrucieństwa i wojny.

Spostrzegł, że obok niego podąża Matthew, a z drugiej strony Megan. Wymienili między sobą spojrzenia, ale nie odezwali się ani słowem. Szli dalej w stronę brzegu, stąpając po suchym, pomarszczonym piasku – widząc daleko przed sobą czarne, falujące w upale postaci liliowobiałych chłopców.

To wcale nie była plaża; szli przez rozległą, oślepiającą pustynię. Morze zniknęło gdzieś i zewsząd otaczał ich płaski, twardy piasek. Słońce pulsowało nad głową Michaela; idąc poczuł, że robi się coraz słabszy i coraz bardziej zasycha mu w ustach.

Niebo nadal było czarne. Mewy nadal białe i nieruchome. Ale coś się zmieniało. Michael miał wrażenie, że pustynia coraz bardziej się rozszerza i że nigdy nie dotrą żywi do jej skraju. Szli i szli w zupełnym milczeniu; ale po pewnym czasie postaci liliowobiałych chłopców zaczęły się rozmazywać w powietrzu, a potem zupełnie się rozplynęły.

–Zgubiliśmy ich – powiedziała Megan.

–Wystrychnęli nas na dudków – stwierdził Matthew. – Są od nas silniejsi... prowadzą nas na manowce.

–Co teraz zrobimy? – zapytała z niepokojem Megan.

–Nie mamy innego wyboru – orzekł Michael. – Jesteśmy tutaj i musimy za nimi iść.

Matthew wykonał lewą ręką dziwny, skomplikowany znak, którym członkowie plemienia Olduvai odczyniali uroki.

–Masz rację – przyznał. – Nie mamy innego wyboru. To jest nasze przeznaczenie. To jest droga, którą musimy przejść.

Szli całymi godzinami. Ale czas się zatrzymał. Słońce tkwiło w tym samym miejscu. Nie poruszały się przyszpilone w powietrzu mewy.

W końcu zobaczyli na horyzoncie dym. Gęstą, czarną smugę na tle czarnego nieba. Zobaczyli wirujące w powietrzu snopy iskier i biegających w kółko, tańczących ludzi. A potem nienaturalnie szybko znaleźli się nagle w środku tłumu mężczyzn i kobiet, odzianych w szare, proste szaty – tuniki, turbany i dżalabie.

–Czasy biblijne – szepnął Matthew. – Przenieśli nas w czasy Aarona.

Przedzierając się przez tańczący w tumanach pyłu i dymu tłum dotarli w końcu do ulepionego ze słomy i błota, pomalowanego na złoty kolor wielkiego posągu kozła. Stał na ceglany cokole, wznosząc się dziesięć albo dwanaście metrów w górę na tle czarnego jak węgiel nieba. Zamiast oczu miał dwie smoliste pochodnie, z których sypały się iskry i walił gęsty dym, a na głowie zaokrąglone rogi, obwieszane girlandami ludzkich czaszek – setkami czaszek mężczyzn, kobiet i dzieci, które uderzały o siebie i grzechotały w podmuchach pustynnego wiatru.

Na cokole oczekiwali ich w milczeniu liliowobiali chłopcy, z podbiegłymi krwią oczyma i twarzami białymi jak kaolin.

–Myśleliście, że możecie nas pokonać – powiedział, zbliżając się do skraju cokołu Joseph. – Myśleliście, że się poddaliśmy. Ale my jesteśmy wieczni. Jesteśmy

niezniszczalni. To wy obróćcie się teraz w proch. To wy udacie się na spotkanie z waszym Stwórcą.

Podniósł w górę obie ręce i z gardeł Lewitów dobył się potężny, orgiastyczny ryk. Michael obrócił się i zobaczył, że ludzie rwą na sobie ubrania. Zobaczył nagiego mężczyznę, który wylupiwszy palcami oczy kobiecie, wepchnął je sobie do ust, podskakując przy tym w obscenicznym, triumfalnym tańcu. Zobaczył sześciu mężczyzn gwałcących na piasku dziewczynę, która kopała ich, biła i drapała paznokciami.

Dudniły bębny i piszczały trąby. Unoszący się znad ziemi gęsty pył pustyni mieszał się ze smolistym dymem z oczu złotego cielca.

–To wy! – krzyczał Joseph. – To wy udacie się na spotkanie z waszym Stwórcą! Zatrzęsa się ziemia. Krzyki stawały się coraz głośniejsze. Przez dym i kurz Michael widział kaleczących się, gwałcących i mordujących ludzi. W powietrzu tryskały strumienie lepkiej krwi. Ogarnięty rozpaczą zamknął oczy.

–Oni nie zasną – zwrócił się do Megan i Matthew. – Po prostu nigdy nie zasną. Liliowobiali chłopcy zeszli po umieszczonych z boku cokołu schodach. Każdy z nich trzymał w rękach dwie cienkie rurki z metalu, którymi wybijali stały, uporczywy rytm.

–Będą nas torturować – powiedziała Megan. – Wyssą z nas całą adrenalinę. Michael obejrzał się przez ramię, ale orgiastyczny tłum napierał na nich zbyt blisko, żeby mogli uciec – podobnie jak tłum w jego koszmarze. Liliowobiali chłopcy podchodzili coraz bliżej i bliżej, stukając rurkami i uśmiechając się, z twarzami białymi jak strach i bezsennymi, pałającymi żądzą zemsty, czerwonymi oczyma.

Joseph stanął przed Michaeliem i stuknął go w pierś jedną ze swoich rurek. –Naprawdę myśleliście, że uda wam się tak łatwo nas uspić? Jesteś zbyt wielkim grzesznikiem, podobnie jak ta kobieta, z którą zgrzeszyłeś, i ten mężczyzna, Matthew. Grzesznikom nie uda się pokonać grzeszników.

Liliowobiali chłopcy otoczyli ich, szeleszcząc i szepcząc, i Michael tak bał się tego, co im zrobią, że nie był nawet w stanie otworzyć ust.

Bębny dudniły coraz głośniejsze, krzyki stawały się wprost nie do zniesienia. Michael zobaczył tarzającą się po ziemi kobietę z płonącymi włosami i wyjącego z bólu i rozpaczony wykastrowanego mężczyznę, a po chwili zniknęli oboje w kłębach tłustego dymu.

Potem w kłębach tego dymu pojawiło się nagle jaskrawe światło. Żarząca się luna, na którą Michael ledwie miał odwagę spojrzeć.

To jest to – pomyślał w pierwszej chwili. – Ich aura, to, co nas zabije. Ale zaraz ujrzał, jak liliowobiali chłopcy jeden po drugim padają na kolana i próbują zasłonić oczy. Nawet Joseph zakrył w końcu twarz, a potem ukląkł na piasku i przycisnął do niego czoło.

Oślepiające światło unosiło się jakiś czas nad nimi, a potem w powietrzu zabrzmiał czysty, młody głos.

–Śpijcie... musicie zasnąć...

Michael poniósł ze zdumieniem wzrok. Każdy nerw jego ciała drżał z dumy i

radości. To był jego syn, Jonas, jasny, bezgrzeszny, niewinny Jonas. Przybył, aby dokończyć to, czego nie potrafił zrobić jego ojciec.

–Spijcie – powtórzył i uśmiechnął się z uczuciem do Michaela. – Spijcie wszyscy, śpijcie.

Jeden po drugim liliowobiali chłopcy zamykali swoje przekrwione oczy i zapadali w sen. A zapadając w sen, osuwali się na kolana i na podłogę. Pokój wypełniły kłęby kurzu; kurzu, który gromadził się od stuleci, kurzu rozsypujących się mumii, kurzu, jaki zostaje po istotach, które żyły zbyt długo. Opróżniły się garnitury, opadły w dół marynarki, spłaszczyły się nogawki spodni.

Nie trwało to dłużej niż kilka minut – ale w ciągu tych kilku minut Michael miał wrażenie, że przemijają całe stulecia. Widział piramidy i Sfinksa, zigguraty i starożytne cmentarzyska. Widział wschodzące i zachodzące słońca. A potem to wszystko zniknęło i zostały tylko porzucone ubrania, opadający kurz i jakieś podobne do brukwi, skurczone przedmioty.

Znajdowali się z powrotem w bibliotece, na Goat’s Cape. Liliowobiali chłopcy zasnęli i rozpadli się w proch.

Jonas siedział w fotelu pana Hillary’ego z szeroko otwartymi oczyma i naelektryzowanymi włosami.

Michael podszedł do niego, wziął syna za rękę i poczuł, jak po palcach przeskakuje mu elektryczność.

–Udało ci się – powiedział. – Udało ci się.

W oczach Jonasa jarzyły się iskierki chłopięcego triumfu.

Michael pokuśtykał na środek biblioteki i dotknął ręką jednego z zasuszonych przedmiotów, który rozpadł się na pół i rozsypał w kupkę brunatnego pyłu.

Podszedł do Megan i uściśnął jej rękę.

–Dziękuję – powiedział i dotknął wargami jej ust, a Megan objęła go za szyję, żeby przedłużyć pocałunek.

W tej samej chwili do biblioteki wszedł Thomas.

Na zewnątrz czekała na nich w ambulansie Patsy. Opatrzono jej skaleczenia i składała teraz zeznania sierżantowi Jahnkemu. Jonas dostał od kogoś coca-colę i stał przy ambulansie, popijając ją, ze zmęczonym i dziwnie dorosłym wyrazem twarzy.

Widząc podchodzącego Michaela, David Jahnke wyskoczył z ambulansu, popatrzył na niego trochę dziwnie i uniósł w salucie dłoń.

–To była wspaniała pogoń – powiedział. – Musi pan nauczyć mnie, jak to się robi.

–Nauczę pana – odparł Michael. – Każdy może tego dokonać, jeśli się mocno postara. Jesteś gotowa do odjazdu? – zapytał Patsy. – Wszystko skończone. Nie zobaczysz tych ludzi już nigdy więcej.

Podszedł do nich Matthew Monyatta i poklepał Michaela po plecach.

–Dokonałiśmy tam wspaniałej, magicznej rzeczy, prawda? Ty, ja, pani Boyle i twój syn.

Michael uściśnął mu rękę i kiwnął głową. Nie trzeba było niczego dodawać. Kiedy dwaj mężczyźni połączą swoje umysły, ich więź jest kompletna, niezależnie w jakim

są wieku i do jakiej należą rasy.

Gdy pielęgniarze pomagali Patsy wyjść z ambulansu, zbliżył się do nich ktoś jeszcze: okryta zarzuconym na ramiona policyjnym płaszczem Jacqueline, którą eskortowała umundurowana policjantka.

–Do widzenia. – Ucałowała Michaela w policzek. – Mam nadzieję, że jesteś w stanie mi wybaczyć.

Michael otarł policzek wierzchem dłoni.

–Nie sądzę, żeby do mnie należało przebaczenie ci. I nie wydaje mi się, żebym był w stanie to zrobić. W każdym razie nie teraz.

–Zostawiłam coś dla ciebie – powiedziała. – Coś, czego będziesz potrzebował.

–Tak? Co takiego?

–Wróć do biblioteki. Wetknęłam to pod fotel pana Hillary’ego. Policjantka złapała Jacqueline pod ramię i odciągnęła ją na bok.

–Nie zapomnij! – zawołała dziewczyna, uśmiechając się przez ramię do Michaela.

– To jest coś, czego będziesz potrzebował.

–O co jej chodziło? – zapytał Matthew.

–Nie mam najmniejszego pojęcia – odparł Michael. Ale po krótkim zastanowieniu rzucił Jonasowi kluczyki. – Bądź tak dobry i zaprowadź mamę do samochodu, Jonas. Muszę się po coś wrócić.

Ruszył z powrotem do latarni i wbiegł po schodkach. W bibliotece Thomas stał nad rozsypującymi się szczątkami liliowobiałych chłopców. Policyjny fotograf robił zdjęcia.

–Hej, Mikey – rzucił Boyle, ale w jego głosie nie było zbyt wiele ciepła.

Michael podszedł do fotela pana Hillary’ego i w chwili kiedy Thomas odwrócony był do niego plecami, wsunął pod spód rękę. Z początku niczego nie znalazł, ale potem nagle dotknął palcami chłodnej, ostrej stali i o mało się nie skaleczył.

Bardzo ostrożnie wydobył niebezpieczny przedmiot ze szpary w tapicerce. To był należący do Jacqueline nóż do oprawiania mięsa, ten sam, którym rozplatała Victora.

Obejrzał się, żeby sprawdzić, czy Thomas go nie obserwuje, po czym wsunął nóż w rękaw. Nie wiedział dlaczego. Nie chciał nawet myśleć dlaczego.

–Uważaj na siebie – zawołał Thomas, kiedy Michael zbliżał się do drzwi.

–Dobrze – odparł. – I ty także.

–Zostajesz w Plymouth Insurance? – zapytał go Thomas.

–Nie wiem. Wydaje mi się, że powinienem znaleźć sobie coś mniej ekscytującego.

Michael miał wrażenie, że Thomas chciałby powiedzieć coś więcej, ale nie może się na to zdecydować. W końcu Boyle odwrócił się do niego plecami, wyjął papierosa i zapalił.

Michael pokuśtykał w dół po schodach i ruszył z powrotem do Patsy i Jonasa. W oddali małe dzieci puszczały latawca. Biało-różowy kwadrat nurkował i wznosił się w podmuchach bryzy, tak jakby próbował wspiąć się po zboczu niewidocznej góry.

## ROZDZIAŁ XIX

Michael, Patsy i Jonas wrócili do New Seabury. Po tygodniu Michael wysłał Edgarowi Bedfordowi pisemne wymówienie, w którym wyjaśnił, dlaczego nie chce już pracować w ubezpieczeniach.

Zajął się konstrukcją światłowodowego urządzenia, wytwarzającego obraz przynęty na końcu wędkarskiej żyłki i przyciągającego uwagę dowolnie wybranej przez wędkarza ryby. W przeciwieństwie do normalnej przynęty urządzenie miało się poruszać i zmieniać kolor, nie powinno też kosztować więcej niż dziesięć dolarów.

Przez większość czasu wygląda na dość szczęśliwego. Przestały dręczyć go koszmary o Rocky Woods i o panu Hillarym.

Ale co jakiś czas wychodzi w milczeniu ze swojego gabinetu, przygląda się pracującej Patsy i czuje, jak cicho, cicho łamie mu się serce.

Matthew Monyatta powrócił do swojej praktyki adwokackiej. Na ścianie jego gabinetu wisi teraz nowa ilustracja, przedstawiająca stojącego na tle płonącego pustynnego nieba wielkiego, złotego cielca. Matthew nie chce wyjaśnić, co ma oznaczać ten symbol.

Thomas Boyle rzucił palenie. Megan Boyle opublikowała w miękkich okładkach „Kuchnię jako wyzwanie”, książkę kucharską dla niepełnosprawnych mężczyzn i kobiet.

Detektyw John Minatello odszedł z bostońskiej policji, wyprowadził się z Parkman Street i zamieszkał w St Cloud na Florydzie, małej miejscowości na wschód od Orlando.

Nigdy nie otworzył rachunku w banku. Za każdym razem, kiedy potrzebuje pieniędzy, zagląda na dno szafy i wyjmuje trochę forsy ze sportowej torby, którą porzucił schwytyany w pułapkę na Seaver Street Jambo du Freyne i którą on podniósł wtedy z chodnika.

Zamieszki na Seaver Street stopniowo wygasły. Patrice Latomba został aresztowany, a następnie zwolniony z braku wyraźnych dowodów winy. Po otrzymaniu informacji, że „ryzyko dalszych aktów gwałtu” wydaje się minimalne, prezydent postanowił udać się do Bostonu i spędzić dwie godziny na Seaver Street i Blue Hill Avenue: „aby przyczynić się do zablźnienia społecznych, rasowych i emocjonalnych ran”.

Na dzień przed przylotem prezydenta do Bostonu, Michael zajrzał na dno szuflady biurka – po prostu po to, by się upewnić, że nóż Jacqueline wciąż tam leży.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-10-30

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/